

BERNAL DIAZ DEL CASTILLO

**PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA KORTEZA
CZYLI
PRAWDZIWA HISTORIA PODBOJU NOWEJ HISZPANII**

EDYCJA KOMPUTEROWA: WWW.ZRODLA.HISTORYCZNE.PRIV.PL

MAIL TO: HISTORIAN@Z.PL



MMIII©

Znaną jest rzeczą, że najsłynniejsi kronikarze, zanim zabiorą się do pisania swej historii, wprawdzie układają przedmowę i wstęp w słowach i okresach nader uczonych, chcąc swoim wywodom dodać lustro i wiarygodności, by ciekawi czytelnicy ich dzieła ujęci byli melodią słów i ich smakowitością. Ja, nie będąc biegłym w łacinie, nie ważę się na pisanie przedmowy czy prologu, bowiem aby wysławiać bohaterskie czyny i przewagi nasze w czasie podboju Nowej Hiszpanii i jej prowincji, u boku dzielnego i nieustraszonego wodza don Hernanda Korteza, który z biegiem czasu dla swych bohaterskich czynów został markizem del Valle, i by móc to opisać tak wzniosie, jak się godzi, potrzeba innej wymowy i retoryki niżli moja. Te jednak wydarzenia, które widziałem i w których brałem udział walcząc, jako naoczny świadek chcę zapisać z pomocą Bożą bardzo po prostu, nie odchylając się na tę czy na ową stronę. Jestem bowiem starym człowiekiem, mam ponad osiemdziesiąt cztery lata, wzrok mój i słuch osłabły i los mi nie dał innego bogactwa nad to jedynie, abym dzieciom i potomkom zostawił moją prawdziwą i ważną relację.

Bernal Diaz del Castillo

Księga pierwsza

WYPRAWA FRANCISKA HERNANDEZA DE CORDOBA

I

Tu zaczyna się relacja

Ja, Bernal Diaz del Castillo, obywatel i ławnik bardzo wiernego miasta Santiago de Gwatemala, jeden z pierwszych odkrywców i zdobywców Nowej Hiszpanii i jej prowincji, przylądków Honduras i Hibueras, pochodzę z bardzo znacznego i słynnego miasta Medina del Campo, jestem synem Franciska Diaza del Castillo, który był tam ławnikiem i którego — oby w świętej chwale mieszkał! — przewano „wykwintniś”. Co do mnie oraz wszystkich innych prawdziwych konkwistadorów, moich towarzyszy, służyliśmy Jego Królewskiej Mości odkrywając, zdobywając, pacyfikując i kolonizując wszystkie prowincje Nowej Hiszpanii, która jest jedną z najcenniejszych odkrytych części Nowego Świata, a którą my odkryliśmy własnym wysiłkiem, bez wiedzy Jego Królewskiej Mości. Chcę zabrać głos i odpowiedzieć osobom, które mówiły i pisały o tym bez znajomości rzeczy, które tego ani nie widziały, ani nie posiadały prawdziwych wiadomości o tych sprawach, a to, co w tej materii rozgłaszały jedynie dla przyjemności gadania, chcąc — o ile im się uda — zaciemnić nasze liczne i znaczne zasługi, aby nie rozeszła się ich sława i aby nie zdobyły należnego uznania. Chcę mówić, żeby poszedł rozgłos zasłużony o naszych podbojach, znajdują się bowiem tutaj opowieści o czynach najtrudniejszych w świecie i sprawiedliwe jest, aby te nasze czyny, tak wspaniałe, znalazły miejsce między najbardziej sławionymi, jakie się zdarzyły. Bowiem wystawialiśmy życie nasze na bezmierne niebezpieczeństwo śmierci i ran, na straszne udreki, czy to na morzu, odkrywając ziemie, o których nigdy dotąd nie słyszano, czy to dzień i noc walcząc z mnóstwem zaciekłych wojowników, i to z dala od Kastylji, bez posiłków ni pomocy żadnej, krom wielkiego miłosierdzia Boga, Pana Naszego, który był nam prawdziwą ostoją, dzięki której zdobyliśmy Nową Hiszpanię i najsłynniejsze wielkie

miasto Tenuztitlan Mexico* oraz inne liczne miasta i prowincje — a jest ich tyle, że trudno mi je tutaj wymieniać.

Bogu się podobało zachować mnie pośród licznych niebezpieczeństw, zarówno wśród trudów odkrywczych wypraw, jak w bardzo krwawych bojach meksykańskich.

W owym czasie miałem lat dwadzieścia cztery. Na wyspie Kubie gubernatorem był Diego Velazquez, mój krewniak, który obiecywał, że przydzieli mi pierwszych Indian, jacy się nadarzą, jednak nie chciałem czekać na ten przydział zawsze uważałem, że obowiązkiem każdego dobrego żołnierza jest służyć Bogu i naszemu królowi i panu oraz starać się zdobyć sławę.

Rok był 1514. Jako gubernator Tierra Firme** przybył szlachcic nazwiskiem Pedrarias Davila. Zgodziłem się towarzyszyć mu do jego prowincji i przybyliśmy do miejscowości zwanej Nombre de Dios. W trzy lub cztery miesiące po naszym osiedleniu się wybuchła zaraza, od której wielu żołnierzy pomarło, zaś prócz tego wszyscy zachorzeliliśmy na brzydkie wrzody na nogach. Wybuchły też nieporozumienia między gubernatorem a pewnym szlachcicem, który był podówczas dowódcą i zdobył ową prowincję, a nazywał się Vasco Nuñez de Balboa. Był to możny pan, któremu Pedrarias Davila dał jedną ze swych córek za żonę. Po ślubie powziął jednak podejrzenie, że zięć zamyśla wyrwać się spod jego władzy i wraz z pewną liczbą żołnierzy wyprawić się na Morze Południa***. Kazał go ściąć oraz ukarać wielu żołnierzy. Kiedy ujrzeliśmy to, co powiedziałem, oraz inne jeszcze rewolty pośród dowódców, postanowiliśmy wraz z pewnymi szlachcicami i osobami dobrze urodzonymi pójść do Pedrarias Davila i prosić o pozwolenie udania się na wyspę Kubę, na co on chętnie, się zgodził.

Uzyskawszy to pozwolenie, siedliśmy na duży okręt, przy pogodzie przybyliśmy na wyspę Kubę i ruszyliśmy pokłonić się gubernatorowi, który ucieszył się nami i obiecywał przydzielić nam Indian, skoro tylko się nadarzą.

Po upływie trzech lat, w czasie których siedząc w Tierra Firme i na wyspie Kubie nie dokonaliśmy niczego, o czym wspomnieć by warto, stu dziesięciu towarzyszy — ci, z którymi przybyliśmy do Tierra Firme, oraz ci, którzy na wyspie Kubie nie posiadali Indian — postanowiło porozumieć się z pewnym szlachcicem bardzo bogatym, nazwiskiem Francisco Hernandez de Cordoba, aby zechciał być naszym dowódcą, bardzo się bowiem na to nadawał. Chcieliśmy próbować szczęścia poszukując nowych ziem, które moglibyśmy użytkować. W tym celu zakupiliśmy trzy okręty, dwa o znacznej pojemności, trzeci zaś był niewielkim okrętem, który miał nam dać na kredyt sam gubernator Diego Velazquez pod warunkiem, że

* Tenuztitlan Mexico — stolica Meksyku nosiła podwójną nazwę: "miejsce kaktusu i miasto Mexitl czyli Uichilobosa".

** Tierra Firme — ówczesna nazwa Panamy.

*** Morze Południa — ówczesna nazwa Oceanu Spokojnego.

najpierw na tych trzech okrętach podpłyniemy pod wysepki znajdujące się między wyspą Kubą a Hondurasem, dziś zwane Wyspami Guanaxes, napadniemy na nie i załadujemy na okręty Indian tamtejszych jako niewolników dla niego — w ten sposób mieliśmy spłacić ów okręcik. Kiedy my, żołnierze, dowiedzieliśmy się, że Diego Velazquez żąda od nas rzeczy niegodziwej, odpowiedzieliśmy, że nie jest zgodne ani z wolą Boga, ani króla, aby ludzi wolnych zamieniać w niewolnych. Kiedy poznał nasze intencje, przyznał, że nasz plan był lepszy od jego — lepiej udać się na odkrycie nowych ziem niż spełnić, co polecił. I odtąd pomagał nam przygotowywać wyprawę.

Ledwie ujrzyliśmy się w posiadaniu trzech okrętów i załogi, zaopatrzyliśmy się w chleb z manioku, zakupiliśmy wieprze po trzy pesos — bowiem w owym czasie na wyspie nie było krów ani owiec, gdyż zaledwie zaczynała się zaludniać — wzięliśmy zapas oliwy, zakupiliśmy paciorki szklane i drobiazgi na wymianę, zgodziliśmy trzech pilotów i potrzebnych żeglarzy, nagromadziliśmy najlepszy materiał, jaki mogliśmy znaleźć: liny, sznury, kotwice, stągwie na wodę oraz wszelakie inne rzeczy potrzebne do naszej podróży, a wszystko zdobyte własnym trudem i kosztem. Zebrawszy wszystkich naszych żołnierzy, udaliśmy się do portu, zwanego w języku Indian Axaruco, na wybrzeżu północnym, oddalonego o osiem mil od miasta podówczas założonego, zwanego San Cristobal. Aby nasza wyprawa oparta była na zacnych podstawach, zapragnęliśmy wziąć z nami księdza zamieszkałego w mieście San Cristobal, który zwał się Alonso González i zgodził się jechać z nami. Prócz tego wybraliśmy inspektorem królewskim żołnierza Bernardina Iniquez, aby gdy Bóg skieruje nas ku bogatym ziemiom, do ludu posiadającego złoto, srebro, perły i inne bogactwa, była między nami osoba, która by pilnowała królewskiej kwinty*. Skoro wszystko to zostało ułożone, po wysłuchaniu mszy świętej poleciliśmy się Bogu Panu Naszemu i Dziewicy Maryi, Naszej Pani, i rozpoczęliśmy naszą żeglugę, jak poniżej opowiem.

2

Jak odkryliśmy prowincję Jukatan i wybrzeże zachodnie

Ósmego dnia miesiąca lutego roku 1517 opuściliśmy Hawanę z portu Axaruco na północnym wybrzeżu i w dwanaście dni opłynęliśmy przylądek Santo Anton. Minąwszy przylądek, wypłynęliśmy na pełne morze i szczęśliwie żeglowaliśmy w kierunku zachodnim, nie mając pojęcia o ławicach, prądach ani o wiatrach, jakie zwykle na tej szerokości wieją, z wielkim narażeniem życia, bowiem w tej porze spadła na nas burza, która trwała

* Kwinta królewska — piąta część łupu zastrzeżona dla króla.

dwa dni i dwie noce, a była to nawałność taka, że bliscy byliśmy zagłady, kiedy się uspokoiła, żeglując dalej, po dwudziestu dniach od czasu, jak wypłynęliśmy z portu, ujrzelśmy ziemię, czym uradowaliśmy się i liczne dzięki składaliśmy Bogu za to. Ziemia ta jeszcze nigdy nie była odkryta ani do tego czasu nie było o niej żadnej wiadomości. Z pokładu ujrzelśmy dużą wieś, która, jak się zdawało, odległa była o dwie mile od wybrzeża. Widząc, że była to znaczna miejscowość — ani na wyspie Kubie, ani w Hispanioli nie widzieliśmy równie wielkiej — nadaliśmy jej nazwę Gran Cairo. Postanowiliśmy, że dwa okręty o mniejszej wyporności podpłyną możliwie najbliżej brzegu dla przekonania się, czy woda jest dość głęboka, by móc zarzucić kotwicę. Rankiem, a było to 4 marca, ujrzelśmy zbliżających się dziesięć łodzi bardzo wielkich, z tych, które zowią pirogami. Pełne były Indian pochodzących z owej miejscowości. Płynęli pod żaglami, wiosłując. Te łodzie miały kształt niecek i zrobione były z dużych, wyżłobionych pni. Każda łódź była z jednego pnia, a wiele z nich mogło pomieścić czterdziestu Indian.

Ale powracam do tematu. Na znaki powitalne, jakie dawaliśmy im rękoma, przywołując ich gestem i powiewając płaszcami, bowiem nie mieliśmy jeszcze tłumaczy języków Jukatana i Meksyku, Indianie na łodziach bez żadnej obawy przyплыли do naszych okrętów. Około trzydziestu z nich wstąpiło na okręt kapitański i każdemu daliśmy naszyjnik z zielonych paciorków, oni zaś długo podziwiali okręty. Naczelnik ich, który był kacykiem, dał nam poznać na migi, że chcą wrócić do swych łodzi i odpłynąć do wsi — na drugi dzień powrócą i przyciągną więcej łodzi, abyśmy mogli zejść na ląd. Byli owi Indianie odziani w bawełniane koszulki, jakby kabaty, wstydlive ich części pokrywały wąskie opaski, które pomiędzy sobą nazywali *masteles*, uważaliśmy ich za ludzi bardziej światłych od Indian z Kuby, ci nie zakrywali wstydu, z wyjątkiem niewiast, które na biodrach nosiły bawełniane suknie, zwane *naguas*.

Nazajutrz rano ku naszym okrętom powrócił ten sam kacyk, przyciągnąwszy dwanaście wielkich łodzi, czyli — jak rzekłem — piróg z Indianami, wioślarzami, i na migi, z wesołą twarzą i oznakami przyjaźni, zapraszał, abyśmy się udali do ich wsi, gdzie dadzą nam jeść i dostarczą wszystkiego, czego byśmy potrzebowali. W swoim języku powtarzał: *Cones catoche, cones catoche*, co miało znaczyć: „Pójdźcie tam, do moich domów”. Z tego powodu przezwaliśmy tę ziemię przylądek Cotoche i tak znaczony jest na mapach żeglugi. Kiedy nasz dowódca i wszyscy pozostali żołnierze widzieli przyjazne znaki, jakimi zapraszał nas kacyk, postanowili, że zejdziemy z naszych okrętów i na najmniejszym oraz na dwunastu pirogach udamy się na ląd wszyscy naraz, bo widzieliśmy całe wybrzeże pełne Indian, którzy się tłumnie zgromadzili.

Przeprawiliśmy się wszyscy od razu. Kiedy kacyk ujrzał nas na brzegu i spostrzegł, że nie mamy zamiaru udać się do jego wsi, jeszcze raz na

migi wezwał dowódcę, abyśmy za nim udali się do jego domów, i tak roz-
pływał się w oznakach przyjaźni, że po naradzie dowódca postanowił, iż
pójdziemy, zachowując ostrożność i w bojowym szyku. Zabraliśmy piętna-
ście kusz i dziesięć rusznic i zaczęliśmy iść za kacykiem i licznymi India-
nami, którzy mu towarzyszyli. Idąc w ten sposób, koło jakichś pagórków
lesistych kacyk zaczął wydawać okrzyki, dając znak kilku oddziałom
wojowników indiańskich, które tam ukrył w zasadzce. Na te nawoływania
błyskawicznie, z furją wypadli wojownicy i zaczęli nas razić strzałami, tak
że pierwszy grad strzał zabił nam dwóch żołnierzy. Indianie, strojni w
pióropusze, mieli pancerze utkane z bawełny*, które sięgały im do kolan,
uzbrojeni byli w dzidy, tarcze, łuki i strzały, w proce i liczne kamienie.
Natychmiast po strzałach natarli na nas z bliska i walcząc dzidami, które
trzymał oburącz, wyrządzili nam wiele szkody, ale, dzięki Bogu, rychło
zmusiliśmy ich do ucieczki, skoro tylko poznali ostrza naszych strzał oraz
nasze kusze i rusznice, uciekli zostawiając piętnastu zabitych.

Niedaleko od miejsca, gdzie nas napadli, był placyk i trzy domy muro-
wane z kamienia i wapna — były to świątynie, w których stały liczne
bałwany z gliny, jedne miały oblicza demonów, inne jakby kobiet, jeszcze
inne poczarne postacie oddawały się między sobą sodomii.

Wewnątrz tych domów były małe skrzynki z drzewa, a w nich inne bożki
i małe medalioniki na pół ze złota, ale w przeważnej mierze z miedzi, były
tam wisiorki i trzy diademy oraz inne drobiazgi o kształcie rybek i
ptaszków, a wszystko z lichego złota. Kiedy ujrzelśmy to złoto oraz
murowane budynki, byliśmy bardzo zadowoleni, że odkryliśmy taką
ziemię, bowiem w owym czasie nie było jeszcze odkryte Peru, stało się to
dopiero dziesięć lat później. Kiedy walczyliśmy z Indianami, ksiądz
Gonzales, który nam towarzyszył, gromadził skrzynki, bożki i złoto i
zanosił na okręty. W tych potyczkach ujęliśmy dwóch Indian, którzy
następnie zostali ochrzczeni i nazywali się Julian i Melchior, zaś obaj byli
zezowaci. Po zakończeniu tej bitwy powróciliśmy na okręty i płynęliśmy
wzdłuż brzegów ku zachodowi słońca, opatrując swoje rany.

*

W mniemaniu, że była to wyspa, jak nas zapewniał pilot Anton de
Alaminos, żeglowaliśmy z największą ostrożnością, płynąc za dnia, a za-
trzymując się nocą, i po dwóch tygodniach takiej podróży ujrzelśmy z
okrętów miejscowość, jak się zdawało dość dużą, a tuż obok niej małą

* Pancerze utkane z bawełny — Aztekowie nosili pancerze z bawełny pikowanej jak
materac, moczonej w solance, aby stwardniała, okrywały one całe ciało na kształt
kombinezonu. Trudne do przebicia, zostały adoptowane przez Hiszpanów.

zatokę i przystań. Sądziliśmy, że znajdziemy tam rzekę albo strumień, skąd będziemy mogli zaczerpnąć wody, cierpieliśmy bowiem na wielki jej brak, gdyż stągwie i baryłki zabrane przez nas nie były dość szczelne — nasza wyprawa składała się z ludzi ubogich, nie mieliśmy nawet dość złota, aby zakupić dobre statki i liny. Zabrakło nam tedy wody i musieliśmy lądować w pobliżu owej wsi. Była to niedziela, dzień świętego Łazarza, i dlatego nadaliśmy tej miejscowości nazwę *Lázaro* i tak jest zapisana na mapach żeglugi, zaś w narzeczu Indian zowie się *Campeche*. Postanowiliśmy wyruszyć na ląd na najmniejszym z okrętów oraz w naszych trzech łodziach, pod bronią, aby się nam nie przydarzyło to co na przylądku *Cotoche*. A że w owych zatokach i przystaniach nie ma przyływu, zostawiliśmy nasze okręty zakotwiczone o dobrą milę od lądu i zeszliliśmy na ziemię niedaleko osiedla. Był tam duży zbiornik wody, z którego czerpała ludność owej miejscowości, bowiem na tych ziemiach, jak przekonaliśmy się, nie było rzeki; wyciągnęliśmy nasze baryłki, aby zaczerpnąć wody i powrócić na okręty. Kiedy były pełne i chcieliśmy wsiąść do łodzi, nadeszło od wsi pięćdziesięciu Indian w dobrych bawełnianych opończach i czyniących przyjazne znaki. Ci, którzy wyglądali na kacyków, pytali nas na migi, czego szukamy. Staraliśmy się im wytłumaczyć, że bierzemy wodę i zaraz odpływamy ku okrętom. Wtedy pytali nas na migi, czy przybywamy od wschodu słońca, i mówili: *Castilan, Castilan*, a my nie zwróciliśmy uwagi na to słowo. Po czym zapraszali nas gestami, abyśmy poszli z nimi do wsi, my zaś, po naradzie, czy iść, czy nie, postanowiliśmy zgodnie udać się tam, mając się jednak na baczności. Zaprowadzili nas do budynków przestronnych, które były modlitewniami ich bóstw, były pięknie murowane z kamienia, a na ścianach niektórych były płaskorzeźby wyobrażające wielkie węże i gady oraz dokoła jakby ołtarza poplamionego krwią malowidła bóstw o potwornych obliczach. Po drugiej stronie bożków znajdowały się znaki wymalowane na podobieństwo znaków krzyża, czemu dziwowaliśmy się jako rzeczom nigdy nie widzianym ani nie słyszanim. Prawdopodobnie dopiero co ofiarowano bożkom kilku Indian, aby zapewnić sobie zwycięstwo nad nami. Nadciągnęło wiele Indianek roześmianych i rozradowanych, czyniących znaki przyjaźni, ale natłoczyło się też tylu Indian, że lękaliśmy się podobnej zasadzki, jak na przylądku *Cotoche*. Zgromadziło się bowiem dużo Indian w bardzo brudnych szmatach, z wiązkami suchych trzcin, które zrzucili na placu, a za nimi zjawiły się dwa oddziały łuczników, z dzidami i tarczami, z procami i kamieniami, w pancerzach z bawełny, każdy ze swoim dowódcą, i stanęły niedaleko nas. Zaraz też wyszło z innego budynku, który był świątynią bóstw, dziesięciu Indian w długich białych bawełnianych szatach, spływających do stóp; włosy mieli długie, oblane obficie krwią i tak nią zlepione, że nie zdołaliby ich rozdzielić ani uczesać nie ucinając ich. Byli to kapłani bożków, powszechnie w Nowej Hiszpanii nazywani *papas*. Ci przynieśli kadzidło

z pewnego rodzaju żywicy, którą między sobą nazywają *copal*, i za pomocą mis glinianych, pełnych węglowego żaru, zaczęli nas okadzać i na migi dali nam do poznania, że mamy opuścić tę ziemię, nim nagromadzone drzewo wypali się do cna, i że jeśli ich nie posłuchamy, napadną nas i pozabijają. Po czym papas rozkazali zapalić trzciny i bez słowa odeszli. Ci zaś, którzy stali w hufcach gotowi do ataku na nas, zaczęli gwizdać, dąć w trąby i bić w bębny. Widząc tak srogi ich wygląd, jako że jeszcze rany nasze zagojone nie były pd bitwy na przylądku Cotoche, gdzie poległo dwóch naszych żołnierzy, których musieliśmy wrzucić do morza, i wobec tak licznych oddziałów Indian, zlekliśmy się i chętnie zgodziliśmy się wrócić ku wybrzeżu. Zaczęliśmy zatem posuwać się wzdłuż wybrzeża aż do skały sterczącej z morza. Zaś łodzie i mały okręt płynęły wzdłuż brzegów ze stągwiami i baryłkami z wodą — nie odważyliśmy się załadować ich w pobliżu miejsca, gdzie wysiedliśmy, z powodu mnóstwa Indian, którzy nas śledzili i na pewno byliby nas napadli podczas siadania na okręt.

Umieściwszy naszą wodę na okrętach i łodziach, żeglowaliśmy przez sześć dni i nocy przy pięknej pogodzie, gdy nagle zerwał się wiatr północny, nawiedzający owe wybrzeża, który trwał cztery noce i dni, i bliscy byliśmy zguby. Nawałność była tak silna, że musieliśmy rzucić kotwicę, ale zerwały się dwa łańcuchy i jeden ze statków zaczął iść na znos. Och, cośmy przeżyli! Gdyby bowiem zerwał się jeszcze i ostatni łańcuch poszlibyśmy na stracenie, ale dzięki Bogu poradziłyśmy sobie za pomocą innych sznurów i lin. A że czas się uspokoił, płynęliśmy dalej wzdłuż naszego brzegu, przybijając do lądu, kiedy mogliśmy, aby nabrać wody, gdyż — jak powiedziałem — stągwie, które zabraliśmy, nie były szczelne, miały bardzo szeroki otwór bez pokrywy. Płynęliśmy więc wzdłuż wybrzeży, myśląc, że gdziekolwiek wyjdziemy na ląd, znajdziemy zbiorniki lub studnie, które pogłębimy. Tak płynąc, ujrzyliśmy z okrętów wioskę, a przed nią w odległości około mili zatokę, do której zdawała się wpadać rzeka albo potok, postanowiliśmy przeto wylądować. A że przy owym wybrzeżu morze było bardzo płytkie i okręty mogły osiąść na mieliźnie, obawiając się tego, wysiedliśmy na milę od lądu i na mniejszym okręcie oraz na wszystkich łodziach dobiliśmy do tej zatoki, wyciągnęliśmy wszystkie nasze naczynia do czerpania wody i z dobrym zapasem broni, kusz i rusznic zeszliliśmy na brzeg około południa; miejsce naszego lądowania było odległe około mili od owej wioski. Niedaleko było kilka zbiorników wody, trochę pól kukurydzianych oraz budyneków z kamienia i wapna. Ta zaś zwała się Potonchan.

*

Kiedy nabieraliśmy wodę, zjawiły się na wybrzeżu liczne oddziały Indian z Potonchanu. Byli w pancerzach z bawełny, z łukami, strzałami,

dzidami, tarczami, obosiecznymi mieczami, procami, kamieniami, na głowach mieli pióropusze, których zwykli używać. Oblicza ich były pomalowane na biało, na czarno lub okrą, szli w milczeniu. Podeszli prosto do nas i zapytali na migi, czyniąc przyjazne gesty, czy przybywamy od wschodu słońca. Odpowiedzieliśmy na migi, że istotnie przybywamy od tamtej strony. Zastanawialiśmy się i rozmyślali, co mogłyby znaczyć słowa *Castilan*, *Castilan*, które słyszeliśmy teraz i którymi do nas przemawiali przedtem mieszkańcy Lazaro, ale nie rozumieliśmy, dlaczego tak mówili. Była godzina zdrowasiek. Indianie wkrótce odeszli do pobliskich domostw, a my wystawiliśmy czaty i straże, bowiem nie podobało nam się owo zbiorowisko ludzi ani ich zachowanie. Czuwaliśmy całą noc, kiedy usłyszeliśmy zbliżanie się od wsi wielkiego oddziału Indian w bitewnym uzbrojeniu. Ledwie to spostrzegliśmy, zrozumieliśmy oczywiście, że nie zebrali się z życzliwości dla nas, zaczęliśmy się tedy naradzać, co nam czynić należy. Jedni żołnierze byli zdania, aby natychmiast wrócić na okręt. I jak się w takich wypadkach dzieje, jedni radzili to, inni owo, ale zdawało się większości naszych towarzyszy, że jeślibyśmy zaczęli wsiadać do łodzi, Indianie, których była znaczna liczba, zaatakują nas i wystawimy na szwank nasze życie. Zgodziliśmy się przeto tej nocy napaść na nich, gdyż — jak mówi przysłowie — „kto atakuje, ten zwycięża”, chociaż jasne było, że na każdego z nas przypada dwustu Indian.

W czasie tej narady zaczęło świtać, więc dodawaliśmy jedni drugim ducha, mówiąc, że zostajemy ze śmiałym sercem, aby walczyć, i Bogu polecamy zachowanie naszego żywota. Już nastał jasny dzień, kiedy ujrzeliśmy zbliżające się wybrzeżem liczne zastępy wojowników indiańskich z rozwianymi sztandarami, w pióropuszach, z bębnami. Złączyli się oni z tymi, którzy przybyli poprzedniego wieczora, natychmiast uformowali szyki i otoczyli nas dokoła, zasypując gradem strzał, oszczepów i kamieni ciskanych z proc. Tak zranili nam ponad osiemdziesięciu żołnierzy i starłszy się z nami w walce wręcz, walczyli jedni dzidami, inni strzelając z łuków lub swymi obosiecznymi mieczami, i wiele szkody nam wyrządzili, choć rozdawaliśmy dobre cięcia i pchnięcia, a nasze kusze i rusznice nie próżnowały: jedni strzelali, drudzy nabijali. Uchodząc od wielkich razów miecza i pchnięć, jakie rozdawaliśmy, Indianie nieco odsunęli się od nas, ale niezbyt daleko, raczej na tyle, aby nas snadniej zasypywać strzałami z większym dla siebie bezpieczeństwem. Kiedy tak walczyliśmy, Indianie nawoływali się krzycząc: *Al calachuni, al calachuni!*, co w ich języku znaczy, żeby napaść dowódcę i zabić go. Ugodzili go dziesięcioma strzałami, mnie się dostały trzy, a jedna była bardzo niebezpieczna, raniła mnie w prawy bok i doszła do klatki piersiowej. Naszych żołnierzy zasypali oszczepami, a dwóch porwali żywcem, jeden zwał się Alonso Boto, drugi był starym Portugalczykiem. Nasz dowódca, spostrzegłszy, że nasze męstwo nie wystarcza, że jesteśmy otoczeni przez

liczne oddziały i że coraz więcej posiłków napływa od wsi, przynosząc walczącym spyżę i napitki oraz mnóstwo strzał, widząc, że nasi są ranni, każdy dwoma albo trzema grotami, trzej żołnierze mają gardziel przebitą oszczepem, on sam broczy zewsząd krwią i straciliśmy już ponad pięćdziesięciu żołnierzy, widząc, że nie zdołamy dotrzymać placu ani walczyć z nimi, postanowił, abyśmy z bardzo mężnym sercem przedarli się przez ich szyki i dostali się do łodzi, które pozostawiliśmy w pobliżu przy brzegu. W tym był ratunek. Uformowaliśmy przeto oddział i przebiliśmy się przez nich, trzeba było słyszeć ich wrzaski i wycie! W pośpiechu zasypywali nas strzałami i godzili w nas oszczepami, raniąc za każdym razem.

Teraz czekało nas inne niebezpieczeństwo kiedy tłumnie rzuciliśmy się ku łodziom, nie mogły nas utrzymać i zaczęliśmy tonąć, z całej siły trzymając się burty, na pół płynąc zdołaliśmy jednak dobrnąć do najmniejszego okrętu, który już spiesznie płynął nam na pomoc. Przy wsiadaniu do łodzi wielu naszych żołnierzy zostało ranionych, szczególnie ci, którzy trzymali się burty — Indianie strzelali do nich z łądu, a nawet wchodzili w morze z dzidami i oburącz w nich godzili. Z wielkim trudem, dzięki Bogu, uszliśmy z życiem z rąk owych ludzi. Po załadowaniu się na okręty spostrzeżyliśmy, że brak jest ponad pięćdziesięciu żołnierzy prócz tych dwóch, których porwali żywcem. Po kilku dniach wrzuciliśmy w morze jeszcze pięciu, którzy pomarli od ran i wielkich trudów. Trwała ta bitwa około godziny. Owa wieś nosi nazwę Potonchan, zaś na mapach żeglarskich piloci i marynarze nadali jej nazwę Wybrzeże Nieszczęsnej Bitwy. Kiedy leczylimy żołnierzy z ran, inni skarżyli się na bóleści z powodu przeziębienia i opicia się słoną wodą i przeklinali pilota Antona de Alaminos i jego wyprawę na wyspę, bo nadal upierał się, że to nie łąd stały.

3

Jak postanowiliśmy zawrócić na wyspę Kubę i o wielkich niebezpieczeństwach, jakie przeżyliśmy

Kiedy znaleźliśmy się na okrętach w ten sposób, jak opowiedziałem, dziękowaliśmy Bogu i leczylimy rany, bo z wyjątkiem jednego żołnierza nie było człowieka, który by ich nie miał po dwie, trzy, cztery, a dowódca nasz nawet dziesięć. Postanowiliśmy zawrócić na wyspę Kubę. Jednak większość naszych marynarzy była ranna i brakło ludzi do manewrowania żaglami, porzuciliśmy tedy na morzu najmniejszy okręt, podpaliwszy go i zabrawszy zeń żagle, kotwice i liny, i rozdzieliliśmy marynarzy zdrowych pomiędzy dwa pozostałe okręty. Jednak wielką szkodę ponieśliśmy, bowiem z powodu wielkiej bitwy, jaką stoczyliśmy, i pośpiechu, z jakim dostaliśmy się na okręty, nie zdołaliśmy zabrać stągwi i baryłek, które

napełniliśmy w Potonchanie, i wszystkie tam pozostały, tak że nie mieliśmy zgoła wody. Tak straszne było nasze pragnienie, że język i wargi mieliśmy popękane z suchości, bowiem nic dla ich orzeźwienia nie było. Och, jak uciążliwą rzeczą jest wyprawiać się na odkrycie nowych ziem w ten sposób, jak myśmy to uczynili! Może to pojąć chyba tylko ten, kto sam przeszedł przez owe wielkie trudy.

Tak więc płynęliśmy bardzo blisko lądu, aby znaleźć w okolicy jakąś rzekę czy zatokę, gdzie by można zaczerpnąć wody, i po trzech dniach ujrzeliśmy zatokę sposobną do wylądowania i mniemaliśmy, że będzie tam ujście jakiejś rzeki i znajdziemy słodką wodę. Wskoczyło na ląd piętnastu marynarzy z tych, którzy zostali na okrętach i nie byli ranni, oraz trzech żołnierzy uleczonych już od postrzałów, zabrali łopaty i baryłki, aby zaczerpnąć wody, ale owo ujście było słone, więc kopali na wybrzeżu studnie, w których podobnie woda była niedobra, słona i gorzka. Pomimo, że była słona, przynieśli jej pełne baryłki, ale nikt nie mógł jej pić, a kilku żołnierzy, którzy pili, zachorowało na żołądek i na jamę ustną. W owym ujściu roilo się od wielkich jaszczurów, dlatego na mapach żeglarskich nosi nazwę Estero de los Lagartos.

Tymczasem podniósł się wiatr północno-wschodni, tak silny, że przybiliśmy do brzegu, aby się schronić. Tak przetrwaliśmy dwa dni i dwie noce, a następnie co rychlej podnieśliśmy kotwicę i rozwinęliśmy żagle, aby popłynąć ku wyspie Kubie.

Ale pilot Alaminos porozumiał się i naradził z innymi dwoma pilotami, że byłoby lepiej z miejsca, gdzie znajdowaliśmy się, przepłynąć na Florydę, bowiem z map oraz stopni i szerokości geograficznych wyczytał, że byliśmy od niej oddaleni około siedemdziesięciu mil i że stamtąd do Hawany żegluga byłaby łatwiejsza i krótsza aniżeli droga, którą przypłynęliśmy. I tak się stało, jak powiedział, bowiem jak słyszeliśmy, on to odkrył Florydę razem z Juanem Ponce de Leon przed czternastu laty i właśnie na tej ziemi pobito ich i poległ Juan Ponce. Po czterech dniach żeglugi ujrzeliśmy ziemię Florydy, a co się tam zdarzyło, opowiem poniżej.

*

Kiedy przybiliśmy do lądu, postanowiliśmy, że z okrętu zejdzie dwudziestu żołnierzy, którzy byli najzupełniej uleczeni z ran, wśród nich byłem ja i pilot Anton de Alaminos. Nasz dowódca był ciężko ranny, nękało go i osłabiało wielkie pragnienie i błagał nas, abyśmy za wszelką cenę przynieśli mu słodkiej wody, bo usycha z pragnienia — jak już powiedziałem, woda, jaką mieliśmy, była słona i niezdatna do picia. Kiedy znaleźliśmy się na lądzie koło ujścia rzeki, pilot Alaminos rozpoznał wybrzeże i rzekł, że w tym miejscu właśnie wylądował z Juanem Ponce

de Leon, kiedy odkryli to wybrzeże, i że tam stoczyli z nimi bitwę Indianie, zabijając wielu żołnierzy, trzeba więc, abyśmy byli bardzo ostrożni. Zaraz postawiliśmy dwóch żołnierzy na czatach i na szerokiej plaży zaczęliśmy kopać głębokie studnie tam, gdzie zdawało nam się, że może być słodka woda. Bogu dzięki znaleźliśmy dobrą wodę, z radością więc, aby się nią nasycić, aby uprać płótno do opatrywania ran, pozostaliśmy tam przez godzinę. Kiedy uradowani już chcieliśmy wsiąść na łódzie z naszą wodą, ujrzelśmy nadbiegającego żołnierza, jednego z owych dwóch pozostawionych na straży. Dawał nam znaki i krzychał: „Do broni, do broni, zbliżają się liczni wojownicy indiańscy, jedni lądem, drudzy od strony morza w pirogach!” I żołnierz wołający, i Indianie podeszli do nas niemal równocześnie. Rośli, odziani w skóry zwierzęce, mieli wielkie łuki, dobre szypy i oszczepy, i coś w rodzaju mieczy, zbliżyli się i zaczęli razić nas strzałami, raniąc wielu naszych, mnie także lekko ranili. Tak zaciekle siekliśmy ich i przebijali, tak strzelaliśmy z kusz i rusznic, że poniechali nas i zawrócili ku morzu, aby przyjść z pomocą towarzyszom, którzy podpływali pirogami, a z którymi zwarli się marynarze. Indianie z pirog, zraniwszy czterech marynarzy i pilota Alaminosa w gardziel, opanowali już jeden z naszych okrętów i przeciągali go ku ujściu. Rzuciliśmy się na nich, wchodząc nawet w wodę po pas, i orężem zmusiliśmy ich do porzucenia okrętu. Położyliśmy trupem na brzegu i w wodzie dwudziestu dwóch Indian, zaś trzech lekko rannych ujęliśmy, ale skonali na okrętach.

Po skończonej potyczce zapytaliśmy żołnierza, którego zostawiliśmy na czatach, co się stało z jego towarzyszem, zwanym Berrio. Odrzekł, że widział, jak oddalił się z siekierą w ręce, aby ściąć małą palmę, i doszedł aż do ujścia, przy którym pojawili się wojownicy indiańscy, następnie słyszał wołanie po hiszpańsku i właśnie z powodu tych krzyków zaraz przybiegł do nas, a wówczas tamci musieli Berria zabić. Był to właśnie jedyny żołnierz, który wyszedł bez szwanku z bitwy pod Potonchanem, lecz widać los chciał, aby tutaj zginął. Zaraz zaczęliśmy szukać naszego żołnierza wedle ścieżki, jaką wygnietli owi Indianie, którzy nas napadli, znaleźliśmy palmę, którą zaczął ścinać, a dokoła niej liczne ślady, liczniejsze niż gdzie indziej, skąd wnieśliśmy, że porwali go na pewno żywcem, nie było bowiem śladu krwi. Rozbiegliśmy się szukając na wszystkie strony, co trwało ponad godzinę, nawoływaliśmy, a nie dowiedziawszy się nic o nim, zawróciliśmy, by siąść w łódzie. Zabraliśmy słodką wodę, którą wszyscy nasi żołnierze uradowali się, jakbyśmy im przynieśli życie. Jeden z żołnierzy rzucił się nawet z okrętu do łodzi i ulegając wielkiemu pragnieniu, jakie go dręczyło, porwał jedną ze stągwi i wypił tyle wody, że wzdęło go i zmarł po dwóch dniach.

Załadowawszy na okręty naszą wodę, umocowawszy łódzie, podnieśliśmy żagle płynąc ku Hawanie. Łaska boska zawiodła nas do portu Carenas, gdzie teraz rozwinęło się miasto Hawana, wówczas zwało się

to Puerto de Carenas. Kiedy znaleźliśmy się na lądzie, złożyliśmy dziękczynienie Bogu.

W Hawanie trzech żołnierzy zmarło z ran, a nasze okręty weszły do portu w Santiago, gdzie mieszkał gubernator. Wysadziliśmy tam dwóch Indian pojmanych na przylądku Cotoche, którzy nazywali się teraz Melchior i Julian, i wydobyliśmy skrzynkę z diademami, kaczuszkami i rybkami oraz innymi drobiazgami ze złota, a także liczne bożki, prawdziwe arcydzieła sztuki, które na wszystkich wyspach — jak San Domingo, na Jamajce, a nawet w Kastylii — zasłynęły szeroko: mówiono, że w żadnych krainach na całym świecie nie odkryto piękniejszych. Kiedy oglądano bożki z gliny w tak rozmaitych postaciach, mówiono, że są to bożki pogańskie. Inni mówili, że należały one do Żydów wygnanych przez Tytusa i Wespazjana z Jerozolimy, a których rozbite okręty dopłynęły aż tutaj. Diego Velazquez wypytywał owych Indian jeszcze o co innego, a mianowicie, czy w ich krajach są kopalnie złota, a oni na migi dali mu poznać, że są. Pokazywali piasek złoty i mówili, że dużo tego jest w ich kraju, a nie powiadali prawdy, bowiem jasne jest, że na przylądku Cotoche ani na całym Jukatanie nie ma kopalni złota ani srebra.

Pokazywali też ziemię, na której sadzą rośliny, z których korzeni robi się chleb maniokowy. Roślina ta nazywa się na wyspie Kuba *juka*, Indianie zaś mówiąc o ziemi, mówili *tlati* — te dwa słowa złączone, *juka* i *tlati*, dały Jukatan. Hiszpanie obecni przy rozmowie Velazqueza z Indianami mówili: „Panie, ci Indianie mówią, że ich ziemia nazywa się Jukatan”. I to imię jej zostało. Ale w języku Indian ziemia ta nazywa się *zgoła* inaczej.

*

My wszyscy, żołnierze, którzy odbyliśmy tę odkrywczą wyprawę, straciwszy niewielkie mienie, jakie posiadaliśmy, wróciliśmy na wyspę Kubę w biedzie i w ranach. Każdy odjechał w swoją stronę, a dowódca niebawem zmarł.

Przez długie dni leczyliśmy rany i wedle obliczeń pięćdziesięciu siedmiu jeszcze zmarło. Był to jedyny zysk osiągnięty z tej odkrywczej wyprawy. Zaś Diego Velazquez napisał do Kastylii, do panów audytorów Królewskiej Rady Indii, że to on odkrył te ziemie i wydał na to olbrzymie sumy złotych pesos, co rozgłaszał i ogłaszał don Juan Rodriguez de Fonseca, biskup Burgos i arcybiskup Rosany, przewodniczący Rady Indii, który ze swej strony napisał do Jego Królewskiej Mości do Flandrii, wystawiając w swych listach Diega Velazqueza, nie wspominając ni słowem o nas, którzy je odkryliśmy istotnie.

Księga druga

WYPRAWA POD WODZĄ JUANA DE GRIJALVA

4

Jak Diego Velazquez, gubernator wyspy Kuby, postanowił wysłać nową wyprawę na ziemie przez nas odkryte, a wodzem naczelnym jej został szlachcic nazwiskiem Juan de Grijalva

W roku 1518 gubernator Kuby, utrzymawszy dobrą wiadomość o ziemiach przez nas odkrytych, zwanych Jukatan, postanowił wysłać armadę i dla niej poszukiwano czterech okrętów; dwa wzięto z owych trzech, na których wyruszyliśmy poprzednio z Franciskiem Hernandezem de Cordoba, inne dwa zakupił Diego Velazquez ostatnio za swoje pieniądze. W czasie kiedy wyprawa została postanowiona, w Santiago de Kuba, gdzie przebywał Velazquez, znajdowali się niejaki Juan de Grijalva, Alonso de Avila, Francisco de Montejo i Pedro de Alvarado, którzy załatwiali rozmaite sprawy z gubernatorem, gdyż wszyscy mieli Indian na wyspie i byli znacznymi osobami. Ułożono, że naczelnym wodzem będzie Juan de Grijalva, krewniak Diega Velazqueza, dowództwo jednego okrętu powierzono Alonsowi de Avila, drugiego Pedrowi de Alvarado, a trzeciego — Franciskowi de Montejo.

Teraz każdy dowódca zajął się aprowizacją swego okrętu w żywność, chleb moniakowy i słoninę. Diego Velazquez zaopatrzył cztery okręty, dostarczył pewnej ilości paciorków i innych drobiazgów na wymianę. Mnie zaś polecił przy onych dowódcach obowiązki chorążego. A że o tych ziemiach szedł rozgłos, że były bogate i miały domy murowane, zaś Indianin Julian zapewniał, że posiadają złoto, wielkiej nabrali chęci mieszkańcy i żołnierze, nie posiadający Indian na wyspie, aby wziąć udział w wyprawie, tak że wkrótce zebraliśmy dwustu czterdziestu towarzyszy i każdy z nas na własny koszt zakupił żywność i broń. W ten sposób po raz drugi wracałem ku tym ziemiom, ale pod innymi wodzami. Wiedziałem, że Diego Velazquez wydał instrukcje, aby zebrać możliwie najwięcej złota i srebra, i jeśli ziemie okażą się podatne, osiedlić się na nich, jeżeli zaś nie, powrócić na Kubę. Jako kontroler floty jechał niejaki Peñalosa rodem

z Segovii, zabraliśmy także księdza Juana Diaza z Sewilli, obu tych samych pilotów, co poprzednio, a mianowicie Antona de Alaminos z Palos i Camacha z Triany oraz dwóch nowych.

Kiedy zgromadziliśmy wszystkich naszych żołnierzy i wydaliśmy instrukcje, których mieli się trzymać piloci, oraz ustanowiliśmy świetlne sygnały, po wysłuchaniu mszy 8 kwietnia 1518 roku rozwinęliśmy żagle i dziesiątego dnia minęliśmy przylądek Guaniguanico, inaczej zwany San Anton. Po dziesięciodniowej podróży ujrzeliśmy wyspę Cozumel, którą dopiero wówczas odkryliśmy, bowiem prądy zniosły nas niżej, niż kiedy żeglowaliśmy z Franciskiem Hernandezem de Cordoba. Kiedy okrążyliśmy wyspę wzdłuż wybrzeża południowego, ujrzeliśmy wieś o niewielu domach i niedaleko wolne od skał dogodne miejsce lądowania, więc zesliśmy na ląd z dowódcą i znaczną liczbą żołnierzy. Tubylcy, zaledwie dostrzegli zbliżający się żaglowiec, uciekli, nigdy bowiem nie widzieli takiego. Żołnierze zesli na ląd i znaleźli wśród pola kukurydzianego dwóch starców już tak słabych, że nie mogli chodzić, i z pomocą dwóch Indian — Juliana i Melchiora, którzy ich rozumieli, bowiem ich kraj oddalony jest od wyspy Cozumel zaledwie o cztery mile i mają jeden język — przyprowadzili ich przed dowódcę. Dowódca przyjął łaskawie obu starców i dał im kilka sznurów paciorków, po czym wysłał ich, aby przywołali kacyków owej wsi. Odeszli i nigdy nie powrócili.

Kiedy trwaliśmy w oczekiwaniu, nadeszła młoda Indianka wielkiej urody i odezwała się w języku wyspy Jamajki, mówiąc, że wszyscy Indianie i Indianki z owej wsi uciekli w lasy ze strachu. Wielu naszych żołnierzy i ja rozumieliśmy bardzo dobrze ów język, który jest podobny do języka wyspy Kuby, dziwiliśmy się, że ją tu widzimy, i pytaliśmy, jak się tu znalazła. Odpowiedziała, że dwa lata temu zagnana tu została wielka łódź, w której na połów z wyspy Jamajki wyprawiono się dziesięciu tamtejszych Indian. Prąd wyrzucił ich na ten brzeg, gdzie jej mąż oraz inni Indianie z Jamajki zostali przez tubylców zabici na ofiarę bożkom. Dowódca pomyślał, że Indianka mogłaby być dobrą pośredniczką, i posłał ją, aby przywołała Indian i kacyków owej wsi, polecając jej za dwa dni powrócić. Lękaliśmy się bowiem, że gdybyśmy wysłali Indian — Juliana i Melchiora — uciekliby do swego kraju, który leżał w pobliżu, i dlatego nie odważyliśmy się ich posłać z wezwaniem. Kiedy powróciła Indianka z Jamajki, oświadczyła, że żaden z Indian nie chciał przyjść pomimo wszelkich jej przedłożeń. Nadaliśmy tej wsi nazwę Santa Cruz, jako że kiedy weszliśmy do niej, był dzień Świętego Krzyża. Znaleźliśmy tam liczne pasieki, dobre ziemniaki oraz wieprze, które mają jakby grzebień na grzbiecie. W tej okolicy były trzy wsie, ta, przy której wylądowaliśmy, była największa, obok były dwie mniejsze. O tym wszystkim przekonałem się, kiedy po raz trzeci powróciłem tam z Kortezem. Obwód tej wyspy wynosi dwie mile.

Kiedy dowódca Juan de Grijalva spostrzegł, że tracimy czas nadaremnie, rozkazał wsiąść na okręty. Indianka z Jamajki wsiadła z nami i pożeglowaliśmy dalej.

*

Płynąc w kierunku tym samym, co z Franciskiem Hernandezem, po ośmiu dniach przybyliśmy w okolice wsi Potonachan, gdzie ponieśliśmy byli klęskę od Indian tamtejszych. Ponieważ w zatoce morze jest bardzo płytkie, zakotwiczyliśmy okręty o milę od brzegu i na wszystkich łodziach przewieźliśmy połowę żołnierzy, chcąc wylądować w pobliżu wsi. Indianie z tej wioski oraz inni, z sąsiedztwa, zbiegli się podobnie jak poprzednim razem, kiedy zabili nam pięćdziesięciu sześciu żołnierzy i wszystkich nas bardzo poranili. Z tego powodu wielce zadufani i butni, wedle zwyczaju byli dobrze uzbrojeni w łuki, strzały, dzidy tak długie, jak nasze, oraz inne, krótsze, w tarcze i maczugi, w swoje miecze obosieczne, w kamienie i proce, mieli trąby i bębny, a na sobie pancerze tkane z bawełny. Większość miała twarze pomalowane na czarno, inni na kolorowo, inni na biało. Stali w pogotowiu, czekając, aby w momencie gdy wylądujemy, napaść na nas. Nauczeni doświadczeniem poprzedniego razu, zabraliśmy na łodzie falkonety i byliśmy wyposażeni w kusze i rusznice. Zaledwie zbliżyliśmy się do lądu, zaczęli nas ostrzeliwać z łuków i oburącz ciskać oszczepv. Choć nasze falkonety wiele im szkody wyrządziły, zasypali nas takim gradem strzał, że zanim dosięgliśmy lądu, ranili ponad połowę naszych. Ale zaledwie wysadziliśmy na ląd naszych żołnierzy, siła natarcia Indian osłabła, zdławiona śmiałymi ciosami, pchnięciami miecza i strzałami z kuszy, bowiem choć zasypywali nas szypami z wyniosłości, wszyscy mieliśmy na sobie pancerze tkane z bawełny; dość długo walczyliśmy, zanim zmusiliśmy ich do cofnięcia się na moczary w pobliżu wioski.

W tej bitwie zabito nam siedmiu żołnierzy, a między nimi Juana de Quiteria, znaczną osobistość. Dowódca Juan de Grijalva otrzymał wówczas trzy postrzały i wybito mu dwa zęby. Ranionych tam zostało ponad sześćdziesięciu naszych ludzi. Ujrzawszy, że wszyscy nasi przeciwnicy uciekli, doszliśmy do wsi, opatrzyliśmy rany, pogrzebaliśmy poległych. W całej wsi nie znaleźliśmy żywego ducha — wszyscy uciekli. W tych potyczkach pojмалиśmy trzech Indian, a wśród nich jednego dostojnika. Dowódca polecił im przywołać kacyka owej miejscowości, przez Juliana i Melchiora, naszych tłumaczy, wyłożył im w ich języku, że im przebaczymy, co uczynili, i dał im dla kacyka zielone paciorki na znak pokoju. Poszli i nigdy nie wrócili. Mniemaliśmy, że Indianie, Julian i Melchior musieli im powiedzieć nie to, co im poleciliśmy, ale wręcz coś przeciwnego. Pozostaliśmy w tej miejscowości trzy dni. Przypominam

sobie, że kiedy walczyliśmy, były tam w pobliżu łąki, a na nich mnóstwo małej szarańczy, która gdy potykaliśmy się, skakała i latając uderzała nas w twarz, a że równocześnie łucznicy zasypywali nas gradem strzał, sądziliśmy, iż to owa latająca szarańcza, i nie zasłaniał się tarczami, zaś owe strzały raniły nas. Odwrotnie, niekiedy braliśmy ową latającą szarańczę za strzały i to stwarzało wielkie zamieszanie wśród walki.

*

Żeglując dalej, dopłynęliśmy do ujścia jakby bardzo szerokiej, bogatej w wodę i wielkiej rzeki, nie była to jednak rzeka, jak to sobie wyobrażaliśmy, tylko doskonały port, który leżał pomiędzy dwoma brzegami i dlatego wydawał się wąski, ale wejście miało bardzo szerokie. Pilot Alaminos twierdził, że to wyspa i ląd się tam kończy. Juan de Grijalva wraz z innymi oficerami i żołnierzami zeszedł z okrętu i przez trzy dni sondowaliśmy ujście, badając wodę w górę i w dół od miejsca, skąd zdawała się wypływać, i przekonaliśmy się, że nie jest to wyspa, ale zatoka wśród lądu i doskonały port. Było w tej okolicy kilka murowanych świątyń, a w nich mnóstwo bożków z gliny, drzewa i kamienia, jedne w postaci kobiet, inne węży, było też mnóstwo skór dzikich zwierząt. Sądziliśmy, że w pobliżu znajdziemy jakieś wsie, w których przy tak dogodnym porcie byłoby dobrze się osiedlić, ale okazało się przeciwnie — okolica była niemal bezludna, a czcicielami tych bożków bywali kupcy i myśliwi, którzy w przejeździe wpływali do tego portu i składali ofiary. Znajdowało się tam wiele kryjówek sarn i królików, z pomocą charcicy zabiliśmy trzy sarny i dużo królików. Kiedy wszystko zbadaliśmy i zwiedzili, zawróciliśmy na okręty, ale charcica tam została. Marynarze nazwali owo miejsce Puerto de Terminos.

*

Płynęliśmy wzdłuż brzegów ku zachodowi we dnie, bowiem nocą nie odważaliśmy się, lękając się mielizn i skał. Po trzech dniach ujrzeliśmy ujście rzeki bardzo szerokie, podpłynęliśmy bliżej, bo zdawało się nam to dobrym portem, ale zbliżywszy się dostrzegliśmy przed nim mielizny, więc spuściliśmy łodzie i sondując wodę przekonaliśmy się, że dwa większe okręty nie będą mogły wejść do portu. W tym stanie rzeczy postanowiliśmy zakotwiczyć je na morzu, a na dwóch mniejszych okrętach i na łodziach podpłynęliśmy ku ujściu ze wszystkimi żołnierzami, w pirogach przy brzegu widzieliśmy bowiem, podobnie jak w Potonchanie, licznych Indian uzbrojonych w łuki i strzały oraz wszelką inną broń. Wnieśliśmy stąd, że

w pobliżu musi znajdować się jakaś większa osada. Widzieliśmy również, płynąc wzdłuż brzegów, zarzucone na połów sieci. Rzeka ta zwie się Tabasco, bowiem kacyk owej miejscowości zowie się Tabasco, ale ponieważ odkrywcą był Juan de Grijalva, nazwaliśmy tę rzekę Grijalva, i tak jest na mapach żeglarskich.

Wróćmy jednak do naszej opowieści. Kiedy zbliżyliśmy się na pół mili do osady, usłyszeliśmy wielki łomot rąbanych drzew, z których Indianie budowali umocnienia i palisady, zapewne przygotowując się do walki z nami, skoro to spostrzeżliśmy, zesłiliśmy na ląd w miejscu, gdzie był mały gaj palmowy, około pół mili odległy od osady. Ledwie Indianie nas dostrzegli, zbliżyło się około pięćdziesięciu łodzi z uzbrojonymi wojownikami. W załomach rzeki, w pewnym oddaleniu, nie śmiejąc się zbliżyć, stało mnóstwo innych łodzi pełnych wojowników. Widząc to, byliśmy już gotowi do strzelania z kusz i rusznic, ale dzięki Bogu najpierw zdecydowaliśmy się porozumieć z nimi. Przez Juliana i Melchiora, którzy dobrze język ich znali, zapewniliśmy ich, że nie mają się czego lękać, bo chcemy im powiedzieć coś, czego wysłuchawszy, chwalić sobie będą nasze przybycie do ich domów, chcemy im także dać przedmioty przez nas przywiezione. Zrozumieli przemowę, podpłynęły do nas cztery łodzie z około trzydziestu wojownikami i zaraz pokazaliśmy im naszyjniki z zielonych paciorków i zwierciadelka, i niebieskie kryształy. Skoro tylko to zobaczyli, zdawało się, że się udobruchali, byli bowiem pewni, że są to *chalchiuis*, bardzo przez nich cenione.

Wówczas dowódca za pośrednictwem Juliana i Melchiora oznajmił im, że przybywamy z odległych ziem i jesteśmy wasalami wielkiego cesarza, imieniem don Carlos, który za wasalów ma wielkich panów i kacyków, i że powinni go uznać za pana, a bardzo dobrze na tym wyjdą, oraz aby w zamian za paciorki dali nam żywność i kury. Odpowiedziało dwóch spośród nich, z których jeden był naczelnikiem, a drugi kapłanem, że dadzą nam żywność i wymienią swoje rzeczy na nasze, ale że władcę mają własnego, my zaś teraz nagle przybywamy i chcemy im narzucić pana nie znając ich, powinniśmy się tedy mieć na baczności, gdyż gotowi wystąpić przeciw nam zbrojnie, jak w Potonchanie, mają bowiem trzy *xiquipiles* wojowników ściągniętych ze wszystkich okolic przeciw nam, a każdy *xiquipil* liczy osiem tysięcy ludzi. Powiedzieli też, że dobrze wiedzą, iż kilka dni temu w Potonchanie zabiliśmy i ranili ponad dwustu ludzi, ale że oni nie są tak słabi jak tamci i dlatego wyszli rozmówić się z nami, aby wiedzieć, czego chcemy. To, co im powiemy, powtórzą kacykom licznych wsi, zgromadzonym na naradę w sprawie wojny czy pokoju. Zaraz więc nasz dowódca uściskał ich na znak pokoju, dał im kilka naszyjników z paciorków i polecił, aby co rychlej powrócili z odpowiedzią, oznajmił także, że jeśli nie powrócą, będziemy zmuszeni udać się do ich wsi, choć nie mamy zamiaru im szkodzić.

Następnego dnia z gaju palmowego, gdzie rozłożyliśmy się, ujraliśmy ponad trzydziestu Indian, a wśród nich kacyka — nieśli pieczone ryby i kury, owoce *zapote* i chleb kukurydziany oraz kilka mis z węglami i kadzidłem. Okadzili nas wszystkich, po czym na ziemi rozścielili trzcinowe maty, które tam nazywają *petates*, na nich derkę, a na niej ułożyli rozmaite ozdoby ze złota, jedna na kształt diademów, inne kaczuszek podobnych do kastylskich, jeszcze inne na kształt jaszczureczek, trzy naszyjniki z pustych kolorowych perełek oraz inne przedmioty złote małej wartości, niewarte nawet dwustu pesos. Przynieśli też opończe i opaski, jakie sami noszą, i prosili, abyśmy to chętnym sercem przyjęli, nie mają bowiem więcej złota, aby nam ofiarować, ale tam gdzie zachodzi słońce, jest jego wiele, mówili: Culua, Culua i México, México, a my nie wiedzieliśmy ani, co to jest Culua, ani México. I chociaż dary nie były wiele warte, wielkim zyskiem dla nas była wiadomość, że złoto istnieje. Dowódca Juan de Grijalva podziękował im za dary i ofiarował zielone paciorki, postanowiliśmy jak najrychlej wrócić na okręty, którym groziło wielkie niebezpieczeństwo z powodu zrywającego się północnego wiatru, a także chcieliśmy zbliżyć się do okolic, gdzie, jak powiadali, znajduje się złoto.

*

Wróciwszy na okręty, płynęliśmy wzdłuż wybrzeży i po dwu dniach ujraliśmy na lądzie miejscowość zwaną Ayagualulco. Na wybrzeżu przechadzało się wielu Indian z tarczami z żółwiej skorupy, która tak lśniła w słońcu, że niektórzy z naszych żołnierzy upierali się, iż musi być z taniego złota. Indianie ci kroczyli boso, jakby kpiąc ze statków, bezpieczni na piaskach wybrzeża. Nadaliśmy tej miejscowości nazwę La Rambla i tak jest oznaczona na mapach żeglarskich. Posuwając się dalej wzdłuż brzegów, ujraliśmy zatokę, do której wpada rzeka Tonalá.

Wkrótce znaleźliśmy się w pobliżu wielkiej rzeki Guazacualco. Mieliśmy ochotę wejść do jej ujścia, aby ją bliżej zbadać, ale pogoda była przeciwna. Zaraz potem ukazały się wysokie, śnieżne góry, które przez cały rok pokryte są śniegiem, a także inne góry, tuż nad morzem, te nazywają się San Martín. Nadaliśmy im tę nazwę, bowiem pierwszym, który je z okrętu zobaczył, był żołnierz imieniem Martín, wieśniak z Hawany, który z nami się wyprawił. Kiedy płynęliśmy dalej, kapitan Pedro de Alvarado wyprzedził nas i okręt jego wszedł na rzekę, która przez Indian nazywana jest Papaloaba, nadaliśmy jej wtedy nazwę Alvarado, jako że pierwszym, który na nią wpłynął, był Alvarado. Rybacy indiańscy, pochodzący ze wsi Tacotalpa, dali mu ryby. My czekaliśmy z pozostałymi trzema okrętami w okolicy tej rzeki na jego powrót, a ponieważ wyruszył on tam bez pozwolenia naczelnego dowódcy, ten rozgniewał się bardzo i nakazał, aby nigdy

nie oddalał się od armady, bowiem spotkać go może zła przygoda, a my nie będziemy w stanie mu pomóc.

W okolicy innej rzeki, którą nazwaliśmy Rio de Banderas, widzieliśmy Indian wymachujących długimi dzidami z płóciennymi proporczykami i — zrozumieliśmy, że nas przywołują.

*

Już w Hiszpanii słyszałem od ciekawych czytelników i osób, które były w Nowej Hiszpanii, że miasto Meksyk jest wielkie i ludne, położone na wodzie, podobnie jak Wenecja. Że ma tam siedzibę wielki władca, król tych licznych prowincji, który rządzi ziemiami całej Nowej Hiszpanii, dwa razy rozleglejszej od naszej Kastylii. Ten władca zwie się Montezuma, a będąc tak potężny, chce o wszystkim wiedzieć i ogarnąć więcej, niżby zdołał. Miał on już wieść o naszej pierwszej wyprawie z Franciskiem Hernandezem de Cordoba, wiedział o tym, co się nam wydarzyło w bitwie u przylądka Cotoche, oraz o jednej i drugiej nieudanych bitwach pod Potonchanem, wiedział, że niewielka garstka naszych żołnierzy zwyciężyła tubylców i licznych sprzymierzeńców, którzy się do nich przyłączyli. Wiedział, że weszliśmy w ujście rzeki Tabasco i jak postąpiliśmy z zebranymi tam kacykami, w końcu zrozumiał, że celem naszym było poszukiwanie złota i zamiana na nie przedmiotów przez nas przywiezionych. Wszystko to przedstawiono mu wymalowane na tkaninie z pity*, podobnej do lnu. Ponieważ wiedział, że płyniemy wzdłuż wybrzeży ku jego prowincjom, rozkazał swym namiestnikom, by, o ile tam przybijemy, mieli przygotowane złoto do zamiany na nasze paciorki, zwłaszcza zielone, które wydawały się podobne do *chalchuis*, cenionych przez nich na równi ze szmaragdami, rozkazał też dowiedzieć się szczegółów o naszych osobach i naszych zamiarach. Jak słyszeliśmy, wedle przepowiedni uczynionej jego przodkom, od wschodu słońca mieli przybyć brodaci ludzie i zapanować nad tymi ziemiami.

Czy z tej, czy z owej przyczyny wzdłuż rzeki stały posterunki i liczne straże Indian wielkiego Montezumy z długimi dzidami, do których uczone były płócienne białe chorągiewki, powiewali nimi, przywołując nas na znak pokoju i zapraszając, abyśmy się zbliżyli. Kiedy z okrętów ujrzeliśmy tak niezwykle rzeczy, zdziwiliśmy się, i aby się dowiedzieć, co by to być mogło, za zgodą naczelnego dowódcy oraz innych oficerów spuściliśmy dwie łodzie na wodę wraz ze wszystkimi kusznikami i muszkietierami oraz z dwudziestoma spośród najlepszych i najszybszych żołnierzy, a z nami miał się udać Francisco de Montejo. Bogu dzięki była wtedy na wybrzeżu

* Tkanina z pity — tkanina z włókien agawy

piękna pogoda, co się tam ponoć rzadko zdarza. Kiedy wylądowaliśmy, zastaliśmy trzech kacyków, a między nimi namiestnika Montezumy wraz z licznymi Indianami świty. Przynieśli oni kury i chleb kukurydziany, jaki jadać zwykli, oraz owoce, ananasy i *zapote*, które gdzie indziej nazywają *mameyes*. Czekali w cieniu drzew, rozłożywszy maty na ziemi, i zapraszali na migi, abyśmy usiedli, bowiem Julian z przylądka Cotoche nie rozumiał owego języka meksykańskiego, po czym zaraz przynieśli misy z węglami i okadzili nas żywicą.

Kapitan Montejo przedłożył wszystko, co tu opisałem, naczelnemu dowódcy, a ten postanowił zakotwiczyć okręty w tym miejscu. Zszedł na ląd z oficerami i żołnierzami. Kiedy kacykowie i namiestnicy ujrzeli go na łodzi i pojęli, że jest to naczelnny dowódca, przyjęli go uroczyście, wedle swego obyczaju, on zaś świadczył im rozmaite grzeczności, kazał rozdać niebieskie kryształy i zielone paciorki, i na migi polecił, aby przynieśli złoto na zamianę. W ciągu sześciu dni, jakie tam spędziliśmy, przynieśli ponad szesnaście tysięcy pesos w klejnotach z taniego złota oraz w najrozmaitszych wyrobach.

Wzięliśmy ową ziemię w posiadanie dla Jego Królewskiej Mości, a w króla imieniu dla gubernatora Kuby Diega Velazqueza. Stamtąd zabraliśmy na okręty Indianina, który stał się chrześcijaninem i nazywa się Francisco.

Kiedy naczelnny dowódca zobaczył, że więcej złota nie przynoszą, a upłynęło sześć dni naszego tam pobytu i okrętom groziło niebezpieczeństwo w postaci północnego i północno-wschodniego wichru, kazał nam wrócić na okręty. Płynąc wzdłuż brzegów, ujrzeliśmy wysepkę, którą zewsząd omywało morze, wysepka miała, jak się zdawało, trzy mile i białutki piasek, nadaliśmy jej nazwę Isla Blanca, i tak jest na mapach żeglugi. Dalej ujrzeliśmy inną wyspę, z zielonymi drzewami, odległą od lądu o cztery mile, i nadaliśmy jej nazwę Isla Verda. Płynąc dalej spotkaliśmy jeszcze jedną wyspę, nieco większą od tamtych, dowódca rozkazał zakotwiczyć. Spuściliśmy łodzie na wodę i Juan de Grijalva wyruszył z żołnierzami na zwiedzenie wyspy, widział bowiem unoszące się nad nią dymy. Znaleźliśmy budynki murowane z pięknymi rzeźbami, przed każdym schody wiodące do swego rodzaju ołtarzy, na których stały bałwany o potwornych obliczach — były to ich bożki. Wewnątrz tych świątyń znaleźliśmy pięciu Indian ostatniej nocy zabitych na ofiarę, mieli rozcięte piersi, ucięte ramiona i nogi, a pomieszczenia były pełne krwi. Wszystkiemu dziwowaliśmy się bardzo i nadaliśmy tej wysepce nazwę Isla de Sacrificios, tak znaczona jest na mapach żeglarskich. Naprzeciw owej wyspy wysiedliśmy wszyscy na szerokim wybrzeżu, skleciliśmy namioty i szałas z wioseł i żagli. Tam, podobnie jak nad Rio de Banderas, nadpłynęło trochę Indian, przynosząc na zamianę złoto i drobiazgi. Dowiedzieliśmy się potem, że to wielki Montezuma rozkazał im przynieść złoto.

Byli bardzo strwożeni i nieliczni, a złota było niewiele. Przeważnie nasz dowódca kazał podnieść kotwice i rozwinąć żagle. Z kolei przybyliśmy do innej wysepki, odległej około pół mili od wybrzeża. Jest to owa wyspa, na której obecnie leży port Vera Cruz.

*

Zeszliśmy z okrętów na piaszczyste wybrzeże, wydmy były tam bardzo wysokie, na najwyższej z nich skłeciliśmy szałas, aby uchronić się od moskitów, których w tej okolicy było mnóstwo. Łodzie dopływały łatwo do przystani, wyspa chroniła okręty od wiatru północnego, a głębina była wystarczająca. Było nas na tej wysepce wraz z dowódcą trzydziestu żołnierzy dobrze uzbrojonych. Znaleźliśmy tam świątynię w której stał bożek ogromny i szkaradny, zwali go Tezcatepuca. Otaczało go czterech Indian w bardzo długich czarnych opończach z kapturami podobnymi do tych jakie noszą dominikanie lub kanonicy. Byli to kapłani owego bożka, którzy właśnie tego dnia ofiarowali mu dwóch młodzianków, otwarłszy im piersi. Owi kapłani zbliżyli się, aby nas okadzić podobnie jak okadzali tego swego Tezcatepukę, nie pozwoliliśmy jednak na to — zbyt byliśmy wstrząśnięci widokiem owych zabitych młodzieńców i tak straszliwym okrucieństwem. Naczelną dowódca zapytał Indianina Franciska, którego zabraliśmy z nad Rio de Banderas, z jakiego powodu tak postąpili. Ten odpowiedział, że to ludzie z Culua zarządzili tę ofiarę, a jako wyrażał się z trudem, powtarzał Ulua, Ulua. Zważywszy, że nasz dowódca miał na imię Juan i właśnie był dzień świętego Jana nadaliśmy tej wysepce nazwę San Juan de Ulua. Dziś jest to sławny port.

Pozostaliśmy na tej wysepce dni siedem, gdyż dłużej z powodu moskitów nie mogliśmy wytrzymać, a także przekonaliśmy się, że owa ziemia nie była wcale wyspą, tylko lądem stałym, były na niej wielkie miasta i ogromne mnóstwo Indian, a my nie mieliśmy dosyć żołnierzy, aby ich tam osiedlić, tym bardziej że trzynastu zmarło z ran, a czterech innych było chorych. Postanowiono wysłać wieść do Diego Velazqueza, aby nam przysłał pomoc i zgodziliśmy się, że popłynie kapitan Pedro de Alvarado na doskonałym okręcie zwanym "San Sebastian".

Jak Diego Velazquez, gubernator Kuby, wysłał okręt na poszukiwanie nas i co się później stało, o wyprawie na prowincję Panuco oraz o innych sprawach

Od kiedy opuściliśmy Kubę z kapitanem de Grijalva, gubernator Diego Velazquez troszczył się często o to, czy nie spotkało nas jakieś nieszczęście, i rad był dowiedzieć się czegokolwiek o nas. Wysłał on przeto na nasze poszukiwanie mały okręt z pewną liczbą żołnierzy pod wodzą wybitnego i dzielnego Cristobala de Olid. Tego, gdy zatrzymał się w okolicy ziemi Jukatan, spotkała silna burza i aby nie zatonać, pilot jego okrętu polecił przeciąć liny, straciwszy kotwicę, zawrócili do Santiago de Cuba, gdzie bawił Diego Velazquez. Gubernator, zanim wysłał Cristobala de Olid, martwił się, że nie ma o nas wieści, jednak znacznie bardziej się zatroskał, kiedy de Olid powrócił w takim stanie. W tym właśnie czasie przybył na Kubę kapitan Pedro de Alvarado ze złotem, strojami i chorymi, a także z opowieścią o tym, co odkryliśmy. Kiedy gubernator zobaczył przywiezione przez Pedra de Alvarado złoto, którego, jako że były to klejnoty, wydawało się więcej, niż było w istocie, a znajdowali się tam podówczas liczni obywatele miasta oraz przybyli w rozmaitych sprawach z innych stron — wszyscy zdumiewali się, jak bogate odkryliśmy ziemie (bowiem Peru zostało odkryte dopiero w dziesięć lat później). Pedro de Alvarado dobrze umiał opowiadać, toteż Diego Velazquez brał go ustawicznie w ramiona i przez tydzień cały trwały wielkie zabawy i igrzyska.

*

Tymczasem my, płynąc dalej, dotarliśmy do ujścia wielkiej i bystrej rzeki, którą nazwaliśmy Rio de Canoas. Kiedy zakotwiczyszy wszystkie okręty, beztrósco zatrzymaliśmy się, napłynęło w dół rzeki około dwudziestu wielkich pirog, pełnych indiańskich wojowników z łukami, strzałami, dzidami, i atakując okręt, który wydał im się najmniejszy i najbliższy lądu, a którego kapitanem był Francisco de Montejo, tak go zasypali strzałami, że zabili mu pięciu żołnierzy, zarzucili liny na statek, chcąc go skaperować, a nawet siekierami z brązu odcięli kotwicę. Kapitan i żołnierze walczyli dzielnie i przewrócili trzy pirogi, my zaś spiesznie pomagaliśmy im z naszych okrętów, strzelając z kusz i muszkietów, i zraniliśmy trzecią część owych ludzi. Zaraz też podnieśliśmy kotwicę i rozwinęli żagle, i popłynęliśmy wzdłuż wybrzeży aż do wielkiego przylądka, który trudno było opłynąć, bo mnóstwo prądów nie pozwalało nam się posuwać. Pilot

Anton Alaminos oświadczył dowódcy, że przez te złe drogi nie godzi się żeglować i podał wiele ku temu racji.

Zaraz też odbyliśmy naradę, co należy czynić, i zgodziliśmy się, aby zawrócić na wyspę Kubę także i dlatego, że zbliżała się zima, że nie mieliśmy odpowiednich zapasów, jeden z okrętów przepuszczał wodę i wszyscy byliśmy bardzo utrudzeni tą morską podróżą. Zawróciliśmy przeto i dzięki pomyślnym prądom po kilku dniach zawinęliśmy w okolice wielkiej rzeki Guazacualco, lecz nie mogliśmy wejść w jej ujście z powodu złej pogody, za to weszliśmy wzdłuż ciasnych brzegów w ujście rzeki Tonali, odtąd zwanej San Anton. Kiedy zatrzymaliśmy się, nadeszło wielu Indian z miasta Tonali, oddalonego o milę stamtąd, i czyniąc pokojowe znaki, przynieśli nam chleb kukurydziany, ryby, owoce, które z życzliwością nam ofiarowali. Kapitan przyjął ich bardzo uprzejmie, kazał im dać zielone paciorki i kryształki, i na migi polecił im przynieść złoto do zamiany na nasze przedmioty. Przynieśli więc klejnoty z lichego złota i daliśmy im za to paciorki. Przybyli również owi z Guazacualco oraz z innych sąsiednich wsi i znosili swoje klejnoty, ale nie było ich wiele. Oprócz tych rzeczy znosili Indianie na zamianę topory z lśniącego brązu, bardzo piękne i ozdobne, ze styliskiem z malowanego drzewa, zaś my, mniemając, że są one ze złota, zaczęliśmy je wymieniać. W ciągu trzech dni nazbieraliśmy ponad sześćset toporów i byliśmy bardzo zadowoleni, zaś Indianie jeszcze bardziej uradowani paciorkami. Zaraz też wsiedliśmy na okręty, by odpłynąć na Kubę. Po czterdziestu pięciu dniach, raz przy pogodzie, raz w burzliwy czas, przybyliśmy do Santiago de Cuba, gdzie Diego Velazquez przywitał nas z radością, a kiedy ujrzał złoto, jakie przywieźliśmy, ocenił je na cztery tysiące pesos, zaś to, które był przywiózł Pedro de Alvarado, na dwadzieścia tysięcy, inni twierdzili, że warte było więcej. Poborcy Jego Królewskiej Mości pobrali królewską kwintę.

Diego Velazquez posłał do Hiszpanii pismo, aby Jego Królewska Mość dał pozwolenie na zajmowanie, zdobywanie i zaludnianie nowych ziem oraz rozdzielanie ziemi przez nas odkrytej.

*

Kiedy pisałem tę moją kronikę, wpadło mi w ręce, co piszą o podbojach Meksyku i Nowej Hiszpanii Gomara, Illescas i Jovio. Kiedy to przeczytałem i poznałem ich wytworność, zdałem sobie sprawę, że moje słowa nieokrzese są i głupie, a wobec tego, że istnieją tak dobre kroniki, zaniechałem pisania swojej. W tej myśli wziąłem się do czytania i podziwiania słów i zdań, w jakich opowiadają, jednak od początku do końca źle przedstawili to, co się działo w Nowej Hiszpanii. Kiedy zaczynają opowiadać o wielkich miastach, o tak licznej w nich ludności, wszystko im jedno,

czy napiszą osiemdziesiąt, czy osiem tysięcy, kiedy mówią o rzeziach, jakie wedle nich mieliśmy urządzać, niech zważą, że z naszej strony walczyło czterystu pięćdziesięciu żołnierzy i że usilnie musieliśmy się bronić, aby nas nie wybili do nogi i nie pokonali, choćby nawet Indianie byli nieudolni, nie mogliśmy tylu zabić, zważywszy, że mieli swoje pancerze z bawełny osłaniające całe ciało, mieli łuki, strzały, tarcze, wielkie dzidy, miecze obosieczne z obsydianu, które tną lepiej niż nasze szpady, byli przy tym znakomitymi wojownikami. Piszą owi kronikarze, wspomniani przeze mnie, że rozsiewaliśmy tyle śmierci i dopuszczaliśmy się takich okrucieństw, że Atalaryk, najdzikszy z królów, że Attyła, zuchwały wojownik na polach katalońskich, tyle ludzi nie zabili. Mówią, że burzyliśmy i palili liczne miasta i świątynie, zwane tam *cues*. Prawdziwi konkwistadorzy i wnikliwi czytelnicy, którzy wiedzą, jak się rzeczy miały, łatwo dojdą do wniosku, że jeżeli wszystko, co ci kronikarze piszą o innych sprawach, jest tak prawdziwe jak to, co piszą o Nowej Hiszpanii, wszystko to jest kłamstwem. Najlepsze jest, że wynoszą jednych oficerów, a poniżają drugich, o takich, którzy nie brali udziału w podboju, mówią, że walczyli, opowiadają także inne rzeczy podobnej wartości, a że jest tego mnóstwo i we wszystkim się mylą, nie prostuję tych błędów. Jeszcze rzecz gorszą powiadają, a mianowicie, że Korteż kazał potajemnie zatopić okręty, a nie jest to tak, bo stało się to za radą większości żołnierzy, na oczach wszystkich, i po to, aby marynarze mogli nam pomagać przy stróżowaniu i wojowaniu. We wszystkim, co piszą, bredzą. I na cóż ja psuję papier i inkaust pisząc o tych wszystkich rzeczach? Przeklinam ich, choć mają piękny styl.

Rozważywszy to wszystko, powróciłem do pisania mej relacji, bowiem prawdziwą wytwornością i pięknem jest pisać prawdę. Wiemy, że prawda jest rzeczą błogosławioną i świętą.

Księga trzecia

WYPRAWY POD WODZĄ KORTEZA

6

Jak powróciliśmy na ziemię nowo odkryte z inną flotą, pod wodzą kapitana dzielnego i nieustraszonego, Hernando Korteza, który z czasem miał zostać markizem del Valle

Kiedy przybył na Kubę kapitan Juan de Grijalva i gubernator Diego Velazquez przekonał się, że są to ziemie bogate, polecił wysłać tam silną armadę, znacznie większą niż poprzednia, przygotował dla niej dziesięć okrętów w porcie Santiago de Cuba, cztery z nich były odnowionymi okrętami, na których powróciliśmy z Juanem de Grijalva. Wiele było sporów i nieprzyjemności przy przygotowywaniu owej wyprawy, bowiem jedni szlachcice uważali, że dowództwo należy powierzyć bliskiemu krewniakowi hrabiego de Ferias, którym był Vasco Porcallo, inni mówili, że należy wysłać Augustina Bermudeza lub Antonia Velazqueza Borregę albo też Bernardina Velazqueza — wszystkich spokrewnionych z gubernatorem. My zaś, prawie wszyscy żołnierze, którzy znajdowaliśmy się tam, żądaliśmy, aby powrócił Juan de Grijalva, był to bowiem wódz dobry, który umiał rozkazywać, i nie masz skazy na jego osobie.

Tymczasem dwaj zaufani Diego Velazqueza, Andrés de Duero, sekretarz gubernatora, i Amador de Lares, rachmistrz Jego Królewskiej Mości, potajemnie zważali się z pewnym szlachcicem, nazwiskiem Hernando Korteza, pochodzącym z Medellinu. Posiadał on na Kubie przydział Indian i niedawno poślubił donę Catalinę Suarez la Marcaida.

Ułożyli zatem owi zauszniczy Diego Velazqueza, że postarają się, aby naczelne dowództwo floty uzyskał Hernando Korteza, a dzielić będą we trójkę pomiędzy siebie złoto i srebro przypadające na Korteza. Bowiem naonczas Diego Velazquez wysyłał wyprawę raczej dla zdobycia złota, a nie na osiedlenie, jak dowiedzieliśmy się później z instrukcji, jakie im dał, choć ogłaszał i rozpowszechniał wieść, że wysyła ich na osiedlenie.

Porozumiawszy się w ten sposób, Duero i rachmistrz długo namawiali Diega Velazqueza, w wymownych i słodkich słowach wychwalając Korteza,

o którym mówili, że jest jakby stworzony na wodza, bo poza tym, że jest bardzo mężny, umie rozkazywać i utrzymywać karność, a także będzie wierny gubernatorowi we wszystkim, co on mu rozkaże, jest zresztą jakby jego chrześniakiem, bowiem Diego Velazquez był mu świadkiem w czasie jego ślubu z Cataliną. W końcu przekonali go i Korteza został mianowany naczelnym wodzem, a sekretarz Andrés de Duero przygotował upoważnienia i pełnomocnictwa, tak jak sobie Korteza życzył, bardzo szerokie, „najpiękniejszym atramentem” — jak mawiano. Kiedy ogłoszono wybór Korteza, jedni byli zadowoleni, innym się to nie podobało.

Pewnej niedzieli, kiedy Diego Velazquez szedł na mszę w otoczeniu najwybitniejszych obywateli miasta, mając Korteza po prawicy, aby go uczcić — trefniś, zwany Cervantes Szalony, wyskakiwał przed nim, błaznując: „Raduj się, raduj się, panie mój, Diego! Och Diego, och Diego! Jakiego żeś wodza wybrał! Pochodzi z Medellinu z Estramadury, wielki szczęściarz, ale, o Diego, boję się, aby nie porwał ci floty!” I inne jeszcze głupstwa powiadał, a wszystkie złośliwe. Kiedy tak szedł błaznując, Andrés de Duero, idący obok Diega Velazqueza, bił go po głowie, mówiąc: „Zamilcz, pijaku, wariacie, nie bądź tak bezczelny! Wiemy dobrze, że nie twoim wymysłem są owe złośliwości pod pokrywką żartów”. Ale wariat, choć bity po głowie, szedł dalej, wołając: „Niech żyje, niech żyje radość mego pana, Diega, i jego szczęśliwego wodza! Przysięgam, mój panie Diego, że aby nie oglądać ciebie oplakującego głupstwo, któreś popełnił, chcę raczej wybrać się z nim do owych bogatych ziem!” Uważano, że to któryś z Valazquezów, krewniaków gubernatora, dał temu głupkowi kilka złotych pesos, aby pod pokrywką żartów mówił te złośliwości, ale zaiste wszystko spełniło się, jak powiadał. W słowach szaleńców czasem kryje się prawda.

Zaiste, Hernando Korteza został wybrany, aby szerzyć naszą świętą wiarę i służyć Jego Królewskiej Mości.

Chcę rzec, jak dzielnym i bohaterskim szlachcicem był Hernando Korteza, po czterokroć dobrze urodzony.* A dlatego że był tak mężnym i bohaterskim, i szczęśliwym wodzem nie nazywano go następnie żadnym z przydomków — dzielny, bohaterski ani markiz del Velle — ale po prostu Hernando Korteza; bowiem tak cenione i tak wielką czcią otoczone było samo nazwisko Korteza, zarówno w całych Indiach, jak w Hiszpanii, jak ongi było cenione imię Aleksandra Macedońskiego, wśród Rzymian Juliusza Cezara, Pompejusza, Scypiona, pomiędzy Kartagińczykami Hannibala, a w naszej ojczyźnie, Kastylii, Gonzala Hernandeza, „Wielkiego Wodza”.

* Korteza był potomkiem szlacheckich rodów Kortezów, Pizarrów, Monroysów i Altamiranosów.

*

Kiedy Hernando Korteż został wybrany naczelnym dowódcą, jak powiedziałem, zaczął gromadzić rozmaitego rodzaju broń, więc strzelby, proch, muszkiety oraz wszelkie inne rzeczy, jakie mogą być potrzebne do uzbrojenia czy na zamianę, szukał także żywności oraz wszelkich rzeczy zdatnych w czasie podróży. Poza tym zaczął stroić i upiększać własną osobę jeszcze bardziej niż poprzednio, przystroił się w pióropusz, medal na złotym łańcuchu, w suknię z aksamitu usianą złotymi guzami, wszystko, co dzielnemu i bohaterskiemu wodzowi przystoi. Jednak na te wydatki pieniędzy nie miał, bowiem podówczas był bardzo zadłużony i w potrzebie; chociaż miał dobre przydziały Indian i wydobywał złoto z kopalni, ale wszystko zmarnotrawił dla siebie oraz na stroje swojej żony, niedawno poślubionej, oraz na gości, którzy go stale otaczali, był bowiem miły w rozmowie i przyjemnego usposobienia. Dwakroć był już burmistrzem miasta San Juan de Baracoa, gdzie mieszkał, co w owych stronach uważane jest za wielki zaszczyt. Skoro pewni kupcy jemu przyjaźni dowiedzieli się, że została mu powierzona godność naczelnego dowódcy, pożyczili mu cztery tysiące złotych pesos oraz dali drugie tyle w towarach na poczet jego Indian, na posiadłości i zastawy. Zaraz też kazał wykonać sztandary i chorągwie haftowane złotem, i herbami królewskimi, z krzyżem po każdej stronie i napisem głoszącym: „Bracia i towarzysze, pójdźmy za owym znakiem Krzyża Świętego, z wiarą prawdziwą, a przezeń zwyciężymy”. Natychmiast też wydał manifesty i kazał dać w trąby i bić w bębny w imieniu Jego Królewskiej Mości i jego gubernatora Diega Velazqueza oraz w swoim, naczelnego dowódcy, i obwieścił, że każdemu, kto zechce pójść pod jego znakiem ku ziemiom nowo odkrytym, zdobywać je i zasiedlać, przydzielona będzie należna mu część złota i srebra oraz bogactwa, jakie tam się znajdują, a także po pacyfikacji władza nad Indianami, i że na to ma zezwolenie Diega Velazqueza i Jego Królewskiej Mości.

Kiedy wieść ta rozniosła się po wyspie Kubie — równocześnie Korteż pisał do wszystkich miast, do swoich przyjaciół, aby przygotowywali się na wyprawę z nim — jedni zaraz sprzedawali swoje posiadłości, aby zakupić broń i konie, inni — aby przygotować chleb z manioku oraz wędzone mięso na wyprawę; pikowali bawełniane pancerze, zaopatrywali się we wszystko, czego potrzebować mogli. Tak że w Santiago de Cuba, skąd wypłynęliśmy, zebrało się nas ponad trzystu pięćdziesięciu żołnierzy. Z samego domu Diega Velazqueza, oprócz innych, poszedł jego majordomo Diego de Ordaz — Velazquez wysłał go, aby na wszystko miał pozór i ucho w czasie wyprawy, nie ufał bowiem Korteżowi i chociaż nie dawał tego poznać po sobie, lękał się, aby się on nie zbuntował.

Już wydano rozkazy i zlecenia kapitanom, pilotom oraz wszystkim żołnierzom, żeby tego a tego dnia i tej a tej nocy byli gotowi zaokrętować

się, aby nikt nie został na lądzie. A kiedy wszyscy siedli na okręty Korteż poszedł pożegnać Diega Velazqueza, a towarzyszyło mu kilku wielkich przyjaciół oraz liczni inni szlachcice, wszyscy najprzedniejsi obywatele tego miasta.

Nazajutrz rano po wysłuchaniu mszy siedliśmy na okręty w obecności samego Diega Velazqueza, rozwinęliśmy żagle i przy pogodzie dopłynęliśmy do portu Trinidad. Wszedłszy do portu, zeszliśmy na ląd przywitać wszystkich obywateli miasta, którzy wyszli nam naprzeciw i witali nas uroczyście.

*

Korteż zaraz polecił wywiesić swój sztandar i królewską chorągiew nad swoim mieszkaniem i roztrąbić ogłoszenie, podobnie jak to uczynił w Santiago. Polecił też zakupić rozmaitego rodzaju broń oraz inne rzeczy potrzebne i prowianty. Z owego miasta wyszło pięciu braci: de Alvarado, Pedro, Jorge, Gomez, Gonzalo i stary Juan, bastard. Podobnie z tego miasta wyszedł Alonso de Avila, kapitan z wyprawy Juana de Grijalva, i Juan Escalante, i Pedro Sánchez Farfan, i Gonzalo Mexia, który później był skarbnikiem w Meksyku, a także niejaki Baena i Joanes de Fuenterrabia, i dobry jeździec Lares, i bardzo dzielny Cristobal de Olid, który w czasie wojny meksykańskiej był oboźnym, oraz inni szlachcice, których imion nie pomnę, a wszyscy wielkiego rodu. Z Trinidad napisał Korteż do miasta Santispiritus, oznajmiając wszystkim mieszkańcom, że udaje się na wyprawę w służbie Jego Królewskiej Mości, w wymownych słowach zachęcając licznych obywateli szlachetnego rodu, jak Alonsa Hernandeza Puerto Carrero, krewniaka hrabiego Medellinu, Gonzala de Sandoval, który później był w Meksyku najwyższym alguacilem, a nawet przez osiem miesięcy był gubernatorem Nowej Hiszpanii, zgłosił się też Juan Velazquez de Leon i Rodryg Rangel, i Gonzalo Lopez de Ximena, i brat jego, i niejaki Juan Sedeño. Ów Juan Sedeño, bogaty mieszczanin z Hawany, wpłynął właśnie do portu z okrętem załadowanym chlebem maniokowym i słoniną, przeznaczonymi dla kopalń złota znajdujących się w pobliżu. Zeszedłszy na ląd, Juan Sedeño udał się, by złożyć uszanowanie Korteżowi i po wielu targach Korteż zakupił okręt i zapasy, a Sedeño przyłączył się do nas.

Kiedy Korteż dowiedział się, że ci panowie nadciągają, wyszedł z nami wszystkimi, którzyśmy mu towarzyszyli, i świadczył im wielką serdeczność, zaś oni mieli go w wielkim poważaniu.

Już mieliśmy jedenaście okrętów i wszystko układało się szczęśliwie. Dzięki za to niechaj będą Bogu.

*

Tymczasem liczni byli oszczercy, którzy tak oczernili Korteza wobec gubernatora, że ten odmienił zamiysł. Oskarżyli oni Korteza, że gotów się zbuntować i że ma zamiar po kryjomu opuścić port. Diego natychmiast wysłał dwóch zbrojnych ludzi, którym ufał, z rozkazem i zleceniami do naczelnika okręgu Trinidad, nazwiskiem Francisco Verdugo, oraz napisał listy do innych swoich przyjaciół i krewnych, aby zatrzymali Korteza i ujętego przywieźli, bowiem nie jest on już wodzem wyprawy — został odwołany, zaś Vasco Porcallo został mianowany na jego miejsce.

Kiedy się Kortez o tym dowiedział, przemówił do Ordaza i do Franciska Verdugo oraz do wszystkich żołnierzy i obywateli miasta Trinidad, którzy zdawali się być jemu przeciwni i sprzyjać zleceniom Velazqueza. Słowa jego były tak wymowne i tyle zawierały obietnic, że przeciągnął ich na swoją stronę, a nawet sam Diego de Ordaz natychmiast zwrócił się do Franciska Verdugo, naczelnika okręgu, aby o tej sprawie więcej mowy nie było, aby ją zatuszować, podniósłszy, że jak dotąd nie dostrzegli u Korteza żadnych nowych zamiśłów, że zawsze jest wiernym słuźką gubernatora. Jeśliby ktoś chciał zmusić go do porzucenia armady, niech wie, że ma on licznych przyjaciół wśród szlachty, niechętnej Diego Velazquezowi, bo nie dał im dobrych Indian, i że teraz Kortez rozporządza wielką liczbą żołnierzy i jest bardzo potężny. Mogłoby to wzniecić znaczne zamieszanie w mieście, gdyby przypadkiem jego żołnierze zaczęli je niszczyć i grabić. Tak więc sprawa uspokoiła się bez zamętu. Jeden ze zbrojnych, którzy przynieśli listy, przeszedł na naszą stronę, zaś przez drugiego Kortez napisał bardzo czuły list do Diega Velazqueza. Wyraził zdumienie, że jego miłość mógł powziąć takie postanowienie, i zapewnił go o swoim pragnieniu słuźenia Bogu, Jego Królewskiej Mości i temu, który rządzi w jego imieniu, błagał go, aby nie słucał więcej owych panów krewniaków, ani starego półgłówka, jakim jest Juan Millan.

Po czym rozkazał zaraz wszystkim żołnierzom przysposobić broń i wszystkim kowalom w mieście sporządzić groty do strzał. Pozostaliśmy w tym mieście dziesięć dni.

*

Skoro Kortez widział, że w mieście Trinidad nie mamy już na co czekać, polecił żołnierzom tam zebranych siać z nim na okręty stojące w porcie na południowym wybrzeżu. Pedrowi de Alvarado polecił udać się łądem z owego miasta Trinidad do Hawany, aby po drodze rekrutował żołnierzy rozmieszczonych tam po zagrodach, ja należałem do jego kompanii. Również zlecił Kortez, wielkiemu swemu przyjacielowi, aby na jednym

z okrętów popłynął północnym szlakiem, zaś wszystkie konie rozkazał pędzić łądem.

Kiedy to wszystko rozporządził, Korteż siadł na kapitański okręt i z wszystkimi innymi okrętami wypłynął w kierunku Hawany. Zdarzyło się, że te okręty jego flotylli z powodu ciemnej nocy nie dostrzegły okrętu Korteza i zawinęły same do portu. My również wraz z Pedrem de Alvarado dotarliśmy łądem, do miasta Hawany, okręt, na którym płynął Juan de Escalante północnym szlakiem, także tam zawinał; dotarły również konie idące łądem. Jedynie Korteza nie było i nikt nie mógł podać powodu. Przemineło pięć dni i nie było żadnej wiadomości o jego okręcie. Podejrzewaliśmy, że zabłąkał się wśród Jardines, w okolicy wyspy de Pinos, gdzie o dziesięć czy dwanaście mil od Hawany rozciągały się mielizny. Postanowiliśmy wszyscy wysłać trzy niewielkie okręty na poszukiwanie Korteza. A już od razu zaczęły się spory i kłótnie, kto miałby objąć dowództwo, póki wieść o Kortezie nie dojdzie. Istotnie Korteż, który — jak mówiłem — płynął największym okrętem, osiadł na płyciźnie w okolicy wyspy de Pinos, gdzie są liczne mielizny, i okręt nie mógł się poruszać. Rozakazał wówczas załadować wszystko, co się da, na łodzie i przewieźć na pobliski brzeg. A kiedy wyporność okrętu się zmniejszyła i mógł unosić się na wodzie, wypłynęli na głębię i wzięwszy ładunek z powrotem, rozwinęli żagle i zawinęli do portu Hawany. Prawie wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy go wypatrywali, uradowali się jego przybyciem z wyjątkiem niewielu, którym już roilo się dowództwo, ale wszystkie spory ustały.

Kiedy zakwaterowaliśmy się, kazał Korteż wydobyć sztandary i zatknąć je przed domem, który zajął. Kazał także zdjąć artylerię z okrętów, a było tego dziesięć armat z brązu i kilka śmigownic, i powierzył pieczę nad nim pewnemu artylerzyście, zwanemu Mesa, pewnemu Lawantyńczykowi, nazwiskiem Arbenga oraz Katalończykowi Juanowi. Podobnie także polecił przygotować kusze, liny, nastawy oraz pompy, a także kazał ćwiczyć się w strzelaniu do celu i obserwować nośność pocisków. A ponieważ na ziemiach Hawany było wiele bawełny, sporządziliśmy sobie pancerze dobrze wypchane i pikowane, przydatne pośród Indian, którzy posługują się oszczepami, strzałami, dzidami oraz kamieniami. Tam też, w Hawanie, zaczął Korteż formować swój dwór i zachowywać się jak władca. Pierwszym majordomo uczynił Guzmaną, który zmarł niebawem lub został przez Indian zabity. Nie mówię tu o dzielnym Cristobalu de Guzman, który był majordomo Korteza i w czasie bitwy o Meksyk dostał się do niewoli. Za pokojowca wziął Korteż Rodryga Rangela, a majordomo mianował Juana de Caceres, który po zdobyciu Meksyku stał się bogaczem. Ustanowiwszy to wszystko, wydał rozkaz zaokrętowania się oraz rozdzielenia koni na wszystkie okręty. Przygotowano żłoby oraz zrobiono wielkie zapasy kukuzydzy i siana.

*

Aby niektóre sprawy w tym opowiadaniu wyjaśnić, musimy zawrócić i opowiedzieć, że Diego Velazquez, dowiedziawszy się i upewniwszy, że Francisco Verdugo, jego pełnomocnik i krewniak, nie tylko nie chciał wpłynąć na Korteza, aby zaniechał wyprawy, ale przeciwnie, wraz z Diegiem de Ordaz pomagał mu do wyruszenia, tak się rozgniewał, że ryczał z wściekłości i nazwał Korteza buntownikiem. Postanowił wysłać jednego ze swej służby z listami i rozkazami do Hawany, do swego zastępcy nazwiskiem Pedro Barba, oraz napisał do wszystkich swych krewnych osiedlonych wokół tego miasta, a także do Diega de Ordaz i do Juana Velazqueza de Leon, swych krewnych i przyjaciół, prosząc ich usilnie, aby za żadne skarby nie dozwolili wypłynąć wyprawie i natychmiast pojмали Korteza i odesłali go w łykach i pod dobrą strażą do Santiago de Cuba.

Nikt z tych, do których pisał Diego Velazquez, nie zgodził się na jego propozycje — wszyscy co do jednego oświadczyli się za Kortezem, a przede wszystkim namiestnik Pedro Barba. My wszyscy gotowi byliśmy oddać życie za niego. Przez tego samego posłańca napisał zaraz namiestnik Pedro Barba do Diega Velazqueza, że nie śmie pojmać Korteza, rozporządza on bowiem wielką siłą wojskową, tak że boi się, aby jego żołnierze nie splądrowali i nie obrabowali miasta, i nie uprowadzili mieszkańców. Zaś Kortez napisał również do Velazqueza list, zawiadamiając go w słowach tak miłych i tak uniesione, jak umiał, że w najbliższym czasie rozwinie żagle i że pozostaje jego sługą.

7

Jak Kortez z całą kompanią oficerów i żołnierzy rozwinął żagle i wypłynął na wyprawę

Gdy załadowano konie, Kortez polecił Pedrowi de Alvarado płynąć północnym szlakiem na dobrym okręcie, zwanym „San Sebastian”, i oczekiwać go u przylądka San Antón, gdzie wszystkie okręty miały się połączyć i podążyć dalej jako jeden konwój aż do wyspy Cozumel. Wysłał też posłańca do Diega de Ordaz, który znajdował się na północnym wybrzeżu dla zbierania zapasów, aby uczynił to samo. Tak więc 10 maja 1519 r. po wysłuchaniu mszy świętej rozwinęło żagle dziewięć okrętów na południowym szlaku, zaś dwa okręty poszły szlakiem północnym, a z tymi był Pedro de Alvarado z sześćdziesięcioma żołnierzami, wśród których i ja byłem. Nasz pilot, nazwiskiem Camacho, nie zastosował się do rozkazów Korteza i popłynął swoją drogą. Przybiliśmy do wyspy Cozumel na dwa dni przed

Kortezem. Korteż opóźnił się, bo jeden z okrętów, prowadzony przez kapitana Franciska de Morla, stracił wśród burzy ster, z pomocą przyszły mu inne okręty płynące z Kortezem i popłynęły jednym konwojem.

Ale powróćmy do Pedra de Alvarado; ledwie przybyliśmy do przystani, przy miejscowości Cozumel zeszliśmy na ląd ze wszystkimi żołnierzami. Nie znaleźliśmy tam ani jednego Indianina — uciekli wszyscy. Rozkazano nam udać się do drugiej wioski, oddalonej o milę. Stamtąd również mieszkańcy uciekli w gęszcza, ale nie zdołali zabrać swego dobytku i pozostawili kury oraz inne rzeczy. Pedro de Alvarado kazał zabrać około czterdziestu kur, a także zabrać ze świątyni zasłony ze starych tkanin oraz szkatułki zawierające diademy, bożki, naszyjniki i wisiorki z lichego złota. Pochwyciliśmy też dwóch Indian i jedną Indiankę, i zawróciwszy do przystani, wsiedliśmy na okręty.

Tymczasem Korteż przyplłynął z całą flotą i ledwie się rozłożył obozem, zaraz rozkazał zakuć w dyby pilota Camacho, że na morzu nie trzymał się jego rozkazów. Następnie ujrzawszy opustoszałą wieś i dowiedziawszy się, że Pedro de Alvarado udał się był do następnej i zabrał tam kury i ozdoby oraz inne drobiazgi małej wartości, zganił Pedra de Alvarado mówiąc, że nie można pacyfikować kraju w ten sposób, rabując tubylcom mienie. Zaraz też kazał przyprowadzić owych dwóch Indian i Indiankę, pochwyconych przez nas, i za pośrednictwem Melchiora, owego Indianina zabranego z przylądka Cotoche, który dobrze rozumiał ich język, prosił ich, aby poszli przywołać kacyków oraz Indian tej wsi i aby nie obawiali się. Polecił im zwrócić złoto, ozdoby i wszystko inne, zaś za kury, które zostały już zjedzone, kazał im dać paciorki i dzwonki, prócz tego każdemu ofiarował koszulę hiszpańską. Nazajutrz przybył kacyk z całym swym ludem, z dziećmi i kobietami z całej wsi, i chodzili pomiędzy nami, jakby nas znali przez całe życie. Korteż zaś nakazywał, byśmy niczym ich nie drażnili. Tam, na tej wyspie, Korteż zaczął istotnie rządzić, a Pan Bóg mu błogosławił i do czego tylko rękę przyłożył, udawało mu się wszystko, a szczególnie, jak się niebawem okaże, akcja pacyfikacji wsi w owych okolicach.

*

Po trzech dniach pobytu na Cozumelu Korteż zarządził przegląd, aby wiedzieć, wielu żołnierzy liczymy, i wedle swych obliczeń przekonał się, że było nas pięciuset ośmiu, nie licząc szyprów, pilotów i marynarzy, których była setka. Było szesnaście koni i kłaczy. Jedenaście okrętów większych i mniejszych, w tym jedna ładowna brygantyna, którą prowadził niejaki Gines Nortés. Mieliśmy trzydzieści dwie kusze, trzynaście muszkietów, jak je wówczas nazywano, dziesięć armat z brązu, cztery śmigłowce, znaczną ilość prochu i kul. Po przeglądzie polecił artylerzyście Mesie oraz

niejakiemu Bartolomé de Usagre, a także Arbendze i pewnemu Katalończykowi, aby wszystko trzymali w czystości i pogotowiu, armaty, kule i proch gotowe do użytku, a dowództwo artylerii oddał niejakiemu Franciskowi de Orozco, który był żołnierzem we Włoszech. Polecił również kusznikom przygotować kusze i baczyć, aby u wszystkich liny były w porządku, by w wielkiej trosce miano stągwie, narzędzia i heble, aby się ćwiczone w strzelaniu do celu, zaś o koniach miano dobre staranie. Nie wiem, po co psują tyle inkaustu, opisując tak drobiazgowo polecenia dotyczące broni oraz innych rzeczy, bowiem wiadomo, że Korteza zaiste miał na wszystko najżywsze baczenie.

8

Opowiada o dwóch Hiszpanach w niewoli u Indian

Korteza polecił przywołać mnie i pewnego Biskajczyka, nazwiskiem Martin Ramos, i wypytywał nas, co myślimy o owych słowach *Castilan*, *Castilan*, wypowiedzianych przez Indian z Campeche, kiedy przybyliśmy tam z Franciskiem Hernandezem de Cordoba, o czym mówiłem w poprzednim rozdziale. Jeszcze raz opowiedzieliśmy, kiedy i gdzie widzieliśmy to i słyszeli. Rzekł nam, że często rozmyślał o tym, czy przypadkiem nie dotarli do tych stron jacyś Hiszpanie. „Zdaje mi się — rzekł — że byłoby dobrze zapytać owych kacyków z Cozumelu, czyli nie mają o nich jakiejś wiadomości”. I za pośrednictwem Mielchiora, który coś niecoś rozumiał po hiszpańsku, a znał doskonale język Cozumelu, zapytał kacyków o to i wszyscy odpowiedzieli, że znali pewnych Hiszpanów, opisali ich wygląd i powiadomili, że znajdują się w głębi kraju o dwa dni marszu stąd, w niewoli u pewnych kacyków, i że tu, w Cozumelu, przebywa kilku kupców indiańskich, którzy z nimi kilka dni temu rozmawiali. Ucieszyliśmy się wielce tymi nowinami. Korteza prosił kacyków, aby natychmiast wyprawili do nich listy, które w swoim języku nazywali *amales*, dał koszule dla kacyków i dla Indian, którzy mieli te listy zanieść, pochlebiał im i obiecał po powrocie obdarzyć ich licznymi paciorkami. Kacyk poradził Kortezowi, aby przesłał również dary dla tych kacyków, których niewolnikami byli, aby ci pozwolili im odejść, co też uczynił Korteza i dał posłańcom rozmaitego rodzaju kryształki. Zaraz też rozkazał przysposobić dwa niewielkie okręty, z tych jeden nieco większy od brygantyny, załadował na nie dwudziestu kuszników i muszkieterów z kapitanem Diegiem de Ordaz na czele. Mieli oni dopłynąć wzdłuż wybrzeża do przylądka Cotoche, gdzie większy okręt miał się zatrzymać i czekać osiem dni, aż wróci z odpowiedzią, zaś mniejszy miał powrócić do Kortezy z wiadomościami, jak się sprawy obróci. Zaraz też wsiedli na okręty z listami i z dwoma kupcami indiańskimi z Cozumelu,

w trzy godziny przepłynęli małą zatokę i wysadzili na ląd posłańców z listami i darami. Po dwóch dniach, jak się potem dowiedzieliśmy, dotarli oni do pewnego Hiszpana, nazwiskiem Jeronimo de Aguilar, który przeczytawszy listy i odebrawszy dary w paciorkach, przesłane przez nas, uradował się niezmiernie i pobiegł do swego pana, kacyka, aby uzyskać zwolnienie, ten zaś uwolnił go natychmiast, aby mógł pójść, gdzie zechce. Udał się Aguilar do drugiej wsi, odległej o pięć mil, tam gdzie przebywał jego towarzysz Gonzalo Guerrero, ale ten, gdy przeczytał mu listy, odpowiedział: „Bracie Aguilar, jestem żonaty, mam troje dzieci, wybrali mnie kacykiem, a nawet zgoła wodzem na czas wojny. Idź z Bogiem, ja mam oblicze tatuowane i przekłute uszy! Spójrz na tych moich synków, jacy są urodziwi. Na twoje życie zaklinam cię, daj mi dla nich owe zielone paciorki, które przynosisz, a powiem im, że przysyłają mi je bracia moi z ojczyzny”.

Także gniewna Indianka, żona Gonzaleza, tymi słowy odezwała się do Aguilara: „Patrzcie no, z czym ten niewolnik przychodzi! Po mojego męża! Zabieraj się stąd i ani słowa!”

Ponownie odezwał się Aguilar po hiszpańsku do Gonzaleza, żeby zważał, iż jest chrześcijaninem, i nie gubił swej duszy dla jednej Indianki, a jeśli uważa ją za żonę i nie chce jej porzucić, niechaj zabierze ją razem z dziećmi. Ale próżno namawiał i przykazywał, tamten ani słyszeć nie chciał o odjeździe. Zdaje się, że ów Gonzalo Guerrero był to marynarz pochodzący z Palos. Skoro Jerónimo de Aguilar przekonał się, że tamten iść nie chce, nie zwlekając już, udał się z posłańcami tam, gdzie ich miał czekać okręt. Ale okrętu już nie było, odpłynął, bowiem przeminął termin wyznaczony na oczekiwanie, to jest dni osiem, a nawet o jeden więcej. Ordaz, widząc, że Aguilar się nie zjawia, zawrócił do Cozumelu bez żadnego wyniku. Aguilar, ujrawszy, że okrętu nie ma, pogrążył się w smutku i powrócił do swego pana, do wsi, gdzie żył dotąd. Zostawmy go tam, aby powiedzieć, że Korteż, ujrawszy Ordaza powracającego bez żadnego wyniku ani wiadomości o Hiszpanach, wpadł w wielki gniew i czynił mu ostre wyrzuty.

Powiem wam, że liczni Indianie odbywali pielgrzymki do Cozumelu, pochodzili oni z wiosek sąsiadujących z przylądkiem Cotoche oraz z innych części Jukatana. W Cozumelu były bożki o poczwarnych obliczach, a w świątyni ich, wedle zwyczaju owego kraju, składano ofiary o każdej porze. Pewnego ranka podwórzec świątyni, gdzie stały bożki, wypełnił się mnóstwem Indian i Indianek — palili oni żywicę podobną do naszego kadzidła, a jako była to dla nas nowość, zatrzymaliśmy się, by z uwagą się temu przypatrzeć. Niebawem na ołtarz wstąpił stary Indianin w długich szatach, kapłan owych bożków, i zaczął wygłaszać kazanie. Korteż i my obserwowaliśmy go, ciekawi, do czego zmierza owo ponure kazanie. Korteż zapytał Melchiora, który dobrze rozumiał ów język, o czym prawi stary Indianin, i dowiedział się, że głosi bezceństwa. Natychmiast kazaliśmy przywołać kacyka i wszystkich naczelników oraz samego owego kapłana,

i Korteż, jak mógł najlepiej, z pomocą tłumacza, wyłożył im, że jeśli mają być naszymi braćmi, muszą porzucić świątynie i tych swoich złych bożków, którzy ich na błędną drogę prowadzą, że nie są to bogowie, ale złe duchy, które porwą ich dusze do piekła. Mówił Korteż im o innych rzeczach świętych i godziwych, ofiarował im obraz Matki Bożej oraz krzyż, aby im cześć oddawali, a zawsze znajdą u nich pomoc, żniwa będą obfite i oni zbawią swe dusze. Wiele jeszcze i pięknie mówił o naszej świętej wierze. Kapłan i kacykowie odpowiedzieli, że przodkowie ich wielbili owe bożki, uważali je za dobre bóstwa i że oni nie odważą się inaczej postąpić, a jeśli je usuniemy, zobaczymy, że wielkie nieszczęścia z tego na nas spadną, bowiem zginiemy na morzu. Natychmiast tedy Korteż kazał owe bożki porąbać i strącić je za schodów na dół — i tak się stało. Potem rozkazał przynieść wiele wapna, którego było pełno w tej miejscowości, i przyjsć Indianom, murarzem. Zbudowali oni bardzo piękny ołtarz, a na nim umieściliśmy obraz Najświętszej Panny, po czym polecił także dwóm cieślom wykonać krzyż z nowego drzewa, który umieszczono obok ołtarza. Ksiądz Juan Diaz odprawił mszę, zaś kapłan pogański i kacykowie, i wszyscy Indianie z uwagą się temu przypatrywali.

*

Korteż dowodził kapitańskim okrętem, Pedro de Alvarado i jego bracia dobrym okrętem zwanym „San Sebastian”, Alonso Hernández Puerto Carrero, Francisco de Montejo, Cristobal de Olid, Diego de Ordaz, Juan Velazquez de Leon, Juan de Escalante, Francisco de Morla Escobar, zwany „Paziem” — pozostałymi okrętami, a najmniejszą brygantyną — Gines Nortés. Każdy okręt miał swego pilota, a głównym był Anton de Alaminos. Wydane zostały instrukcje, których miano się trzymać, wskazówki, co należy czynić, oraz ustalono sygnały świetlne na noc. Korteż pożegnał kacyków i kapłanów i polecił im pieczę nad obrazem Matki Bożej i krzyżem, aby czcili je i utrzymywali w czystości, zdobiąc kwiatami, a zobaczą, jaką im to korzyść przyniesie. Obiecali, że tak postąpią. Przynieśli Korteżowi cztery kury i dwa dzbany miodu i uściskali go.

Wsiadliśmy na okręty w pierwszych dniach marca 1519 r., rozwinęliśmy żagle i przy pięknej pogodzie płynęliśmy dalej. Tego samego dnia około godziny dziesiątej dobiegły nas z jednego okrętu krzyki, potem strzał armatni, który miał zwrócić uwagę innych naszych okrętów, i ujrzelśmy ludzi powiewających płaszczami. Korteż, usłyszawszy to i ujrawszy, zbliżył się do burty i zobaczył, jak statek prowadzony przez Juana de Escalante zawraca do Cozumelu. Zapytał tedy inne statki, znajdujące się bliżej, co to jest, co to ma znaczyć.

Pewien żołnierz, Luis de Zaragoza, odpowiedział, że statek Juana de Escalante tonie, a wszak wiezie chleb maniokowy.

„Bóg da, a unikniemy nieszczęścia” rzekł Kortez i polecił pilotowi Alaminosowi, aby wszystkim statkom dał sygnał do powrotu do Cozumelu. Tegoż dnia powróciliśmy do portu, skąd wypłynęliśmy, i wyładowaliśmy chleb maniokowy. Zastaliśmy obraz Najświętszej Panny i krzyż w wielkim staraniu i okadzane, co nas bardzo uradowało. Zaraz nadszedł kacyk i kapłani i zapytali o przyczynę powrotu. Kortez odpowiedział, że stało się to z powodu awarii jednego ze statków. Czterech dni potrzeba było, aby okręt naprawić.

*

Kiedy Hiszpan pozostający w niewoli u Indian dowiedział się i upewnił, że powróciliśmy do Cozumelu z okrętami, ogromnie się uradował i dzięki składał Bogu. Z wielkim pośpiechem zajął się przygotowaniem spotkania z nami, a z nim owi Indianie, którzy nosili byli listy i dary. Płacił dobrze zielonymi paciorkami, przeto rychło znalazł łódź do wynajęcia z sześcioma indiańskimi wiosłarzami — wiosłowali tak pośpiesznie, że w krótkim czasie przepłynęli cztery mile małej zatoki, dzielącej oba wybrzeża. Kiedy przybili do Cozumelu i zeszli na ląd, kilku żołnierzy, którzy udali się na polowanie na dziki, a tych na wyspie było wiele, doniosło Kortezowi, że od przylądka Cotoche nadpłynęła wielka łódź.

Kortez polecił Andresowi de Tapia oraz innym dwóm żołnierzom zbadać, co by znaczyła owa wiadomość i co to są za Indianie, którzy przyplływają do nas bez żadnej obawy. Indianie, którzy przywieźli Aguilara, ujrawszy Hiszpanów, przelękli się i chcieli uciec do łodzi, aby odpłynąć na głębię. Aguilar uspokoił ich, aby się nie bali, bowiem są to jego bracia. Równocześnie Andrés de Tapia ujrawszy Indian — bowiem Aguilar ni mniej, ni więcej tylko wyglądał zupełnie na Indianina — wysłał od razu jednego Hiszpana do Korteza z wiadomością, że siedmiu Indian przyplłynęło łodzią.

Wyskoczywszy na ląd, Hiszpan, kalecząc i źle wymawiając słowa, zawołał: „Bóg, Święta Maryja i Sewilla!”, zaraz też uściskał go Tapia, inny zaś żołnierz, widząc, co się dzieje, pobiegł powiadomić Korteza, że łodzią przyjechał Hiszpan. Uradowaliśmy się wszyscy. Niebawem nadszedł Tapia z Hiszpanem przed Korteza, ale choć szli razem, po drodze niektórzy pytali go: „Gdzie jest ten Hiszpan?”, bo mieli go za rodowitego Indianina. Z natury był smagły, ogolony jak indiański niewolnik, niósł wiosło na ramieniu, jeden stary chodak miał na nodze, drugi, uczepiony do pasa, okryty był podartą opończą, a jeszcze bardziej podarte spodnie okrywały jego wstyd. W róg opończy zawinięta była książka do nabożeństwa, bardzo stara. Kortez, ujrawszy go, również uległ pomyłce i zapytał Tapię, co z Hiszpanem, ten zaś, usłyszawszy to, usiadł w kucki na modłę Indian i rzekł „To ja!”

Kortez polecił dać mu zaraz koszulę, kabat, portki, kaptur i sandały, aby się przyodział, i wypytywał go o jego życie, jak się nazywa i kiedy

przybył do tego kraju. Odpowiedział, kalecząc język, że nazywa się Jeronimo de Aguilar, że pochodzi z Ecijy i że odebrał pierwsze święcenia, przebywa tu od lat ośmiu, okręt, na którym płynął wraz z piętnastoma mężczyznami i dwiema kobietami, udawał się z zatoki Darien do wyspy San Domingo, wioząc dziesięć tysięcy pesos złotych i akta procesu Enciso — Valdivia. Okręt rozbił się na skałach Alacranes i stał się niezdolny do żeglugi. On, jego towarzysze i dwie kobiety wsiedli do łodzi tego okrętu, mając nadzieję dotrzeć do Kuby lub Jamajki. Silne prądy rzuciły ich jednak na to wybrzeże. Calachiones, czyli kacykowie tej okolicy, podzielili ich między siebie, jedni z jego towarzyszy zostali zabici na ofiarę bogom, inni pomarli z chorób. Obie kobiety po niedługim czasie również zmarły z trudów, gdyż ciężko musiały mleć. On również był przeznaczony na ofiarę, ale pewnej nocy uciekł do jednego z kacyków i u niego pozostał. Nie przypominam już sobie, jak nazwał tego kacyka. Żaden więc nie ocalał prócz niego i owego Gonzala Guerrero, który mimo wezwania pójść nie chciał, tam się ożenił, ma troje dzieci, poorał twarz tatuażem, przekłuł uszy, żyje w wielkim poważaniu u Indian. On to przed niespełna rokiem, kiedy do przylądka Cotoche przybił pewien kapitan z trzema okrętami (zdaje się, było to, kiedy przybyliśmy tam z Hernandezem do Cordoba), namówił Indian, aby nas zaatakowali, sam nawet był tam razem z kacykiem owej wielkiej wsi.

Kiedy Korteż to usłyszał, rzekł: „Zaiste, chciałbym go dostać w ręce! Niedobrze jest zostawiać go tutaj”.

Za poradą Aguilara kacykowie prosili Korteza o glejt, aby w razie gdyby inni Hiszpanie zawitali do tego portu, traktowali ich dobrze i nie czynili im krzywdy. Pismo takie zostało im wydane.

9

Opowiada, jak siedliśmy na okręty, rozwinęliśmy żagle i popłynęli ku rzece Rio de Grijalva, i co się tam zdarzyło

Dnia 4 marca 1519, pozyskawszy szczęśliwie tak znakomitego tłumacza, Korteż rozkazał sięść na okręty. Płynęliśmy przy pięknej pogodzie, ale w przedwieczorz zerwał się wicher tak silny i gwałtowny, że rozproszył okręty, każdemu grożąc rozbiciem. Dzięki Bogu uspokoił się o północy. O świcie zaczęły spływać i łączyć się okręty konwoju, z wyjątkiem jednego, pod wodzą Juana Velazqueza de Leon, i gdy do końca dnia się nie pojawił, postanowiliśmy zawrócić na poszukiwanie całą armadą i jak przepowiedział pilot Korteza, znaleźliśmy go zakotwiczonego w zatoce, z której wiatry nie pozwalały mu wyjść. Ucieszyliśmy się wszyscy. Spędziliśmy tam całą

dzień, spuściliśmy łódź na wodę i zeszedł na ląd pilot i jeden z kapitanów, Francisco de Lugo. Były tam zagrody, pola kukurydziane, słone jeziora, znajdowały się także cztery *cues*, czyli świątynie bożków, a w nich liczne bałwany bardzo wysokie, przeważnie kobiece, stąd poszła nazwa tej ziemi „Punta de las Mujeres”.

*

Dnia 12 marca 1519 r. przybyliśmy z całą armadą do Rio de Grijalva, rzeka ta w języku Indian zowie się Tabasco, a ponieważ z czasów de Grijalvy wiedzieliśmy, że owo ujście i rzeka nie są dostępne okrętom o większej wyporności, zakotwiczyliśmy na pełnym morzu większe jednostki, a na mniejszych i na łodziach przewieźliśmy wszystkich żołnierzy i — podobnie jak niegdyś z Grijalva — wylądowaliśmy na przylądku de Palmas, o pół mili od miasta Tabasco. Po rzece i na jej brzegach pomiędzy korzeniami uwijało się mnóstwo zbrojnych Indian. Zdziwiło to nas, którzy tam byliśmy z de Grijalva. Ponadto koło miasta zebranych było ponad dwanaście tysięcy wojowników gotowych do walki z nami. W owym czasie miasto Tabasco było ośrodkiem handlowym i podlegało mu kilka dużych wsi. Wszyscy obecni nad rzeką Indianie byli zaopatrzeni w rozmaitego rodzaju broń, jakiej zwykli używać. Przybyli tam dlatego, że mieszkańcy Potonchanu i Lázaro oraz innych pobliskich wsi uważali ich za tchórzy i rzucali im to w twarz, że dali de Grijalwie złote kosztowności. Zarzucali im także, że ze strachu nie śmieli stanąć do walki z nami, choć byli liczniejsi i mieli więcej wojowników niż inni. Nie szczędzili im zniewag, chlubiąc się, że w swojej wsi wystąpili zbrojnie przeciw nam, zabijając pięćdziesięciu sześciu naszych ludzi. Podjudzeni tymi słowami Indianie z Tabasco postanowili chwycić za broń.

Ledwie Korteż przejrzał położenie, polecił Aguilarowi, który rozumiał język kraju Tabasco, przywołać kilku Indian, jak się zdawało, naczelników, którzy tuż obok nas przepływali na dużej pirodze. Kazał ich zapytać o przyczynę takiego podniecenia — wszak nie przybywamy ze złymi zamysłami. Kazał mu także, aby powiadomił ich, że chcemy im oddać to, co przywieźliśmy jak dla braci, i prosił, aby zastanowili się, zanim rozpoczną wojnę, która się na nich ciężko skrupi. Dodał jeszcze wiele słów przyjaznych, ale im więcej mówił Aguilar, tym okazywali się zuchwalsi: oświadczyli, że nas wszystkich wymordują, jeżeli wejdziemy do ich miasta, bowiem mają wały z wielkich pni drzewnych, zasieki i palisady.

I znowu Aguilar przemawiał do nich, uspokajał, prosił, aby nam pozwolili zaczerpnąć wody, zakupić żywność w zamian za nasze podarunki; dodał też dla kacyków słowa bardzo pożyteczne dla sprawy Boga, Pana Naszego. Ale oni grozili ciągle, że jeżeli przekroczy my ów gaj palmowy,

zabiją nas. Widząc to Kortez kazał przygotować łodzie i mniejsze okręty, ustawić na każdym trzy działka i porozmieszczać kuszników i muszkieterów. Przypominaliśmy sobie, że od gaju palmowego do miasta prowadzi wąska drożyna poprzez mokradła i potoki. Kortez wysłał tej nocy trzech żołnierzy, aby zbadali, czy dochodzi ona do domów, i nakazał im co rychlej powracać z odpowiedzią. Poszli i stwierdzili, że drożyna istotnie tam dochodzi. Wywiedziawszy się o wszystkim i wszystko rozważywszy, cały dzień spędził Kortez wydając rozkazy, w jaki sposób zachowywać się na łodziach. Nazajutrz rano, po wysłuchaniu mszy świętej i sprawdzeniu broni, polecił Kortez Alonsowi de Avila, kapitanowi, aby z setką żołnierzy i dziesięciu kusznikami udał się ową dróżką, która, jak rzekłem, wiodła do miasta, kiedy zaś rozlegną się strzały, on z jednej strony, a my z drugiej tam wpadniemy równocześnie. Kortez i my wszyscy pozostali żołnierze i oficerowie wsiedliśmy w łodzie i na pomniejszych okręty, kierując się w górę rzeki. Kiedy wojownicy indiańscy znajdujący się na brzegach i między korzeniami spostrzegli, że istotnie posuwamy się naprzód, broniąc przystępu do wybrzeża, zgromadzili przeciw nam tyle pirogów w przystani, gdzie mieliśmy wysiąść, że wzdłuż brzegów widać było tylko wojowników indiańskich w rozmaitego rodzaju uzbrojeniu, im zwyczajnym, którzy dęli w trąby i muszle morskie oraz bili w bębny.

Kortez, widząc, co się dzieje, kazał zatrzymać się nieco i nie strzelać, a że chciał, aby wszystko załatwione było formalnie, wystosował nową prośbę przez notariusza królewskiego Diega de Godoy i za pośrednictwem Aguilara prosił, aby nam pozwolili wysiąść, zaczerpnąć wody, a także, że chce ich powiadomić o sprawach bożych i Jego Królewskiej Mości. Gdyby zaś wszczęli kroki wojenne i gdyby kilku z nich padło trupem albo inną szkodę ponieśli, wina spadnie na nich, a nie na nas, którzy będziemy się bronić. Oni jednak trwali w zuchwałości, grożąc, że jeśli wylądujemy, pozabiją nas. Od razu bardzo śmiało zaczęli razić nas strzałami, zachęcając swoich biciem w bębny, odważnie otoczyli nas pirogami i zarzucili takim mnóstwem pocisków, że strącali nas do wody, w której nurzaliśmy się po pas albo i wyżej. Błoto i muł były tak gęste, że trudno było rychło się wygrzebać. Ponieważ wielkie chmary Indian raziły nas oszczepami i strzałami, nie zdołaliśmy osiągnąć brzegu tak szybko, jak chcieliśmy. Kortez, który walczył także w owym błocie, zgubił tam jeden ze swoich chodaków, nie zdołał go wyciągnąć i bosą nogą wyskoczył na ląd. Chodak wydobyto i obuł się. Podczas gdy Kortez był w opałach, my wszyscy, żołnierze i oficerowie, natarliśmy na Indian, wzywając na pomoc świętego Jakuba, i zmusiliśmy ich do cofnięcia się, wprawdzie niezbyt daleko, schronili się bowiem poza wały i palisady zbudowane z grubych pni. Roznieśliśmy je i przez wylomy dostaliśmy się do miast, gdzie bitwa wrzała dalej. Zepchnęliśmy indiańskich wojowników w ulice, gdzie były inne barykady, tam zgrupowali się, aby nam stawić czoło, i walczyli z wielkim

męstwem i mocą. Krzycząc i gwizdząc wołali *Al calacheoni, al calacheoni!*, to znaczyło w ich języku „Zabić, pochwycić wodza!”

Kiedyśmy byli w takim ogniu bitwy, zbliżył się Alonso de Avila ze swymi żołnierzami, szedł on łądem od gaju palmowego, jak powiedziano, lecz spóźnił się, zatrzymany w drodze przez mokradła i strumienie. Spóźnienie to obróciło się na dobre, my również straciliśmy czas na rozwalanie wałów i czynienie wyłomów w palisadach. Teraz, połączeni, wyparliśmy Indian z obwarowań i zmusili do wycofania się. Jednak jako dzielni wojownicy nie przestawali nas razić gradem strzał, zarzucać hartowanymi w ogniu oszczepami. Nie uciekli, jednak cofnęli się aż do jakiegoś dziedzińca, gdzie były domy o obszernych salach i trzy świątynie z bożkami, skąd usunęli byli całe mienie. Korteż rozkazał nam zatrzymać się i nie ścigać ich dalej w odwrocie. Objął ową ziemię w posiadanie w imieniu Jego Królewskiej Mości, obwołując się królewskim namiestnikiem. Odbyło się to w ten sposób: wyciągnął z pochwy swój miecz, trzykrotnie uderzył nim na znak posiadania w wielkie drzewo, zwane *ceiba*, które stało na środku pałacowego dziedzińca, i zapowiedział, że ktokolwiek by mu się sprzeciwił — spotka się z tym mieczem i z tym puklerzem. My, wszyscy żołnierze tam obecni, odkrzyknęliśmy, że słuszne jest odzierzyć tę ziemię w imieniu Jego Królewskiej Mości i że wszyscy staniemy przy nim z pomocą, gdyby mu się kto sprzeciwił. A notariusz królewski sporządził właściwy akt. Przeciwno temu aktowi bardzo szemrało stronnictwo Diega Velazqueza.

Spaliśmy owej nocy pod okiem silnej straży i czujek.

*

Nazajutrz rano polecił Korteż Pedrowi de Alvarado udać się z setką żołnierzy, w tym piętnastu kuszników i muszkieterów, na zbadanie kraju na dwie mile w głąb, polecił mu także zabrać Melchiora, tłumacza z przylądka Cotoche, jednak kiedy tego przywoływano, nie znaleziono go, uciekł bowiem z ludźmi z Tabasco, jak się okazało, dzień przedtem, w gaju palmowym porzucił swą odzież hiszpańską i umknął nocą na łodzi. Ta ucieczka bardzo zaniepokoiła Korteza, lękał się, aby Melchior nie doniósł Indianom, rodakom swoim, o sprawach, które mogliby przeciw nam wykorzystać. Pozwólmy mu iść na złamanie karku i powróćmy do naszych spraw. W drugą stronę wysłał Korteż innego oficera, Franciska de Lugo, również z setką żołnierzy, z dwunastoma kusznikami i muszkieterami, z poleceniem zbadania kraju na dwie mile w głąb i powrócenia na noc do obozu. Francisco de Lugo, ledwie na milę oddalił się od naszego obozu, natknął się na wielkie oddziały i hufce indiańskich łuczniczków i oszczepników, przybranych piórami, z tarczami i bębnami. Ci od razu otoczyli naszych i poczęli ich razić strzałami tak, że trudno było stawić opór takiej prze-

mocy. Indianie zarzucili żołnierzy osmalonymi oszczepami i kamieniami z proc, spadającymi jak grad, a także rąbali ich oburącz tymi ich obojęcznymi mieczami. Choć Francisco de Lugo i jego żołnierze walczyli mężnie, nie byli w stanie dotrzymać pola. Zdając sobie z tego sprawę postanowili wycofać się do obozu. Wysłali jednego Indianina z Kuby, doskonałego, ręcznego biegacza, do Korteza z prośbą o pomoc. Tymczasem zaś Francisco de Lugo dzięki swym kusznikom i muszkietierom, którzy jedni ładowali, a drudzy strzelali, zdołał kilkoma kontratakami stawić czoło wszystkim nacierającym hufcom.

Pozostawmy ich w tych opałach i powróćmy do kapitana Pedra de Alvarado, który po przebyciu mili znalazł się nad jedną z odnóg rzeki, przez którą, jak się zdawało, bardzo trudno byłoby się przeprawić. Bogu się podobało zawrócić go na inną drogę, właśnie tam, gdzie jak opowiedzieliśmy, walczył Francisco de Lugo. Kiedy de Alvarado usłyszał grające muszkiety oraz wielki rumor bębnow i trąb, wrzaski i gwizdy Indian, zrozumiał, że toczy się tam bitwa i z największym pośpiechem, a w wielkim porządku skierował się ku tym krzykom i strzałom. Zastał kapitana Franciska de Lugo walczącego z wrogami i stawiającego im czoło oraz pięciu Indian zabitych. Żołnierze Franciska de Lugo i Pedra de Alvarado połączyli się i uderzyli na Indian z dwu stron, odepchnęli ich, ale nie zmusili do ucieczki. Indianie ścigali ich aż do naszego obozu. Tam, w miejscu gdzie stał Korteza i ranni, zaatakowały nas inne oddziały, ale rychło zmusiliśmy je do wycofania się.

Z oddziału Franciska de Lugo zabitych zostało dwóch żołnierzy, a ośmiu rannych, z oddziału Pedra de Alvarado poległo trzech. W tych walkach zginęło piętnastu Indian a trzech pochwycono. Jeden z nich wydawał się jakimś dostojnikiem. Aguilar, tłumacz, pytał ich, dlaczego byli tak szaleni i wdali się w bitwę, niech zważą, że gdyby się to powtórzyło, zginą wszyscy. Zaraz też wysłano jednego z Indian z zielonymi paciorkami dla kacyków, aby nakłonić ich do pokoju. Ów posłaniec powiedział, że to Indianin Melchior, którego przywieźliśmy, a który pochodził z przylądka Cotoche, przybył do nich poprzedniej nocy i namówił, aby nękali nas walką dniem i nocą, a zwyciężą, bowiem byliśmy bardzo nieliczni. Tak więc sami przywieźliśmy najgorszego pomocnika i wroga. Ów wysłany Indianin poszedł i nigdy nie wrócił, zaś od dwóch innych dowiedział się Aguilar z wszelką pewnością, że nazajutrz ma się odbyć narada wszystkich kacyków okolicznych wsi owej prowincji oraz mają się zgromadzić siły zbrojne — Indianie zamierzali zaatakować nas następnego dnia, otoczywszy obóz wedle rady tłumacza Melchiora.

*

Ledwie Korteż dowiedział się tak pewnie, że będziemy napadnięci, rozkazał pośpiesznie wyładować konie z okrętów, stanąć w pogotowiu muszkieterom i kusznikom, a wszystkim żołnierzom, nawet rannym, pod bronią. Kiedy wyładowaliśmy konie, były jakby odrętwiałe i płochliwe, niezdolne do biegu, jako że zbyt długo pozostawały na okrętach. Nazajutrz jednak odzyskały zwinność. Zdarzyła się jednak rzecz inna: sześciu czy siedmiu żołnierzom, młodych i zdrowych, cierpiało na bóle w krzyżach, takie że nie mogli ustać na nogach i trzeba ich było nosić na plecach. Nie wiedzieliśmy, z czego to poszło. Mówiono, że pancerze z bawełny, których nie zdejmowaliśmy we dnie ni w nocy, były tego przyczyną, a może stało się tak dlatego, że na Kubie zbyt ucztowali i nie byli zwyczajni trudów w czas upałów. Korteż odesłał ich na okręty, by nie zostawali na lądzie, oficerom przydzielił najlepsze konie i klacze, a podpieranie ich kazał obwiesić dzwoneczkami. Wyznaczył trzynastu jeźdźców i sam stanął na ich czele, polecił też Mesie, artylerzyście, opatrzyć armaty. Diego de Ordaz miał stanąć na czele wszystkich pieszych kuszników i muszkieterów. Poszliśmy przez rozległe sawanny, które, podobnie jak miasto, zwały się Zintla, Korteż zaś zboczył od nas nieco z powodu mokradła, którego konie nie mogły przebyć. Idąc w ten sposób, całą siłą uderzyliśmy na oddziały wojowników indiańskich, które już gotowały się do ataku na nasze stanowiska. Spotkanie miało miejsce przy mieście Zintla na równinie.

*

Spotkaliśmy wszystkie hufce idące przeciw nim, wojowników ustrojonych piórami, z twarzami umalowanymi na białe lub kolorowo; z bębnami i trąbami, z wielkimi łukami i strzałami, z dzidami i tarczami, z drewnianymi obosiecznymi mieczami, z licznymi procami i kamieniami, z oszczepami hartowanymi w ogniu, a wszyscy w pancerzach z bawełny. Zbliżyli się do nas, a zastępy ich były tak liczne, że pokryły całe sawanny. Rzucili się jak wściekłe psy, otoczyli nas ze wszystkich stron, zasypując strzałami, oszczepami i kamieniami. W pierwszym natarciu ranili ponad siedemdziesięciu naszych, wielkie szkody ponieśliśmy także w walce wręcz od dzid, jednak strzelając z muszkietów i kusz oraz zadając ciosy mieczami, nie ustępowaliśmy im na cal w godnej walce. Z wolna, zapoznawszy się z naszymi ciosami, odsunęli się od nas, głównie aby tym bezpieczniej razić nas z łuków, ale ponieważ wielkie ich zastępy nie rozpraszały się, Mesa, nasz artylerzysta, strzelając w masę, pozabijał ich sporo. Pomimo ran i szkód, jakie im zadawaliśmy, nie udawało nam się jednak ich rozgromić.

Zwróciłem się tedy do Diega de Ordaz ze słowami: „Diego de Ordaz, wydaje mi się, że powinniśmy natrzeć na nich z bliska, czuli są bowiem na nasze ciosy i sztychy naszych szpad, jednak wolą cofnąć się od nas, nie tyle aby uniknąć ciosów, ale aby lepiej razić nas strzałami i hartowanymi w ogniu oszczepami czy gradem kamieni”.

Odpowiedział, że rada jest niedobra, bowiem na każdego z nas przypada trzystu Indian i nie zdołamy się oprzeć takiej mnogości. A jednak w końcu trzeba się było z nimi zewrzeć. Zgodziliśmy się, że — tak jak mówiłem Ordazowi — zbliżymy się do nich na tyle, na ile się tylko da. Musieli przeczuć, że nasze ciosy rychło na nich spadną, bo schronili się na drugą stronę bagna. Tymczasem Korteza i jego jeźdźcy nie nadciągali, choć tak bardzo ich wyczekiwaliśmy, lękając się, czy nie spotkało ich jakieś nieszczęście.

Przypominam sobie, że na każdą naszą strzelaninę Indianie odpowiadali wyciem i wrzaskiem, wyrzucając w górę słomę i ziemię, abyśmy nie mogli dojrzeć szkód im wyrządzanych; bili w bębny i dęli w trąby, gwizdząc i wyjąc: *Alala! Alala!* Tak się sprawa miała, kiedy nagle ujrzelśmy nacierających jeźdźców Korteza. Indiańskie zastępy były tak rozgorzałe walką, że nie spostrzegły ich od razu, nadjeżdżali bowiem na nich od tyłu. Pole było równe, konie jedne z najbardziej rącznych i zwinnych, jeźdźcy dobrzy, toteż zadali im bobu igrając do woli lancami. My, walczący również, skoro ich dostrzegliśmy, natarliśmy z takim zapałem, że wzięci w dwa ognie, przez nas i przez jeźdźców, rychło tył podali. Wtedy to uwierzyli Indianie, że konie i jeźdźcy tworzą jedno, nigdy bowiem nie widzieli dotąd koni. Sawanny i pola napełniły się uciekającymi, szukającymi schronienia w pobliskich gęstych lasach. Skoro rozgromiliśmy ich, Korteza opowiedział nam, że nie mógł przybyć rychlej, zatrzymany przez bagna, i że zanim dotarł do nas, stoczył walkę z innymi oddziałami. Rannych zostało trzech jeźdźców i pięć koni.

Odпочąwszy pod drzewami i w domach tam stojących, złożyliśmy dziękczynienie Bogu za tak zupełne zwycięstwo, a że był to dzień Matki Bożej Marcowej, nazwaliśmy miasto, które tam później założono, Santa Maria de la Victoria. Była to pierwsza bitwa stoczona w Nowej Hiszpanii pod wodzą Korteza. Opatrzyliśmy nasze rany podarłszy na ten cel bieliznę, bo nic innego nie było. Koniom wypalono rany wrzącym tłuszczem jednego z poległych Indian, rozciąwszy uprzednio trupa, aby tłuszcz wydostać. Poszliśmy na pole policzyć poległych, było ich ponad ośmiuset. Najwięcej legło od ciosów mieczy, inni od strzał muszkietów czy kusz, niektórzy leżeli na poły martwi, bo wszędzie, gdzie przeszli jeźdźcy, legło bogate żniwo trupów lub jęczących rannych. Bitwa trwała więcej niż godzinę i aż do chwili przybycia konnicy nie zdołaliśmy osłabić w Indianach zapału wojennego. Wzięliśmy w tej walce pięciu Indian i dwóch ich wodzów, a że była późno i byliśmy zmęczeni i głodni, powróciliśmy do obozu. Tam zaraz pogrzebaliśmy dwóch żołnierzy, z których jeden raniony był w gardło,

a inny w ucho. Wypaliliśmy rany ludzi i koni tuszczem z Indianina, wystawiliśmy dobre czaty i straże i wreszcie mogliśmy wieczerzać i wypocząć.

*

Już powiedziałem, jak w tej bitwie wzięliśmy pięciu Indian i ich wodzów. Aguilar, tłumacz, wziął ich na spytki i przekonał się, że byliby z nich doskonali posłowie, namówił więc Korteza, aby ich puścić wolno — niech pójda pogadać z kacykami owego miasta oraz innymi, jakich by spotkali. Tym dwom posłom dano zielone paciorki i błękitne kryształki. Aguilar tłumaczył im w słowach łagodnych i pochlebnych, że chcemy ich uważać za braci, niech się nie lękają, a za to, co się w owej bitwie stało, oni sami winę ponoszą. Niech przywołają kacyków ze wszystkich osiedli, bo chcemy z nimi pogadać; bardzo łagodnie napominał ich, by skłonili tamtych do pokoju. Poszli chętnie, aby pomówić z kacykami i dostojnikami o tym wszystkim, co chcieliśmy, aby wiedzieli o naszych pokojowych intencjach. Po wysłuchaniu naszego poselstwa postanowili wysłać ku nam piętnastu Indian, niewolników, z osmarowanymi twarzami, w opończach i portkach podartych zupełnie, przysłali przez nich kury i pieczone ryby oraz chleb kukurydziany. Kiedy stanęli przed Kortezem, przyjął ich łaskawie, ale Aguilar, tłumacz, bardzo zagniewany, pytał, jak śmia stawać z takimi twarzami, raczej bowiem przychodzą zwiastować wojnę niż pokój. Niechaj co rychlej powracają do kacyków powiedzieć, że jeżeli chcą pokoju, który im ofiarowujemy, aby traktować, niech wedle zwyczaju przysła osoby znakomite, a nie niewolników. Pomimo to tym brudasom świadczone grzeczności i ofiarowano przez nich kryształki błękitne na znak pokoju, aby ułagodzić umysły.

Następnego dnia zjawilo się trzydziestu znakomitych Indian w pięknych opończach; przynieśli kury, ryby, owoce i chleb kukurydziany. Prosilili Korteza o pozwolenie spalenia i pogrzebania poległych we wczorajszej bitwie, aby trupy nie zatruwały powietrza i aby nie pożerały ich tygrysy i lwy. Pozwolenie to zaraz uzyskali, przeto spieszenie przywołali dużo ludzi, aby palić i grzebać wedle zwyczaju swoich poległych.

Z tego, co się Kortez dowiedział od nich, brakło im ośmuset ludzi, nie licząc rannych; oświadczyli, że nie mogą dłużej z nami traktować, bowiem na drugi dzień zejść się mają wszyscy naczelnicy i władcy okolicznych wsi, aby rozważać sprawę pokoju.

Kortez, jako człek bardzo zawsze bystry, zwrócił się z uśmiechem do towarzyszących mu żołnierzy:

„Wiecie, panowie, mam wrażenie, że Indianie bardzo lękają się koni, muszą mniemać, że to one, a także bombarde same z nimi wojnę wiodą. Aby ich w tym mniemaniu utrzymać, wymyśliłem rzecz taką: sprowadźcie

tutaj klacz Juana Sedeño, która onegdaj się ożrebiła, przywieźcie też ogiera muzykanta Ortiza — bardzo jest ognisty, niech poczuje odór klaczy, a kiedy go poczuje, odprowadzicie klacz i ogiera, każde w inną stronę na bok, aby kacykowie, którzy przyjsć mają, nie słyszeli rżenia ani nie widzieli ich, jak długo będą ze mną mówić".

Tak też zrobiono, jak rozkazał. Przyprawiono do kwatery Korteza klacz i ogiera, który poczuł jej odór. Ponadto wódz kazał przyciągnąć największą z armat, nabić ją dużą kulą i dobrze posypać prochem. Na to w samo południe nadeszło czterdziestu Indian, sami kacykowie o pięknym wyglądzie, w bogatych opończach, wedle swego zwyczaju pokłonili się przed Kortezem i przed nami, wydobyli kadzidła, okadzili nas wszystkich, którzy tam staliśmy, i prosili o przebaczenie tego, co się stało, obiecując swą życzliwość na przyszłość. Za pośrednictwem naszego tłumacza Aguilara Kortez odpowiedział z powagą, jakby zagniewany: wszakże widzieli, iż wielokroć ofiarowywaliśmy im pokój, oni zaś zawinili i zasłużyli, abyśmy ich wszystkich oraz wszystkich mieszkańców ich wsi wytracili. Jesteśmy wasalami wielkiego króla i pana, który wysłał nas w te strony, a nazywa się cesarz don Carlos; rozkazał, abyśmy wszystkim, którzy mu służyć zechcą, ofiarowali pomoc i opiekę. Jeżeli oni będą, jak zapewniają, rozsądni, doznają tego, jeżeli zaś nie, wypuści on niejaki *tepuzquez*, a te ich pozabijają (w ich języku żelazo nazywa się *tepuzque*), niektóre z nich są bowiem bardzo na nich zagniewane za to, że walczyli z nami. Potajemnie Kortez dał znak, aby przyłożyć lont do bombardy, która stała nabita, a ta zagrzmiała jak należy. Poszła kula bucząc ponad lasy, a że było południe i cisza wielka, ogromny huk się rozległ, zaś kacykowie, którzy nigdy takiej rzeczy nie widzieli, przerazili się i uwierzyli w to, co Kortez im mówił. Kortez dalej przez Aguilara przemawiał, aby nie lękali się, bowiem nakazał kuli, aby im żadnej szkody nie wyrządziła. W tej samej chwili przyprowadzono ogiera, który poczuł był klacz, i uwiązano go niedaleko Korteza. A że klacz uprzednio była trzymana w tym samym miejscu, gdzie obecnie Kortez rozmawiał z kacykami, ogier prychnął i rżał, i ryczał, i stawał dęba, wpatrując się uparcie w miejsce, gdzie stali Indianie, a gdzie poprzednio czuł odór klaczy. Kacykowie myśleli, że dzieje się to z ich powodu, i przestraszyli się bardzo. Kortez, widząc ich tak przełkniętych, wstał z krzesła, podszedł do konia, polecił pachołkom odprowadzić go, zaś Indianom powiedział, że nakazał koniowi, by im nic złego nie wyrządził, przychodzą bowiem z pokojem i życzliwością. Tymczasem nadeszło ponad pięćdziesięciu Indian, tragarzy, zwanych tam *tamemes* — przynieśli żywność: kury, ryby, rozmaite owoce. Pozostali w tyle i nie zdołali przybyć równocześnie z kacykami. Kortez długo rozmawiał z owymi naczelnikami i kacykami — zapowiedzieli, że nazajutrz przyniosą dary i pomówią o innych sprawach. Odeszli bardzo zadowoleni. Pozostawmy ich teraz aż do drugiego dnia.

*

Nazajutrz rano, a był to 15 marca 1519 r., przybyło wielu kacyków i naczelników z owego miasta Tabasco oraz ze wsi okolicznych, witając nas wszystkich z uszanowaniem; przynieśli dar złoty złożony z zausznic, czterech diademów, i kilku jaszczurek, dwóch jakby piesków i pięciu kaczuszek, dwóch masek indiańskich, dwóch złotych podeszew, jakby do sandałów, oraz wielu innych rzeczy mniej wartościowych; nie pamiętam nawet, ile to mogło być warte. Przynieśli również opończe, jakie tam wyrabiają, dobrze pikowane. Wszystkie te podarunki były niczym wobec dwudziestu niewiast, jakie przywiedli, a między nimi była jedna bardzo dostojna, zwana doña Marina, odkąd stała się chrześcijanką.

Kortez przyjął te podarunki z radością, po czym odszedł z Aguilarem, aby z kacykami rozmówić się na osobności. Powiedział im, że dziękuje za dary, ale o jedno ich prosi, niechaj zaraz rozkazą powrócić do miasta całej ludności, z kobietami i dziećmi, chce widzieć miasto zaludnione do dwóch dni, bo po tym poznać będzie można prawdziwy pokój. Kacykowie kazali zaraz zwołać wszystkich mieszkańców, z dziećmi i żonami, i do dwóch dni miejscowość została zaludniona. Prosił ich też, aby porzucili swoje bożki i zaniechali krwawych ofiar, przyrzekli, że tak postąpią. Po czym z pomocą Aguilara tłumaczył im Kortez, jak najlepiej potrafił, wszystko, co tyczyło świętej wiary naszej, mówił, że jesteśmy chrześcijanami, czcimy jedyne Boga i pokazał im święty obraz Matki Bożej z Najdroższym Synem na ręku. Powiedział: „Ten oto obraz czcimy, bo przedstawia ją taką, jaka jest w niebie Matka Naszego Pana Jezusa”. Kacykowie oświadczyli, że owa wielka *tececiguata* (tak się bowiem zowią wielkie damy w tych krajach) wydaje im się bardzo piękna, i prosili, aby mogli ją umieścić w swoim mieście. Kortez obiecał im ją dać i polecił zbudować pięknie wyrzeźbiony ołtarz, co rychło zostało wykonane.

Nazajutrz rano kazał Kortez dwom naszym cieślom wykonać wielki krzyż, po czym zapytał kacyków, dlaczego wypowiedzieli nam wojnę pomimo trzykrotnych nawoływań do pokoju. Zażądał, aby mu przywieziono Indianina, który nam służył za tłumacza, a potem uciekł nocą, ale nigdzie nie można go było znaleźć; dowiedzieliśmy się, że został zabity na ofiarę, gdyż za rady jego tak srogo zapłacili. Zapytał ich także, skąd pochodzi złoto i klejnoty, odpowiedzieli: „Stamtąd, gdzie zachodzi słońce”, i powtarzali: *Culua, México*, ale ponieważ nie wiedzieliśmy, co znaczy Culua i México, puściliśmy to mimo uszu. Z nami był inny tłumacz, imieniem Francisco, wzięty za czasów Grijalvy, nie rozumiał on języka kraju Tabasco, ale za to język kraju Culua, który jest meksykańskim, i na poły na migi, na poły słowami tłumaczył Kortezowi, że Culua znajduje się daleko i wymieniał Meksyk, ale myśmy go nie rozumieli. Po wybudowaniu ołtarza, ustawieniu krzyża i naukach brata de Olmedo,

owych dwadzieścia kobiet zostało ochrzczonych, zaś owa Indianka i pani, którą nam kacykowie przysłali, przyjęła imię doñi Mariny. Nie pomnę już imion innych kobiet, ale to nie ma znaczenia, dość, że były to pierwsze chrześcijanki Nowej Hiszpanii. Kortez każdemu oficerowi przydzielił jedną z nich, zaś ową doñę Marinę, że była urodziwa, mądra i śmiała, oddał Alonsowi Hernandezowi Puerto Carrero, który — jak wspomniałem — był wybitnym szlachcicem, a gdy ten odjechał do Hiszpanii, doña Marina została z Kortezem i miała z nim syna, imieniem don Martin Kortez.

W tej miejscowości pozostaliśmy dni pięć, aby leczyć rany, a także dlatego, że Kortez często rozmawiał uprzejmie z licznymi kacykami, mówił im o cesarzu, naszym władcy, którego wasalami jesteśmy, który rozkazuje licznym wielkim książętom, mówił i o tym, jak korzystnie byłoby dla nich poddać się jego władzy, bo gdyby się potrzeba zdarzyła, gdziekolwiek byśmy byli, przyjdziemy im z pomocą. Wszyscy kacykowie dziękowali mu bardzo i uznali się wasalami naszego wielkiego cesarza. Byli to pierwsi wasale w Nowej Hiszpanii, którzy uznali zwierzchność Jego Cesarskiej Mości.

Polecił też Kortez następnego dnia, a była to palmowa niedziela, aby przyszli z dziećmi i kobietami przed ołtarz oddać cześć świętemu obrazowi Naszej Pani i krzyżowi. Następnego dnia wczesnym rankiem przybyli na swych pirogach wszyscy kacykowie i naczelnicy z kobietami i dziećmi i ustawili się na placu, gdzie zbudowaliśmy kościół i krzyż; ścięto wiele gałęzi i wszyscy z wielkim nabożeństwem szliśmy w procesji. Ojciec Juan Diaz z zakonu braci Miłosierdzia przywdział szaty liturgiczne i odprawił mszę, a my trwaliliśmy w adoracji i całowaliśmy święty krzyż, zaś kacykowie i Indianie przypatrywali się. Po tej uroczystości podeszli dostojnicy i przynieśli Kortezowi coś dziesięć kur i ryby, i rozmaite jarzyny; pożegnaliśmy się z nimi, a jako było późno, siedliśmy na okręty i nazajutrz rano rozwinęliśmy żagle i płynąc wzdłuż wybrzeży, szczęśliwie pożeglowaliśmy do San Juan de Ulua.

*

Zanim zacznę opowiadać o wielkim Montezumie i jego wspaniałym Meksyku i Meksykanach, chcę opowiedzieć o doni Marinie, która od dzieciństwa była panią i władczynią ludów i wasalów. Było to tak: jej rodzice byli kacykami i władcami miasta zwanego Painala, któremu podlegały inne, pomniejsze; leżało ono w odległości ponad ośmiu mil od miasta Guazacualco. Ojciec umarł, kiedy była małym dzieckiem, matka zaś wyszła ponownie za pewnego młodego kacyka i miała z nim syna. Zdaje się, że ogromnie to dziecko kochali i ułożyli, że oddadzą mu władzę, kiedy dośnie, aby zaś nie było przeszkody, pewnej nocy, gdy nikt tego nie widział,

oddali małą dońę Marinę Indianom z Xicalango i ogłosili, że umarła. Złożyło się, że równocześnie umarła córeczka jednego z niewolników, oni zaś rozpuścili wieść, że to była właśnie dziedziczka. Indianie z Xicalango wydali ją Indianom z Tabasco, a ci Kortezowi. Sam poznałem jej matkę oraz jej przyrodniego brata. Po nawróceniu stara kobieta nazywała się Marta, a syn jej Lázaro. Wiem o tym dobrze, bo w roku 1523, po zdobyciu Meksyku i innych prowincji, kiedy zbuntował się Cristóbal de Olid, Korteż, wyprawiwszy się przeciw niemu, przechodził przez Guazacualco. We wszystkich walkach o Nową Hiszpanię, Tlaxcala i Meksyk doña Marina okazała się wyjątkową kobietą i doskonałym tłumaczem i dlatego Korteż stale woził ją ze sobą. Podczas jednej z wypraw w mieście Orizaba ożenił się z nią szlachcic nazwiskiem Juan Jaramillo. Doña Marina miała wielkie poważanie i absolutny posłuch między Indianami całej Nowej Hiszpanii.

Korteż w czasie pobytu w mieście Guazacualco zwołał wszystkich kacyków owej prowincji, aby ich pouczać o świętej wierze naszej. Przybyła i matka doñi Mariny, i jej brat przyrodni Lázaro. Doña Marina opowiedziała mi, że pochodzi z tego kraju i była jego prawowitą panią, wiedział o tym Korteż i tłumacz Aguilar. Kiedy nadeszła jej matka i brat, poznali się i przekonali oczywiście, że była to córka, bowiem bardzo była do matki podobna. Zatrwożyli się, mniemając, że przywołała ich, aby ukarać ich śmiercią, i wybuchnęli płaczem. Kiedy zobaczyła ich płaczących, doña Marina zaczęła ich pocieszać, mówiąc, aby się nie lękali, bowiem kiedy wydali ją Indianom z Xicalango, nie zdawali sobie sprawy z tego, co czynią. Ona im przebaczyła i teraz obdarzy ich klejnotami ze złota i szatami, niech spokojnie wracają do swego miasta. Bóg jej uczynił wielką łaskę, bowiem porzuciła bożki i stała się chrześcijanką. Ma teraz syna ze swym panem i władcą Korteżem, jest zamężna ze szlachcicem Juanem Jarmillo i choćby ją chcieli zrobić władczynią wszystkich prowincji Nowej Hiszpanii, nie przyjęłaby tego, bo ponad wszystko na świecie woli służyć swemu mężowi i Korteżowi. Doña Marina znała język Guazacualco panujący w Meksyku i język Tabasco, podobnie jak Aguilar znał język Jukatana i Tabasco, tak że porozumiewali się łatwo, zaś Aguilar tłumaczył dla Korteza na hiszpański. Bez pomocy doñi Mariny, nie moglibyśmy rozumieć języka Nowej Hiszpanii i Meksyku.

Jak przybyliśmy z całym konwojem do San Juan de Ulua i czegośmy tam doznali, o poselstwie wielkiego Montezumy i jak wybraliśmy Korteza naczelnym wodzem

W Wielki Czwartek roku 1519 cała armada weszła do portu San Juan de Ulua, a że pilot Alaminos znał go dobrze z czasów, gdy byliśmy tam z Juanem de Grijalva, zaraz polecił zarzucić kotwicę w miejscu pewnym, gdzie okręty byłyby bezpieczne przed wiatrem północnym. Na okręcie kapitańskim wciągnięto na maszty sztandary królewskie i proporczyki. W pół godziny po naszym przybyciu podpłynęły ku nam dwie łodzie (w tych okolicach zwane pirogami) pełne Indian meksykańskich. Zbliżyły się do największego okrętu, zdobnego sztandarami, bo wydawał się im okrętem wodza. Indianie oświadczyli, że pragną mówić z wodzem, wstąpili na okręt i zapytali, który jest *tatuan*, to jest w ich języku „pan”. Doña Marina wskazała im Korteza. Indianie wedle swego zwyczaju przywitali go uniżenie, życzyli powodzenia i oświadczyli, że przysła ich jeden z wasali wielkiego Montezumy, aby się dowiedzieć, kto jesteśmy i czego tu szukamy, a jeżeli czegoś potrzebujemy dla siebie i dla okrętów — powiedzmy, a zaraz nam dostarczą. Korteż przez dwóch tłumaczy, Aguilara i dońę Marinę, wyraził im podziękowanie, ugościł ich i napoił oraz obdarował błękitnymi naszyjnikami. Kiedy posilili się, oświadczył, że przybyliśmy, aby ich poznać, zawrzeć z nimi układ, że nie zamyślamy im czynić krzywdy i że nasze przybycie do tej ziemi mogą uważać za szczęście. Posłowie odeszli bardzo zadowoleni. Następnego dnia, a był to Wielki Piątek, wyładowaliśmy konie i artylerię na wydmach piaszczystych bardzo wysokich, nie ma tam bowiem równin, tylko wydmy piaszczyste. Armaty ustawiono, jak Mesie, artylerzyście, zdawało się najwłaściwiej. Zbudowaliśmy ołtarz, przy którym zaraz odprawiono mszę świętą. Skleciliśmy szałas z gałęzi dla Korteza i dla innych oficerów i w trzystu żołnierza przyciągnęliśmy drzewo na schronienie dla nas. Konie umieszczono w miejscach bezpiecznych i na tym zeszedł dzień święty. Nazajutrz, w sobotę, w wigilię Zmartwychwstania, przybyło mnóstwo Indian przysłanych przez namiestnika Montezumy, który nazywał się Pitalpitoque — myśmy go następnie przezwali Obandillo — przynieśli oni siekiery, aby zbudować szałas dla wodza Korteza oraz szopy w pobliżu; pokryli je wielkimi płachtami dla ochrony przed słońcem, był bowiem okres wielkiego postu i panowały tam straszne upały. Przynieśli także kury, chleb kukurydziany i śliwki, była to bowiem ich pora. Zdaje mi się, że także ofiarowali Kortezowi jakieś klejnoty ze złota i zapowiedzieli, że następnego dnia przybędzie namiestnik z większymi zapasami. Korteż podziękował im serdecznie i polecił dać w zamian rozmaite przedmioty, z czego byli bardzo zadowoleni.

Nazajutrz, w dzień Wielkiej Nocy, przybył zapowiadany namiestnik, nazywał się Tendile; był to kupiec. Jemu towarzyszył Pitalpitoque, wielka znakomitość pomiędzy nimi, towarzyszyli im też liczni Indianie niosąc podarunki: kury i różne jarzyny. Tendile kazał im zatrzymać się w pewnej odległości, sam zaś złożył trzy pokłony przed Kortezem i wszystkimi żołnierzami znajdującymi się wokoło. Korteż przez tłumaczy wyraził radość z ich przybycia, uściskał ich i prosił, aby poczekał, bo chce z nimi mówić trochę później. Tymczasem polecił ustroić ołtarz, jak można było najlepiej w tak krótkim czasie, i mszę świętą śpiewał brat Bartolomé de Olmedo, śpiewak znamienity, zaś asystował mu ojciec Juan Diaz. Mszy słuchali obaj namiestnicy i dostojnicy przez nich sprowadzeni. Po mszy śniadał Korteż, kilku oficerów i obaj Indianie, ambasadorowie wielkiego Montezumy. Po usunięciu stołów Korteż odszedł na bok z owymi kacykami i dwoma tłumaczami i powiadomił ich, że jesteśmy chrześcijanami i wasalami największego władcy na świecie, cesarza don Carlosa, który panuje i rządzi licznymi wielkimi książętami. Z jego to rozkazu przybyliśmy tutaj, na tę ziemię, bo od wielu lat słyszał o ich istnieniu i o ich wielkim władcy. Pragnie w nim mieć przyjaciela, temu w cesarskim imieniu Korteż ma wiele rzeczy do powiedzenia, pragnie też porozumieć się przyjaźnie z jego Indianami i wasalami. Dlatego chciałby wiedzieć, gdzie mogliby się spotkać.

Tendile odpowiedział wyniośle: „Ledwieście przybyli, a już chcesz z nim mówić?! Przyjmij na razie dary, jakie ci ofiarujemy w imieniu naszego pana, a później mi powiesz, czego sobie życzysz”.

Zaraz też wyciągnął ze szkatułki, jakby z małego sepecika, liczne przedmioty ze złota, pięknie wykonane i bogate, kazał przynieść dziesięć zwojów białych bawełnianych tkanin i pióra godne podziwu oraz inne rzeczy, których nie pomnę, a także wiele żywności, kur, owoców i ryb pieczonych. Korteż przyjął to z uśmiechem i łaskawością i dał im w zamian naszyjniki z paciorków oraz inne kryształki z Kastylii i prosił, aby polecił swoim ludziom handlować z nami, bowiem przywiózł wiele naszyjników do wymiany na złoto. Obiecali mu to. Później dowiedzieliśmy się, że ów Tendile i Pitalpitoque byli namiestnikami prowincji niedawno podbitych. Korteż kazał przynieść fotel zdobny piękną markieterią i kilkoma *margaritas* — drogimi kamieniami pięknie żyłkowanymi — wyścielony poduszkami z piżmem, aby dobrze woniały, naszyjnik z fałszywych brylantów, czapkę karmazynową z medalionem złotym, na którym święty Jerzy dzida smoka przebija; polecił Tendilemu jak najrychlej wysłać te dary Montezumie: fotel, aby na nim zasiadł, kiedy Korteż przyjdzie z nim mówić, ową czapkę niech włoży na głowę, te zaś kamienie i wszystko inne polecił król, nasz pan, ofiarować Montezumie na znak przyjaźni, aby wiedział, jak wielkim jest władcą, i aby wyznaczył miejsce spotkania. Tendile przyjął dary i odpowiedział, że Montezuma jest równie wielkim władcą i rad będzie poznać naszego wielkiego króla. Obiecał dary wręczyć naj-

rychlej i przynieść odpowiedź. Zdaje się, że Tendilemu towarzyszyli wielcy malarze, których tylu jest w Meksyku, i że kazał on odmalować z natury twarz i postać Korteza oraz wszystkich oficerów i żołnierzy, okręty, żagle, konie, dońę Marinę i Aguilara, nawet obie charcice, armaty, kule i całe wojsko, jakie przywiedliśmy, i zaniósł to swojemu panu.

Kortez polecił artylerzystom nabić armaty potężną ilością prochu, aby przy wystrzale huk był wielki. A Pedrowi de Alvarado dać koniom podpieranie z dzwoneczkami, aby poddani Montezumy oglądali je w biegu. Sam Kortez wsiadł na konia, mówiąc: „Dobrze byłoby, gdyby można galopować przez wydmy, ale zauważyliby, że zapadamy się w piasku. Wyjdźmy na twardą plażę i galopujmy dwójkami”.

Pedro de Alvarado na czele kawalkady jechał na swej kasztance, śmigłej i zwinnej. Wszystko to działo się na oczach ambasadorów. Pragnąc pokazać armaty, Kortez prosił ich, aby zawrócili, chce bowiem porozmawiać jeszcze z kacykami. Wówczas zapalono lonty, właśnie była cisza i pociski poszły w lasy, pękając z wielkim hukiem. Namiestnicy i wszyscy Indianie przerazili się rzeczy tak niezwykłych dla nich i kazali to odmalować swym malarzom, aby pokazać Montezumie.

Zdarzyło się, że jeden z żołnierzy miał hełm lekko złocony choć brudny. Tendile, który był bardziej spostrzegawczy niż jego towarzysze, prosił o pozwolenie oglądnięcia go, bowiem podobny jest do hełmu pozostawionego przez ich przodków. Zdobi ten hełm obecnie głowę ich boga Uichilobosa i pan jego Montezuma byłby szczęśliwy, gdyby mógł go zobaczyć. Dano mu przeto ów hełm. Kortez zaś rzekł, że chciałby wiedzieć, czy złoto tego kraju jest podobne do złota wydobywanego z naszych rzek, i prosił, aby odesłano ów hełm napełniony złotym piaskiem, chce to bowiem przesłać naszemu cesarzowi. Po tym wszystkim Tendile pożegnał Korteza i obiecał rychło powrócić z odpowiedzią. Kiedy odszedł, dowiedzieliśmy się, że był to najbardziej oddany sługa Montezumy, dotarł do celu i zdał sprawę z wszystkiego swemu panu, pokazał mu rysunki, jakie polecił być zrobić, i doręczył podarunki przysłane przez Korteza. Wielki Montezuma, ujrzawszy to, trwał w podziwieniu bardzo zadowolony, a skoro ujrzał hełm, taki sam jak hełm Uichilobosa, nabrał przekonania, że jak przepowiadali jego przodkowie, byliśmy ludźmi, którzy mieli przyjść zawładnąć tą ziemią.

*

Kiedy Tendile oddalił się z podarunkami przesłanymi przez Korteza panu jego, Montezumie, w naszym obozie pozostał drugi namiestnik, Pitalpitoque; zajął on szalasy oddalone od naszych i tam przychodziły Indianki, które piekły chleb kukurydziany, przynosiły kury, owoce i ryby. Korzystali z tego Kortez i oficerowie, którzy z nim jadali, my zaś, żoł-

nierze, bylibyśmy pomarli z głodu, gdybyśmy nie zbierali mięczaków i nie łowili ryb. Wówczas z wiosek, którymi rządzą namiestnicy Montezumy, przynosili liczni Indianie złoto i klejnoty małej wartości, a także kury na zamianę za nasze towary, najczęściej za paciorki zielone i kryształy oraz inne ozdoby, dzięki czemu utrzymywaliśmy się, bowiem prawie wszyscy żołnierze, nauczeni doświadczeniem z czasów de Grijalvy, mieliśmy przedmioty na zamianę. Tak przeszło sześć albo siedem dni. Tymczasem pewnego ranka zjawił się Tendile z ponad setką obładowanych Indian. Przybył z nim wielki kacyk meksykański, z rysów twarzy i postaci podobnych do kapitana Korteza. Umyślnie wysłał go wielki Montezuma, bowiem opowiadali, że kiedy Tendile przyniósł portret Korteza, wszyscy dostojnicy z otoczenia Montezumy orzekli, że jeden z nich, imieniem Quintalbor, jest zupełnie podobny do Korteza. Podobny był tak ogromnie, że w naszym obozie słyszało się tylko: Kortez tu, Kortez tam. Ale opowiedzmy jego przybycie.

Ledwie Tendile stanął przed Kortezem, ucałował ziemię, przynieśli misy gliniane z kadzidłem i okadzili jego i wszystkich nas, otaczających go żołnierzy. Kortez przyjął ich serdecznie i posadził koło siebie. Ów dostojnik, który przybył z tymi darami, a jak mówiłem zwał się Quintalbor, miał polecenie porozumieć się z nami, podobnie jak Tendile. Po powitaniu nas na tej ziemi i po wstępnych rozmowach rozkazał wyjąć przyniesione dary i rozłożyć je na matach zwanych *petates*, które przykryto innymi tkaninami. Pierwszym darem było koło w kształcie słońca z bardzo zacnego złota, tak wielkie, jak koło u wozu, kunsztownie rzeźbione, rzecz spodziwna! Mówili potem, ci którzy je wazyli, że warte było ponad dziesięć tysięcy pesos. Następnie jeszcze większe koło srebrne, wyobrażające księżyc z licznymi promieniami i różnymi wyrzeźbionymi figurami, było bardzo ciężkie i wielkiej wartości. Przyniósł też kask pełen ziarnistego złota, takiego, jakie wydobywają z kopalni, wartości trzech tysięcy pesos. Owo złoto z kasku ceniliśmy sobie więcej, niż gdyby nam byli przynieśli dwadzieścia tysięcy pesos, bowiem świadczyło o istnieniu w tym kraju bogatych kopalń złota. Ponadto przyniósł dwadzieścia złotych kaczek przedniej roboty, bardzo wiernie przedstawionych, kilka jakby psów, w rodzaju tych, jakie tam trzymają, i liczne złote wyobrażenia tygrysów, lwów i małp, dziesięć naszyjników bardzo delikatnej roboty oraz inne wisiorki, dwanaście strzał i łuk z cięciwą, i dwie laski sędziowskie na pięć piędzi długie. Wszystko było z najprzedniejszego złota dętej roboty. Po czym rozkazał przynieść ozdoby ze złota i bogatych zielonych piór, zaś inne srebrne oraz takie same wachlarze; dalej rozmaitą zwierzynę z dętego złota — było tych rzeczy tyle, że po upływie wielu lat nie przypominam sobie wszystkiego. Następnie kazał przynieść ze trzydzieści zwojów tkanin bawełnianych przedniej jakości, z różnymi haftami i piórami różnokolorowymi, których było tyle, że nie kuszę się o opisywanie ich, bo nie

potrafiłbym. Złożywszy to wszystko, wielki kacyk Quintalbor i Tendile prosili Korteza, aby wdzięcznym sercem przyjął te dary, które ich pan przysyła, i rozdzielił je pomiędzy demonów i ludzi, którzy mu towarzyszą. Korteż przyjął to z radością. Ambasadorowie oznajmili, że chcą sprawić poselstwo, z jakim od Montezumy przybyli: po pierwsze, cieszy go, że nawiedzili kraj jego ludzie tak dzielni, jak o nas opowiadają — wiedział już bowiem o wypadkach w Tabasco — dalej, że bardzo pragnąłby poznać naszego wielkiego cesarza, który w tak odległych ziemiach, skąd przybyliśmy, wiedział o nim, pośle mu dar w drogich kamieniach i jak długo będziemy przebywali w tym porcie, we wszystkim, co możliwe, usłuży nam chętnie, ale co się tyczy spotkania z nim, nie ma co o tym myśleć, bowiem są wielkie trudności.

Korteż znów zaczął dziękować uprzejmym wyrazem twarzy, prawił wiele grzeczności i serdeczności obu ambasadorom, dał każdemu po dwie koszule z holenderskiego płótna, błękitne diamenty oraz inne drobnostki i prosił, aby powrócili do Meksyku zdać panu swemu, Montezumie, następujące poselstwo: przepłynęliśmy tyle mórz i przybyliśmy z tak odległych krain jedynie po to, aby go oglądać twarzą w twarz i rozmówić się z nim, a gdybyśmy powrócili nie dopełniwszy tego, źle przyjąłby nas nasz wielki król i władca. Dlatego gotów jest udać się, gdziekolwiek mu Montezuma wyznaczy, aby polecenie wypełnić. Ambasadorowie odpowiedzieli, że nie warto nawet myśleć o tym. Przesłał też Korteż przez tych ambasadorów z naszych marnych zasobów wielki puchar kryształowy z Florencji, złożony i rżnięty w rozmaite gałązki i sceny łowieckie, trzy koszule holenderskie oraz inne przedmioty i prosił o odpowiedź. Dwaj ambasadorowie odeszli, pozostał tylko Pitalpitoque, któremu, jak się zdaje, polecili owi dwaj służalcy Montezumy dbać o dostarczanie żywności z pobliskich wsi.

*

Po odesłaniu posłów do Meksyku Korteż wyprawił dwa okręty pod kapitanem Franciskiem de Montejo na zbadanie dalszego wybrzeża i polecił płynąć tą samą drogą, jaką odbyliśmy z Juanem de Grijalva, bowiem ów Montejo należał był — jak wspomniałem — do tamtej naszej wyprawy. Nakazał im szukać bezpiecznego portu, gdzie byśmy mogli obozować, bowiem zdał sobie sprawę, że na tych wydmach z powodu moskitów, i do tego tak daleko od osiedli, nie będziemy mogli wytrzymać. Alaminos i Juan Alveraz „Mańkut” mieli płynąć jako piloci, bo znali drogę, i przez dziesięć dni płynęli wzdłuż wybrzeża, jak można było najbliżej. W ten sposób, tak jak im zlecono, przybyli w okolice wielkiej rzeki w pobliżu Panuco — dalej nie mogli płynąć dla silnych prądów. Była to ta sama rzeka, do której ujścia weszliśmy w czasie wyprawy pod Juanem de Grijalva. Wobec złych warunków żeglugi oba okręty zawróciły do San Juan De Ulua, nie zapusz-

czając się dalej. Jedyne o dwanaście mil stamtąd ujrzeli miasto, jakby port ufortyfikowany, zwało się ono Quiauitlan. Przy mieście była przystań i pilotowi zdawało się, że tam mogą być okręty bezpieczne od północnego wiatru. Portowi nadano nieładną nazwę Bernal, dla jego podobieństwa z innym portem Hiszpanii tak nazwanym. Na tych wywiadach zeszło kapitanowi de Montejo dziewięć lub dwanaście dni.

Wróć teraz wstecz, aby powiedzieć, że Indianin Pitalpitoque, który pozostał, aby nam dostarczać żywności, tak się zaniedbał, że nic do obozu nie przynosił, i zostaliśmy pozbawieni spży, bo chleb maniokowy zgorzkniał, spleśniały, przegniły i zanieczyszczony przez robactwo. Gdybyśmy nie zbierali mięczaków, nie jedlibyśmy zgoła. Indianie, którzy dostarczać mieli złota i kur na wymianę, przychodzili nieliczni, a nawet ci okazywali się nieufni i zalęknieni. Z godzinę na godzinę wyczekiwaliśmy posłów wysłanych do Meksyku. W tym położeniu zastał nas Tendile, który nadszedł z licznymi Indianami i po odprawieniu ceremonii zwykłego powitania i okadzenia Korteza oraz nas wszystkich, oddał dziesięć zwojów bogatych tkanin, zdobnych piórami, bardzo pięknych i bogatych, cztery *chalchiuis*, czyli zielone kamienie wielkiej wartości, bardziej cenione niż szmaragdy, oraz pewną ilość przedmiotów ze złota, które nie licząc owych *chalchiuis*, warte były trzy tysiące pesos. Obecni byli Tendile i Pitalpitoque, bowiem wielki kacyk, imieniem Quintalbor, zachorowawszy w podróży, nie powrócił. Ci usunęli się na ubocze z Kortezem i doną Mariną i rzekli, że król Montezuma przyjął dary i radował się nimi, ale co do spotkania — niech więcej o tym mowy nie będzie. Owe drogie kamienie *chalchiuis* przysyła król dla wielkiego cesarza, są one tak cenne, że każdy z nich wart dobrego ładunku złota. W wysokim poważaniu ma on cesarza, ale niech więcej nie wysyła posłów do Meksyku.

Kortez podziękował za dary, ale ciężko mu było słyszeć, że nie będziemy mogli ujrzeć wielkiego Montezumy, i mówił do żołnierzy, którzy staliśmy przy nim: „Zaiste, musi to być wielki i bogaty władca, ale jeśli Bóg pozwoli, przyjdzie dzień, kiedy go ujrzemy”. Wszyscy odpowiedzieliśmy: „Już chcielibyśmy być koło niego”.

Przypominam sobie, że kiedy po raz ostatni Indianie przynieśli na zamianę złoto małej wartości, wszyscy żołnierze wymieniali z nimi; złoto to oddawaliśmy potem rybakom w zamian za ryby, aby mieć co jeść, inaczej groził nam głód. Kortez sprzyjał temu, choć udawał, że o niczym nie wie. Natomiast liczni służalcy i przyjaciele Diega Velazqueza szemrali, aby zakazał tej wymiany.

*

Przyjaciele Diega Velazqueza, widząc, że niektórzy żołnierze wymieniają złoto, pytali Korteza, dlaczego pozwala na to zamiast wysłać złoto

Diegowi. Żądali, aby zakazał wymiany i przeprowadzał ją osobiście; wszyscy powinni deklarować posiadane złoto, aby odciągnąć od tej ilości kwintę królewską; żądali, aby zamianował skarbnika, który by miał nad tym pieczę. Korteż przyznał im słuszość, polecił im samym wybrać skarbnika, którym został niejaki Gonzalo Mexia. Kiedy się to stało, Korteż gniewnym głosem odezwał się: „Zważcie, panowie, że nasi towarzysze cierpią głód z powodu braku żywności, dlatego patrzyłem na to przez palce, aby wszyscy jedli, tym bardziej że to, co zamieniają, to jest lichota, z pomocą bożą zdobędziemy więcej. Wszystkie sprawy mają swoją dobrą i złą stronę. Zakaz wymiany już ogłosiłem, zobaczymy co będziemy odtąd jedli”.

Pewnego ranka znikli wszyscy Indianie z szałasów, którzy przynosili nam jadło, oraz ci, którzy przychodzili dla zamian, z nimi razem znikł Pitalpitoque — uciekli bez jednego słowa. Jak się później dowiedzieliśmy, stało się to na rozkaz Montezumy, który zakazał wszelkich stosunków z Korteżem i z jego otoczeniem, bowiem, jak się zdaje, miał on wielkie nabożeństwo do swoich bożków, którymi byli Tezcatepuca i Uichilobos. Jeden był bogiem wojny, a Tezcatepuca bogiem piekieł, i co dzień zabijano im na ofiarę młodzieńców, aby otrzymać od nich odpowiedź, jak należy z nami postąpić. Montezuma bowiem postanowił, że jeśli nie odpłyniemy, pochwyci nas, abyśmy się tam rozplodzili i aby mieli na przyszłość kogo zabijać na ofiarę. Dowiedzieliśmy się później, że bogowie doradzili mu, aby nie słuchał więcej Korteza ani tego, co on opowiada o krzyżu, i nie pozwolił wnosić do miasta obrazu Matki Bożej. Dlatego wszyscy uciekli bez zapowiedzi. Dowiedziawszy się o tym, byliśmy przekonani, że rozpocznie się walka, i bez przerwy mieliśmy się na baczności. Pewnego dnia, kiedy z drugim żołnierzem stałem na warcie na piaskach wydmy, ujrzeliśmy zbliżających się pięciu Indian i aby nie czynić alarmu w obozie dla błażej rzeczy, pozwoliliśmy im przybliżyć się do nas. Z wesołym wyrazem twarzy pokłonili się nam wedle zwyczaju i na migi żądali, abyśmy ich zaprowadzili do obozu. Poleciłem memu towarzyszowi pozostać na miejscu, sam zaś poszedłem z nimi, bo wówczas nie ciążyły mi tak nogi, jak obecnie, kiedy jestem stary. Ledwie stanęli przed Korteżem, pokłonili się unieżenie i powiedzieli: *Lope luzio, lope luzio*, co w języku totonaskim znaczy: „Pan, wielki pan”. Mieli przekute wargi wielkimi otworami, a w nich pierścienie z kamienia o niebieskich żyłkach albo zdobne złotymi gałązkami, w uszach zaś inne pierścienie ze złota i kamieni. Stroje ich i mowa różniły się bardzo znacznie od meksykańskich. Doña Marina była przy tym obecna, ją też przywitali unieżenie, mówiąc *Lope luzio*, ale nie rozumiała. Zapytała przeto w języku Meksyku, czy nie ma wśród nich jakichś *nahuatlatos*, tłumaczy z języka meksykańskiego. Odpowiedziało dwóch spośród owych pięciu, że rozumieją ten język, życzyli nam szczęśliwego przybycia i oświadczyli, że ich władca, który pragnie dowiedzieć się, kto jesteśmy, i rad będzie usłużyć ludziom tak odważnym,

przysła ich, bo jak się zdawało, wiedział już, co się działo w Tabasco i w Potonchanie. Mówili też, że byliby dawniej przyszli nas odwiedzić, gdyby nie lęk przed Culuańczykami, którzy przebywali z nami — Culuańczycy znaczyło to Meksykanie, tak jak my powiedzielibyśmy Kordobańczycy lub Sewillanie — wiedzieli, że przed trzema dniami uciekli oni do swego kraju. Tak tedy, od słowa do słowa, Korteż dowiedział się, że Montezuma ma wrogów i przeciwników, i ucieszył się tym. Odprawił owych pięciu posłów z darami i uprzejmościami, aby zapowiedzieli swemu władcy, że niebawem go odwiedzi. Owych Indian nazywaliśmy odąd *lipes luzios*.

*

Na tych wydmach, gdzie staliśmy, było mnóstwo moskitów zarówno długonogich, jak małych, zwanych *xexenes*, które są gorsze od dużych. Nie mogliśmy spać przez nie, żywności brakło, chleb maniokowy spleśniał, był przegniły i pełen robaków, więc niektórzy żołnierze, którzy mieli Indian na Kubie, wzdychali do powrotu w domowe pielesze, zwłaszcza byli to słudzy i przyjaciele Diega Velazqueza. Kiedy Korteż spostrzegł, jak się rzecz ma i jakie są ich chęci, polecił, abyśmy przenieśli się do miejscowości zwiedzanej przez kapitana Montejo i pilota Alaminosa, do owej twierdzy zwanej Quiauiztlan, gdzie okręty stanęłyby pod osłoną skały, o której wspomniałem. Gdy się przygotowywano do tej podróży, przyjaciele i krewni Diego Velazqueza pytali, po co chce przedsiębrać ową żeglugę bez spyży, wykazywali, że niemożliwością jest płynąć dalej, bowiem ponad trzydziestu pięciu żołnierzy zmarło już w obozie od ran poniesionych w Tabasco, z chorób i głodu. Kraj jest ogromny, wsie bardzo liczne, lada dzień wydadzą nam wojnę, najlepiej powrócić na Kubę, zdać Diegowi Velazquezowi rachunek ze złota uzyskanego z zamian, którego była znaczna ilość, oddać z darów Montezumy słońce, księżyc srebrny, hełm pełen drobnego kopalnianego złota i wszystkie klejnoty wyżej wspomniane. Korteż odpowiedział, że nie była to rada dobra, aby wracać nie wiadomo dlaczego, jak dotąd nie mogliśmy uskarżać się na los i powinniśmy dziękować Bogu, że nas we wszystkich sprawach wspomagał, co się zaś zmarłych tyczy, zdarza się to zawsze w wojnach i trudach. Lepiej zbadać kraj, bo póki mamy zręczne ręce, jeść będziemy mieli co pośród tyłu pól kukurydzianych i żywności, jaką rozporządzają Indianie i okoliczne wsie. Ta odpowiedź uspokoiła nieco zwolenników Diego Velazqueza, choć nie na długo. Wiele było pośród nich zebrań i rozprawiań, co do powrotu na Kubę.

*

Tymczasem Kortez porozumiał się z Alonsem Hernandezem Puerto Carrero, z Pedrem de Alvarado i jego czterema braćmi, z Cristobalem de Olid, Alonsem de Avila, Juanem de Escalante, Franciskiem de Lugo, ze mną oraz z innymi szlachcicami i oficerami, żebyśmy go obrali naczelnym wodzem. Francisco de Montejo dowiedział się tego i miał się na baczności. Pewnego dnia po północy przyszedli do mego szałasus Alonso Hernández Puerto Carrero, Juan de Escalante i Francisco de Lugo, z którym byłem nieco spokrewniony i z którym pochodziliśmy z jednych stron, i rzekli: „Ach, panie Bernalu Diazie del Castillo, wyjdźcie, prosimy, uzbrojeni na obchód obozu, mamy towarzyszyć Kortezowi w ronie”.

Ledwieśmy się oddalili od szałasus, rzekli: „Uważcie, mości panie, i zachowajcie to w tajemnicy, co chcemy wam powiedzieć. Rzecz to ważna bardzo i lepiej niech tego nie słyszą towarzysze z waszego szałasus, którzy należą do Partii Diega Velazqueza”.

Oto co mi rzekli: „Czyż nie wydaje wam się, że Diego Velazquez oszukał nas? Wszak mówił o Kubie, że udajemy się na osiedlenie, a teraz dowiadujemy się, że nie ma ku temu pełnomocnictw, ale jedynie na wymiany. Chcą, abyśmy wracali do Santiago de Cuba z całym zebraniem złotem, a tam Diego Velazquez oskubie nas i zabierze złoto. Rozważcie, panie, wszak byliście już trzykrotnie na wyprawach z Diegiem, traciliście zdrowie, narażaliście tylekroć wasze życie, odnosząc rany, rujnowaliście wasze mienie i ostaliście niemal w nędzy, powiedzcie nam, panie, dlaczego byśmy nie mieli zdążać dalej naprzód, wielu nas tu jest szlachty, waszej miłości przyjaciół, którzy uważamy, że ta ziemia powinna być osiedlona w imieniu Jego Królewskiej Mości przez Hernandeza Korteza, a zanim znajdzie się możliwość powiadomienia o tym naszego króla i pana w Kastylji, zależy nam, abyście, panie, oddali głos i abyśmy wszyscy jednomyślnie wybrali Korteza naczelnym wodzem ku pożytkowi Boga i naszego króla i pana”.

Odpowiedziałem, że powrót na Kubę to nie jest myśl szczęśliwa i dobrze byłoby na ziemiach tych się osiedlić, wybrać Korteza naczelnym wodzem i najwyższym sędzią, zanim Jego Królewska Mość inaczej postanowi.

Ta zmowa, idąc od żołnierza do żołnierza, doszła do uszu krewniaków i przyjaciół Diega Velazqueza, którzy byli od nas liczniejsi, nie przebiegając w słowach, zapytali Korteza, dlaczego używa podstępów, aby pozostać na tej ziemi, a nie odpływa, aby zdać sprawę temu, który go tu wysłał jako dowódcę wyprawy — Diego Velazquez nie przyjmie tego dobrze. Powinniśmy natychmiast się udać na okręty, porzucając kluczenie i tajne spiski z żołnierzami, bowiem brak żywności, brak także ludzi i możliwości pozwalających na kolonizację.

Kortez odpowiedział, tłumiąc gniew, że godzi się z tym, i nie postąpi

wbrew instrukcjom i poleceniom wydanym mu przez Diega Velazqueza. Zaraz też kazał ogłosić, że nazajutrz siadamy na okręty, każdy na ten sam okręt, na którym przybył. My zaś, którzy byliśmy w zмовie, odpowiedzieliśmy mu, że nie godzi się tak nas oszukiwać; na Kubie mówiło się, że udajemy się na osiedlenie, on zaś zajął się wymianą, przeto upominamy go w imieniu Boga, Pana Naszego, i Jego Królewskiej Mości, aby zaraz brał się do kolonizowania i nie zajmował się niczym innym, tego bowiem wymaga dobro i służba Bogu i Jego Królewskiej Mości. Wypowiedziano wówczas jeszcze wiele mądrych słów o tej sprawie, mówiono, że tubylcy kiedy indziej nie dopuszczą nas do wylądowania równie łatwo jak teraz, a gdy ziemie te zajmiemy, to zawsze z innych wysp pośpieszą nam żołnierze z pomocą. Diego Velazquez naraził nas na stratę, mówiąc, że posiada upoważnienie na osiedlanie, co nie było prawdą. My zaś chcemy kolonizować, a kto nie chce, niech zawraca na Kubę. Wobec tego Kortezy niby ustąpił, choć dawał się długo prosić. Jak mówi przysłowie: „Ty mnie błagasz, a ja tego pragnę”. Za warunek postawił, abyśmy go obrali najwyższym sędzią i wodzem naczelnym i co gorsze, abyśmy mu przyznali piątą część złota po odliczeniu kwinty królewskiej. Przyznaliśmy mu najdalej idące pełnomocnictwa w obecności notariusza królewskiego, nazwiskiem Diego de Godoy. Zaraz też poleciliśmy mu założyć, zbudować i zaludnić miasto, które miało nosić nazwę Villa Rica de la Vera Cruz, jako że przybyliśmy tam w Wielki Czwartek i zeszliśmy na ląd w Wielki Piątek.

Po założeniu miasta zamianowano burmistrza i ławników, a pierwszym burmistrzem zostali Alonso Hernández Puerto Carrero i Francisco de Montejo. Tego Montejo, który nie był Kortezowi przyjazny, zamianować kazał burmistrzem, aby go wprowadzić pomiędzy pierwszych dostojników. Ławników nie wymieniam, bo to nie ma znaczenia. Na placu ustawiono pręgierz, a poza miastem szubienicę, komendantem portu został Pedro de Alvarado, obożnym Cristóbal de Olid, naczelnikiem straży, czyli najwyższym *alguacilem*, Juan de Escalante. Powiem, dlaczego nie wymieniam w tej relacji kapitana Gonzala de Sandoval, który zdobył taką sławę i stał się drugą osobą po Kortezie, którego w wielkim poszanowaniu miał cesarz, nasz pan — otóż podówczas był on młodzieńcem i nie liczono się z nim, póki nie rozwinął się tak, że Kortezy i my wszyscy poważaliśmy go jak samego wodza.

*

Kiedy zwolennicy Diega Velazqueza ujrzeli, że wybraliśmy Korteza wodzem naczelnym i najwyższym sędzią, założyliśmy miasto i mianowali burmistrzów i ławników, a kapitana Pedra de Alvarado komendantem,

*

a także oboźnego i najwyższego alguacila, ogarnął ich gniew i wściekłość, zaczęli mnożyć manifesty i protesty, obrzucając obelgami Korteza i nas, którzyśmy go wybrali. Protestowali, że nie było rzeczą godziwą wybierać Korteza bez nich i że nie chcą pozostawać pod jego rozkazami, ale chcą powrócić na wyspę Kubę.

Kortez odpowiedział, że nikogo nie zatrzymuje siłą i ktokolwiek poprosi go o pozwolenie powrotu, otrzyma je chętnie, choćby nawet on, Kortez, miał pozostać sam. To uspokoiło wielu z nich z wyjątkiem Juana Velazqueza de Leon, krewniaka Diega Velazqueza, a także Diega de Ordaz i Escobara, zwanego „Paziem”, bowiem był sługusem Diega Velazqueza, oraz kilku innych druhów Diega. Rzecz doszła do tego, że nie chcieli mu w niczym być posłuszni, przeto Kortez za naszą zgodą postanowił uwięzić Juana Velazqueza de Leon, Diega de Ordaz, Escobara, zwanego „Paziem”, i Pedra Escudero oraz innych, nie pomnę już kogo, założono im kajdany i trzymano pod strażą, a myśmy pilnie strzegli, aby pozostali nie wywołali zamieszek.

Po wypełnieniu tego, o czym mówiłem, postanowiliśmy wysłać Pedra de Alvarado w głąb lądu, do pobliskich wsi, o których istnieniu wiedzieliśmy, aby poznał kraj i przywiózł kukurydzę oraz inną żywność, bowiem znajdowaliśmy się w wielkiej potrzebie. Zabrał stu żołnierzy, w tym piętnastu kuszników i sześciu muszkieterów, a wśród nich połowę zwolenników Diega Velazqueza. My i całe stronnictwo Korteza zostaliśmy przy nim z obawy, aby nie zaszły jakieś niepokoje i zamieszki przeciw niemu, dopóki rzecz nie będzie bardziej pewna. Alvarado dotarł do wsi zależnej od innej miejscowości, zwanej Cotastan. Mówiono tam językiem Culuańczyków, który jest językiem używanym w kraju Montezumy. Alvarado zastał owe miejscowości dopiero co całkowicie wyludnione, znalazł w jednej świątyni zabitych na ofiarę mężczyzn i chłopców, ściany świątyni i ołtarze bożków zalane krwią, a wydarte serca ofiarowane bożkom. Znalazł również głązy, na których zabijano ofiary, oraz noże krzemienne, którymi otwierano pierś, aby wyrwać serce. Opowiadał on, że u przeważnej liczby trupów brakło ramion i nóg, inni Indianie wyjaśnili, że odcięto je, aby je zjeść. Nasi żołnierze zdumiewali się bardzo nad takim okrucieństwem. Został Pedro de Alvarado w owych miejscowościach wielkie zapasy żywności, ale zdołał znaleźć tylko dwóch Indian do dźwigania kukurydzy — trzeba było obarczyć każdego żołnierza kurami i jarzynami. Powrócili do obozu nie wyrządzając żadnej szkody, bo tak im przykazał Kortez. W obozie uradowaliśmy się tymi niedużymi zapasami, które przynieśli, wszystkie bowiem boleści i trudy mijają, kiedy ma się co jeść.

Ponieważ Korteż wszystkiemu poświęcał wiele starania, udało mu się pozyskać przyjaciół pomiędzy zwolennikami Diega Velazqueza, jednym rozdając złoto, jakie posiadaliśmy, a które kruszy skały, innym czyniąc obietnice, przeciągnął ich na swoją stronę i uwolnił z więzienia, z wyjątkiem Juana Velazqueza de Leon, i Diega de Ordaz, którzy pozostali w więzach na okrętach, ale po kilku dniach również zostali zwolnieni i stali się odtąd prawdziwymi jego przyjaciółmi, jak się później okaże, a to dzięki złotu, które łągodzi wszystko.

Po uregulowaniu tych spraw, postanowiliśmy udać się do miejscowości ufortyfikowanej, zwanej Quiauitlan, zaś okręty pozostawić naprzeciw, w przystani pod skałą, w odległości mili. Weszliśmy w ujście rzeki, nad którą leży obecnie Vera Cruz, gdzie było dość głęboko, a potem na łodziach podobnych do niecek bądź wpraw, bądź na tratwach przeprawiliśmy się. Nad ową rzeką leżało kilka wsi podległych wielkiemu miastu Cempoal, stamtąd to pochodziło owych pięciu Indian ze złotymi pierścieniami w wargach, którzy przyszli w poselstwie do Korteza, a których tam, na wydmach, przewaliliśmy *lopes luzios*. Znaleźliśmy świątynie bożków i miejsce ofiar, i krew rozlaną, i kadzidła do okadzania oraz inne przedmioty kultu, i kamienie ofiarne, i pióra papuzie oraz wiele ksiąg z papieru, zszytych i składanych tak, jak w Kastylii składa się prześcieradła, ale nie zastaliśmy żywego ducha, bowiem Indianie uciekli ze strachu, bo nigdy nie widzieli ludzi nam podobnych ani koni.

Spędziliśmy noc na miejscu, nie mając nic do jedzenia, następnego dnia poszliśmy dalej w głąb ładu na zachód, porzucając wybrzeże i nie znając drogi. Znaleźliśmy piękne łąki, które tam nazywają sawannami, a na nich pasącą się płową zwierzyńcą, przypędził Pedro de Alvarado na swej kasztance, zranił jedną sztukę dzidą, ale nie zdołano jej pochwycić, uciekła do lasu. Wówczas ukazało się dwunastu Indian, mieszkańców owej wsi, gdzie nocowaliśmy, porozumiewszy się z kacykiem swoim, przynieśli nam kury, chleb kukurydziany i prosili, aby oświadczyć Kortezowi, że ich pan przysyła owe kury, abyśmy je pozywali, i zaprasza nas do swej siedziby, która stamtąd, wedle ich wskazówek, odległa była o jeden dzień drogi na zachód. Korteż podziękował im, prawiąc wiele grzeczności. Posunawszy się dalej, noc spędziliśmy w drugiej wsi niewielkiej, gdzie również miały miejsce liczne ofiary krwawe. A że przykro jest słuchać o tylu Indianach i Indiankach zabijanych na ofiarę, których znachodziliśmy we wszystkich miejscowościach i na drogach, pomnę to i opowiem, jak doszliśmy do Cempoalu.

*Jak weszliśmy do Cempoalu, który w owym czasie był znacznym miastem,
i co się tam zdarzyło*

Nocowaliśmy w wiosce, gdzie nas ugościło owych dwunastu Indian, i dobrze wywiadziawszy się o drogę, którą nam odbyć przyjdzie, aby dojść do miejscowości na skale, o świcie wysłaliśmy przez owych Indian wieść do kacyków w Cempoalu, że przybędziemy do ich miasta prosząc, aby to dobrze przyjęli. Innych sześciu zostało z nami jako przewodnicy. Kortez rozkazał opatrzyć działa, muszkiety i kusze, wysłać patrole w okolice, konnicy i żołnierzom kazał być w pogotowiu i w ten sposób doszliśmy o milę od miasta. W pobliżu niego spotkaliśmy dwudziestu Indian dostojnych, którzy wyszli nas powitać w imieniu kacyka. Przynieśli oni kilka ananasów bardzo pachnących, które ofiarowali Kortezowi i jeźdźcom mówiąc, że ich pan oczekuje nas w swoich komnatach, jest bowiem zbyt ciężki i otyły, aby nam wyjść na spotkanie. Kortez podziękował uprzejmie i udaliśmy się dalej w drogę. Kiedy znaleźliśmy się pomiędzy domami, przekonaliśmy się, że jest to wielkie miasto, jakiego dotąd nie widzieliśmy, i patrzyliśmy z podziwem. Wyglądało jakby wielki ogród z bogatą roślinnością. Ulice były pełne mężczyzn i kobiet, którzy wyszli, aby nas oglądać. Dziękowaliśmy Bogu, że oto odkryliśmy taki kraj. Nasi zwiadowcy konni dojechali do wielkiego placu — widzieli tam dziedzińce domów, które niedawno, jak się zdawało, zostały obielone, jak to oni umieją, i lśniły od białości. Jednemu z jeźdźców wydawało się, że owa białość to srebro i galopem zawrócił opowiedzieć Kortezowi, że Indianie mają ściany ze srebra, doña Marina i Aguilar odpowiedzieli, że jest to gips albo wapno, więc uśmialiśmy się z jego srebra i zapachu — odtąd dokuczaliśmy mu, że wszystko, co białe, bierze za srebro.

Przestaśmy jednak żartować i opowiedzmy, jak przybyliśmy do pałacu i otyły kacyk wyszedł na nasze przyjęcie na dziedziniec. Był to rzeczywiście wielki grubas i tak go będę odtąd nazywał. Złożył pokłon Kortezowi, okadził go, jak zwyczaj każe, a Kortez go uściskał. Zaprowadzili nas do komnat bardzo pięknych i obszernych, które nas wszystkich pomieściły. Ugoszczono nas, przynieśli nam kilka koszów owoców, jakich była obfitość w owej porze, oraz chleb kukurydziany. A jako przybyliśmy wygłodzeni i nigdy nie widzieliśmy tyle żywności, co tutaj, nazwaliśmy owo miasto Villaviciosa, czyli miasto przepychu, ja nazywałem je Sewillą.

Kortez nakazał żołnierzom, aby nie dopuszczali się żadnej swawoli i nie oddalali się od owego placu. Kiedy kacyk Grubas dowiedział się, że posililiśmy się, przysłał do Korteza, że chciałby go odwiedzić. Po czym nadszedł z licznym orszakiem znakomitych Indian, a wszyscy mieli złote pierścienie w wargach i bogate opończe. Kortez również wyszedł na

jego spotkanie i z wielkimi czułościami i komplementami uściskał go. Zaraz też kacyk Grubas polecił przynieść podarunek przygotowany, złożony ze złotych klejnotów i tkanin (było tego niewiele i małej wartości), i rzekł do Korteza: *Lope luzio, lope luzio*, przyjmij to po dobrej woli — jeśliby posiadał więcej, dałby więcej. Już powiedziałem, że w języku totonaskim znaczy to: „Pan, wielki pan”, kiedy mówią *Lope luzio, lope luzio*. Korteza za pośrednictwem dońi Mariny i Augilara odpowiedział, że zapłaci mu za to dobrą usługą, niech powiedzą, czego im potrzeba, on zaś to wypełni, jesteśmy bowiem wasalami tale wielkiego pana, jakim jest cesarz don Carlos, który rządzi licznymi królestwami i krajami i nas tu wysłał, abyśmy naprawiali krzywdy, karali zło i kazali zaprzestać krwawych ofiar z ludzi. Równocześnie mówił o wielu sprawach dotyczących naszej świętej wiary.

Ledwie tu usłyszał kacyk Grubas, zaczął wzdychać i skarżyć się na wielkiego Montezumę i jego namiestników, mówiąc, że przed niedawnym czasem zostali przez nich podbici, ograbieni ze wszystkich złotych klejnotów i są trzymeni w takim ucisku, że muszą być posłuszni Montezumie, który jest panem wielkich miast i ziem, ma licznych wasalów i wojowników. Korteza uznał, że trudno mu się rozeznąć w owych skargach w obecnej chwili, przeto odrzekł, że postara się krzywdy odplacić. Teraz musi wracać na *acales* — tak w języku Indian nazywają okręty — oraz założyć leże w miejscowości Quiauitlan, a kiedy się tam osiedli, będą się mogli widywać swobodnie. Kacyk Grubas odpowiedział bardzo uprzejmie. Następnego dnia opuściliśmy Cempoal. Czekają na nas ponad czterystu tragarzy, z tych, których zowią *tamemes* w owych okolicach. Nieśli oni po dwie arroby* ładunku na plecach i szliśmy z nimi pięć mil. Ujrzawszy tyłu Indian, tragarzy, ucieszyliśmy się, bowiem dotąd zawsze dźwigaliśmy na własnych plecach nasze wory. Doña Marina i Aguilar powiedzieli nam, że w tych okolicach w czasie pokoju nie potrzeba nawet szukać ludzi do noszenia ciężarów, bo kacykowie są obowiązani takich dostarczać. Odtąd, gdziekolwiek szliśmy, prosiliśmy o Indian, tragarzy. Korteza pożegnał kacyka Grubasa i na drugi dzień poszliśmy w dalszą drogę. Nocleg znaleźliśmy w małej wiosce niedaleko Quiauitlan, zupełnie wyludnionej, a mieszkańcy Cempoalu dostarczyli nam żywności.

*

Nazajutrz około godziny dziesiątej doszliśmy do ufortyfikowanego miasteczka, zwanego Quiauitlan, leżącego pośród potężnych i stromych skał, trudnego do zdobycia w razie obrony. Obawiając się napaści, szliśmy

* Arroba — 25 funtów, 12,5 kilo.

w szyku bojowym z artylerią na przedzie; pięliśmy się ku fortowi, gotowi, w razie potrzeby, spełnić nasz obowiązek. Szliśmy wówczas pod wodzą Alonsa de Avila, człowieka dumnego i bardzo przykrego charakteru.

Przybywszy do środka miasta, nie znaleźliśmy żadnego Indianina, aby zasięgnąć języka, co nas zdziwiło — okazało się, że uciekli ledwie nas ujrzeni wstępujących w górę, ku ich domom. Stanąwszy na najwyższym miejscu fortecy, na placu, gdzie stały wielkie świątynie bożków, ujrzelśmy tam piętnastu Indian w pięknych opończach, każdy z misą glinianą i kadzidłem. Podeszli do Korteza i okadzili jego i nas wszystkich, żołnierzy z jego otoczenia, i z wielkimi pokłonami błagali o przebaczenie, że nie wyszli nas powitać, bądźmy jednak pozdrowieni i zażyjmy odpoczynku. Mieszkańcy uciekli ze strachu, bowiem nie wiedzieli, cośmy zaczęli i lękali się nas i naszych koni, ale tej nocy rozkazą powrócić wszystkim.

Kortez oświadczał się im z wielką przyjaźnią i nauczał ich o sprawach dotyczących naszej świętej wiary, jak zwykle to czyniliśmy, gdziekolwiek przybywaliśmy. Mówił, że jesteśmy wasalami wielkiego cesarza don Carlosa, i rozdał im zielone paciorki i inne drobnostki z Kastylii; oni przynieśli niebawem kury i chleb kukurydziany.

Podczas tej rozmowy doniesiono Kortezowi, że przybywa kacyk Grubas z Cempoalu, niesiony na barkach przez licznych dostojników indiańskich. Kiedy przybył, wdał się w rozmowę z Kortezem wobec kacyka owej miejscowości oraz innych dostojników, rozwodząc żale przeciw Montezumie. Mówił o jego potędze, płacząc i wzdychając, aż byliśmy poruszeni, opowiadał, w jaki sposób Montezuma ich pokonał, i że co roku Meksykanie żądają licznych chłopców i dziewcząt na ofiarę, zaś innych do pracy w domach i na polach. Skarg jego było tyle, że już wszystkich nie pomnę. Poborcy Montezumy wpadali i porywali urodzive żony i córki jego wojowników i gwałcili je. Tak samo poczynali sobie na wszystkich ziemiach totonaskich, które obejmowały ponad trzydzieści szczepów.

Kortez pocieszał ich, jak mógł, za pośrednictwem naszych tłumaczy, obiecując, że uwolni ich od tych gwałtów i krzywd, gdyż w tym celu przysłał go w te strony cesarz, nasz pan. Niech się nie martwią, wkrótce bowiem zobaczą, co dla nich uczynimy. Te słowa pocieszyły ich nieco, ale nie dodały im odwagi, tak wielka była u nich trwoga przed Meksykanami.

Rozmowę tę przerwało kilku Indian z tej samej miejscowości, którzy przybiegli co tchu zawiadomić wszystkich kacyków rozmawiających z Kortezem, że przybyło pięciu Meksykanów, poborców Montezumy. Ledwie to usłyszeli, pobledli i zaczęli się trząść ze strachu, pozostawili Korteza samego i pośpieszyli ich przyjąć. Pośpiesznie umaili gałęziami jedną komnatę, przygotowali jadło, zagotowali mnóstwo kakao, najlepszy to napój, jaki pijać zwykli. I kiedy owi Meksykanie, przeszedłszy miasto, zjawili się na placu, na którym staliśmy, tam bowiem były pałace kacyka

i nasze mieszkania, przeszli mimo z taką wyższością i pychą, że nie odezwali się ani do Korteza, ani do nikogo z nas tam obecnych. Mieli pięknie haftowane opończe i portki, ich lśniące włosy były zebrane w czuby stojące na wierzchu głowy, każdy wachał kilka róż, które niósł w rękę, a inni Indianie, służebni, nieśli nad nimi wachlarze do odganiania owadów. Każdy miał w rękę laskę zakrzywioną, otaczali ich naczelnicy innych miejscowości totonaskich i nie opuścili ich, dopóki nie zajęli swych komnat i nie podano im obfitego bardzo posiłku. Kiedy pojedli, kazali przywołać kacyka Grubasa i wszystkich dostojników i ostro im wyrzucili, dlaczego przyjęli nas w swoich miastach, co mieli do czynienia i do gadania z nami. Ich pan, Montezuma, bardzo nierad będzie — bez jego pozwolenia i polecenia nie powinni byli przyjmować nas i obdarowywać klejnotami złotymi. Zwrócili się do kacyka Grubasa i innych dostojników z mnogimi groźbami, żądając, aby natychmiast wydali im dwudziestu Indian i Indianek dla przebłagania króla za przestępstwo, którego się dopuścili. Kortez zapytał dońę Marinę i Jeronima de Aguilar, naszych tłumaczy, dlaczego kacykowie byli tak wstrząśnięci, odkąd przybyli owi Indianie, i kim oni byli. Doña Marina, która dobrze wszystko rozumiała, opowiedziała, co zaszło. Kortez polecił przywołać kacyka Grubasa i wszystkich dostojników i zapytał ich, kim byli ci Indianie, których tak uroczyście przyjmowali. Odpowiedzieli, że są to poborcy wielkiego Montezumy. Przyszli wybadać, dlaczego przyjmowali nas bez pozwolenia ich władcy, i że obecnie żądają dwudziestu Indian i Indianek, aby ich złożyć w ofierze swemu bogu Uichilobosowi dla uproszenia zwycięstwa nad nami, bowiem Montezuma oświadczył, że chce nas pojmać i zrobić z nas swoich niewolników. Kortez pocieszył ich, aby się nie bali, gdyż on jest obecny i my wszyscy i ukarzymy poborców.

*

Kiedy Kortez wysłuchał, co mówili mu kacykowie, odpowiedział, że już raz im oświadczył, że nasz władca i król polecił mu tu przybyć, aby karać złoczyńców, niech odtąd nie pozwalają na ofiary i gwałty, a ponieważ owi poborcy przybyli w tym celu, każe ich uwięzić i trzymać w łykach, aż Montezuma dowie się, że stało się to, bo przybyli rabować i porywać jako niewolników dzieci i kobiety oraz innych gwałtów się dopuszczali. Kiedy to usłyszeli kacykowie, przeraziła ich taka zuchwałość. Jakże to, mieli rozkazać, aby znęcano się nad wysłańcami wielkiego Montezumy? Bali się i nie śmieli tak postąpić. Wówczas Kortez znów ich przywołał, aby natychmiast wtrącili poborców do więzienia, co uczynili, ale w ten sposób, że włożyli im obręcz drewnianą na szyję i uwiązali do długich tyk, tak że nie mogli się poruszać. A jednego z nich, który stawiał opór, zbili

kijami. Poza tym Korteż nakazał kacykom odmówić Montezumie haraczu i posłuszeństwa i ogłosić to we wszystkich wsiach i miastach sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych. A gdyby w innych miejscowościach znajdowali się inni poborcy, niech mu o tym doniosą, on zaś po nich pośle. Wieść rozniosła się po całej tej prowincji, bowiem kacyk Grubas natychmiast rozesłał gońców z uwiadomieniem, rozgłosili ją również owi dostojnicy, których poborcy zabrali ze sobą, a którzy widząc, że tych uwięziono, natychmiast się rozproszyli i każdy powrócił do swej miejscowości opowiedzieć, co się zdarzyło, i wydać odpowiednie rozkazy. Sprawa była tak cudowna i tak wielkiej dla nich wagi, że — jak mówili — nie były to istoty ludzkie, które się na to odważyły, ale chyba *teules* — tak nazywali swoich bożków, których czcili. Z tej przyczyny odtąd nazywali nas *teules*, to jest bożkami lub demonami, przeto kiedy w tym opowiadaniu mówić będę *teules*, wiedzcie, że chodzi o nas.

Wróćmy do więźniów. Po naradzie wszystkich kacyków chcieli ich zabić na ofiarę, aby który nie uciekł i nie zaniósł wieści do Meksyku. Korteż, dowiedziawszy się o tym, polecił, aby ich oszczędzono, chce ich bowiem zachować, i ustawił straż z naszych żołnierzy. O północy przywołać kazał owych strażników i rzekł im: „Wybierzcie dwóch spośród nich, którzy wydają się wam najzławszy, rozwiążcie ich, tak aby Indianie miejscowi nie spostrzegli się, i przyprowadźcie ich do mnie”.

Kiedy przed nim stanęli, zapytał, dlaczego zostali uwięzieni, z jakiego kraju pochodzą, tak jakby ich nie znał. Odpowiedzieli, że kacykowie z Cempoalu i w owej miejscowości z własnej woli i gwoli naszego zadowolenia uwięzili ich. Korteż zapewnił, że o niczym nie wie, że mu jest przykro, kazał ich nakarmić i przemawiał do nich bardzo uprzejmie, prosząc, aby zaraz udali się powiadomić wielkiego Montezumę, że jesteśmy jego wiernymi przyjaciółmi i służkami. Aby nie dręczyć dłużej, uwolnił ich z więzów, oburzał się na kacyków, którzy ich zamknęli, i zapewniał, że w czymkolwiek wygodzie im może, gotów jest to uczynić. Co się tyczy trzech Indian, ich towarzyszy, dotąd zatrzymanych w więzieniu, polecił ich zwolnić i dopilnuje tego, niech jednak się pośpieszą, aby ich nie pochwycono i nie zabito. Dwaj więźniowie odpowiedzieli, że wdzięczni mu są, lecz lękają się wpaść w ręce kacyków, zmuszeni są bowiem przekraczać ich ziemie. Przeto Korteż polecił sześciu naszym wioślarzom, aby przewieźli ich łodzią około mil czterech dalej, aż znajdą się na ziemi bezpiecznej, poza granicami Cempoalu.

Kiedy rankiem kacykowie owej miejscowości i kacyk Grubas zauważyli brak dwóch więźniów, chcieli od razu zabić na ofiarę pozostałych, ale im Korteż to uniemożliwił. Udając zagniewanego, że pozwolili uciec dwóm kazał przynieść łańcuch z okrętu, uwiązać trzech pozostałych i odprowadzić na okręty, orzekł, że sam chce przypilnować ich, bowiem tamci tak źle strzegli więźniów. Ledwie przyprowadzono ich na okręty, rozkazał

im zdjąć łańcuchy i w życzliwych słowach zapewniał, że niebawem odeśle ich do Meksyku.

Kiedy to się stało, wszyscy kacykowie Cempoalu, z tego miasta oraz z innych osiedli totonaskich, którzy się tam zebrali, przyszli do Korteza, po radę, co mają czynić, bowiem na pewno ruszy na nich cała potęga Meksyku i wielkiego Montezumy i nie unikną śmierci ani ruiny. Kortez odpowiedział z wesołą miną, że on i jego bracia tu obecni jesteście gotowi bronić ich i zabijemy każdego, kto będzie im wrogi. Wówczas przyrzekli wszyscy kacykowie i mieszkańcy jednogłośnie, że będą z nami, spełnią wszystko, co rozkażemy, i połączą z nami swe siły przeciw Montezumie i jego sprzymierzeńcom. Przysięgli też posłuszeństwo Jego Królewskiej Mości wobec Diega de Godoy, notariusza królewskiego, i wieść o tym, co zaszło, rozesłali po wszystkich miejscowościach całej prowincji. A jako że nie musieli już płacić daniny żadnej i poborczy nie zjawiali się, nie posiadali się z radości, że wyzwolili się spod tego jarzma.

*

Zawarliśmy ligę i przymierze z ponad trzydziestu szczepami górskimi, które zbuntowały się przeciw wielkiemu Montezumie i ślubowały posłuszeństwo Jego Królewskiej Mości, gotowe mu służyć. Z ich pomocą co rychlej postanowiliśmy założyć Villa Rica de Vera Cruz na równinie, o pół mili od warownego miasta Quiauiztlanu. Wytyczono miejsce na kościół, plac i arsenały oraz na inne cele, jak należy w mieście, i zabraliśmy się do budowy fortecy, zaczynając od fundamentów. Wznieśliśmy je na tyle, żeby móc postawić częstokoły, umieścić strzelnice, blanki i barbakany. Kortez pierwszy zaczął nosić ziemię i kamienie na plecach, kopał fundamenty razem ze wszystkimi oficerami i żołnierzami. Za jego przykładem pracowaliśmy bez tchu i trudziliśmy się, aby najrychlej ukończyć, jedni przy fundamentach, inni przy murach, ci przy dostarczaniu wody, tamci przy wapniarkach, owi przy fabrykacji dachówek i cegitł lub poszukiwaniu żywności, jedni przy drzewie, kowale przy gwoździach, mieliśmy bowiem dwóch kowali. W ten sposób bezustannie od najwyższego do najniższego pracowaliśmy, zaś Indianie nam pomagali, tak że niebawem stanął kościół i domy, i niemal gotowy fort.

Tymczasem wielki Montezuma dowiedział się w Meksyku o uwięzieniu poborców, wypowiedzeniu mu posłuszeństwa, o buncie szczepów totonaskich. Rozsierdził się bardzo przeciw Kortezowi i nam wszystkim i wydał już rozkaz, aby jedna z jego wielkich armii wyprawiła się przeciw zbuntowanym szczepom i nikogo przy życiu nie pozostawiła. Przeciw nam wyprawić się miała armia pod najlepszymi wodzami. Wówczas zjawili się nagle u niego dwaj Indianie, którzy byli uwięzieni i których Kortez kazał

wypuścić, jak powyżej opowiedziałem. Kiedy Montezuma dowiedział się, że Korteż wydobył ich z więzienia i odesłał do Meksyku, gdy usłyszał słowa pełne uprzejmości, jakie przez nich przesłał, zrzędzeniem bożym gniew jego przygasł. Postanowił dowiedzieć się, jakie są nasze zamysły, wysłać dwóch młodzieńców, siostrzeńców swoich, w towarzystwie czterech starców, wielkich kacyków, którzy mieli się nimi opiekować. Przez nich przesłał dar w złocie i tkaninach, aby podziękować Korteżowi za uwolnienie jego urzędników. Równocześnie polecił skarżyć się, że z naszą pomocą owe szczepy ośmieliły się dopuścić tak wielkiej zdrady, odmówić daniny i posłuszeństwa. Obecnie, przez wzgląd na to, że zdaniem jego na pewno jesteśmy tymi, których przybycie przepowiedzieli jego przodkowie, i że musimy pochodzić z jego rodu, i zważywszy, że zamieszkujemy obecnie w domach zdrajców, nie rozkazuje ich na razie niszczyć, ale z biegiem czasu pożałują swojej zdrady.

Korteż przyjął złoto i szaty wartości ponad tysiąca pesos, uściskał posłów i przez tłumaczy zapewnił, że wszyscy jesteśmy wielkimi przyjaciółmi Montezumy, ich pana, a na dowód, że gotów mu do usług, uratował owych trzech poborców. Zaraz też kazał ich wyprowadzić z okrętów w pięknych szatach i sytych. Korteż skarżył się ze swej strony na Montezumę, opowiadając, jak namiestnik Pitalpitoque znikł pewnej nocy z oczu, nie opowiedziawszy się, co nie było godziwe. Wierzy on i pewny jest, że nie stała się ta nieprawość na rozkaz Montezumy. To było przyczyną, że udaliśmy się do miejsca, gdzie obecnie jesteśmy i gdzie przyjęto nas z honorami. Prosił o łaskę, aby przebaczył tym ludziom występki przeciw niemu, a co się tyczy daniny, nie mogą oni płacić dwom panom, a w tych dniach, kiedy tam przebywaliśmy, służyli nam jako przedstawicielom naszego króla i władcy. Niebawem on, Korteż, i jego bracia, przybędziemy, aby go oglądać i służyć mu, a kiedy tam będziemy, zastosujemy się do jego rozkazów.

12

Co się zdarzyło w warowni Cingapancindze, jak powróciwszy do Cempoalu obaliliśmy bałwany oraz o wielu innych sprawach

Po pożegnaniu posłów meksykańskich zbliżył się kacyk Grubas z innymi naczelnikami naszych sprzymierzeńców, prosząc Korteza, aby niezwłocznie wyprawił się na miasto Cingapancingę, oddalone o dwa dni drogi od Cempoalu, to znaczy o osiem lub dziewięć mil, bowiem tam zebrało się wielu wojowników indiańskich — Culuańczyków i Meksykanów — którzy niszczą zasiewy i zagrody, grabią jego wasalów i czynią im inne szkody.

Kortez uwierzył, bo przemawiali z wielkim wzburzeniem, a słysząc te skargi i takie nalegania, jako że obiecał im pomagać i wytracić Culuańczyków oraz innych Indian, którzy by im szkodzić chcieli, nie wiedział, co rzec. Rozmyślając nad tym, rzekł śmiejąc się do kilku towarzyszących mu druhów: „Widzicie, panowie, zdaje mi się, że we wszystkich tych ziemiach mamy sławę walecznych, a po tym, cośmy uczynili z poborcami Montezumy, mają nas zgoła za półbogów albo jakby bożków. Pomyślałem tedy, chcąc ich utrzymać w tej wierze, że jeden z nas wystarczy, aby rozpedzić owych wojowników indiańskich — a ich przeciwników — zebranych, jak mówią, w warowni. Poślijmy więc starego Heredię”.

Był to Biskajczyk o ponurym wyglądzie, wielkiej brodzie, o twarzy posiekanej, jednooki, kulawy, a do tego muszkiet. Kortez przywołał go i powiedział: „Idźcie z tymi kacykami aż do rzeki (która o cztery mile stąd płynie), a kiedy tam dojdziecie, udawajcie, że myjecie ręce i pijecie wodę, a wówczas wystrzelcie raz z muszkietu. Każę was wtedy odwołać. Wszystko to, aby nabrali przekonania, że jesteście bożkami albo tymi istotami, których nazwę i sławę z nami związali. A że macie minę groźną, wezmą was za bóstwo.

Heredia, który był żołnierzem we Włoszech, jako człek rozumny i sprytny postąpił, jak mu polecono. Kortez przywołał kacyka Grubasa i wszystkich dostojników, którzy oczekiwali pomocy i wsparcia, i rzekł im: „Oto posyłam z wami mojego brata, aby pozabijał i wypędził wszystkich Culuańczyków z owego miasta oraz przywiódł mi w łykach tych, którzy by odejść nie chcieli”.

Kacykowie osłupieli słysząc to, nie wiedzieli, czy mają temu wierzyć, czy nie, wpatrywali się w Korteza, aby pochwycić zmianę wyrazu w twarzy i poznać, zali prawdę powiadał. Heredia nabił swój muszkiet i idąc z nimi, strzelał w powietrze ponad lasy, aby go Indianie dobrze słyszeli. Kacykowie zaś wysłali do innych osiedli wieść, że pozyskali *teula*, aby zabić Meksykanów znajdujących się w Cingapancindze. Opowiadam o tym, aby się ludzie uśmiali i poznali podstępny Korteza. Ledwie domyślił się, że Heredia musiał już dojść do rzeki, natychmiast rozkazał go odwołać. Razem ze starym Heredia powrócili kacykowie, Kortez zaś im oświadczył, że z życzliwości, jaką dla nich żywi, postanowił we własnej osobie wraz z kilkoma braćmi pójść im z pomocą, chce zobaczyć też owe ziemie i warownię, dlatego niech zaraz przyprowadzą stu tragarzy dla transportu *tepuzquez*, czyli armat. Zjawili się następnego dnia rano. Mieliśmy wyjść tego dnia z czterystu ludźmi, czternastoma jeźdźcami, z kusznikami, muszkietierami, którzy stali w pogotowiu. Niektórzy żołnierze ze stronnictwa Diega Velazqueza oświadczyli, że nie pójdą — niech Kortez idzie z tymi, którzy się godzą, oni zaś powrócą na Kubę. Opowiem następnie, co się z nimi stało.

*

Poszli strażnicy wezwać stronników Diega Velazqueza, aby rychło wychodzili z bronią i końmi, o ile takie posiadają, oni zaś odpowiedzieli wyniośle, że na żadną wyprawę iść nie chcą, jeno powrócić do swych domostw i dóbr, jakie pozostawili na Kubie. Dość już strat ponieśli przez to, że ich Korteza wyciągnął z domów wszak na wydmach obiecał, że kto zechce odejść, da mu zezwolenie i okręt, i zaopatrzenie na drogę, dlatego też siedmiu żołnierzy gotuje się już do powrotu na Kubę. Kiedy się Korteza o tym dowiedział, posłał po nich i zapytał, dlaczego tak niegodnie postępują. Odpowiedzieli poirytowani, że dziwią się, iż z tak niewielką garstką żołnierzy porywa się na osiedlanie, oni są chorzy i mają dość włóczenia się z jednego miejsca na drugie, chcą zatem powrócić na Kubę, do swoich domów i majątków, i żądają, aby ich puścił, jak obiecał. Korteza odpowiedział łagodnie, że istotnie obiecał, ale nie jest rzeczą godziwą porzucać sztandar wodza w trudnej chwili, i polecił im bez zwłoki sięść na okręt, który na ten cel wyznaczył, kazał wydać chleb kukurydziany i baryłkę oliwy oraz jarzyny i spyżę z naszych zapasów. Kiedy już mieli rozwinąć żagle, poszliśmy wszyscy towarzysze, burmistrze i ławnicy naszego miasta Vera Cruz prosić Korteza, aby w żaden sposób nikomu nie pozwalał oddalać się od lądu, tego bowiem wymaga służba Bogu i Jego Królewskiej Mości, a kto by żądał takiego pozwolenia, zgodnie z prawem wojskowym zasługuje na karę śmierci, gdyż chce opuścić swego wodza i sztandar w potrzebie wojennej i niebezpieczeństwie, tym bardziej jeśli — jak twierdzą — jesteśmy otoczeni przez takie mnóstwo wojowników indiańskich. Korteza udawał, że chce dać pozwolenie odjazdu, ale zmuszony jest odwołać je, zaś oni pozostali wysmiani, a nawet zawstydzeni.

*

Noc spędziliśmy w Cempoalu, gdzie czekało w pogotowiu dwa tysiące Indian w dwóch hufcach. O świcie przebyliśmy pięć mil i nazajutrz, nieco pod wieczór, przybyliśmy do zagród położonych pod Cingapancingą i mieszkańcy dowiedzieli się o naszym zbliżaniu. Już kiedy zaczęliśmy wstępować ku warowni i budynkom stojącym pomiędzy wielkim urwiskami i skałami, czyniąc znaki pokoju, wyszło nam naprzeciw ośmiu Indian, dostojników i kapłanów, i płacząc rzewnymi łzami pytali Korteza, za co chcemy ich zabić i zniszczyć, wszak w niczym nie zawinili, fama zaś głosi, że my wszystkim świadczymy dobro, że naprawiamy krzywdy i obdarowujemy tych, którzy zostali obrabowani, że uwięziliśmy poborców Montezumy. Mówili także, że ludzie z Cempoalu, którzy z nami idą, od dawien dawna są ich wrogami z powodu sporów o pola i granice, a teraz korzystają

z naszej opieki i przybywają, aby ich zabijać i rabować. Prawdą jest, że Meksykanie stali garnizonem w tym mieście, ale kilka dni temu, dowiedziawszy się o uwięzieniu poborców Montezumy, odeszli do swego kraju. Prosimy, abyśmy nie posuwali się dalej i zaopiekowali się nimi życzliwie.

Kiedy Korteż dzięki naszym tłumaczom, doni Marinie i Aguilarowi, zrozumiał, o co chodzi, rzucił krótki rozkaz Pedrowi de Alvarado i obożnemu Cristobalowi de Olid oraz wszystkim naszym towarzyszą, abyśmy zatrzymali Indian z Cempoalu, nie pozwalając im posuwać się dalej, ale choć zaraz zbiegliśmy, aby ich zatrzymać, oni już rabowali w zagrodach. Korteż, bardzo rozgniewany, rozkazał stawić się dowódcom owych wojowników cempoalskich i zwrócił się do nich z gniewem i groźbami, aby natychmiast oddali Indian i Indianki, tkaniny i kury zrabowane w zagrodach i aby nikt nie ważył się wejść do miasta. A że okłamali nas i pod naszą protekcją przychodzą zabijać i rabować swoich sąsiadów, zasłużyli na karę śmierci, bo nasz król i władca, którego wasalami jesteśmy, nie posłał nas w te strony i na te ziemie na to, aby im było wolno popełniać zbrodnie. Niech dobrze uważają, aby podobna rzecz nie powtórzyła się więcej, bowiem żywy żaden z nich nie ujdzie. Natychmiast kacykowie i dowódcy cempoalscy puścili wolno Indian i Indianki, a kury i wszystko, co zrabowali, oddali właścicielom. Korteż z wściekłą miną rozkazał im wyjść na nocleg w pole, i tak postąpili.

Kiedy kacykowie i kapłani owego miasta oraz innych sąsiednich, ujrzeli, że jesteśmy tak sprawiedliwi, i usłyszeli pełne uczucia słowa, jakie Korteż zwrócił do nich za pośrednictwem naszych tłumaczy, a także naukę o zasadach naszej świętej wiary, i kiedy — jak to było naszym zwyczajem — wezwał ich, aby porzucili krwawe ofiary, nie rabowali jedni drugich, aby odrzekli się sodomii, nie oddawali czci swym przeklętym bałwanom, i kiedy powiedzieliśmy im jeszcze wiele innych zacnych rzeczy, przyjęli nas chętnym sercem i zaraz zwołali mieszkańców sąsiednich osiedli i wszyscy przysięgli posłuszeństwo Jego Królewskiej Mości, a także — podobnie jak mieszkańcy Cempoalu — pośpieszyli ze skargami na Montezumę. Nazajutrz przywołał Korteż wodzów i kacyków cempoalskich, którzy czekali w polu, nie wiedząc, co ich czeka, w wielkim strachu przed Korteżem, któremu skłamali. Kiedy przybyli, Korteż doprowadził między nimi a mieszkańcami miasta do zgody, która odtąd nigdy nie miała się zachwiać.

Zaraz też powróciliśmy do Cempoalu inną drogą, przez dwie wsie zaprzyjaźnione z ludźmi z Cingapancingi, gdzie odpoczywaliśmy, bowiem słońce prażyło i bardzo byliśmy zmęczeni dźwigając całe uzbrojenie na plecach.

Na drodze do Cempoalu kacyk Grubas i inni dostojnicy czekali na nas w chatkach z żywnością. Bo chociaż Indianie, rozumieli, co to jest święta i zacna sprawiedliwość i że słowa wypowiedane przez Korteza, iż przycho-

dzimy naprawiać krzywdy i znieść tyranie, były w zgodzie z tymi, co się w czasie tej wyprawy stało, i szanowali nas bardziej jeszcze niż przedtem. Tam w kilku chatach spędziliśmy noc, a wszyscy kacykowie nam towarzyszyli aż do naszych kwater, w ich mieście. Naprawdę chcieli, abyśmy nie opuszczali ich kraju, bali się, aby Montezuma nie nasłał na nich wojsk. Rzekli Kortezowi, że ponieważ byliśmy ich przyjaciółmi, chcieli nas mieć za braci i dobrze będzie, jeśli pojmimy za żony ich córki i krewniaczki, aby założyć rodzinę. Aby zaś więzy przyjaźni były silniejsze, przyprowadzili osiem Indianek, same córki kacyków, i oddali Kortezowi jedną z nich, siostrzenicę samego kacyka Grubasa. Drugą oddali Alonsowi Hernandezowi Puerto Carrero, była to również córka kacyka, imieniem Cuesco. Przyprowadzili wszystkie przyrodziane w bogate koszule tamtejsze, pięknie na ich modłę przystrojone: każda miała złoty naszyjnik na szyi, a w uszach złote zausznice. Towarzyszyły im inne Indianki, służebne.

Kacyk Grubas przedstawił je Kortezowi ze słowami: „*Tecele* (to znaczy w ich języku „panie”), te siedem kobiet jest dla twoich oficerów, a moja siostrzenica dla ciebie. Jest ona panią osiedli i ma poddanych”.

Kortez przyjął je z wesołą miną i wyraził wdzięczność, ale powiedział, że abyśmy mogli je pojąć za żony i zostać braćmi, trzeba, aby porzucili swoich bożków, w których wierzą i których wielbią, a którzy ich oszukują, trzeba, aby zaniechali składania krwawych ofiar. Kiedy te niegodne rzeczy znikną z tej ziemi i gdy zaprzestaną krwawych ofiar, zadzierzgnie się między nami silna przyjaźń. Owe niewiasty muszą zostać chrześcijankami, zanim je pojmimy, zaś oni muszą oczyścić się z sodomii, bowiem wielu młodzianków odzianych w szaty niewieście zarabia tym przeklętym rzemiosłem, a co dzień wobec nas zabijają na ofiarę czterech lub pięciu Indian, składając ich serca przed bałwanami, plamiąc ściany krwią, obcinając nogi, ręce i uda, które zjadają, jakby u nas wołowinę w rzeźni, a nawet sprzedają to mięso pocięte na kawałki w jatkach na targach. Niechaj porzucą owe niegodziwości i zaniechają ich, a nie tylko zostaniemy przyjaciółmi, ale sprawimy, że zawładną innymi krajami. Wszyscy kacykowie, kapłani i możni odpowiedzieli, że źle byłoby porzucać swoich bogów i zaniechać krwawych ofiar, bowiem są to bóstwa, które dają zdrowie i dobre plony, i wszystko, co do życia potrzebne; co się tyczy sodomii, to wydadzą zakaz, aby jej więcej nie oddawano się.

Kiedy Kortez i my wszyscy usłyszeliśmy odpowiedź tak niewystarczającą — zwłaszcza że, jak to przedtem mówiłem, napatrzyliśmy się na tyle okrucieństw i bezceństw — nie mogliśmy jej przyjąć. Kortez. wówczas zwrócił się do nas i przypomniał nam nasze święte i dobre zasady: jakże możemy dokonać czegoś dobrego, jeśli nie odwiedzimy ich od krwawych ofiar dla bożków? Powinniśmy być gotowi do stoczenia walki, jeżeliby się sprzeciwiali obaleniu bałwanów, choćbyśmy mieli przy tym życie postradać. Dziś jeszcze powinny być zwalone. A ponieważ wszyscy byliśmy pod

bronią, jakby gotowi do walki, Kortez rozkazał kacykom obalić posągi. Kacyk Grubas, widząc to, polecił innym wodzom zebrać wojowników ku obronie bóstw. Kiedy gotowaliśmy się, by wejść do świątyni, która była bardzo wysoko na skale i do której wiodło tak wiele stopni, że liczby ich nie pomnę, nadszedł kacyk Grubas z innymi dostojnikami. Bardzo wzburzeni i rozgniewani, zapytali Korteza, dlaczego chcemy niszczyć ich bożki, powiedzieli, że jeżeli tego dokonamy, znieważymy bóstwa i wtedy wszyscy oni poginą, a my razem z nimi. Kortez odpowiedział bardzo oburzony, że raz już zakazał im składać krwawe ofiary owym obmierzłym bałwanom, aby te nie wwoździły ich więcej w błędy. Chcemy je usunąć, aby się natychmiast ich wyrzekli, a jeśli tego nie uczynią, zrzucimy je sami poprzez schody w dół, ich zaś mieć będziemy nie za przyjaciół, ale za wrogów śmiertelnych, bowiem nie chcą wierzyć dobrej radzie. Widzi, że zwołali oddziały zbrojnych wojowników, bardzo go to gniewa i zapłacą za to życiem. Skoro zobaczyli Korteza miotającego groźby — a doña Marina, tłumaczka, dobrze im to wyłożyła — wszak groził im nawet całą potęgą Montezumy, którego lada dzień należy się spodziewać, strach ich obleciał i rzekli, że nie są godni podnieść ręki na swoje bóstwa, ale jeżeli my chcemy je zrzucić wbrew ich woli, możemy to uczynić. Jeszcze nie skończyli mówić, kiedy około pięćdziesięciu żołnierzy wbiegło na górę i zrzuciło bałwany, które stoczyły się po stopniach, rozbijając się na kawałki. Były to potworne smoki, wielkie jak cielęta, inne przedstawiały pół człowieka, pół psa o bardzo srogim wyrazie. Kiedy kacykowie i kapłani ujrzeli je rozbite na kawałki, zapłakali zakrywając oczy i w swym totonaskim języku błagali je o przebaczenie, bowiem nie ich ręce zawiniły, tylko owi *teules* je obalili, i tylko ze strachu przed Meksykanami nie wszczęli z nami walki. Ledwie się to stało, kiedy oddziały wojowników indiańskich przybyły, aby zbrojnie przeciw nam wystąpić, zaczęły nas razić strzałami. Ujrzawszy to, pojaliśmy kacyka Grubasa, sześciu kapłanów i innych dostojników, a Kortez oświadczył, że jeśli złączą bitwę, wszystkich uśmierci. Zaraz też kacyk Grubas polecił swoim oddalić się i zaprzestać walki. Widząc, że się uspokoili, Kortez wygłosił mowę, o której powiem poniżej.

Owa Cingapancinga była pierwszą kolonią, jaką Kortez założył w Nowej Hiszpanii.

*

Kiedy zamilkli kacykowie, kapłani i wszyscy dostojnicy, Kortez wydał rozkaz zabrać precz sprzed oczu szczątki obalonych bóstw i spalić je. Zaraz też wyszło z jednego budynku ośmiu kapłanów, którzy tam służyli, zabrali owe szczątki, zanieśli do wnętrza i spalili je. Owi kapłani mieli

na sobie jakby całuny czarne na kształt tunik, długie do stóp, z kapturami — jak dominikanie. Włosy, które mieli długie do pasa, a nawet niektórzy do stóp, pełne były zakrzepłej krwi i tak zmierzwione, że nie można by je rozczesać, uszy mieli pocięte w strzępy na znak — jak dowiedzieliśmy się — że są synami dygnitarzy. Kapłani owi nie mieli żon, ale oddawali się sodomii i pościli w niektóre dni. Sam widziałem, jak jedli wyłuszczone nasiona bawełny, nie wiem, czy nie jedli czego innego, ale po kryjomu. Pozostawmy tych kapłanów i wróćmy do Korteza. Miał do nich piękną przemowę, tłumaczoną przez donę Marinę i Jeronima de Aguilar, mówił im, że odtąd uważać ich będzie za braci i wedle naszej mocy wspomagać przeciw Montezumie i jego Meksykanom i wyjaśnił im wiele spraw dotyczących naszej świętej religii, a tak pięknie było to powiedziane, że słuchali go chętnie. Kazał następnie przywołać Indian, murarzy, przynieść dużo wapna, ugasić je, rozkazał oczyścić ściany z krwi w owej świątyni i wyprawić je pięknie. Na drugi dzień wybielono ściany i ustawiono ołtarz zdobny bardzo pięknymi tkaninami, kazał przynieść wiele róż, które na tych ziemiach rosną, a są bardzo pachnące, oraz wiele zielonych gałęzi, aby ołtarz umaić. I kazał dbać o to, aby był czysty i zawsze omieciony. Pieczę nad ołtarzem powierzył czterem kapłanom, którym kazał obciąć długie włosy i przywdziać białe szaty, zrzuciwszy te czarne, które nosili. Poleciał, aby zawsze dbali o siebie i służyli owemu obrazowi Matki Boskiej. Aby zaś większe mieli o nim staranie, kazał jednemu z naszych żołnierzy, kulawemu i staremu, nazwiskiem Juan de Torres, pozostać tam w roli pustelnika. Kazał cieśłom wykonać krzyż i ustawić na podstawie świeżo zbudowanej i dobrze obielonej. Nazajutrz mszę świętą odprawił przy tym ołtarzu ojciec Bartolomé de Olmedo. W czasie mszy wydano rozkaz okadzenia obrazu Matki Bożej owym kadzidłem krajowym, nauczono tubylców robić świece z wosku ziemnego, aby zawsze paliły się na ołtarzu. Na mszy byli obecni najwyżsi kacykowie tego miasta oraz innych sprzymierzonych, i przyprowadzono osiem Indianek, które dotąd pozostawały pod opieką ojców i stryjów, aby je ochrzcić. Po wyłożeniu im wielu spraw dotyczących naszej świętej wiary zostały ochrzczone — siostrzenica kacyka Grubasa otrzymała imię Catalina, córka Cueski, możnego kacyka, imię Francisca, była ona bardzo piękna jak na Indiankę, Korteza oddał ją Alonsowi Hernandezowi Puerto Carrero, sześć innych, których imion nie pamiętam, Korteza rozdzielił pomiędzy żołnierzy. Po czym pożegnaliśmy się z kacykami i innymi dostojnikami i powróciliśmy do naszego miasta Villa Rica de Vera Cruz.

*

Po tej wyprawie powróciliśmy do naszego miasta, zabierając z sobą kilku kacyków Cempoalu. Zdarzyło się że dnia tego nadszedł z wyspy Kuby okręt pod wodzą Franciska de Saucedo. Tym okrętem przybył również Luis Marin. Przynieśli oni wiadomość, że z Kastylii nadeszły dla Diega Velazqueza pełnomocnictwa na przeprowadzanie wymian i na kolonizację.

Już trzy miesiące bawiliśmy w tym kraju, przeto my, żołnierze, oświadczyliśmy Kortezowi, że byłoby dobrze pójść i zobaczyć, jaki jest ów Montezuma, i szukać środków do życia oraz szczęścia, i że przed wyruszeniem w drogę chcielibyśmy posłać do króla, że całujemy jego stopy i zdajemy mu sprawę ze wszystkiego, co zaszło dotąd, a także przesłać mu wszystko złoto zdobyte zarówno dzięki zamianom, jak z darów przesłanych przez Montezumę. Odpowiedział Korteż, że myśl jest słuszna, że już omówił to z kilkoma szlachcicami, a że złota było niewiele, wybrał Diega de Ordaz i Franciska de Montejo, aby chodzili od żołnierza do żołnierza, uprosili, by zechcieli złożyć część zdobytego przez siebie złota. Prokuratorami, którzy mieli udać się do Kastylii, wybrano Alonsa Hernandeza Puerto Carrero i Franciska de Montejo, któremu Korteż, aby pozyskać go dla siebie, dał dwa tysiące złotych pesos. Korteż kazał przygotować najlepszy okręt naszej floty i dwóch pilotów, z których jednym był Antón Alaminos, i napisał od siebie sprawozdanie, prawdziwe, jak zaręczał, ale nie czytaliśmy tego listu. Wszyscy oficerowie i żołnierze również napisali listy i sprawozdania od siebie.

*

Po oddaniu należnej czci tak wielkiemu majestatowi cesarza, pana naszego, każde nasze sprawozdanie traktowało kolejno o wypadkach naszej wyprawy; po czym stwierdziliśmy, że w tych stronach jest nas czterystu pięćdziesięciu żołnierzy w wielkim niebezpieczeństwie pośród mnóstwa szczepów i ludów wojowniczych i bitnych. Chcemy służyć Bogu i Jego Królewskiej Mości, błagamy go przeto, aby we wszystkim okazał nam łaskę, aby nie oddawał rządów nad tymi ziemiami ani żadnych urzędów królewskich nikomu, bowiem tak bogate i wielkie miasta i wsie należą się jakiemuś infantowi albo wielkiemu bardzo panu. Przypuszczamy, że don Juan Rodriguez de Fonseca, biskup Burgos, arcybiskup Rosany i przewodniczący Rady Indii, zechce oddać je jakiemuś krewniakowi lub druhowi, a przede wszystkim Diegowi Velazquezowi, gubernatorowi Kuby, który mu zawsze przysyła dary w złocie i oddał mu na tejże wyspie wioski Indian, którzy mu wydobywają złoto z kopalni. Jeżeliby jednak biskup

z rozkazu królewskiego przysłał kogoś na wielkorządcę lub na naczelnego wodza, będziemy mu posłuszni. Poza tym w sprawozdaniach tych błagaliśmy, aby — póki inne rozkazy nie zostaną wydane — łaskawie zlecił rządy Hernandowi Kortezi i pod niebiosa wynosiliśmy jego zasługi. Listy podpisali wszyscy oficerowie i żołnierze ze stronnictwa Korteza. Sporządzono je w dwóch egzemplarzach. Kortez nie chciał, abyśmy wspominali o kwincie złota, którą mu obiecaliśmy, ani abyśmy wspominali o pierwszych odkrywcach, bowiem sam w liście swoim nie wspominał ani o Francisku Hernandezie de Córdoba, ani o de Grijalvie, tylko sobie samemu przypisywał chwałę odkrycia.

Po oddaniu listów naszym prokuratorom ostrzeżyliśmy ich, aby w żadnym wypadku nie wpływali do Hawany ani do posiadłości Franciska de Montejo, aby się Diego Velazquez nie dowiedział o tym. Tymczasem wypłynęli 26 lipca 1519 r. z portu San Juan de Ulua i przy pogodzie zawinęli do Hawany. Francisco de Montejo przywołał pilota Alaminosa i nalegał usilnie, aby skierował okręt do jego posiadłości, mówiąc, że chce załadować zapasy, wieprze i chleb maniokowy; obiecywał i nalegał, aż wreszcie ten spełnił jego żądanie, bowiem Puerto Carrero był bardzo chory i nie liczonego się z nim. W nocy jeden z żeglarzy wyskoczył na ląd z listami i ostrzeżeniami dla Diega Velazqueza, jak dowiedzieliśmy się, na rozkaz samego de Montejo.

*

Kiedy Diego Velazquez, gubernator Kuby, dowiedział się o listach potajemnie wysłanych oraz o darach w złocie, które przesłaliśmy Jego Królewskiej Mości, zatrząsł się z wściekłości i obrzucał obelgami i przekleństwami Korteza i swego sekretarza Duero, i rachmistrza Amadora de Lares, którzy mu doradzili, aby go wybrać wodzem. Pośpiesznie kazał uzbroić dwa niewielkie okręty, śmigłe żaglowce, z rozkazem, aby popłynęły od Hawany aż do kanału Bahama i starały się pojmać okręt naszych prokuratorów oraz wszystko złoto. Po kilku dniach żeglugi okręty, jak rozkazał, dotarły do kanału Bahama i tam dowiedzieli się, że dzięki pięknej pogodzie, nasz okręt już kanał Bahama przepłynął. Poblądziwszy na owych dwóch okrętach pomiędzy kanałem Bahama a Hawaną, wysłańcy, nie znalazłszy, czego szukali, powrócili do Santiago de Cuba.

Chociaż Diego Velazquez był już tak smutny przed wysłaniem okrętów, o wiele bardziej zmartwił się, kiedy z niczym wróciły. Zaraz też doradzili mu przyjaciele, aby wysłał skargę do Hiszpanii, do biskupa Burgos. Równocześnie wysłał skargi na San Domingo do urzędującego tam Trybunału Królewskiego oraz do braci hieronimitów, tamtejszych gubernatorów.

Ale że zwiedzieli się już o naszych wielkich zasługach, bracia hieronimici odpowiedzieli, że nie można winić Korteza ani nas, którzy wraz z nim wojujemy, bowiem we wszystkim odnosimy się do naszego króla i pana i przesyłamy mu tak znaczne dary, jakich od wielu ubiegłych wieków nie oglądano w Hiszpanii. Równocześnie posłali na Kubę licencjata Zuazo jako rezydenta przy Diegu Velazquezie. Ta odpowiedź jeszcze bardziej przejęła Diega Velazqueza i o ile poprzednio był otyły, w kilku dniach wychudł zupełnie. Natychmiast też kazał zwołać wszystkie okręty, jakie mogły się znajdować na wyspie Kubie, przygotować załogę i kapitanów i postanowił wysłać silną flotę, aby pojmać Korteza. W ten sposób do roku zebrano osiemnaście żaglowców wielkich i małych i ponad tysiąc trzystu żołnierzy; wodzem naczelnym całej floty został szlachcic Panfilo de Narvaez, bardzo bogaty.

*

Prokuratorowie nasi w niedługim czasie zawinęli do Sewilli i natychmiast udali się do Valladolid, gdzie rezydował rząd pod przewodnictwem don Juana de Fonseca, biskupa Burgos, który sprawował rządy pod nieobecność cesarza przebywającego we Flandrii. Przedłożyli mu sprawozdania i dary w złocie, oświadczając, że chcą osobiście udać się do Flandrii ucałować stopy królewskie. Biskup przyjął ich bardzo nieprzyjaźnie, a nawet wrogo, zarzucając w gorzkich słowach, że zbuntowali się przeciw Velazquezowi, a że równocześnie z ostrymi zażaleniami przybył Benito Martin, kapelan Diega z Kuby, biskup gniew wielki powziął. Kiedy Alonso Hernández Puerto Carrero, jako prawy szlachcic, odpierał ostro owe zarzuty — podczas gdy Montejo milczał, nie chcąc sobie biskupa zrażać — de Fonseca kazał go aresztować pod pretekstem, że przed trzema laty porwał był w Medellinie jakąś niewiastę. Zaraz też biskup napisał do Jego Królewskiej Mości, usilnie popierając Diega Velazqueza i oskarżając Korteza i wszystkich nas jako buntowników i zdrajców. Stronnicy Korteza również zwrócili się do króla, a ten zapowiedział swoje przybycie do Kastylii, gdzie zajmie się tą sprawą.

*

Tymczasem Kortez, o wszystkim powiadomiony, wysłał prokuratorom nowe listy, z którymi udali się do króla.

*

W cztery dni po odjeździe prokuratorów w naszym obozie porozumieli się stronnicy Diega Velazqueza: Pedro Escudero, Juan Cermeño, pilot Gonzalo de Umbria, ksiądz Juan Diaz i inni, że nocą zbiegną na Kubę, powiadomić Diega o odpłynięciu okrętu i skłonić go, aby osiągnął wysłańców i skonfiskował złoto, jakie wiozą. Sprawa się wydała i Korteż kazał powiesić Pedra Escudero i Juana Cermeño, obciąć nogi pilotowi Gonzalowi de Umbria, wysmagać żeglarzy. Przytomni temu zapewniają, że Korteż, podpisując ten wyrok, wzdycha ciężko i głęboko, mówiąc: „Och, wolejbym nie umiał pisać, aby nie podpisywać śmierci ludzkiej!”

Po wykonaniu wyroku Korteż co koń wyskoczy udał się do Cempoalu i kazał tam przybyć dwustu żołnierzom i wszystkim konnym.

Księga czwarta W GŁĄB KRAJU

13

Jak postanowiliśmy iść na Meksyk i przed wyprawą zatopić wszystkie okręty

Przebywając w Cempoalu, jak się rzekło, rozmawialiśmy często z Kortezem o sprawach wojennych i o tym, jaka nas droga czeka. Od słowa do słowa, doradziliśmy mu, którzy byliśmy jemu przyjaciółmi, gdy inni byli mu przeciwni, aby nie zostawiał żadnego okrętu tu w porcie, tylko zatopił je zaraz całkowicie, by w czasie kiedy wejdziemy w głąb kraju, nie przeszkodziły nam bunty innych osób, jak poprzednio. Ponadto będziemy mieli pomoc w szyprach, pilotach i marynarzach, których była dobra setka i lepiej nam się przysłużą stróżując i walcząc aniżeli pozostając w porcie.

Jak zrozumiałem, ową myśl zatopienia okrętów, jaką mu przedłożyliśmy, Korteż piastował już przedtem, ale chciał, aby wyszła ona od nas, gdy ktoś bowiem pewnego dnia zażąda odeń zapłaty za okręty, będzie mógł odpowiedzieć, że działał na nasze żądanie, i w owej zapłacie również udział będziemy mieli. Zaraz też wydał rozkaz Juanowi de Escalante — naczelnikowi straży, człowiekowi wielkiej odwagi i swemu przyjacielowi, a nieprzyjacielowi Diega Velazqueza, który na wyspie Kubie nie dał mu przydziału dobrych Indian — aby natychmiast udał się do miasta i odjąwszy z wszystkich okrętów kotwice, liny i żagle oraz to, co się przydać może, zatopił okręty, pozostawiwszy tylko łódzie. Wszyscy szyprzy, piloci i starzy marynarze, niezdatni do wojennej wyprawy, mieli pozostać w mieście z dwiema sieciami do łowienia ryb, gdyż w owym porcie zawsze można było łowić, choć nie dużo.

Juan de Escalante spełnił to wszystko, tak jak mu przykazano, i po-

wrócił do Cempoalu z oddziałem marynarzy, których wyprowadził z okrętów i z których nie jeden stał się dobrym żołnierzem. Po czym Korteż polecił zwołać wszystkich kacyków górskich szczepów, sprzymierzonych z nami i zbuntowanych przeciw wielkiemu Montezumie, i nakazał, jak mają być użyteczni. Tym, którzy zostawali w Villa Rica, polecił dokończyć budowy kościoła, fortu i domów i wobec nich ujął za rękę Juana de Escalante, mówiąc: „oto brat mój”, a także, że jego rozkazy mają wszystkie wypełniać, a jeśli by potrzebowali pomocy i opieki przeciw jakimś Indianom meksykańskim, niechaj się zwrócą do niego, on zaś we własnej osobie przyjdzie im z pomocą. Wszyscy kacykowie chętnie przyrzekli spełnić, co polecił. Przypominam sobie, że od razu okadzili Juana de Escalante, choć był temu niechętny. Jak już rzekłem, był to człowiek bardzo nadający się do pełnienia wszelkiego zadania i wielki przyjaciel Korteza; ten miał do niego zaufanie i pozostawił go w mieście jako dowódcę, aby w razie napaści kogoś przez Diega Vlezaqueza mógł mu się przeciwstawić.

W tym miejscu kronikarz Gomara baję, że Korteż kazał potajemnie zniszczyć okręty, bo nie śmiał ogłosić żołnierzom dalszej wyprawy na Meksyk na poszukiwanie wielkiego Montezumy. Nie było tak, jak on mówi, bo za jakichże on nas Hiszpanów miał, którzy by nie chcieli iść naprzód, ale trwać na miejscu, gdzie nie było żadnej korzyści ni wojny?!

*

Po zatopieniu okrętów na oczach wszystkich — a nie jak opowiada kronikarz Gomara — pewnego ranka, po wysłuchaniu mszy świętej, kiedy zgromadziliśmy się wszyscy oficerowie i żołnierze, dyskutując z Korteżem o sprawach wojskowych, Korteż prosił, abyśmy go wysłuchali i zwrócił się do nas z taką przemową: „Wiecie już, na jaką wyprawę idziemy, i z pomocą Pana Naszego Jezusa Chrystusa musimy zawsze zwyciężać we wszystkich bitwach i potyczkach. Musimy być gotowi na to, jak przystoi, bowiem gdziekolwiek by to było, gdybyśmy zostali zwyciężeni — na co Bóg nie pozwoli — nie moglibyśmy cało unieść głowy, będąc tak nieliczni i nie mając żadnej pomocy prócz bożej, nie mamy bowiem okrętów, aby powrócić na Kubę, dlatego jedynym naszym ratunkiem jest dzielna walka i mocna odwaga”. Mówił na ten temat, czyniąc liczne porównania z bohaterскими czynami Rzymian.

Wszyscy jak jeden mąż odpowiedzieliśmy, że wypełnimy wszystko, co przykazał, zostały już rzucone kości na dobry czy zły los — jak powie-

dział Juliusz Cezar nad Rubikonem — naszym jedynym powołaniem jest służyć Bogu i Jego Królewskiej Mości.

Po jego przemowie, która była bardzo piękna, wypowiedziana zapewne innymi słowami, bardziej wymownymi i z większą elokwencją, niż ja tu przytoczyłem, polecił przywołać kacyka Grubasa i przypomniał, że ma trzymać w wielkim poszanowaniu i staraniu kościół i krzyż, po czym oznajmił, że ma zamiar zaraz wyruszyć na Meksyk i zabronić Montezumie rabunków i krwawych ofiar. Potrzeba mu dwustu Indian, tragarzy, do ciągnięcia artylerii oraz pięćdziesięciu udanych wojowników, którzy by nam towarzyszyli.

Już byliśmy gotowi do wymarszu, kiedy przybył z Villa Rica pewien żołnierz z listem od Juana de Escalante, donoszącego, że wzdłuż wybrzeża płynie jakiś okręt, że dawał mu znaki dymne i inne, a także wywiesił płachty białe, na kształt chorągwi; sam jeździł konno w płaszczu karmazynowym, aby go z okrętu widziano, ale choć zdawało się, że dobrze widzieli sygnały i chorągwie, i konie, i płaszcz, nie chcieli zawinąć do portu. Wysłał on kilku Hiszpanów, aby wybadali, gdzie płynie ów okręt — donieśli, że zarzucił kotwicę o trzy mile stamtąd, przy ujściu pewnej rzeki, przeto donosi o tym i oczekuje rozkazu. Korteż, przeczytawszy list, zdał Pedrowi de Alvarado dowództwo nad całym wojskiem stojącym w Cempoalu, sam wsiadłszy na koń, w towarzystwie czterech jeźdźców i zdążających za nim pięćdziesięciu żołnierzy spomiędzy najszybszych, tej samej nocy przybył do Villa Rica.

*

Kiedy przybyliśmy do Villa Rica, jak rzekłem, nadszedł Juan de Escalante, aby pomówić z Korteżem, i orzekł, że należałoby zaraz tej nocy dostać się na okręt, aby przypadkiem nie podnieśli żagli i nie umknęli. Niech Korteż odpoczywa, on zaś pójdzie z dwudziestu żołnierzami. Korteż odpowiedział, że odpoczywać nie może, bo „kulawa koza nie odpoczywa”, chce sam pójść z żołnierzami, którzy mu towarzyszyli.

Tak więc zanim zdołaliśmy kęs pojeść, wyruszyliśmy wzdłuż wybrzeża i spotkaliśmy po drodze czterech Hiszpanów, którzy właśnie obejmowali ową ziemię w posiadanie dla Franciska de Garay, gubernatora Jamajki. Zapytał tedy Korteż, z jakiego tytułu i jaką drogą przybyli owi oficerowie wysłani przez Franciska de Garay. Odpowiedzieli, że w roku 1518, gdy po wszystkich wyspach rozeszła się fama o ziemiach, które odkryliśmy za czasów Franciska Hernandesa de Córdoba i Juana de Grijalva, i o tym, że przywieźliśmy dwadzieścia tysięcy złotych pesos dla Diega Velazqueza,

dowiedział się Francisco de Garay od Antona Alaminosa oraz innego pilota, którego ze sobą wówczas zabraliśmy, że można prosić Króla Jegomości o ziemie odkryte od rzek San Pedro i San Pablo wzdłuż północnego wybrzeża, a że miał na dworze poparcie biskupa z Burgos, wysłał swojego majordomo, nazwiskiem Torralba, by sprawę załatwił. I ten przywiózł mu upoważnienie jako dla wielkorządcy całego dorzecza obu rzek i całego kraju, który odkryją. W tym celu wysłał trzy okręty z około dwustu siedemdziesięciu żołnierzami, zapasami i końmi, pod wodzą kapitana Alonsa Alvareza Pinedo czy Pineda, który osiadł nad rzeką Panuco blisko siedemdziesiąt mil stamtąd.

Kiedy Korteż wysłuchał tego, w słowach bardzo uprzejmych zapytał, czy możliwe byłoby pojmać ów okręt. Guillen de la Loa, starszy spośród owych czterech, odpowiedział, że moglibyśmy powiewać i nie wiem co czynić, ale choćby nawoływano i powiewano, i dawano sygnały, nie zechcą się zbliżyć, bo jak mówili owi ludzie, kapitan nakazał uważać, aby nie pochwycili ich żołnierze Korteza, o których obecności w tym miejscu wiedział. Skoro spostrzegliśmy, że żadna łódź się nie zbliża, zrozumieliśmy, że z okrętu widziano, jak szliśmy wzdłuż wybrzeża, i jeżeli nie chwycimy się podstępnie, nie zbliżą się do lądu. Prosił tedy Korteż owych ludzi, aby wszyscy czterej zdjęli odzienie i przywdziali nasze, co spełnili. Potem zawróciliśmy wzdłuż wybrzeża z powrotem, aby nas widzieli i mniemali, że odchodzimy. Zostawiliśmy czterech naszych żołnierzy, którzy zamienili odzież z tamtymi czterema, sami zaś z Korteżem ukryliśmy się w lesie i siedzieliśmy tam aż do północy, póki nie zaszedł księżyc i nie nastąpiła ciemność. Wtedy powróciliśmy nad rzekę i schowaliśmy się tak dobrze, że widać było tylko owych czterech naszych żołnierzy.

Ledwie zaczęło świtać, owi czterej jęli powiewać chustami i niedługo zjawiała się łódź z sześcioma marynarzami, z których dwóch wyskoczyło na ląd, aby zaczerpnąć wody do stągwi. Oczekiwaliśmy ukryci z Korteżem, aby ich więcej wysiadło, ale nie mieli tego zamiaru. Nasi czterej, przebrani w barwy Garaya, odwracając twarze udawali, że myją ręce. Ludzie z łodzi wołali: „Wsiadajcie! Co robicie? Dlaczego nie idziecie?” Wówczas jeden z naszych odrzekł: „Wyskoczcie na ląd, a zobaczycie tu źródło”. Ale że głos był im nie znany, zawrócili łódź i choć jeszcze ich nawoływano, nie chcieli odpowiadać. Strzałami z muszkietów i kusz chcieliśmy ich przymusić, ale Korteż powstrzymał nas od tego: niech sobie jadać zdać sprawę kapitanowi. W ten sposób pozostało nam z owego okrętu owych czterech żołnierzy, których mieliśmy uprzednio, i owi dwaj marynarze, którzy wyskoczyli z łodzi. Z nimi powróciliśmy do Villa Rica.

Jak postanowiliśmy iść do miasta Meksyku, a za radą kacyka skierowaliśmy się przez Tlaxcalę, co nas tam spotkało, o starciach zbrojnych oraz o innych sprawach

Rozważając dobrze naszą wyprawę do Meksyku i radząc się, jaką drogę obrać, uzgodniliśmy z dostojnikami z Cempoalu, że najlepiej odpowiada droga przez prowincję Tlaxcala, jako że mieszkańcy jej byli z nimi za-przyjaźnieni, a śmiertelnymi wrogami Meksykanów. Stało już w pogotowiu czterdziestu wodzów i liczni wojownicy, którzy mieli nam towarzyszyć w owej podróży. Przydano nam także dwustu tragarzy do transportu artylerii, my zaś, biedni żołnierze w sandałach, które były naszym jedynym obuwiem, nie potrzebowaliśmy nikogo, nie mając więcej do dźwigania w owych czasach nad naszą zbroję, dzidę, muszkiet, kuszę i tarczę, z którymi spaliśmy i maszerowaliśmy, jak rzekłem, stale gotowi do walki.

Opuściliśmy Cempoal w połowie miesiąca sierpnia 1519 r., idąc stale w dobrym ordynku, poprzedzani przez zwiadowców i kilku bardziej chyżych żołnierzy. W pierwszym dniu doszliśmy do miejscowości Xalapa, a stamtąd do Socochimy. Była ona ufortyfikowana, dostęp był trudny. Otaczały ją bogate tamtejsze winnice. Mieszkańcy tych okolic żyli w przyjaźni z Cempoalczykami i nie płacili haraczu Montezumie, więc przyjęli nas chętnie i nakarmili. W każdej miejscowości stawialiśmy krzyż, tłumaczyliśmy, co on oznacza, i polecaliśmy go ich opiece i staraniom. Z tej Socochimy przeszliśmy wysokie góry i przez przełęcz dotarliśmy do innej osady, zwanej Tejutla. Tam również doznaliśmy dobrego przyjęcia i wkroczyliśmy na pustynię. Było tam bardzo zimno, padał grad i deszcz. Owej nocy zabrakło nam żywności, od ośnieżonych gór, znajdujących się tuż, dał silny wicher. Trzęśliśmy się z zimna, przybywaliśmy bowiem z wyspy Kuby i z Villa Rica, a na całym tym wybrzeżu jest bardzo gorąco. Teraz weszliśmy w okolice zimne i nie mieliśmy się czym okryć, mając tylko nasze uzbrojenie. Nas, przyzwyczajonych do innej temperatury, lodowate zimno przejmowało do szpiku kości. W ten sposób przeszliśmy jeszcze jedną przełęcz, gdzie zastaliśmy domostwa i wielkie świątynie bóstw, które — jak wspomniałem — nazywają tam *cues*. W pobliżu wznosiły się wielkie stopy drzewa do obsługi owych bałwanów. Nie mieliśmy co jeść, a zimno było straszliwe. Stamtąd wkroczyliśmy na ziemię zwaną Zocotlan i wysłaliśmy dwóch Indian z Cempoalu, aby uwiadomić kacyka o naszym przybyciu, by nas życzliwie przyjęli w swych domach. Był on wasalem Meksyku. Stale maszerowaliśmy w dobrym ordynku, czujni na wszystko,

bo był tu już kraj odmienny.

Ujrzeliśmy bielejące tarasy i domy, i posągi bóstw, i świątynie, które były wysokie i obielone, a wszystko to wyglądało pięknie i przypominało jakby miejscowości naszej Hiszpanii. Nadaliśmy temu miastu nazwę Castil-Blanco, bo Portugalczycy mówili, że podobne jest do miasta Castil-Blanco w Portugalii, i dotąd nosi tę nazwę. Kiedy w owym mieście dowiedzieli się od wysłańców, że nadchodzimy, kacyk wyszedł na nasze spotkanie wraz z innymi dostojnikami. Ów kacyk nazywał się Olintecle. Zaprowadzili nas do jednego budynku, dali nam jeść, ale niewiele i niechętnie. Kiedy pojedliśmy, Kortez za pośrednictwem tłumaczy zapytał ich o sprawy Montezumy, ich władcy. Kacyk opowiedział o wielkich wojskach, które on utrzymuje w prowincjach sobie podległych, nie licząc innych wojsk, które stoją na granicy i w prowincjach pogranicznych. Potem mówił o potężnej fortecy Meksyku, o domach budowanych na wodzie, tak że z jednego do drugiego dostać się można jedynie przez mosty i łodziami. Każdy dom miał taras, a każdy taras przez dodanie murków obronnych można było zmienić w małą fortecę. Aby dostać się do miasta, trzeba było przejść trzy groble, każda zaś grobla miała trzy przepusty, przez które przepływała woda z jednej strony na drugą, nad każdym z tych przepustów był most zwodzony, kiedy ten podniesiono, nie było możliwości dostać się do Meksyku. Potem opowiedział o obfitości złota, srebra i drogich kamieni *chalchiuis*, o bogactwach Montezumy i o mnóstwie innych rzeczy. Im więcej opowiadał o wielkich fortyfikacjach i mostach, to jako z krwi i kości hiszpańscy żołnierze chcieliśmy już próbować szczęścia, choć wedle tego, co opowiadał Olintecle, sprawa wydawała się beznadziejna. A zaprawdę Meksyk był jeszcze znacznie silniejszy i miał mocniejsze fortyfikacje niż wszystko, co mówił. Bowiem co innego jest oglądać własnymi oczyma miasto tak wielkie i warowne, a co innego opisywać. Mówił dalej, że Montezuma jest tak potężnym władcą, że opanował wszystko, co zechciał, i nie wie on, czyli będzie zadowolony dowiedziawszy się o naszym pobycie w owym mieście i że bez pozwolenia dali nam pomieszczenie i żywność.

Kortez przez naszych tłumaczy odpowiedział: „Podaję wam do wiadomości, że oto przybyliśmy z odległych krajów na rozkaz naszego króla i władcy, którym jest cesarz don Carlos, którego wasalami są liczni książęta. Posyła on do wielkiego Montezumy, aby mu rozkazać, by zaniechał krwawych ofiar, nie zabijał żadnych Indian ani nie obrabowywał swoich poddanych, nie zajmował żadnych ziem i uznał zwierzchnictwo naszego pana i władcy. Teraz zwracam się do was, Olintecle, i do wszystkich tu obecnych kacyków porzucicie wasze krwawe ofiary, nie zjadajcie mięsa bliźnich waszych, zaniechajcie sodomii oraz innych spraw bezecnych, do których przywykliście, tak bowiem przykazuje Bóg, Pan Nasz, którego wielbimy, w którego wierzymy, który daje nam życie i śmierć i prowadzi nas do nieba”. Wyjaśnił im wiele spraw dotyczących naszej świętej religii, oni zaś milczeli

Kortez zwrócił się do żołnierzy: „Zdaje mi się, ichmoście, że nie pozostaje nam nic innego, jak ustawić krzyż”.

Na to odezwał się ojciec Bartolomé de Olmedo: „Wydaje mi się, panie, że w tych osadach nie czas na pozostawienie krzyża w ich mocy. Są bowiem zuchwali i nieokiełznani, są wasalami Montezumy i należy się lękać, aby naszego krzyża nie spalili albo nie popełnili innej niegodziwości. To, co opowiedzieliście, wystarczy na teraz, póki nie poznają lepiej naszej świętej wiary”.

Krzyża więc nie postawiono.

Pozostawmy owe święte napomnienia i powiedzmy o olbrzymim charcie, który był własnością Franciska de Lugo i bardzo czekał w nocy. Niektórzy kacykowie mieli się wypytywać naszych przyjaciół z Cempoalu, tygrys to czy lew owo zwierzę, które zagryzło tyłu Indian. Odpowiedziano im: „Przyprowadzili go, aby zagryzł tych, którzy im przeciw staną”. Pytali również o nasze bombardy, do czego one służą. Odpowiedzieli, że wkładamy w nie kamienie i kogo chcemy, zabijamy, konie zaś, rączy jak jelenie, pozwalają pochwycić każdego. Mówili tedy Olintecle oraz inni dostojnicy: „Muszą, zaiste, to być *teules*”. Nasi zaś przyjaciele odrzekli: „Jak to? Dopiero teraz spostrzeegliście się? Nie czyńcie nic, co by ich rozgniewać mogło, a wiedzą oni nawet, co w myślach kryjecie, bowiem to owi *teules* pochwycili poborców waszego wielkiego Montezumy i rozkazali, aby wszystkie szczepy górskie zaprzestały płacić haracz i my w Cempoalu również. Oni to obalili nasze bożki i ustanowili swoje. Oni zwyciężyli tych z Tabasco i Potonchanu, a są tak dobrzy, że zawarli przyjaźń z nami i z ludźmi z Cingapancingi. Widzieliście już, że wielki Montezuma, choć tak potężny, przysyła im złoto i tkaniny, a teraz oto przybyli do waszego miasta i widzą, że nic im nie dajecie — śpieszcie i przynieście im dary”.

Dzięki tym naszym dobrym pośrednikom niebawem przynieśli nam cztery wisiorki i trzy naszyjniki, kilka jaszczurek, wszystko za złota, choć lichego, przyprowadzili również cztery Indianki do mieszania chleba i przynieśli zwoje tkanin. Kortez przyjął to wszystko radośnie i zasypał ich obietnicami.

Przypominam sobie, że niedaleko świątyni na jednym placu leżały stosy czaszek ułożone w ten sposób, że można je było policzyć, i zdawało się, że było ich tam sto tysięcy i więcej niż sto. Z drugiej strony placu leżały stosy piszczeli, kości ludzkich, których i zliczyć nie było można, zaś na belkach wisały głowy trupie. Owych kości i czaszek strzegło trzech kapłanów, do tego, zdaje się, obowiązanych. Podobne widoki oglądać mieliśmy często, im dalej zapuszczaliśmy się w głąb kraju, we wszystkich miejscowościach, nawet w Tlaxcali. Nasi przyjaciele utrzymywali, że Tlaxcala była blisko i granice tuż, wyznaczone przez słupy. Zapytaliśmy kacyka Olintecle, jaka jest najbliższa droga do Meksyku, odpowiedział, że przez wielkie miasto zwane Cholula, lecz Cempoalczycy ostrzegali

Kortez: „Panie, nie idźcie do Choluli. Ludność tam zdradziecka, a Montezuma trzyma w tym mieście załogi wojskowe”. Radzili raczej przejść przez Tlaxcalę, której mieszkańcy byli z nimi zaprzyjaźnieni, a byli wrogami Meksykanów. Postanowiliśmy posłuchać Cempoalczyków, a Bóg kierował wszystkim. Korteza zażądał od Olintecle dwudziestu wojowników, którzy by nam towarzyszyli, i zaraz ich przydzielono. Nazajutrz rano udaliśmy się w drogę do Tlaxcali.

15

Jak szliśmy do Tlaxcali, o bitwach bardzo niebezpiecznych, jakie wiedliśmy z Tlaxcalczykami, o rokowaniach pokojowych, o naszym przybyciu do miasta Tlaxcali i zachowaniu się starych kacyków

Idąc w ordynku, doszliśmy do miasta Xalacingo, gdzie obdarowano nas naszyjnikiem złotymi, tkaninami i przydzielono nam dwóch Indian. Z tej miejscowości wysłaliśmy dwóch dostojnych Cempoalczyków do Tlaxcali z listem i kapeluszem z kolorowego flandryjskiego filcu, jaki podówczas był w modzie, bowiem chociaż pojmwaliśmy, że nie umieją czytać, przypuszczaliśmy, że widząc papier różny od tamtejszego, poznają, że jest to poselstwo. Pisaliśmy, że dążymy do ich miasta, ale niech się nie lękają, bowiem nie przychodzimy jako wrogowie, ale jako przyjaciele. Postąpiliśmy tak, bo w Xalacingo zapewniano nas, że cała Tlaxcala jest pod bronią przeciwko nam, gdyż dowiedzieli się tam, że zbliżamy się i prowadzimy licznych sprzymierzeńców zarówno z Cempoalu, jak z Zocotlanu oraz innych miejscowości, przez które przechodziliśmy, a które dawniej płaciły trybut Montezumie, byli więc pewni, że idziemy przeciw nim. A że dawniej Meksykanie podstępem i fortelami wdzierali się w ich ziemie i pustoszyli je, myśleli, że chcemy postąpić tak samo. Skoro tylko nasi wysłańcy z listem i kapeluszem zaczęli sprawiać poselstwo, oni kazali ich uwięzić, nie słuchając. My zaś czekaliśmy na odpowiedź w ten dzień i następny, a kiedy nie wracali, Korteza przemówił do naczelników tej miejscowości, mówiąc im, co potrzeba, o naszej świętej wierze. Zażądał dwudziestu Indian, najlepszych wojowników, aby poszli z nami, zaś oni przydzielili ich bardzo chętnie. Zdając się na los szczęścia i polecając Bogu, wyruszyliśmy następnego dnia do Tlaxcali, po drodze spotkaliśmy powracających naszych posłów, których byli pojмали — Indianie, którym ich powierzono, zajęci przygotowaniami do wojny, rozluźnili czujność i pozwolili im uciec. Przybywali tak załęczni tym, co widzieli i sły-

szeli, że nie mogli zdobyć się na słowa; kiedy ich ujęli, grozili im, mówiąc: „Teraz pozabijamy tych, których wy nazywacie *teules*, zjemy ich mięso i zobaczymy, czy są tak potężni, jak powiadaliście, zjemy również i wasze ciała, bo przychodzicie ze słowami zdradliwymi i oszukańczymi od owego zdrajcy Montezumy”.

Na próżno posłowie zapewniali, że jesteśmy wrogami Meksykanów i że chcemy wszystkich Tlaxcalczyków uważać za braci, nie słuchali wcale ich słów.

Skoro Korteż i my wszyscy usłyszeliśmy ową zuchwałą mowę i że gotują się do wojny, nie zastanawiając się zawołałiśmy wszyscy: „Jeśli tak jest, naprzód i pomagaj Bóg!”

Poleciliśmy się Bogu, rozwinęli sztandar niesiony przez chorążego Corrala i skierowaliśmy się tam, gdzie — wedle zapewnień Indian z wioski, w której nocowaliśmy — mieli nam wyjść naprzeciw, aby bronić wstępu do miasta, co zresztą Cempoalczycy potwierdzili. Przestrzegając porządku, przypominaliśmy, że jeźdźcy mają jechać trójkami, aby sobie wzajemnie mogli pomagać, atakując i cofając się cwałem z dzidami lekko pochyłonymi. W momencie zetknięcia się z oddziałami wroga, mieli podnieść dzidy na wysokość głów, uderzając, ale nie przebijając, mierząc tak, aby Indianie nie mogli pochwycić ostrzy. Gdyby jednak pochwycili je, należało ciągnąć z całych sił, dając równocześnie koniowi ostrogę, aby rozpęd konia pozwolił wyrwać broń albo unieść Indianina.

Mógłby ktoś rzec: „Po co tyle ostrożności, gdy nie widzimy wroga, który by nas atakował”. Na to odpowiem, przytaczając słowa Korteza: „Uwaga, panowie towarzysze! Widzicie, że mała nas liczba. Musimy być czujni i przygotowani, jakbyśmy już widzieli nacierającego wroga. Co mówię, nacierającego! Musimy raczej uważać, żeśmy już w ogniu bitwy. Zdarza się często, że pochwyca dzidę, dlatego trzeba, abyśmy byli przygotowani na taką możliwość oraz na inne rzeczy, jak należy w sprawach wojskowych. Wiem bowiem dobrze, że jeśli o walkę chodzi, nie potrzeba wam wskazówek, przekonałem się, że dzielniej walczyć będziecie, niż powiedzieć potrafię”.

W ten sposób uszliśmy około dwóch mil i ujrzeliśmy warownię bardzo mocno zbudowaną z kamieni, wapna i cementu, tak twardo, że jedynie czekanami ugryźć by to można. Warownia, zbudowana zarówno dla obrony, jak ataku, była bardzo trudna do wzięcia. Zatrzymaliśmy się, aby ją podziwiać, a Korteż wypytywał Indian z Zocotlanu, przeciw komu zwrócona jest owa warownia, w ten sposób zbudowana. Odpowiedzieli, że ponieważ Montezuma ustawicznie toczy wojnę z Tlaxcalczykami, ci, dla obrony swych osiedli, zbudowali ją tak warownie na swojej ziemi. Odpoczęliśmy nieco, zaś owa warownia wiele nam do myślenia dała.

Korteż odezwał się: „Panowie, idźmy za naszym sztandarem, który nosi znak krzyża świętego, z nim zwyciężymy”.

Wszyscy odkrzyknęliśmy, że czeka nas los szczęśliwy, bowiem Bóg jest prawdziwą siłą. I podążyliśmy dalej w tym samym ordynku. Uszliśmy niezbyt daleko, kiedy nasi zwiadowcy ujrzeli około trzydziestu Indian na czatach. Uzbrojeni byli w broń obosieczną, tarcze i oszczepy, przybrani w pióropusze. Ostrza ich mieczy są z obsydianu i tną lepiej niż brzytwy, a osadzone są w ten sposób, że nie mogą się ani złamać, ani odpaść. Drewniane miecze szerokie są przy tym jak koncerze. Ujrawszy to, nasi zwiadowcy powrócili z wiadomością. Korteż rozkazał im puścić się w pościg za Indianami i pochwycić jednego z nich, nie raniąc go. Ledwie trzydziestu Indian stojących na czatach ujrzało jeźdźców nadciągających i przywołujących ich gestami, nie czekali, aż ich dosięgną, jednak nasi dogonili ich i usiłowali dostać języka, ale Indianie bronili się dzielnie mieczami i oszczepami, raniąc konie. Gdy nasi spostrzegli, jak dzielnie sobie poczynają, odpowiedzieli, jak nalegało, i zabili pięciu z nich. Na to z wielką furją wpadł pędem oddział Tlaxcalczyków ukryty w zasadzce; było ich około trzech tysięcy i zaczęli szyc strzałami naszych jeźdźców. W tym momencie zbliżyliśmy się z artylerią, muszkietami i kuszami, tedy zaczęli z wolna tył podawać, jednak w doskonałym porządku. W tym spotkaniu ranili czterech naszych, zdaje mi się, że po kilku dniach umarł jeden ranny. A że zrobiło się późno, zaczęli wycofywać się, a myśmy ich nie ścigali. Pozostawili siedemnastu zabitych na równinie, gdzie były liczne domy i uprawy kukurydzy i agawy, z których robią wino. Spędziliśmy noc nad potokiem, opatrując rany tłuszczem z grubego Indianina, któregośmy zabili, nie było bowiem oliwy. Na wieczerzę zjedliśmy małe pieski,* tam hodowane. Domy były opuszczone, żywności ani śladu, nawet pieski zabrali ze sobą, ale nocą wyrwały się z klatek i powróciły do swoich domów, a myśmy je chwytali; mięso ich było bardzo smaczne. Całą noc spędziliśmy czujnie ustawiając strażę, odprawując ronty i wysyłając zwiadowców w pole; konie były osiodłane i uwiązane: baliśmy się napaści.

*

Na drugi dzień, poleciwszy się Bogu, wyruszyliśmy stamtąd z postanowieniem, że w żadnym wypadku nie pozwolimy się rozbić i rozdzielić. Maszerowaliśmy tak, gdy wyszły nam naprzeciw dwa hufce wojowników. Było ich sześć tysięcy; wrzeszczeli, bili w bębny, trąbili, strzelali z łuków, miotali oszczepy, postępując jak prawdziwi wojownicy. Korteż przykazał nam stanąć spokojnie i wysłał trzech Indian wziętych do niewoli poprzedniego dnia, aby im powiedzić, żeby nie zaczynali wojny, bo

* Pieski — *ixcuintles*, znane tylko na terenie Ameryki Płd., podobne do małych świnek, obecnie prawie wyginęły.

chcemy uważać ich za braci. Poleciał jednemu z naszych, nazwiskiem Diego de Godoy, notariuszowi Jego Królewskiej Mości, obserwować, co się stanie, i zaświadczyć w razie potrzeby, gdyby nas czynili odpowiedzialnymi za poległych i szkody, jakie mogliśmy im wyrządzić, podczas gdy myśmy pragnęli pokoju. Ledwie owi jeńcy zaczęli mówić, kiedy Indianie wpadli w gorszą jeszcze wściekłość i tak nas zaatakowali, że sprostać było trudno. Wówczas Korteż zakrzyknął: „Santiago! * Na nich!”

Więc wpadliśmy na nich tak, że zabiliśmy i ranili strzałami wielu, a w tym trzech dowódców. Cofali się ku zaroślom, gdzie w zasadzce ukrytych było ponad czterdzieści tysięcy wojowników z naczelnym ich wodzem Xicotengą**, pod znakami biało-czerwonymi, były to bowiem barwy tego wodza. Znajdowały się tam rozpadliny, których konie przeskoczyć nie mogły i trzeba było je przeprowadzać z wielkim niebezpieczeństwem. Korzystali z tego, aby nas zasypywać strzałami celnymi i oszczepami, miecze ich wyrządzały nam wielkie szkody, także proce, z których kamienie sypały się na nas jak grad. Kiedyśmy się znaleźli na równinie z końmi i artylerią, zapłaciliśmy im za to, ale nie śmieliśmy rozluźnić szyku naszego oddziału, bo każdy żołnierz, który się nieco oddalił, ścigając Indianina uzbrojonego w miecz lub dowódcę, bywał raniony i narażony na wielkie niebezpieczeństwo. W toku bitwy okrzyki nas zewsząd tak ciasno, że nie mogliśmy walczyć. Nie mogliśmy atakować inaczej jak wszyscy razem z obawy, aby nas nie rozbili i nie rozerwali. Jeśli atakowaliśmy, rzucało się na nas ponad dwadzieścia oddziałów i broniło się. Życie nasze było w wielkim zagrożeniu, a Indian było tyle, że garściami ziemi mogli nas zasypać, gdyby nas miłosierdzie może nie wspomogło i me strzegło. Kiedy znaleźliśmy się w takiej opresji, w obliczu tak dzielnych wojowników i ich śmiałych oręży, zmówili się, aby grupa najlepszych spośród nich dostała w ręce jakiegoś konia. Przystąpili do dzieła atakując. Pochwycili klacz znakomitą w wyścigu i biegu, jechał na niej doskonały jeździec Pedro de Morón. Kiedy wpadł z dwoma innymi jeźdźcami między hufce wroga — jak to było przykazane, bo mieli sobie jedni drugim pomagać — pochwycili jego dzidę i nie zdołał jej wyrwać, inni natomiast siekli go mieczami i groźnie zranili. Wtedy uderzyli ostrzem klacz, przecięli jej szyję, tak że wisiała tylko na skórze, i klacz padła martwa. Gdyby mu zaraz nie pośpieszyli z pomocą jeźdźcy, jego towarzysze, byłiby zasiekli i Pedra de Morón. Z obawy, abyśmy nie zostali rozbici, nie mogliśmy nieść pomocy ni tu, m tam, musieliśmy stawiać mocny opór, aby nie zostać zwyciężonymi — niebezpieczeństwo było groźne. Jednak przybyliśmy

* Santiago! (hisz.) — święty Jakubie! Okrzyk bojowy Hiszpanów.

** Wódz Xicotenga — Xicotenga Młodszy uważany za bohatera narodowego Walczył przeciwko Montezumie a potem przeciwko Korteżowi Opiewany przez epicką poezję kubańską Stracony przez Korteza.

właśnie o tym czasie, gdy pochwycili klacz, i udało nam się uratować Morona i wyrwać go z rąk Indian, którzy go już na pół martwego unosili. Przecieliśmy popregi, aby uratować siodło, podczas tego jednak zostało rannych dziesięciu naszych. Jestem jednak pewien, że zabiliśmy im wówczas czterech dowódców, walczyliśmy bowiem ramię przy ramieniu i nasze szpady wiele szkody im wyrządziły. Dlatego też zaczęli się wycofywać, zabierając klacz, którą posiekli na kawałki, aby pokazać całej ludności Tlaxcali. Dowiedzieliśmy się później, że ofiarowali swoim bożkom podkowy i kapelusz flandryjski oraz oba listy wysłane z propozycjami pokoju. Morón musiał umrzeć w dwa dni potem, bo nie przypominam sobie, abym go później widywał.

Lecz powróćmy do naszej bitwy. Walczyliśmy już więcej niż godzinę i nasze wystrzały musiały wyrządzić im wiele szkód, bowiem będąc tak liczni, walczyli w zwartych szeregach i oczywiście kule trafiały wielu z nich. Poza tym jeźdźcy, muszkietierowie, kusznicy, oszczepnicy walczyli zaciekle, by spełnić swój obowiązek, a także ocalić życie, które nigdy jeszcze nie było w takim niebezpieczeństwie. Potem dowiedzieliśmy się, że w owej bitwie zabiliśmy wielu Indian, a w tym ośmiu wodzów bardzo wybitnych, synów starych kacyków owej stolicy, dlatego cofnęli się w dobrym porządku, czym nie martwiliśmy się. Nie ścigaliśmy ich, bo byliśmy bardzo wyczerpani, ledwie trzymaliśmy się na nogach. Pozostaliśmy w tej samej miejscowości, bardzo ludnej — nawet mieli tam mieszkania pod ziemią, jakby grotty, w których żyło mnóstwo Indian. Miejsce, gdzie toczyła się ta bitwa, nazywa się Tehuancingo czy też Tehuacacingo. Odbyła się 2 września 1519 r.

Ujrawszy się zwycięzcami, złożyliśmy dziękczynienie Bogu, że zwolnił nas z tak wielkich niebezpieczeństw. Potem usunęliśmy się do jakichś świątyń, wysokich i zbudowanych silnie niczym warownie. Tam opatrzyliśmy naszych rannych tłuszczem poległego Indianina, jak to wiele razy już mówiłem, tam też leczyliśmy cztery ranne konie. Poległych mieliśmy trzynastu. Wieczeraliśmy dobrze tej nocy i odpoczywaliśmy aż do rana następnego dnia pod dobrą strażą, przy czatach i rontach, wysławszy zwiadowców w pole.

*

Ponieważ czuliśmy się bardzo utrudzeni po odbytych walkach, wielu żołnierzy i konie w ranach, nie licząc tych, którzy pomarli, i ponieważ trzeba było przygotować kusze i przeliczyć strzały, zostaliśmy tam cały dzień, nie czyniąc nic, co warte byłoby wspomnienia. Nazajutrz rano Korteż rzekł, że dobrze by było, aby jeźdźcy, którzy do tego są zdolni, przetrząsnęli okolice, niech Tlaxcalczycy nie myślą, że z powodu ostatniej

bitwy zaniechaliśmy wojny, i wiedzą, że nie przestajemy ich ścigać. Lepiej ich zaatakować, niżby oni nas atakować mieli, nie trzeba także, aby spostrzegli naszą słabość, zwłaszcza że kraj jest płaski i gęsto zaludniony. Przeto wyszliśmy w siedmiu jeźdźców, kilku kuszników i muszkieterów i około dwustu żołnierzy wraz ze sprzymierzeńcami, pozostawiwszy obóz z możliwie najlepszą załogą. W domach okolic, przez które przechodziliśmy, wzięliśmy około dwudziestu Indian i Indianek, nie czyniąc im nic złego. Nasi sprzymierzeńcy, jako ludzie okrutni, spalili liczne domostwa i nabrali sporo żywności, kur i piesków, rychło powróciliśmy do obozu, od którego niezbyt się oddaliliśmy. Kortez postanowił uwolnić jeńców — naprzód nakarmił ich, potem przemawiał do nich przy pomocy dońi Mariny i Aguilara, obdarowując ich paciorkami i namawiając, aby nie byli szaleni, zawarli pokój, my chcemy im pomagać i uważać ich za braci. Po czym uwolniliśmy również dwóch pierwszych jeńców, którzy byli znacznymi osobistościami, i daliśmy im list, aby uwiadomili najwyższych kacyków owej stolicy całej prowincji, że nie przychodzimy w złych zamiarach ani aby im krzywdę wyrządzić, chcemy tylko przejść przez ich kraj do Meksyku, aby rozmówić się z Montezumą.

Obaj posłowie udali się do obozu Xicotengi, oddalonego o dwie mile drogi, a rozmieszczonego w kilku osiedlach, które nazywają się, zdaje się, Tecuacinpancingo. Oddali tam list i odprawili poselstwo, na które odpowiedział Xicotenga Młodszy, że musimy udać się do miasta, gdzie znajduje się jego ojciec, tam zawrą pokój, pożywiając się naszym mięsem i składając nasze serca i krew na ofiarę bogom, powiedział także, że nazajutrz rano otrzymamy jego odpowiedź. Kiedy Kortez i my wszyscy usłyszeliśmy te zuchwałe słowa, nie przypadły nam do smaku, bo byliśmy bardzo wyczerpani ostatnimi bitwami. Kortez nie szczędził posłom miłych słów, wydawało się, że całkowicie pozbyli się lęku, i kazał im dać kilka sznurów paciorków, a wszystko, aby ich zatrzymać i użyć jako posłów w sprawie pokoju.

Tymczasem wypytywałem dokładnie, co by za człowiek był ów wódz Xicotenga i jakie siły są przy nim. Odpowiedzieli, że ma znacznie więcej wojska, niż kiedy nam wydał wojnę, bowiem wiezie z sobą pięciu wodzów, a każdy z nich prowadzi dziesięć tysięcy wojowników. Kortez więc obliczył, że ze strony Xicotengi Starego, ojca tego wodza, idzie dziesięć tysięcy, dziesięć tysięcy ze strony innego wielkiego kacyka, imieniem Masseescaci, od innego wielkiego naczelnika, imieniem Chichimecatecle, to samo, od wielkiego kacyka, władcy Topeyanco, imieniem Tecapaneca, znowu dziesięć, od kacyka Guaxocingo również dziesięć tysięcy, tak że razem dawało to pięćdziesiąt tysięcy. Mieli wyjść ze sztandarem, na którym był ich znak — ptak biały, jakby struś, rozwijający skrzydła do lotu. Każdy zastęp posiadał swój znak i barwę, każdy kacyk posiadał także swoje, tak jak u nas w Kastylii mają książęta i hrabiowie. Wszystko, co tu opowiedziałem, uwa-

zaliśmy za pewne, bowiem Indianie, jeńcy właśnie zwolnieni, jasno to powiadali, choć wówczas nie wierzyliśmy im. Kiedyśmy o tym jednak usłyszeli, to — jako że jesteście ludźmi i śmierci się boimy — wielu z nas, a nawet prawie wszyscy, wypowiedaliśmy się przed ojcem zakonu Miłosierdzia i księdzem Juanem Diazem, którzy słuchali spowiedzi przez całą noc. Poleciliśmy się Bogu, aby nas ratował i abyśmy nie zostali zwyciężeni.

*

Nazajutrz rano, a był to 5 września 1519 r., zrobiliśmy przegląd koni, wszyscy ranni weszli w szeregi, aby pomagać wedle swoich sił, ostrzeżyliśmy kuszników, aby używali amunicji z wielką oględnością — jedni mieli nabijać, inni strzelać — podobnie i muszkietierów. Ludzi przy mieczu i tarczy pouczyliśmy, by ciosy i pchnięcia wymierzali w brzuch, nie pozwalając Indianom zbliżyć się jak poprzednim razem, artyleria była opatrzona jeźdźcy otrzymali wskazówki, jak mają sobie wzajemnie pomagać, a także aby nacierając wypadali kłusem i pochyliwszy dzidy, godzili w oczy i twarze. Żaden żołnierz nie śmiał się odchyłać z szeregów. Sztandar nasz niesiony przez chorążego Corrala, osłaniało czterech towarzyszy.

W ten sposób opuściliśmy obóz i nie uszliśmy nawet pół ćwierci mili, kiedy ujrzelśmy pola zalane mnóstwem wojowników zdobnych piórami, niosących swoje znaki, dmących co sił w trąby i trąbki. Dużo byłoby do pisania i opowiadania, jaką to niebezpieczną bitwę stoczyliśmy, bowiem otoczyli nas ze wszystkich stron tak liczni wojownicy, że byliśmy jak strzęp płótna pośród wielkich łąk, na dwie mile szerokich i na dwie mile długich. Pośród ich mnóstwa w samym środku my, czterystu ludzi, w tym wielu rannych i chorych. Zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że tym razem przyszli z myślą, aby żadnego z nas nie zostawić przy życiu, ale wszystkich zabić na ofiarę bogom. Z jakąż furią rzucili się na nas! Jaki grad kamieni z proc! Ile strzał! Ziemia była cała najeżona oszczepami o jednym lub dwu grotach, które zdolne były przeszyć nie wiem jaki pancerz, dosięgnąć wnętrzości, i nie było przeciw nim obrony. Mieli miecze i tarcze oraz szersze od mieczy koncerze i dzidy. Z jaką pasją atakowali! Z jakim męstwem ścierali się z naszymi przy niebywałych wrzaskach i wyciach. Ale my, wspomagani przez naszą artylerię, kusze i muszkiety, zadawaliśmy im ciężkie straty, na miecze i tasaki odpowiadaliśmy pchnięciami, które ich zmuszały do cofnięcia się wstecz, i nie zdołali nas tak ścisnąć, jak poprzednim razem. Jeźdźcy byli tak zwinni i tak mężnie walczyli, że po Bogu, który nas tam strzegł, oni byli naszą fortecą.

A jednak ujrzałem nasz zastęp niemal rozbity — ani nawoływania Korteza, ani innych dowódców nie były w możności zebrać nas pośród owej chmary Indian, którzy nacierali tak, że cud zaiste, że zdołaliśmy cięcia-

mi i ciosami odepchnąć ich nieco, co pozwoliło nam wreszcie zewrzeć szeregi. Zawdzięczamy życie temu, że byli tak liczni i tak skupieni i nasze strzały wyrządzały im wielkie szkody, poza tym brakło im dowództwa, ich wodzowie nie umieli skupić swoich ludzi. Do tego — jak dowiedzieliśmy się później — od przeszłej bitwy nieporozumienia i zatargi dzieliły wodza Xicotengę i drugiego wodza, syna Chichimecatecli jeden drugiemu zarzucał, że źle walczył poprzednio, i w tej bitwie Chichimecatecle i jego ludzie nie chcieli wspomagać Xicotengi, Chichimecatecle namówił też zastępy Guaxocingo, aby się wstrzymały od walki. Prócz tego od ostatniej bitwy Indianie zachowali lęk przed końmi, armatami, mieczami i kuszami. Tak więc nasze męstwo, a nade wszystko miłosierdzie boże, dało nam siły do wytrwania.

Wyrządziliśmy im wielkie szkody, zabijaliśmy wielu ludzi, których zaraz wynosili na plecach, i dlatego ani w tej, ani w poprzedniej bitwie nie mogliśmy policzyć poległych. Nie czując się wspomaganymi przez obu wyżej wymienionych wodzów, walczyli niechętnie i zaczęli ustępować. Ponoć zabiliśmy w tej bitwie jakiegoś znacznego wodza, więc inni zaczęli się cofać w dobrym porządku, a nasi jeźdźcy ścigali ich kłusem, ale niedaleko, bo sami upadali ze zmęczenia. Kiedy ujrzeliśmy się uwolnieni od tej chmary wojowników, złożyliśmy gorące dzięki Bogu.

Zabili nam jednego żołnierza i ranili ponad sześćdziesięciu, a także wszystkie konie. Ja otrzymałem dwie rany, jedną od kamienia w głowę, a drugą w udo od strzały. Wróciliśmy do obozu zadowoleni i pogrzebaliśmy poległego w jednym z ich podziemnych domów, aby nie spostrzegli, że byliśmy śmiertelni, ale aby nadal wierzyli, że jesteśmy, jak mówili, *teules*. Zgromadziliśmy wiele ziemi w tym domu, aby nie było czuć rozkładu ciała.

Och, jakże marne było nasze zaopatrzenie — ani oliwy na rany, ani soli nie mieliśmy! Drugim brakiem był niedostatek szat, które by nas chroniły przed lodowatym wiatrem, dmącym ze śnieżnych gór, a przed którym dzidy, muszkiety i kusze nie chroniły nas wcale. Tej nocy spaliliśmy spokojniej niż poprzedniej, wystawiwszy liczne czujki i warty i wysławszy licznych zwiadowców.

*

Po bitwie przeze mnie opisaną, w której wzięliśmy do niewoli trzech starszych Indian, wódz nasz Korteż wysłał ich oraz dwóch, których już dawniej mieliśmy w obozie, a którzy już raz od nas posłowali, do kacyków Tlaxcali z prośbą, aby zechcieli zawrzeć pokój i pozwolić nam przejść przez ich ziemie do Meksyku, o co już poprzednio prosiliśmy. A jeżeli i teraz nie zgodzą się, pozabijamy wszystkich ich poddanych, ale bardzo pragniemy mieć ich za braci i nie byłibyśmy nigdy z nimi walczyli, gdyby nie dali do tego powodu.

Owi posłowie bardzo chętnie poszli do stolicy Tlaxcali i poselstwo sprawili wobec kacyków wyżej wspomnianych, których zastali zgromadzonych razem ze starszyzną i kapłanami, bardzo strapionych złym obrotem bitwy i śmiercią wodzów, swoich krewniaków i synów, w niej poległych. Źle byli usposobieni do wysłuchania przychylnie naszego poselstwa. Zgodzili się tylko przywołać wszystkich wróżbiarzy i kapłanów oraz czarowników, zwanych *tacalnaguas*, aby we wróżbach swych, czarach i wyrokach odczytali, cośmy za jedni i czy można nas zwyciężyć przez ustawiczną walkę we dnie i w nocy, a także czy jesteśmy *teules*, jak utrzymują Cempoalczycy (to jest, jak mówiłem innym razem, czymś w rodzaju demonów) i czym się żywimy, niechaj to wszystko wybadają jak najrychlej. Zebrali się tedy wróżbiarze i czarownicy, i po odprawieniu czarów, i rzuceniu losów i uroków, jakie zwykle czynią, mieli powiedzieć, że jesteśmy ludźmi z krwi i kości, zjadamy kury, psy, chleb i owoce, jeżeli je mamy, nie jemy natomiast mięsa Indian ani serc tych, których zabijamy, a tymczasem nasi przyjaciele, Indianie z Cempoalu, wmawiali w nich, że jesteśmy *teules* i zjadamy serca Indian, że nasze bombardy miotają błyskawice podobne do tych, które spadają z nieba, że nasz chart jest rodzajem tygrysa albo lwa, a konie służą do ścigania Indian, których zabić chcemy, i jeszcze inne dzieciństwa. Najgorsze ze wszystkiego było, że owi kapłani i wróżbiarze orzekli, iż zwyciężeni możemy być jedynie nocą, bowiem gdy zmrok zapada, tracimy siły. Orzekli ponadto, że jesteśmy mężni, ale z chwilą gdy słońce zajdzie i ciemności się szerzą, nie mamy już żadnej mocy. Ledwie kacykowie to usłyszeli i za pewnośc to wzięli, posłali do naczelnego wodza Xicotengi, aby najrychlej nocą z wielkimi siłami na nas nastąpił. Ten, otrzymawszy wiadomość, zebrał około dziesięciu tysięcy Indian, najdzielniejszych, jakich posiadał, i podszedłszy pod nasz obóz z trzech stron, zaczął nas zasypywać strzałami i oszczepami o jednym ostrzu, a z czwartej strony puścił do ataku ludzi uzbrojonych w miecze, koncerze i maczugi — byli pewni, że uda im się pochwycić kilku naszych, aby ich zabić na ofiarę.

Bóg jednak sprawił, że choć potajemnie nas napadli, zastali nas w pogotowiu, bowiem nasi zwiadowcy, ledwie posłyszeli wielki zgiełk ich pochodu, przybiegli co żywo zaalarmować nas, a jako mieliśmy zwyczaj sypiania w sandałach i uzbrojeniu, przy osiodłanych i okiełzanych koniach, mając broń w pogotowiu, przyjęliśmy ich muszkietami i kuszami oraz mieczami, tak że co rychlej uciekli. A ponieważ pole było równe i księżyc świecił, nasi konni ścigali ich czas jakiś, a kiedy zadniało, znaleźliśmy około dwudziestu z niech poległych i rannych, zawrócili z wielkimi stratami, żałując, że atakowali nocą. Słyszeliśmy też, że ponieważ im się nie powiodło, kapłani i czarownicy, którzy wróżyli, zostali pozabijani na ofiarę bogom.

Nad ranem ujrzelśmy się wszyscy w ranach, każdy po dwakroć lub trzykroć był ranny, i bardzo wyczerpani nocną walką.

Xicotenga nie przestawał nas nękać. Brakło już około czterdziestu pięciu żołnierzy, poległych w bitwach lub zmarłych od chorób i zimna. Dwunastu innych było chorych, a sam nasz dowódca, Korteż, gorączkował. Przyczyną były trudy i ciężar uzbrojenia stale na barkach dźwigany oraz inne przeciwności, jak zimno i brak soli, której nie jedliśmy ani nie znachodzili. Prócz tego trapiły nas ustawicznie myśli, jaki koniec będzie tym bojom, a kiedy się skończą, jaki los nam przypadnie, gdzie się podziejemy, bowiem dojście do Meksyku wydawało nam się szaleństwem z powodu jego silnych obwarowań. I mówiliśmy sobie, że jeżeli Tlaxcalczycy nas do tego stanu przywiedli, którzy — jak twierdzili nasi sprzymierzeńcy z Cempoalu — byli usposobienia pokojowego, co będzie, gdy zetkniemy się z całą potęgą Montezumy, i co wówczas poczniemy. Dręczył nas też brak wiadomości o naszych, którzy pozostali w Villa Rica, i niemożność przesłania im wieści o nas. Pośród szlachty i żołnierzy byli mężowie znamienici i bardzo wielkiego rozumu, i Korteż — wbrew temu, co twierdził kronikarz Gomara — nigdy nic nie postanawiał i nie czynił, nie zasięgnąwszy wprzód ich dojrzałej rady.

Tu muszę powiedzieć, że doña Marina, mimo że pochodziła z tych krajów, miała istic męską odwagę i choć co dzień nasłuchiwała się, że nas Indianie pozabijają, a nasze ciała zjedzą z papryką, choć widziała w poprzednich bitwach nas otoczonych, a teraz rannych i chorych, nigdy nie okazała słabości, ale męstwo zgoła nie niewieście. Doña Marina i Jerónimo de Aguilar radzili posłom przez nas wysłanym, aby co rychlej wracali z pokojem, jeżeli do dwóch dni nie powrócą, pójdziemy ich wszystkich wytracić, ich ziemie splądrować, i poszukamy ich w ich mieście. Takie to dzielne posłanie zanieśli do stolicy, gdzie znajdował się Xicotenga Stary i Masseescaci.

*

Kiedy nasi posłowie przybyli do Tlaxcali z propozycjami pokoju, zastali na naradzie dwóch głównych kacyków: Masseescaciego i Xicotengę Starego, ojca naczelnego wodza. Ci, kiedy usłyszeli poselstwo, zamilkli na chwilę, rozmyślając, i zaiste Bóg ich natchnął, aby zawarli pokój z nami. Zwołali kacyków i wodzów wszystkich szczepów, a także z sąsiedniej prowincji, zwanej Guaxocingo, sprzymierzonej i zaprzyjaźnionej z nimi. Wszyscy zebrali się w stolicy, a Masseescaci i Xicotenga Stary, bardzo rozumni, wygłosili przemówienie mniej więcej brzmiące w ten sposób: „Bracia i przyjaciele nasi, widzieliście już wiele razy, jak *teules*, którzy w polu oczekują bitwy, przysyłali do nas propozycje pokoju, mówiąc, że przybywają, aby nam pomagać i stać się nam braćmi, podobnie widzieliście, jak wiele razy brali do niewoli naszych poddanych i nie czyniąc im nic

złego, wypuszczali ich. Widzieliście, jak trzykrotnie toczyliśmy z nimi boje całą naszą potęgą, zarówno za dnia, jak w nocy, i nie zostali pokonani, a w bitwach zabili wielu naszych ludzi, synów, krewniaków i wodzów. Oto teraz znów żądają pokoju, a Cempoalczycy, którzy z nimi idą, mówią, że są oni wrogami Montezumy i jego Meksykanów i zakazali ludom z gór totonaskich i Cempoalczykom płacić mu haracz. Przypominamy wam, że Meksykanie co roku od lat stu napadają nas i wiecie dobrze, że jesteśmy jakby zamknięci w tej ziemi, nie śmiejąc wyjść na poszukiwanie soli, której już nie używamy, ani bawełny, której nam brak na odzież, bo ilekroć wyprawia się lub wyprawiali którzy z naszych na jej poszukiwanie, niewielu z życiem wracało, bo ci zdraycy Meksykanie i ich sprzymierzeńcy albo ich zabijają, albo zmieniają w niewolników. Już nasi Tacalnaguas, wróżbiarze i kapłani, powiedzieli nam, co wiedzą o osobach owych *teules* i o tym, jak są mężni. Zdaje nam się, że dobrze byłoby zawrzeć z nimi przyjaźń i gdyby nawet nie byli ludźmi, ale demonami, tak czy owak byłiby dobrymi sprzymierzeńcami. Niech zaraz pójdą czterej nasi starsi i zanoszą im dobrą żywność, trzeba im okazać miłość i chęć pokoju, aby nam pomogli i bronili nas od nieprzyjaciół naszych. Niechaj przyjdą do nas, dajmy im nasze niewiasty, abyśmy się spokrewnili w ich potomstwie, mówią nam bowiem ambasadorowie nasi, którzy z propozycją pokoju do nas przybyli, że jest tam kilka kobiet pośród nich".

Kiedy wszyscy kacykowie i dostojnicy usłyszeli ową przemowę, orzekli, że była mądra i że zaraz należy się porozumieć w sprawie pokoju i powiadomić wodza Xicotengę oraz innych wodzów, którzy przy nim są, aby powracali zaprzestawszy wojny, bowiem chcemy zawrzeć pokój.

Jednak wódz Xicotenga Młodszy nie chciał słuchać czterech posłów i z wielkim gniewem obrzucił ich wyzwiskami, mówiąc, że nie uznaje pokoju. Wszak zabił już wielu *teules* oraz klacz i jeszcze tej nocy chce przypuścić atak, aby nas ostatecznie pokonać i zniszczyć. Kiedy ową odpowiedź usłyszeli Xicotenga Stary i Masseescaci oraz inni kacykowie, bardzo się rozsierdzili i posłali rozkaz do wodzów i do całego wojska, aby nie łączyli się z Xicotengą Młodszym w napaści na nas, aby odmówili posłuszeństwa jego rozkazom, chyba że będzie chodziło o pokój. On jednak słuchać nie chciał. Wobec tej niesubordynacji wódza wysłali ponownie owych czterech dostojników do naszego obozu z zapasami, aby wszczęli rokowania o pokój w imieniu całego kraju Tlaxcali i Guaxocingo, ale owi czterej starcy ze strachu przed Xicotengą Młodszym nie wyszli w nakazanym czasie.

*

Już dwa dni siedzieliśmy beczynnie i nie zdarzyło się nic, co by opowiedzieć warto, namówiliśmy przeto Korteza, aby pewnej nocy wyprawić

się do miasta leżącego o milę od naszego obozu, a które, choć wezwane przez nas do pokoju, nie dawało znaku życia. Nie chcieliśmy krzywd wyrządzać ani zabijać, ani ranić, ani zabierać w niewolę, ale chcieliśmy, aby nam dostarczyli spyży, aby ich nieco przestraszyć, albo też — zależnie od ich stanowiska — wejść w rokowania. Zwało się to miasto Zunpancingo i miało zwierzchnictwo nad licznymi małymi wioskami, do których należała i ta, gdzie przebywaliśmy, gdzie był nasz obóz, a która nosiła nazwę Tecuacincancingo; cała ta okolica była gęsto zaludniona. Pewnej nocy zatem, przed brzaskiem, wstaliśmy, aby się udać do tego miasta w sześciu konnych i z najzdrowszymi żołnierzami, z dziesięciu kusznikami i ośmiu muszkietierami, pod wodzą Korteza, choć trzęsała go febra, pozostawiając wedle naszej możliwości dobrą załogę w obozie. Dwie godziny maszerowaliśmy, zanim dzień zaczęło, i trzęśliśmy się, bo dał tak zimny wicher od śnieżnych gór; podobnie odczuły to konie, które szły z nami, bo dwa z nich dostały kolek i dygotały, czym zatroskaliśmy się mniemając, że padną. Kortez polecił dwom ich właścicielom powrócić do obozu i leczyć je. Miasto było już blisko, doszliśmy, zanim nastał dzień.

Ledwie mieszkańcy spostrzegli, że się zbliżamy, puciekali z domów, nawołując jedni drugich, aby chronili się przed *teules*, którzy przychodzą ich zabijać, nawet rodzice odbiegali dzieci. Widząc to, zatrzymaliśmy się na jednym z dziedzińców, póki nie zrobiło się jasno, aby ludność nie poniosła szkody.

Kiedy kapłani jednej ze świątyń oraz inni starsi przekonali się, że zatrzymaliśmy się, nie czyniąc nikomu krzywdy, podeszli do Korteza przepraszając, że nie przyszli do naszego obozu na znak pokoju, kiedy wzywaliśmy ich, i nie przynieśli żywności, ale była to wina wodza Xicotengi, który był w pobliżu miasta i zakazał im coś dawać, bowiem owo miasto i inne liczne musiały zaopatrywać jego obóz i w oddziałach swoich miał synów z tego miasta i całego kraju Tlaxcali. Kortez za pośrednictwem naszych tłumaczy, dońi Mariny i Aguilara, którzy nam zawsze na każdą wyprawę towarzyszyli, nawet i w nocy, prosił ich, aby pozbyli się lęku i nie zwlekając udali się do stolicy, wzywając kacyków, aby przybyli w celu zawarcia pokoju, bo wojna nic im dobrego nie przyniesie. Wysłał Kortez tych kapłanów jako posłów do kacyków Tlaxcali, bowiem od czterech wysłańców, o których wspomniałem, nie było odpowiedzi, ani też sami nie powrócili.

Kapłani tego miasta co rychlej zebrali czterdzieści kur i kogutów i przyprowadzili cztery Indianki do pieczenia placków. Kortez podziękował i polecił im wysłać dwudziestu Indian z zapasami do naszego obozu. Poszli bez trwogi i zabawili tam do wieczora; dostali drobne paciorki i powrócili bardzo zadowoleni do domów, a we wszystkich małych wsiach w sąsiedztwie rozgłaszali, że jesteśmy dobrzy i nie czynimy im krzywdy. Kapłani i starsi dali znać do wodza Xicotengi, że zaopatrzyli nas w żywność i przy-

słali kobiety, czym go bardzo rozżalili, sami zaś pośpieszyli do stolicy, powiadomić o wszystkim starszych kacyków. Ci, dowiedziawszy się, że nie wyrządzamy krzywdy i choć mogliśmy pozabijać wielu z ich ludzi, przychodzimy żądać pokoju, uradowali się i polecili im, aby co dzień dostarczali nam wszystkiego, czego byśmy potrzebowali. Rozkazali też owym czterem kacykom, którzy posłowali przedtem w sprawie pokoju, aby natychmiast udali się do naszego obozu, zanosząc całą wyznaczoną przez nich żywność. Powróciliśmy do naszego obozu z zapasami i Indiankami, bardzo zadowoleni.

*

Kiedy powróciliśmy z Zunpancingo z zapasami i, jak już wspomniałem, bardzo zadowoleni, zastaliśmy w obozie zmowy i szemrania na temat olbrzymich niebezpieczeństw, na jakie w tej wojnie co dzień jesteśmy narażeni. Najgłośniej szemrali i najpilniej sejmikowali właśnie ci, którzy pozostawili na wyspie Kubie swoje domy i przydziały Indian. Zmówiło się ich około siedmiu, których po nazwisku wymieniać nie chcę, mając ich honor na względzie, i poszli do kwatery Korteza, a jeden z nich przemówił. Radził, aby Kortez rozważył, gdzie tak wędrujemy dniami i nocami, ranni i słabi, wśród trudów wielkich, nieustannie walcząc. Odkąd wyszliśmy z Kuby, straciliśmy ponad pięćdziesięciu towarzyszy i nie wiemy, co się dzieje z tymi, którzy pozostali w Villa Rica. A że Bóg dał nam zwycięstwo i w swoim miłosierdziu wielkim nas zachował, nie powinniśmy kusić losu i należałoby powrócić do naszej kolonii, zbudować okręt, aby przesłać wiadomości do Diega Velazqueza i na inne wyspy, aby przysłali nam pomoc i posiłki. Idziemy gorzej niż zwierzęta, bowiem zwierzętom po odbytej drodze ujmuje się ciężaru i karmi się je, i odpoczywają, my zaś dzień i noc wędrujemy w butach i pełnym uzbrojeniu.

I mówili dalej: niechaj zważy, że w żadnej historii ani Rzymianie, ani ludzie Aleksandra, ani innych wodzów, jacykolwiek byli na świecie pomiędzy najsłynniejszych, nie odważali się zatapiać okrętów ani z taką garstką zapuszczać się pomiędzy tyle ludów i wojowników, jak on to uczynił. Jest to niemal morderstwo dokonane na nim samym i na nas wszystkich, i jeśli chce zachować swoje i nasze życie, powinniśmy niezwłocznie powrócić do Villa Rica, jako że obecnie panuje spokój.

Korteż widząc, że przemawiają tak wyniosłe, dając mu przestrogi, odpowiedział bardzo łagodnie, że doskonale znane mu są wszystkie owe sprawy, o których mówili, ale widzi i wierzy, że na całym świecie nie masz drugich Hiszpanów mężniejszych, którzy by walczyli z większą odwagą i znosili tak ciężkie trudy jak my. A jako Bóg wyratował nas z tak wielkiego niebezpieczeństwa, on ma nadzieję, że i na przyszłość tak będzie.

„W tych wszystkich opresjach, panowie, które razem z wami przebyłem, nie zaznałem trwogi.”

I prawdę powiadał, bowiem we wszystkich bitwach był pomiędzy pierwszymi.

„To, co rzekliście, panowie, że nigdy żaden z naj słynniejszych wodzów rzymskich nie dokonał tego, cośmy dokonali, rzekliście prawdę i oto teraz i w przyszłości, za wolą bożą, historia opowiadać będzie znacznie więcej o nas aniżeli o tamtych, bowiem — jak powiedziałem — nasza sprawa to służba Bogu i naszemu wielkiemu cesarzowi Carlosowi. Tedy, panowie, niemądrą byłoby rzeczą o krok powracać, bowiem jeżeli owe ludy, które zostawiliśmy w pokoju, ujrzą, że powracamy, kamienie przeciw nam powstaną, i jak teraz mają nas za bóstwa i demony, jak nas nazywają, osądzą nas jako tchórzy pozbawionych mocy. A cóż to mówicie, abyśmy zostali pomiędzy przyjaciółmi totonaskimi, naszymi sprzymierzeńcami? Wszak kiedy ujrzą, że zawracamy, nie poszedłszy do Meksyku, obrócą się przeciw nam, i słusznie, bo skoro za naszą namową odmówili haraczowi Montezumie, ten wysłał swoje wojska meksykańskie przeciw nim, aby przywrócić ich do posłuszeństwa i wydając im z tego powodu wojnę, zażąda, aby nas wydali, zaś oni, aby nie zostać wyniszczeni, czego się ogromnie lękają, spełnią, co rozkaże. Tak ci, których za przyjaciół uważamy, staną się nam wrogami. A gdy wielki Montezuma dowie się, że zawróciliśmy z drogi, cóż powie? Za cóż będzie miał nasze słowa i nasze posłanie? Że wszystko to są kpiny i dziecinna zabawa! Jeśli mówicie, panowie, że od opuszczenia wyspy Kuby straciliśmy pięćdziesięciu pięciu żołnierzy z ran, głodu, zimna, chorób i trudów, że nas jest mało i wszyscy przeważnie ranni i chorzy, Bóg nam sił doda za wielu, bowiem jest to rzecz znana, że na wojnie giną ludzie i konie; prawdą jest również, że jadamy tylko od czasu do czasu, ale nie przybyliśmy jednak na wypoczynek, jeno aby walczyć... Dlatego, na miłość boską, błagam was jako szlachtę i dobrze urodzonych — tak jak przódzi dzielnie stawaliście, tak i teraz wyrzucicie z myśli waszych wyspę Kubę i to, co tam zostawiliście, i starajmy się czynić, co zawsze czyniliśmy jako dobrzy żołnierze”.

Co prawda szemrali dalej przeciw Kortezowi i przeklinali go i nas również, że mu źle doradziliśmy, i Cempoalczyków, że takimi drogami nas wiodą, i wiele innych nieznacznych rzeczy mówili, ale podówczas kryli się z tym i wszyscy dobry posłuch dali.

*

Cztery razy Masseescaci i Xicotenga Stary oraz większość kacyków ze stolicy Tlaxcali wysyłali do swego wodza z rozkazem, aby zaprzestał walki, aby udał się do naszego obozu porozumieć się w sprawie pokoju, był bowiem

blisko. Rozkazali też innym wodzom, którzy przy nim byli, aby mu nie towarzyszyli, chyba na rokowania pokojowe z nami. Xicotenga, niegodziwy, uparty i dumny, zgodził się wysłać do nas czterdziestu Indian z żywnością, kurami, chlebem, owocami oraz cztery stare Indianki nędznie przyodziane, dużo kadzidła i piór papuzich.

Indianie, którzy to przynieśli, a zdawali się przychodzić w pokojowych zamysłach, okadzili Korteza przyszedłszy, ale nie pokłonili się wedle ich zwyczaju, i rzekli: „To wam przysyła wódz Xicotenga, abyście jedli. Jeżeli jesteście *teules*, jak zapewniają Cempoalczycy, i chcecie złożyć ofiarę, oto są cztery kobiety, zabijcie je i możecie zjeść ich ciała i serca, a że nie wiemy, w jaki sposób to czynicie, nie zabiliśmy ich. Jeżeli jednak jesteście ludźmi, jedzcie te kury, chleb i owoce. Jeżeli jesteście demonami życzliwymi, oto *copal*, który, jak się rzekło, służy do okadzania, i pióra papuzie, niech wam przy ofierze służą”.

Kortez odpowiedział przez naszych tłumaczy, że oświadczył już, ich chce pokoju, a nie przyszedł toczyć wojny. Przybywa też z prośbą i zleceniem od Pana Naszego Jezusa Chrystusa, w którego wierzymy i którego czcimy, oraz od cesarza don Carlosa, którego poddanymi jesteśmy, aby odtąd nie zabijali na ofiarę nikogo, jak to czynić zwykli, bo wszyscy jesteśmy ludźmi z krwi i kości, jak oni, a nie demonami, jesteśmy chrześcijanami, którzy nie mamy w zwyczaju zabijać nikogo. Gdybyśmy zabijać chcieli, okazji nie brakło — w czasie walk we dnie i w nocy mogliśmy dopuszczać się okrucieństw. Za spyzę przyniesioną dziękujemy, ale niech nie będą szaleni i zgodzą się na pokój.

Zdaje się, że owi Indianie, których przysłał Xicotenga, byli szpiegami — przepatrzyć mieli nasze chaty, ile nas w każdej było, ile mamy koni, artylerii i wszystko w obozie. Pozostali oni dzień i noc, po czym odeszli do Xicotengi, a na ich miejsce przyszli inni. Nasi przyjaciele z Cempoalu, widząc to, zauważyli, że nie jest to rzecz zwyczajna, aby nasi wrogowie przebywali w obozie całą dobę bez jakiegoś celu. Na pewno są to szpiegdy. Tym bardziej było im to podejrzane, że kiedy byliśmy w Zunpancingo, dwaj starcy tamtejsi powiedzieli Cempoalczykom, że Xicotenga z licznymi wojownikami gotowi się do ataku na nasz obóz. Kortez na tę wieść, aby dowiedzieć się prawdy, kazał wziąć dwóch Tlaxcalczyków, którzy mu się wydawali uczciwi, i przyznali się, że byli szpiegami. Ponadto zdradzili, że wódz Xicotenga oczekuje znaku od nich, aby tej samej nocy napaść nas z całą swą potęgą. Kortez, dowiedziawszy się o tym, ogłosił alarm w obozie, przekonany, że jak ułożyli, przystąpią do ataku. Kazał też pojmać około siedemnastu z owych szpiegów i uciąć im ręce, zaś innym obciąć kciuk, w ten sposób odesłaliśmy ich do Xicotengi, ich wodza. Kazał im powiedzieć, że spotkało ich to za karę. Mogą atakować w dzień czy w nocy, będziemy ich czekać przez dwa dni, a jeśli w tym czasie nie nadejdą, pójdziemy ich poszukać w ich obozie. Już byśmy byli poszli zbrojnie i wytra-

cili ich, ale nie uczyniliśmy tego, ponieważ miłujemy ich bardzo. Niech tedy nie będą szaleni i zawrą pokój.

Owi Indianie z obciętymi rękoma i kciukami przyszli do obozu w chwili, gdy Xicotenga gotował się do wyjścia z całą swą potęgą, aby — jak zamyslił — napaść nas nocą. Ujrawszy swych szpiegów powracających w tym stanie, zdumiał się i spytał o przyczynę tego. Opowiedzieli wszystko, co zaszło; od tej chwili utracił rozmach i pewność siebie, tym bardziej że opuścił był obóz jeden z wodzów ze swoim szczepem, z którym w poprzednich bitwach poróżnił się i pokłócił.

16

Jak to do naszego obozu przybyło czterech naczelników na rokowania pokojowe, o przybyciu ambasadorów wielkiego Montezumy, o przybyciu starych kacyków z Tlaxcali z prośbą, abyśmy co rychlej udali się do ich miasta, i co dalej było

W naszym obozie nie wiedzieliśmy jeszcze, czy dojdzie do rokowań, choć bardzo tego pragnęliśmy. Czas spędzaliśmy na opatrywaniu broni, robieniu strzał, każdy pracował nad tym, czego mu do spraw wojennych potrzeba było, i właśnie w takiej chwili w wielkim pośpiechu nadbiegł jeden ze zwiadowców. Powiedział, że główną drogą z Tlaxcali zbliża się znaczna liczba Indian i Indianek z ładunkiem, prosto kierując się do naszego obozu, i że drugi jego towarzysz, również zwiadowca, został, aby wypatrzeć, dokąd zdążają. Niebawem i ten nadjechał i rzekł, że już są bardzo niedaleko i idą prosto na nas, od czasu do czasu zatrzymując się dla wytchnienia. Korteż i my wszyscy ucieszyliśmy się, przekonani, że przychodzą zawrzeć pokój. I tak też było. Korteż polecił wstrzymać się od wszelkich objawów wzruszenia i niepokoju i pozostać w naszych chatkach. Wkrótce od całej tej masy ludzi idących z ładunkiem oddzieliło się czterech dostojników, którzy mieli polecenie rokować, jak przykazali starsi kacykowie. Z oznakami pokoju, pochylając głowy, skierowali się prosto do kwatery Korteza i kładąc ręce na ziemi, ucałowali ją, złożyli trzykrotny pokłon, zapalili kadzidło i oświadczyli, że wszyscy kacykowie Tlaxcali, ich wasalowie, sprzymierzeńcy i przyjaciele przybywają, by zawrzeć przyjaźń z Kortezem i wszystkimi jego braćmi *teules*, by prosić o pokój. Niech im przebaczy, że wszczęli wojnę, byli jednak przekonani i pewni, że jesteśmy przyjaciółmi Montezumy i jego Meksykanów, którzy są ich śmiertelnymi wrogami.

Korteż odpowiedział im przez naszych tłumaczy, udając zagniewanie, że miałby powód, aby ich nie słuchać ani nie zawierać z nimi przyjaźni,

bo ledwo weszliśmy na ich ziemie, posłaliśmy do nich, ofiarując im pokój, zaś oni wierzyć nie chcieli, ale gotowi byli posłów naszych pozabijać. Nie dość im było tego — dniem i nocą wiedli z nami boje i nasyłali szpiegów. Jeżeli jednak teraz istotnie przychodzą z pokojem w imieniu tej prowincji, on przyjmuje ich w imieniu naszego króla i pana, dziękuje za żywność, którą przynoszą. Poleciał, by powrócili do swych władców i rzekli im, aby przybyli osobiście albo wysłali kogoś do rokowań pokojowych z pełnym pełnomocnictwem, a jeśli tego nie uczynią, poniesiemy wojnę do ich stolicy. Kazał im dać paciorki błękitne dla kacyków na znak pokoju i upomniął, aby jeśli przybędą, było to we dnie, a nie w nocy, wtedy bowiem zabilibyśmy ich.

Odeszli wówczas owi czterej posłowie i pozostawili w kilku chatach oddalonych od naszego obozu Indianki przyprowadzone, aby piekły chleb, placki, kury i wszystko, co było trzeba, i stamtąd nam przynosiły dobre pożywienie. Wnieśliśmy z tego, że chodzi o pokój prawdziwy, i dziękowaliśmy Bogu, bowiem przyszli w czasie, kiedy już byliśmy słabi i wyczerpani i mieliśmy dość wojny, nie wiedząc, co nam przyniesie i jak się zakończy.

*

Bóg, Nasz Pan, w swoim wielkim miłosierdziu zdarzył nam zwycięstwo w owej bitwie pod Tlaxcala i sława nasza rozniosła się po wszystkich pogranicznych krainach. Doszedł o niej słuch do wielkiego Montezumy w wielkim mieście Meksyku, a jeśli przody mieli nas za *teules*, jakby bożków, odtąd urosiliśmy wobec nich w sławę jako dzielni wojownicy. I padł strach na całą ziemię, że mimo iż była nas taka garstka, a Tlaxcalczyków taka moc, zwyciężyliśmy ich i teraz żądamy zawarcia pokoju. Montezuma, wielki władca Meksyku, najbardziej ze wszystkiego obawiał się naszego marszu na Meksyk i wysłał dostojników bardzo znacznych do Tlaxcali, do naszego obozu, aby nas powitali i rzekli, że bardzo uradowało go wielkie zwycięstwo odniesione przez nas nad tak licznymi zastępami przeciwników. Przesłał nam w darze około tysiąca pesos złota, na co składały się klejnoty bardzo bogate, kunsztownej roboty, i dwadzieścia zwojów delikatnej bawełnianej tkaniny. Wysłannicy mówili, że przysyła to, aby dowieść, że pragnie zostać wasalem naszego wielkiego cesarza i że cieszy się, iż tak blisko jego miasta jesteśmy, gdyż ma wiele życzliwości dla Korteza i dla wszystkich *teules*, jego braci. Chciałby wiedzieć, jakiego trybutu rocznego żądać będzie nasz wielki cesarz, a złoży go w złocie, srebrze i drogich kamieniach *chalchuis*, bylebyśmy tylko do Meksyku nie szli, a to nie dlatego, że nie przyjąłby nas wdzięcznym sercem, ale że ziemia jest bezpłodna i trudno dostępna, i przykro by mu było, że się tak trudzimy przekraczając ją,

a mimo najlepszej woli trudom naszym nie mógłby zaradzić. Kortez, odpowiadając, zapewnił, że w wielkiej czci zachowa słowa jego i podarunki przysłane oraz gotowość płacenia trybutu Jego Cesarskiej Mości.

*

Podczas tej rozmowy z ambasadorami Montezumy, uwiadomiono Korteza, że przybył wódz Xicotenga z licznymi kacykami i wodzami, wszyscy przyodziani w ich barwy narodowe. Towarzyszło im około pięćdziesięciu dostojników. Przyszedłszy do kwatery Korteza, oddali mu uniżony ukłon i kazali palić mnóstwo kadzidła. Kortez zaś bardzo łaskawie polecił im usiąść przy sobie. Xicotenga oświadczył, że przychodzi w imieniu swego ojca i Masseescaciego oraz wszystkich kacyków republiki Tlaxcali prosić, aby ich dopuścił do swojej przyjaźni, że przychodzą uznać zwierzchność naszego króla i władcy i przeprosić, że chwycili za broń i wydali nam wojnę. Nie byłiby tego zrobili, gdyby wiedzieli, kto jesteśmy, byli przekonani, że przychodzimy jako stronnicy ich wroga Montezumy, który nieraz używa podstępów i matactw, aby wkroczyć na ich ziemię, pustoszyć je, rabować i niszczyć — mniemali przeto, że tak samo postąpić chcemy. Oni są bardzo ubodzy, nie mają ni złota, ni srebra, ni drogich kamieni, ni tkanin bawełnianych, a nawet soli do spożycia, bowiem Montezuma nie pozwala im wyjść z kraju na ich poszukiwanie, a jeżeli ich przodkowie mieli nieco złota i wartościowych kamieni, Montezuma kazał je sobie wydać, kiedy zawierali z nim pokój lub zawieszenie broni. Jeżeli obecnie nie mają co dać, niech im wybaczone będzie, bo ubóstwo jest tego przyczyną, a nie zła wola. Rozwiedli się w skargach przeciw Montezumie i jego sprzymierzeńcom, którzy wszyscy byli im przeciwni i wiedli z nimi wojny.

Był ów Xicotenga wysokiej postawy, szeroki w ramionach i urodziwy, twarz miał podłużną, jakby dziobatą, o grubych rysach. Miał lat blisko trzydzieści pięć i całą jego postać cechowała powaga. Kortez podziękował mu wytwornie, nie szczędził pochlebstw i oświadczył, że przyjmuje ich jako wasalów naszego króla i władcy i jako naszych przyjaciół. Po czym Xicotenga prosił, abyśmy się udali do miasta, gdzie z wielką niecierpliwością oczekują nas wszyscy kacykowie i starszyzna, i kapłani. Kortez odpowiedział, że najrychlej się tam uda i już byłby to uczynił, gdyby nie rokowania z wielkim Montezumą; kiedy ci ambasadorowie odjadą, on się tam stawi. Powrócił też Kortez w słowach nieco surowych i poważnych do wojny, którą z nami wiedli dniem i nocą. Ale co się stało, to się nie odstanie, on im przebacza, niech jednak starają się, aby pokój, który teraz zawieramy, był trwały i bez zmian, gdyby bowiem inaczej postąpili, pozabija ich i zburzy ich miasto, a wtedy nie będzie mowy o pokoju, tylko o wojnie. Kiedy usłyszał to Xicotenga i inni dostojnicy z nim przy-

byli odpowiedzieli jednogłośnie, że pokój będzie trwały i prawdziwy, a na dowód oni wszyscy pozostaną jako zakładnicy.

Wszystkie te rozmowy i oświadczenia miały miejsce w obecności ambasadorów meksykańskich, którym ten pokój był bardzo nie w smak. Zdawali sobie sprawę, że dla nich żadna korzyść z tego nie wyjdzie. Ledwie się Xicotenga pożegnał, zapytali Korteza na pół z uśmiechem, czyli wierzy owym zapewnieniom, jakie czynili mu w imieniu całej Tlaxcali — wszystko to jest bowiem oszustwem, niechaj im wierzy, to są słowa zdradzieckie i oszukańcze, czynią tak, aby nas zwabić do miasta, gdzie będą mogli wedle woli wydać nam wojnę, pochwycić nas i zabić. Przypomnijmy sobie, ile razy napadłszy nas z całą potęgą, chcieli nas wymordować, a ponieważ nie zdołali tego dokonać i wielu, z nich poległo, inni zostali ranni, teraz chcą się pomścić pod osłoną fałszywego pokoju. Kortez, też bardzo pewny siebie, odpowiedział, że na nic nie przydałyby im się takie zamysły, bo gdyby to okazało się prawdą, sprawiłoby mu przyjemność ukarać ich, odbierając im życie. Nic mu nie wadzi, czy mu walczyć każą we dnie, czy w nocy, w polu czy w mieście, wszystko to jedno dla niego, aby zaś przekonać się, czy to prawda, postanowił udać się do miasta. Ambasadorowie, widząc jego zdecydowanie, prosili, abyśmy zaczekali w obozie naszym dni sześć, chcą bowiem wysłać dwóch ze swoich towarzyszy do Montezumy, a ci do sześciu dni powrócą z odpowiedzią. Kortez przyrzekł, tym bardziej że, jak powiedziałem, cierpiał gorączkę, a także udawał, że przykładą wielkie znaczenie do tego, co mówili. Gdyby przypadkiem zaś mówili prawdę, chciał mieć czas to wszystko rozważyć, nad tym się zastanowić.

Kiedy nasi nowi przyjaciele, kacykowie Tlaxcali, spostrzegli, że ociągamy się z przybyciem do miasta, sami zjawili się w naszym obozie z kurami i owocami opuncji, bo właśnie był to czas na nie. Każdy z nich dźwigał żywność, jaką rozporządzał w domu, i po dobrej woli nam to oddawał, nie chcąc nic w zamian i prosząc Korteza, aby zaraz z nimi udał się do miasta. A że mieliśmy czekać na Meksykanów dni sześć, jak przyrzekł, Kortez uprzejmymi słowy to odwlekał. Po upływie tych dni przybyło z Meksyku sześciu dostojników, mężów bardzo szanownych, i przynieśli bogate dary przysłane przez Montezumę. Było tam ponad trzy tysiące pesos złota w klejnotach, rozmaitych, pióra, dwanaście zwojów bogatych tkanin oraz inne rękodzieła. Oddając je Kortezowi, rzekli, że ich pan, Montezuma, uważa nas za przyjaciół i przysyła nam owo złoto, klejnoty i tkaniny, ale Tlaxcalczycy tym większą będą mieli ochotę je zrabować. Kortez przyjął owe dary radośnie i zapewnił o swej wdzięczności, zapłaci za nie Montezumie dobrymi czynami. Gdyby zaś spostrzegł, że Tlaxcalczycy mają takie zamiary, jakie podejrzewał Montezuma, zapłaci za to życiem. Jednak jest pewny, że nie popełnią żadnej niegodziwości i w każdym razie chce tam pójść i zobaczyć, co się święci. W czasie tej rozmowy przybyli liczni wysłańcy z Tlaxcali, zapowiadając, że do naszych chat i zagród zbliżają

się wszyscy starzy kacykowie stolicy, aby odwiedzić Korteza i nas wszystkich i zabrać nas do swego miasta. Kortez, dowiedziawszy się o tym, prosił ambasadorów meksykańskich, aby poczekali dni trzy, bo chce wszystkie sprawy pokoju i wojny z nimi omówić.

*

Starzy kacykowie całej prowincji Tlaxcali, czekając na próżno naszego przybycia do ich miasta, postanowili sami do nas się udać, jedni na noszach, inni w hamakach, inni niesieni na plecach, a jeszcze inni pieszo. Byli to przede mnie już wymienieni Maseescaci i Xicotenga Stary oraz Guaxolocingo, Chichimecatecle, Tecapaneca z Topeyanco w otoczeniu licznych dostojników. Z wielkim uszanowaniem złożyli przed Kortezem i nami trzykrotnie pokłony, zapalili kadzidło, dotykali rękoma ziemi i całowali ją. Po czym Xicotenga Stary w te słowa przemówił do Korteza: „*Malinche, Malinche!* Wielokroć już posyłał się do ciebie z prośbą, abyś nam wybaczył nasze wystąpienie zbrojne, i dla usprawiedliwienia przytoczyliśmy nasze racje. Chcieliśmy się bronić przeciw niegodziwemu Montezumie i jego wielkiej armii, byliśmy bowiem przekonani, że należycie do jego zwolenników i sprzymierzeńców. Gdybyśmy byli wiedzieli to, co teraz wiemy, nie tylko byłibyśmy wyszli wam na spotkanie z licznymi zapasami, ale byłibyśmy zamietli drogi, a nawet dotarli aż do morza, gdzie mieliście wasze okręty. A jeśli wybaczyliście nam, oto przychodzimy błagać — ja i wszyscy ci kacykowie — abyś bez zwłoki udał się z nami do naszego miasta, a tam wam damy wszystko, co posiadamy, i służyć wam będziemy we własnych osobach i majątkami naszymi. Nie chciej, *Malinche*, odmawiać, bo zaraz odejdziemy, lękamy się, że owi Meksykanie nagadali ci kłamstw o nas, nie wierz im ani ich nie słuchaj, są bowiem fałszywi, jasne to dla nas, że to z ich powodu nie chciałeś dotąd przyjść do naszego miasta”.

Kortez odpowiedział z wesołą miną, że wiedział od wielu lat, zanim jeszcze przybyliśmy do tego kraju, jak są zacni, i dlatego zdumiał się, kiedy wystąpili zbrojnie. Obecni tu Meksykanie czekają na odpowiedź dla swego władcy Montezumy. Za zaproszenie do miasta, za dostarczenie żywności i inne grzeczności dziękują im bardzo i odpłaci im to czynami. Byłby się już udał do miasta, gdyby miał ludzi do transportu *tepuzques*, czyli bombard.

Ledwie usłyszeli te słowa, zadowolenie odmalowało się na ich twarzach i zapytali: „Jak to, to dlatego? A dlaczego nic nie mówiliście?” I za niecałe pół godziny przyprowadzili ponad pięciuset Indian do noszenia ciężarów. Nazajutrz wczesnym rankiem ruszyliśmy do stolicy Tlaxcali w zwykłym szyku: artyleria, konnica, muszkiety i kusze oraz reszta żołnierzy. Kortez

prosił ambasadorów Montezumy, aby razem z nami udali się do Tlaxcali — przekonają się, co tam zamyślają, i stamtąd ich odprawi. Obiecał ambasadorom, że weźmie ich do swojej kwatery, aby uniknęli zniewagi, bowiem, jak mówili, lękali się Tlaxcalczyków.

Zanim opowiem dalsze nasze dzieje, chcę rzec, że we wszystkich osiedlach, przez które przechodziliśmy, oraz w innych, gdzie nas jeszcze nie znali, nazywano Korteza „Malinche” i tak go odtąd będę nazywał powtarzając wszystkie rozmowy, jakie prowadziliśmy z jakimikolwiek Indianami, czy to z tej prowincji, czy w mieście Meksyku, a Kortezem nazywać go będę tylko wtedy, kiedy będzie należało. Powodem, dla którego nadano mu to imię, była stała obecność dońi Mariny, naszej tłumaczki, przy wszystkich rokowaniach z posłami lub kacykami, jakie prowadził. Przedstawiała ona Korteza jako swego dowódcę, w języku meksykańskim przezwano go tedy „wodzem Mariny”, co w skrócie dało „Malinche”.

*

Kiedy kacykowie ujrzeli, że nasz konwój ruszył w drogę do miasta, zaraz wyprzedzili nas, aby wszystko na nasze przyjęcie przygotować i umiać gałęziami mieszkania. Skoro zbliżyliśmy się o ćwierć mili do stolicy, ci sami kacykowie wyszli nas powitać, przyprowadzając synów i bratanków, i liczną starszyznę — każdy ród i szczep osobno. W Tlaxcali bowiem były cztery wielkie szczepy, nie licząc szczepu Tecapanewi, władcy Topeyanco, który był piątym. Ze wszystkich miejscowości ściągnęli poddani w rozmaitych strojach narodowych, które choć z pity, były w pierwszym gatunku, pięknie haftowane i malowane, bo bawełny nie mogli dostać. Zeszli się też kapłani z całego kraju, a było ich wielu, dla mnóstwa świątyń, jakie tam mają, a które między sobą nazywają *cues*, gdzie trzymają swe bożki i czynią krwawe ofiary. Owi kapłani przynieśli misy gliniane pełne żaru i okadzili swym kadzidłem nas wszystkich; niektórzy byli odziani w długie bardzo szaty, jakby białe kapy z kapturem, jaki noszą nasi kanonicy. Włosy mieli długie i tak splątane, że nie można ich było nie uciawszy rozczesać. Były one pełne krwi, która spływała po uszach, bo w tym dniu właśnie składali ofiarę. Głowy mieli pochylone na znak pokory, zaś paznokcie palców u rąk mieli bardzo długie. Powiedziano nam, że są oni bardzo pobożni i wiodą życie zakonne.

Liczna starszyzna otoczyła Korteza, aby mu towarzyszyć. Kiedy weszliśmy do miasta, ciasno było w ulicach i na tarasach, tyle Indian i Indianek wyszło, aby nas oglądać. Byli bardzo weseli i przynieśli ponad dwadzieścia bukietów tamtejszych róż różnobarwnych i pachnących i ofiarowali je Kortezowi oraz innym żołnierzom, którzy wydawali im się oficerami, zwłaszcza jednak konnym. Doszliśmy do wielkich dziedzińców, gdzie

mieściły się mieszkania. Xicotenga Stary i Masseescaci ujęli Korteza za rękę i wprowadzili go do wnętrza. Tam dla każdego z nas było przygotowane posłanie z mat i koców z pity. Nasi przyjaciele z Cempoalu i Zocotlanu pomieszczeni zostali obok nas. Korteż prosił, aby posłom wielkiego Montezumy dano komnaty obok niego.

Tu na miejscu przekonaliśmy się jasno, że byli pełni dobrej woli i zamiarów pokojowych, ale wedle naszego zwyczaju nie przedstawiliśmy się mieć na baczności. Ponoć jeden z oficerów, który wyznaczał zwiadowców, wartowników i czujki, miał rzec do Korteza: „Panie, zdaje mi się, że zamiary ich są pokojowe, nie potrzebujemy tak wiele straży ani nie musimy być tak ostrożni jak zwykle”.

Ale Korteż rzekł na to: „Słusznie, panie, sam widzę, co powiadacie, ale mam ten dobry zwyczaj, by zawsze być w pogotowiu tak, jakby chcieli wystąpić przeciw nam i jakby nas mieli zaatakować. Liczni wodzowie z powodu zbyt dużego zaufania i beztronski zostali pobici, a nas jest przecie tak mało, przy tym wielki Montezuma ostrzega nas, że wszystko to są oszustwa, a nie prawda. Miejmy się więc na baczności”.

Xicotenga Stary i Masseescaci, wielcy kacykowie, bardzo zagniewali się na Korteza i rzekli mu przez tłumaczy: „*Malinche*, ciągle jeszcze uważasz nas za nieprzyjaciół i dajesz temu dowód postępując, jak widzimy — nie masz do nas zaufania, nie wierzysz w pokój zawarty między nami, mówimy ci to, bo widzimy, że stróżujecie i chodzicie w takim pogotowiu, jak kiedy potykaliście się z naszymi zastępami. *Malinche*, mniemamy, że postępujesz tak z obawy przed zdradami i bezceństwami, o których potajemnie naszeptali ci Meksykanie, aby cię z nami poróżnić. Nie wierz im, teraz gdy tutaj przebywasz, my ci oddajemy wszystko, czego zapragniesz — nasze osoby i nasze dzieci, i życie oddalibyśmy za was. Zażądaj tedy zakładników, jakich zechcesz”.

Korteż i my wszyscy byliśmy wzruszeni, słysząc, z jakim oddaniem i miłością to powiedzieli. Korteż odpowiedział, że wierzy im i nie potrzeba żadnych zakładników, wystarczy widzieć ich dobrą wolę. Jest to naszym zwyczajem zawsze być w pogotowiu, niech nam tego za złe nie biorą. Za wszystkie życzyliłości jesteśmy wdzięczni i wynagrodzimy im to w stosownym czasie. I przez dwadzieścia dni naszego tam pobytu mieliśmy wszystkiego do syta. Przybyliśmy do tego miasta 23 września 1519 roku.

*

Nazajutrz rano Korteż rozkazał zbudować ołtarz, aby odprawić mszę, jako że mieliśmy wino i hostie. Odprawił ją ksiądz Juan Diaz, bowiem ojciec Miłosierdzia miał gorączkę i był bardzo słaby. Obecni byli Masseescaci oraz Xicotenga Stary i inni kacykowie. Po mszy Korteż odszedł do swego

mieszkania z pewną liczbą żołnierzy, którzy zwykli mu byli towarzyszyć, a także z dwoma starymi kacykami. Xicotenga oznajmił mu, że pragną mu złożyć dar. Korteż przyjął to bardzo serdecznie i oświadczył, że gotów go przyjąć, kiedy zechcą. Zaraz też rozwinęli kilka mat i przykryli je kocami, przynieśli sześć czy siedem drobiazgów ze złota i kamienie niewielkiej wartości oraz kilka zwojów tkanin z pity. Wszystko to było bardzo ubogie i nie warte nawet dwudziestu pesos, a kiedy je ofiarowywali, rzekli owi kacykowie z uśmiechem: „*Malinche*, mniemamy, że jako niewiele jest tego, co ci dajemy, nie przyjmiesz daru życzliwie. Już ci przez posłów mówiliśmy, że jesteśmy ubodzy i nie posiadamy ani złota, ani żadnych bogactw, a stało się to za przyczyną owych zdrajców i niegodziwców Meksykanów i Montezumy, który teraz nimi włada; zagrabił on nam wszystko, co posiadaliśmy, jako okup za pokój i rozejm, o jaki prosiliśmy, aby uniknąć z nim wojny. Nie zważaj na małą wartość naszych darów, ale przyjmij je z dobrą chęcią, jak od przyjaciół i sług, jakimi dla ciebie jesteśmy”. Prócz tego przynieśli jeszcze wiele żywności.

Korteż przyjął to radośnie i powiedział, że ma te dary w większej cenie, jako ofiarowane dobrowolnie i z chęcią, aniżeli gdyby mu inni darowali dom pełen złotego żwiru. Przyjąwszy je, okazał im wiele serdeczności. Umówili się też wszyscy kacykowie, że dadzą nam swe córki i siostrzenice, najpiękniejsze, jakie mają, i w wieku do zamęścia...

Xicotenga Stary mówił: „*Malinche*, abyś jasno przekonał się, jako żywo wam dobra życzymy i pragniemy was we wszystkim zadowolić, chcemy wam oddać nasze córki, bardzo piękne, abyście je wzięli za żony i potomstwo z nich wywiedli, bowiem chcemy was mieć za braci, jako że jesteście tak zacni i dzielni. Ja mam córkę bardzo piękną, niezamężną dotąd, i chcę, abyście ją sobie wzięli”.

Podobnie Masseescaci i wszyscy inni kacykowie zapowiedzieli, że przyprowadzą swoje córki, abyśmy je pojęli za żony. Xicotenga Stary, ponieważ był ślepy, rękoma dotykał głowy Korteza, jego brody, twarzy oraz całego ciała. Korteż odpowiedział ojcom owych panien, że on i wszyscy nasi jesteśmy bardzo wdzięczni i że naszymi dobrymi czynami odpłacimy to w stosownym czasie.

*

Na drugi dzień przybyli ci sami starzy kacykowie i przyprowadzili pięć Indianek, dziewic pięknych i młodych, które — jak na Indianki — wyglądały bardzo ładnie i były ślicznie przystrojone. Każdej Indiance towarzyszyła dziewczyna służebna, a wszystkie były córkami kacyków.

Xicotenga odezwał się do Korteza: „*Malinche*, oto córka moja, niezamężna jest i dziewica. Przywiodłem ją dla was!” I oddał mu ją w ręce, zaś

inni oddali swe córki innym oficerom. Korteż złożył im dzięki i z życzliwym wyrazem twarzy rzekł, że oto przyjmuje je i weźmie je za swoje, ale tymczasem niechaj pozostaną pod władzą swoich ojców. Zapytali tedy kacykowie, dlaczego nie przyjmujemy ich od razu, na co Korteż odpowiedział, że wprzód uczynić chce, co mu rozkazuje Bóg, Nasz Pan, w którego wierzy i którego wielbimy, i co polecił nam król, nasz władca: niechaj wpięrow porzucą bożki swoje i nie składają im ofiar krwawych, nie zabijają więcej ludzi, niech wyrzekną się wszeteczności, jakie popełniają zwykli, i niechaj uwierzą w Tego, w którego my wierzymy, a który jest Jeden Bóg Prawdziwy. I wiele im jeszcze powiadał rzeczy odnoszących się do naszej świętej wiary i zaiste wyłożone one były bardzo jasno, bowiem doña Marina i Aguilar, nasi tłumacze, byli w nich tak biegli, że podawali je bardzo zrozumiale. Jeżeli chcą być nam braćmi i zawrzeć prawdziwą przyjaźń z nami, jeżeli chcą, abyśmy ich córki — jak mówią — pojęli za żony, niechaj natychmiast porzucą swoje złe bóstwa i cześć oddadzą Bogu, Panu Naszemu.

Na to wszystko odpowiedzieli: „*Malinche*, już przedtem zrozumieliśmy ciebie i wierzymy chętnie, że ten wasz Bóg i ta Wielka Pani są dobrzy, ale zważ — wyście zaledwie przybyli do naszych domostw, z upływem czasu zrozumiemy jaśniej wasze sprawy i poznawszy je, uczynimy, co się godzi. Jakże chcesz, abyśmy porzucili naszych *teules*, których od wielu wieków nasi przodkowie uważali za bóstwa, których czcili i którym składali ofiary? Nawet gdybyśmy my, którzy starszyzną jesteście, chcieli to uczynić, aby się tobie przypodobać, cóż powiedzieliby nasi kapłani i wszyscy mieszkańcy, i młodzież, i dzieci tej prowincji? Czyż nie powstałoby przeciw nam? Zwłaszcza że kapłani już mówili z naszym najwyższym *teulem* i odpowiedział im, abyśmy nie zapominali składać ofiar w ludziach, jak dawniej zwykliśmy byli czynić, w przeciwnym razie całą tę prowincję zamorzą głodem, zniszczą zarazami i wojnami”.

Mówili, abyśmy się nie starali przemawiać do nich w tej sprawie, bowiem nie porzucą krwawych ofiar, choćby ich zabić miano. Kiedy usłyszeliśmy tę odpowiedź, daną z takim przekonaniem i odwagą, ojciec Miłosierdzia oświadczył — a był to człek mądry i teolog: „Panie, nie chcesz, wasza miłość, nalegać na nich w tej sprawie, nie jest słuszne, abyśmy siłą robili z nich chrześcijan ani abyśmy uczynili to co w Cempoalu, zrzucając ich bożki, zanim poznają naszą wiarę. Na cóż się przyda wyrzucić bożki z jednej świątyni czy modlitewni, jeśli zaraz przejdą do innej”.

Podobnie przemawiali do Korteza dwaj szlachcice: Juan Velazquez de Leon i Francisco de Lugo. I tak się stało. Uprosililiśmy tylko, aby zaraz opróżnili jedną świątynię, znajdującą się w pobliżu i świeżo zbudowaną, usunęli z niej bożki, wybielili ją i oczyścili, abyśmy w niej mogli umieścić krzyż i obraz Panny Najświętszej. Spełnili to bez zwłoki i tam odprawialiśmy mszę świętą i ochrzcziliśmy niektóre córki kacyków. Córka ślepeca

Xicotengi otrzymała imię dona Luiza; Korteż ujął ją za rękę i oddał Pedrowi de Alvarado, Xicotendze zaś rzekł, że ten, któremu ją oddał, jest mu bratem i oficerem, i że powinien być zadowolony, będzie bowiem dobrze traktowana, z czego wielkie zadowolenie powziął Xicotenga. Córka czy siostrzenica Masseescaciego otrzymała imię dona Elwira, była bardzo piękna i została, zdaje mi się, oddana Juanowi Velazquezowi de Leon. Pozostałe otrzymały imiona chrzestne z tytułem doña, a Korteż oddał je Gonzalowi de Sandoval, Cristobalowi de Olid i Alonsowi de Avila.

Księga piąta

MARSZ NA MEKSYK

17

*Jak Korteż wypytywał Masseescaciego i Xicotengę o sprawy Meksyku,
jak postanowił iść na Meksyk, o posłach wielkiego Montezumy*

Korteż usunął się na bok z kilkoma kacykami i wypytywał ich bardzo dokładnie o sprawy Meksyku. Xicotenga, jako dobrze rzeczy świadom i wielki władca, prym wiódł w rozmowie. Od czasu do czasu pomagał mu Masseescaci, również wielki pan. Mówił, że Montezuma posiada takie mnóstwo wojowników, że kiedy chce zająć jakieś wielkie miasto albo wyprawić się na jakiś kraj, rzuca w pole sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Tlaxcalczycy dobrze doświadczyli siły Meksyku w czasie wojen i zatargów, jakie wiodą od przeszło stu lat.

Korteż zapytał: „Jeśli — jak mówicie — z tyloma wojskami przeciw wam wychodzą, jakże się stało, że was nie zwyciężyli?” Odpowiedzieli, że choć nieraz gromili ich i wyrzynali, i porywali licznych poddanych, aby ich zabić na ofiarę, jednak i wrogowie zostawiali w polu licznych poległych albo jeńców i nigdy nie zdołali podejść tak znieścacka, aby wieść o tym się nie rozeszła, a wówczas zbierali wszystkie siły i z pomocą ludzi z Guaxo-cingo bronili się i sami atakowali. A jako wszystkie ludy i prowincje podbite przez Montezumę i poddane jego władzy są bardzo Meksykanom wrogie, przeto zmuszane przez nich do wojny walczą niechętnie, same ostrzegają napastowanych i dlatego mogą oni bronić swych ziem, jak zdołają najlepiej. Najwięcej jednak daje się im we znaki jedno bardzo wielkie miasto, oddalone stąd o jeden dzień drogi, zwane Cholula, którego mieszkańcy są bardzo zdradliwi. Tam trzyma Montezuma potajemnie swoje załogi, które nocą czynią wypadki.

Mówił też Masseescaci, że Montezuma we wszystkich prowincjach trzyma garnizony licznych wojowników, nie licząc tych, których dostawia mu dane miasto, i że wszystkie te prowincje składają mu haracz w złocie i srebrze, piórach i kamieniach, w szatach bawełnianych i wełnianych,

w Indianach i Indiankach na ofiary albo do służby. Jest on tak wielkim panem, że ma wszystko, czego zapragnie, a w pałacach swoich ma pełno bogactwa i drogich kamieni, i *chalchiuis*, które zrabował i zabrał siłą tym, którzy nie zechcieli mu ich dać dobrowolnie, i wszystkie bogactwa ziemi są w jego mocy.

Potem opowiadali o wielkich fortyfikacjach jego miasta, które jest bronione przez jezioro i głębokość wody, o groblach, przez które wchodzi się do miasta, o mostach drewnianych, które są na każdej grobli, jak się wchodzi i wychodzi przez wąskie furty, znajdujące się na każdym moście, a jak przez podniesienie niektórych mostów można zostać odciętym między jednym mostem a drugim, nie mogąc dostać się do miasta. A jako większa część miasta zbudowana jest na jeziorze, z domu do domu nie można dostać się inaczej jak przez most zwodzony albo łodziami, wszystkie zaś domy mają tarasy, te zaś mają murki obronne, parapety, tak że można walczyć spoza nich. Opowiadali, jak miasto zaopatruje się w słodką wodę ze źródła zwanego Chapultepeque, oddalonego od miasta o pół mili. Woda dopływa do pewnych budynków, skąd łodzie czerpią ją i rozwożą na sprzedaż po ulicach. Przynieśli też wielkie płótno z pity, na którym wymalowane były bitwy, jakie z nimi toczyli, oraz ich sposoby walki.

Kortez wypytywał, skąd przybyli ludzie zamieszkujący te krainy, z jakich ziem, że są oni tak różni i tak wrodzy Meksykanom, choć ziemie ich leżą tak blisko siebie. Odpowiedzieli, co im przodkowie opowiadali. Ongi, w odległych czasach, kraj zaludniali mężczyźni i kobiety bardzo wielkiego wzrostu, o olbrzymich kościach, a że byli bardzo źli i dzicy, pozabijali się w walce wzajemnie, zaś ci, co przeżyli, wymarli. Abyśmy się przekonali, jak potężni i ogromni oni byli, przynieśli nam piszczel jednego z nich — była bardzo gruba i tak wysoka, jak potężnej postawy człowiek. Kość była od biodra do kolana, Zmierzyłem się z nią, była mojego wzrostu, a ja nie jestem ułomek. Przynieśli też inne kawałki kości, ale zgryzione i zniszczone przez ziemię. Zdumiewaliśmy się widząc je, przekonani, że ową ziemię zamieszkiwali olbrzymi. Wódz nasz Kortez rzekł, że dobrze byłoby posłać ową wielką kość do Kastylji, aby ją oglądał Król Jegomość. Co też uczyniliśmy niebawem przez pierwszych posłańców.

Ci sami kacykowie opowiedzieli nam, co przekazali im ich przodkowie. Jeden z bożków, do którego mieli wielkie nabożeństwo, przepowiedział tym przodkom, że przyjdą kiedyś ludzie od wschodu słońca, z odległych krain, aby ich podbić i zapanować nad nimi. Jeżeli to my jesteśmy, bardzo się tym radują, bo jesteśmy mężni i dobrzy. Kiedy wszczęli rokowania o pokój, przypomnieli sobie, co ongi przepowiadały im bożki, i dlatego oddali swe córki za żony, aby uzyskać potomstwo od nas, które by broniło ich przed Meksykanami. Kiedy zakończyli tę przemowę, trwaliśmy w osłupieniu i powiedzieliśmy sobie, że może prawdę powiadają. Od razu tedy nasz wódz Kortez odpowiedział im, że istotnie przychodzimy od wschodu słońca

i że wysłał nas nasz cesarz i pan, abyśmy ich uznali za braci, wiedzieliśmy już bowiem o ich istnieniu. Oby Bóg udzielił nam łaski, aby naszymi rękoma i za naszą przyczyną ocaleni byli. A wszyscy odpowiedzieliśmy: „Amen!”

Szlachetni czytelnicy nużyć się będą niezawodnie słuchając wywodów i przemówień naszych do Tlaxcalczyków oraz ich do nas. Chciałbym już zakończyć, ale muszę się zatrzymać przy wypadkach, jakie się nam w tej stronie wydarzyły. W czasie naszego tam pobytu wulkan w pobliżu Guaxocingo wyrzucał wiele ognia, więcej niż zazwyczaj, czemu nasz wódz Kortez i my wszyscy, którzy nic podobnego nie widzieliśmy, dziwowaliśmy się bardzo. Jeden z naszych oficerów, nazwiskiem Diego de Ordaz, nabrał chęci, aby pójść zobaczyć, jaka byłaby tego przyczyna. Prosił naszego wodza o pozwolenie wejścia na górę, uzyskał je, a nawet otrzymał rozkaz. Zabrał ze sobą dwóch naszych żołnierzy oraz kilku Indian znakomitych z Guaxocingo. Owi dostojnicy usiłowali go zastraszyć, mówiąc, że ledwie znajdzie się w połowie drogi na Popocatepeque — tak nazywał się wulkan — nie zdoła wytrzymać trzęsienia ziemi, płomieni, kamieni i popiołów wybuchających zeń; oni zaś nie odważą się pójść dalej niż tam, gdzie znajdują się świątynie bożków, zwanych *teules* z Popocatepeque. Jednak Diego de Ordaz z dwoma towarzyszami szli dalej, aż na szczyt. Indianie, którzy mu towarzyszyli, pozostali na dole, nie odważając się iść dalej. Wedle tego, co opowiadali później Ordaz i obaj żołnierze, w czasie ich wspinaczki wulkan zaczął wyrzucać olbrzymie płomienie ognia oraz lekkie, na pół spalone kamienie i mnóstwo popiołu; cały wulkan dygotał i niemal przez godzinę stali na miejscu nie śmiejąc zrobić kroku, póki nie spostrzegli, że ów płomienny wybuch przechodzi i nie opada już tyle popiołu i dymu. Doszli tedy aż do krateru, który jest zupełnie okrągły i szeroki na ćwierć mili. Stamtąd widać było wielkie miasto Meksyk i całe jezioro, i wszystkie miasta na nim.

Ten wulkan jest oddalony od Meksyku o dwie czy trzy mile. Oglądając wszystko dobrze, Ordaz, uradowany i zdumiony, że widział Meksyk i jego okoliczne miasta, powrócił do Tlaxcali z towarzyszami. Indianie z Guaxocingo i z Tlaxcali uważali to za zuchwałą czyn.

Przestańmy jednak opowiadać o tym wulkanie — teraz kiedy wiemy, co to jest, i widzieliśmy inne wulkany, na przykład wulkany Nikaragui i Gwatemali, można tej opowieści zaniechać. Powiem raczej, że zastaliśmy w owym mieście Tlaxcali klatki z drewnianych krat, pełne Indian i Indianek, trzymany tam na uwięzi i tuczonych jadłem, aż staną się zdadni do zabicia na ofiarę i zjedzenia. Rozbiliśmy i połamali owe klatki, aby uwolnić więźniów, ale nieszczęśni Indianie nie śmieli nigdzie się oddalać, tylko pozostali przy nas i w ten sposób uratowali życie. We wszystkich miejscowościach, przez które przechodziliśmy, z rozkazu wodza przede wszystkim niszczyliśmy takie klatki i wypuszczali więźniów, których wszędzie tam

trzymano. Kiedy Korteż, i my wszyscy, ujrzeli tak wielkie okrucieństwo, uniósł się gniewem na kacyków z Tlaxcali i czynił im wielkie wyrzuty, oni zaś obiecali, że nie będą więcej zabijać ani zjadać Indian. Powiem jednak, że na nic się zdały wszystkie owe obietnice — ledwie odwróciliśmy głowę, oni powracali do tych okrucieństw.

*

Nasz wódz, widząc, że upłynęło już siedemnaście dni naszego odpoczynku w Tlaxcali, a wciąż słuchaliśmy o wielkich bogactwach Montezumy i o jego bogatej stolicy, postanowił zwołać na radę wszystkich naszych oficerów i żołnierzy, którzy ochotni byli do dalszej wyprawy — nie zamierzał jej odwlekać. Na ten temat wiele było dyskusji i niezgodności, niektórzy żołnierze twierdzili, że nieopatrnie jest wyprawiać się na tak silne miasto, gdy naszych jest taka garstka, i opowiadali o wielkiej potędze Montezumy.

Korteż odpowiedział, że nic innego czynić nam nie pozostało, zawsze bowiem naszym pragnieniem i hasłem było spotkać Montezumę, i że wszelkie inne rady są zbyteczne. Widząc, z jaką stanowczością to wypowiedział, a także że większość nas, żołnierzy, stanęło przy nim, z pełną ochotą wołając: „Naprzód, po szczęście!”, przeciwnicy nie stawiali więcej oporu. Najbardziej przeciwni byli właściciele posiadłości na Kubie, podczas gdy ja i inni biedni żołnierze zawsze ofiarowywaliśmy nasze dusze Bogu, który nas stworzył, a ciała aż do śmierci podawali ranom i trudom w służbie Boga, Pana Naszego, i Jego Królewskiej Mości.

Xicotenga i Masseescaci, władcy Tlaxcali, widząc, że istotnie chcemy iść na Meksyk, zasmucili się w duszy i nie odstępowali Korteza, odwołując go od tej wyprawy i namawiając, aby nie ufał mało ni wiele Montezumie ani żadnemu Meksykaninowi, nie wierzył jego uniżoności ani pokornym słowom, pełnym dworności, ani nawet wielkim darom, jakie przysyłał, ani żadnym obietnicom, gdyż wszystkie były zdradliwe — jednej godziny może odebrać, cokolwiek by dał, i należy się mieć na baczności we dnie i w nocy, bowiem jest oczywiste, że kiedy najmniej spodziewać się będziemy, zaatakuje nas. Jeżeli byśmy zaś walczyli z nimi, musimy pozabijać wszystkich, których zdołamy: młodzieńca, aby nie chwycił za broń, starca, aby nie dawał rad. Wiele innych poleceń nam dawali. Nasz wódz dziękował za dobre rady i wielką życzliwość okazywał, nie szczędził obietnic ni darów Xicotendze Staremu i Masseescaciemu oraz innym kacykom, ofiarował im znaczną część drogich kamieni przysłanych przez Montezumę i radził wejść w rokowania pokojowe z Meksykanami, aby pozyskać ich przyjaźń i móc zaopatrywać się w sól i bawełnę oraz inne towary. Xicotenga odpowiedział, że starania o pokój są próżne, bowiem nienawiść zagnieździła się w sercach na zawsze. Meksykanie są tacy, że pod pozorem pokojowych oświadczeń

knują najgorsze zdrady, nigdy bowiem nie masz prawdy w ich obietnicach. Na nic się więc nie przyda mówić o pokoju, proszą raczej Korteza, niechaj czujnie baczą, by nie wpaść w ręce tych niegodziwych ludzi.

Kiedy była mowa, jaką wybrać drogę, by dostać się do Meksyku, ambasadorowie Montezumy, którzy przy nas bawili, mieli służyć za przewodników, twierdzili, że najlepsza droga przez równiny wiedzie przez miasto Cholulę, podległe Montezumie, gdzie oddano by nam usługi, i wszystkim nam zdawało się, że istotnie najlepiej udać się do tego miasta. Kiedy kacykowie Tlaxcali usłyszeli, że chcemy iść wedle wskazań Meksykanów, zasmucili się i namawiali, abyśmy w każdym razie skierowali się na Guaxocingo, przez lud im pokrewny i nam przyjazny, a nie przez Cholulę, gdzie Montezuma skrycie trzyma podwójne załogi. Im więcej nas przekonywali i odradzali nam wejścia do owego miasta, tym bardziej nasz wódz, po porozumieniu się z nami w licznych rozmowach, postanowił wybrać ten kierunek. Po pierwsze dlatego, że wszyscy utrzymywali, że było to miasto wielkie, doskonale ufortyfikowane, z wysokimi i obszernymi świątyniami, leżące na pięknej równinie i z daleka zdawało się podobne do naszego Valladolid w Starej Kastylii. Po drugie, że było otoczone przez znaczne wsie, doskonale zaopatrzone, i było blisko naszych przyjaciół z Tlaxcali. Mieliliśmy zamiar zatrzymać się tam, by zastanowić się, w jaki sposób moglibyśmy dojść do Meksyku bez wojny, bo należało się lękać wielkiej potęgi Meksykanów, i wiedzieliśmy, że jeżeli Bóg, Pan Nasz, w miłosierdziu swoim nas nie wspomże i nie doda nam sił, w inny sposób tam się nie dostaniemy.

Po wielu rozmowach i naradach wybraliśmy drogę na Cholulę. Zaraz też Korteza wyprawił do nich posłańców z zapytaniem, jak to się dzieje, że znajdując się tak blisko nas, nie złożyli nam wizyty i nie oddali hołdu należnego wysłańcom tak wielkiego monarchy jak ten, który nas wysłał dla ich zbawienia. Wezwał też wszystkich kacyków i kapłanów owego miasta, aby natychmiast przybyli uznać zwierzchność naszego pana i króla — jeśli tego nie uczynią, podejrzewać ich będzie o złe zamiary.

*

Wielki Montezuma wysłał czterech dostojników z darem w złocie i tkaninach. Dar był w bogatych klejnotach rozmaitego kunsztu, wartości około dwóch tysięcy pesos, a dziesięć zwojów tkanin było pięknie przetykanych piórami. Korteza przyjął je uprzejmie. Zaraz też ambasadorowie wyrazili zdziwienie w imieniu Montezumy, że tak długo przebywamy pośród tych ludzi ubogich, nieokrzyszanych, niezdatnych nawet na niewolników, a są oni tak źli, zdradzieccy i chciwi, że kiedy najmniej się spodziewamy, we dnie czy w nocy, zamordują nas, aby nas obrabować, prosi nas przeto, abyśmy co rychlej przybywali do jego miasta, a da nam, co tylko posiada, choć

nie przyjmie nas tak doskonale, jak zasługujemy i jak on pragnąłby, i chociaż miasto jest zaopatrywane w żywność dowożoną, ugości nas, jak zdoła najlepiej. Korteż podziękował z wylaniem posłańcom, zapowiadając, że za kilka dni wybierze się, aby odwiedzić władcę Montezumę, ich zaś prosi, aby kilka dni przy nas pozostali. Postanowił też wysłać dwóch naszych oficerów, osobistości wybitne, aby rozmówili się z wielkim Montezumą i oglądnęli wielkie miasto Meksyk i jego potężne fortyfikacje. Wybrali się w drogę Pedro de Alvarado i Bernaldino Vázquez de Tapia, towarzyszyli im owi ambasadorowie Montezumy, którzy przy nas stale przebywali, a czterej nowo przybyli zostali jako zakładnicy. Wyraziliśmy przekonanie, że nie jest to rozsądne i należy obu szlachciców odwołać, aby nie jechali dalej. Napisał tedy, aby powracali. Poza tym Bernadino Vázquez de Tapia już w drodze zachorzał na gorączkę. Otrzymałszy list, zaraz zawrócił. Ambasadorowie, którzy z nimi szli, zdali sprawę Montezumie, który wypytywał ich, jakiego oblicza i postawy byli owi dwaj *teules*, którzy udawali się do Meksyku, i czy byli to oficerowie. Mieli opowiedzieć, że Pedro de Alvarado był wielkiej piękności, zarówno z twarzy, jak z postawy, był jak słońce i był oficerem. Prócz tego przynieśli odmalowane bardzo wiernie rysy jego oblicza i odtąd nadali mu imię Tonatio, czyli Syn Słońca, i już zawsze go tak zwali. O Bernaldinie Vazquezie de Tapia mówili, że był to mąż potężny, pięknej postawy i również oficer. Zmartwił się Montezuma, że zawrócili z drogi. Ale kiedy przybyli do naszego obozu, uradowaliśmy się bardzo, twierdząc, że nieopatrznie wysłał ich Korteż.

18

Jak mieszkańcy Choluli wysłali do nas poselstwo, jak udaliśmy się do miasta Choluli, jak nas tam przyjęto, jak postanowili nas tam wymordować i jak się to skończyło

Kacykowie Choluli, dowiedziawszy się o żądaniu Korteza, rozważali, że dobrze będzie wysłać czterech Indian niskiego pochodzenia, aby się usprawiedliwić, że choroba nie pozwoliła im przybyć. Owi posłańcy nie przynieśli żadnej żywności ani darów, tylko suchą odpowiedź. Kacykowie Tlaxcali, obecni przy przyjęciu owych wysłańców, zwrócili uwagę naszemu wodzowi, że Cholulańczycy wysłali Indian niewolników marnej kondycji, aby zakpić sobie z niego i z nas wszystkich. Wobec tego Korteż wysłał natychmiast czterech Indian z Cempoalu, żądając, aby do dni trzech stawili się przed nim jacyś dostojnicy, dzieliło ich bowiem tylko pięć mil. Jeśli tego nie uczynią, uważać ich będzie za buntowników. Niechaj przybędą, bo chce im mówić o sprawach tyjących zbawienia ich duszy i sposobów godnego życia, będzie ich uważał za braci i przyjaciół, podobnie jak miesz-

kańców Tlaxcali i ich sąsiadów. Gdyby inaczej myśleli i nie pragnęli naszej przyjaźni, będziemy musieli powziąć środki, które mogą być im niemiłe i przykre. Kiedy wysłuchali tego poselstwa, odpowiedzieli, że nie mogą udać się do Tlaxcali, do swoich wrogów, którzy — jak im wiadomo — wiele złego mówili o nich i o ich panu, Montezumie, łącniej nam będzie wyjść z granic Tlaxcali i przybyć do ich miasta, a jeśliby wówczas nie postąpili, jak się godzi, będziemy mogli ich uważać za takich, jak rzekliśmy. Wódz nasz, uznawszy to usprawiedliwienie za słuszne, postanowił tam się udać.

Skoro kacykowie Tlaxcali dowiedzieli się o naszym postanowieniu udania się do Choluli, rzekli do Korteza: „Wolisz przeto wierzyć raczej Meksykanom niż nam, którzy przyjaciółmi twymi jesteśmy? Tylekroć ostrzegaliśmy, abyś miał się na baczości przed Cholulańczykami i przed potęgą Montezumy. Aby ci dać najlepszą pomoc — trzymamy w pogotowiu dziesięć tysięcy wojowników, którzy ci będą towarzyszyć.”

Kortez podziękował serdecznie i naradził się z nami, zali przystoi wprowadzać tylu wojowników do kraju, o którego przyjaźń zabiegamy, lepiej będzie zabrać z sobą tysiąc i o tyle prosimy, reszta niech pozostanie w domu.

*

Jednego ranka ruszyliśmy w drogę do miasta Choluli. Szliśmy w największym porządku i owego dnia rozłożyliśmy się na nocleg nad rzeką, o małą milę od Choluli, gdzie dziś znajduje się most kamienny, tam zbudowaliśmy kilka chat i szałasów. Tego samego wieczoru kacykowie Choluli przysłali do nas posłów, mężów znakomitych, aby nas powitać na swej ziemi. Przynieśli oni żywność: kury, chleb kukurydziany, i zapowiedzieli na dzień następny przybycie wszystkich kacyków i kapłanów, prosząc o usprawiedliwienie, że dotąd tego nie uczynili. Kortez za pośrednictwem naszych tłumaczy, doñi Mariny i Jeronima de Aguilar, podziękował za żywność i za okazaną dobrą chęć. Tam spędziliśmy noc, rozstawivszy dobre straże i warty oraz wysławszy zwiadowców, i ledwie zaczęło świtać, ruszyliśmy ku miastu. Po drodze, niedaleko miasta, spotkaliśmy kacyków i kapłanów oraz innych Indian idących nam naprzeciw. Odziani byli przeważnie w bawełniane tuniki. Kapłani nieśli swoje kadzielnice i zaczęli okadzać wodza i nas — żołnierzy przy nim stojących. Kiedy naczelnicy i kapłani spostrzegli Indian tlaxcalskich, którzy szli z nami, polecili doñi Marinie oświadczyć wodzowi, że nie godzi się, aby ich wrogowie wchodzili do miasta uzbrojeni. Uznał to i polecił Pedrowi de Alvarado i Cristobalowi de Olid prosić Tlaxcalczyków, aby nie mając mu tego za złe, zechcieli rozłożyć się w polu, zbudowawszy chaty i szałas, i nie wchodzili do miasta, prócz tych, którzy ciągnęli artylerię, oraz naszych przyjaciół z Cempoalu. Innych przywoła, kiedy będzie opuszczał Cholulę udając się do Meksyku.

Potem ruszyliśmy ku miastu. Tyle ludzi wyszło, aby nas oglądać, że ulice były pełne. Nie ma w tym nic dziwnego, bowiem nigdy nie widzieli ludzi takich jak my, ani też koni. Pomieścili nas w wielkich salach, gdzie znaleźliśmy się wszyscy, i nasi przyjaciele z Cempoalu, i ci Tlaxcalczycy, którzy nieśli ciężary. Karmili nas tego dnia i następnego bardzo obficie.

*

Przyjęli nas tak uroczyście, jak opowiedziałem, i zapewne z dobrej woli, jednak później Montezuma przysłał rozkaz do swych ambasadorów, którzy nam towarzyszyli, aby porozumieli się z Cholulańczykami i wraz z oddziałem dwudziestu tysięcy ludzi przysłanych przez niego, których trzymał w pogotowiu przy wejściu do miasta, napadli nas nocą lub za dnia, pochwycili i których tylko zdołają, zwiąawszy, dostawili do Meksyku. Obiecował im złote góry i wówczas przysłał liczne klejnoty i tkaniny oraz złoty bęben dla nich i dla kapłanów tamtejszych, aby tylko wymordowali nas na ofiarę bożkom. Wszystko było omówione, wojownicy Montezumy, wysłani przez niego, czekali w zaroślach i parowach około pół mili od Choluli, inni już zajmowali domy, wszyscy pod bronią, na stanowiskach. Na tarasach domów wzniesiono murki obronne, w ulicach barykady i pokopano rowy, aby konie nie mogły galopować, a niektóre domy pełne były nawet oszczepów długich, skórzanych dyb i sznurów, którymi nas miano spętać i dostarczyć do Meksyku. Ale Pan Bóg sprawił, że wszystko obróciło się inaczej.

Przez pierwsze dwa dni, jak mówiłem, karmiono nas dobrze w naszych kwaterach, ale choć widzieliśmy ich pokojowe nastawienie, nie rozluźnialiśmy czujności, wedle naszego dobrego zwyczaju. Trzeciego dnia ani nie przyniesiono nam jedzenia, ani nie zjawił się żaden kacyk czy kapłan, zaś o ile jacyś Indianie przychodzili na nas popatrzeć, trzymali się z daleka, nie zbliżając się, i śmiali się, jakby naigrywając się z nas. Skoro zobaczył to nasz wódz, polecił dońi Marinie i Aguilarowi, naszym tłumaczom, powiedzieć ambasadorom wielkiego Montezumy, tam obecnym, aby rozkazali kacykom przynieść nam żywność. Dostarczono jednak tylko wody i drzewa, zaś owi starcy, którzy przynosili, zapewniali, że nie stało już kukurydzy. Tego samego dnia przybyli inni ambasadorowie od Montezumy i połączywszy się z tymi, którzy przy nas byli, opryskliwie oświadczyli Kortezowi, że ich pan kazał nam powiedzieć, abyśmy zaniechali udawania się do jego stolicy, bowiem nie ma tam dla nas żywności. Mają zaraz powrócić do Meksyku z odpowiedzią. Ledwie Kortez usłyszał, nie podobała mu się ta mowa, ale w spokojnych słowach wyraził ambasadorom zdziwienie, że tak wielki władca jak Montezuma zmienia swe stanowisko, prosi ich także, aby nie wracali tego dnia do Meksyku, bowiem nazajutrz

chce się tam sam udać — chce odwiedzić Montezumę i zastosować się do jego rozkazów. Zdaje mi się, że nawet ofiarował im jakieś paciorki. Ambasadorowie zgodzili się poczekać.

Kortez powiedział do nas: „Bardzo dziwni są ci ludzie, miejmy się na baczności, pewnie coś złego zamyślają”. Posłał też natychmiast po głównego kacyka — nie pamiętam już, jak się nazywał — aby przyszedł sam albo przysłał kilku dostojników. Kacyk odpowiedział, że jest chory i przyjść nie może. Wówczas nasz wódz rozkazał, aby w wielkiej świątyni w pobliżu naszych kwater pojmano dwóch kapłanów spośród licznych, jacy się tam znajdowali. Przywiedliśmy dwóch, nie czyniąc im krzywdy, zaś Kortez każdemu kazał dać po jednym *chalchuiis*, które są przez nich cenione jakby szmaragdy, i w uprzejmych słowach zapytał, dlaczego kacyk i dostojnicy, i większość kapłanów, których zaprosił, nie chcieli przyjść. Zdaje się, że jeden z owych kapłanów był wybitną osobistością pośród innych, miał władzę i pieczę nad wszystkimi innymi świątyniami miasta i musiał być czymś w rodzaju biskupa, gdyż mieli go w wielkim poszanowaniu. Otóż ten rzekł, że oni, kapłani, nie boją się nas, a jeżeli kacyk i dostojnicy przyjść nie chcieli, on ich przywoła, a kiedy do nich przemówi, wierzy, że bez wahania przyjdą. Kortez polecił mu pójść bez zwłoki, zatrzymawszy jego towarzysza aż do jego powrotu. Poszedł tedy ów kapłan przywołać kacyka i znakomitych mężów miasta i niebawem wszyscy razem z nim przybyli do kwatery Korteza. Pytał ich Kortez przez naszych tłumaczy, dlaczego nie dają nam jeść. Jeżeli im obecność nasza w mieście jest tak przykra, to następnego dnia wyruszymy do Meksyku, aby odwiedzić Montezumę i rozmówić się z nim — niech tylko przygotowują tragarzy do noszenia ciężarów i armat, a także niech nam przyniosą żywność. Kacyk stał pomieszany, nie mogąc słowa wymówić, ale zapewnił, że żywność dostarczyłby, gdyby pan jego, Montezuma, nie zakazał mu jej dawać, nie chcąc, abyśmy posuwali się dalej.

W czasie tych rozmów nadeszło trzech Indian z Cempoalu, naszych przyjaciół, i potajemnie uwiadomili Korteza, co odkryli: niedaleko domów, w których byliśmy umieszczeni, zostały na ulicach wykopane rowy przykryte gałęziami i ziemią, niedostrzegalne na pierwszy rzut oka. Oni odsunęli ziemię na jednym z tych rowów i znaleźli w nim pełno zaostrzonych pali, aby konie w biegu zabijały się, na tarasach były nagromadzone kamienie i wzniesione mury obronne, a na pewno nie był to przypadek, bowiem w innej ulicy znaleźli barykady z grubych pni.

W tej samej chwili ośmiu Indian z Tlaxcali, z tych, których pozostawiliśmy w polu, aby nie wchodzili do miasta Choluli, zbliżyło się do Korteza, mówiąc: „Zważ, *Malinche*, jak złej wiary jest to miasto: tej nocy zostało zabitych na ofiarę bożkowi wojny siedem osób, z tego pięcioro dzieci, ażeby on dał im zwycięstwo nad wami. Widzieliśmy uciekających z miasta z całym dobytkiem ludzi z kobietami i dziećmi”. Kortez, usły-

szawszy to, polecił im odejść z rozkazem do dowódców tlaxcalskich, aby stali w pogotowiu na każde wezwanie, sam zaś powrócił do kacyka i dostojników z Choluli, mówiąc, aby się nie lękali i byli spokojni, by pamiętali, że przyrzekli posłuszeństwo, i nie łamali przysięgi, bo ukarałby ich za to srogo. Powiedział, że chcemy odejść nazajutrz rano i potrzebujemy dwóch tysięcy wojowników z tego miasta, którzy by nam towarzyszyli, podobnie jak dali Tlaxcalczycy, bowiem w drodze będziemy ich potrzebować. Odpowiedzieli, że wojowników dadzą, i prosili, aby im wolno było odejść, by ich przygotować. Odeszli bardzo zadowoleni, będąc przekonani, że z pomocą tych wojowników, których nam dać mieli, i z oddziałami Montezumy, ukrytymi w parowach i w zasadzkach, nie zdołamy ująć stamtąd żywi, bowiem nie będziemy mogli puścić galopem koni z powodu barykad i przeszkód oraz rowów krytych gałęziami. Cholulańczycy zawiadomili załogi, że nazajutrz rano chcemy wyruszyć i że dają nam dwa tysiące wojowników, którzy przy naszej nieopatrności wezmą nas w dwa ognie i będą mogli nas pojmać — mieli to za rzecz pewną, bowiem złożyli już krwawe ofiary bogom wojny i ci obiecali im zwycięstwo.

Zostawmy ich w tej pewności i powróćmy do naszego wodza, który chcąc się dokładniej dowiedzieć o uknutym spisku, polecił nie znającej lęku doñi Marinie, aby zniosła kilka *chalchuiis* owym kapłanom, o których była mowa, aby najuprzejmiej zawiadomiła ich, że *Malinche* chciałby z nimi pomówić, i przyprowadziła ich ze sobą. Doña Marina poszła i umiała tak dobrze do nich przemówić, ofiarowując dary, że przyszli z nią razem. Korteż wezwał ich, aby powiedzieli prawdę o tym, co wiedzą, gdyż im, jako kapłanom bożków i dostojnikom, nie przystoi kłamać, to zaś, co powiedzą, nie zostanie nijak odkryte, bowiem następnego dnia mamy odejść. Ofiarował im bogate tkaniny. Powiedzieli, że prawdą jest, iż pan ich, Montezuma, dowiedziawszy się, że wybieramy się do jego miasta, codziennie zmieniał zdanie, nie mógł zdobyć się na decyzję — raz przysyłał rozkaz, aby przyjęto nas z wielkimi honorami, gdy tam wejdziemy, i odprowadzono nas do jego stolicy, drugi raz przysyłał oświadczenie, że nie życzy sobie, abyśmy się tam udawali; ostatnio zaś, wedle rady swych Tezcatepuki i Uichilobosa, do których miał wielkie nabożeństwo, rozkazywał, aby nas w Choluli wymordowano albo związanych dostarczono do Meksyku. Właśnie w przeddzień przybyło dwadzieścia tysięcy jego wojowników, połowa została ukryta w mieście, druga zaś w okolicznych parowach. Umyślił sobie, że dwudziestu naszych ma pozostać w Choluli i tam będą zabici na ofiarę miejscowym bożkom.

Korteż, jak wspominałem, polecił dać owym kapłanom kosztowne materie i prosił ich, aby tej rozmowy nie rozgłaszali, a jeśli tego nie dotrzymają, wracając z Meksyku pozabijamy ich; powiedział, że mamy zamiar wyjść wczesnym rankiem, niech więc co żywo przywołają wszystkich kacyków, bo chce z nimi mówić. Tej samej nocy Korteż zwołał nas na na-

radę, jako że uważał nas za mężnych a rozumnych. Jak zwykle w takich razach bywa, jedni byli zdania, że należy zmienić drogę i pójść przez Guaxocingo, inni doradzali, by starać się za wszelką cenę o pokój i powrócić do Tlaxcali. Nasza partia twierdziła, że jeżeli puścimy płazem taką zdradę, gdzie indziej spotka nas gorsza, i że ponieważ jesteśmy w mieście, gdzie żywności jest pod dostatkiem, najlepiej będzie zaraz rozpocząć kroki wojenne, bardziej bowiem odczuje to nieprzyjaciel w domach niż w polu, należy tylko natychmiast uprzedzić Tlaxcalczyków, aby się z nami połączyli — ten ostatni projekt wszystkim się spodobał. Odkonczyło się to w ten sposób, że Kortez zapowiedział, iż mamy odejść nazajutrz rano, zabraliśmy się tedy niby do pakowania naszego niewielkiego zaiste dobytku. Wobec ambasadorów Montezumy musieliśmy udawać i mówiliśmy, że niegodziwi Cholulańczycy chcieli uknuć zdradę, a winę za nią zrzucić na ich pana, Montezumę. Jednak nie wierzymy, aby oni jako ambasadorowie mogli wydać takie rozkazy, prosimy ich tedy, aby pozostali w kwaterze i nie wchodzili więcej w rozmowy z mieszkańcami miasta, abyśmy nie powzięli podejrzenia, że są z nimi w porozumieniu, ale aby razem z nami wyprawili się do Meksyku jako przewodnicy. Zapewniali, że ani oni, ani ich pan, Montezuma, o czymś podobnym nie wiedzą, ale choć protestowali, zatrzymaliśmy ich pod strażą, aby nie zdołali ujść potajemnie i nie powiadomili Montezumy, że przeniknęliśmy jego polecenia.

Tej nocy staliśmy w pogotowiu pod bronią, z końmi osiodłanymi, rozstawiliśmy strażę i — jak to było naszym zwyczajem — odbywając ronty, byliśmy bowiem pewni, że wszystkie oddziały, zarówno meksykańskie, jak cholulańskie, napadną nas w nocy. Pewna stara Indianka, żona jednego z kacyków, wiedząc o spisku i zamysłach, po kryjomu przysłała do dońi Mariny, naszej tłumaczki, a widząc ją młodą, piękną i bogatą, radziła jej, aby jeżeli chce ujść z życiem, ukryła się w jej domu, na pewno bowiem tej nocy albo następnego dnia wymordują nas wszystkich, bo tak rozkazał i postanowił wielki Montezuma. Meksykanie i mieszkańcy miasta mają się połączyć i nie zostawić nikogo z nas przy życiu albo nas powiązać i odstawić do Meksyku. Ona zaś, wiedząc o tym, litując się nad dońą Mariną, przysłała ją ostrzec; niech zatem zabiera całe swe mienie i pójdzie z nią do jej domu, gdzie poślubić będzie mogła jej syna, brata owego młodzieńca, który jej towarzyszył.

Dońa Marina, bardzo przebiegła, rzekła na to: „Och, matko, jakże jestem ci wdzięczna, że mi to mówisz! Zaraz bym z wami poszła, ale nie mam tu nikogo, komu by zaufać można, aby mi szaty zaniósł i złoto, a wiele jest tego. Na życie zaklinam was, matko, poczekajcie trochę razem z synem, tej nocy odejdziemy, teraz owi *teules* czuwają i odkryliby nas.”

Starucha uwierzyła jej słowom i została z nią na rozmowie, zapytała tedy dońa Marina, w jaki sposób mają nas zabić, jak i kiedy spisek został uknuty. Stara opowiedziała mniej więcej to samo, co mówili kapłani. Na

to doña Marina: „Jeżeli ten spisek był tak tajemny, w jaki sposób dowiedzieliście się o nim?”

Starucha wyjaśniła, że powiedział jej o tym mąż, który jest dowódcą jednej dzielnicy miasta, a w tej chwili dowodzi wojownikami, którzy otrzymali rozkaz połączenia się przy rowach z oddziałami wielkiego Montezumy. Tam mają czekać, aż się zbliżymy, licząc na to, że nas wybiją do nogi. O tej znowie dowiedziała się przed trzema dniami, bowiem jej mąż otrzymał złocisty bęben z Meksyku, zaś inni dowódcy również bogate opończe i złote klejnoty, za co mieli nas związanych wydać swemu władcy, Montezumie.

Doña Marina, słuchając tego i kryjąc swe uczucia, rzekła: „O matko, raduję się, że syn wasz, za którego mnie wydać chcecie, jest tak znaczną osobistością, ale zbyt długo rozmawiałyśmy, nie chciałabym, aby nas przyłapano, dlatego, matko, zaczekajcie tutaj, zacznę gromadzić moje mienie, nie mogę bowiem wynosić wszystkiego na raz. Wy i wasz syn będziecie tego pilnowali, a potem zaraz pójdziemy.”

Starucha we wszystko uwierzyła. Usiadła, aby odpocząć wraz z synem. Doña Marina udała się natychmiast do wodza i opowiedziała wszystko, co zaszło między nią a Indianką, ten zaś kazał zaraz przyprowadzić starą przed siebie i ponownie wypytywał ją o zdrady i znowy. Powiedziała mu mniej więcej to samo co kapłani. Oddał ją pod straż, aby nie uciekła.

Ledwie dzień zaczęło, trzeba było widzieć kacyków i kapłanów uwijających się pośród wojowników indiańskich, słyszeć ich wybuchy śmiechu i zadowolenia, jakby już nas mieli w swoich sieciach i pętlach! I choć z pierwszym świtem Cholulańczycy z wojownikami swymi weszli na dziedzińce, zastali nas gotowych. Żołnierze z mieczami i tarczami stanęli u bram wielkiego podwórca, aby nie pozwolić się wymknąć żadnemu ze zbrojnych Indian.

Nasz wódz na koniu, w otoczeniu swej przybocznej straży, ujrawszy kacyków, kapłanów i wojowników, przybyłych tak wcześnie, odezwał się: „Zaiste, ci zdrajcy mają wielką ochotę widzieć nas w zasiekach, aby nasycić się naszym mięsem. Ale Bóg lepiej zrządził.” Zapytał o owych dwóch kapłanów, którzy zdradzili tajemnicę, odpowiedziano, że stoją przy bramie podwórca wraz z innymi kacykami, którzy usiłowali wejść. Korteza kazał im rzec przez tłumacza Aguilara, żeby poszli do domów, bowiem teraz nie potrzebujemy ich, było to dlatego, że jako oddali nam usługę, nie chcieliśmy im złem płacić, zabijając ich. Siedząc na koniu, za pośrednictwem doñi Mariny, która przy nim stała, zaczął przemowę, zapytując kacyków, dlaczego gdy my nie wyrządziliśmy im żadnej krzywdy, chcieli nas pozabijać. W jakim celu nagromadzili tyle wielkich dzid i sieci z obręczami, i tak liczne sznury w domu przyległym do wielkiej świątyni, i dlaczego trzy dni temu wykopali owe zasieki w ulicach i tyle rowów, i tyle broni jest na tarasach? Dlaczego kazali wyjść z miasta

dzieciom i kobietom oraz wynieśli dobytek? Dobrze on wie, że w parowach ukryte są liczne oddziały wojowników, jako że tamtędy wiedzie droga do Meksyku, i mają napaść nas zdradziecko, co zostało umówione z innymi wojownikami, którzy tej nocy połączyli się z nimi. Tak płacą nam za to, że przybyliśmy uznać ich za braci i obwieścić im, czego żąda nasz Pan Bóg oraz nasz król, za to chcieli nas wymordować i zjeść nasze ciała, już bowiem przygotowali kadzie z solą, papryką i pomidorami. Lepiej przystałoby im, jak dzielnym wojownikom, wydać nam bój w polu, co uczynili ich sąsiedzi Tlaxcalczycy. Wie on o wszystkich znowach, jakie uknuli w mieście, że bożkom swoim przyrzekli zabić na ofiarę dwudziestu naszych, zaś trzy noce wstecz zabili na ofiarę pięciu Indian, aby otrzymać zwycięstwo, które im bożkowie przyrzekli, jednak ta obietnica jest zła i fałszywa i nie będzie miała mocy nad nami, a te wszystkie niegodziwości i zdrady, które namotali, obrócą się przeciw nim.

Wszystkie te słowa tłumaczyła doña Marina i wykladała im zrozumiale. Zaraz też kacykowie, kapłani i dowódcy przyznali, że prawdę powiada, ale nie oni ponoszą winę, tylko ambasadorowie Montezumy, którzy im taki rozkaz przynieśli. Korteż wówczas oświadczył, że takie zdrady, jak owa, wedle praw królewskich nie mogą pozostać bez kary i za zbrodnię swoją muszą oni umrzeć. Skończywszy, kazał wystrzelić z samopału, był to sygnał umówiony, i daliśmy im szkołę, którą na zawsze popamiętają, bo pozabijaliśmy wielu z nich. Nie upłynęły dwie godziny, gdy przybyli nasi przyjaciele Tlaxcalczycy, jak się rzekło, pozostawieni na polu, i rozpoczęli gorącą walkę na ulicach, gdzie Cholulańczycy ustawili inne oddziały, aby nam broniły wejścia. Tlaxcalczycy wkrótce je roznieśli. Rzucili się na miasto, plądrując i biorąc w łyka; próżno staraliśmy się ich powstrzymać. Na drugi dzień nadeszły inne oddziały z osiedli tlaxcalskich i siały wielkie zniszczenie, gdyż nienawidzili Cholulańczyków. Widząc to, Korteż i inni oficerowie i żołnierze przez litość powstrzymywali Tlaxcalczyków, chcąc, aby okiełznali swoją ząartość. Korteż wysłał Cristobala de Olid, aby zebrał wszystkich dowódców tlaxcalskich i starał się do nich przemówić. Nie zwlekali z przybyciem — kazał im zebrać swoich ludzi i odejść w pole. Zastosowali się do tego, a przy nas w mieście pozostali tylko Cempoalczycy.

Wówczas nadeszli jacyś kacykowie i kapłani z innych dzielnic miasta, twierdząc, że nie mieli ze spiskiem nic wspólnego, co było możliwe, bowiem miasto było bardzo rozległe, a ta dzielnica prawie niezależna. Błagali Korteza i nas wszystkich, abyśmy przebaczyli ową zdradę uknutą, zdrajcy bowiem zapłacili życiem. Po czym zbliżyli się dwaj nam przyjaźni kapłani, którzy odkryli nam znowę, oraz stara kobieta, żona wodza, która — jak wspomnieliśmy — chciała zostać świeką doñi Mariny, i wszyscy błagali oni Korteza o przebaczenie. Korteż w czasie ich przemowy okazywał wielki gniew i rozkazał przyprowadzić ambasadorów Montezumy, których zatrzy-

maliśmy przy nas, mówił, że chociaż miasto zasłużyło na zburzenie, ale dla czci, jaką żywi dla ich władcy Montezumy, którego wasalami są Cholulańcy, przebacza im, ale niech na przyszłość nie zaczynają czegoś podobnego, bo zapłacą życiem. Zaweźwał też niezwłocznie kacyków z Tlaxcali, czekających w polu, aby uwolnili mężczyzn i kobiety wziętych do niewoli, wystarczy bowiem to zło, które wyrządzili. Spełnili to, choć niechętnie, mówiąc, że Cholulańcy zasłużyli na znacznie większą karę za wszystkie zdrady, jakich się dopuścili. Na rozkaz Korteza zwolnili jednak wiele ludzi, pozostało im za to bogactwo w złocie, tkaninach i bawełnie, w soli i niewolnikach. Kortez prócz tego kazał im zawrzeć przyjaźń z Cholulańczykami i — jak widzieliśmy i słyszeli — owa przyjaźń nigdy nie została złamana. Ponadto polecił wszystkim kapłanom i kacykom cholulańskim sprowadzić z powrotem ludność do miasta i bez trwogi otworzyć targi, bowiem nie spotka ich żadna krzywda.

Miasto Cholula leży na równinie, a dokoła są liczne inne miasta, jak Tepeaca, Tlaxcala, Chalco, Tecamachalco, Guaxocingo i inne, a jest ich tyle, że nie wymieniam ich tutaj. Ziemia daje wiele kukurydzy oraz rozmaite jarzyny, dużo papryki i pełna jest agawy, z której robią wino. Wyrabiają tam naczynia z bardzo pięknej glinki, barwionej na czerwono lub biało, i ozdobione różnymi malowankami, w czym przodują przed Meksykiem i innymi pogranicznymi krajami. W owym czasie nad miastem wznosiły się liczne wysokie wieże świątyń, w których mieściły się bożki; zwłaszcza główna świątynia była wyższa niż meksykańska, choć Meksyk miał świątynie wspaniałe i bardzo wysokie.

Dość jednak opowieści o mieście i o wypadkach, jakie tam zaszły, opowiem teraz o oddziałach wysłanych przez wielkiego Montezumę, które stały w parowach otaczających Cholulę. Skoro wieść o wypadkach doszła do nich, zawróciły spieszenie do Meksyku zdać sprawę wielkiemu Montezumie. Choć śpieszyły bardzo, wyprzedzili je dwaj dostojnicy, którzy przy nas przebywali. Dowiedzieliśmy się, że Montezuma, słysząc złe wieści, wpadł w wielką boleść i gniew i natychmiast zabił kilku Indian na ofiarę bożkowi Uichilobosowi, uważanemu za boga wojny, aby ten powiedział im, jak skończy się nasz marsz na Meksyk i czy należy nas wpuścić do miasta. Dowiedzieliśmy się, że dwa dni spędził z dziesięcioma najwyższymi kapłanami w zamknięciu, na modłach i ofiarach i że odpowiedź bożka doradzała wysłać do nas poselstwo, aby się usprawiedliwić z wypadków w Choluli i zaprosić nas, abyśmy w pokoju weszli do Meksyku, a kiedy już tam będziemy, pozbawić nas żywności i wody, popodnosić mosty i łatwo nas wymordować. Jeden dzień wystarczy, aby z tej walki nikt z nas nie uszedł z życiem, i wówczas będzie można złożyć nas na ofiarę tak Uichilobosowi, jak Tezcatepuce, bogu piekła. Sami nasycą się naszymi udami, nogami i ramionami, a wnętrzności i reszta ciała porzucone mają być

wężom, gadom i tygrysom zamkniętym w pomieszczeniach drewnianych, o których w swoim czasie opowiem.

Wiadomość o tych wypadkach i o ukaraniu Choluli rozeszła się po całej Nowej Hiszpanii. Jeżeli przedtem mieliśmy sławę walecznych, teraz uważano nas za czarowników, mówiąc, że nic się przed nami nie ukryje i że nic złego przeciw nam knować nie sposób, bo o wszystkim wiemy, i dlatego okazywano nam życzliwość.

Myślę, że przykro było ciekawym czytelnikom czytać ową opowieść o wypadkach w Choluli, i chciałbym ją już zakończyć, ale nie schodzą mi z pamięci owe klatki z grubych pni, które zastaliśmy pełne Indian i młodzieńców na tuczeniu, przeznaczonych na ofiarę i pożarcie. Owe klatki rozwaliliśmy, zaś Indianom w nich zamkniętym Korteż kazał odejść do rodzinnych stron, kacykom, wodzom i kapłanom zabronił trzymać Indian w ten sposób i spożywać mięso ludzkie, co mu przyrzekli, ale na co się zdały owe przyrzeczenia, jeśli ich nie dotrzymywali?

Wspomnieć muszę, że tak oto wyglądały owe nasze straszliwe okrucieństwa, o których pisze i których nie przestaje głosić biskup z Chiapy, brat Bartolomé de las Casas, twierdząc, że bez żadnej przyczyny, tylko dla rozrywki i kaprysu, przeprowadziliśmy ową karę. W ten sposób mówi o tym wszystkim w swej książce, że kto nie widział i nie wie, uwierzyć gotów, że te i inne okrucieństwa, o których opowiada, miały miejsce, gdy tymczasem działo się odwrotnie. Zakonnicy z zakonu świętego Dominika, którzy czytali tę książkę, znaleźli ją niezgodną z prawdą. Powiem też, że kilku zacnych braci franciszkanów, którzy byli pierwszymi, jakich do Nowej Hiszpanii wysłał Jego Królewska Mość po zdobyciu Meksyku, udało się do Choluli, aby dowiedzieć się i zbadać, jak odbyło się ukaranie i dlaczego. Zaś to badanie przez nich kapłanów i starszyzny miasta oraz informacje od nich uzyskane dowiodły, że sprawa miała się dokładnie tak, jak ją opisuję, a nie jak opowiada biskup. Gdyby nie owa kara przykładowa, nasze życie byłoby w wielkim niebezpieczeństwie, zaś Nowa Hiszpania nie zostałaby tak szybko zdobyta.

19

O rokowaniach z wielkim Montezumą, o darze w złocie i jak zaczęła się wyprawa do Meksyku

Czternaście dni bawiliśmy już w Choluli i nie było tam co robić. Widzieliśmy, że miasto zaludniło się z powrotem, handel się ożywił, doprowadziliśmy do przyjaźni mieszkańców z Tlaxcalczykami, postawiliśmy krzyż i pouczyliśmy ich o zasadach naszej religii. Wówczas nasz wódz postano-

wił naradzić się z kilkoma oficerami i żołnierzami, których życzliwość była mu znana, a którzy będąc dzielnymi, byli zarazem rozumni, nie zwykł bowiem przedsiębrać niczego nie zasięgnąwszy wprzód naszej opinii. Postanowiliśmy wyprawić do wielkiego Montezumy poselstwo pokojowe i przyjazne, uwiadamiając go, że aby dopełnić tego, co nam zlecił nasz król i pan wysyłając nas w te kraje, przeszliśmy liczne morza i dalekie ziemie jedynie po to, aby go ujrzeć i powiedzieć mu rzeczy bardzo pożyteczne. Jego ambasadorowie skierowali nas na Cholulę, jako przez jego lenno, tam przez pierwsze dwa dni podejmowano nas dobrze, a następnie uknuto zdradę z zamiarem wymordowania nas, ale ponieważ jesteśmy ludźmi obdarzonymi taką mocą, że żadne knowania nie ukryją się przed nami, dowiedzieliśmy się o tym i za to ukaraliśmy kilku winnych. A że wiadomo było, iż są oni jego podwładnymi, mając wielką cześć dla jego osoby i wysoko sobie ceniąc z nim przyjaźń, nie chcieliśmy miasta burzyć ani zgładzić wszystkich winnych zdrady. Najgorsze było, że jak kapłani i kacykowie twierdzili, chcieli oni swój zamiar przeprowadzić jakoby na rozkaz jego i jego ambasadorów, jednak my nie uwierzyliśmy, aby tak wielki pan wydał takie polecenia, tym bardziej że podawał się za naszego przyjaciela. Wnosiliśmy, że nawet gdyby jego bóstwa w złych zamiarach popchnęły go do wydania nam wojny, wyszedłby raczej w pole, niż bił się w mieście. Bezzwłocznie też wybieramy się do jego stolicy, aby mu zdać ze wszystkiego dokładnie sprawę, co nam polecił nasz król i pan.

Kiedy właśnie mieliśmy wyruszyć w drogę, przybyli posłowie od Montezumy z darami.

*

Wielki Montezuma po raz drugi zasięgnął rady swego Uichilobosa, kapłanów i wodzów, i wszyscy doradzili mu, aby nas wpuścił do miasta, a tam wymorduje nas bez trudu. Skoro wysłuchał naszego posłania, w którym mówiliśmy o naszej przyjaźni i przechwalaliśmy się, że jesteśmy ludźmi, przed którymi żadna zdrada przeciw nam uknuta się nie ukryje, zląkł się i zatroskał, po wielu namysłach wysłał do nas sześciu dostojników z darem w złocie oraz w klejnotach kunsztownej roboty, wartości ponad dwóch tysięcy pesos, oraz kilka zwojów pięknie tkanych materii. Kiedy owi dostojnicy stanęli przed Kortezem z darami, dotknęli ziemi dłonią i z wielkim uniżeniem, jak to zwykle u nich, rzekli: „*Malinche*, nasz pan, wielki Montezuma, przysyła ci dary i prosi, abyś je przyjął dla wielkiej miłości, jaką darzy ciebie, a także wszystkich twoich braci. Bardzo jest zmartwiony, że Cholulańczycy w taki gniew cię wtrącili, byłby rad, gdybyś ich był bardziej ukarał, są bowiem niegodziwi i kłamliwi — winę za zamierzoną niegodziwość ponoszą oni i ambasadorowie. Bądźcie pewni, że jest

waszym przyjacielem, przybywajcie przeto do jego miasta, kiedy będziecie chcieli, przyjmie was z wielkimi honorami, jako mężów tak walecznych i wysłańców tak wielkiego króla. Ponieważ jednak jego miasto położone jest na wodzie, nie na łądzie, nie będzie mógł was przyjąć odpowiednio, nie ma wam co dać jeść, bo żywność do miasta dowozić trzeba, ale starać się będzie oddać wam wszelką cześć możliwą i rozkazał osiedlom, przez które przechodzić wam przyjdzie, aby dostarczyły wszystkiego, czego potrzebować będziecie".

Kortez, wysłuchawszy tych słów, które przekazali nasi tłumacze, przyjął z objawami miłości dary, uściskał ambasadorów i kazał ich obdarować drażonymi kryształkami.

Kiedy o tej zamierzonej wyprawie dowiedzieli się kacykowie z Tlaxcali, zasmucili się w duszy i wysłali Kortezowi tylekroć powtarzane ostrzeżenie, aby rozważył, co czyni, i by nie wchodził do miasta tak warownego, gdzie jest takie mnóstwo wojowników, bowiem któregokolwiek dnia napadną nas i nie zdołamy ująć z życiem. Dla okazania swej życzliwości chcą mu przysłać dziesięć tysięcy ludzi pod dzielnymi wodzami, aby nam towarzyszyli i wzięli żywność na drogę. Kortez podziękował im serdecznie za dobrą chęć, ale rzekł, że nie godzi się wchodzić do Meksyku z tak wielką liczbą wojowników, zwłaszcza nieprzyjaznych, potrzeba mu jedynie ludzi do transportu armat i ciężarów i naprawiania niektórych dróg.

Już byliśmy gotowi do drogi, kiedy przed Kortezem stanęli kacykowie i najznacniejsi wojownicy, których przyprowadziliśmy z Cempoalu, a którzy towarzyszyli nam wiernie i uczciwie, i oświadczyli, że chcą powrócić do Cempoalu, nie posuną się poza Cholulę w kierunku Meksyku, bowiem pewni są, że jeśli tam dojdą, zginą i oni, i my. Wielki Montezuma rozkaże ich zabić, gdyż jako starszyzna cempoalska wypowiedzieli mu posłuszeństwo i odmówili trybutu oraz brali udział w uwięzieniu jego poborców, o czym już w tej kronice pisałem. Kortez, widząc, że tak usilnie nalegają o pozwolenie odejścia, zapewnił ich przez dońę Marinę i Aguilara, że lękać się nie potrzebują, gdyż nie spotyka ich żadne nieszczęście ni szkoda, a obiecuje im za to wielkie bogactwa. Ale im bardziej prosił, tym bardziej nie chcieli w żaden sposób pozostać, jeno zawrócić z drogi.

Ujrawszy to, Kortez rzekł: „Nigdy nie chciałby Bóg, abyśmy siłą ciągnęli Indian, którzy nam tak wiernie służyli". Rozkazał przynieść kilka zwojów bogatych tkanin i rozdzielił między nich, a także wysłał część dla kacyka Grubasa, władcy Cempoalu. Napisał też do namiestnika Juana de Escalante o wszystkim, co zaszło, i że wyruszamy do Meksyku; niech daje pilne baczenie na sąsiadów i czuwa dniem i nocą bardzo starannie oraz niech wykańcza fortecę.

*

Wyszliśmy z Choluli w zwartym szyku, jak zwykle czyniliśmy. Doszliśmy tego dnia do osad na pagórkach, zdaje się, że zwały się Iscalpan, o cztery mile od Choluli. Tam przybyli zaraz kacykowie i kapłani z osiedli należących do Guaxocingo, sprzymierzonych z Tlaxcalczykami, i radzili, abyśmy nie szli do Meksyku, gdzie czekają nas wielkie niebezpieczeństwa. Mówili, że już na pobliskiej przełęczy, gdzie rozwidlają się dwie bardzo szerokie drogi, z których jedna wiedzie do miasta zwanego Chalco, a druga do Tamanalco, podległych Meksykowi, jedna została oczyszczona i poszerzona, abyśmy ją wybrali, druga zaś zamknięta i zagrodzona grubymi pniami i wielkimi sosnami, aby nie pozwolić przejść ani koniom, ani nam. Na drodze oczyszczonej, sądząc, że nią pójdziemy, porobili zasieki i barykady i ustawili meksykańskich wojowników, aby nas zgładzili. Radzą nam tedy nie iść ową dobrą drogą, ale tą zagrodzoną pniami drzew, oni zaś dadzą nam dosyć ludzi, aby te przeszkody rozwalić. Ta droga wiedzie do Tamanalco.

Nazajutrz rano ruszyliśmy dalej i już było około południa, gdy wyszliśmy na szczyt góry, gdzie znaleźliśmy dwie drogi, o których ludzie z Guaxocingo mówili; tam odpoczęliśmy nieco. Korteż przywołał ambasadorów Montezumy, którzy nam towarzyszyli, i zapytał, co by znaczyły te dwie drogi, jedna, oczyszczona i wolna, druga, pełna pni niedawno ściętych. Odpowiedzieli, że powinniśmy pójść ową oczyszczoną, która prowadzi do miasta Chalco, gdzie czeka nas dobre przyjęcie; zaś na tę drugą drogę zwalili drzewa i zagrodzili ją, abyśmy tamtędy nie szli, bowiem kluczy i przez złe przejścia wiedzie do innej miejscowości, nie tak znacznej jak Chalco. Wówczas Korteż oświadczył, że chce mimo wszystko pójść drogą zagrodzoną. Zaczęliśmy iść pod górę w zwartym szyku, podczas gdy nasi przyjaciele odsuwali bardzo wielkie i bardzo grube pnie, które przekraczaliśmy z wielkim trudem, niektóre z nich po dziś dzień jeszcze leżą obok drogi. Gdy byliśmy na szczycie, zaczął padać śnieg i pokrył całkowicie ziemię; zeszliśmy na dół i noc spędziliśmy w chatach, a były to jakby schroniska i gospody, gdzie odpoczywali kupcy indiańscy i gdzie znaleźliśmy dobre wyżywienie. Na wielkim zimnie rozstawiliśmy nasze warty i czujki, odbywaliśmy ronty, a nawet wyprawiliśmy zwiadowców w pole. Nazajutrz ruszyliśmy w dalszą drogę i w godzinę sumy przybywaliśmy do miejscowości zwanej Tamanalco, gdzie przyjęto nas dobrze i gdzie nie brakło żywności. Kiedy wieść o naszym przybyciu rozeszła się wśród innych osad, zaraz przybyli mieszkańcy Chalco i przyłączyli się do ludzi z Tamanalco, Chimaloacanu, Mecameki oraz z Acacingo, gdzie znajdują się łodzie, jest to bowiem ich port. Wszyscy razem przynieśli nam dary w złocie i przywiedli osiem Indianek. Kiedy byli zebrani, ojciec Miłosierdzia pouczał ich o sprawach naszej świętej wiary, wzywał do porzucenia bał-

wanów i mówił, że przybywamy, aby naprawić krzywdy, zapobiegać rabunkom, i że w tym celu przysłał nas tutaj nasz wielki cesarz. Skoro to usłyszeli mieszkańcy owych osad, potajemnie, aby ambasadorowie Montezumy nie słyszeli, zaczęli zanosić skargi na Montezumę i jego poborców, którzy rabują mienie, porywają im żony i córki, gwałcą je, jeśli są urodziwe, nawet w obecności mężów, uprowadzając je, zmuszają do ciężkiej pracy, jak niewolnice, każą im zwozić łodziami lub łądem drzewa iglaste, kamienie i kukurydzę oraz zmuszają je do innych prac niewolniczych. Zanosili jeszcze wiele innych skarg, których po tylu latach nie pamiętam. Kortez pocieszał ich czułymi słowami, które tak dobrze umiał wypowiadać, mówił, że muszą trochę jeszcze pocierpieć, ale on uwolni ich od tej przemocy. Potajemnie rozkazał dwóm starszym oraz czterem spośród naszych przyjaciół Tlaxcalczyków zbadać ową drogę oczyszczoną, czy znajdują się tam jakieś oddziały wojowników.

Odpowiedzieli: „*Malinche*, nie ma potrzeby tam iść, wszędzie jest pusto i teren wyrównany, ale siedem dni temu w trudnym przejściu górskim skopali ziemię i zgromadzili wielu wojowników, abyście przejść nie mogli. Jednak wielki Montezuma posłuchał rady boga wojny Uichilobosa, aby wam przejść pozwolić, a kiedy znajdziecie się w Meksyku, tam was uśmierci. Dlatego nam się zdaje, że lepiej by wam zostać tu z nami, damy wam to, co posiadamy, a nie idźcie do Meksyku, wiemy bowiem dobrze, że miasto jest obwarowane i ma licznych wojowników, którzy nie zostawią was przy życiu”.

Kortez jednak z miną pewną siebie odpowiedział, że ani Meksykanie, ani żadna inna nacja nie ma mocy nas uśmiercić — może to uczynić tylko Bóg, Pan Nasz, w którego wierzymy. Ale aby zobaczyli, że samemu Montezumie i wszystkim jego kacykom i kapłanom potrafimy wytłumaczyć, czego żąda Nasz Bóg, chciałby zaraz wyruszyć w drogę, niech mu tylko dadzą dwudziestu znacznych mężów, którzy by nam towarzyszyli.

Z oznakami radości owa ludność przyprowadziła nam dwudziestu Indian i już mieliśmy wyruszyć.

*

Już mieliśmy wyruszyć w dalszą drogę do Meksyku, kiedy zjawilo się przed Kortezem czterech dostojników Meksykanów, wysłanych przez Montezumę. Przynosili dary w złocie i tkaninach i złożywszy pokłon wedle swego zwyczaju, odezwali się: „*Malinche*, ten dar przysłała ci wielki Montezuma. Bardzo go martwią trudy, jakich doznaliście przybywając z tak odległych ziem, aby go odwiedzić, już przecie dawniej przysłał, by ci powiedzieć, że gotów dać wiele złota i srebra, i *chalchiuis* jako haracz dla waszego cesarza i dla was oraz innych *teules*, którym przewodzicie,

abyście nie szli do Meksyku, i teraz znowu cię błaga przez litość nie idźcie dalej, wracajcie, skąd przyszlście! Bowiem wejście do Meksyku bronione będzie przez wszystkich jego poddanych uzbrojonych, a prócz tego nie ma tam drogi, jeno bardzo wąska, ani nie ma żywności dla was".

Kortez odpowiedział, iż dziwi się, jak władca Montezuma, który podaje się za naszego przyjaciela, będąc tak wielkim panem, może tyle razy zmieniać zdanie — raz mówić tak, a następnie przysyłać całkiem inne zlecenia. Jeżeli powiada, że da złoto dla naszego pana, cesarza, i dla nas, to za nie i za to, które teraz przysyła, odpłacimy mu w sposobnej porze dobrymi uczynkami, ale zali wydaje się godziwe, abyśmy będąc tak blisko jego miasta zawracali z drogi, nie spełniwszy tego, co nam nasz władca polecił? Gdyby tak pan Montezuma wysłał był swych ambasadorów do takiego wielkiego władcy, jakim sam jest, i gdyby oni, przybywszy w pobliże jego pałacu, zawrócili nie przemówiwszy i nie powiedziawszy tego, co mają do powiedzenia, gdyby więc powrócili przed jego oblicze z takim wynikiem, cóż by o nich pomyślał, jeśli nie to, że są tchórze i nie warci? Tak pomyślałby nasz władca i cesarz o nas, przeto tak czy owak musimy wejść do miasta, niech nam nie przysyła wymówek w tej sprawie, bowiem musimy go zobaczyć, mówić z nim i zdać sprawę z naszej misji, i to jemu osobiście, a kiedy nas wysłucha, a nasza obecność w mieście będzie mu niemiła, powrócimy, skąd przybyliśmy. Co się tyczy braku żywności, jesteśmy ludźmi, którzy poprzestają na małym. Jesteśmy już w drodze do jego miasta i niechaj nas dobrze przyjmie.

Odprawiwszy posłów, ruszyliśmy w drogę do Meksyku. Ale byliśmy wszak ludźmi i lękając się śmierci nie przestawaliśmy o niej myśleć, szliśmy małymi etapami, polecając się Bogu i Jego Matce, Pani Naszej, i rozprawiając, w jaki sposób będziemy mogli wejść do miasta. Noc spędziliśmy w miejscowości zwanej Iztapalatego, połowa jej domów stoi na wodzie, a druga na lądzie.

Kiedy wielki Montezuma usłyszał odpowiedź Korteza, postanowił zaraz wysłać swego bratanka, imieniem Cacamatzin, władcę Tezcucó, aby z wielkim przepychem powitał Korteza i nas wszystkich. Mieliśmy zwyczaj wystawiania straży oraz wysyłania zwiadowców, i jeden z nich przybiegł nas zawiadomić, że wielka grupa bogato przystrojonych Meksykanów zbliża się ku nam, czyniąc pokojowe znaki. Było to wczesnym rankiem i mieliśmy ruszyć w drogę, przeto Kortez polecił zaczekać, póki się nie przekonamy, co by to było. W tej samej chwili weszło czterech dostojników i oddawszy pokłon Kortezowi, zawiadomili, że oto zbliża się Cacamatzin, władca Tezcucó, bratanek wielkiego Montezumy, i prosi, abyśmy poczekali na jego przybycie. Istotnie, niebawem wszedł z wielkim przepychem i wspaniałością, jakiej u żadnego z władców meksykańskich nie widzieliśmy. Niesiono go w lektyce bardzo bogatej, zdobnej zielonymi piórami, srebrem i drogimi kamieniami, osadzonymi na gałkach z bardzo przedniego

złota; lektykę niosło ośmiu dostojników, a wszyscy byli panami włości. Przybyli przed kwaterę Korteza, pomogli księciu wysiąść z lektyki, zamietli ziemię, zbierając ździebła słomy na drodze, którą miał przechodzić.

Kiedy stanęli przed Kortezem, powitali go uniżenie, a Cacamatzin przemówił w te słowa: „*Malinche*, przychodzę, a wraz ze mną ci znakomici mężowie, aby ci służyć i dostarczyć wszystkiego, czego byś potrzebował dla siebie i dla towarzyszy, oraz by zaprowadzić was do waszych domów w naszym mieście. Tak bowiem rozkazał nam nasz pan, wielki Montezuma, który prosi, abyś mu przebaczył, że sam nie przychodzi, ale dzieje się to z powodu niedomagania, a nie złej woli i niechęci ku wam”.

Kiedy nasz wódz i my wszyscy ujrzeliśmy taki przepych i majestat u tych kacyków, a szczególnie u tego bratanka Montezumy, uznaliśmy, że jest to rzecz wielka, i mówiliśmy sobie, że jeżeli ów kacyk z taką wspaniałością idzie, to cóż to będzie, kiedy nadejdzie wielki Montezuma? Skoro tylko Cacamatzin skończył swą przemowę, Kortez uściskał go i świadczył mu rozmaite grzeczności, jemu i innym dostojnikom dał trzy drogie kamienie, zwane *margaritas*, których wewnątrz mieni się różnymi kolorami; najważniejszym panom ofiarował błękitne diamenty, dziękując im uroczyście. Kiedyż zdoła odplącić panu Montezumie łaski, których co dzień doświadczamy?! Po zakończeniu rozmów zaraz ruszyliśmy, a ponieważ kacykowie przyprowadzili wielu ludzi z sobą, a z innych osad przybyło ich mnóstwo, aby nas oglądać, na drogach aż się roiło.

Nazajutrz rano dotarliśmy do szerokiej grobli i skierowaliśmy się na Iztapalapę. Kiedy ujrzeliśmy tyle miast i wiosek pobudowanych na wodzie; inne wielkie miejscowości na lądzie stałym oraz na powierzchni wód ową prostą groblę wiodącą do Meksyku, wpadliśmy w zdumienie. Oświadczyliśmy, że wydaje się to być krajobrazem, o jakim opowiadają księgi Amadisa. Tyle tam było wysokich wież i świątyń, i budowli wznoszących się wprost z wody, a wszystkie murowane z kamienia, że niektórzy żołnierze nasi pytali, czy to, co widzimy, nie jest snem. Nie dziwota, że tak się o tym rozpisują, wiele rzeczy nawet pomniejszając, gdyż nie wiem, jak je wyrazić: widzieliśmy bowiem rzeczy, jakich nigdy nie widziano ani o jakich nigdy nie słyszano!

Kiedy zbliżyliśmy się do Iztapalapy, trzeba było widzieć przepych innych kacyków, którzy wyszli na nasze przyjęcie! Był między nimi władca miasta Coadlavaca oraz władca Coyoacanu, obaj bardzo bliscy krewni Montezumy. Kiedy weszliśmy do miasta Iztapalapy, umieszczono nas w pałacach wielkich i pięknie zbudowanych z doskonałego kamienia, z drzewa cedrowego oraz innych wonnych i kosztownych drzew, z dzieźniacami i salami budzącymi podziw, obitymi bawełnianymi kołtrynami, kiedyśmy to wszystko oglądali, udaliśmy się do ogrodów i warzywnika. Rozkosz to była widzieć i przechadzać się tam — nie mogłem się nasycić widokiem różnorodności drzew i wonią każdego z nich, grzędy były pełne róż

i kwiatów, były tam liczne drzewa owocowe i krzewy róż, był staw słodkiej wody i — rzecz spodziwna — wielkie łodzie z jeziora mogły wpływać do ogrodu przez wejście w tym celu sporządzone, tak że nie trzeba było schodzić na ląd. Wszystkie budowle były pięknie wybielone i jaśniejące, wzniesione z rozmaitego rodzaju kamieni pokrytych malowidłami, i tak piękne, że trudno sobie to wyobrazić. Były tam ptaki wszelkiego gatunku i gniazda, w których składały jaja. Mówię raz jeszcze, że trwałem w podziwieniu i nie mogłem uwierzyć, aby na całym świecie można było odkryć krainę tej podobną. Podówczas bowiem nie znano jeszcze Peru ani nie wiadano o jego istnieniu. Dzisiaj wszystkie te cuda są zburzone, stracone i nic z nich nie zostało!

Księga szósta MEKSYK

20

*O świetnym i uroczystym przyjęciu, jakie zgotował nam wielki
Montezuma przy wejściu do miasta Meksyku*

Nazajutrz rano opuściliśmy Iztapalapę w towarzystwie owych wielkich kacyków, o których już wspomniałem. Posuwaliśmy się groblą szeroką na osiem kroków, która nie odchylając się mało ni wiele, wiedzie prosto do miasta Meksyku. Chociaż tak szeroka, pełno było na niej ludzi jedni szli do Meksyku, inni stamtąd wracali, a że nie brakło Indian, którzy wyszli nas oglądać, trudno było się precyzyjnie. Wieże, świątynie, łodzie ze wszech stron na jeziorze, pełne były ciekawych, nic dziwnego, nie widzieli bowiem jeszcze nigdy koni ani ludzi nam podobnych. Wobec tych wszystkich rzeczy podziwu godnych nie wiedzieliśmy, co rzec. Zali to na jawie oglądaliśmy owe miasta, jedne na lądzie, a drugie na wodach jeziora? Widzieliśmy wszędzie mnóstwo łodzi, na grobli liczne mosty i na jej końcu wielkie miasto Meksyk. Było nas ledwie czterystu żołnierzy, w pamięci mieliśmy słowa i ostrzeżenia ludzi z Guaxocingo, Tlaxcali, Tamanalco oraz innych, abyśmy się mieli na baczności wchodząc do Meksyku, bo wymordują nas, ledwie tam wejdziemy. Jacyż ludzie na świecie odważyliby się na takie zuchwalstwo? Niechaj ciekawi czytelnicy zważą, czy w tym, co piszę, jest przesada?

Zdążaliśmy dalej naszą groblą, aż doszliśmy do miejsca, skąd inna mała grobla wiodła do Coyoacan, miasta, gdzie wznosiły się jakby wieże, a były to świątynie. Zbliżyło się wielu kacyków i dostojników w bardzo bogatych opończach, a strój każdego z kacyków zdobny był odmiennie. Grobla napełniła się nimi. Tych wielkich kacyków wysłał Montezuma na nasze spotkanie. Stanąwszy przed Kortezem, powitali go serdecznie w swoim języku i na znak pokoju dotykali ręką ziemi i całowali ją. Ta ceremonia zatrzymała nas chwilę, stamtąd Cacamatzin, władca Tezcuco, i władca Iztapalapy, i władca Tacuby, i władca Coyoacanu wyprzedzili nas, udając

się naprzeciw wielkiego Montezumy, który zbliżał się w bogatej lektyce, otoczony innymi wielmożami i udzielnymi kacykami.

Zbliżyliśmy się już do Meksyku, i tam gdzie wznosiły się małe wieżyczki, Montezuma wysiadł z lektyki i prowadziło go kilku wielkich kacyków pod baldachimem ze złota i srebra, z pereł i kamieni *chalchiuis*, które opadały jakby twarde frędzle, największego podziwu godne. Wielki Montezuma, wspaniale przystrojony wedle ich zwyczaju, zbliżał się, mając na nogach rodzaj koturnów, tak bowiem można by nazwać to obuwie o złotych podeszwach, zdobne z wierzchu najkosztowniejszymi kamieniami. Czterej wielmoże, którzy go prowadzili, odziani byli bogato, wedle ich zwyczaju. Zdaje się, że musieli przyodziać się na grobli, aby towarzyszyć swemu panu, bo nie mieli owych strojów, kiedy nas przyjmowali. Oprócz tych czterech, czterej inni kacykowie nieśli nad jego głowę baldachim, a liczni inni wielmoże, idąc przed wielkim Montezumą, zamiatali ziemię na jego drodze i rozścielali sukno pod jego stopami. Wszyscy owi wielmoże nie śmieli podnieść oczu na jego oblicze, szli z oczyma w dół spuszczo-nymi, z wielkim uszanowaniem, z wyjątkiem czterech krewnych, siostrzeńców, którzy go wiedli pod ramiona. Kiedy Korteż spostrzegł i usłyszał, że nadchodzi wielki Montezuma, zsiadł z konia i zbliżył się. Obaj sobie wzajemnie wielką cześć oddawali. Montezuma życzył mu szczęśliwego przybycia, Korteż odpowiedział przez donę Marinę, życząc mu zdrowia. Zdaje mi się, że za pośrednictwem tłumaczki, która szła obok niego, ofiarował Montezumie miejsce po prawicy, jednak ten odmówił i prosił Korteza, aby szedł po jego prawej stronie. Korteż wyjął naszyjnik z kamieni, zwanych *margaritas*, mieniły się kunsztownym rżnięciem i rozmaitymi kolorami, a nanizane były na sznur złoty, piżmem nasycony i rozsiewający miły zapach, i włożył go na szyję wielkiego Montezumy. Kiedy jednak gotował się go ucałować, możni, którzy szli obok swego władcy, zatrzymali jego ramię, aby tego nie czynił, uważają to bowiem za niegodne.

Przemówił tedy Korteż za pośrednictwem doni Mariny, że raduje się w swym sercu, iż widzi tak potężnego księcia i za wielką łaskę sobie poczytuje, że ten osobiście wyszedł, aby go przyjąć. Montezuma odpowiedział innymi grzecznościami i rozkazał swym dwom siostrzeńcom, którzy go prowadzili, aby nam towarzyszyli do naszych pomieszczeń. Sam zaś z innymi krewniakami powrócił do miasta. Wraz z nim zawróciły liczne gromady kacyków i możnych jego świty. Gdy szli z powrotem, podziwialiśmy, jak kroczyli, okazując największy szacunek, z oczyma spuszczo-nymi, nie patrząc na Montezumę, usuwając się pod ściany, co pozwoliło nam bez przeszkody wejść w ulice miasta.

Zaprowadzono nas do wielkiej budowli, gdzie znalazło się miejsce dla wszystkich, był to pałac Axayaki, ojca wielkiego Montezumy. W tym czasie Montezuma miał tam wielkie sanktuarium bożków i w tajnej komnacie trzymał złoto i drogie kamienie — skarb odziedziczony po ojcu. Umiesz-

czono nas w tym pałacu, bowiem zwano nas *teules* i za takich uważano — chcieli, abyśmy byli pomiędzy ich bożkami. Czy z tego powodu, czy z innego, dość, że tam nas umieszczono. W salach obitych tkaninami było podwyższenie dla naszego wodza, a dla każdego z nas łożo z mat z małym baldachimem: tam nawet dla największego pana nie masz lepszego łoża, innych nie używają. Wszystkie pałace były jasne, wybielone, czyste i ustrojone zielenią.

Kiedy weszliśmy na wielki dziedziniec, Montezuma, który nas tam oczekiwał, ujął Korteza pod ramię i zaprowadził go do sal, gdzie miał mieszkać. Były one bardzo bogato przybrane na ten cel, przygotował też bardzo bogaty, kunsztowny naszyjnik ze złotych krabów i osobiście włożył go na szyję Kortezowi, czemu dziwowali się jego wodzowie, jako zbyt wielkiemu honorowi. Po czym usunął się do swoich pałaców znajdujących się w pobliżu. My zaś rozmieściliśmy nasze oddziały w salach, artyleria została w należyтым miejscu ustawiona, określono dokładny porządek, którego mieliśmy się trzymać, trwając w ustawicznym pogotowiu, zarówno jeźdźcy, jak wszyscy inni żołnierze. Wedle obyczaju tamtejszego podano nam obfity posiłek.

Nasze zuchwałe i szczęśliwe wejście do wielkiego miasta Tenuztitlan México miało miejsce 8 listopada roku pańskiego 1519.

*

Kiedy wielki Montezuma skończył obiadować i dowiedział się, że my również od dobrej chwili jesteśmy po obiedzie, odwiedził nas w naszej kwaterze z wielką liczbą wielmożów i ze wszystkimi swymi krewniakami. Kortez, uwiadomiony o jego przybyciu, wyszedł do połowy sali, aby go powitać, a Montezuma ujął go za rękę. Przyniesiono dwa fotele zrobione na ich modłę, bardzo bogate i ozdobione złotem w przeróżne wzory. Obaj zasiedli. Zaraz też zaczął Montezuma piękną przemowę, jak bardzo się raduje goszcząc w swoim domu i królestwie tak walecznych szlachciców, jak kapitan Kortez i my wszyscy, i zaiste jest przekonany, że właśnie my jesteśmy owymi przybyszami, zapowiedzianymi przed wiekami przez ich praojców, którzy prorokowali; że od wschodu słońca przybędą ludzie, którzy mają panować na tych ziemiach; ani chybi my to być musimy, tak mężnie walczyliśmy w bitwach pod Potonchanem i Tabasco oraz pod Tlaxcala, a wszystkie te bitwy widział, bowiem przyniesiono mu je wymalowane z natury.

Kortez przez tłumaczy odpowiedział, że nie wie, jak ma odpłacić tak wielkie łaski, jakich co dzień doznajemy. Zaprawdę przybyliśmy od wschodu słońca, a jesteśmy wasalami i służkami wielkiego władcy, który zwie się cesarz don Carlos, panuje nad licznymi poddanymi i wielkimi księ-

stwami, i który, kiedy dowiedział się jak wielkim władcą jest Montezuma, wysłał nas, abyśmy go poznali i prosili go, by dla zbawienia duszy swojej został chrześcijaninem jak cesarz i jak my wszyscy.

Po tej rozmowie Montezuma przygotował bardzo bogate klejnoty złote przedziwnej roboty i ofiarował je naszemu wodzowi, każdemu z naszych oficerów dał łańcuch złoty i trzy zwoje tkanin bogato przetykanych piórami; każdemu z żołnierzy dał również po dwa zwoje tkanin. Polecił też swoim majordomo, abyśmy wedle naszych potrzeb byli we wszystko zaopatrzeni. Pożegnał się bardzo uprzejmie z naszym wodzem i z nami wszystkimi i odprowadziliśmy go aż na ulicę.

*

Następnego dnia Kortez udał się z czterema oficerami i pięcioma żołnierzami do pałacu Montezumy, aby wyłożyć mu zasady wiary świętej, wykladał mu też o stworzeniu świata, jako wszyscy jesteśmy braćmi, synami jednego ojca i jednej matki, którzy nazywali się Adam i Ewa. Nasz pan, cesarz, bolejąc bardzo nad tym, że tyle dusz gubi się porywanych przez ich bożków do piekła, gdzie palą się w żywym ogniu, posyła nas, abyśmy temu zaradzili — przekonali ich, że nie należy czci oddawać owym bożkom ani zabijać na ofiarę Indian i Indianek, ani dopuszczać się sodomii i grabieży.

Montezuma odpowiedział: „Panie *Malinche*, dobrze zrozumiałem wasze słowa i to wszystko, coście wykładali moim wysłannikom na wybrzeżu o trzech bogach i o krzyżu, ale nie odpowiadamy na to, bo *ab initio* wielbimy nasze bóstwa i uważamy je za dobre, podobnie jak muszą być wasze. Dlatego nie mówmy o tym więcej”. Powiedział, że jeżeli bogowie spełnili jego marzenia i oto znaleźliśmy się w jego domu, który możemy nazwać naszym domem, radujmy się i odpoczywajmy, a jeżeli poprzednio kilkakrotnie posyłał, abyśmy do miasta jego nie wchodzili, to nie z woli własnej, ale dlatego, że poddani trwożyli się, opowiadano im bowiem, że miotamy błyskawice i grzmoty, a końmi zabijamy wielu Indian, że jesteśmy dzikimi *teules* oraz inne podobne głupstwa. Teraz kiedy ujrzał nas, kiedy wie, że jesteśmy z ciała i kości, bardzo rozumni i dzielni, w wielkim ma nas poszanowaniu i da nam, co należy. Zaraz też Montezuma, śmiejąc się, dodał: „*Malinche*, dobrze wiem, co tobie mówili ci z Tlaxcali, z którymi wszedłeś w taką przyjaźń, mówili, że jestem jak bożek czy *teul* i że wszystko w moich domach jest ze złota i srebra, i drogich kamieni, wiem dobrze, że jako jesteście rozumni, nie wierzyliście temu i uważaliście to za żarty, oto widzicie, panie *Malinche*, że jestem z ciała i kości, jak i wy, że pałace moje są z drzewa i wapna; prawda jest, że jestem władcą i wielkim królem, prawda, że mam bogactwa, bo je mam od przodków moich, ale wszelkie głupstwa

í kłamstwa, które wam o mnie powiadano, podobnie będziecie uważać za wymysły, jak ja uważam za nie wasze grzmoty i błyskawice".

Kortez odpowiedział, również śmiejąc się, że wrogowie często szerzą oszczerstwa i kłamstwa o tych, którym źle życzą, a rzecz wiadoma, że wspanialszego władcy nad niego nie spodziewa się w tych stronach zobaczyć i nie darmo jest tak ceniony przez naszego cesarza.

21

O wyglądzie i osobie wielkiego Montezumy i o tym, jak wielkim był władcą, jak nasz wódz wyszedł na zwiedzanie miasta Meksyku i głównego placu Tatelulco, i o wielkiej świątyni Uichilobosa

Wielki Montezuma miał lat około czterdziestu, był wzrostu pięknego, zbudowany bardzo proporcjonalnie, chudy i suchy, cera jego, niezbyt ciemna, miała barwę i matowość cery Indian, włosy, niezbyt długie, ledwie zakrywały uszy, brodę miał rzadką, czystą i pięknie ułożoną, oblicze trochę za szerokie, wesole, oczy miłe, cała jego postać tchnęła życzliwością, a gdy trzeba było, powagą. Był bardzo czysty i staranny, kąpał się codziennie po południu, miał liczne nałożnice, córki wielmożów, chociaż prawowitymi małżonkami były tylko dwie księżniczki. Sodomii nie oddawał się, sukien i płaszczy, które wkładał na dzień, nie nosił dłużej niż trzy, cztery dni. Straż jego składała się z dwustu znakomitych mężów, umieszczonych w salach przyległych do jego komnat. Nie wszyscy mogli doń przemawiać, wolno to było tylko wybranym. Kiedy szli z nim mówić, winni byli zrzucić bogate szaty i wkładać skromniejsze, które musiały być czyste, wchodzili do niego boso, ze spuszczonej oczyma, aby nie patrzeć mu w twarz, pokłoniwszy się trzy razy wypowiadali formułę: „Pan, mój pan, mój wielki pan”, zanim się doń zbliżyli. Kiedy rzekli, z czym przybyli, on odpowiadał w niewielu słowach, żegnają się z nim, nie mogli odwracać się, tylko ze spuszczonej oczyma cofali się aż do wyjścia z sali.

Zauważyłem także inną rzecz kiedy jacyś wielcy książęta przybywali z odległych stron na procesy lub rokowania, zanim weszli do komnat wielkiego Montezumy, zdejmowali obuwie i wkładali skromne szaty, nie wchodzili zaś wprost do pałacu, ale kluczyli nieco bokami, bowiem wejście wprost uważane było za nieprzyzwoite.

Na posiłki kucharze jego przygotowywali ponad trzydzieści rodzajów potraw, przyrządzanych wedle ich przepisu i zwyczaju, stawiali je na glinianych fajerkach, aby nie wystygły. Dla stołu wielkiego Montezumy przygotowywano ponad trzysta półmisków, zaś ponad tysiąc dla ludzi ze straży. Kiedy miano zasiadać do stołu, Montezuma wychodził niekiedy ze

swymi dostojnikami i mistrzami ceremonii do kuchni, a ci wskazywali mu najlepsze potrawy i tłumaczyli, z jakich ptaków i składników były przyrządzone, i doradzali, z których jeść należy, te wizyty były jednak rzadkie i raczej dla rozrywki. Słyszałem, jak mówiono, że zwykli mu gotować mięso młodzieniaszków, ale jako była taka różnorodność potraw i tyle ich, nie zdołaliśmy sprawdzić, czy było to mięso ludzkie, czy coś innego. Codziennie pieczono mu kury, indyki, bażanty, przepiórki, kuropatwy, kaczki dzikie i swojskie, kozły, dzikie gołębie, zające, króliki i wszelkiego rodzaju ptaki krajowe oraz płody tej ziemi, tak liczne, że nie skończyłbym ich wymieniać tak rychło. Myśmy tego nie kosztowali, ale wiem na pewno, że od czasu, jak nasz wódz zganił krwawe ofiary i pożywanie mięsa ludzkiego, Montezuma zakazał podawania takich dań.

Dosyć o tym, powiedzmy teraz, w jaki sposób słuźono mu w czasie obiadu. Jeżeli było zimno, rozpalano wielkie ognie z węgla i kory drzewnej, które nie dawały dymu, ale rozsiewały miłą woń, aby nie dawały ciepła więcej, niżli sobie życzył, kładziono na tym jakby płytę zdobnie wyrabianą, na której wyobrażone były postacie bożków. Montezuma zasiadał w niskim karle, bogatym i miękkim, stół był również niski, takiej samej roboty jak karzeł. Nakrywano go obrusem białym i kilkoma serwetami z tej samej tkaniny, a cztery kobiety, bardzo piękne i czyste, podawały wodę do umycia rąk w pewnego rodzaju miednicach, zwanych *xicales*, pod spodem stawiały jakby tacę, na którą woda miała ściekać, i podsuwały ręczniki, inne niewiasty przynosiły kołaczki kukurydziane. Zanim jeść zaczął, stawiano przed nim jakby parawan drewniany, malowany złociście, aby nie widziano go jedzącego. Cztery kobiety usuwały się, zaś u boku stawiali mu czterej wiekowi starcy, książęta, z którymi Montezuma rozmawiał od czasu do czasu albo pytał ich o coś. Niekiedy w dowód łaski podawał każdemu ze starców talerz potrawy, która mu najlepiej smakowała. Mówiono, że owi starcy byli to jego najbliżsi krewni, doradcy i sędziowie. Z talerza podanego przez Montezumę jedli stojąc, z wielkim uszanowaniem, nie podnosząc nań oczu. Podawano w naczyniach z czarnej lub czerwonej cholułańskiej glinki.

W czasie gdy pozywał, nikomu na myśl nie przyszło hałasować ani głośno mówić w sąsiednich salach straży. Przynoszono mu owoce, wszelkie, jakie rodziła ziemia, ale pojadał z nich niewiele, od czasu do czasu. Przynoszono też naczynia w rodzaju pucharów złotych z napojem wyrabianym z kakao, mówiono, że wzmagał on męskość w stosunkach z kobietami, ale podówczas nie myśleliśmy o tym. Widziałem kiedyś, jak przyniesiono pięćdziesiąt dzbanów pełnych musującego napoju z najlepszego kakao, które z wielkim szacunkiem kobiety podawały mu do picia. Czasem przy posiłkach towarzyszyło kilku Indian, garbatych, bardzo szkaradnych, niziutkich, jakby przełamanych w pół, były to karły. Inni Indianie — byli to pewnie trefnisie — stroili żarty, inni jeszcze śpiewali i tańczyli, bo Montezuma

bardzo lubił te gry i śpiewy; kazał im rozdawać resztki jedzenia oraz dzbany kakao. Później te same kobiety zdejmowały obrusy i z największym uniżeniem podawały wodę do rąk. Rozmawiał wtedy Montezuma z owymi czterema starcami wedle swej woli o rozmaitych sprawach, po czym żegnali go z najwyższym uszanowaniem, on zaś udawał się na spoczynek.

Kiedy Montezuma skończył swój posiłek, zasiadali do jedzenia ludzie jego straży oraz inni domownicy; zdaje się, że podawano wówczas około tysiąca potraw, o czym już wspomniałem, oraz ponad dwa tysiące dzbanów musującego kakao i nieskończoną ilość owoców. Jakże wiele kosztowały owe kobiety, służebnice, piekarki, czyścicielki kakao! Wspomnieć należy jeszcze majordomo, skarbników, piwnicznych i kredensiarzy, a także strażników spichlerzy kukurydzy. Było ich tylu, że gdybym chciał mówić o każdym, nie wiadomo byłoby, skąd zacząć; podziwialiśmy porządek i obfitość we wszystkim. Muszę jeszcze dodać, o czym zapomniałem rzec, że przy stole, kiedy Montezuma jadł, dwie bardzo piękne niewiasty mu usługiwały, przynosiły jajeczne kołaczki oraz inne smakołyki. Kołaczki te były bardzo białe, podawały je na talerzach przykrytych czyściutkimi serwetami. Podawały również inne ciasto, jakby okrągłe bułki, nadziewane łąkociami, oraz chleb, zwany w tamtych okolicach *pachol*. Na stole ustawiono trzy trzciny, pięknie malowane i złocone, napełnione *liquidambarem** zmieszany z zieleń zwanym *tabaco*. Kiedy Montezuma skończył jeść, po śpiewach i tańcach, i zebraniu ze stołów, pociągał z którejś trzciny nieco dymu i zaraz potem zasypiał.

Pamiętam z owego czasu głównego majordomo, potężnego kacyka, którego przezwaliśmy Tapia, ten wpisywał wszystkie dochody Montezumy do księgi zrobionej z papieru, zwanego *amal*, i cały jeden budynek był tymi księgami wypełniony. Ale zostawmy ten temat, wykracza on poza ramy naszego opowiadania, i opowiedzmy, że Montezuma posiadał dwa budynki wypełnione wszelakiego rodzaju bronią, niekiedy bardzo bogatą, wysadzaną złotem i drogimi kamieniami, jak na przykład tarcze wielkie i małe albo maczugi, były tam także te ich miecze drewniane z ostrzami z obsydianu, które lepiej tną niżli nasze szpady, a także dzidy dłuższe od naszych. Było tam również wiele pancrzy z bawełny pikowanej, bogato zdobionej różnokolorowymi piórami, a także misiurki i hełmy drewniane i kościane, również po wierzchu zdobne piórami, i mnóstwo innej broni przedziwnej roboty, którą dla mnogości jej pomijam. Ludzie Montezumy stale opatrywali tę broń i pilnowali jej, a jego majordomo mieli nad nią pieczę.

Przejdźmy teraz do ptaszkami; muszę się tu zatrzymać, aby opowiedzieć o każdym rodzaju. Były tam więc orły królewskie oraz mniejsze

* *Liquidambar* — napój wyrabiany z żywicy drzewa *Liquidambar*. *Styraciflus*.

orły, a także wiele innych gatunków dużych ptaków, aż do najmniejszych ptaszek, mieniących się rozmaitymi kolorami, były również i te ptaszki, z których zielonych piór robią owe bogate ozdoby — ptaki te są podobne z postaci do naszych hiszpańskich srok i nazywają się *quezales* — były tam także inne ptaki, które mają pięciobarwne upierzenie, zielone, czerwone, białe, żółte i niebieskie, nie pomnę już, jak się nazywają. Papug w najrozmaitszych kolorach było tyle, że nie pomnę ich liczby; nie wspominam już o pięknie upierzonych kaczkach oraz innych, większych od nich. Wszystkie te ptaki w stosownym czasie oskubywano, a potem porastały w pióra na nowo; gnieździły się one w owym budynku, a w czasie kiedy wysiadywały jaja, strzegli ich Indianie i Indianki, którzy mieli nad nimi pieczę, czyścili ich gniazda i karmili każde karmą stosowną. Była tam sadzawka wody słodkiej, a na niej znowu inny rodzaj ptaków, na wysokich nogach, barwnym upierzeniu na skrzydłach i szyi, nie znam ich nazwy, ale na wyspie Kubie ptaki im podobne nazywano *ipiris*. Były tam także inne gatunki, które stale przebywały na wodzie.

Przejdźmy do następnego wielkiego budynku, gdzie znajdowały się liczne bożki — mówiono o nich, że są to bożki okrutne — obok nich zaś żyły wszelkiego rodzaju drapieżne bestie, tygrysy, lwy dwojakiego rodzaju, zwierzęta podobne wilkom, które tu zwą szakalami, i lisy, a także inne mniejsze drapieżniki. Wszystkie karmiono mięsem, większość rodziła się w tym budynku, dawano im mięso kozłów, kur, małych piesków oraz innej upolowanej zwierzyny, a nawet, jak słyszałem, ciała zabitych na ofiarę Indian. Działo się to w ten sposób, jak mi opowiadano, że kiedy zabijano na ofiarę nieszczęsnego Indianina, nożem z obsydianu rozcinano mu pierś i wrywano jeszcze pulsujące serce oraz spuszczano krew, które ofiarowywano bożkom, po czym ucinano uda, ramiona i spożywano je w czasie uczty; głowę zawieszano na belce, zaś ciała nie spożywano, ale rzucono je dzikim zwierzętom. Ponadto w owym przeklętym budynku trzymano liczne żmije i grzechotniki, które na szyi miały jakby małe dzwoneczki — są one najbardziej jadowite ze wszystkich, i trzymano je w kadziach i wielkich garncach pełnych pierza, tam składały jaja i wywodziły małe; karmiono je mięsem Indian zabijanych na ofiarę oraz psów, które tam hodują. Jakież to było przerażające, kiedy ryczały tygrysy i lwy, wyły szakale i lisy, syczały węże — strasznie było tego słuchać, zdawało się to piekłem!

Lecz pójdźmy dalej i powiedzmy o rękodzielnikach, którzy uprawiają rzemiosła tam znane. Zacznijmy od rytowników w kamieniu i złotników w złocie i srebrze, i robocie dętej, którą najwięksi złotnicy w naszej Hiszpanii podziwiali; najliczniejsi i najlepsi zamieszkiwali miasto Escapuzalco, o milę od Meksyku. Inni byli mistrzami w obrabianiu drogich kamieni i *chalchiuis*, które przypominają szmaragdy. Przejdźmy z kolei do wielkich rękodzielników, robiących ozdoby z piór, do świetnych malarzy i rzeźbiarzy — z ich dzieł, które dziś oglądamy, powziąć można szacu-

nek dla tego, co wówczas tworzyli. Dziś w Meksyku żyje trzech Indian, tak świętych malarzy i rzeźbiarzy, że gdyby żyli w czasie słynnego starożytnego Apellesa albo Michała Anioła czy Berruguete'a, mistrzów naszych czasów, mogliby zająć miejsce między nimi, nazywają się Marcos de Aguino, Juan de la Cruz i Crespillo. Indianki, tkaczki i hafciarki, wyrabiały mnóstwo delikatnych tkanin, zdobnych piórami. Najwięcej ich sprowadzają z prowincji położonej na północ od Vera Cruz, zwanej Cotastan. Nawet w pałacu wielkiego Montezumy wszystkie córki możnych, jego nałożnice, zajęte były zawsze tkaniem najpiękniejszych rzeczy, inne zaś córki mieszkańców miasta, żyjące na podobieństwo mniszek, również tkały z piór. Te mniszki miały swoje domy przy wielkiej świątyni Uichilobosa, służyły one innemu, niewieściemu bóstwu, opiekunce małżeństw, rodzice umieszczali je tam aż do czasu zamążpójścia, a następnie zabierali je, aby wydać za mąż. Przejdźmy dalej i powiedzmy o wielkiej liczbie tancerzy i żonglerów, i takich, którzy chodzą na szczydach, i innych, którzy tańcząc wyskakują w powietrze albo błazeńskie tańce odprawują, a wszystko, aby Montezumie przyjemność sprawić. Cała jedna dzielnica zajęta jest przez ludzi, którzy tylko tym się zajmują. Trzeba jeszcze wspomnieć o takich rękodzielnikach, jak kamieniarze, cieśle i wszyscy ci, którzy rozumieją się na budowie domów — Montezuma miał ich tylu, ilu zapragnął.

Nie zapominajmy o ogrodach kwiatowych, o drzewach woniejących, których ma wiele wszelakiego rodzaju, i o przechadzkach pośród nich, o basenach i sadzawkach słodkiej wody, do których woda wpływa z jednego końca, a wypływa z drugiego, o kąpielach w nich, o różnaitości malutkich ptaszeczków, które wśród drzew świergocą, warto byłoby widzieć, wiele ma ziół lekarskich i jak ich używa. Do tego wszystkiego są liczni ogrodnicy i wszystko — zarówno miejsca do kąpeli, jak ścieżki i wirydarze, i altany, i estrady, gdzie tańczą i śpiewają — wykonane jest z kamienia i pięknie wybielone. Tyle było do podziwiania w ogrodach i wszędzie, że nie mogliśmy się nadziwić wielkiej wspaniałości Montezumy.

*

Już minęły cztery dni naszego pobytu w Meksyku, a ani nasz wódz, ani nikt z nas nie wyszedł poza pałace i ogrody, przeto Korteż rzekł do nas, że byłoby dobrze zwiedzić główny plac i wielką świątynię Uichilobosa i że chciałby o tym zawiadomić Montezumę, aby uzyskać pozwolenie. Montezuma zgodził się zrazu bardzo chętnie, jednak bojąc się, abyśmy jakiegoś despektu nie wyrządzili bóstwom, postanowił towarzyszyć nam osobiście z licznymi wielmożami. W swej bogatej lektyce odbył połowę drogi, w pobliżu świątyń wysiadł, bowiem uważał za obrazę bogów być

niesionym aż do świątyni w lektyce. Ujęli go pod ramiona wielcy dostojnicy, a poprzedzali go wasale. Nieśli przed nim dwie laski, jakby berła w górę wzniesione, na znak, że wielki Montezuma przechodzi. Kiedy niesiono go w lektyce, trzymał w ręku laseczkę z drzewa i złota, jakby berło sprawiedliwości. W ten sposób wszedł do świątyni otoczony licznymi kapłanami i zaczął okadzać Uichilobosa i dopełniać innych ceremonii.

Zostawmy Montezumę, który nas wyprzedził, jak rzekłem, i wróćmy do Korteza, do naszych oficerów i żołnierzy. Ci, zgodnie z naszym zwyczajem, w dzień i w nocy byli uzbrojeni i tak nas zawsze widywał Montezuma — nie było to dla niego nowością. Tak więc nasz wódz na koniu, wraz z wszystkimi jeźdźcami, większość naszych żołnierzy w pełnym uzbrojeniu, wkroczyliśmy na plac. Z nami szli liczni kacykowie, których Montezuma przydał nam do towarzystwa. Na wielkim placu Tatelulco stanęliśmy zdumieni, bo nigdy nie oglądaliśmy takiego tłumu ludzi i takiego mnóstwa towarów, dziwowaliśmy się wielkiemu porządkowi i nadzorowi. Dostojnicy, którzy szli z nami, pokazywali nam wszystko. Każdy towar miał wyznaczone swoje osobne miejsce. Zaczęliśmy od handlarzy złotem i srebrem, drogimi kamieniami, piórami, tkaninami i haftami oraz innymi towarami i niewolnikami obojga płci. Tylu ich przyprowadzono na ów plac na sprzedaż, ilu Murzynów z Gwinei przywodzą, jedni byli uwiązani do długiej tyki za obrozę, aby nie uciekli, inni szli wolno. Kupcy sprzedawali materie codziennego użytku, bawełnę, kręcone sznurki i nici, kakao, w ten sposób były tam wszystkie towary, jakich dostarcza Nowa Hiszpania, rozmieszczone w tym samym porządku, jak w mej ojczystej Medina del Campo, gdzie odbywają się targi i gdzie na każdej ulicy sprzedaje się co innego. Więc na tym placu sprzedawano tkaniny z pity, sznury, koturny oraz inne drobiazgi wyrabiane z drzewa, aż do owych korzeni gotowanych, które są bardzo słodkie, a wszystko na jednej połaci. Skóry tygrysie, lwie, nutrii oraz innych dzikich zwierząt, borsuków i rysi, jedne wyprawione, drugie nie, leżały w innym kącie, jak również rozmaite przedmioty i towary. Gdzie indziej sprzedawano bób i fasolę oraz inne jarzyny i zieleninę.

Idąc dalej, doszliśmy do tych, którzy sprzedawali kury, indyki, kaczki, zające, sarny, króliki, pieski i tym podobne. Opodal stali przekupnie sprzedający potrawy gotowane, placki kukurydziane i flaki. Dalej, w innym kącie, najrozmaitsze wyroby garncarskie, od wielkich dzbanów do małych garnuszków, a także sprzedawcy miodu i pierników, i różnych nugatów. Następnie sprzedawcy drzewa, stołów, kołyszek, belek, desek i ławek. Dalej sprzedawcy drzewa opałowego, łuczywa i tym podobnych rzeczy. Cóż jeszcze chcecie, abym wam powiedział? Liczne łodzie napełnione odchodami ludzkimi, przepraszam, że o tym piszę, stoją przycumowane dokoła placu ten towar służy do wyrabianiu ałunu i do garbowania skór, które bez tego nie byłyby tak dobre. Wiem, że niektórzy czytelnicy śmiać się będą z tego, ale tak jest, jak mówię. Powiem więcej, że zwyczaj każe budo-

wać po drodze małe chatki z trzciny, z traw i słomy, gdzie by mogli się zatrzymać przechodnie, nie będąc widziani, i tam chronią się, jeśli im przyjdzie opróżnić żywot, i owa nieczystość nie będzie stracona. Ale po cóż tracę tyle słów, aby opowiedzieć, co sprzedają na wielkim placu, nie skończyłbym tak szybko, wymieniając wszystkie rzeczy szczegółowo, warto tylko wspomnieć o papierze, zwanym w owym kraju *amal*, o trzcinach wonnych, pełnych liquidambaru i tytoniu, oraz o maściach żółtych i podobnych produktach tutaj wystawionych. Pod arkadami wielkiego placu sprzedawano koszenilę, było tam także mnóstwo zielarzy i kupców różnego rodzaju. Na tym placu mieli swoje domy trzech sędziów, i tam wydawali wyroki, tam też strażnicy pilnowali towarów. Zapomniałem jeszcze o soli i o tych, którzy wyrabiali noże z obsydianu i którzy na miejscu z kamienia je rzeźbili. Byli też rybacy oraz sprzedawcy małych bułek z mułu owego jeziora, które tężały i miały smak jakby sera; sprzedawano też siekiery z mosiądzu i brązu, garnce drewniane, pięknie malowane.

Chciałbym już skończyć z wyliczaniem tych wszystkich rzeczy tam sprzedawanych, była ich bowiem taka różnorodność, że trudno było wszystko zobaczyć i oglądać w ciągu dwóch dni, tym bardziej że plac otoczony arkadami pełen był ludzi. Skierowaliśmy się do wielkiej świątyni. U wejścia z placu na wielkie dziedzińce mieli miejsca kupcy sprzedający złoto ziarniste, wprost z kopalni. Złoto trzymali w cewkach gęsich piór, tak przezroczystych, że przez nie przeglądało; wedle długości i grubości owych cewek obliczano: tyle a tyle cewek warta materia, ziarno, kakao albo tyle wari niewolnicy czy inne rzeczy sprzedażne.

Opuśćmy wielki plac nie oglądając się i wejdźmy na dziedzińce i okolę, gdzie stoi wielka świątynia; każdy z tych dziedzińców jest większy od placu Salamanki, są one otoczone podwójnym murem z kamieni i wapna i brukowane wielkimi kamiennymi płytami, bardzo białymi, a wszystko tak czyste, że nie znalazłbyś tam ani słomki, ani pyłka kurzu. Zbliżyliśmy się do samej świątyni i jeszcze nie zaczęliśmy wstępować na stopnie, a już Montezuma, który znajdował się na górze odprawując swoje ofiary, wysłał sześciu kapłanów i dwóch dostojników, aby towarzyszyli naszemu wodzowi i pomogli mu przy wchodzeniu na stopnie, których było sto czternaście; chcieli go wziąć pod ramiona, jak zwykli pomagać swemu panu, Montezumie, aby się nie zmęczył, ale Kortez nie chciał, aby się doń zbliżali. Weszliśmy na szczyt świątyni, na mały plac tam się znajdujący, gdzie było jakby podniesienie z wielkich głazów — tak kładziono nieszczęsnych Indian zabijanych na ofiarę. Stała tam wielka postać niby smoka oraz inne wstrętne posągi i wszędzie było wiele krwi świeżo rozlanej.

Kiedy zbliżyliśmy się, wyszedł wielki Montezuma z sanktuarium, w którym stały jego przekłete bałwany — znajdowało się ono na samym szczycie świątyni — z nim razem wyszło dwóch kapłanów i z wielkimi pokłonami

składanymi Kortezowi i nam wszystkim, rzekli: „*Malinche*, musisz być zmęczony wstępowaniem do naszej wielkiej świątyni”.

Kortez przez tłumaczy, którzy byli z nami, odpowiedział, że żadnego zmęczenia nie czuje ani on, ani nikt z naszych. Montezuma ujął go za rękę i kazał podziwiać swoją wielką stolicę i wszystkie miasta na wodzie, i rozliczne osady dokoła jeziora na lądzie, a jeżeli dobrze nie widział wielkiego placu, może go stąd lepiej oglądać. Staliśmy podziwiając, bo ta wielka i przeklęta świątynia była tak wysoka, że panowała nad wszystkim. Widzieliśmy stamtąd owe trzy groble prowadzące do Meksyku, groblę z Iztapalapy, przez którą przybyliśmy cztery dni temu, groblę z Tacuby, była to ta, którą mieliśmy uciekać w noc naszej wielkiej klęski, i trzecią z Tepeaquilli. Widzieliśmy, jak słodka woda przepływa z Chapultepec, zaopatrując całe miasto, a na owych trzech groblach mosty w regularnych odstępach, pod którymi przepływała woda jeziora z jednej strony na drugą. Widzieliśmy na owym wielkim jeziorze mnóstwo łodzi — jedne zwoziły żywność, inne wracały z ładunkiem i towarami. Widzieliśmy, że tak w mieście, jak we wszystkich miastach zbudowanych na wodzie, nie można było inaczej poruszać się od domu do domu jak przez drewniane zwodzone mosty albo łodziami. Widzieliśmy w owych miastach świątynie i sanktuaria na kształt wieżyc i warowni, wszystkie nad podziw lśniące białością, a przy domach, w ulicach i na groblach stały inne wieżyczki i kapliczki, tworząc małe warownie. Kiedy napatrzyliśmy się i nadziwili wszystkim, co wzrok ogarniał, oglądaliśmy znów wielki plac i tłumy ludzi na nim kupujących i sprzedających, tak że nawet słyszeć było brzęczenie głosów. Byli między nami żołnierze, którzy znali rozmaite strony świata, bywali i w Konstantynopolu, i w całej Italii, i w Rzymie, otóż mówili oni, że takiego placu, tak pięknie rozplanowanego, tak wielkiego, w takim porządku i tak pełnego ludzi nie widzieli jeszcze.

Zostawmy to i powróćmy do naszego wodza, który rzekł do brata Bartolomé de Olmedo, stojącego obok: „Wydaje mi się, ojczu, że dobrze byłoby nakłonić Montezumę, aby nam pozwolił właśnie tutaj zbudować nasz kościół”. Ojciec przyznał, że byłoby to dobrze, gdyby się udało, ale zdaje mu się, że nie wypada w tej chwili mówić o tym, gdyż Montezuma nie wydaje się być do tego skłonny. Wówczas Kortez przez tłumaczkę donę Marinę odezwał się do Montezumy: „Wasza miłość jesteś bardzo wielkim władcą i zasługujesz na jeszcze więcej. Radujemy się widokiem waszych miast i proszę was o łaskę, jesteśmy oto w waszej wielkiej świątyni, zechciej nam pokazać bogów swoich i *teules*”. Montezuma odpowiedział, że wprzód musi pomówić ze swoimi kapłanami. Porozumiawszy się z nimi, prosił, abyśmy weszli do jednej z wieżyczek. Wewnątrz, w sali bardzo bogato zdobnej, rzeźbionej w drzewie powale, stały dwa ołtarze, a w każdym dwa posągi bardzo wysokie i grube. Pierwszy po prawej stronie był posągiem Uichilobosa, boga wojny. Bożek miał oblicze szerokie, oczy

niekształtne i przerażające, tułów pokryty całkowicie drogimi kamieniami, złotem, perłami i maczkiem perłowym, tkwiącym w kleistej masie, zrobionej z pewnych korzeni, bożek w jednej ręce trzymał łuk, a w drugiej strzałę. Drugi, mały bałwan, obok niego stojący, miał być jego paziem i trzymał niewielką dzidę i tarczę bogato wysadzaną złotem i kamieniami; na szyi Uichilobosa wisiały czaszki i serca, jedne ze złota, inne ze srebra, zdobne mnóstwem błękitnych kamieni, stały tam czasze z kadzidłem z copalu, w których skwierczały trzy serca Indian poświęconych tegoż dnia, dym copalu wił się w górę. Wszystkie ściany owego sanktuarium były zbryzgane i czarne od skrzepów krwi, podobnie jak podłoga, i wszystko wstrętnie cuchnęło. Po drugiej stronie, na lewo, ujrzelśmy drugi wielki posąg tej samej wysokości co Uichilobosa, bowiem — jak mówiono — byli oni braćmi. Tezcatepuca był bogiem piekieł i opiekował się duszami Meksykanów. Dokoła tułowia owijały mu się jakieś postacie diablików z ogonami na kształt węży, a na ścianach było tyle krwi zakrzepłej i cała podłoga była nią tak schlapana, że nawet w rzeźniach Kastylii nie masz takiego odoru. Przed tym bożkiem leżało pięć serc zabitych tego ranka ofiar. Na szczycie świątyni, pod bardzo kunsztownym stropem, znajdował się inny posąg półczłowieka, półjaszczura z tułowiem wysadzonym kamieniami, a do połowy okryty płaszczem. Objasniono nas, że tułów jego był wypełniony wszelakim ziarnem ziemi, był to bowiem bóg siewy i plonów. Nie pomnę już jego imienia. Tam również wszystko było pełne krwi — tak ściany, jak ołtarz — i taki był fetor, że pragnęliśmy jak najrychlej wyjść. W tej świątyni znajdował się bęben olbrzymich rozmiarów, który wydawał głos tak ponury, jakby instrument piekielny, a słyhać go było na dwie mile wokoło, mówiono, że jest obciążony skórą olbrzymich węży.

Na tym placyku było mnóstwo diabelskich rzeczy do oglądania: surmy, trąby, noże oraz wiele zetlałych serc Indian, którymi okadzano te bałwany — wszystko splamione zakrzepłą krwią. Było tego tyle, że bodaj to diabli! A ponieważ wszystko w tej rzeźni cuchnęło i nie mogliśmy się doczekać, kiedy stąd wyjdziemy i nie będziemy zdani na ten zaduch i na ten widok, przeto nasz wódz za pośrednictwem naszej tłumaczki, rzekł na pół z uśmiechem: „Panie Montezuma, nie pojmuję, jak taki wielki władca i mądry mąż, jak wasza miłość, w umyśle swoim nie poznał, że owi trzej bogowie nie są bogami, ale stworami przekłętymi, zwanymi diabłami, zaś aby wasza miłość i wszyscy wasi kapłani przekonali się o tym, wyświadczyć nam, proszę, łaskę pozwólcie, abym na szczycie tej wieży umieścił krzyż, a w jednym rogu sanktuarium, tam gdzie stoją wasi Uichilobos i Tezcatepuca, zrobił ogrodzenie, w którym umieścimy obraz Naszej Pani, Matki Bożej (który to obraz już Montezuma był oglądał), a ujrzenie, jakie przerażenie ogarnie owych bogów, którzy was oszukują”. Dwaj kapłani tam obecni okazali wielkie niezadowolenie, a Montezuma

na poły z gniewem rzekł: „Panie *Malinche*, gdybym był wiedział, że tak znieważycie moich bogów, nie byłbym wam ich pokazał. Ich czcimy jako dobrych, oni nam dają zdrowie i wodę, i dobre zasiewy, i pogodę, i zwycięstw, ile chcemy. Powinniśmy im cześć i ofiary. Dlatego proszę was, zaniechajcie innych słów ku ich obrazie”.

Kiedy to usłyszał nasz wódz i zobaczył go w takiej alteracji, nie odpowiedział na to, tylko z wesołą miną rzekł: „Czas już dla waszej miłości i dla nas powrócić”. Montezuma przyznał, że byłoby to dobrze, ale trzeba mu jeszcze przebłagać bogów i złożyć pewne ofiary dla zadośćuczynienia za wielki *tatacul*, czyli grzech, jaki popełnił, pozwalając nam wejść do świątyni i oglądać bożków, którym wyrządziliśmy wielką zniewagę mówiąc o nich tak źle”.

A Korteż na to: „Jeśli tak jest, przebaczenie nam, panie!” Zaraz też zaczęliśmy schodzić ze schodów, a że było ich sto czternaście i niektórzy z naszych żołnierzy cierpieli na pęcherze i humory, bolały ich nogi przy schodzeniu. Zdaje się, że obwód wielkiej świątyni wynosił sześć bardzo wielkich *solares*, jakie przyjęte są w tym kraju. Wznosiła się, zwężając ku górze coraz bardziej, aż do małej wieżyczki, w której były umieszczone bożki. W połowie jej wysokości znajdowało się pięć wklęsnięć, jakby strzelnic otwartych i bez parapetów, sięgających do najwyższego piętra. Na czaprakach konkwistadorów wyobrażonych jest wiele podobnych świątyń, a na tym, który posiadam, jest również jedna, ci, którzy to widzieli, mogą sobie wyobrazić, jak wyglądała. Nie była to ta świątynia, którą widziałem i oglądałem, o tej szła wieść, że w czasach kiedy ją budowano, w cement fundamentów rzucono ofiarowane przez wszystkich mieszkańców wielkiego miasta złoto i srebro, i drobne perły, i drogie kamienie, i oblano je obficie krwią pojmanyh na wojnie Indian, zabitych na ofiarę, obsypano ją również wszelakiego rodzaju ziarnem, jakie istnieje na całej ziemi, aby bogowie użyli zwycięstwa i bogactw, i wielkich plonów. Powiedzą na to czytelnicy ciekawsi, jak mogłem się o tym dowiedzieć, przecież minęło ponad tysiąc lat od czasu jej budowy. Na to odpowiem, że kiedy zdobyliśmy miasto owo silne i wielkie i rozdzielano ziemię, zaraz postanowiliśmy na miejscu owej wielkiej świątyni zbudować kościół naszego patrona i przewodnika, świętego Jakuba. Przekopaliśmy część terenu, na którym stała dawna świątynia Uichilobosa, dla ułożenia fundamentów kościoła, i po odsłonięciu fundamentów dawnej świątyni, które chcieliśmy wzmocnić, znaleźliśmy mnóstwo złota i srebra, i *chalchtuis*, i pereł wielkich i drobnych, i innych drogich kamieni. A pewien mieszkaniec Meksyku, który przekopał inną część tej samej polaci, znalazł to samo. Było tego tyle że urzędnicy skarbu Jego Królewskiej Mości zażądali tych bogactw dla cesarza, jako przypadających mu z prawa, był z tego powodu proces, ale nie przypominam sobie, co się dalej stało. Jednak kacykowie i dostojnicy Meksyku oraz Guatemuz, który podówczas żył, mówili, iż prawdą

jest, że wszyscy mieszkańcy miasta w owym czasie wrzucali w fundamenty jakieś klejnoty i rozmaite kosztowności, co zostało uwiecznione w księgach i na dawnych malowidłach, i w ten sposób owe bogactwa zachowały się na budowę kościoła świętego Jakuba.

W pewnej odległości od wielkiej świątyni stała mała wieżyczka będąca równocześnie siedzibą bożków i istnym piekłem, bowiem wejście do niej stanowiła straszliwa paszcza, jaką malują wyobrażając piekło, paszcza otwarta, uzbrojona kłami, aby pożreć dusze. Były tam również przy bramie postacie diabłów i węży, opodal był stół ofiarny, wszystko oblane krwią i czarne od dymu i krwawych skrzepów. Stały tam liczne wielkie kadzie, dzbany i stągwie pełne wody, w których gotowano mięso nieszczęsnych Indian zjadane przez kapłanów, przy stole ofiarnym było mnóstwo noży oraz kilka pni rzeźniczych z drzewa, podobnie jak w rzeźni. Za tym przekętym domem były wielkie stosy drew, a niedaleko wielki zbiornik wody, który mógł się napełniać i spuszczać i do którego woda przyływała przez kryte wodociągi prowadzone do miasta z Chapultepec. Zawsze nazywałem ten dom piekłem.

Z głębi dziedzińca stała inna świątynia, w której chowano wielmożów meksykańskich, tam było mnóstwo innych bóstw, a wszystko pokryte krwią i dymem, a wejścia strzegły piekielne poczwary. Obok tej świątyni stała druga, pełna czaszek i piszczeli ułożonych w wielkim porządku, można było je oglądać, ale nie można było policzyć, tak wiele ich było — z jednej strony czaszki, z drugiej piszczele; tam były znowu inne bóstwa. W każdej świątyni czy modlitwni przebywali kapłani w obszernych czarnych opończach z kapturami wielkimi, jakie mają dominikanie albo kanonicy, z włosami długimi i tak zmierzwionymi, że nie można było ich rozczesać ani rozdzielić. Prawie wszyscy mieli uszy obcięte na ofiarę, a włosy pełne krwi. Nieco bardziej na uboczu były inne świątynie, z innymi bóstwami, miały to być bóstwa opiekujące się małżeństwem. Nie chcę się dalej rozwodzić na temat bożków, powiem tylko, że dookoła wielkiego dziedzińca stało wiele niewysokich domów, w których mieszkali kapłani i inni Indianie opiekujący się bożkami. Niedaleko przy sadzawce stały wielkie budynki, jakby klasztory, gdzie w odosobnieniu liczne córki mieszkańców Meksyku wiodły zakonny żywot aż do czasu swego zamążpójścia. Znajdowały się tam postacie bóstw żeńskich, którym składały ofiary i których święta obchodziły w celu otrzymania dobrych mężów. Zatrzymałem się, długo opowiadając o wielkiej świątyni Tatelulco i jej dziedzińcach, była to bowiem największa świątynia całego Meksyku, który posiadał ich wiele, i to bardzo wspaniałych, bo każde cztery lub pięć dzielnic miało osobną świątynię i własne bóstwa. Było tych świątyń wiele i nie znam ich liczby, ale powiedzieć muszę, że wielka świątynia w Choluli była wyższa od meksykańskiej, wiodło do niej bowiem sto dwadzieścia stopni, a bóstwo Choluli uważane było za łaskawe i z całej Nowej Hiszpanii pielgrzymowa-

no do niego, aby uzyskać odpust i stąd była ta świątynia tak wspaniała; była jednak zbudowana inaczej, posiadała wielkie dziedzińce otoczone dwoma murami. Śmieszne to jest, ale każda prowincja, miała własne bóstwa i bogowie jednej nie byli łaskawi dla innych, stąd było ich takie nieskończone mnóstwo i wszystkim składano ofiary.

22

Jak zbudowaliśmy w naszej dzielnicy kościół i ustawiliśmy krzyż przed nim, i jak znaleźliśmy komnatę i komorę skarbu ojca Montezumy, i jak postanowiliśmy Montezumę pojmać

Kiedy nasz wódz Kortez i brat Miłosierdzia spostrzegli, że Montezuma nie chce, abyśmy w świątyni jego Uichilobosa ustawili krzyż i urządzili kościół, i ponieważ od czasu naszego przybycia do miasta Meksyku, kiedy odprawiano mszę świętą, ustawialiśmy ołtarz na stole i ten ołtarz potem rozbieraliśmy, postanowiliśmy poprosić majordomo Montezumy o przysłanie kilku murarzy, aby w naszej dzielnicy zbudowali kościół. Majordomo zgodzili się przedstawić naszą prośbę Montezumie. Nasz wódz wysłał z tą prośbą donę Marinę i Aguilara, a także Orteguilla, swego paza, który już nieco język ich posiadał, i Montezuma zaraz udzielił pozwolenia. W ciągu dwóch dni kościółek nasz został zbudowany, a przed nim stanął krzyż i odprawiano mszę świętą, dopóki starczyło wina; zabrakło go, bo Kortez, oficerowie, a także i brat, zużyli je w swej chorobie podczas wojny w Tlaxcali. Kiedy się wino skończyło, codziennie modliliśmy się, klęcząc w kościele przed ołtarzem i obrazami; po pierwsze dlatego, że obowiązani byliśmy do tego jako dobrzy chrześcijanie, a po drugie, aby Montezuma i wszyscy jego wodzowie widzieli nas oddających cześć na klęczkach krzyżowi, zwłaszcza kiedy odmawialiśmy *Ave Maria*, i aby zachęcili się do tego. Przebywając w naszej kwaterze, a mając taką naturę, że wszystkiego chcieliśmy dociec i o wszystkim wiedzieć, zastanawialiśmy się, gdzie najlepiej i najstosowniej ustawić ołtarz. Dwaj nasi żołnierze, z których jeden był cieślą, nazwiskiem Alonso Yanez, zauważyli jakby ślad drzwi zamurowanych, pobielonych starannie i wygładzonych, a że fama głosiła i mieliśmy wieść, że w tym budynku Montezuma trzyma skarb swego ojca Axayaki, podejrzewaliśmy, że znajduje się on w komnacie kilka dni temu zamurowanej i zabilonej. Yanez zwierzył się Juanowi Velazquezowi de Leon i Franciskowi de Lugo, oficerom, a nawet moim krewniakom, i w ich towarzystwie udał się do Korteza z tą wieścią. Drzwi zostały potajemnie otwarte, po czym Kortez z kilkoma oficerami wszedł pierwszy do wnętrza i ujrzeli takie mnóstwo klejnotów złotych

oraz złota w płytach, blaszkach, kamienie *chalchuius* oraz inne wielkie bogactwa, że stanęli w osłupieniu i nie mogli słowa wymówić. Dowiedzieli się niebawem o tym inni oficerowie i żołnierze i weszli tam skrycie, aby to zobaczyć. Widziałem i podziwiałem także ja, a że w owym czasie byłem młodzieńcem i nie widziałem w mym życiu takiego bogactwa, byłem przekonany, że na całym świecie nie mogło być nic podobnego. Pomędzy wszystkimi oficerami i żołnierzami zapadła zgoda, że nie ruszymy nic z tego, tylko owe drzwi zostaną znów zamknięte i zamurowane w ten sam sposób, jak je zastaliśmy, i że nie należy rozpowiadać o tym, aby się nie doniosło do Montezumy, póki stosowny czas nie nadejdzie.

Przestańmy mówić o tych bogactwach, a powiedzmy, jak rozumnych i dzielnych oficerów i żołnierzy mieliśmy, choć przede wszystkim — i tego byliśmy pewni — Pan Nasz Jezus Chrystus kierował naszymi sprawami. Tak więc czterech naszych oficerów oraz dwunastu żołnierzy, w których liczbie i ja byłem, którym Korteż ufał i rady ich zasięgał, na uboczu, w kościele przedstawiło mu, by rozważył, w jakiej sieci i pułapce znaleźliśmy się, jak silna jest warowność miasta, niechaj wejrzy na mosty i groble, niech przypomni sobie słowa i ostrzeżenia, jakich nie szczędziły nam ludy, przez których ziemie przechodziliśmy, że Uichilobos doradził Montezumie pozwolić nam wejść do miasta, a tam nas wymordować, niech rozważy, że serca ludzkie są zmienne i że nie można ufać życzliwości i miłości, jaką nam Montezuma okazuje, bo z godziny na godzinę odmienić się to może. Kiedy zamyśli nas wytępić, odetnie nam żywność i wodę, podniesie niektóre mosty, a wówczas nie będziemy w stanie obronić się. Niech zważy, jakie mnóstwo wojowników trzyma przy nim straż. Jakże zdołamy atakować lub bronić się, kiedy wszystkie domy są na wodzie? Którędy mogłaby nam przyjść pomoc od naszych przyjaciół z Tlaxcali?

Musi rozważyć wszystko, co mówimy, i jeżeli chce zabezpieczyć nasze życie, nie powinien czekać innego dnia, ale bez zwłoki pojmać Montezumę. Niech rozważy, że ani wszystko złoto, jakie ofiarował Montezuma, ani to, które widzieliśmy w skarbcu jego ojca Axayaki, ani obfitość jada nie uradowały nas, bowiem nie spiamy ani we dnie, ani w nocy, ani spocząć nam nie daje owa myśl. A jeżeli niektórzy z naszych żołnierzy będą innego zdania, widać są jak bydłota bezrozumne, zwabieni słodyczą złota, i nie widzą śmierci przed oczyma. Kiedy Korteż to usłyszał, odrzekł: „Nie myślcie, mości panowie, że ja spiam i że ta sama myśl mnie nie dręczy. Musieliście to zauważyć, ale jakąż posiadamy siłę, aby ważyć się na takie zuchwalstwo i porwać tak wielkiego władcę w jego własnym pałacu, pośród jego straży i wojowników? Jakiego sposobu i jakiego podstępu użyć do tego dzieła, aby on nie wezwał swych wojowników i z nami walki nie rozpoczął?” Odpowiedzieli wówczas nasi oficerowie, a byli nimi Juan Velazquez de Leon, Diego de Ordaz, Gonzalo de Sandoval i Pedro de Alvarado, że należy przywabić słodkimi słowami Montezumę z jego

pałacu do naszej kwatery i tam oznajmić mu, że jest więźniem, a jeśli wpadnie w złość i podniesie krzyk, przypłaci to życiem. Jeżeli Korteż nie chce się tego podjąć, niech zezwoli, że oni to wezmą na siebie, bo w wielkim niebezpieczeństwie, w jakim się znajdujemy, lepiej w stosownym czasie pojmać go, niż czekać, aż wystąpi zbrojnie przeciw nam, i cóż na to wówczas poradzimy? Dyskutowaliśmy nad tym przez godzinę, czy go porwać, czy nie, i wreszcie nasz wódz przystał na nasz plan, postanowiliśmy porwać go następnego dnia. Całą noc spędziliśmy modląc się Bogu, aby się nam to udało dla Jego świętej sprawy. Po tych naradach, następnego dnia rano przybyło dwóch Indian z Tlaxcali, bardzo tajnie, z listem z Villa Rica. Stało w nim, że Juan de Escalante, który pozostał jako najwyższy *alguacil*, poległ w bitwie z Meksykanami, którzy zabili mu konia. Zginęło tam wraz z nim sześciu żołnierzy oraz liczni Indianie totonascy, których miał w swoich szeregach. Ponadto wszystkie górskie szczepy, także cempoalskie oraz im podległe, zbuntowały się i nie chcą dostarczać żywności ani obsługiwać fortu, i nie wiadomo, co począć. Jak przódę uważano ich za demonów, tak teraz, ujrzawszy ich klęskę, mają ich za nic, i nawet Indianie totonascy, podobnie jak Meksykanie, stali się jak dzikie zwierzęta i nie wiadomo, jak temu zaradzić. Usłyszawszy tę nowinę, zmartwiliśmy się ogromnie. Była to pierwsza nasza klęska, jaką ponieśliśmy w Nowej Hiszpanii.

23

O uwięzieniu wielkiego Montezumy i ukaraniu winnych

Postanowiwszy poprzedniego dnia pojmać Montezumę, całą noc spędziliśmy na modlitwie. Rankiem ustalono, jak się zabrać do tego. Korteż wziął ze sobą pięciu oficerów oraz tłumaczy, a nam wszystkim rozkazał być w pogotowiu, konie osiodłać i trzymać na wodzy. Zbroić się nie było potrzeba, gdyż — jak już wspomniałem — zawsze dniem i nocą byliśmy uzbrojeni i obuci w konopne sandały — w owym czasie jedyne nasze obuwie. Montezuma, kiedy go odwiedzaliśmy, zawsze widywał nas uzbrojonych, i dlatego kiedy Korteż z pięcioma oficerami w pełnym uzbrojeniu poszli go pojmać, nie widział w tym nic nowego i nie zaniepokoił się wcale. Korteż po zwykłych ceremoniach powitalnych przemówił za pośrednictwem naszych tłumaczy: „Wasza miłość, panie Montezuma, dziwuję się bardzo, że będąc tak dzielnym księciem i podając się za naszego przyjaciela, wydałeś rozkaz wodzom na wybrzeżu w okolicy Tuzapan, aby za broń chwycili przeciw moim Hiszpanom i odważyli się na rabowanie wsi znajdujących się pod opieką i strażą naszego króla i pana, a także żądali

Indian i Indianek na ofiarę, zabili Hiszpana, mego brata, i jego konia. Uważam się za waszego przyjaciela, rozkazałem moim oficerom, aby we wszystkim, co możliwe, służyli wam i pomagali, zaś wasza miłość postąpiłaś przeciwnie. Już w Choluli znaleźli się wasi wodzowie z wielką liczbą wojowników, aby z waszego rozkazu nas zabić. Przemilczałem to, bo bardzo was miłuję, ale obecnie wasi dowódcy ośmielają się szeptać między sobą, że kazaliście im nas wymordować. Nie chcę z tego powodu wszczynać wojny ani burzyć miasta, ale aby zrzucić z siebie podejrzenie, trzeba wam milcząc i bez hałasu udać się z nami do naszej kwatery. Tam będziemy wam służyć i szanować was, jakbyście byli we własnym pałacu. Ale jeśli podniesiecie krzyk albo tumult powstanie, natychmiast zostaniecie zabici przez tych oto oficerów, których nie przyprowadziłem tutaj w innym celu".

Montezuma, usłyszawszy to, przeraził się i osłupiał, odpowiedział, że nigdy nie rozkazywał broni przeciw nam podnosić. Zaraz też kazał przywołać swoich wodzów, aby prawdy się dowiedzieć i ukarać ich. Zdjął ze swej ręki sygnet z wyobrażeniem Uichilobosa, którego używał w okolicznościach ważnych i trudnych dla uzyskania natychmiastowego posłuchu. Ale co się tyczy pojmania i opuszczenia przezeń pałacu wbrew jego woli, nie masz nikogo, kto by mu to rozkazać mógł, i nie ma zamiaru wyjść. Korteż przedłożył swoje dobre racje, Montezuma swoje, jeszcze lepsze, że nie godzi mu się opuszczać pałacu. Około pół godziny zeszło na tych rozmowach.

Juan Valazquez de Leon i inni oficerowie, widząc, że tracą czas i nie widzą końca, kiedy wyprowadzą go z pałacu i uwiężą, odezwali się do Korteza nieco wzburzeni: „Czemuż wasza miłość traci czas na tyle słów? Albo pojmiemy go, albo zakłujemy. Powtórzcie mu, że jeśli krzyczyć będzie albo tumult powstanie, zabijemy go niechybnie, lepiej bowiem w ten sposób zabezpieczyć nasze życie, niżli je utracić".

Juan Valazquez mówił to groźnym, podniesionym głosem, jaki mu był właściwy. Montezuma widział podniecenie naszych oficerów i zapytał doń Marinę, o czym by mówili tak głośno. Doña Manna, będąc bardzo rozumną, odpowiedziała: „Panie Montezuma, radzę wam udać się natychmiast z nimi do ich kwatery, nie czyniąc rozgwaru, wiem, że traktować was będą z wielkim uszanowaniem, jakie wielkiemu władcy, jakim jesteście, przystoi, w przeciwnym razie tutaj zostaniecie zabici i prawda zostanie dowiedziona".

Wówczas Montezuma rzekł do Korteza: „Panie *Malinche*, jeśli już tak chcecie, mam syna i dwie córki prawowite, weźmijcie ich jako zakładników, a mnie tego wstydu nie czyńcie. Cóż rzeką moi wielmoże, jeśli mnie jeńcem ujrzą?!"

Korteż znów oświadczył, że musi pójść z nami on, we własnej osobie, nic innego być nie może. Po długich targach odpowiedział wreszcie, że

pójdzie dobrowolnie. Wówczas Korteż i nasi oficerowie zaczęli mu świadczyć wiele uprzejmości i błagali go, aby się nie gniewał, ale swoim wodzom i straży przybocznej oświadczył, że idzie dobrowolnie, bowiem Uichilobos i kapłani powiadomili go, że dla jego dobra i ocalenia życia powinien pójść z nami. Przyniesiono zaraz jego bogatą lektykę, w której zwykł podróżować w otoczeniu wszystkich swoich wodzów, i udał się do naszej kwatery, gdzie ustawiliśmy warty i strażę. Korteż i my wszyscy świadczyliśmy mu wszelkie usługi i dostarczaliśmy rozrywek, jakie tylko można było, i nie wtrącaliśmy go do żadnego więzienia.

Niebawem zjawili się wszyscy najwięksi dostojnicy meksykańscy oraz jego krewniacy, aby porozumieć się z nim, dowiedzieć o powodach jego uwięzienia i zapytać, czy mają wystąpić zbrojnie przeciw nam.

Montezuma odpowiedział, że miło mu pozostać kilka dni z nami z dobrej woli i bez przymusu, a jeśliby czego pragnął, da im znać, niech przeto nie niepokoją się oni ani miasto i nie martwią się z jego powodu, bowiem Uichilobos pobyt jego tutaj uważa za pożyteczny, powiadomili go o tym niektórzy kapłani, którzy zasięgaliby rady bóstwa z tego powodu.

W ten sposób wyglądało uwięzienie wielkiego Montezumy. Tam gdzie mieszkał, miał na swoje usługi i kobiety, i kąpiele i stale przebywało przy nim dwudziestu wielmożów, doradców i wodzów. Bez oporu przywykł do swej doli więziennej. Przybywali doń ambasadorowie z dalekich stron, przedstawiając swe spory, przywożąc trybut, i on załatwiał swoje ważne sprawy.

Opowiem teraz, jak wysłańcy, którzy wyjechali z pieczęcią Montezumy, aby wezwać wodzów winnych śmierci naszych żołnierzy, powrócili z nimi w łykach. O czym z nimi mówił, nie wiemy, ale odesłał ich do Korteza, aby ten wymierzył im sprawiedliwość. Ten wybadał ich pod nieobecność Montezumy i wyznali prawdę, że to ich pan nakazał im rozpocząć wojnę i odebrać trybut, a gdyby jacyś *teules* sprzeciwili się, mieli stanąć do walki i pozabijać ich. Po tej odpowiedzi Korteż powiadomił Montezumę, jak go oskarżyli, ten usprawiedliwiał się, jak mógł. Nasz wódz oświadczył mu, że jednak im wierzy i że zasłużył na karę, zgodnie bowiem z rozkazami naszego króla i pana, osoba, która każe drugich zabijać, winnych czy niewinnych, powinna umrzeć. Ale on miłuje go tak bardzo i tak mu dobrze życzy, że nawet gdyby był winien, on, Korteż, woli przyplacić to życiem, niż widzieć śmierć Montezumy. Kiedy to wszystko Montezuma usłyszał, bardzo się przeląkł. I bez dalszych słów skazał Korteż owych wodzów na śmierć — mieli być spaleni przed pałacem Montezumy — i zaraz wyrok wykonano. Ale gdy oni płonęli, rozkazał aby uniknąć zamieszania, zakuć Montezumę. Kiedy wkładano mu kajdany, Montezuma ryczał, a jeśli przedtem bał się, teraz jeszcze bardziej.

Po egzekucji Korteż z pięcioma oficerami udał się do jego komnaty i własnoręcznie zdjął mu kajdany i tyle słodkich, czułych słów powiedział,

że gniew minął rychło. Kortez mianowicie mówił mu, że uważa go za brata i więcej jeszcze, i jeżeli jest on już władcą tylu ludów i prowincji, to on, o ile będzie mógł, z biegiem czasu uczyni go panem jeszcze liczniejszych ziem niżli te, które był podbił, a jeżeli chce powrócić do swego pałacu, on mu da zezwolenie. Powiedział mu to wszystko Kortez za pośrednictwem naszych tłumaczy i zdawało się, że Montezumie nabiegły łzy do oczu. Odpowiedział bardzo dwornie, że mu dzięki składa. Zrozumiał dobrze, że wszystko, co mu rzekł Kortez, to były tylko słowa i że w obecnej chwili lepiej zostać więźniem; zbyt liczni byli wielmoże, siostrzeńcy, i krewniacy, którzy odwiedzając go codziennie, namawiali, iż byłoby dobrze na nas napaść i wyzwolić go z więzienia. Ledwie by go ujrzeli wolnym, nie omieszkają tego uczynić, a on nie chciałby widzieć w mieście swoim zamieszek, wiedział także, że jeśli nie ustąpi ich żądaniu, będą chcieli innego władcę sobie wybrać. Tak więc hamował ich zamysły, mówiąc, że bóg jego Uichilobos mu powiedział, żeby pozostał w więzieniu. Dowiedzieliśmy się, że przez Aguilara potajemnie wmówił mu Kortez, że nawet gdyby on, *Malinche*, rozkazał go wypuścić z więzienia, inni oficerowie i żołnierze będą temu przeciwni.

Kiedy Kortez usłyszał jego odpowiedź, otworzył ramiona, uściskał go i rzekł: „Nie na darmo, panie Montezuma, miłuję was jak siebie samego!” Po czym Montezuma poprosił Korteza, aby mu przydzielił pafia hiszpańskiego do usług. Ten nazywał się Orteguillo i nauczył się już języka, był on wielką pomocą zarówno dla Montezumy, jak i dla nas, bowiem od tego pafia Montezuma dowiadywał się o sprawach Kastylii, my zaś o tym, o czym rozprawiali jego wodzowie, i zaiste paż był tak usłużny, że Montezuma polubił go bardzo.

Musimy powiedzieć, że wiadomość o ukaraniu winnych rozeszła się po wszystkich prowincjach Nowej Hiszpanii, zatrwożyły się miasta wybrzeża, gdzie zabito naszych żołnierzy, i powróciły do świadczeń na rzecz mieszkańców Villa Rica. Czytelnicy tego pamiętnika powinni uprzytomnić sobie, na jak wielkie czyny wazyliśmy się zniszczyliśmy okręty, nie baliśmy się wejść do tak warownego miasta pomimo tylu przestróg, że gdy się tam znajdziemy, to nas zabiją, spełniliśmy czyn tak zuchwały, jak pojmanie wielkiego Montezumy, króla tej ziemi, w jego własnym pałacu i we własnym mieście, gdzie było takie mnóstwo wojowników jego straży, dalej odważyliśmy się spalić jego wodzów przed jego pałacem i podczas tej egzekucji założyć mu kajdany.

Jak nasz Kortez wysłał do Villa Rica jako namiestnika i wodza szlachcica nazwiskiem Alonso de Grado, a potem urząd ten powierzył Gonzalowi de Sandoval, i o budowie dwóch brygantyn

Po egzekucji Quezalpopoki i innych dowódców i po uspokojeniu Montezumy postanowił nasz wódz wysłać do Villa Rica jako namiestnika żołnierza nazwiskiem Alonso de Grado, był to bowiem człowiek bardzo mądry, wymowny, pięknej postawy, muzyk i wielki pisarz. Ten Alonso de Grado zawsze był przeciwnikiem naszego Korteza i w Tlaxcali w czasie narad, o których mówiłem, był za powrotem do Villa Rica, a przeciwny wyprawie na Meksyk. On wzniecał owe wrzawy i gdyby był równie dobrym żołnierzem, jak mówcą, bardzo by mu się to przysłużyło. Mówię tak, bo Kortez, który znał go dobrze i wiedział, że nie był to człowiek zbyt odważny, będąc bardzo dowcipnym rzekł, powierzając mu ten urząd: „Oto, mości Alonso de Grado, spełniają się wasze pragnienia, udacie się obecnie do Villa Rica, jak chcieliście, i troszczyć się będziecie o tę warownię, ale baczenie, abyście nie wszczęli żadnej bitwy jak Juan de Escalante i aby was tam nie zabito”. Mówiąc, mrugnął do nas, żołnierzy tam obecnych, abyśmy zrozumieli, w jakim sensie to mówi. Poleciał mu opiekować się mieszkańcami i szanować ich, podobnie jak Indian sprzymierzonych, aby nie działa im się krzywda ani nie zabierano im niczego siłą. Baczenie miał dawać na warownię, ukończyć belkowanie i pokryć ją dachem.

Alonso de Grado, przybywszy do miasta, przybrał wobec mieszkańców ton wyższości i kazał służyć sobie jak wielkiemu panu, zaś od szczepów uspokojonych, których było ponad trzydzieści, zażądał przysłania klejnotów i urodziwych Indianek, natomiast o fortecę bynajmniej się nie troszczył. Czas tracił na jedzeniu i zabawach, a przede wszystkim, co było najgorsze, tajemnie porozumiał się ze swymi przyjaciółmi, a nawet z tymi, którzy nimi nie byli, aby w razie gdyby do tego kraju przybył z Kuby Diego Velazquez albo któryś z jego oficerów, oddać mu ziemię i przejść na jego stronę. O tym wszystkim bardzo rychło powiadomiono listownie Korteza w Meksyku, ten, dowiedziawszy się, bardzo był zły na siebie samego, że wysłał tam Alonsa de Grado, znając jego nieprzychylność i przeklętą naturę. A że trwał w przekonaniu, że tego czy owego dnia Diego Velazquez dowie się o tym, że wysłaliśmy do Jego Cesarskiej Mości własnych prokuratorów, i w żadnej rzeczy nie będziemy odnosić się do niego, i wówczas może wysłać przeciw nam siłę zbrojną i dowódców, przeto wydało mu się właściwe, aby w porcie i w Villa Rica postawić człowieka godnego zaufania, i wysłał tam Gonzala de Sandoval, który już od śmierci Juana de Escalante piastował urząd najwyższego *alguacila*.

Gonzalo de Sandoval, przybywszy do Villa Rica, odesłał zaraz do Meksyku pod straż Indian Alonsa de Grado, jak tego żądał Kortez. Wszyscy mieszkańcy sprzyjali bardzo Gonzalowi de Sandoval, bowiem chorym przydzielał najlepszą żywność, jaką mógł, był bardzo życzliwy, dla spokojnych wsi sprawiedliwy, okazując im wiele starania. Fortecę zaś umacniał i pokrył dachem, czyniąc wszystko, jak należy, jak przystoi dobremu oficerowi, i był bardzo pożyteczny Kortezowi i nam wszystkim. Alonso de Grado, przywiedziony do Meksyku, chciał mówić z Kortezem, ale ten nie dopuścił go do siebie i kazał go zakuć w drewniane dyby, które wówczas weszły w modę. Przypominam sobie, że drzewo owych dyb cuchnęło czosnkiem i cebulą. Tam Alonso de Grado zamknięty był przez dwa dni, ale że był bardzo wymowny i zręczny, wielkie przyrzeczenia składał Kortezowi, że będzie odtąd stale jego wiernym sługą we wszystkim, i tak usilnie się oświadczał, że Korteza przekonał i ten go uwolnił. Przypominam sobie, że potem stale z Kortezem przestawał, ale ten nie używał go do spraw wojennych, lecz zgodnie z jego usposobieniem oraz w stosownej chwili.

Nie chcę pominąć wiadomości, że Kortez, wysyłając Gonzala de Sandoval do Villa Rica jako dowódcę i najwyższego *alguacila*, polecił mu, aby zaraz przysłał mu dwóch kowali z całym zasobem miechów i narzędzi, z żelastwem wydobytym z porzuconych okrętów oraz z dwoma wielkimi łańcuchami już gotowymi, aby przysłał żagle i olinowanie, smołę i pakuły oraz busolę i wszelaki inny materiał potrzebny do budowy dwóch brygantyn dla żeglugi po lagunie meksykańskiej.

*

Nasz wódz, we wszystkim bardzo gorliwy, widząc Montezumę uwięzionego i obawiając się, aby nie upadł na duchu w takim zamknięciu i odcięciu, codziennie po modlitwach starał się wraz z czterema oficerami dotrzymać mu towarzystwa. Niekiedy grali z Montezumą w *totoloque*; była to gra małymi wygładzonymi kulkami, ze złota w tym celu wyrobionymi, które przesuwali po kratkach również ze złota, i w pięciu rzutach albo wygrywali, albo przegrywali pieniądze lub bogate klejnoty postawione. Jeżeli wygrywał Kortez, rozdawał liczne klejnoty siostrzeńcom Montezumy, jeśli wygrywał Montezumą, obdarzał nas, żołnierzy, którzyśmy go strzegli, zresztą poza tym codziennie dawał nam podarki w szatach i złocie.

W owym czasie byłem młodzieńcem i zawsze, kiedy przy nim straż trzymałem albo przechodziłem mimo, kłaniałem mu się nisko, zdejmując mi-siurkę. Paź Orteguillo opowiedział mu, że po dwakroć brałem udział w odkryciu tej Nowej Hiszpanii jeszcze przed Kortezem, ja zaś powiedziałem

Ortedze, że chciałbym prosić Montezumę, aby łaskawie przydzielił mi jakąś bardzo piękną Indiankę. Kiedy Montezuma dowiedział się o tym, kazał mnie przywołać i rzekł: „Bernalu Diazie del Castillo, powiedziano mi, że masz dość tkanin i złota, każę ci dziś dać piękną dziewczynę, obchodź się z nią dobrze, bo jest to córka wybitnego męża, a dodam wam złota i szat”. Odpowiedziałem z wielkim uszanowaniem, że ręce jego całuję za tak wielką łaskę, niech go nasz Pan Bóg błogosławi. Zdaje się, że pytał pazia, co odpowiedziałem, a gdy ten przetłumaczył, Montezuma rzekł: „Zacnej natury wydaje mi się ten Bernal Diaz”. Znał bowiem imiona nas wszystkich.

*

Kiedy nadszedł cały materiał do budowy brygantyn, Korteż powiadomił Montezumę, że chciałby zbudować dwa małe okręty, aby dla rozrywki pływać po jeziorze, prosił, aby rozkazał swoim cieślom ścinać drzewa i pomagać przy budowie naszym majstrom, którymi byli Martin López i Andrés Nuñez. Las dębowy znajdował się o cztery mile stamtąd i co rychlej drzewo zostało ściągnięte i przyciosane. A że było wielu cieśli indiańskich, okręty zostały szybko obetkane i osmołowane, opatrzone olinowaniem i żaglami, stosownie do wielkości i miary, z namiotem na każdym z nich. Wyszły tak doskonałymi żaglowcami, jakby cały miesiąc je modelowano.

Montezuma rzekł Korteżowi, że chciałby udać się do świątyni, aby złożyć ofiary i odprawić nabożeństwo, do jakiego wobec swoich bóstw jest obowiązany. Czyni to też dlatego, że jego wodzowie i dostojnicy, a w szczególności kilku siostrzeńców, co dzień do niego przychodzą, mówiąc, że chcą go uwolnić z więzienia i wystąpić przeciw nam zbrojnie; on im odpowiada, że cieszy się przebywając z nami, niechaj wierzą jego słowom, tak bowiem rozkazał bóg Uichilobos, jak to im już ostatnim razem oznajmił. Korteż, udzielając mu pozwolenia, zastrzegł się, aby nie dopuścił się niczego, co by go narazić miało na utratę życia, aby zaś nie powstało jakieś zamieszanie, a też na wypadek, gdyby on wadzom i kapłanom swoim kazał wystąpić przeciw nam, wysłał oficerów i żołnierzy razem z nim, aby zaraz go zakłuli, ledwie jakąś zmianę w nim dostrzegą. Niech idzie szczęśliwie, ale niech nie zabija na ofiarę nikogo, bo byłby to wielki grzech przeciw naszemu prawdziwemu Bogu, o którym go pouczaliśmy.

Montezuma zapewnił, że nikogo nie zabije. Wyprawił się w bogatej lektyce, w otoczeniu kacyków, jak zwykle z wielkim przepychem, niesiono przed nim insygnia, to jest łaskę, czyli berło, na znak, że przechodzi jego królewska osoba, podobnie jak czynią to wicekrólowie w Nowej Hiszpanii. Ale jako straż szli przy nim czterej nasi oficerowie: Juan Velazquez de Leon, Pedro de Alvarado, Alonso de Avila i Francisco de Lugo, z pięć-

dziesięcioma żołnierzami, a także i ojciec Miłosierdzia, aby przeszkodzić ofierze, jeżeli byłaby z ludzi. Poszliśmy do świątyni Uichilobosa, a kiedy przybyliśmy w pobliże przeklętego przybytku, Montezuma kazał, aby go wyjęli z lektyki i wzięli na ramiona siostrzeńcy i inni kacykowie, którzy go nieśli aż do samej świątyni. Na stopniach najwyższego sanktuarium stali liczni kapłani w oczekiwaniu, aby mu pomóc przy wstępowaniu, a już z poprzedniej nocy leżało zabitych na ofiarę czterech Indian — nie pozostawało nic innego, jak udać, że tego nie widzimy, bowiem cały Meksyk był we wrzeniu, także inne wielkie miasta, za sprawą siostrzeńców Montezumy, jak później opowiem. Po złożeniu ofiary, która nie trwała długo, wróciliśmy z nim do naszej kwatery i był bardzo wesół, a wszystkich żołnierzy, którzy z nim byli, obdarował klejnotami ze złota.

*

Tymczasem obie brygantyny zostały wykończone i spuszczone na wodę, gotowe były wszystkie olinowania i maszty z banderami królewskimi i cesarskimi, gotowi do żeglugi byli także żeglarze — brygantyny mogły się poruszać przy pomocy wiosł i żagli, a majtków mieliśmy doskonałych. Dowiedział się o tym Montezuma i zawiadomił Korteza, że chciałby udać się na polowanie przez jezioro ku pewnej skalistej wysepce, na którą nikomu, nawet najznakomitszym, nie wolno było schodzić pod karą śmierci. Kortez zgodził się, ale przypomniał mu, co dawniej mówił, że za najmniejszy bunt zapłaci życiem. Zobaczy, że na brygantynie pływa się lepiej niż na łodziach i pirogach, choćby największych Montezuma z radością wsiadł na brygantynę najbogatszą w żagle i zabrał z sobą licznych panów i dostojników, na drugiej brygantynie płynęło wielu kacyków i syn Montezumy, strzelcy jego umieścili się w łodziach i pirogach Kortez przykazał Juanowi Velazquezowi don Leon i trzem innym siąść wraz z dwustu żołnierzami i najusilniej zlecił im obowiązek pilnowania Montezumy. A że owi oficerowie byli rozważni i ostrożni, rozmieścili na statkach wszystkich wymienionych żołnierzy i cztery armaty z brązu z całym prochem, jaki posiadaliśmy, oraz z dwoma naszymi artylerzystami, Mesą i Arbengą. Pod namiot pięknie ozdobiony weszli Montezuma i jego dostojnicy. A że wiatr był o tej porze świeży, a marynarze radzi byli zadowolić Montezumę i zrobić mu przyjemność, rozwinęli żagle i manewrowali tak, że mknęliśmy zostawiając daleko za sobą łodzie, w których płynęli łowcy i możni, choć wiosłarzy miały wielu. Radował się Montezuma stwierdzając, że wielkie mistrzostwo było w tym połączeniu wiosł i żagli.

Przybyli do skały, która nie była daleko, i tam zabił, ile chciał, sarną zajęcy, królików, i zadowolony powrócił do miasta. A kiedy zbliżaliśmy się do Meksyku, rozkazali oficerowie wystrzelić z armat, czym wielce

uradował się Montezuma, a kiedy oglądaliśmy go tak szczerym i łaskawym, mieliśmy go w wielkim poszanowaniu, jakie przystoi królom w owych krajach, on zaś odpłacał nam równą miarą.

Pewnego dnia, kiedy było z nim trzech naszych oficerów i kilku żołnierzy, przypadkiem do jednego korytarza wpadł sokół i rzucił się na przepiórkę, bowiem niedaleko domów i pałaców, w których więziliśmy Montezumę, gnieździły się oswojone gołębie i przepiórki. Jeden z oficerów zawołał: „O, jaki piękny sokół, jaki chwytny, i jak piękny ma lot!”

Montezuma zapytał Orteguilla, o czym rozmawialiśmy, ten odpowiedział, że zdaniem owego oficera ten sokół byłby doskonały do polowania i gdybyśmy innego takiego mieli, nauczylibyśmy go siadać na ręce i wypuszczalibyśmy go w polu na inne ptaki, choćby i większe, i zabijałyby je.

Montezuma na to: „Rozkażę przeto schwytać tego właśnie sokoła, a zobaczymy, czy potrafcie go oswoić i polować z nim”.

Wszyscy tam obecni odkryliśmy głowy, aby mu podziękować. Zaraz też kazał przywołać ptaszników i schwytać owego sokoła, tyle trudu sobie zadali, że w godzinę zdrowasiek wrócili z tym samym ptakiem i oddali go Franciskowi de Saucedo, który go pierwszy podziwiał, i ten zaraz założył mu kaptur. Ale niebawem zdarzyły się rzeczy ważniejsze niżli polowanie.

25

Jak krewniacy wielkiego Montezumy zwoływali i pozyskiwali innych książąt, aby przybyli do Meksyku i uwolnili z więzienia wielkiego Montezumę, a nas wypędzili z miasta

Ledwie Cacamatzin, władca miasta Tezcucó, które po Meksyku jest największym i najważniejszym miastem Nowej Hiszpanii, dowiedział się, że stryj jego, Montezuma, jest od dłuższego czasu uwięziony i że we wszystkich sprawach rządzą się jak panowie, a nawet zdołał dowiedzieć się, że otworzyliśmy komnatę, w której znajdował się skarb wielki jego dziada Axayaki, choć nie tknęliśmy niczego, postanowił, zanim ten skarb zagarniemy, zwołać wszystkich panów z Tezcucó — swoich wasalów, a także Coyoacana, swego kuzyna i bratanka Montezumy, oraz władcę Tacuby, władcę Iztapalapy, a także innego bardzo możnego kacyka panującego na Matlacingo, bliskiego krewniaka Montezumy, o którym mówiono, że jemu nawet z prawa należało się królestwo i panowanie nad Meksykiem, a który pomiędzy Indianami słynął z męstwa. Na naradach z nimi i z innymi panami meksykańskimi postanowili, że w oznaczony dzień zgromadzą wszystkie swe siły i zaatakują nas. Ponoć ów dzielny kacyk, którego imienia nie znam, oświadczył, że jeśli oddadzą mu władzę nad Meksykiem, która mu się

z prawa należy, on z całą swojczyzną z prowincji Matlacingo pierwszy zbrojnie wypędzi nas z Meksyku i żaden z nas nie pozostanie przy życiu. Na to Cacamatzin miał odpowiedzieć, że jemu przypada kacykostwo i on ma być królem jako bratanek Montezuma, a jeśliby tamten nie chciał wziąć udziału, bez niego się obejdzie. Cacamatzin podburzył już miasta i władców wymienionych powyżej, ustalono dzień napaści, a wejście do Meksyku mieli ułatwić im wielmoże, którzy w mieście byli jego stronnikami.

O tych znowach dowiedział się dokładnie Montezuma przez swego mężnego kuzyna, który nie chciał zgodzić się ustąpić Cacamatzinowi. Aby się upewnić, Montezuma przywołał wszystkich kacyków i dostojników miasta, którzy wyznali, że Cacamatzin namowami i podarunkami usiłował nakłonić ich, aby mu pomagali w ataku na nas i uwolnieniu stryja. Montezuma, będąc rozważnym, nie chciał widzieć swego miasta wśród walk i zamieszek i doniósł Kortezowi, co się święci. O tych niepokojach wiedział już nasz wódz i my wszyscy, ale nie tak dokładnie. Korteż zaproponował Montezumie, aby mu dał swoich meksykańskich wojowników, a wyprawimy się na Tezcucó, zdobędziemy je i zburzymy miasto i jego okolice. Ale Montezumie nie podobala się ta rada. Wtedy Korteż wysłał do Cacamatzina ostrzeżenie, aby nie występował zbrojnie, bo pociągnie to za sobą jego zgubę, on zaś pragnie uważać go za druha i uczyni wszystko dla niego, czego by potrzebował, i wiele innych uprzejmości. Ale Cacamatzin był młody i znalazł wielu stronników, którzy go podburzali do wojny, więc odpowiedział Kortezowi, że zna dobrze jego uwodne gadania i nie chce nic więcej słyszeć, niebawem sam się zjawi, a wówczas będzie mu mógł prawić, ile zechce. Korteż ponownie wysłał doń, dziwiąc się, że odmawia posłuszeństwa naszemu królowi i panu — zapłaci za to własną osobą i utraci życie. Ale ten odpowiedział, że nie zna żadnego króla, a byłby wolał nie znać Korteza, który swoimi słodkimi słowy omotał jego stryja. Wobec tej odpowiedzi Korteż prosił Montezumę, żeby jako możny władca przeciągnął na swoją stronę krewnych, jakich miał w Tezcucó, i wodzów niechętnych Cacamatzinowi, który był bardzo dumny i nieżyczliwy. Przy Montezumie w Meksyku bawił nawet brat Cacamatzina, młodzieniec bardzo wartościowy, który uciekł z obawy, aby go brat nie zamordował, kiedy objął rządy. Na pewno znajdzie się sposób, aby z pomocą mieszkańców Tezcucó pojmać Cacamatzina. Należy wezwać go potajemnie, a gdy stawi się, uwięzić go i trzymać, dopóki się nie uspokoi. A jako ów młodzieniec przebywa w pałacu i służy Montezumie, należy go zaraz obwołać władcą, a złożyć z tronu Cacamatzina.

Montezuma przyrzekł wysłać wezwanie, ale przeczuwał, że tamten nie zechce się stawić. A jeżeli istotnie tak się stanie, trzeba porozumieć się z wodzami i krewniakami, aby go ujęli.

Korteż podziękował serdecznie za to i rzekł: „Panie Montezuma, możecie mi wierzyć, jeżeli pragniecie wrócić do swych pałaców, od was to

zależy. Odkąd zrozumiałem, że jesteście mi życzliwi, miłuję was i musiałbym nie być sobą, abym was nie odprowadził razem z waszymi wodzami do waszych pałaców. Jeżeli dotąd tego nie uczyniłem, to z powodu moich oficerów, którzy was pojмали i nie chcą was wypuścić. A także dlatego, że wasza miłość samiście oświadczyli, że wolicie zostać w zamknięciu z obawy przed powstaniem, jakie wasi krewniacy chcą wzniecić w mieście, aby wam odjąć władzę i zagarnąć wasze miasto".

Montezuma wyraził swoją wdzięczność, zrozumiał on, jak zwodnicze są słowa Korteza, i że wypowiedział je, nie aby go wypuścić, ale aby go wypróbować. Również jego paż Orteguillo ostrzegł go, aby nie wierzył Kortezowi, wszak właśnie nasi oficerowie doradzili mu jego pojmanie i bez ich zgody Kortez go nie uwolni. Odpowiedział tedy, że woli pozostać w niewoli, zanim dowiemy się, do czego zdąża zmowa bratanków, i że natychmiast wysłał do Cacamatzina, prosząc go, aby się przed nim stawił, chce bowiem pośredniczyć w przyjaźni między nim a nami. O jego uwięzienie niech się *Malinche* nie troszczy, bo gdyby był chciał wyjść, nieraz nadarzyła się ku temu sposobność, sam *Malinche* dwa razy już mówił mu, aby wracał do swoich pałaców, ale on tego nie chce, wypełniając wolę swych bogów, którzy mu polecili pozostać w niewoli, w przeciwnym razie zaraz spotka go śmierć. Dlatego też byłoby dobrze, aby Cacamatzin zawarł przyjaźń z *Malinche* i jego braćmi. Te same słowa wysłał do wodzów z Tezcucó, żeby nie dawali się bałamucić przez takiego młokosa i nie podnosili broni przeciw nam.

Cacamatzin i jego możni odbyli naradę, jak mają postąpić. Cacamatzin zaczął się przechwalać, że do czterech dni nas pozabija, że jego stryj jest niezdarną kurą, jeśli nie napadł na nas, jak mu doradzano, przy zejściu z gór Chalco, i sam wprowadził nas do miasta, jakby można było spodziewać się od nas czegoś dobrego. Obiecywał, że jeśli on obejmie władzę w Meksyku, uczyni ich wielkimi panami, obdaruje licznymi klejnotami złotymi. Niech nie boją się nas, bo wiedzą już, co się działo kilka dni temu w Almerii, gdzie wodzowie tegoż stryja zabili wielu *teules* i konia, i mogli widzieć głowę owego *teula* i zewłok konia. Godzina nie minie, a rozniesie nas, a z ciał naszych wyprawi wspaniałą ucztę i biesiadę.

Opowiadano, że po tej rozmowie wodzowie spojrzeli po sobie, kto by odezwał się pierwszy w sprawie wojny, i czterech czy pięciu rzekło: „Jakże wdawać się w wojnę bez pozwolenia wielkiego Montezumy i ponieść ją do jego własnego domu i miasta. Należy wprzód posłać i uwiadomić go o tym, nie chcemy bowiem być zdrajcami".

Mówią, że Cacamatzin bardzo się rozgniewał na taką odpowiedź wodzów i kazał trzech z nich uwięzić, a jako na tej naradzie byli inni krewniacy i zwolennicy rokoshu, orzekli, że pomagać mu będą aż do śmierci. Postanowił tedy, wysłać do stryja Montezumy, że nie lza mu wchodzić w przyjaźń z kimś, kto wyrządził mu tyle zła i taką zniewagę,

biorąc go w łyka, co nie mogłoby się stać, gdybyśmy nie byli czarownikami i czarami nie pozbawili go odwagi i mocy. W końcu zapowiedział, że przyjdzie wbrew nam i swemu stryjowi, pogada z nami odpowiednio i pozabija nas. Kiedy wielki Montezuma usłyszał tę zuchwałą odpowiedź, wpadł w wielki gniew i natychmiast kazał przywołać sześciu swych najlepszych wodzów. Powierzył im swą pieczęć, a nawet dał kilka klejnotów i rozkazał nie mieszkając udać się do Tezcucó i potajemnie pokazać ową pieczęć pewnym wodzom i kacykom niechętnym Cacamatzinowi dla jego pychy, aby przygotowali się, w jaki sposób pojmać jego i jego doradców i przystawić ich tutaj. Wyprawili się owi wodzowie do Tezcucó, wytłumaczyli posłanie Montezumy, i Cacamatzin, bardzo źle widziany, został wzięty we własnym pałacu, kiedy naradzał się ze zwolennikami nad sprawami wojny. Także przyprowadzono pięciu uwięzionych spiskowców. Miasto sąsiadowało z wielkim jeziorem, więc przygotowano wielką pirogę z namiotem i licznymi wiosłarzami i zawieziono ich do Meksyku.

Ledwie wysiadł na ląd, wsadzono Cacamatzina do bogatej lektyki i ponieważ był panującym — z wielkim uszanowaniem zaprowadzono go przed Montezumę. Ponoć w rozmowie ze stryjem okazał się jeszcze bardziej zuchwały niż przódzi. Montezuma dowiedział się o spisku przygotowanym i o tym, że Cacamatzin dążył do objęcia władzy nad Meksykiem. Dokładniej jeszcze powiadomili go o tym inni więźniowie, którzy z nim przybyli, a jeżeli wprzód był Montezuma zagniewany na swego bratanka, teraz rozsierdził się na dobre. Korteż udał się do komnat Montezumy, aby mu dzięki złożyć, i wydano rozkaz, aby królem Tezcucó wybrany został ów młodzieniec przebywający w otoczeniu wielkiego Montezumy, brat Cacamatzina. Przyjął on imię Cariosa.

Gdy się to stało, kacykowie i królikowie, bratankowie wielkiego Montezumy, panowie z Coyoacan, Iztapalapy, Tacuby, usłyszeli i dowiedzieli się o uwięzieniu Cacamatzina, i o tym, że wielki Montezuma wiedział o ich udziale w spisku. Złękli się i nie zjawili się na dworze z pokłonem, jak czynić zwykli. Za zgodą Korteza, który przekonał i namówił Montezumę, zostali pojmani i przykuci do wielkiego łańcucha, ku naszemu i naszego wodza zadowoleniu.

Jak wielki Montezuma wraz z licznymi kacykami i naczelnikami okolicznymi uznał zwierzchność Jego Królewskiej Mości, o poszukiwaniu kopalń złota, jak Kortez polecił Montezumie, by rozkazał kacykom całego państwa złożyć daninę w złocie dla Króla Jegomości, i jak dzielono złoto

Teraz opowiem o rozmowie, jaką miał Montezuma ze wszystkimi kacykami swego państwa, których kazał przywołać. Przy tej rozmowie nie był obecny ani Kortez, ani nikt z nas, wyjąwszy pazia Orteguillo. Montezuma mówił, że od wielu, wielu lat wiedziano i za pewne miano, bowiem przodkowie ich tak przepowiedzieli i tak stoi zapisane w ważnych kronikach, że od wschodu słońca mają przybyć ludzie, którzy zapanują nad tą ziemią, wówczas skończy się panowanie i królestwo Meksykanów. Zrozumiał wedle tego, co mu rzekli bogowie, że to my jesteśmy. Pytali o to Uichilobosa kapłani i składali mu ofiary, ale ten nie chciał odpowiedzieć, co najwyżej dał do zrozumienia, że to, co mówił tyle razy, niech im za odpowiedź starczy i niech go nie pytają więcej. Zrozumieli tedy, że powinni uznać zwierzchność króla Kastylii, którego wasalami są owi *teules*, czyli my. „W tej chwili niczego innego dorozumieć się nie można, a z biegiem czasu zobaczymy — jeśli uzyskamy lepszą odpowiedź od naszych bogów, to do niej się zastosujemy. Wobec tego proszę i rozkazuję, abyśmy wszyscy z dobrej woli na razie oddali mu hołd i dali jakiś dowód poddaństwa. Powiem wam niebawem, co nam czynić przystoi, obecnie nalega o to na mnie *Malinche*, niechaj nikt nie odmawia, zważcie, że podczas osiemnastu lat mego panowania zawsze byliście mi wierni i że wzbogaciłem was, i powiększyłem wasze ziemie, rozdałem wam dowództwa i dobra, a jeśli teraz nasi bogowie pozwalają, bym tu był więziony, dzieje się to z woli Uichilobosa, jak wam tyle razy mówiłem”.

Wysłuchawszy tej przemowy, wszyscy odpowiedzieli, że spełnią, co rozkaże, płakali przy tym i wzdychali, a Montezuma najbardziej. Zaraz też posłał uwiadomić przez jednego z wielmożów, że nazajutrz złoży hołd i uzna zwierzchność Jego Królewskiej Mości, było to w 1519 roku. Złożyli hołd z oznakami smutku i Montezuma nie mógł powstrzymać łez.

Miłowaliśmy go z całego serca i kiedy widzieliśmy go płaczącego, oczy nasze wilgotniały i byli żołnierze, którzy równie serdecznie płakali, jak Montezuma.

*

Kortez oraz inni oficerowie, rozmawiając z Montezumą, pytali, w której stronie znajdują się kopalnie, w jakiej rzece i w jaki sposób pobierają złoto ziarniste, bo chcieliby wysłać dwóch żołnierzy, doskonałych górni-

ków, aby to zwiedzili. Montezuma objaśnił ich, że w trzech okolicach zwykli najwięcej złota pobierać: w prowincji zwanej Zacatula, położonej na wybrzeżu południowym, odległej od Meksyku o dziesięć lub dwanaście dni drogi. Pobierają złoto za pomocą miseczek zwanych *xicales* i po splukaniu ziemi pozostają drobne ziarenka; obecnie wydobywają je w innej prowincji zwanej Tustepeque z dwóch rzek, niedaleko miejsca, gdzie wylądowaliśmy na wybrzeżu północnym. W pobliżu tej prowincji znajdują się inne dobre kopalnie w okolicach, które jemu nie podlegają, zwanych Chinantecas i Zapotecas — jeżeli Kortez chce tam wysłać swoich żołnierzy, da mu urzędników, którzy im będą towarzyszyć. Kortez podziękował i zaraz wysłał pilota nazwiskiem Gonzalo de Umbria z dworna żołnierzami górnikaми w okolice Zacatuli. Na wybrzeże północne wysłał na zwiady oficera nazwiskiem Pizarro, młodzieńca dwudziestopięcioletniego, którego uważał za krewniaka. W owym czasie nie zwano jeszcze Peru i nie było mowy o Pizarrach w tej ziemi.

Kiedy wyjeżdżali do kopalń, wielki Montezuma dał naszemu wodzowi wielkie płótno z pity, na którym były wymalowane i zaznaczone wszystkie rzeki i przystanie wybrzeża północnego, od Panuco do Tabasco, na przestrzeni stu czterdziestu mil. Była tam zaznaczona rzeka Guazacualco, a że myśmy znali wszystkie porty i przystanie — zaznaczone na płótnie ofiarowanym przez Montezumę — z czasów kiedy odkryliśmy je z Grijalwą, z wyjątkiem owej rzeki Guazacualco, o której mówiono, że jest bardzo potężna i głęboka, Kortez postanowił wysłać ludzi dla spenetrowania portu i ujścia. Jeden z naszych oficerów, nazwiskiem Diego de Ordaz, już przeze mnie wspomniany, człek bardzo mądry i dzielny, zgłosił się na ochotnika. Montezuma uprzedził go, że dorzecze Guazacualco nie należy do jego państwa, zamieszkane jest przez lud bardzo wojowniczy, niech rozważy więc, co czyni, i gdyby go coś złego spotkało, niech nie wini go; zanim wejdzie do tej prowincji, niech porozumie się z garnizonami, które tam trzyma na granicy, i w razie potrzeby niech tych żołnierzy ze sobą zabierze.

*

Pierwszy powrócił do miasta Meksyku zdać sprawę Kortezowi Gonzalo de Umbria z towarzyszami. Przynieśli ponad trzysta pesos w ziarnistym złocie, wydobytym w miejscowości zwanej Zacatula, przyprowadzili również naczelników tamtejszych, przysłanych przez ową prowincję z darem w złocie i klejnotach wartości dwustu pesos, aby ofiarować je sługom Jego Królewskiej Mości.

Diego de Ordaz zwiedził rzekę Guazacualco, odległą o sto dwadzieścia mil od Meksyku, i opowiadał o bardzo wielkich miastach, gdzie wszyscy przyjmowali go z honorami, i że w drodze do Guazacualco spotkał od-

działy Montezumy na granicy, a cała okolica skarżyła się na nie z powodu rabunków i porywania kobiet oraz żądania nadzwyczajnych danin. Skoro kacyk owej prowincji, nazwiskiem Tochel, dowiedział się o zbliżaniu naszych, wysłał swych wielmożów na ich spotkanie; przyjęli nas serdecznie, bowiem wszystkie te prowincje już miały wiadomość o nas od czasu, kiedy odkryliśmy je pod Juanem de Grijalva.

Kiedy kacykowie Guazacualco dowiedzieli się, o co chodzi, dali nam liczne i wielkie łodzie i sam kacyk Tochel z innymi dostojnikami sondowali ujście tej rzeki; obdarowali oni Ordaza klejnotami ze złota i dali mu jedną piękną Indiankę, a uznając się za poddanych Jego Królewskiej Mości, skarżyli się na Montezumę i jego garnizony. Ordaz obdarzył ich kryształkami kastylskimi, które w tym celu zabrał, i powrócił do Meksyku przyjęty radośnie przez Korteza i nas wszystkich.

Pozostawmy Ordaza i opowiedzmy o oficerze Pizarro i jego towarzyszach, którzy udali się na poszukiwanie złota i kopalni do Tustepeque. Wrócił Pizarro z jednym żołnierzem zdać sprawę Kortezowi. Przynieśli ponad tysiąc ziaren złota wydobytych z kopalni i opowiedzieli, że w prowincjach Malinaltepeque i innych osadach pogranicznych udali się nad rzekę, gdzie ludzie oddali im trzecią część złota tam dobywanego, potem dotarli głębiej, aż do gór w prowincji o nazwie Chinantecas, a kiedy się tam zbliżyli, wyszło wielu Indian zbrojnych, z dzidami dłuższymi od naszych, z łukami, strzałami i tarczami; zapowiedzieli, że żaden Meksykanin nie wejdzie do ich kraju, bo go zabiją, natomiast *teules* mogą wejść szczęśliwie; tak się stało — Meksykanie pozostali, a my poszliśmy dalej. Ledwie kacykowie Chinantecas dowiedzieli się o naszym zbliżaniu, dali nam znaczną liczbę ludzi do płukania złota. Wszyscy owi kacykowie bardzo źle wyrażali się o Meksykanach, którzy z powodu swych rabunków tak byli znienawidzeni w tych prowincjach, że nie chcieli ich tam widzieć ani słyszeć ich imienia.

*

Ponieważ kapitan Diego de Ordaz i inni żołnierze wspomniani wrócili z próbkami złota i sprawozdaniem, że cały kraj jest bogaty, Korteza postanowił zwrócić się do Montezumy i prosić go, aby wszyscy kacykowie i wszystkie szczepy w kraju złożyły daninę Jego Królewskiej Mości, zaś on sam, jako wielki mocarz, również powinien coś niecoś użyczyć ze swego skarbu.

Po dwudziestu dniach wrócili dostojnicy wysłani przez Montezumę w celu zebrania daniny w złocie, a wówczas przywołano Korteza i naszych oficerów oraz kilku żołnierzy, i Montezuma złożył takie czy tym podobne oświadczenie: „Oświadczam wam, panie *Malinche*, i wam, panowie ofice-

rowie i żołnierze, że czuję się zobowiązany wobec waszego wielkiego króla i sprzyjam mu zarówno dlatego, że jest wielkim mocarzem, jak dlatego, że on musi być tym, który ma nad nami zapanować wedle tego, co nam przepowiedzieli nasi przodkowie, a nawet nasi bogowie przez swe odpowiedzi dali do poznania. Weźcie to złoto zebrane — zbyt wielki pośpiech nie pozwolił zebrać go więcej. Osobiście przygotowałem dla cesarza cały skarb odziedziczony po moim ojcu, który znajduje się w waszej mocy i w waszym domu. Wiem dobrze, że zaraz po przybyciu tutaj otworzyliście komnatę, oglądaliście wszystko i na powrót zamknęliście ją, jak przódzi była. Kiedy mu to prześlecie, napiszcie w waszych listach: to wam przysłał wasz prawy wasal Montezuma. Dam wam również kilka drogich, bardzo cennych kamieni, abyście mu posłali w moim imieniu, są to *chalchiuis*; nie mogą one być przeznaczone dla nikogo innego, tylko dla waszego wielkiego władcy, a każdy kamień wart dwie wagi złota. Chcę mu też posłać trzy wyrzutniki z ich pokrowcami i sznurami, wysadzone taką ilością drogich kamieni, że uraduje się ich widokiem. Chcę też dorzucić coś z własnego mienia, choć tego niewiele, bowiem prawie wszystko złoto i klejnoty, jakie posiadałem, wam rozdałem".

Słuchając tych słów, Kortez i my wszyscy byliśmy zdumieni niezwykle dobrocią i szczodrobliwością wielkiego Montezumy. Z uszanowaniem zerwaliśmy kapelusze z głowy i rozplynęliśmy się w podziękowaniach. Kortez w serdecznych słowach przyrzekł napisać do Króla Jegomości o wspaniałomyślności i szczodrości, z jaką Montezuma ofiarował za naszym pośrednictwem owo złoto królowi. Po czym Montezuma wysłał swoich majordomo, aby wydobyli i oddali do naszej dyspozycji cały skarb w złocie i kosztownościach, znajdujący się w zamkniętej komnacie. Trzeba było trzech dni, aby je oglądnąć i wydobyć z oprawy, do której to roboty przybyli złotnicy Montezumy z miasta Escapuzalco. Całe złoto zostało stopione w sztaby szerokości trzech cali każda. Po czym wybraliśmy dla siebie dary spośród kosztowności przyrzeczonych przez Montezumę.

Całe to złoto zostało oznaczone żelazną pieczęcią, którą kazał zrobić Kortez i komisarze królewscy mianowani przez niego, nie wyciśnięto tylko pieczęci na bogatych klejnotach, zbyt pięknych, aby były rozebrane. Ponieważ do zważenia tych wszystkich sztab złota i srebra oraz klejnotów nie posiadaliśmy ani odważników, ani wagi, Kortez i komisarze dobra cesarskiego uważali, że należy zrobić z żelaza odważniki wagi jednej arroby, inne pół arroby, dwóch funtów i pół funta, czterech uncji albo inne, nie tyle, aby ważyć dokładnie, ale choćby o pół uncji mniej lub więcej na każdym ładunku. Komisarze królewscy orzekli, że tego złota w sztabach, w ziarnach kopalnych, w płytach i klejnotach było więcej niż na sześćset tysięcy pesos, nie licząc srebra i licznych innych klejnotów. Niektórzy żołnierze mówili, że było tego znacznie więcej. Nie pozostawało już nic innego, jak odliczyć królewszczyznę (to jest część piątą)

i należne części oddać każdemu oficerowi i żołnierzowi, nie pomijając tych, którzy zostali w Villa Rica. Korteż robił starania, aby podział odwlec, aż będzie więcej złota i lepsze odważniki, i podawał rozmaite racje. Ale większość żołnierzy i oficerów sprzeciwiła się temu, żądaliśmy natychmiastowego podziału, bowiem spostrzeżliśmy, że kiedy rozbierano klejnoty ze skarbcza Montezumy, było w stosach znacznie więcej złota i że znikła jedna trzecia, którą usunęli i zabrali Korteż i oficerowie, a także brat Miłosierdzia, i stosy się stale zmniejszały. Po licznych sporach zważono to, co pozostało, a było tego ponad sześćset tysięcy pesos, nie licząc klejnotów i płytek, i nazajutrz miano to podzielić.

*

Najpierw wydzielono królewszczyznę, to znaczy piątą część, wtenczas Korteż zażądał, aby i jemu wydzielono część piątą, jak Jego Królewskiej Mości, tak bowiem przyrzekliśmy w Arenal, kiedy wybraliśmy go naczelnym wodzem i najwyższym sędzią. Po czym jeszcze zażądał zwrotu kosztów poniesionych na Kubie na wyposażenie wyprawy, prócz tego żądał, aby wydzielono z całości koszty poniesione przez Diega Velazqueza na okręty, które zatopiliśmy, w czym wszyscy braliśmy udział, ponadto dla prokuratorów wysłanych do Kastylii, a także dla tych, którzy pozostali w Villa Rica, a było ich siedemdziesięciu, również za zabitego konia i za klacz Juana Sedeño, zakłutą przez Tlaxcalczyków, potem dla brata Miłosierdzia i dla księdza Juana Diaza, dla muszkieterów i kuszników również, potem dla innych darmożjadów, tak że niewiele pozostało. Wobec tego wielu żołnierzy oświadczyło, że tego nie przyjmą, przeto wszystko zagarnął Korteż. Ale w owym czasie mogliśmy tylko milczeć, bo na próżno żądalibyśmy sprawiedliwości przeciw niemu. Inni żołnierze swoją część wzięli, było tego sto pesos, i domagali się reszty, Korteż tedy potajemnie temu i owemu dawał coś w drodze łaski, aby ich zadowolić, i w serdecznych słowach wzywał do cierpliwości. Część przypadającą na ludzi z Villa Rica kazał wywieźć do Tlaxcali, aby jej tam pilnowano, ale i ta rozdzielona była niesprawiedliwie, jak o tym jeszcze w stosownym czasie powiem.

Kiedy doszło do Korteza, że wśród żołnierzy panuje niezadowolenie z powodu rozdziału złota i okradania stosów, postanowił wygłosić przemówienie w miodowych słowach, zapewniał, że wszystko, co posiada, jest dla nas, że nie chce on swojej kwinty, tylko część, która mu przypada jako naczelnemu wodzowi, że jeśli ktoś potrzebować będzie, on mu da, zaś złoto, które otrzymaliśmy, jest tylko zadatkiem — popatrzmy, jak wielkie miasta tu są i bogate kopalnie, wszyscy będziemy ich właścicielami, bardzo zamożnymi i bogatymi. I wiele jeszcze innych słów zręcznie powiedział tak, jak to on umiał.

*

Jak to zwyczajnie bywa, wszyscy ludzie pożądamy złota i niektórzy, im więcej go mają, tym więcej go pragną. Zauważono, że braknie licznych przedmiotów złotych w stosach, a równocześnie Juan Velazquez de Leon kazał złotnikom Montezumy z Escapuzalco robić wielkie złote łańcuchy oraz różne naczynia dla siebie. Gonzalo Mexia, który był skarbnikiem, zażądał potajemnie od niego, aby mu dał kilka, nie były bowiem zliczone i zapewne musiały być z tych, które dał mu Montezuma: Juan Velazquez de Leon, który był zaufanym Korteza, odpowiedział, że nie ma zamiaru nic dawać, nie zabrał z tego, co zostało przyznane innym, ani znikąd, tylko że Kortez mu je dał, zanim stopiono sztaby. Gonzalo Mexia rzekł, że dość już Kortez zabrał i ukrył przed towarzyszami, teraz on, skarbnik, żąda dużo złota. I od słowa do słowa przyszło do kłótni i wyciągnęli szpady. Gdybyśmy ich nie byli uspokoiłi, obaj straciliby życie, byli to bowiem bardzo sprawni i dzielni szermierze, i tak wyszli obaj z jedną albo z dwiema ranami.

Kiedy Kortez dowiedział się o tym, kazał zakuć obu wielkim łańcuchem, ale jak mówiło wielu żołnierzy, zdaje się, że potajemnie porozumiał się z Juanem Velazquezem de Leon, jako że był jego wielkim przyjacielem, że wypuści go po dwóch dniach, tymczasem zaś zwolnił Gonzala Mexię jako skarbnika; postąpił tak, abyśmy wszyscy oficerowie i żołnierze widzieli, jak jest sprawiedliwy, i choć Juan Velazquez był najbliższym przyjacielem jego, trzyma go w więzach.

Tegoż dnia Kortez poszedł pokłonić się Montezumie, a ten zapytał, dlaczego zakuł w łańcuchy Juana Velazqueza, tak zacnego oficera i tak dzielnego, bowiem Montezuma, jak już powiedziałem, znał dobrze nas wszystkich i nawet nasze zalety. Kortez odpowiedział, że był on pomyłony, czyli wariat, i dlatego, że nie dano mu dosyć złota chciał wyprawić się na osady i miasta Montezumy i zażądać złota od kacyków. Przeto z obawy, aby kogoś nie zabił, wziął go w łyka. Montezuma odpowiedział, że prosi, aby go wypuścił, on zaś wyśle go na poszukiwanie złota i doda mu jeszcze ze swego. Kortez udał, że czyni to wbrew woli, a jedynie aby przypodobać się Montezumie. Zdaje mi się, że skazał go na wygnanie z królestwa do miejscowości Cholula, gdzie udał się z wysłańcami Montezumy, żądając złota. Wpierw jednak pogodzili się Juana Velazquez de Leon i Gonzalo Mexia. Zauważyłem, że po sześciu dniach powrócił ze swego wygnania z mnóstwem złota. Przytaczam to tutaj dla pamięci, aby poznano, że Kortez pod pozorem wymierzania sprawiedliwości, aby nas trzymać w postrachu, był jednak bardzo podstępny.

Jak wielki Montezuma oddał Kortezowi jedną ze swych córek i jak ją wszyscy czcili, jak wielki Montezuma potem radził Kortezowi, naszemu wodzowi, aby opuścił Meksyk, bo wszyscy kacykowie i kapłani chcą się zbuntować i wszcząć z nami wojnę.

Pewnego dnia rzekł Montezuma do Korteza: „*Malinche, Malinche*, tak was miłuję, że chcę wam dać jedną z mych córek, bardzo piękną, abys ożenił się z nią i uważał ją za prawowitą małżonkę”.

Kortez zdjął czapkę w podzięcie, mówiąc, że wielka to łaska, ale on jest żonaty, ma już żonę, a my nie możemy mieć więcej niż jedną. Będzie ją szanował tak, jak na to córka wielkiego monarchy zasługuje, ale niech zostanie chrześcijanką, jak inne damy, córki wodzów. Montezuma zgodził się i stale okazywał nam życzliwość, ale nie zaprzestawał swoich ofiar i zabijania ludzi. Kortez wymawiał mu to, ale nic nie uzyskał.

Pewnego dnia, zabrawszy ze sobą siedmiu oficerów i żołnierzy, udał się Kortez do pałacu, w którym zamknięty był Montezuma, i rzekł: „Panie, tylekroć mówiłem już waszej miłości, abyście nie zabijali Indian na ofiarę tym waszym bożkom, którzy was oszukują, a wy nie chcecie tak postąpić. Chcę was powiadomić, że wszyscy moi towarzysze i oficerowie, którzy ze mną przyszli, proszą o łaskę, abys pozwolił wyrzucić precz bożki, a umieścić tam Naszą Panią Maryję Świętą. Nie chciałbym, abys odmówił, bo moi żołnierze mogliby przy tym zabić kilku kapłanów”. Ledwie Montezuma to usłyszał i ujrzał wzburzenie oficerów, rzekł: „O *Malinche*, chcesz tedy zgubić nas i całe miasto! Bowiem bogowie nasi są bardzo rozgniewani na was, a nawet nie wiem, czy nie nastają na wasze życie. Błagam was, żebyście w tej chwili pozwolili mi zwołać wszystkich kapłanów, zobaczę, jaka będzie ich odpowiedź”.

Na te słowa Kortez, pod pozorem, że chce się na osobności porozumieć z Montezumą, kazał wszystkim oficerom wyjść i zostawić ich samych. Kiedy opuścili salę, powiedział do Montezumy, że aby się ta rzecz nie rozniosła i nie wywołała niepokojów, aby kapłani nie przyjęli tego źle, on rozmówi się z naszymi oficerami, niech tego nie czynią, a tylko w jednej komnacie wielkiej świątyni niech ustawią obraz Matki Bożej i krzyż, a z biegiem czasu zobaczą wszyscy, jak to jest pożyteczne i dobre dla dusz, dla ich zbawienia, dla dobrych plonów i pomyślności.

Montezuma, wzdychając, z miną bardzo smutną odpowiedział, że pomówi z kapłanami. W końcu po wielu rozprawach stało się to. Ustawiony został nasz ołtarz w pewnym oddaleniu od ich przeklętych bożków, a na nim obraz Panny Najświętszej i krzyż. Tam nasz wódz kazał stanąć na straży pewnemu staremu żołnierzowi i prosił Montezumę, aby kapłanom

nie pozwolił tykać ołtarza, chyba dla palenia kadzideł i ustawiania świec płonących dniem i nocą oraz ozdabiania go kwiatami.

*

Jak zawsze i stale, nie brakło nam wzruszeń, i to takich, w których bylibyśmy życie położyli, gdyby nie poratował nas Bóg, Nasz Pan. Stało się, że kiedy ustawiliśmy w wielkiej świątyni ołtarz Najświętszej Panny i krzyż, przy którym czytano Ewangelię świętą i odprawiano mszę, mieli Uichilobos i Tezcatepuca przemówić do kapłanów i oznajmić, że chcą opuścić kraj, są bowiem srogo znieważani przez *teules*, i nie chcą przebywać tam, gdzie stoją te obrazy i krzyż. Nie pozostaną, jeżeli nie będziemy uśmierceni — to jest ich jedyna odpowiedź, niech nie starają się otrzymać innej i niech zaraz zażądają od Montezumy i wszystkich jego wodzów, aby natychmiast rozpoczęli walkę i nas wymordowali.

Mówił im dalej bożek, niechaj zważą, że złoto przeznaczone na ich chwałę myśmy zagrabili i przetopili na sztaby, niech zważą, że zachowujemy się jak władcy na tej ziemi i trzymamy w więzach pięciu wielkich kacyków, oraz prawiliśmy inne tym podobne niegodziwości, aby ich pobudzić do wydania nam wojny. Pragnąc Korteza i nas wszystkich o tym powiadomić, Montezuma posłał po Korteza, chciał bowiem mówić z nami o rzeczach blisko nas obchodzących. Przyszedł paż Orteguillo i powiedział, że Montezuma bardzo jest wzburzony i smutny, bo przez tę noc i część dnia było u niego wielu kapłanów, wodzów i dostojników, potajemnie się z nim naradzali, tak że paż nic słyszeć nie mógł. Kortez na tę wieść udał się natychmiast do pałacu, gdzie mieszkał Montezuma, i zabrał ze sobą Cristobala de Olid, dowódcę gwardii, oraz czterech innych oficerów, donę Marinę i Aguilara.

Kiedy oddali pokłon Montezumie, odezwał się on w ten sposób: „O, panie *Malinche*, panowie oficerowie, jakże przykra jest mi odpowiedź i rozkaz, jaki dali nasi bogowie kapłanom i wszystkim moim wodzom! Brzmi ona, ażebyśmy napadli was i wymordowali, i wypędzili hen, za morze. Rozważyłem to i zdaje mi się, że zanim rozpoczną się kroki wojenne, musicie co rychlej wyjść z mego miasta, niechaj żaden z was tutaj nie zostanie. To, panie *Malinche*, mówię wam, musicie spełnić w jakikolwiek sposób, który wam odpowiada, jeżeli nie mają was stracić. Zważcie, tu chodzi o wasze życie!”

Kortez i nasi dowódcy zatroskali się i zaniepokoiли, nic dziwnego, była to rzecz tak nowa, a tak stanowcza. Musiało wielkie niebezpieczeństwo zagrażać naszemu życiu w tej chwili, jeżeli ostrzegano nas tak jawnie. Kortez wyraził swą wdzięczność za ostrzeżenie, ale obecnie dwie rzeczy sprawiają mu troskę: nie posiada okrętów, aby odpłynąć, kazał bowiem

zniszczyć te, które nas przywiozły, a po drugie, że z konieczności będzie musiał Montezuma pójść z nami, aby go oglądał nasz cesarz. Prosi o łaskę, aby dopóki my nie zbudujemy trzech okrętów na wybrzeżu, powstrzymał kapłanów i wodzów. Dla nich najkorzystniejsze będzie, jeżeli odjedziemy, bo gdyby wszczęli z nami boje, zginęliby wszyscy. Potem dodał, że aby Montezuma przekonał się, że jesteśmy gotowi zrobić, co on każe, niech poleci swoim dwóm cieślom pójść z naszymi żołnierzami, wielkimi mistrzami w budowie okrętów, i ściąć drzewa w okolicy wybrzeża. Montezuma zasmucił się jeszcze bardziej, usłyszawszy od Korteza, że będzie musiał jechać z nami do cesarza, i przyrzekł, że przydzieli cieśli — niechaj się pośpieszą, dość już słów, niech nastąpią czyny. On zaś poleci kapłanom i wodzom, aby nie starali się podjudzać miasta.

Po tych słowach, bardzo burzliwych, Kortez i oficerowie pożegnali Montezumę; wszyscy byliśmy w śmiertelnej trwodze, oczekując każdej chwili napaści. Kortez kazał przywołać cieśli okrętowych, którymi byli Martin Lopez i Andrés Nunez, aby z cieślami indiańskimi, przysłanymi przez Montezumę, natychmiast wzięli się do roboty, wyznaczył też port, w którym okręty mają być zbudowane. Tam, w Villa Rica, znajdował się cały materiał żelaza, lin, paku i smoły, a także kowale.

Zostawmy ich przy budowie okrętów, a powiedzmy, w jakim usposobieniu byliśmy w tym wielkim mieście: zatroskani, spodziewając się z godziny na godzinę napaści, o czym nasi sprzymierzeńcy i doña Marina także ostrzegali wodza; Orteguillo, paż Montezumy, ciągle płakał, a my, mając się na baczności, stróżowaliśmy, przy Montezumie. Nie będę powtarzał tylekroć, że dzień i noc nie zdejmowaliśmy pancerzy, napierśników i nagolenników, ale w nich spaliśmy; trza rzec, gdzie spaliśmy: na nasze łoża składało się trochę słomy i mat, kto miał kawał płótna, rozścielał pod sobą. Tak więc spoczywaliśmy, obuci i uzbrojeni wszelakiego rodzaju bronią, przy koniach osiodłanych i trzymany na wodzy, gotowi chwycić za broń, jakbyśmy mieli w tej chwili stanąć na pozycji. Każdej nocy wszyscy żołnierze zmieniali się na warcie.

Jeszcze o czym innym chcę powiedzieć nie chępiąc się: tak się przyzwyczaiłem do chodzenia w zbroi i spania, jak wspomniałem, że od zdobycia Nowej Hiszpanii mam zwyczaj sypiania w odzieniu i bez łóżka, a śpię lepiej niż na puchach. Dodam, że mogę spać tylko przez część nocy, wstaję, patrzę na niebo, na gwiazdy, przechadzam się na powietrzu, nie wkładając na głowę ani czapki, ani chusty, i, dzięki Bogu, zdrów jestem.

Jeśli o tym mówię, to dlatego, aby wiadano, jakie życie pędziliśmy, my, prawdziwi konkwistadorzy, i jak byliśmy przyzwyczajeni do broni i do czuwania.

Księga siódma

WYPRAWA NARVAEZA. ŚMIERĆ MONTEZUMY

28

Jak Diego Velazquez, gubernator Kuby, wysłał wielką wyprawę pod wodzą Panfila de Narvaez przeciw Kortezowi

Zawróćmy nieco wstecz naszej opowieści, aby lepiej zrozumiano, co tu podam.

Diego Velazquez, gubernator Kuby, dowiedział się, że wysłaliśmy własnych prokuratorów do Króla Jegomości z całym uzyskanym złotem, słońcem, księżycem i najrozmaitszymi klejnotami oraz z piaskiem złotym, wydobytym w kopalni, i wieloma innymi przedmiotami, o niczym go nie powiadomiwszy. Dowiedział się również, że don Juan Rodriguez de Fonseca, biskup Burgos, przewodniczący Rady Indii, sprawujący rządy absolutne w czasie nieobecności Jego Królewskiej Mości, który bawił we Flandrii, bardzo źle przyjął naszych prokuratorów. Mówiono też, że w tym czasie z Kastylii wysłał liczne odznaczenia Diegowi Velazquezowi oraz rozkazał mu dołożyć wielkich starań, aby nas uwięzić, on zaś udzieli mu najpełniejszego poparcia. Wobec takich zapewnień Diego Velazquez wystawił armadę z dziewiętnastu okrętów i tysiąca czterystu żołnierzy, z dwudziestoma działami i znacznym zapasem prochu oraz wszelkiego rodzaju kamieni i kul, z dwoma artylerzystami, osiemdziesięciu konnymi, dziewięćdziesięciu kusznikami i siedemdziesięciu muszkietierami. Choć był bardzo otyły i ciężki, osobiście krążył po Kubie z miasta do miasta, od wsi do wsi, aby zaopatrzyć armadę i pozyskać stronników posiadających licznych Indian, zachęcając, aby udali się z Panfilem de Narvaez w celu ujęcia Korteza oraz nas wszystkich, jego oficerów i żołnierzy, a co najmniej — aby żadnego z nas nie zostawili przy życiu.

Gdy się o tym dowiedziano w Trybunale Królewskim w San Domingo, mając w pamięci liczne i wielkie zasługi, jakie oddaliśmy sprawie Bożej i Jego Królewskiej Mości, postanowiono wysłać licencjata Lucasa Vazqueza de Ayllon, audytora przy tym Trybunale, aby powstrzymał flotę Diega

Velazqueza i pod groźbą surowych kar nie pozwolił jej dalej płynąć. Ale wszystkie groźby i przedstawienia były daremne. Skoro audytor to spostrzegł, postanowił towarzyszyć Narvaezowi, aby pośredniczyć w porozumieniu i pokoju między Kortezem i Narvaezem.

*

Kiedy Panfilo de Narvaez z całą armadą złożoną z dziewiętnastu okrętów wypłynął na morze, w pobliżu wybrzeży San Martin uderzył weń wichur pólnocny, częsty w tamtych stronach, i nocą jeden z okrętów niewielkiej wyporności zatonął wraz z kapitanem i ludźmi. Reszta floty przybiła do San Juan de Ulua i wieść o jej przybyciu rozeszła się po kraju.

Doszła i do żołnierzy wysłanych przez Korteza na poszukiwanie złoża złota i trzech z nich udało się do okrętów Narvaeza, a stanąwszy przed nim, mieli wzniesć ręce dziękując Bogu za uwolnienie spod władzy Korteza i za to, iż szczęśliwie wyszli z miasta Meksyku, gdzie każdego dnia spodziewali się śmierci. Powiedzieli Narvaezowi wiele więcej, niżli sobie życzył: że o osiem mil stamtąd zostało założone miasto zwane Villa Rica de la Vera Cruz, że dowódcą jego jest Gonzalo de Sandoval z siedemdziesięciu żołnierzami, że wszyscy są starzy i chorzy, i że gdyby wysłał przeciw nim pewną siłę, zaraz by się poddali, oraz inne tym podobne rzeczy.

Rychło też i Montezuma dowiedział się, że w porcie stoją okręty z licznymi oficerami i żołnierzami, i potajemnie, aby się Kortez nie spostrzegł, wysłał swoich dostojników do Narvaeza, rozkazał udzielić mu żywności i obdarzyć złotem i tkaninami, a na pobliskie miejscowości nałożył obowiązek zaopatrywania tych okrętów. Narvaez w swoim posłaniu do Montezumy nie szczędził zarzutów i oszczerstw przeciw Kortezowi i nam wszystkim, oświadczając, że jesteśmy zbrodniarzami, którzy zbiegli z Kastylii bez pozwolenia naszego króla i pana, a ten, dowiedziawszy się o naszym tu pobycie, o naszych niegodziwościach i rabunkach, jakich dopuszczaliśmy się, o uwięzieniu Montezumy, aby zapobiec dalszym nadużyciom, wysłał Narvaeza z owymi okrętami, żołnierzami i końmi, aby go uwolnić z więzienia oraz ująć Korteza i nas wszystkich jako złoczyńców, i albo nas stracić, albo na owych okrętach wysłać do Kastylii, abyśmy tam karę śmierci ponieśli.

Montezuma, dowiedziawszy się o tym, bardzo się owymi wieściami uradował, a kiedy opowiedziano mu, że mają tyle okrętów, koni, armat, muszkietów i kusz oraz tysiąc czterystu żołnierzy, pewny był, że im nie ujdziemy, kiedy zaś jego dostojnicy ujrzeli naszych trzech żołnierzy u boku Narvaeza, którzy najgorzej wyrażali się o Kortezie, uwierzył tedy pewnie we wszystko, co mu Narvaez kazał powiedzieć.

Cała armada została wymalowana jak żywa na płótnie i Montezuma Posłał Narvaezowi liczne dary w złocie i tkaninach oraz rozkazał osiedlom

sąsiednim zaopatrywać Narvaeza w żywność. Od trzech tedy dni wiedział Montezuma, a o niczym nie wiedział Kortez. Pewnego dnia, kiedy nasz wódz udał się do pałacu z wizytą, po zwyczajnych uprzejmościach uderzyła Korteza wesołość i dobry wygląd Montezumy i zapytał go, czy tak dobrze się czuje, jak jego wygląd wskazuje. Montezuma odpowiedział, że jeszcze znacznie lepiej.

Ale kiedy Kortez odwiedził go powtórnie tego samego dnia, zląkł się, mniemając, że Kortez dowiedział się o przybyciu okrętów, i aby go uprzedzić i odsunąć od siebie podejrzenia, rzekł: „Panie *Malinche*, właśnie przyszli do mnie wysłańcy z oznajmieniem, że osiemnaście okrętów czy więcej przybiło do portu, w którym wyście na ląd wysiedli: jest tam wiele ludzi i koni — wszystko wymalowano na tkaninie — a żeście mnie odwiedzili dzisiaj po raz drugi, mniemałem, że chcecie mnie o tym powiadomić. Teraz nie potrzebujecie budować okrętów. Byłem nawet nieco zagniewany, że kryjecie to przede mną, ale z drugiej strony ucieszyłem się z przybycia waszych braci, powrócicie razem do Kastylii i nie będzie więcej o tym mowy”.

Kortez usłyszawszy wieść o okrętach i ujrzawszy malowidło na płótnie, uradował się ogromnie i rzekł: „Bogu dzięki za pomoc we właściwej chwili!”

My, żołnierze, byliśmy uradowani, że nie mogliśmy ustać w miejscu — z radości urządzaliśmy kawalkady, strzelaliśmy z armat. Kortez jednak trwał w zamyśleniu. Pojął bowiem, że ową flotę wysłał gubernator Diego Velazquez przeciw niemu i nam wszystkim, a kiedy się w tym upewnił, zdradził się ze swymi obawami przed nami, oficerami i żołnierzami, obdarzył nas sówicie złotem, obiecując, że zrobi z nas bogaczy: starał się nas pozyskać, abymy przy nim wytrwali. Nie wiedział tylko, kto flotą dowodzi. My zaś radowaliśmy się bardzo, zarówno wiadomościami, jak złotem, jakim nas obdarzył w drodze łaski, bowiem dał je ze swego majątku, a nie z przydziału, jaki nam przypadł.

*

Ponieważ trzech niegodziwi nasi żołnierze, którzy przeszli do Narvaeza, powiadomili go, że Gonzalo de Sandoval znajduje się o osiem mil stamtąd, w pewnym świeżo założonym mieście, zwanym Villa Rica de la Vera Cruz, i że ma ze sobą siedemdziesięciu żołnierzy, i to przeważnie starych i chorych, Narvaez postanowił wysłać do miasta księdza nazwiskiem Guevara, bardzo wymownego, krewniaka Diega Velazqueza, cieszącego się szacunkiem, nazwiskiem Anaya, i notariusza, nazwiskiem Vergera, oraz trzech świadków, aby na mocy jakoby kopii prawomocnych dekretów skłonili Sandovala do natychmiastowego poddania.

Sandoval, który zawsze miał dobre posterunki na drodze do Cempoalu,

skąd mógł spodziewać się napaści, zwołał swoich żołnierzy i zawiadomił ich, że gdyby nadciągnął Diego Velazquez albo kto inny, on miasta nie odda. Wszyscy żołnierze zakrzyknęli, że odpowiedzą zgodnie z jego wolą. Kiedy dano mu znać, że sześciu Hiszpanów i Indian z Kuby zbliża się do miasta, Sandoval zamknął się w domu i nie wyszedł na ich spotkanie. Rozkazał też, aby żaden z żołnierzy nie wychodził z domu i nie rozmawiał z nimi. Kiedy ksiądz i towarzyszący mu panowie nie napotkali nikogo z hiszpańskich mieszkańców, z kim mówić by mogli, a tylko Indian zajętych przy budowie fortu, którzy nie rozumieli ich, wszedłszy do miasta wstąpili do kościoła na krótką modlitwę, a następnie udali się do domu Sandovala, który wydawał im się najzacniejszym w mieście.

Ksiądz odezwał się: „Bądźcie pozdrowieni!” Sandoval odpowiedział: „Bywajcie szczęśliwie!”

Następnie ksiądz Guevara zaczął przemowę, jako pan Diego Velazquez, gubernator Kuby, wyłożył wielkie sumy na uzbrojenie armady, zaś Korteż i wszyscy, którzy mu towarzyszą, są zdrajcami, i że on przybywa zawiadomić, że mają natychmiast poddać się Panfilowi de Narvaez, którego Diego Velazquez ustanowił naczelnym wodzem.

Sandoval, usłyszawszy owe słowa i zniewagi wypowiedziane przez księdza Guevarę, zamyślił się, ważąc, co usłyszał, i rzekł: „Wielebny ojcze, bardzo niewłaściwie nazwałeś nas zdrajcami, nas, którzy jesteśmy lepszymi słuzkami Jego Królewskiej Mości niż Diego Velazquez, ale jako osoby duchownej, nie ukarzę was stosownie do waszego zachowania. Idźcie z Bogiem do Meksyku, tam przebywa Korteż, nasz wódz naczelny i najwyższy sędzia tej Nowej Hiszpanii, a on wam odpowie; tu nie macie o czym więcej mówić”.

Wówczas duchowny odezwał się zuchwale do notariusza towarzyszącego mu, który zwał się Vergara, aby natychmiast wyciągnął dekrety z zanadrza i ogłosił je Sandovalowi i mieszkańcom miasta. Ale Sandoval zakazał notariuszowi odczytywać jakiegokolwiek papiery: nie wiadomo, zali to dekrety, zali inne pisma. I od słowa do słowa, notariusz już sięgał w zanadrze po papiery, kiedy Sandoval odezwał się: „Zważcie, Vergara, już wam powiedziałem, że tutaj żadnego papieru czytać mi nie macie, jeno idźcie do Meksyku. Przyrzekam wam, że jeśli tu czytać będziecie, każę wam dać sto batów, nie wiemy bowiem, czyli jesteście notariuszem królewskim, czy nie. Pokażcie uprawnienia i jeśli je posiadacie, odczytajcie nam, a zaraz dowiemy się, czyli autentyczne są dekrety, kopie czy też inne papiery”.

Duchowny zaś, pełen pychy, rzekł: „Cóż będziecie się liczyć z tymi zdrajcami?! Wyciągajcie dekrety i ogłaszajcie je!”

Powiedział to z wielkim gniewem. Zaś Sandoval, usłyszawszy te słowa, odkrzyknął, że szczeka jak wstrętny klecha, i natychmiast rozkazał swoim żołnierzom odstawić ich w łykach do Meksyku. Ledwie to wyrzekł, a już

liczni Indianie, pracujący w fortecy, pochwycili ich jak grzeszne dusze w sieci, zarzucili owe hamaki na ramiona i w cztery dni przybyli z nimi w pobliże Meksyku. Podróżowali tak dniami i nocami, bo Indianie zmieniali się. Oni zaś byli przerażeni widząc tyle miast i wielkich osiedli, gdzie przynoszono im jedzenie; jedni ich zdejmowali z ramion, inni ich podnosili i szli dalej w drogę. Można rzec, że podróżowali nie wiedząc, zali to czary, zali sen. Sandoval, posyłając ich w łykach, napisał zaraz do Korteza, który był dowódcą armady, o tym, co się zdarzyło. Kiedy Kortez dowiedział się, że zbliżają się jako jeńcy, spętani, i doszli już w pobliże Meksyku, wysłał wierzchowce dla trzech najwybitniejszych, rozkazał zaraz ich uwolnić i napisał do nich, że przykro mu, iż Gonzalo de Sandoval wyrządził im taką zniewagę, podczas gdy on rad by ich z honorami przyjąć. I kiedy przybyli do Meksyku, wyszedł im naprzeciw i wprowadził do miasta z wielkim uszanowaniem.

Skoro duchowny i jego towarzysze ujrzeli, jak bardzo wielkim miastem jest Meksyk i jakie posiadliśmy bogactwa w złocie, a także ujrzeli liczne inne miasta na wodach jeziora, wszystkich naszych oficerów i żołnierzy i wielką szczodrość Korteza, ogarnęło ich zdumienie. Po dwu dniach ich pobytu między nami Kortez przemówił do nich w ten sposób, z takimi obietnicami i przymileniami, posmarowawszy im ręce klejnotami złotymi, odsyłając ich do Narvaeza zaopatrzonych w żywność na drogę, że choć przybyli pyszni jak lwy srogie, wrócili jak baranki, ofiarowując mu swoje usługi. Kiedy przybyli do Cempoalu i zdawali sprawę swemu wodzowi, zaczęli namawiać cały obóz Narvaeza do przejścia na naszą stronę.

*

Kortez we wszystkim okazywał wielkie staranie i roztropność i usiłował zawsze znaleźć lekarstwo na wszystkie zdarzenia. Za naszą radą postanowił — uprzedzając powrót księdza Guevary — natychmiast napisać do Narvaeza listy, pełne grzeczności i uprzejmości, które by ponieśli Indianie. W imieniu nas wszystkich oświadczał, że gotowi jesteśmy uczynić wszystko, co rozkaże, ale błagamy go przez litość, aby nie wnosił niepokoju do kraju, aby Indianie nie dostrzegli naszych nieporozumień. Pisał to dlatego, że nas przy Kortezie żołnierzy było niewiele w porównaniu z tymi, których przywiódł Narvaez. Jednak prócz tych słodkich słów nie zaniebdywaliśmy szukania przyjaciół pośród oficerów Narvaeza. bowiem ojciec Guevara i notariusz Vergara powiadomili Korteza, że Narvaez nie jest lubiany przez swoich oficerów i należałoby im posłać jakieś złote płytki i łańcuchy, gdyż jak wiadomo, dary kruszą skały.

Kortez pisał, że raduje się bardzo, podobnie jak my wszyscy, z jego przybycia do owego portu, a że są przyjaciółmi z dawnych czasów, prosi

go usilnie, aby nie dał Montezumie możności uwolnienia się z więzienia oraz nie dopuścił do powstania w mieście — stałoby się to zaturą dla niego i jego ludzi, zaś my wszyscy przyplacilibyśmy to życiem; wspomina o tym, bowiem Montezuma jest bardzo podburzony i całe miasto podniecone słowami, jakie on do ludzi skierował. Kortez wierzy i pewny jest, że tak mężny i mądry mąż jak Narvaez nie mógł być w ten sposób i takich słów wypowiedzieć w obecnym czasie, ale że wypowiedzieli je chyba Cervantes Chocarrero oraz inni jego żołnierze.

Kortez napisał również do sekretarza Andresa de Duero i do audytora Lucasa Vazqueza de Ayllon, a do tych listów dołączył kilka złotych klejnotów dla przyjaciół.

Kiedy pierwszy list, napisany przez Korteza, doszedł przez Indian, zanim przybył jeszcze ojciec Guevara, Narvaez pokazywał go swoim oficerom i naigrywał się z niego i z nas. A jeden z oficerów, przybyły z Narvaezem jako kontroler, nazwiskiem Salvatierra, miał, wysłuchawszy tego listu, zacząć ryczeć i wymawiać Narvaezowi, że w ogóle czyta list takiego zdrajcy jak Kortez, i że należy natychmiast wyprawić się przeciw nam i nikogo nie zostawić żywym. Przysięgał, że Kortezowi obetnie uszy, upiecze je i jedno zje, oraz inne tym podobne niedorzeczności powiadał. Przeto Narvaez nie chciał odpowiedzieć na list i miał nas za nic.

Na to przybył ojciec Guevara z towarzyszami i przekonywali Narvaeza, że Kortez jest bardzo godnym szlachcicem i wiernym sługą Jego Królewskiej Mości, opowiadali o wielkiej wspaniałości Meksyku i licznych miast, które widzieli w drodze. Pewni są, że Kortez pragnie mu służyć i zrobi, co on mu rozkaże, i że byłoby dobrze, aby w pokoju i bez tumultu doszło między jednymi a drugimi do porozumienia.

Kiedy to Narvaez usłyszał, miał się tak rozgniewać na ojca Guevarę, że nie chciał go ani widzieć, ani słuchać więcej. Odkąd zaś obecni w obozie Narvaeza ujrzeli, jak wzbogacili się ojciec Guevara i notariusz Vergara oraz inni, i słyszeli w potajemnych opowiadaniach tyle dobrego o Kortezie i o nas wszystkich oraz o tym, ile złota widzieli w obozie naszym wygranego w karty, wielu już życzyło sobie znaleźć się pośród nas.

*

Zdaje się, że audytor Lucas Vazquez de Ayllon, który przybył bronić sprawy Korteza i naszej, jak mu przykazał Królewski Trybunał z San Domingo i bracia hieronimici, którzy tam byli gubernatorami, jeżeli Przedtem głosił, że owa flota została przeciw nam wysłana niesłusznie i wbrew wszelkiej sprawiedliwości, co było postępowaniem niegodnym wobec tak wiernych sług króla, jakimi byliśmy, to poznawszy listy Korteza, a ujrzawszy prócz tego tafelki złote, głosił to jaśniej i bardziej otwarcie.

Idąc za podszeptem Salvatierry, pewny poparcia i życzliwości don Juana Rodrigueza de Fonseki, biskupa Burgos, Narvaez rozzuchwalił się tak, że pojmał audytora królewskiego i załadowawszy go na okręt, wysłał go do Kastylii czy też na wyspę Kubę. Audytor, którego wieziono w łykach, słowami wymownymi, a także strasząc, dowodził kapitanowi i pilotowi okrętu, który go wiozł, że po przybyciu do Kastylii Król Jegomość zamiast zapłaty za to, co czynią, każe ich obwiesić. Usłyszawszy to, rzekli mu, aby zapłacił im za trud, a oni dostawią go do San Domingo. Tak zmienili kierunek nakazany przez Narvaeza. Bracia hieronimici, gubernatorowie wyspy, wysłuchawszy audytora Lucasa Vazqueza de Allon i dowiedziawszy się o tak wielkiej zniewadze i zuchwałości, oburzyli się wielce i napisali do Kastylii do Królewskiej Rady.

Kiedy Król Jegomość, który przebywał we Flandrii, dowiedział się od naszych prokuratorów o tym, jak Diego Velazquez i Narvaez wysłali przeciw nam flotę bez jego zezwolenia, jak pojмали jego audytora, miał im to bardzo za złe.

*

Narvaez, po odesłaniu w łykach audytora Królewskiego Trybunału z San Domingo, postanowił z całym taborem, amunicją i wojennym sprzętem rozłożyć się obozem pod miastem, podówczas bardzo ludnym, zwanym Cempoal. Pierwszą jego czynnością było odebrać kacykowi Grubasowi wszelkie tkaniny, i szaty, i złoto, oddane mu w przechowanie przez Korteza, a także zabrał Indianki oddane nam przez kacyków, które pozostawiliśmy w domach ich rodziców, jako zbyt delikatne, aby znieść mogły tryb wojennego życia. Niejednokrotnie kacyk Grubas zwracał uwagę Narvaezowi, aby nie tykał dobra pozostawionego pod jego pieczęcią przez Korteza, gdy bowiem Kortez się o tym dowie, zabije go niechybnie. Skarżył się również przed Narvaezem na gwałty i rabunki dokonywane przez jego ludzi w mieście, twierdząc, że kiedy bawił tu *Malinche* i jego ludzie, nie zabierano im niczego, był bowiem dobry i sprawiedliwy, podobnie jak wszyscy *teules*, którzy z nim byli. Lepiej niech od razu Indianki i szaty, i złoto, w przeciwnym razie wyśle skargę do *Malinche*.

Kiedy to usłyszeli, naigrawali się z tych słów, a inspektor Salvatierra, przeze mnie już wspomniany, bardzo butnie rozprawiał i odezwał się do Narvaeza i do przyjaciół: „Nie, czy słyszycie, jakiego pietra mają ci kacykowie przed tym zerem, Kortezikiem?”

Zważcie, że kiedy zaatakowaliśmy Narvaeza, jednym z największych tchórzy był właśnie ów Salvatierra.

Narvaez twierdził, że pójdzie poszukać nas w Meksyku, aby nas ukarać. Kortez, po naradzie z nami wszystkimi, którzy mu byliśmy przychylni.

postanowił, że nie należy zwlekać dłużej, ale trzeba wyprawić się przeciw Narvaezowi, pozostawiwszy Pedra de Alvarado ze wszystkimi żołnierzami niezdolnymi do takiej wyprawy na straży przy Montezumie. Pozostawił tam również osoby podejrzane o sympatie dla Diego Velazqueza.

Posłał też Korteza do Tlaxcali po zapasy kukurydzy, bowiem w Meksyku żniwa były marne z powodu suszy. Indianie przynieśli kukurydżę, kury oraz wszelką żywność, którą pozostawiliśmy Pedrowi de Alvarado. Zbudowaliśmy także umocnienia i barykady, zaopatrzone w amunicję i armaty z brązu, pozostawiliśmy im wszystek proch, jaki posiadaliśmy, czternastu muszkieterów, ośmiu kuszników i pięciu jeźdźców, razem około osiemdziesięciu żołnierzy.

Korteza odwiedzał Montezumę codziennie, ale nigdy nie dał mu odczuć, iż wie, że pomagał on Narvaezowi, posyłał mu tkaniny i złoto oraz polecał zaopatrywać go w żywność, ale od słowa do słowa Montezuma zapytał Korteza, jaką to wyprawę zamierza i w jakim celu zbudował owe szańce i fortalicje, i dlaczego chodzimy tacy nieufni.

*

Kiedy tak trwali na rozmowie Korteza i wielki Montezuma, jak to mieli w zwyczaj, zapytał Montezuma Korteza: „Panie *Malinche*, widzę wielkie podniecenie pośród waszych oficerów i żołnierzy, zauważyłem, że odwiedzacie mnie tylko od czasu do czasu, a paż mój Ortegullo mówi mi, że chcecie wyprawić się na waszych braci, którzy przybyli na okrętach, a mnie zostawić pod strażą Tonatia. Oznajmijcie mi łaskawie, czy mogę wam w czymś pomóc, uczynię to chętnie. A również, panie *Malinche*, nie chciałbym, aby was spotkała jaka przeciwność, bowiem was jest mało, a tamtych pięciokrotnie więcej, i oni, tak jak wy, mówią, że są chrześcijanami i służą waszemu cesarzowi, i mają obrazy, i stawiają krzyże, i odprawiają mszę, twierdzą zaś i rozgłaszają, że zbiegliście od waszego króla, zaś oni przybywają, aby was pojmać i stracić. Ja nic z tego nie rozumiem, dlatego zważcie, co czynicie”.

Korteza odpowiedział, udając wesołość, że jeżeli nie przychodził zdawać mu sprawy z wszystkiego, to dlatego, że miłuje go bardzo i nie chciał mu robić przykrości naszym odjazdem. Prawdą jest, że jesteśmy sługami i wasalami wielkiego cesarza, oni zaś też są chrześcijanami jak i my, ale nieprawdą jest, że uciekliśmy od naszego króla i pana, bowiem to właśnie nasz król i pan nas wysłał, abyśmy jego, Montezumę, poznali i rozmówili się z nim w jego królewskim imieniu; a jeśli mówi, że przywieźli licznych żołnierzy i dziewięćdziesiąt koni, i liczne armaty, a nas jest mało, oni zaś przybywają, aby nas pojmać, to Pan Nasz Jezus Chrystus, w którego wierzymy, i Pani Nasza Maryja Święta, użyczą nam siły większej niż im,

którzy są niegodziwi. Nasz cesarz posiada liczne królestwa i państwa, mieszkają w nich różne narody, jedne bardzo dzielne, inne jeszcze dzielniejsze; my pochodzimy z centrum Starej Kastylii i zwiemy się Kastyliczycami, tamten wódz, który teraz jest w Cempoalu, i jego ludzie, pochodzą z innej prowincji, zwanej Biskają, i zwą się Biskajczykami. Niech się nie niepokoi naszą wyprawą, powrócimy niebawem zwycięzcy. Teraz zaś błaga go usilnie, aby zważył, że pozostaje z nim brat nasz, Tonatio, jak nazywają Pedra de Alvarado, z osiemdziesięcioma żołnierzami, niech zatem po naszym odejściu nie powstaną żadne niepokoje i niech nie dozwoli, aby jego wodzowie i kapłani wszczynali jakąś akcję, za którą buntownicy po naszym powrocie musieliby zapłacić życiem.

Po czym Korteż po dwakroć uściskał Montezumę, a Montezuma Korteza.

Następnie Korteż przemówił do Pedra de Alvarado i żołnierzy, którzy z nim mieli pozostać, zobowiązując ich do czujnej straży, aby Montezuma im nie uszedł.

Napisał również Korteż do Sandovala, aby co rychlej wraz ze wszystkimi żołnierzami połączył się z nami, którzy wyruszamy do osiedli leżących o dwanaście mil od Cempoalu, zwanych Panganequita i Mitlanquita.

Nasi zwiadowcy spotkali w polu niejakiego Alonsa de Mata, który podawał się za notariusza i przybywał, aby ogłosić dekrety i pełnomocnictwa. Korteż właśnie nadjechał, kiedy ten zamierzał je odczytywać. Korteż zapytał go, czy jest istotnie notariuszem królewskim. Odpowiedział, że tak. Wówczas Korteż zażądał okazania dowodu, a jeśli takowy posiada, może odczytać dekrety, do których on się zastosuje, o ile będą ku pożytkowi służby bożej i Jego Królewskiej Mości. Jeżeli jednak dowodu nie posiada — niech nie czyta. Chciałby również zobaczyć oryginalne pisma królewskie. Tedy Mata zmieszał się, podobnie jak jego towarzysze, jako że żadnym notariuszem królewskim nie był, i nie wiedzieli, co rzec. Korteż kazał ich nakarmić, bo właśnie tam było miejsce postoju.

Korteż był tak bardzo opanowany, że nigdy złego słowa o Narvaezie nie wypowiedział.

Przybyliśmy do Panganequity, gdzie następnego dnia dołączył i Sandoval ze swymi żołnierzami, których było około sześćdziesięciu, bowiem słabych i starych zostawił w Papalote, a także przybyło z nim pięciu żołnierzy, krewniaków i przyjaciół Lucasa Vazqueza de Ayllon, którzy uciekli z obozu Narvaeza.

*Co się działo w naszym obozie i w obozie Narvaeza i jak rozbiliśmy
Narvaeza*

Kiedy połączyliśmy się w tej miejscowości, postanowiliśmy za pośrednictwem ojca Miłosierdzia napisać drugi list do Narvaeza, że bardzo uradowaliśmy się jego przybyciem i wierzyliśmy, że dzięki jego szlachetnej osobie oddamy wielkie usługi Bogu i królowi, ale on nie chciał nam odpowiedzieć i nazwał nas zdrajcami, nas, którzy jesteśmy wiernymi służkami królewskimi. Kortez prosił, aby wybrał sobie prowincję w jakiegokolwiek stronie, w której rad by ustalić się ze swoimi ludźmi, my zaś udamy się na inne ziemie i wypełniać będziemy nasze obowiązki względem Jego Królewskiej Mości. Prosimy go i żądamy, aby do trzech dni przysłał nam przez notariusza królewskiego dokumenty do wglądu, i w tym celu przybyliśmy do owej miejscowości Panganequita, aby być bliżej jego obozu. Jeżeli dokumentów nie posiada i rad by wrócić na Kubę, niech wraca i nie wnosi niepokoju na te ziemie, oświadczamy, że jeżeli inne byłyby jego poczynania, ruszymy przeciw niemu, aby go pojmać i odesłać w łykach do naszego króla i pana, jako że bez jego zezwolenia występuje zbrojnie przeciw nam, burząc spokój miast, a wszystkie nieszczęścia i śmierci, i kalectwa, jakie z tego wynikną, spadną na niego, a nie na nas.

Dołączywszy słowa uprzejmości, podpisał Kortez i nasi oficerowie, i niektórzy żołnierze, był tam i mój podpis.

*

Zawróćmy teraz nieco i opowiedzmy, co się jeszcze w tym czasie działo.

Kiedy Kortez dowiedział się o przybyciu floty Narvaeza, wysłał jednego żołnierza, który był walczył w Italii i był bardzo biegłym znawcą broni, a szczególnie włóczni, do prowincji Chinantecas. Tamtejsi Indianie, wielcy nieprzyjaciele Meksykanów, niedawno zabiegali o naszą przyjaźń; ich wojownicy używali w walce bardzo długich włóczni o dwóch ostrzach z obsydianu, lepszych od naszych, kastylskich. Kortez prosił, aby mu natychmiast przysłali trzysta takich włóczni, ale by zastąpili obsydian dwoma metalowymi ostrzami, bowiem mieli dużo miedzi. Zabrał też ów żołnierz wzór takiej włóczni. Zaraz też Chinantekowie ściągnęli włócznie z całej prowincji i zaopatrzyli je w ostrza, stosując się najdokładniej do naszych zaleceń. Dokonaliśmy przeglądu i spisu wszystkich żołnierzy i oficerów naszego wojska, było ich dwustu sześćdziesięciu sześciu, licząc w to dobosza

i piszczałka, prócz kapelana, wraz z pięcioma konnymi, kilkoma kusznikami i muszkieterami.

*

Opowiem, jak przybył Andrés de Duero, wysłany przez Narvaeza do naszego obozu. Kiedy ujrzał Korteza, swego towarzysza, tak bogatym i potężnym, chociaż przybył pod pozorem doprowadzenia do pokoju na korzyść Narvaeza, naprawdę chciał zażądać udziału w zyskach, bowiem drugi jego druh, Amador de Lares, pomarł Kortez, jako że był mądry i zręczny, nie tylko obiecał dać mu skarb wielki, ale również obiecał dowództwo wyprawy, ni mniej, ni więcej jak równemu sobie, obiecywał, że po podboju Nowej Hiszpanii da mu wiele miejscowości, byleby porozumiał się z Augustinem Bermudezem, najwyższym *alguacilem* obozu Narvaeza oraz z innymi szlachcicami, których nie wymieniam, aby tak zmylili Narvaeza, iżby nie uszedł żywym, lecz pozbył się sławy i był zwyciężony, a kiedy Narvaez zginie lub będzie pojmany, a jego wojska rozbite, oni pozostaną jak panowie i podzielą między siebie złoto Nowej Hiszpanii. Aby go zaś tym łatwiej pozyskać, obladował złotem dwóch Indian z Kuby, którzy mu towarzyszyli. I wedle pozorów Duero przyrzekł, a także zgodził się Augustin Bermudez, co potwierdzili przez podpisy i listy.

Pozostał Andrés de Duero w naszym obozie aż do drugiego dnia, wigilii Zielonych Świątek, i wieczerzał z Kortezem, i rozmawiali czas jakiś potajemnie, a kiedy Duero pojadł, pożegnał się z nami, podjechał konno do Korteza i zapytał: „Chcę odjechać, co mi wasza miłość rozkażesz?”

Ów odpowiedział: „Jedźcie z Bogiem, wasza miłość, panie Andresie de Duero, i baczcie, aby dotrzymane było, o czym mówiliśmy. Jeżeli nie, to na me sumienie przysięgam, jakem Kortez, zanim trzy dni miną, ze wszystkimi moimi druhami stanę w waszym obozie i pierwszym, którego włócznie przebiję, będzie wasza miłość”.

Duero roześmiał się i rzekł: „Nie zaniedbam niczego dla usług waszej miłości”.

Kortez kazał bić w bębny i zwołać wszystkich żołnierzy, i ruszyliśmy szeroką drogą do Cempoalu. Po drodze zabiliśmy dwa dziki tamtejsze, które mają jakby grzebień na grzbiecie — żołnierzom rzekliśmy, że to zapowiedź zwycięstwa. Noc spędziliśmy na stoku w pobliżu strumyka. W południe doszliśmy na odpoczynek nad rzekę, nad której ujściem leży Vera Cruz. W kraju tym panowały straszne upały, a ponieważ wędrowaliśmy w pełnym uzbrojeniu, każdy z dużą włócznie, byliśmy bardzo zmęczeni.

*

Kacyk Grubas, przeze mnie wspomniany, jako że pozwolił Narvaezowi zabrać tkaniny i złoto oraz Indian, bardzo się lękał Korteza. Stale nasyłał na nas szpiegów, gdziekolwiek noclegowaliśmy i jaką drogą szliśmy, tak mu bowiem nakazał Narvaez. Kiedy dowiedział się, że zbliżamy się do Cempoalu, kacyk Grubas zwrócił się do Narvaeza: „Jakże możecie być tak nieopatrzeni? Zali sądzicie, że *Malinche* i towarzyszący mu *teules* są wam podobni? Mówię wam, że kiedy się nie spodziewacie, on stanie tu i was pozabija”.

I choć kpili z tych słów kacyka Grubasa, nie zaniedbali przygotować się, a pierwszą rzeczą było ogłosić przeciw nam wojnę ogniem i mieczem do ostatniego tchu. Pewien żołnierz, zwany Galleguillo, zbieg z obozu Narvaeza bądź też wysłaniec Andresa de Duero, ostrzegł Korteza o tym, co głoszą, oraz o innych sprawach, które dobrze było wiedzieć.

Wróćmy do Narvaeza, który zaraz kazał zebrać całą artylerię i jazdę, muszkietarów i kuszników oraz żołnierzy w obozie o ćwierć mili od Cempoalu, aby nas tam oczekiwali i nie przepuścili żadnego z nas żywym lub wolnym. Owego dnia deszcz lał bez przerwy i ludziom Narvaeza nie w smak było oczekiwać nas w wodzie, nie byli przyzwyczajeni do mokwy ani do trudów, a nas za nic mieli. Oficerowie radzili, aby powrócić do kwater, wstyd bowiem czekać tu na „dwa czy trzy koty”, jak się o nas wyrażali. Radzili, by ustawić artylerię przed kwaterami — a było tego osiemnaście dużych dział — czterdziestu jeźdźców niech patroluje na drodze, którą mieliśmy przejść do Cempoalu, przy brodzie rzeki, gdzie się nas spodziewali, niech czuwają najlepsi konni, piechurzy i gońcy, aby dać znać, a na dziedzińcu kwatery Narvaeza niech całą noc patroluje dwudziestu jeźdźców.

To wszystko zostało ułożone, aby skłonić Narvaeza do powrotu na kwatery. Oficerowie jego nalegali: „Jak to, panie, czyż myślicie, że — jak mówi kacyk Grubas — Korteż odważy się zaatakować nasz obóz ze swymi trzema kotami”. Czyż nie uważacie, panie, że to są tylko przechwałki i pozory, aby waszą miłość skłonić do porozumienia?”

Sprawy zaszły tak daleko, że — jak mówiono — Narvaez powrócił do swego obozu i stamtąd publicznie ogłosił, iż da dwa tysiące pesos temu, kto zabije Korteza lub Gonzala de Sandoval. Ustanowił hasło i tajne zawołanie na czas bitwy z nami, które dla jego obozu miało być: „Santa Maria! Santa Maria!” Rozkazał licznym żołnierzom, muszkietarom i kusznikom oraz innym swoim stronnikom spędzić noc w swojej kwaterze i podobnie w kwaterze kontrolera Salvatierry, Gamarry i Juana Bono.

*

Kiedy przybyliśmy nad rzeczkę wyżej wspomnianą, odległą około mili od Cempoalu, i gdzie były piękne łąki, rozesławszy zwiadowców naszych godnych zaufania, Korteza, nasz wódz, siedząc na koniu, zwołał nas wszystkich oficerów i żołnierzy, a kiedyśmy się zebrali, prosił nas, abyśmy go w milczeniu wysłuchali. Zaczął tedy przemowę tak pięknym stylem i w tak wymownych słowach, pełnych słodyczy i obietnic, że spisać ich nie sposób. Przypominał nam wszystko, co się zdarzyło od czasu opuszczenia Kuby aż do obecnej chwili, i mówił: „Wiecie dobrze, wasze miłości, że Diego Velazquez, gubernator Kuby, wyznaczył mnie na naczelnego wodza, choć wielu szlachciców innych na to zasługiwało, wiecie też i wierzyliście, że wyprawa nasza ma na celu kolonizowanie, tak ogłaszano i oświadczano, a potem przekonaliście się naocznie, że celem była wymiana. Wiecie też, co się zdarzyło, kiedy chciałem powrócić na Kubę, aby zdać sprawę z wypełnienia zadania Diegowi Velazquezowi, stosownie do jego poleceń, a waszmościowie żądaliście i nalegaliście, abyśmy skolonizowali tę ziemię w imieniu Jego Królewskiej Mości, i jak z łaski Pana Naszego Jezusa Chrystusa postąpiliśmy tak, co było rzeczą słuszną. Ponadto wybraliście mnie wodzem naczelnym i najwyższym sędzią tego kraju, póki Jego Królewska Mość inaczej nie rozporządzi. Już mówiłem, że pomiędzy waszmościami byli tacy, którzy przemawiali za powrotem na Kubę, o czym wspominać nie chcę bo to są sprawy minione. I nasze wytrwanie tutaj było rzeczą świętą i dobrą i jasne jest, że oddaliśmy wielką przysługę Bogu i Jego Królewskiej Mości. Wiadome wam jest też, co w naszych listach przyrzekaliśmy Królowi Jego mości, zdając sprawę ze wszystkich czynów naszych, nie opuszczając niczego i stwierdzając, że ta ziemia jest czterokrotnie większa od Kastylii posiada wielkie miasta i jest bardzo bogata w złoto i kopalnie, otaczają ją zaś dokoła inne prowincje. Błagaliśmy też Jego Królewską Mość, aby rządów w niej nie powierzał nikomu, mniemaliśmy bowiem i pewni byliśmy, że biskup Burgos, podówczas przewodniczący Rady Indii, mając wielką władzę, zażąda tej ziemi dla Diega Velazqueza albo jakiegoś krewniaka czy druha swojego — a ziemia ta jest tak zacna i piękna, że przystoi ją oddać jakiemuś infantowi albo wielkiemu panu — uważaliśmy, iż nie należy oddawać jej nikomu, dopóki Jego Królewska Mość nie wysłucha naszych prokuratorów i dopóki nie ujrzymy aktu z własnoręcznym króla podpisem. Kiedy zaś taki akt zobaczymy, skłonimy się aż do ziemi. Wiadomo wam również, że wraz z listami wysłaliśmy i ofiarowaliśmy Królowi Jegomości wszystko złoto i srebro, i kosztowności oraz inne przedmioty, jakie dostały się w nasze posiadanie”.

I ciągnął dalej: „Pamiętacie, waszmościowie, wiele to razy byliśmy bliscy śmierci w wojnach i bitwach, czyż trzeba wam przypominać, jak nawykliśmy do trudów w deszczach i wichrach, niekiedy o głodzie, a zawsze

zmuszeni dźwigać na ciele zbroje nasze, spać na gołej ziemi czy to w śnieżyce, czy w ulewy, że skórę mamy — jak widzimy — wygarbowaną przez trudy! Nie chcę już mówić o naszych pięćdziesięciu towarzyszach poległych w bojach ani też o was wszystkich, panowie, którzy jesteście w opatrunkach, okaleczali i ranni, dotąd jeszcze nie uleczeni. Chcę wam przypomnieć udręki zniesione na morzu, bitwy pod Tabasco, te spod Almeru i Cingapancingi. Wieleż to razy w górach i po drogach usiłowano pozbawić nas życia! W jakiej ostateczności widzieliśmy się w bitwie pod Tlaxcala i jak się tam z nami obeszli, a w Choluli już przygotowano kadzie, aby nas ugotować i zjeść nasze ciała, jak przy wejściu na przełęcz czekały nas wojska Montezumy, aby nikt z nas z życiem nie uszedł, i widzieliśmy drogi zawałone ściętymi drzewami, pamiętacie niebezpieczeństwa wkroczenia i pobytu w wielkim mieście Meksyku? Wieleż razy zaglądała nam śmierć w oczy! Któż potrafi to ocenić? Patrzcie na tych spośród waszmościów, którzy przede mną jeszcze przybyli tutaj z Franciskiem Hernandezem de Córdoba i drugi raz z Juanem de Grijalva, wspomnijcie, jak bardzo cierpieliście od trudów, pragnienia, ran i śmierci licznych żołnierzy, odkrywając te ziemie, i zważcie, ile w owych wyprawach straciliście waszego mienia". Dodał, że nie chce opowiadać o licznych innych sprawach szczegółowo, trzeba kończyć, jest późno i noc zapada.

Ale dodał: „A teraz, panowie, zjawia się oto Panfilo de Narvaez i w zaciekłości wielkiej pragnie nas dostać w ręce. Jeszcze nie wylądowali, a już nazywa nas złoczyńcami i zdrajcami, i śle do Montezumy nie słowa zacnego wodza, ale warchoła. Ośmielił się pojmać audytora królewskiego, za ten sam niecny czyn godzien jest wielkiej kary. Słyszałem, że głosi w swym obozie, iż wypowiedział nam wojnę na śmierć i życie, jakbyśmy byli Maurami".

Po czym Korteż zaczął wynosić nas i naszą odwagę w ubiegłych bitwach i spotkaniach, jeśli dotąd walczyliśmy, aby ocalić życie, teraz walczyć musimy o życie i honor, bowiem chcą nas wypędzić z naszych domów i zrabować naszą własność. Nie wiemy, czy istotnie posiadają dekrety od naszego króla i pana, czy jedynie poparcie biskupa Burgos, naszego wroga.

„Gdyby zaś zdarzyło się, że wpadlibyśmy w ręce Narvaeza— do czego oby Bóg nie dopuścił — wszystkie usługi, jakie oddaliśmy przede wszystkim Bogu, a potem Jego Królewskiej Mości, obrócono by w zło czynienie, wytoczono by nam proces i zarzucono by nam, żeśmy szerzyli śmierć i grabież w tej ziemi, gdzie oni sami są rabusiami, warchołami i złymi sługami naszego króla i pana. Dlatego wyszedłem z Meksyku, ufność pokładając w Bogu i w was".

Wówczas wszyscy co do jednego odpowiedzieliśmy, a wraz z nami Juan Velazquez de Leon, Francisco de Lugo i inni oficerowie, niech pewny będzie, że z pomocą bożą zwyciężymy albo zginiemy, niech jednak nie wdaje się w żadne konszachty, bo gdyby dopuścił się czegoś niegodnego,

sami go zakłujemy. Uradowała go bardzo nasza decyzja, która odpowiadała jego nadziejom. Prosił nas usilnie, abyśmy zachowali zupełnie milczenie, bo w wojnie i w bitwach, aby zwyciężyć wroga, bardziej potrzebna jest roztropność i wiedza aniżeli śmiałość. Zna naszą odwagę wielką i wie, że aby zyskać sławę, każdy z nas rad by pierwszy uderzyć na wroga.

Podzielił nas na oddziały i pułki. Najpierw należało nam opanować artylerię, składającą się z osiemnastu armat ustawionych przed kwaterą Narvaeza, i na dowódcę tej akcji wyznaczył swego krewniaka, zręcznego młodziana, nazwiskiem Pizarro, i przydzielił mu sześćdziesięciu młodych żołnierzy, między którymi także ja byłem. Po zdobyciu artylerii mieliśmy się rzucić ku kwaterze Narvaeza, która mieściła się w bardzo wysokiej świątyni.

Do pojmania Narvaeza wyznaczył Gonzala de Sandoval z sześćdziesięciu żołnierzami, a ponieważ był on najwyższym *alguacilem*, dał mu na piśmie następujący rozkaz: „Gonzalu de Sandoval, najwyższy *alguacilu* tej Nowej Hiszpanii. W imieniu Jego Królewskiej Mości rozkazuję ci pojmać Panfila de Narvaez, a gdyby stawiał opór, zabić go, jak tego wymaga służba boża i Jego Królewskiej Mości. Dan w tym obozie, podpisano Hernando Korteza, kontrsygnowano Pedro Hernández, sekretarz”.

Wydawszy ten rozkaz, Korteza przyrzekł pierwszemu żołnierzowi, który pochwyti Narvaeza, dać trzy tysiące pesos, drugiemu dwa tysiące, trzeciemu tysiąc, i rzekł, że ta obietnica to jedynie „na rękawiczki” w porównaniu z bogactwem, jakie nam przypadnie.

Juan Velazquez de Leon miał pochwytać młodego Diega Velazqueza, krewniaka gubernatora, z którym się był pokłócił, i dał mu wódz sześćdziesięciu żołnierzy. Podobnie Diego de Ordaz z innymi sześćdziesięciu żołnierzami miał pojmać Salvatierrę. Każdy z tych oficerów Narvaeza dowodził osobnym fortem w wysokich świątyniach. Sam zaś Korteza na wszelki wypadek z dwudziestoma żołnierzami miał przyjść z pomocą tam, gdzie okaże się potrzebny, aby zapewnić pojmanie Narvaeza i Salvatierry.

Wydawszy te rozkazy oficerom, rzekł: „Wiem dobrze, że ludzie Narvaeza są czterekroć liczniejsi od naszych, ale nie są przyzwyczajeni do noszenia zbroi, a większość ich niechętna jest wodzowi, wielu zaś jest chorych; my zaskoczmy ich niespodzianie i mam nadzieję, że Bóg nam da zwycięstwo. Nie będą zbyt uparcie się bronić, boć więcej zyskają przy nas aniżeli przy swym Narvaezie. Tak tedy, panowie, nasze życie i cześć jest w ręku Boga i w waszych dzielnych ramionach. Nie potrzebuję was usilnie prosić ani przypominać, jedynie powiem, że oto jest kamień probierczy naszego honoru i sławy na wieki i lepsza jest mężna śmierć niż życie w niesławie”. A ponieważ właśnie deszcz lał i było już późno, nie rzekł nic więcej.

Potem przyszło mi na myśl, że nigdy nie powiedziałem porozumiałem się z tym czy owym w ich obozie, którzy są nam przychylni, ani nic podobnego. Postąpił jak mądry wódz nie chciał, abyśmy liczyli na przyjaciół w obozie.

Narvaeza, ale abyśmy walczyli mężnie, ufając tylko Bogu i własnemu męstwu. Potajemnie powiadomiono nas, że hasłem naszym w czasie walki ma być: „Duch Święty! Duch Święty!” Podczas gdy ludzie Narvaeza mieli zawołanie: „Santa Maria! Santa Maria!” Ponieważ byłem wielkim przyjacielem i sługą kapitana Sandovala, prosił mnie usilnie, abym zawsze trzymał się w pobliżu i nie opuszczał go, co obiecałem, i tak postępowałem, jak się później okaże.

Powiedzmy teraz, że znaczna część nocy upłynęła na przygotowaniach i rozmyślaniach o tym, co nas czeka, bowiem nie mieliśmy nic, czym by się posilić można. Zwiadowcy zostali rozesłani w pole, czaty i straże rozstawione. Ja stałem na warcie wraz z innymi żołnierzami, kiedy jeden z patrolujących nadjechał i zapytał, czy nie słyszałem czegoś, odpowiedziałem, że nie. Po czym nadjechał drugi, zawiadamiając, że Galleguillo, zbieg z obozu Narvaeza, który może był szpiegiem, znikł. Korteż rozkazał nam natychmiast wyruszyć w drogę do Cempoalu. Zagrały trąbki i bębny, oficerowie ustawili swoich żołnierzy i wyruszyliśmy. Tymczasem Galleguilla znaleziono śpiącego pod kilkoma derkami, padał bowiem deszcz, a biedak nie był przyzwyczajony do trwania w wodzie i zimnie i tam się schronił, aby spać. Idąc tak wyciągniętym krokiem, bez trąbek i bębnow, wyprzedzani przez patrole, dotarliśmy do rzeki, nad którą stały czaty Narvaeza, Gonzalo Carrasco i Hurtado. Nie spodziewali się niczego, przeto zdołaliśmy pochwycić Carraskę, drugi jednak uciekł do obozu Narvaeza, wołając: „Do broni! Do broni! Korteż nadchodzi!”

Przypominam sobie, że kiedy przekraczaliśmy rzekę, deszcz padał, woda wzbierała, kamienie były oślizłe, a nasze włócznie i uzbrojenie bardzo utrudniały nam przejście. Także przypominam sobie, że kiedy pojaliśmy Carraskę, on wołał: „Uważajcie, panie Korteż, nie idźcie tędy, przysięgam, tam czeka was Narvaez w polu z wszystkim swym wojskiem”.

Korteż oddał go pod straż sekretarzowi Pedrowi Hernández. Tymczasem Hurtado uciekał krzycząc i alarmując: „Do broni! Do broni!”

Podczas gdy Narvaez zwoływał swych oficerów, my pochyliliśmy włócznie i otoczyliśmy artylerię, tak że puszkarze zdołali zapalić lonty jedynie u czterech dział, a kule ich przeleciały nam nad głowami, jedna z nich zabiła trzech naszych towarzyszy. Natenczas zbliżyli się wszyscy nasi oficerowie, zagrały trąbki i bębny do ataku, a że jazdy Narvaeza było sporo, zatrzymała ich chwilę, przy czym siedmiu czy ośmiu konnych zginęło. My zaś, opanowawszy artylerię, nie chcieliśmy jej opuszczać, a Narvaez ze swej kwatery zasypywał nas strzałami i kulami muszkietów i zabił siedmiu naszych. W tym momencie zjawił się Sandoval i co rychlej wspiął się na schody i pomimo wielkiego oporu, jaki stawiał Narvaez, strzelając do nich z kusz i muszkietów, broniąc przystępu pertyzanami i dzidami, dostał się na górę on i jego żołnierze. Widząc, że nie ma przeciw komu bronić artylerii, zostawiliśmy ją pieczy naszych puszkarzy i wielu z nas, wraz z kapi-

tanem Pizarro, rzuciło się na pomoc Sandovalowi, którego ludzie Narvaeza zmusili do cofnięcia się o dwa stopnie. Odzyskał je dzięki naszemu sukursowi. Walczyliśmy tak już czas jakiś, kiedy usłyszeliśmy głos Narvaeza: „Święta Maryjo, ratuj! Zabili mnie, wykłuli mi oko!” Ledwie usłyszeliśmy to, zakrzyknęliśmy: „Zwycięstwo dla tych, którzy wzywają Ducha Świętego! Zwycięstwo dla Korteza! Narvaez nie żyje!”

Ale mimo to nie mogliśmy się dostać do wnętrza świątyni, gdzie się ukrywali, aż niejakiemu Martinowi Lopezowi, budowniczemu brygantyn, udało się podpalić dachy wysokiej świątyni i wszyscy ludzie Narvaeza wypadli, zbiegając ze schodów. Wówczas Narvaez został ujęty, a pierwszym, który nań rękę położył, był Pedro Sánchez Farfan, ja zaś oddałem go Sandovalowi w obecności innych oficerów, a wszyscy zaczęli wołać: „Niech żyje król i jego namiestnik Kortez! Kortez! Zwycięstwo! Zwycięstwo! Narvaez zabity!”

Zostawmy tę walkę i zajmijmy się Kortezem i pozostałymi oficerami, którzy tymczasem walczyli każdy z osobna z oficerami Narvaeza. Ci schronili się na najwyższe piętra świątyń i nie wykurzyły ich stamtąd ani strzały naszych puszkarzy, ani nasze okrzyki: „Narvaez zabity!” Ale Kortez, jako mąż sprytny bardzo, kazał ogłosić, że wszyscy ludzie pod karą śmierci mają się poddać Jego Królewskiej Mości i występującemu w jego imieniu Kortezowi. Mimo to jednak nie poddawały się oddziały Diega Velazqueza młodszego ani Salvatierry, zajmujące najwyższe piętra świątyń, gdzie nie można było się dostać, dopóki nie wdarł się tam Sandoval z połową swej grupy, dzięki strzałom i wezwaniom został wtedy ujęty Salvatierra ze wszystkimi swymi ludźmi oraz Diego Velazquez młodszy. Ujęto też Gamarre, Juana Justo i Juana Bono oraz inne wybitne osobistości.

Nadjechał wówczas Kortez, nie poznany, z innymi oficerami, w miejsce gdzie zamknęliśmy Narvaeza. Ponieważ upał był wielki, a on, okryty ciężką zbroją, troił się i dwoił nawołując żołnierzy i przemawiając do nich, przybył bardzo zmęczony, oblany potem i nie mogąc tchu złapać. Po dwakroć zapytywał Sandovala, który wyczerpany nie odpowiadał dość rychło: „Hej! co z Narvaezem? Co z Narvaezem?” A Sandoval odpowiedział: „Jest tutaj, jest tutaj, w dobrym zamknięciu”. A Kortez na to bez tchu: „Bacz, synu Sandovalu, ty i inni twoi oficerowie, aby wam nie uszedł”.

Była wówczas noc, nie świeciło jeszcze, od czasu do czasu padał deszcz lub ukazywał się księżyc. Kiedy natarliśmy, było bardzo ciemno i to nam pomogło. W ciemności owady, zwane na Kubie *cocuyos*, świeciły mocno, a ludzie Narvaeza brali je za błyski muszkietów.

Narvaez, ciężko ranny, z wybitym okiem, prosił Sandovala o pozwolenie, by go mógł leczyć chirurg z jego armii, mistrz Juan. Kiedy go opatrywano, skrycie zbliżył się Kortez, nierad być poznany. Szepnięto o tym Narvaezowi i ten odezwał się: „Panie kapitanie Kortez, wielkie to dla was zwycięstwo, żeście mnie pobili i pojмали”.

Kortez odpowiedział, że Bogu za to dziękuje i dzielnym towarzyszom

swoim, którzy w tym udział brali, ale to zwycięstwo i ujęcie jest jedną z najmniejszych rzeczy, jakich w Nowej Hiszpanii dokonał. Wszedł bez słowa więcej i polecił Sandovalowi postawić dobrą straż i nie opuszczać go i nikomu nie dać się w tym zastąpić. Nałożyliśmy mu dwie pary kajdan, zaprowadzili do jednej z komnat i postawiliśmy strażę, Sandoval wyznaczył i mnie do tego, przykazując potajemnie, abym żadnemu z żołnierzy Narvaeza przystępu nie dawał, póki nie zadnieje, a Kortez nie umieści go w pewniejszym miejscu.

Narvaez wysłał był czterdziestu konnych, aby strzegli przejścia do obozu. Wiedzieliśmy, że patrolują po polach, i lękaliśmy się, aby nas nie napadli, chcąc odbić oficerów i Narvaeza, mieliśmy się przeto na baczości. Kortez postanowił wysłać do nich z zaproszeniem, aby przybyli do obozu, czyniąc im liczne obietnice, jak zwykle. Udali się Cristóbal de Olid i Diego de Ordaz, aby ich przyprowadzić, spotkali ich i zasypali obietnicami i przyrzeczeniami od Korteza. Niektórzy z konnych chętnie się zgodzili. Zanim dojechali do obozu, w jasny dzień, bez żadnego rozkazu Korteza ani nikogo z nas, dobosze Narvaeza zaczęli bić w kotły i grać na trąbkach i bębnach, wołając: „Niech żyje świetność Rzymian, którzy z tak małą garstką zwyciężyli Narvaeza i jego żołnierzy!” A pewien Murzyn, nazwiskiem Guidela, bardzo dowcipny błazen Narvaeza, zaczął krzyczeć: „Zważcie, że Rzymianie nigdy takich wielkich czynów nie dokonali”.

Im bardziej nalegaliśmy, aby zamilkli i nie bili w kotły, tym bardziej hałasowali, aż Kortez kazał aresztować dobosza, który był półgłówkiem. W tej samej chwili zbliżyli się Cristóbal de Olid i Diego de Ordaz wiodąc jazdę Narvaeza, a z nimi Andrés de Duero i Augustin Bermudez oraz liczni przyjaciele naszego wodza. Zaraz też poszli ucałować ręce Korteza, który siedział w krześle o wysokich poręczach, w długiej szacie barwy pomarańczowej, z bronią u swych stóp, otoczony przez nas. Warto było widzieć, z jakim wdziękiem do nich przemawiał i obejmował ich, wiele im prawił grzeczności i jak bardzo był wesół, miał powód ku temu, widząc się w tym momencie tak wielkim i potężnym panem.

*

Mówiłem już poprzednio, że Kortez wysłał do osiedli Chinantecas, skąd dostarczono nam włóczni, polecenie, aby przysłali z pomocą dwa tysiące Indian ze swymi dzidami, które są znacznie dłuższe od naszych. Przybyli tego samego dnia, kiedyśmy pojмали Narvaeza, późno wieczorem pod wodzą swoich kacyków. Weszli do Cempoalu w szyku po dwóch, nieśli włócznie bardzo długie i grube, na których osadzone były ostrza z obsydianu, tnące jak noże. Każdy miał lśniącą tarczę, szli pod rozwiniętymi chorągiewkami, w pióropuszach, z bębnami i trąbami, pomiędzy dwoma

spiśnikami szedł łucznik, a wszyscy szli gwizdząc i wznosząc okrzyki: „Niech żyje król! Niech żyje król, nasz pan, i Hernando Korteż, jego namiestnik!” Weszli tak szumnie i w takim szyku, że choć było ich tysiąc pięciuset, wydawało się, że jest ich trzy tysiące. Ludzie Narvaeza, ujrawszy ich, dziwowali się bardzo i jak doniesiono, mówili między sobą, że gdyby tak byli weszli w czasie walki albo razem z nami, nikt nie mógłby im sprostać. Korteż przemówił bardzo serdecznie do wodzów indiańskich i polecił im zaraz powrócić do swych wsi, nie czyniąc po drodze żadnej szkody innym osadom.

*

Po rozbiciu Panfila de Narvaez, aresztowaniu jego oficerów i złożeniu broni przez wszystkich innych, Korteż polecił kapitanowi Franciskowi de Lugo udać się do portu, gdzie stała flota Narvaeza, to jest osiemnaście okrętów, sprowadzić do Cempoalu wszystkich pilotów i szyprów, wiosła stery i busole, aby nie mogli odpłynąć na Kubę z wiadomością do Diega Velazqueza, a gdyby nie chcieli słuchać, kazał ich aresztować. Zabrał Francisco de Lugo z sobą trzech żołnierzy, dawnych marynarzy, do pomocy.

Wydał też Juanowi Velazquezowi de Leon rozkaz podbicia i skolonizowania dorzecza Panuco i wyznaczył do tej akcji stu dwudziestu żołnierzy; stu było żołnierzy Narvaeza, a dwudziestu naszych, którzy mieli większe doświadczenie wojenne. Dołączył jeszcze dwa okręty, które miały zbadać wybrzeże poza ujściem rzeki Panuco.

Podobnie Diego de Ordaz otrzymał dowództwo nad innymi stu dwudziestu żołnierzami w celu skolonizowania okolicy rzeki Guazacualco; miał on od ujścia rzeki Guazacualco wysłać dwa okręty na wyspę Jamajkę po stada świerzop, jałówek, świń i owiec, a także po kury hiszpańskie i kozy, aby je rozmnożyć w tym kraju, bo prowincja Guazacualco miała być bardzo do tego celu sposobna.

Korteż kazał uwolnić i uzbroić wszystkich oficerów Narvaeza, z wyjątkiem jego samego i Salvatierry, który twierdził, że jest chory na żołądek.

Ale szybko obraca się koło nieprzyjaznej Fortuny i po wielkich pomyślnościach i radościach przychodzi smutek. Właśnie wówczas nadeszły wieści o powstaniu w Meksyku, o tym, że Pedro de Alvarado jest otoczony w swej fortecy, która w dwóch miejscach została podpalona, że zabito mu siedmiu żołnierzy, liczni inni są ranni, i że prosi on usilnie o rychłą pomoc. Wiadomość tę przynieśli dwaj Tlaxcalczycy ustnie, niebawem nadszedł list przyniesiony przez dwóch innych Tlaxcalczyków, wysłany przez Pedra de Alvarado, który potwierdził te wieści. W momencie kiedy chcieliśmy wyruszyć, przybyło czterech możnych dostojników, wysłanych przez Montezumę do Korteza, ze skargą na Pedra de Alvarado. Wyplakując liczne łzy z oczu, twierdzili, że Pedro de Alvarado ze wszystkimi żoł-

niezami, jakich mu Korteż zostawił, wyszedł ze swej kwatery i bez powodu napadł na dostojników i kacyków, tańczących i świętujących na cześć bogów Uichilobosa i Tezcatepuki, na co uzyskali pozwolenie od Pedra de Alvarado. Zabił i ranił wielu z nich, oni zaś, broniąc się, zabili mu sześciu żołnierzy. Korteż odpowiedział nieco poirytowany, że pójdzie do Meksyku i zrobi tam porządek. Zanieśli ową odpowiedź Montezumie, który bardzo ją źle przyjął i wpadł w wielki gniew. Równocześnie wysłał Korteż list do Pedra de Alvarado, przykazując mu uważać, aby się Montezuma nie wymknał, my zaś wielkimi pochodami iść będziemy, powiadomił go też o zwycięstwie nad Narvaezem, o czym Montezuma już wiedział.

30

Jak szliśmy wielkimi marszami, Korteż i wszyscy oficerowie, i wszyscy z wojska Narvaeza z wyjątkiem jego samego i Salvatierry, którzy nie zostali uwolnieni, i jak potem walczone z nami w Meksyku

Kiedy nadeszła wieść o oblężeniu Pedra de Alvarado i o powstaniu w Meksyku, wstrzymano oddziały, które miały kolonizować Panuco i Guazacualco. Szliśmy forsownymi marszami aż do Tlaxcali, gdzie dowiedzieliśmy się, że od czasu kiedy doszła do Meksyku wieść o naszym zwycięstwie, zaprzestano kroków wojennych, ale nasi udęczeni byli brakiem wody i żywności, gdyż Montezuma nie kazał im niczego dostarczać.

Zaraz też Korteż zarządził przegląd wojsk, okazało się, że ma tysiąc trzystu żołnierzy, ponad dziewięćdziesiąt sześć koni, osiemdziesięciu muszkieterów i tyluż kuszników. Ta siła wydawała się Korteżowi wystarczająca, aby bezpiecznie wkroczyć do Meksyku. Tlaxcalscy kacykowie dali nam dwa tysiące wojowników. Szliśmy wielkimi etapami aż do Tezcuco, wielkiego miasta, gdzie nikt nas nie przywitał i nie pojawił się żaden naczelnik, wszystko było podburzone i niechętnie. Do Meksyku wkroczyliśmy w dzień świętego Jana Chrzciciela, roku 1520. Na ulicach nie pokazał się ani jeden kacyk, ani dowódca, wszystkie domy były jak wyludnione. A kiedy zbliżyliśmy się do pomieszczeń, które zajmowaliśmy, wielki Montezuma wyszedł na nasze spotkanie na dziedziniec, aby powitać i uściskać Korteza i winszować mu zwycięstwa nad Narvaezem. Ale Korteż, wracając zwycięsko, nie chciał go słuchać i Montezuma wrócił do swych komnat bardzo smutny i zamyślony. Każdy z nas zajął kwaterę, którą zajmował przódzi, a ludzie Narvaeza rozmieścili się w innych. Widzieliśmy się i rozmawialiśmy z Pedrem de Alvarado, on zdał nam sprawę z walk z Meksykanami i z trudów, jakie znosili, a my opowiedzieliśmy im o zwycięstwie nad Narvaezem. Powiedzmy teraz, jak Korteż starał się dowiedzieć, jaka była przy-

czyna powstania w Meksyku, bowiem za pewne mieliśmy, że Montezumie nie było to po myśli. Gdyby bowiem był sprzyjał powstaniu albo gdyby się to było działo za jego radą — mówili ludzie Pedra de Alvarado — byliby ich wszystkich wybili. Montezuma zaś uspokajał ludność i namawiał do zaprzestania wojny. Pedro de Alvarado twierdził, że stało się to, bo Meksykanie chcieli uwolnić Montezumę, i ponieważ Uichilobos im to nakazał z powodu ustawienia w jego świątyni obrazu Matki Bożej i krzyża. Opowiadał też, że wielu Indian chciało zdjąć obraz święty z ołtarza, ale nie zdołali, co za wielki cud mieli, i opowiedzieli o tym Montezumie. Ten rozkazał zostawić na miejscu i ołtarz, i obraz, i nie starać się go usuwać. Mówił ponadto Pedro de Alvarado, że jako Narvaez wysłał zawiadomienie Montezumie, iż przybywa, aby go z więzienia uwolnić, a nas zamknąć, zaś Korteż wmawiał w Montezumę, że dostawszy się do okrętów wsiądziemy na nie i opuścimy ten kraj, a myśmy nie wyszli zeń i wszystko to były puste słowa, a teraz oto widzieli, że przybywa więcej jeszcze *teules*, pomyśleli, że będzie dobrze, zanim powrócimy do Meksyku, my i wszyscy ludzie Narvaeza, uwolnić Montezumę i nie pozostawić przy życiu żadnego z nas, ani z narvaezczyków, tym bardziej że byli pewni, iż Narvaez nas pobije. Tak mówił i tłumaczył się Pedro de Alvarado.

Korteż zapytał go znowu, dlaczego napadł na Meksykanów tańczących i świętujących. Odpowiedział, że miał pewność, iż na zakończenie święta, tańców oraz ofiar na cześć Uichilobosa i Tezcatepuki, zaraz rzucą się na nas wedle ustalonego planu, o czym dowiedział się od jednego z kapłanów, od dwóch wielmożów oraz innych Meksykanów.

Korteż odezwał się: „Zapewniali mnie, że prosili o pozwolenie na uroczystości i tańce”. Alvarado odrzekł, że była to prawda, ale postąpił tak, aby ich nie przygotowanych zaskoczyć, zanim oni na nas napadną. Korteż, usłyszawszy to, z wielkim gniewem go zganił, mówiąc, że stało się bardzo źle i głupio.

Zostawił go i nie było więcej o tym mowy.

*

Zdaje się, że w drodze Korteż przed oficerami Narvaeza chwalił się jak wielki ma szacunek i władzę, i że będą wychodzili mu naprzeciw witając uroczyście i ofiarowywać złoto, i że w Meksyku rozkazuje absolutnie zarówno Montezumie, jak własnym oficerom, i że będą go obsypywać darami, jak zwykle. Teraz widząc, że wszystko jest inaczej, niż myślał, że nawet spyży nam nie dają, trwał w zagniewaniu i trosce, a wobec wielu Hiszpanów, którzy przy nim byli, okazywał się wściekły i obraźliwy. Przysłał doń wielki Montezuma dwóch swoich wielmożów, prosząc, aby go odwiedził, bowiem chce z nim mówić, on zaś odpowiedział: „Niech idzie do diabła!” „Panie

opanujcie gniew — rzekli oficerowie — zważcie, ile dobrego wyświadczył nam król tego kraju, jak nas uczcił, jest przecie tak dobry, że gdyby nie on, dawno byśmy nie żyli i byli zjedzeni, zważcie, że dał nam córki rodzone".

Kortez, usłyszawszy to, wściekł się jeszcze bardziej i rzekł: „Zali mam grzeczność świadczyć takiemu psu, który znosił się z Narvaezem potajemnie, a teraz nawet spyży nam nie daje?!” Na to oficerowie i nasi: „Nam się wydaje, że powinniście tak postąpić, a jest to dobra rada!”

Ale ponieważ Kortez tu w Meksyku miał tylu Hiszpanów, zarówno swoich, jak Narvaeza, nie ustępował i dalej był gniewny i niepohamowany, oświadczył wielmożom, aby rzekli swemu panu Montezumie, że ma natychmiast otworzyć targi i rynki, inaczej zobaczy, co go spotka. Wielmoże zrozumieli dobrze, jak obraźliwe słowa dla ich pana, Montezumy, wyrzekł Kortez, i zauważyli, że oficerowie nasi przyganiiali mu to, a znali ich, jako że odprawiali straż przy ich panu, i że byli jemu bardzo oddani. Powiadomili Montezumę o wszystkim, co słyszeli i zrozumieli. Czy to ze złości, czy że wojna z nami była postanowiona, nie upłynął kwadrans, jak z Tacuby, miasta w sąsiedztwie Meksyku, przybiegł co tchu żołnierz ciężko ranny, który udał był się tam po Indianki należące do Korteza, a między innymi po córkę Montezumy. Ten żołnierz zawiadomił, że całe miasto i grobla, którą przybiegł, pełne były wojowników wszelkiego rodzaju broni, którzy odebrali mu Indianki przezeń prowadzone, a jego samego zranili dwukrotnie — zdołał uciec, kiedy już go mieli zabrać do łodzi i wieźć na ofiarę. Most jeden już zburzono. Kiedy usłyszał o tym Kortez i nas kilku, zatroskaliśmy się bardzo, nieraz bowiem walczyliśmy z Indianami i wiedzieliśmy dobrze, że zwykli atakować wielką masą i choćbyśmy nie wiem jak walczyli, i choć mieliśmy obecnie więcej ludzi, wielkie było dla nas niebezpieczeństwo i głód, i udręki, zwłaszcza, że byliśmy zamknięci w tak warownym mieście.

Przejdźmy dalej i opowiedzmy, jak Kortez postawił Diega de Ordaz na czele kilku konnych i czterystu żołnierzy, w szczególności muszkietarów i kuszników. Miał się on przekonać o prawdziwości słów rannego żołnierza i starać się zaprowadzić pokój bez boju i walki, o ile by to było możliwe. Diego de Ordaz wyszedł ze swymi ludźmi, jak mu rozkazano, ale ledwie się znalazł na ulicy, natarły nań liczne oddziały wojowników meksykańskich z taką gwałtownością, że w pierwszej potyczce stracił osiemnastu żołnierzy, a wielu innych raniono, w tym nawet jego samego. Tak więc i kroku naprzód uczynić nie zdołał, i musiał się cofnąć powoli do kwater. W tym samym momencie, kiedy liczne oddziały podeszły pod nasze kwatery, miotając takie mnóstwo oszczepów i kamieni z proc, tyle strzał, że za jednym razem raniono około czterdziestu siedmiu naszych, a dwunastu pomarło od ran. Napastników było tylu, że Diego de Ordaz, cofając się, nie mógł dostać się do kwater, tak go atakowali, jedni z frontu, inni od tyłu, inni z boku, a także z tarasów.

Zdawałoby się, że nie szkodziły im nasze armaty ani muszkiety, ani kusze, ani włócznie, ani szpady, ani nasza zaciekłość w walce, bo choć zabijaliśmy i raniliśmy wielu z nich, rzucali się na ostrza naszych szpad i włócznie. Coraz bardziej zacieśniali szeregi i nie mogliśmy ich odeprzeć od naszych. W końcu, pod osłoną dział, muszkietów i kusz oraz naszych ciosów, Ordaz z żołnierzami w ranach, zostawiając czternastu zabitych, zdołał przedrzeć się do kwater. Liczne oddziały nie zaprzestawały nas atakować, nazywając nas babami, złoczyńcami i miotając inne zniewagi. I jeszcze nic to było, co dotąd od nich cierpieliśmy, w porównaniu z tym co potem uczynić mieli. Rozzuchwalili się tak, że gdy jedni atakowali z jednej strony, inni z drugiej, dostali się do naszych domów i podpalili je. Dym i ogień przeszkadzały nam walczyć, aż zaradziliśmy temu sypiąc dużo ziemi i barykadując sale, skąd rozszerzał się pożar, zaś Indianie myśleli, że nas żywcem upieką.

Trwały owe walki cały dzień, a nawet w nocy nacierały na nas ich liczne oddziały, tak nas na oślep zasypując oszczepami, kamieniami i strzałami, że przez cały dzień dziedzińce i ziemia wyglądały jakby klepisko zasypane ziarnem. Noc tę spędziliśmy na leczeniu ran, zatykaniu wyłomów i przygotowaniach na dzień następny. Gdy nastał ranek, wódz nasz postanowił, że wszyscy wraz z narvaezczykami mamy wyjść na walkę z nimi, zabierając armaty, muszkiety, kusze. Mamy starać się zwyciężyć, a co najmniej dać im odczuć naszą siłę i odwagę dotkliwiej niżli poprzedniego dnia. Powiem, że jeżeli myśmy powzięli ten zamiar, Meksykanie taki sam plan mieli. Walczyliśmy zawzięcie, ale uderzyli z tak wielką siłą i tyloma oddziałami, mogąc zmieniać je od czasu do czasu, że choćby było dziesięć tysięcy Hektorów trojańskich i tyluż Rolandów, nie zdołaliby ich zwyciężyć. Przyznam się, że nie potrafię opisać ani wysłować tej zaciekłości walki. Nie przeszkadzały im armaty, muszkiety i kusze ani nasz opór, ani nasze ataki, w których zabijaliśmy za każdym razem trzydziestu lub czterdziestu z nich, nie przestawali walczyć w zwartym szyku, z jeszcze większą odwagą niż z początku. A kiedy udało się nam zyskać czasem nieco terenu albo część ulicy, udawali, że się cofają, abyśmy ścigając ich, odłączyli się od naszej głównej siły i naszych kwater, aby tym łatwiej mogli nas atakować, wierząc, że z życiem nie ujdziemy, bo odstępując ponosiliśmy wielkie straty. Wspominałem już, że od domu do domu prowadziły zwodzone drewniane mosty — teraz zostały one podniesione i aby domy podpalać, trzeba było wejść w głęboką wodę, a równocześnie z tarasów padało tyle kamieni, głazów i oszczepów, tak nas dręczyli i tylu z nas ranili że nie mogliśmy zdzierżyć.

Nie wiem, jak mogę pisać o tym tak spokojnie! Żołnierze, którzy przebyli kampanię włoską, wielokrotnie zaklinali się na Boga, że tak okrutnych walk nie widzieli ani między chrześcijanami, ani przeciw artylerii króla Francji, ani z sułtanem tureckim, ani nie widzieli ludzi nacierających

w zwartym szyku i z taką odwagą, jak owi Indianie. Z wielkimi trudnościami zdołaliśmy się wreszcie dostać do naszych kwater, mając na karkach liczne oddziały wojowników, którzy wdarli się z gwizdem i wrzaskiem, trąbiąc i bijąc w kotły, nazywając nas tchórzami niezdatnymi do niczego, gdyż byliśmy niezdolni stawić im czoło przez cały dzień, a jedynie cofaliśmy się.

W tym dniu zabito nam dziesięciu czy dwunastu żołnierzy, a wszyscy wróciliśmy ranni. Noc zeszła na naradzie, należało do dwóch dni wyjść ze wszystkimi zdrowymi żołnierzami, jacy jeszcze byli w obozie, i z czterema machinami w kształcie wież drewnianych, bardzo mocnych, które pomieścić mogły każda dwudziestu pięciu ludzi, ze strzelnicami i otworami dla armat, muszkietów i kusz, pod ich osłoną mieli pójść inni żołnierze, muszkietierowie i kusznicy, a także wszyscy pozostali oraz konni otwierający drogę. Ustaliwszy ten plan, spędziliśmy cały dzień na tej budowie i na umacnianiu wyłomów, i nie wyszliśmy w tym dniu do walki. Trudno powiedzieć, jak liczne oddziały wojowników atakowały nas w naszym obozie, i to nie w dziesięciu czy dwunastu miejscach, ale w ponad dwudziestu, rozstawieni byliśmy wszędzie, a gdy my uzbrajaliśmy się i fortyfikowali, jak mówiłem, ich liczne oddziały starały się przedostać do wnętrza za pomocą drabin i nie można ich było odeprzeć ani strzałami, ani ciosami. Wołali, że w ten dzień nikt z nas nie pozostanie przy życiu i że serca nasze i krew ofiarują bogom swoim, a ucztować będą zjadając nasze ramiona i nogi, ciała zaś porzucą tygrysom, lwom i wężom, które trzymają w zamknięciu, aby nasyciły się nimi, w tym celu trzymano je bez jedzenia od dwóch dni. Nie uradujemy się ani złotem, ani tkaninami, jakie posiadaliśmy, a Tlaxcalczycy, którzy są z nami, zostaną zamknięci w klatkach na utuczenie i niedługo zabici na ofiarę. Z wielką czułością domagali się, abyśmy im wydali Montezumę, ich wielkiego władcę. Przez całą noc ciągle były tylko gwizdy i wrzaski, i grad padających oszczepów, kamieni i strzał.

Kiedy nastał dzień, polecając się Bogu wyszliśmy z obozu z naszymi wieżami, armaty, muszkiety i kusze na przedzie, a konni czyniący na wszystkie strony wypady. Ale choć zabiliśmy wielu Indian, nie udało się nam zmusić ich do ucieczki. Jeśli mężnie walczyli w poprzednich dwóch dniach, jeszcze mężniej i z większą mocą, i liczniejszymi oddziałami walczyli tego dnia. Mimo wszystko postanowiliśmy, że choćbyśmy mieli poświęcić życie, podsuniemy się z naszymi wieżami i machinami aż do świątyni Uichilobosa. Nie chcę rozwodzić się o wielkich walkach, jakie stoczyliśmy przy jednym warownym domu ani ile koni nam zraniono, które zresztą nie były nam pomocne, bo choć nasi jeźdźcy atakowali oddziały Indian, aby je rozproszyć, Indianie miotali tyle oszczepów, strzał i kamieni, że nic nie mogliśmy zdziałać. Gdy konie z bliska nacierały, Meksykanie zsuwali się w kanały i w jezioro i stamtąd zastawiali na jeźdźców nowe zasadzki, inni Indianie

nadbiegali z bardzo długimi dzidami, aby konie zakłuć. Tak więc nie było z nich żadnego pożytku.

Nie mogliśmy podpalić ani zburzyć żadnego domu, bo — jak mówiłem — wszystkie stały na wodzie, a mosty między nimi były podniesione, rzucić się wpław było zbyt niebezpieczne, bo z tarasów leciało tyle głazów i kamieni, że próżne były nasze usiłowania. Poza tym jeśli nawet udało się nam podpalić jakiś dom, płonął on cały dzień, a ogień nie mógł się przenosić z domu do domu, bowiem oddzielała je woda i tarasy. Próżne tedy były nasze usiłowania, w których narażaliśmy życie.

Dostaliśmy się wreszcie w pobliże wielkiej świątyni bożków i na jej stopnie wdrapało się cztery tysiące Meksykanów, nie licząc oddziałów, które tam stały z dzidami długimi, kamieniami i oszczepami, aby nam bronić przystępu. Nie pomagały ani nasze wieże, ani armaty, ani muszkiety, ani kusze, ani jazda, kiedy chciała bowiem atakować, konie ślizgały się i padały na gładkich płytach podwórca. Stopnie świątyni bronili zawzięcie, zewsząd spotykaliśmy opór, i choć nasze armaty zabiły dziesięciu czy piętnastu, a inni legli od naszych ciosów i strzałów, napływało takie mnóstwo luda, że nie mogliśmy dostać się do wysokiej świątyni. Zastanawialiśmy się, jak temu zaradzić. Zostawiliśmy wieże, bardzo już zniszczone, i udało się nam wtargnąć na górę. I tu Kortez okazał się tak dzielny jak zawsze. Och, jakież to były starcia, jakie walki! Dziw było widzieć nas opływających krwią i okrytych ranami, a iluż było poległych! Dozwolił Pan Nasz Jezus Chrystus, że dostaliśmy się do miejsca, gdzie znajdował się zwykle obraz Najświętszej Panny, i nie znaleźliśmy go, bo — jak dowiedzieliśmy się — Montezuma miał mieć szczególne nabożeństwo do niej i kazał obraz bezpiecznie ukryć. Podpaliliśmy ich bałwany i spłonęła część sali z posągami Uichilobosa i Tezcatepuki. Wówczas wielką pomocą byli nam Tlaxcalczycy, przy czym jedni walczyli, inni podpalali, kapłani znajdujący się w wielkiej świątyni i trzy do czterech tysięcy możnych Indian, samych dostojników, starali się nas strącić, i stoczyliśmy się o sześć czy dziesięć stopni w dół, a nowe oddziały, ukryte między zewnętrznymi przyporami i wnękami świątyni, zasypywały nas takim gradem strzał i oszczepów, że ani jednym, ani drugim nie mogliśmy sprostać, i postanowiliśmy z wielkim trudem i z narażeniem życia wycofać się do naszego obozu. Wieże były rozbite, my wszyscy ranni Indianie następowali nam na pięty. Kto tego nie widział, to choć opowiadam najdokładniej, nie zdoła sobie tego przedstawić. Nie wspominam już o oddziałach meksykańskich, które rzuciły się na nasze kwatery po ich opuszczeniu przez nas, i wielkich dokładały starań i wysiłków, aby się tam wdrzeć. W tej bitwie wzięliśmy dwóch najważniejszych kapłanów, których Kortez kazał nam zamknąć w dobrym schronie.

Często oglądałem u Meksykanów albo u Tlaxcalczyków wymalowaną ową bitwę o wielką świątynię i nasze wdarcie się do niej. Uważali to za

czyn bardzo bohaterski. Na tych obrazach jesteście odmalowani ranni, opływający krwią, widać licznych poległych. Indianie leżą zabici na ziemi, dziedzińce i boczne skrzydła są ich pełne, nasze wieże rozbite. Podpalenie przez nas świątyni, gdy strzegło jej tylu wojowników w wykuszach i przyporach, wszyscy uważali za wielki czyn.

Jak możliwe było wtargnąć na te wszystkie stopnie?! Dość jednak o tym, a powiedzmy, jakie trudności czekały nas przy powrocie do naszego obozu. Mnóstwo Indian nas ścigało, innych mnóstwo usiłowało wtargnąć do wnętrza i zważyło już w tym celu jedną ścianę. Z naszym przybyciem to ustało, ale przez resztę dnia i przez całą noc nie przestawali razić nas oszczepami, strzałami i kamieniami.

Tej nocy opatrywaliśmy rany, grzebaliśmy poległych i przygotowywaliśmy się na dzień następny do walki, a także wzmacnialiśmy barykadami ściany rozwalone oraz inne wyłomy. Zastanawialiśmy się, jak dalej prowadzić walkę nie narażając się na takie straty i szkody, ale w tych wszystkich rozmowach nie znachodziliśmy lekarstwa. Muszę też nadmienić, że ludzie Narvaeza przeklinali Korteza, że złorzeczyli jemu i temu krajowi, a nawet Diegowi Velazquezowi, który ich tu wysłał, podczas gdy żyli tak spokojnie w domach swoich na wyspie Kubie, szczęśliwi i bez troski.

Ale wróćmy do naszych narad postanowiliśmy prosić o pokój, abyśmy mogli opuścić Meksyk. Ledwie nadszedł ranek, pojawiły się liczne oddziały wojowników i przystępując do dzieła, otoczyły nas zewsząd, a jeśli poprzednio miotali wiele kamieni i strzał, teraz przybywali liczniejsi, z wyciem i gwizdaniem. Inne oddziały, od innej strony, usiłowały wdrzeć się i nie powstrzymywały ich nasze armaty, muszkiety i kusze, choć wyrządzały im niemałe szkody Korteza postanowił, że Montezuma musi przemówić do nich z jednego tarasu i nakazać zaprzestania walk, zawiadamiając, że chcemy opuścić miasto.

Kiedy w imieniu Korteza powiadomiono o tym Montezumę, ten rzekł z wielką boleścią: „Czegóż żąda ode mnie *Malinche*? Ja nie chcę już ani żyć, ani jego słyszeć, z jego bowiem przyczyny los do takiego stanu mnie przywiódł". I nie chciał wyjść, a nawet rzekł, że nie chce go widzieć ani słyszeć jego fałszywych słów, obietnic i kłamstw. Poszli ojciec Miłosierdzia i Cristóbal de Olid przemówić doń w słowach pełnych uszanowania i serdeczności. Odpowiedział Montezuma: „Myślę, że w niczym nie mogę wpłynąć na zakończenie walk. Wybrali sobie innego władcę i postanowili, że nie pozwolą wam ująć z życiem, myślę, że wam wszystkim przyjdzie zginąć w tym mieście".

Powróćmy do walk, które nie ustawały. Montezuma wyszedł na taras pod strażą naszych licznych żołnierzy i zaczął przemawiać w słowach serdecznych, aby zaprzestali walki, że opuścimy Meksyk. Liczni dostojnicy i wodzowie meksykańscy poznali go i rozkazali, aby ludzie umilkli i nie miotali oszczepów, kamieni i strzał. Czterech z nich podeszło bliżej, aby

mogli rozmówić się z Montezumą, i płacząc rzekli doń: „O panie, nasz wielki panie! Jakże bolesne jest nam wasze nieszczęście i krzywda wasza i waszych synów, i krewnych! Oświadczamy tobie, że obraliśmy władcą już jednego z waszych krewniaków”.

Wymienili Coadlavakę, władcę Iztapalapy, ale oświadczyli, że wojna musi być prowadzona do końca, bowiem poprzysięgli bogom, że nie zaprzestaną jej, póki wszyscy nie zginiemy, i że co dzień modlą się do Uichilobosa i Tezcatepuki, aby chronili Montezumę i uwolnili go spod naszej mocy. A jeśli wyjdzie wolny, jak tego pragną, nie przestaną go uważać za swego króla, on zaś niechaj im przebaczy.

Jeszcze się ta przemowa nie skończyła, kiedy kamienie i oszczepy znów latać zaczęły. Nasi, którzy go osłaniali, zaniechali na chwilę ochrony, mniemając, że w czasie kiedy rozmawia, walka ustanie. Wtedy trafiły go trzy pociski kamienne, jeden w głowę, drugi w ramię, a trzeci w nogę. Proszono go, aby dał się opatrzyć, aby się posilił, przemawiano doń słodkimi słowami — odmawiał, i zanim spostrzegliśmy się, on już nie żył. Kortez zapłakał nad nim i wszyscy nasi oficerowie i żołnierze, a byli między nami ludzie, którzy go znali i przestawali z nim, i opłakaliśmy go jak ojca. Nie dziwota, był to bowiem pan bardzo dobry. Mówiono, że panował w Meksyku lat siedemnaście, że był najlepszym królem, jaki kiedykolwiek panował w tym kraju, który zdobył osobiście w trzech wojnach stoczonych na tych podbitych ziemiach.

Księga ósma SMUTNA NOC

31

Jak po śmierci Montezumy postanowiliśmy wyjść z Meksyku i jak się to odbyło

Kortez zwolnił jednego z kapłanów i jednego z dostojników, aby udali się do kacyka, którego obrali królem, a który zwał się Coadlavaca, i powiadomili jego i jego wodzów, że Montezuma umarł, że byli przy jego śmierci, że zmarł od ran zadanych przez swoich, aby im opowiedzieli, jak bardzo nad tym bolejemy. Niech sprawią mu pogrzeb, na jaki tak wielki król zasługuje, a królem niech obiorą albo jego bratanka, który u nas przebywa, a ma prawo dziedziczyć, albo jednego z synów Montezumy, bowiem ten, którego obrali, nie ma do tego prawa. Chcemy zaś zawrzeć pokój aby móc wyjść z Meksyku, jeżeli się na to nie zgodzą, to teraz, kiedy nie żyje Montezuma, którego szanowaliśmy i dla którego nie niszczyliśmy miasta, wyjdziemy bić się z nimi i spalimy wszystkie domy, i wyrządzimy im wiele złego. Aby zaś przekonali się, że Montezuma nie żyje, rozkazał sześciu najwyższym kapłanom, którzy u nas byli w niewoli, dźwignąć go na ramiona i oddać wodzom meksykańskim, mówiąc, jaka była ostatnia wola Montezumy, bowiem ci, którzy go poniosą, byli obecni przy jego śmierci. I zanieśli. I powiedzieli Coadlavace całą prawdę, jak właśnie ludzie zabili go trzema uderzeniami kamienia.

Kiedy ujrzeli zwłoki, widzieliśmy, jak wielki lament podnieśli, i słyszeliśmy krzyki i wycia żałosne, ale nie zaniechali przy tym zarzucania nas gradem oszczepów, kamieni i strzał, i zaraz rozpoczęli największy atak z niesłychanym męstwem, wołając: "Teraz zaprawdę zapłacicie za śmierć naszego króla i pana, za zniewagi wyrządzone naszym bożkom! Proście o pokój, wynijdziecie, a zobaczycie, jaki i w jaki sposób go uzyskacie!"

Wypowiadali jeszcze wiele słów w tej sprawie i w innych, których nie pomnę i nie przytaczam tutaj. Głosili, że wybrali już dobrego króla, który

nie będzie tak słaby, jak dobry Montezuma, i nie da się zwieść fałszywym słowom, nie mamy się troszczyć o pogrzeb, ale o własne życie, bowiem do dwóch dni nikt z nas przy życiu nie zostanie. Tym słowom towarzyszyły gwizdy i wycia, i miotania kamieni, oszczepów i strzał, a inne oddziały starały się podpalić nasze kwatery w rozmaitych miejscach. Kiedy to Kortez widział i wszyscy nasi, postanowiliśmy nazajutrz wyjść z obozu i skierować się ku domom widniejącym na stałym lądzie.

Widząc, że z dniem każdym siły nasze maleją, a meksykańskie rosną, że tak wielu naszych poległo, a prawie wszyscy są ranni, że choć walczyliśmy mężnie, nie zdołaliśmy zmusić do cofnięcia licznych oddziałów nacierających dniem i nocą, że proch się wyczerpuje, podobnie jak żywność i woda, że wielki Montezuma nie żyje, Indianie nie chcą zgodzić się na rokowania, że mosty są podniesione i śmierć zagląda nam w oczy, Kortez, wszyscy nasi oficerowie i żołnierze postanowili, że wyjdziemy nocą, aby zaś odwrócić uwagę wojowników, tegoż wieczoru wysłaliśmy do nich posłów z prośbą, żeby nam pozwolili odejść w pokoju od tego dnia za tydzień, i zapewniając, że oddamy im wszystko złoto.

Kortez rozkazał natychmiast zbić z belek i desek bardzo mocny most, który mieliśmy zabrać ze sobą i kłaść w miejsce zerwanych mostów. Czterystu Tlaxcalczyków i stu pięćdziesięciu żołnierzy zostało wyznaczonych do transportu i ustawiania oraz pilnowania go, póki nie przeprawią się tabory i wojsko. Do przenoszenia artylerii wyznaczono również dwustu Tlaxcalczyków i pięćdziesięciu żołnierzy, a do walki w straży przedniej wyznaczeni zostali oficerowie Gonzalo de Sandoval, Diego de Ordaz, Francisco de Saucedo i Francisco de Lugo oraz oddział stu żołnierzy, młodych i szybkich, którzy mieli zapewnić łączność i kierować się tam, gdzie okaże się potrzeba. Kortez, Alonso de Avila i Cristóbal de Olid z innymi oficerami mieli zająć środek, w straży tylnej mieli iść Juan Velazquez de Leon i Pedro de Alvarado, a między nimi i poprzednimi mieli pójść oficerowie i żołnierze Narvaeza, trzystu Tlaxcalczyków i trzydziestu żołnierzy miało się zająć jeńcami, dołą Mariną i dołą Luizą.

Taki plan został ułożony, już zaszła noc i należało wydobyć złoto i rozdzielić je. Kortez rozkazał swemu pokojowcowi, nazwiskiem Cristóbal de Guzman, oraz innym żołnierzom ze swej służby, wydobyć złoto, klejnoty i srebro, i przy pomocy licznych Indian Tlaxcalczyków złożyć je w wielkiej sali. Wezwał następnie urzędników królewskich, Alonsa de Avila i Gonzala Mexię, aby wydzielili część królewską, i dał im siedem koni, rannych i kulawych, jedną klacz i licznych sprzymierzeńców tlaxcalskich, a było ich ponad siedemdziesięciu. Załadowali, ile tylko mogli unieść. Złoto było w wielkich sztabach, jak już mówiłem. Ale stosy złota pozostały jeszcze w sali. Wówczas Kortez przywołał swego sekretarza i notariuszy królewskich i rzekł: „Poświadczcie mi, że nie w mej mocy dłużej strzec tego skarbu. W tym budynku i komnacie mamy ponad siedemset tysięcy

pesos złotych, a jak widzicie, nie można tego ważyć i ukryć. Ponieważ musi to zostać, niech żołnierze czerpią z tego, ile chcą, zamiast żeby miało to pozostać dla tych psów".

Ledwie to usłyszeli żołnierze Narvaeza i niektórzy z naszych, obarczyli się tym złotem. Nie było we mnie chciwości, starałem się przede wszystkim ratować życie, ale nie omieszkałem porwać jednej szkatułki z czterema *chalchiuis*, kamieniami najbardziej przez Indian cenionych, i co rychlej ukryłem ją na piersi pod zbroją. Oddały mi potem wielkie usługi, kiedy leczyłem moje rany i musiałem zdobywać żywność.

Było bardzo ciemno, leżała mgła i deszcz mżył, przed północą ruszyliśmy, prowadząc konie i Tlaxcalczyków obarczonych złotem. Położono most. Najpierw przeszedł Korteza, jego towarzysze i jazda. Kiedyśmy na most wstąpili, rozległy się nawoływania, krzyki, trąbki, gwizdy Meksykanów wołających do ludzi z Tatelulco: „Wyplyniecie co rychlej z łodziami, *teules* uchodź! Uderzcie na nich, aby nikt żyw nie pozostał!" W oka mgnieniu ujrzyliśmy całe jezioro pokryte łodziami i tyle oddziałów nas atakujących, że nie mogliśmy im sprostać. Tymczasem liczni nasi już się przeprawili. Taka mnogość Meksykanów parła, aby zwalić most, zabijając i raniąc dokoła, że wzajemnie sobie przeszkadzali. A kiedy przyjdzie los zły, jedno nieszczęście za drugim bieży, ponieważ padał deszcz, konie się ślizgały i padały w wodę. Spostrzegłszy to, ja i inni żołnierze Korteza rzuciliśmy się ku tej stronie mostu, ale natarło naraz tylu wojowników, że choć walczyliśmy mężnie, na nic nam się most nie zdał, przechylił się i kanał napełnił się wkrótce trupami koni, Indian, Indianek, ciurami, tobołami i skrzyniami. Lękając się, aby nas nie wykończyli, ruszyliśmy groblą naprzód i natknęliśmy się na inne liczne oddziały, które nas tam czekały, z długimi dzidami, obrzucając nas obelgami, wrzeszczeli: „Och, *cuilonos**, jeszcze żyjecie?!"

Przedarliśmy się rozdając pchnięcia i ciosy wokoło. Jeśli taki był plan przewidziany, niechaj będzie przeklęty! Bowiem Korteza i oficerowie, i żołnierze, którzy przeszli pierwsi na koniach, aby ratować życie i dostać się na ląd stały, gnali naprzód groblą i udało im się. Uratowane zostały także konie niosące złoto i Tlaxcalczycy. Gdybyśmy my, konni czy piesi, opóźniali się, pragnąc sobie wzajemnie pomagać, byłibyśmy wszyscy wyginęli i żaden z nas nie pozostałby przy życiu, a wszystko dlatego, że idąc groblą potykaliśmy się z oddziałami meksykańskimi, nacierającymi od wody i od tarasów. Jezioro było pełne łodzi, nie mogliśmy nic innego czynić, bowiem kusze i muszkiety pozostały wszystkie na moście, tak że w ciemności moglibyśmy tylko walczyć wręcz i rozdawać pchnięcia tym, którzy nacierali, i tylko pchać się naprzód i przepychać się, aby co rychlej wyjść poza groblę.

* *cuilonos* — sodomici.

Za dnia byłoby jeszcze gorzej. Ci, którzy uratowali się, uratowali się tylko dzięki łasce Najwyższego. Jakżeż opisać tę rzecz straszliwą komuś, kto nie oglądał owej straszliwej nocy, mrowia nacierających wojowników i łodzi ich, unoszących naszych żołnierzy?!

Dążyliśmy tak ową groblą w kierunku Tacuby, gdzie już stanął Korteż i wszyscy oficerowie, i Gonzalo de Sandoval, i Cristóbal de Olid, i jeźdźcy inni, którzy przedarli się pierwsi. Mówili oni: „Wasza miłość, wodzu, zatrzymajmy się, powiedzą, że uciekamy, zaś im pozwalamy ginać w kanałach. Wróćmy im na pomoc, jeśli jacyś jeszcze zostali przy życiu”.

Korteż odpowiedział, że cud to istny, jeśli udało nam się przejść. Jednak zawrócił, a z nimi konni i żołnierze, którzy nie mieli ran. Nie posunęli się jednak daleko, ujrzeni bowiem Pedra de Alvarado, który zbliżał się ranny, ze swą włócznią i opończą, pieszo, bowiem jego jabłkowita klacz została zabita, prowadził czterech żołnierzy również rannych i ośmiu Tlaxcalczyków opływających krwią z licznych ran. Podczas gdy Korteż i inni oficerowie zawrócili na groblę, myśmy dotarli do Tacuby, a już tam i do innego miasta, które nazywało się Escapuzalco, biegły oddziały meksykańskie z nawoływaniem i rozkazami. Meksykanie rzucili się na nas z długimi dzidami, posypały się oszczepy, strzały i kamienie, i stoczyliśmy kilka potyczek, broniąc się lub nacierając.

Powróćmy jednak do Pedra de Alvarado. Kiedy Korteż i inni oficerowie ujrzeni go w takim stanie i dowiedzieli się, że nikt więcej z żołnierzy, nie idzie, łzy zalały im oczy. Opowiedział Pedro de Alvarado, że Juan Velazquez de Leon poległ przy moście wraz z innymi konnymi, zarówno naszymi, jak Narvaeza, których było ponad siedemdziesięciu. On zaś i czterech żołnierzy, których przywiódł, kiedy im konie zabito, przeprawili się przez kanał z wielkim niebezpieczeństwem, poprzez trupy ludzi, koni, toboły, jakimi w tym miejscu kanał był pokryty, a wszystkie przejścia i ulice pełne były wojowników. opowiadano potem, że przy owym nieszczęsnym kanale miał mieć miejsce ów słynny skok Pedra de Alvarado, ale twierdząc, że w owym momencie żadnemu żołnierzowi nie było w głowie patrzeć, czy skacze on blisko, czy daleko, bowiem śmierć nam groziła wśród takiego mnóstwa nacierających Meksykanów. Nedorzecznnością jest mówić (jak to czyni Gomara), że skoczył on, opierając się na włóczni — woda była tam za głęboka, a włócznia za krótka, aby sięgnąć dna. Kanał był poza tym bardzo wielki i głęboki i nie zdołałby go przeskoczyć, choć był tak zręczny, ani na włóczni, ani inaczej. Dziś można sprawdzić, jak wysoko dochodziła woda w owym czasie, jak wysokie były ściany grobli, na których opierały się belki mostu, i jak szeroki był kanał. Nie chcę się jednak dłużej nad tym rozwodzić i tylko powiem, że w czasie naszego pobytu w Tacubie połączyli się wojownicy meksykańscy ze wszystkich okolicznych miejscowości i zabili nam trzech żołnierzy. Postanowiliśmy najrychlej opuścić to miasto i pięciu Indian tlaxcałskich poprowadziło

nas okrężnymi drogami aż do domostw stojących na wzgórzu i do tamtejszej świątyni, i w tej przygodnej fortecy odpoczywaliśmy. Muszę rzec, że przez cały czas ścigali nas Meksykanie rażąc nas strzałami, oszczepami, kamieniami miotanymi z proc — strach brał, kiedy nas otaczali wokół, nie przestając nacierać. W tej świątyni rozłożyliśmy się i opatrywali nasze rany, o jedzeniu nie było nawet co myśleć. Tę świątynię po odbiciu Meksyku zamieniliśmy na kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Uzdrowicielki. Żałosny to był widok, jak opatrywaliśmy i owijaliśmy rany strzępami opończy, ponieważ było zimno, rany puchły i bolały. Ale bardziej opłakiwaliśmy konnych i pieszych, których zabrakło, a byli między nimi i Juan Velazquez de Leon, i Francisco de Saucedo, i Francisco de Morla, i dobry jeździec Lares, i wielu innych żołnierzy Korteza. Dlatego wymieniam tych kilku, bo zbyt długo by trwało wymieniać wszystkich naszych poległych i nie skończyłbym tak rychło, powiem jeszcze, że spomiędzy ludzi Narvaeza przeważna liczba pozostała w kanałach, tak byli obciążeni złotem. Dodam, że nawet astrologowi Botelli na nic nie zdoła się astrologia, poległ również ze swoim koniem. Przy zerwanych mostach zginęli też synowie i córki Montezumy, więźniowie przez nas prowadzeni, Cacamatzin, władca Tezcucó, oraz inni królikowie prowincji.

Namyślaliśmy się, co nam jutro zgotuje wszyscy byliśmy ranni, uratowały się jedynie dwadzieścia trzy konie, armaty, cała artyleria i proch zostały stracone. Kusz niewiele zostało, naprawialiśmy je i dorabialiśmy strzały. Najgorsze ze wszystkiego było, że nie wiedzieliśmy, w jakim usposobieniu zastaniemy naszych przyjaciół w Tlaxcali. Otoczeni ciągle przez Meksykanów, dręczeni wrzaskami, zasypywani oszczepami, strzałami, kamieniami, postanowiliśmy wyjść o północy i prowadzeni przez Tlaxcalczyków w dobrym porządku posuwaliśmy się dalej w środku ranni i kulawi o laskach, ci, którzy iść nie mogli i bardzo byli słabi — na łękach koni, również okulałych, niezdatnych do walki, a jeźdźcy, którzy ranni nie byli, na przedzie i po obu skrzydłach. W ten sposób gdy my, zdrowi, stawialiśmy czoło Meksykanom, ranni Tlaxcalczycy szli wewnątrz naszego oddziału, inni, zdrowi, walczyli pospołu z nami, bowiem Meksykanie bez przerwy w nas uderzali gwizdząc i krzycząc: „Tam gdzie idziecie, nikt z was nie zostanie przy życiu!” Nie wiedzieliśmy tylko, dlaczego tak mówią, ale dalej się to pokazało.

Zapomniałem powiedzieć, jak radowaliśmy się ujrzawszy żywe donę Marinę i donę Luizę, córkę Xicotengi, uratowali je przy pierwszym moście synowie Xicotengi, a bracia dońi Luizy.

Tego dnia, ścigani ustawicznie przez Meksykanów, przybyliśmy do domostw i zagród wielkiej osady, zwanej Gualtitan. Nazajutrz rano ruszyliśmy w tym samym porządku i o jakąś milę stamtąd, na równinie, kiedy myśleliśmy, że już jesteśmy bezpieczni, zawrócili nas zwiadowcy z wieścią, że pola pełne są wojowników meksykańskich, którzy nas oczekują. Usły-

szawszy to, przeraziliśmy się, ale nie straciliśmy ducha i nie uchyliliśmy się od walki, zdecydowani bić się do upadłego. Odpoczęliśmy nieco. Wydano rozkazy. Jazda miała uderzać i zawracać drobnym truchtem, nie przebijając dzidami, tylko rozorywując twarze i rozbijając szeregi, a wszyscy żołnierze mieliśmy wypruć sztychami wnętrzności, by pomścić naszych poległych i rannych, ale tak, aby z bożą pomocą wyjść żywo. Poleciwszy się z całego serca Maryi Pannie i Bogu, wezwawszy imienia świętego Jakuba, skoro ujrzelśmy, że nas otaczają, jazda piątkami zaczęła przedzierać się przez ich szyki, a my za nią. Och, warto było widzieć tę straszliwą i zacieklą walkę! Zmieszaliśmy się z nimi i walcząc posuwaliśmy się krok po kroku, rozdając bez liku ciosów i sztychów. Warto było widzieć, z jaką furją atakowały nas te psy, jak ranili i zabijali naszych swymi dzidami i maczugami, i mieczami obosiecznymi, ale że walka toczyła się na równinie, nasi konni atakowali swobodnie swymi włóczniami, a choć sami ranni i konie ich ranne, jako mężowie dzielni nie zaprzestawali walki, a w nas wszystkich, którzy nie mieliśmy koni, jakby się odwaga podwoiła. Choć ranni od ran dawnych i świeżych, nie zatrzymywaliśmy się dla ich opatrywania, nie był czas po temu, ale z wielkim męstwem ścieraliśmy się z nimi, rozdając ciosy.

Chcę opowiedzieć, jak Kortez i Cristóbal de Olid, i Gonzalo de Sandoval, i Gonzalo Dominquez, i Juan de Salamanca, rzucając się to tu, to tam, choć ciężko ranni, przełamali ich szyki. Kortez krzychał do nas, którzy ścieraliśmy się z wrogami, abyśmy uderzali na wodzów, łatwych do rozpoznania po pióropuszech złotych, bogatych zbrojach i znakach. Trzeba było widzieć, jak nas zachęcał dzielny i zuchwały Sandoval mówiąc: „Hej, panowie, dziś jest dzień naszego zwycięstwa, miejcie nadzieję w Bogu, że wyjdziem z tego żywi dla jeszcze większych przeznaczeń!”

Kortez i inni oficerowie przy nim będący dostali się tam, gdzie ze swoim zastępem znajdował się wódz naczelny Meksykanów — stał pod swym rozwiniętym sztandarem, w bogatej zbroi złotej i w wielkich srebrzystych pióropuszech. Ledwie Kortez zoczył jego oraz innych dostojników meksykańskich, zawołał do oficerów: „Hej! Panowie! Uderzmy na nich i niechaj żaden z nich nie uniknie rany!”

Przeto poleciwszy się Bogu uderzyli Kortez tak natarł koniem na wodza meksykańskiego, że ten upuścił sztandar. W pościg za nim rzucił się Juan de Salamanca na swej dereszowatej klaczy, przebił go włócznią i zerwał mu pióropusz, który odniósł Kortezowi, mówiąc, że jemu należy się to trofeum, bowiem on pierwszy natarł i obalił sztandar, przez co upadł duch w wodzu i w jego wojownikach. Ale po trzech latach Król Jegomość przydał ten pióropusz do herbu Juana de Salamanca i dotąd zachowują go w herbie jego potomkowie.

Po śmierci wodza, który niósł sztandar, oraz innych naczelników, Meksykanie stracili zapał i zaczęli się cofać. Nasi jeźdźcy ścigali ich i na-

cierali, nie czuliśmy ani głodu, ani pragnienia, zdawało się, jakbyśmy nie doznali ani ran, ani trudów żadnych. Zabijając i rażąc, utwierdzaliśmy nasze zwycięstwo.

Nasi przyjaciele z Tlaxcali bili się jak lwy mieczami, koncerzami oraz inną bronią znalezioną na polu, dokazywali cudów. Po powrocie konnych z pościgu złożyliśmy dzięki Bogu, że uszliśmy takiemu mrowiu wroga, bowiem w żadnej prowincji zamieszkałej przez Indian nigdy nie widziano ani nie stoczono bitwy, w której by brała udział tak wielka liczba wojsk naraz. Był to kwiat wojowników Meksyku i Tezcucó oraz innych miast okolicznych — zebrali się w przekonaniu, że tym razem z nas ślad nie zostanie. A jakież tam były zbroje bogate, ze złotem, z pióropuszcami i znakami! Iluż wodzów i wysokich dostojników! Ta okrutna i pamiętna bitwa rozegrała się niedaleko miejscowości zwanej Otumba. Wymalowana jest ona i wyrzeźbiona przez Indian wraz z innymi licznymi bitwami stoczo-nymi z Meksykanami przed zdobyciem Meksyku.

Zwróć uwagę ciekawych czytelników, którzy to czytać zechcą, i pragnę im na pamięć przywieść, że kiedy wyprawiliśmy się na pomoc Pedrowi de Alvarado do Meksyku, było nas wszystkiego ponad tysiąc trzystu żołnierzy razem z konnymi, których było dziewięćdziesięciu siedmiu, osiemdziesięciu kuszników i tyle samo muszkietarów oraz ponad dwa tysiące Tlaxcalczyków i liczna artyleria. Weszliśmy do Meksyku w dzień świętego Jana czerwcowego 1520 roku, a nasza ucieczka miała miejsce 10 lipca tegoż roku. Bitwa pod Otumba odbyła się 14 lipca. Kiedy uszliśmy już wszystkich niebezpieczeństw wyżej przytoczonych, chcę zrobić inny rachunek i powiem, że w ciągu pięciu dni zginęło i zostało zabitych na ofiarę ponad ośmiuset żołnierzy, a prócz tego dwunastu zabito w miejscowości Tustepeque oraz pięć kobiet z Kastylii. Byli to ludzie Narveza, poza tym zabitych zostało ponad tysiąc dwustu Tlaxcalczyków.

Dalej szliśmy już z lżejszym sercem, pojadając dynie zwane *ayotes* i kierując się na Tlaxcalę. Chcieliśmy wyjść z owych miejscowości powodowani obawą, aby nie przyłączyły się one do oddziałów meksykańskich, bo ścigano nas okrzykami i ciskano w nas liczne kamienie z proc i strzały, i oszczepy. Tak trwało, aż doszliśmy do domostw innej wioski, gdzie była mocna świątynia i warownia. Tam odpoczęliśmy opatrując rany i spędziliśmy noc spokojniej, choć stale mieliśmy na karku oddziały meksykańskie idące za nami w ślad, nie śmiały już jednak zbyt blisko zbliżyć się do nas, było to, jakby mówiły: „Idźcie precz z naszej ziemi!” Z tej wioski i domu, gdzie spoczywaliśmy, widać już było wzgórze, które są granicą Tlaxcali, i widok ich nas uradował, jakby to były nasze własne domy, choć któż mógł zapewnić, że Tlaxcalczycy zostaną nam wierni?

Kortez mówił nam, że ponieważ nas jest tak mało, bo zostało tylko czterystu czterdziestu żołnierzy, w tym dwudziestu konnych, dwunastu kuszników i siedmiu muszkietarów, i nie mamy prochu, wszyscy jesteśmy

ranni, kulawi i kalecy, on prosi nas, abyśmy w Tlaxcali nie drażnili ludności ani niczego nie zabierali. Tłumaczył to zwłaszcza ludziom Narvaeza, którzy nie byli przyzwyczajeni podlegać takim oficerom jak nasi. Mówił im, że ma nadzieję odnaleźć Tlaxcalczyków życzliwymi i wiernymi, a gdyby inaczej było, do czego niech Bóg nie dopuści, trzeba nam będzie przepychać się z wielkim męstwem i zbrojnym ramieniem, dlatego trzeba nam iść bardzo ostrożnie, wysyłając przodem patrole.

Doszliśmy do źródła na stoku góry, były tam jakby ogrodzenia i wały z dawnych czasów, i nasi przyjaciele tlaxcalscy oznajmili, że tędy biegnie granica między Meksykanami a nimi. Odpoczęliśmy dobrze, obmyliśmy się, pożywili po udręce przebytej i zaraz ruszyliśmy dalej i dotarliśmy do miejscowości Guaolipar, gdzie nas przyjęto i nakarmiono, ale nic za darmo — daliśmy im kilka tabliczek złota i *chalchiuis*. Tam zatrzymaliśmy się przez jeden dzień, aby odetchnąć i opatrzyć rany nasze i naszych koni. Kiedy się o tym dowiedziano w stolicy Tlaxcali, zaraz przybyli Masseescaci i Xicotenga Stary, i Chichimecatecle oraz wielu innych kacyków i naczelników. Brali w ramiona Korteza i wszystkich naszych oficerów i żołnierzy, oplakując niektórych.

Masseescaci i Xicotenga, i Chichimecatecle rzekli do Korteza: „Och, *Malinche*, *Malinche*! Jakże nas boli wasze nieszczęście i wszystkich waszych braci, a także tylu naszych, którzy przy was poginęli. Wszak wielokroć mówiliśmy wam, abyście nie ufali narodowi meksykańskiemu, bowiem tego lub owego dnia was napadną. Nie chcieliście wierzyć. Stało się. Nic innego nie można teraz począć, jak leczyć was i odżywić. Udamy się do naszego miasta, by wam przygotować mieszkanie. A nie myśl, *Malinche*, że niewiele zdziałałeś uchodząc z życiem z tak warownego miasta i z jego mostów. Mówię tobie, że jeśli przedtem uważaliśmy was za dzielnych, obecnie jeszcze bardziej. Wiem, wiele kobiet i Indianek naszych wsi oplakiwać będzie śmierć synów i mężów, i braci, i krewniaków. Nie trap się tym. Zawdzięczasz wiele waszym bogom, co cię tutaj przywiedli i wyrwali spośród takiego mnóstwa wojowników, którzy oczekiwali koło Otumby, aby was w pień wyciąć. Wiedziałem o tym od czterech dni i chciałem iść wam na pomoc z trzydziestu tysiącami naszych wojowników, ale nie mogłem wyjść, bowiem nie byliśmy zebrani, oni zaś szli kupą”.

Kortez i inni oficerowie i żołnierze ściskali ich i dziękowali im, a Kortez dał wszystkim dostojnikom klejnoty złote i drogie kamienie, jakie się uchowały, i każdy żołnierz dołożył coś ze swego. Jakaż była radość z powodu ocalenia doni Mariny i doni Luizy, a jakże płakali i smucili się z powodu innych Indianek. Zwłaszcza Masseescaci oplakiwał swą córkę Elwirę i śmierć Juana Velazqueza de Leon, któremu ją oddał. Doszliśmy tedy do Tlaxcali w towarzystwie wszystkich kacyków. Kortez zamieszkał w domu Masseescaciego, Xicotenga oddał swe domostwo Pedrowi de Alva-

rado i tam leczylimy się i przychodziliśmy do zdrowia, choć czterech żołnierzy zmarło od ran.

*

Opowiedzmy, co nam w Tlaxcali zdarzyło się z Xicotengą Młodszym, o jego złej woli. Był on naczelnym wodzem całej Tlaxcali, kiedy walczyli z nami, a kiedy w owym mieście dowiedziano się, że opuściliśmy Meksyk w ucieczce, że straciliśmy bardzo wielu żołnierzy, zarówno naszych, jak Indian Tlaxcalskich, Xicotenga Młodszy zaczął zwoływać wszystkich swych krewnych i przyjaciół oraz innych, o których wiedział, że są po jego stronie, i umawiał się z nimi, aby pewnego dnia czy nocy, kiedy im czas wyda się najspodobniejszy, wymordowali nas i zawarli przyjaźń z władcą, który właśnie w Meksyku jednogłośnie został wybrany królem i zwał się Coadlavaca, oraz aby wszystkie tkaniny, szaty i opończe, pozostawione na przechowaniu w Tlaxcali, oraz wszystko złoto, zdobyte w Meksyku, zrabowali i wzbogacili się przez to. Kiedy dowiedział się o tym Xicotenga Stary, bardzo się rozgniewał niechaj rzecz taka nie przechodzi mu nawet przez myśl, byłby to grzech wielki i gdyby to doszło do wiadomości Masseescaciego, Chichimecatecli oraz innych kacyków Tlaxcali, mogliby ukarać śmiercią jego i innych spiskowców. Ale im bardziej sierdził się ojciec, tym mniej syn troszczył się o to i trwał w swoim niegodziwym zamiśle.

Doszły te sprawy do uszu Chichimecatecli, który był jego śmiertelnym wrogiem, ten powiadomił Masseescaciego, postanowili postąpić zgodnie i po naradzie przywołali Xicotengę Starego i kacyków z Guaxocingo i rozkazali przyprowadzić Xicotengę Młodszego w łykach Masseescaci wobec wszystkich oświadczył, że od lat stu nie widziano w Tlaxcali takiej pomyślności, jak od czasu przybycia *teules*, mają wszystkiego pod dostatkiem i tkanin bawełnianych, i złota, i soli, a gdziekolwiek Tlaxcalczycy udają się i *teules* sławę zyskują, choć teraz wielu ich w Meksyku poległo. Niech na pamięć przywiodą, że praojcowie ich wiele lat temu przepowiedzieli, że od wschodu słońca mają przyjść ludzie, którzy nad nimi panować będą, a tymczasem teraz Xicotenga knuje zdradę i niegodziwość umawiając się, aby napaść na nas i wymordować nas, co jest wielką nieprawością i żadnego usprawiedliwienia nie znajdzie on dla takiego bezceństwa i złego czynu, które kryje w swym sercu. Teraz, kiedy nas widzi w takiej opresji, zamiast, jak należy, dać nam pomoc, abyśmy mogli, przyszedłszy do zdrowia, powrócić do Meksyku i pokonać nieprzyjaciół, on taką zdradę obmyśla. Na te słowa Masseescaciego i Xicotengi Starego, ślepeca, Xicotenga Młodszy odpowiedział, że po rozwadze postanowił nieodparcie zawrzeć pokój z Meksykanami oraz mówił wiele innych rzeczy, których nie mogli ścier-

pieć. Powstali tedy Masseescaci i Chichimecatecle, i starzec, ojciec jego ślepy, porwali go za kołnierz i opończę, które podarli w kawały, i popychając go i miotając zniewagi, zrzucili go ze stopni w dół, szarpali na nim szaty i gdyby nie obecność starego ojca, byłiby go zabili, związali go tedy i wszystkich, którzy w spisku udział brali.

Spędziliśmy w tej miejscowości już dwadzieścia dwa dni, lecząc swoje rany i przychodząc do sił. Kortez postanowił wyprawić się na prowincję Tepeaca, leżącą w pobliżu, gdzie w drodze z Meksyku zabito wielu żołnierzy naszych i Narvaeza. Kiedy powiadomił o tym naszych oficerów i wezwał żołnierzy Narvaeza do udziału w wyprawie, ci ostatni oświadczyli, że nie chcą iść na Tepeakę ani na żadną wyprawę, ale chcą powrócić do domów — wystarczą straty, jakie ponieśli opuszczając Kubę. A kiedy widzieli, że z Kortezem na nic nie zdadzą się słowa, sporządzili w obecności notariusza królewskiego formalne podanie, aby im było wolno poniechać wojny i natychmiast udać się do Villa Rica. Przedstawiali, że nie mamy ani koni, ani muszkietów, ani kusz, ani prochu, ani konopi, ani bawełny do robienia lin, że wszyscy są ranni i że ze wszystkich naszych i Narvaeza żołnierzy pozostało jedynie czterystu czterdziestu ludzi, że w rękach Meksykanów są porty i góry, i przełęcze, że okręty, jeśli dłużej zwlekać będziemy, zjedzone będą przez robactwo, i wykładali w tym piśmie wiele innych spraw. Kiedy doręczali je i odczytali Korteżowi, choć wiele wymownych słów w tym piśmie było, on odpowiedział jeszcze wymowniej, zbijając je, a my wszyscy podobnie.

Po wielu pertraktacjach zgodzili się wreszcie pójść z nami na najbliższe wyprawy. Kortez przyrzekł im tylko, że skoro się sposobność nadarzy, pozwoli im odjechać na Kubę.

Księga dziewiąta PRZYGOTOWANIE ODWETU

32

*O wyprawie do prowincji Tepeaca, jak tam sobie poczynaliśmy oraz o
innych przygodach, jakie nas spotkały*

Kiedy Korteż zażądał od kacyków z Tlaxcali pięciu tysięcy wojowników na wyprawę przeciw Tepeace, Cachuli i Tecamachalco, aby ukarać te miasta za zabicie Hiszpanów, Masseescaci i Xicotenga Stary, mimo że w Tepeace była bardzo silna załoga meksykańska, której się bali, z wielką ochotą przystali na to, bowiem tamci Indianie obrabowali kilka osiedli.

Na ową wyprawę nie mieliśmy ani artylerii, ani muszkietów — wszystkie zostały przy mostach — a jeśli nawet jakiś ocalał, nie mieliśmy prochu. Wyszliśmy więc w siedemnaście koni, z sześcioma kuszami, czterystu dwudziestu żołnierzami uzbrojonymi w miecze i tarcze, z dwoma tysiącami sprzymierzonych Tlaxcalczyków, z żywnością na jeden dzień, bowiem ziemie, przez które szliśmy, były licznie zamieszkałe i obfitujące w kukurydzę, kury i małe pieski. W należyтым szyku przybyliśmy na nocleg o trzy mile od Tepeaki, ale wszystkie domostwa i osady, przez które przechodziliśmy, stały pustką, ogołocone doszczętnie. Aby wszystko odbyło się legalnie i sprawiedliwie, Korteż wysłał sześciu Indian tepeackich, których zastaliśmy w domach razem z czterema ich żonami, aby zawiadomili w Tepeace, że przybywamy, aby dochodzić, kto i wielu winnych jest śmierci siedemnastu Hiszpanów, zabitych bez żadnej przyczyny na drodze z Meksyku, a także, w jakim celu znajdują się tam znowu liczne oddziały meksykańskie, z którymi napadli i obrabowali kilka osiedli należących do naszych przyjaciół Tlaxcalczyków. Prosi ich, aby niezwłocznie przybyli do naszego obozu zawrzeć pokój i stać się naszymi przyjaciółmi oraz aby z miasta swego usunęli Meksykanów. Jeśliby zaś tego nie uczynili, mieć ich będziemy za buntowników, morderców i rozbójników, ukarani zostaną ogniem i krwią i podani w niewolę. Poszło owych sześciu Indian i cztery kobiety z tej wioski z naszymi

zuchwałymi słowami, a wrócili z jeszcze zuchwalszą odpowiedzią. Brzmiała ona, abyśmy odeszli, skąd przybyliśmy, a jeśli nie, nazajutrz urządzą z naszych ciał biesiadę lepszą niżli przy mostach Meksyku albo w Otumbie, i już się do tego zaczęli przygotowywać. Co słysząc i my zaczęliśmy gotować się do walki.

Nazajutrz na równinie stoczyliśmy zacieklą bitwę z Meksykanami i Tepeakczykami na polach porośniętych kukurydzą i agawą. Meksykanie, choć walczyli dzielnie, zostali rozbici przez naszych jeźdźców, a my, walczący pieszo, też nie zostaliśmy w tyle.

Kiedy mieszkańcy Tepeaki ujrzeni, że pomimo przechwałek Meksykanie, którzy stali u nich załogą, zostali rozbici i zniesieni, a oni wraz z nimi, potajemnie przybyli do naszego obozu, uznali zwierzchność Jego Królewskiej Mości, wypędzili Meksykanów ze swych domów, a my weszliśmy do Tepeaki, gdzie założone zostało miasto nazwane Segura de la Frontera, bowiem leżało na drodze do Villa Rica, na pograniczu pięknych osad podległych Meksykowi, w okolicy bogatej w kukurydzę, i strzegło granicy naszych przyjaciół z Tlaxcali. Ustanowiono tam alcaldów i ławników i wydano im rozkaz kontrolowania okolicy podległej Meksykowi, a zwłaszcza miast, w których zabito Hiszpanów. Sporządzona została pieczęć żelazna, którą pieczętowano niewolników, nosiła ona literę G, to znaczy guerra*. Z tego miasta Segura de la Frontera wyprawialiśmy się w okolice, do Cachuli i Tecamachalco oraz do innych miast, których nazw nie pomnę. W Choluli, gdzie zamordowano piętnastu Hiszpanów, a także w Cachuli, wzięliśmy licznych niewolników. W ten sposób w mniej więcej czterdziestu dniach miejscowości te zostały ukarane i pacyfikacja przeprowadzona.

Tymczasem, w Meksyku został wybrany nowy władca, ten bowiem, który nas wygnał z miasta, pomarł na czarną ospę. Nowo obrany był bratankiem czy też bliskim krewniakiem Montezumy i zwał się Guatemuz. Był to młodzieniec lat koło dwudziestu pięciu, jak na Indianina szlachetnej postawy, bardzo mężny i tak srogi, że wszyscy przed nim drżeli. Ożeniony był z córką Montezumy, jak na Indiankę bardzo piękną kobietą. Kiedy ten Guatemuz, władca Meksyku, dowiedział się, że znieśliśmy załogi meksykańskie w Tepeace, że jej mieszkańcy uznali zwierzchność Jego Królewskiej Mości i służyli nam, i dostarczali żywność, i że osiedliliśmy się tam, lękał się, że zagarniemy Guaxakę oraz inne prowincje i wszystkie zawrą z nami przyjaźń. Rozesłał swych posłów po wszystkich szczepach, aby stanęły pod bronią. Kacyków obdarzył klejnotami złotymi, innym odpisał daninę, a przede wszystkim powołał wielkie oddziały wojowników i wzmocnił załogi pilnujące, abyśmy nie weszli na jego ziemie. Przykazywał walczyć z nami do upadłego, aby nie przytrafiło im się to, co tamtym z Tepeaki, Cachuli i Tecamachalco, którzy popadli w niewolę.

* Guerra (hiszp.) — wojna

O przybyciu do Villa Rica okrętów wysłanych przez Diego Velazqueza i Franciska de Garay

Gdy przebywaliśmy w owej prowincji Tepeaca nadeszły listy z Villa Rica, donoszące o zawinięciu pewnego okrętu do portu. Kapitanem jego był wielki przyjaciel Korteza, Pedro Barba, który był namiestnikiem Diega Velazqueza na Hawanie. Barba przywiózł trzynastu żołnierzy, konia i klacz, bowiem okręt był bardzo niewielki, przywiózł także listy dla Panfila de Narvaez od Diega Velazqueza, który przypuszczał, że Narvaez opanował już całą Nową Hiszpanię, a nas całkowicie pokonał; w listach tych Velazquez polecał, aby Narvaez, o ile Kortez nie jest zabity, przysłał go zaraz w łykach na Kubę, skąd go przewiozą do Kastylii, jak rozkazuje don Juan de Fonseca, biskup Burgos, arcybiskup Rosany i przewodniczący Rady Indii. Ledwo Pedro Barba przybił do portu, natychmiast odwiedził go, witając, ustanowiony przez Korteza admirał nazwiskiem Pedro czy Juan Caballero, na okręcie dobrze wyposażonym w żeglarzy i w ukrytą broń. Po słowach uprzejmego powitania, po ukłonach i uściskach, zapytał Pedro Barba o pana kapitana Panfila de Narvaez i jak mu się wiedzie z Kortezem. Odpowiedziano mu, że bardzo dobrze, że Kortez uszedł z dwudziestoma towarzyszami, zaś Narvaezowi powodzi się dobrze i bogaci się, a ziemia jest bardzo urodzajna. Od słowa do słowa powiedzieli Barbie, że niedaleko jest osiedle, gdzie może wysiąść na ląd i przenocować. Tak go namawiali, że na owym okręcie i na innych łodziach, które przyplłynęły od dalszych statków, przeprawili się na ląd. Ledwie odbili dalej od okrętu Pedro Caballero, już w otoczeniu licznych marynarzy, odezwał się do Pedra Barba: „Jesteś waszmość jeńcem Hernanda Korteza, mojego zwierzchnika”.

Tak osłupiałych ujeli. Zaraz też zdjęto z ich okrętu żagle, ster i busolę i odesłano Kortezowi do Tepeaki. Uradowaliśmy się bardzo ową pomocą, która nadchodziła w możliwie najlepszej chwili, bo z owych wspomnianych wypraw nie wyszliśmy zbyt cało, wielu z nas odniosło nowe rany, inni byli chorzy z przemęczenia. Z ust nie wypluwaliśmy nic krom krwi i prochu, które zakrzepły we wnętrzościach, gdyż stale nosiliśmy na ciele zbroję i nie odpoczywaliśmy ni we dnie, ni w nocy, tak że w ciągu dwóch tygodni pomarło już pięciu naszych żołnierzy z powodu bólów w boku.

Kortez z wielkim uszanowaniem przyjął Pedra Barbę i mianował go kapitanem kuszników. W osiem dni potem przyplłynął z Kuby mały okręt, przysłany przez Diega Velazqueza z żywnością i zaopatrzeniem, pod wodzą Rodryga Morejon de Lobera. Przywiózł on ośmiu żołnierzy, zapas konopi na liny i klacz. Podobnie jak wzięli Pedra Barbę, tak stało się i z owym Rodrygiem Morejon. Zaraz też przybyli do Segura de la Frontera i wszyscy

radowaliśmy się bardzo, Korteż przyjął ich bardzo uprzejmie i nadał różne godności. Wzmocniliśmy się w ten sposób w ludzi i w kusze i zyskaliśmy trzy konie.

*

Mówiłem już, że Guatemuz, nowo wybrany król Meksyku, wysłał załogi na granicę, zwłaszcza jedną bardzo silną i liczną do Guacachuli. Ci wojownicy dopuszczali się grabieży i gwałtów na ludności, tak że tubylcy znieść już tego nie mogli. Rabowali szaty, kukurydzę, kury, klejnoty złote, a przede wszystkim porywali córki i żony, jeśli były piękne, i gwałcili je na oczach mężów i krewnych. Więc jako słyszeli, że ludność Choluli żyła w spokoju i bezpieczeństwie, od czasu gdy Meksykanie nie mieli do niej wstępu, podobnie jak ludność Tepeaki, Tecamachalco i Cachuli, czterech naczelników przyszło potajemnie prosić Korteza, aby wysłał *teules* i konie i ukrocił owe rabunki i krzywdy, jakich dopuszczali się Meksykanie, zaś oni wszyscy i inni sąsiedzi pomogą nam w wytępieniu załóg meksykańskich.

Korteż, wysłuchawszy tego, wyprawił zaraz kapitana Cristobala de Olid z większością jazdy i kuszników i znaczną liczbą Tlaxcalczyków, razem około trzystu żołnierzy. Po drodze niektórzy Indianie opowiadali narvaezczykom, że wszystkie pola i domy pełne są wojowników meksykańskich, że jest ich znacznie więcej niż w Otumbie i jest wśród nich sam Guatemuz, władca Meksyku. To wszystko przeraziło narvaezczyków i orzekli, że jeżeli Cristóbal de Olid chce iść, niech idzie z Bogiem, oni ani o krok się nie posuną. Naleganiem swoim sprawili, że zawrócił i z Choluli napisał list do Korteza. Skoro Korteż wiadomość otrzymał, wściekł się i wysłał do Cristobala de Olid list, jako dziwuje się bardzo jego męstwu i odwadze, jeśli na lada gadanie wyrzeka się tak znamienitej wyprawy. Kiedy Cristóbal de Olid list otrzymał, zaryczał z wściekłości i jak dziki lew rzucił się do walki. W niespełną godzinę zmusił Meksykanów do ucieczki. Wiedziecie, że nasi Tlaxcalczycy stawali bardzo mężnie, zabijali i brali w niewolę wrogów, a pomagali im wszyscy mieszkańcy owej prowincji. Cristóbal de Olid w gniewie swoim zmienił się w tygrysa — nie zatrzymał się dłużej w tej miejscowości, ale natarł na Ozucar, przeszedł rzekę i odniósł zwycięstwo nad oddziałami meksykańskimi. Tam zabito mu dwa konie, a jego samego raniono dwukrotnie. Pozostał w Ozucar dwa dni.

Kiedy kraj uspokoił, powrócił z żołnierzami do Segura de la Frontera, przysięgając na Boga, że jeśli na jakąś wyprawę go wyślą, zabierze ze sobą jedynie ubogich żołnierzy Korteza, a nie bogatych, którzy przybyli z Narvaezem i którzy chcieliby wszystkim rozkazywać.

*

Nadeszły listy do Korteza o przybyciu jednego z okrętów wysłanych przez Franciska de Garaya dla skolonizowania Panuco, okręt, pod wodzą niejakiego Camargo, przywiózł ponad siedemdziesięciu żołnierzy, wszyscy byli chorzy, pożółkli, z wydętymi brzuchami, i opowiadali, że drugi kapitan, niejaki Alvarez Pinedo, wysłany przez Garaya dla kolonizacji Panuco, został zabity przez Indian, a także wszyscy jego żołnierze i konie, zaś jego okręty spalone. Owi żołnierze wraz z dowódcą powolutku nadciągnęli do Segura de la Frontera, ledwie się wlokąc na osłabionych nogach. Niebawem pomarł Camargo, a podobnie i wielu innych.

Aby nie zatrzymywać się tylekroć, powiem raz na zawsze, że wszystkie okręty, które w owym czasie przybijały do Villa Rica, należały do Garaya i przez cały miesiąc przyływały jedne za drugimi.

Przybył Miguel Diaz de Auz, Aragończyk, wysłany na pomoc Alvarezowi de Pinedo. Nie znalazłszy śladu floty Garaya, wylądował w naszym porcie z ponad pięćdziesięcioma żołnierzami i siedmioma końmi. Połączył się z nami i była to najlepsza i najsposobniejsza pomoc, jaką mogliśmy uzyskać.

*

Kortez, rozporządzając znaczną liczbą żołnierzy, koni oraz kuszników, dowiedział się, że w miejscowości Zacatami i Xalacingo oraz w sąsiednich, podczas odwrotu z Meksyku zostało zamordowanych wielu żołnierzy Narvaeza, a także, że zabito tam Juana de Alcántara i innych pochodzących z Villa Rica i zrabowano ich złoto. Wysłał tedy Gonzala de Sandoval, najwyższego *alguacila*, człowieka wielkiej odwagi i rozważnego, przydając mu dwustu żołnierzy, przeważnie spośród naszych, w tym dwudziestu jeźdźców, dwunastu kuszników i znaczną liczbę Tlaxcalczyków.

Sandoval ustawił w szyku swoje oddziały i kuszników, wydał rozkaz konnym, jak i w jaki sposób mają nacierać, ale zanim wyszedł na te ziemie, wyprawił wysłańców z poleceniem, aby tamtejsi kacykowie przybyli pokojowo, oddali złoto i broń zrabowaną, a przebaczy im śmierć Hiszpanów. Czterokrotnie powracali owi wysłańcy pokoju, ale odpowiedź brzmiała, że

Po kilku dniach przybył też stary kapitan, nazwiskiem Ramirez, z czterdziestoma żołnierzami, dziesięcioma końmi i klaczami, z kusznikami i inną bronią. Tak Francisco de Garay wysyłał jeden statek za drugim na pomoc swej flocie, a tymczasem wspomagał Korteza używając nam pomocy. Żołnierze, których przywiódł Miguel Diaz de Auz, byli zdrowi i silni, zaś żołnierze przybyli ze starym Ramirezem mieli zbroje z bawełny tak ścisłe, że żadna strzała ich nie przebijała, ale były bardzo ciężkie.

jak zabili i zjedli *teules*, o których mowa, tak postąpią z dowódcą i wszystkimi, których prowadzi.

Sandoval z towarzyszami natarł z dwu stron i choć Meksykanie i tubylcy walczyli zaciekle, rozbił ich zupełnie.

W świątyniach tamtejszych znaleziono wiele szat, broni, wędzideł końskich oraz siodła złożonych w ofierze bóstwom. Sandoval powrócił ze znaczną liczbą pojmanyh kobiet i dzieci, naznaczono je żelazem jako niewolników. Kortez radował się wielce ujrawszy go całym i zdrowym, choć trafionym strzałą. Nie brałem udziału w tej wyprawie, mając silną gorączkę i wymioty krwią, ale chwała Bogu wyzdrowiałem dzięki częstemu puszczeniu krwi.

Owa wyprawa była bardzo pomyślna i przywróciła spokój w kraju. Odtąd sława Korteza rozeszła się wśród wszystkich ludów Nowej Hiszpanii, jedni sławili go jako najsprawiedliwszego, inni jako najdzielniejszego, który wszystkich przejmuje lękiem, i większego od Guatemuza, pana i króla właśnie obranego w Meksyku. Tak wielka była powaga, wpływ i władza, jakie uzyskał Kortez, że z dalekich stron napływały doń skargi, zwłaszcza w sprawach władztwa i panowania. Bowiem w owym czasie szerzyła się w Nowej Hiszpanii czarna ospa, tam zwyczajna, i pożarła wielu kacyków, schodzono się tedy do Korteza, jak do absolutnego pana całej tej ziemi, aby rozstrzygał, komu należy się kacykostwo i władza, jak podzielić ziemie, wasalów i dobra, aby swą mocą i powagą naznaczał prawowitego władcę.

*

Po powrocie Gonzala de Sandoval z wyprawy i po uspokojeniu kraju Kortez wraz z urzędnikami królewskimi postanowił pieczętować niewolników wziętych, aby mógł podjąć swoją kwintę po odliczeniu kwinty królewskiej. W tym celu ogłosił w obozie i w mieście, by do domu, specjalnie na ten cel wyznaczonego, żołnierze przyprowadzili wszystkie kobiety i niewolników, bo mają być pieczętowani żelazną pieczęcią. Przyprawiliśmy co rychlej Indianki, kobiety i dziewczęta, a także chłopców wziętych, nie troszcząc się o ludzi dojrzałych, trudnych do pilnowania, i których usług nie potrzebowaliśmy, mając naszych przyjaciół Tlaxcalczyków. Kiedy zgromadzono wszystkie niewolnice i pieczęć przyłożono, a była to litera G, to znaczy, jak już wspomniałem, *guerra*, nieoczekiwanie oddzielono kwintę królewską i zaraz przystąpiono do wydzielania kwinty Korteza. Ponadto w nocy, kiedy już umieściliśmy niewolnice w owym domu, uprowadzono i ukryto najpiękniejsze Indianki, tak że nie pozostała żadna urodziwa, jeno stare i brzydkie. Z tego powodu powstały wielkie szemrania przeciw Kortezowi i tym, którzy kazali uprowadzić owe piękne Indianki i ukryć je. Żołnierze Narvaeza stawali do oczu Kortezowi, klnąc się na Boga, iż nie wiedzieli, że mają dwóch królów na ziemi, Jego Królewską

Mość i Korteza, którzy pobierają dwie kwinty. I szerzyły się inne jeszcze, gorsze szemrania.

Kortez widząc to, w słowach słodkich zaprzysiął na swe sumienie (jak to było w jego zwyczaju), że odtąd postępowanie będzie inne: brzydkie czy piękne niewolnice wystawiane będą na licytację i każda sprzedawana wedle swej wartości.

Przestańmy o tym mówić, a powiedzmy o znacznie gorszej sprawie niż sprawa brańców.

Owej smutnej nocy, kiedy uciekaliśmy z Meksyku, w wielkiej sali, gdzie złożył był Kortez liczne sztaby złota, pozostało ich wiele po załadowaniu na klacz i konie oraz po obarczeniu licznych Tlaxcalczyków i innych żołnierzy. Aby reszta nie wpadła w ręce Meksykanów, Kortez oświadczył wobec notariusza królewskiego, że każdy, kto chce, może z tego pozostawionego złota wziąć, ile dusza zapagnie dla siebie, gdyż i tak pójdzie to na stracenie. Wielu żołnierzy Narvaeza i kilku naszych obarczyło się tym złotem i przez to straciło życie, ci zaś, którzy narażając się na śmierć uszli wraz z łupem, ponieśli ciężkie rany. Kiedy w naszym obozie w Segura de la Frontera Kortez dowiedział się (jako mówi przysłowie: „złota i miłości ukryć się nie da”), że liczne sztaby złota ocalały i są zastawem w grze, rozkazał pod srogimi karami zgłosić złoto, które wynieśli, on z tego odda im jedną trzecią, a resztę zabierze. Liczni żołnierze nie chcieli złota oddać, od niektórych Kortez zabrał złoto jako pożyczkę raczej przymusową niż dobrowolną, ale ponieważ wielu oficerów, a nawet urzędników królewskich posiadało złoto, ogłoszenie przeszło bez echa i nie było o tym więcej mowy.

*

Kiedy oficerowie Narvaeza przebywający z nami oraz inni, którzy z Kuby przybyli, ujrzeni, że miasta prowincji Tepeaca są spacyfikowane, prosili i błagali Korteza, aby im pozwolił wrócić na wyspę Kubę, jak to był przyobiecał Kortez, nie zwlekając, udzielił im pozwolenia i nawet obiecał, że kiedy zdobędzie Nową Hiszpanię i miasto Meksyk, da im znacznie więcej złota niż poprzednio, rozkazał też dać im jeden z lepszych okrętów z zaopatrzeniem, zapasem kukurydzy, solonych piešków i kur. Napisał do swej małżonki Cataliny la Marcaida i do swego szwagra Juana Juareza i powiadomił o wszystkich swoich trudach i udrękach doznanych, i o tym, jak wyrzucono nas z Meksyku. Kiedy Kortez udzielił tego pozwolenia, pytaliśmy go, dlaczego to uczynił, wszak pozostało nas tak niewielu, odpowiedział, że aby zapobiec skandalom i zamieszkom, wszak widzieliśmy sami, że większość tych, którzy odjeżdżają, nie była w bitwach nic warta lepiej pozostać samemu niż w niewłaściwym zespole. Pedro de Alvarado

został wyznaczony, aby ich odprowadzić do portu i natychmiast powrócić. Równocześnie wysłał Korteza do Kastylii Diega de Ordaz i Alfonsa de Mendoza z pewnymi tajnymi zaleceniami. Nie wiedzieliśmy, ani o czym traktował z Królem Jegomościa, ani co się zdarzyło w Kastylii. Doszły nas słuchy, że biskup Burgos wobec Diega de Ordaz na cały głos krzychał, że Korteza i my wszyscy jesteśmy zbrodniarzami i zdrajcami, zaś Ordaz w naszym imieniu odpowiedział mu jak należy.

Prócz tego Korteza wysłał Alonsa de Avila oraz Franciska Alvareza na wyspę San Domingo, aby tam zdali sprawę ze wszystkiego, co zaszło przed Trybunałem Królewskim, tam urzędującym, oraz przed braćmi hieronimitami, gubernatorami tej wyspy. Chciał, aby poparli nas wedle sprawiedliwości przeciw złej woli i intrygom motanym przeciw nam przez biskupa Burgos.

Trzeci okręt został wysłany na Jamajkę dla zakupu koni i świerzop. Na to wszystko użył złota, jakie zdołał zebrać, choć w owym czasie wszyscy zatajali posiadanie złota, pomimo wydanych rozkazów.

W mieście Segura de la Frontera pozostawił załogę Franciska de Orozco z ponad dwudziestu żołnierzami rannymi i chorymi, a z całym pozostałym wojskiem pociągnęliśmy do Tlaxcali. Tam wydał rozkaz ścinania drzew na budowę trzynastu brygantyn, wiedzieliśmy bowiem dobrze, że aby ponownie dostać się do Meksyku, trzeba nam będzie opanować jezioro, inaczej nie moglibyśmy wojować, gdyż po raz wtóry wejść przez groble — to było jedynie narażać życie. Martin López był mistrzem w budowie brygantyn i całym sercem wziął się do pracy. Myślę, że gdyby od początku nie był przybył z nami, nic bylibyśmy uzyskali przysłania z Kastylii żadnego innego majstra, dla wielkich przeszkód, jakie nam stawiał biskup Burgos.

Kiedy przybyliśmy do Tlaxcali, pomarł właśnie na czarną ospę nasz wielki przyjaciel i najwierniejszy wasal Jego Królewskiej Mości, Masseescaci. Bardzo nas ta śmierć zasmuciła. Korteza mówił, że odczuł to tak, jakby jego własny ojciec umarł, i przywdział żałobę, a podobnie my wszyscy, nasi oficerowie i żołnierze, włożyliśmy czarne opończe. Z wielką czcią Korteza i my odnosiliśmy się do synów i krewnych Masseescaciego, a ponieważ w Tlaxcali wybuchły spory co do następstwa, Korteza rozkazał, aby władza oddana została jednemu z prawowitych synów zmarłego, jak to polecił ojciec przed śmiercią; przykazywał on też synom swoim i krewnym, aby pozostali wierni rozkazom *Malinche* i jego braci, bowiem z wszelką pewnością byliśmy powołani do rządzenia tymi krajami. Xicotenga Stary i Chichimecatecle oraz wszyscy inni kacykowie Tlaxcali ofiarowali swe usługi Kortezowi zarówno przy ścinaniu drzew na brygantyny, jak we wszystkim, co rozkaże dla wojny z Meksykanami. Korteza ucałował ich serdecznie, dziękując zwłaszcza Xicotendze Staremu i Chichimecatecli, i starał się namówić ich, aby przyjęli chrześcijaństwo. Zaczynając Xicotenga Stary odpowiedział, że

z całego serca pragnie zostać chrześcijaninem, przeto z największą uroczystością, jaka w owym czasie odbyć się mogła w Tlaxcali, ochrzcił go ojciec Miłosierdzia i nadał mu imię Lorenza de Vargas.

34

Opowiada, jak z całym naszym wojskiem posunęliśmy się do miasta Tezcucó, co nas tam spotkało, i o innych sprawach.

Kiedy Korteż tak zaopatrzył się w muszkiety, proch, kusze i konie, i ponieważ wiedział, że my wszyscy, tak dowódcy, jak żołnierze, pałamy wielkim pragnieniem, by stanąć pod miastem Meksykiem, zażądał od kacyków Tlaxcali, aby mu dali dziesięć tysięcy wojowników na wyprawę do Tezcucó, jednego z największych obok Meksyku miast Nowej Hiszpanii. I daliby mu nie tylko dziesięć tysięcy, ale nawet znacznie więcej, gdyby chciał, a na czele ich miał stanąć kacyk bardzo możny i nasz wielki przyjaciel Chichimecatecle. Po odbyciu przeglądu wojsk, już nie pomnę wiele nas wtedy było, nazajutrz po dniu Bożego Narodzenia roku 1520 ruszyliśmy w zwyczajnym szyku na nocleg do miejscowości podległej miastu Tezcucó, której mieszkańcy zaopatrzyli nas we wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Dalej leżały już ziemie meksykańskie. Szliśmy bardzo ostrożnie, bowiem zostaliśmy w drodze ostrzeżeni, że przygotowano trudne przeszkody i góry zawałono ściętymi drzewami, już się bowiem zwiedzieli w Meksyku i w Tezcucó, że zbliżamy się do tych miast. Tego dnia nie spotkaliśmy żadnej przeszkody i rozłożyliśmy się na nocleg o trzy mile stamtąd u stóp góry, i tej nocy marziliśmy bardzo. Ubezpieczeni przez czaty i straże oraz patrole konne przekroczyliśmy granicę i wczesnym rankiem zaczęliśmy się wspinać ku małej przełęczy. W niektórych miejscach góra pocięta była głębokimi jarami, niemożliwymi do przebycia, i zawałona potężnymi pniami, ale dzięki licznym przyjaciom naszym, Tlaxcalczykom, łatwo je usuwaliśmy. Weszliśmy na grzbiet, a nawet nieco obniżyliśmy się do miejsca, skąd odkrywa się oczom jezioro Meksyku i jego wielkie miasta pobudowane na wodzie. Ujrawszy je, złożyliśmy dzięki Bogu, że pozwolił nam je znowu oglądać.

Schodząc ujrzelśmy wielkie dymy wici palonych przez mieszkańców Tezcucó oraz miejscowości im podległych, a nieco dalej spotkaliśmy oddział wojowników z Meksyku i Tezcucó, którzy zasadzili się na nas w niebezpiecznym miejscu, przy połamanym drewnianym moście, gdzie woda była głęboka, prąd wody silny, niebawem jednak rozbiliśmy te oddziały i przeszliśmy szczęśliwie. Na nocleg rozłożyliśmy się w osadzie pod-

ległej Tezcucó, ale zupełnie wyludnionej. Ledwie zaczęło świtać, ruszyliśmy w wielkim porządku: na przedzie artyleria, muszkiety, kusze i patrole konne, wypatrujące drogę do Tezcucó, odległego stamtąd o jakie dwie mile. Nie uszliśmy nawet pół mili, kiedy ujrzelśmy wracające co koń wyskoczy nasze strażę. Z wielką uciechą oznajmili Korteżowi, że zbliża się jakaś dziesiątka Indian ze stanami i chorągiewkami złotymi, idą bez broni, bez okrzyków i złorzeczeń, nie tak, jak poprzedniego dnia. Wydaje się, że przychodzą w sprawie pokojowej. Wszyscy nasi dowódcy uradowali się bardzo i Korteż zaraz kazał się zatrzymać. Stało przed nim siedmiu wodzów indiańskich, pochodzących z Tezcucó, nieśli chorągiew ze złota i wielką dzidę i zanim przystąpili, pochyłili chorągiew i ukorzyli się na znak pokoju.

Kiedy przystąpili do Korteza, który stał w towarzystwie doni Mariny i Jeronima de Aguilar, naszych tłumaczy, rzekli: „Malinche, Cocoyoacin, nasz pan i władca Tezcucó, przysłała do ciebie z prośbą, abyś przyjął jego przyjaźń, i oczekuje cię w swoim mieście Tezcucó, a na znak pokoju przyjmij tę złotą chorągiew. Błaga cię na wszystko, abyś nakazał wszystkim Tlaxcalczykom i twoim braciom, niechaj nie wyrządzają krzywdy w jego kraju. Przybądź zamieszkać w jego mieście, a dostarczy ci wszystkiego, czego byś potrzebował”.

Zapewnili także, że oddziały, które stały przy przekopach i w jarach, nie pochodziły z Tezcucó, ale były meksykańskie, przysłane przez Guatemuza. Korteż, usłyszawszy te słowa pokojowe, bardzo się ucieszył, a my razem z nim. Uściskał serdecznie posłów, a zwłaszcza trzech spośród nich, którzy byli krewniakami wielkiego Montezumy, a których wszyscy znaleźliśmy — i zaraz bardzo prosił dowódców tlaxcalskich, aby nie dopuszczali się nadużyć i nie zabierali niczego, bowiem pokój został zawarty, oni przyrzekli, że spełnią jego rozkaz. Nie zabraniał im jedynie brać jedzenia kukurydzy, fasoli, kur, pieków, których było tak wiele, że wszystkie domy były tego pełne. Następnie odbył naradę z naszymi dowódcami i wszyscy powiedzieli, że mają wrażenie, iż owa prośba o pokój była tylko pozorna, bowiem gdyby była szczerą, nie przybyliby tak nagle i byłiby przynieśli żywność. Pomimo to Korteż przyjął chorągiew (która warta była blisko osiemdziesiąt pesos) i zapowiedział, że o ile dochowają pokoju jak powiadają, wspomagać ich będzie przeciw Meksykanom — już (jak widzieli) polecił Tlaxcalczykom, aby nie dopuszczali się żadnych nadużyć w ich kraju, i tak będzie na przyszłość. Mówił dalej, iż dobrze wie, że w tym mieście, kiedy opuszczaliśmy Meksyk, zabito ponad czterdziestu Hiszpanów, naszych braci, i ponad dwustu Tlaxcalczyków, że zrabowano liczne ładunki złota oraz inne łupy z nich zdarte, żąda tedy od władcy ich Cocoyoacina, oraz od wszystkich innych kacyków i wodzów Tezcucó, aby oddali mu złoto i tkaniny, zaś nie żąda niczego za śmierć Hiszpanów bowiem nic na to poradzić nie można.

Odpowiedzieli na to posłowie, że przekażą te słowa swemu panu, ale że mordować kazał ten, którego po śmierci Montezumy wybrano królem, Coadlavaca, ten zabrał cały łup i zabrał też do Meksyku wszystkich prawie *teules*, gdzie ich natychmiast zabito na ofiarę Uichilobosowi. Kortez po tej odpowiedzi nie rzekł i słowa, aby nie budzić podejrzeń, i odesłał ich z Bogiem, a jednego pozostawił z nami.

Nazajutrz rano weszliśmy do miasta Tezcucó i na wszystkich ulicach nie ujrzelśmy kobiet ani młodzieży, ani dzieci, a jedynie Indian ponurych i jakby gotowych do walki. Rozgościliśmy się w wielkich budynkach i salach. Zaraz też Kortez zwołał naszych dowódców i żołnierzy, zakazując im oddalać się z obszernych dziedzińców, oraz nakazał trwać w pogotowiu, bowiem miasto nie wygląda pokojowo. Rozkazał też Pedrowi de Alvarado i Cristobalowi de Olid oraz innym żołnierzom, wśród których ja byłem, wyjść na szczyt wysokiej świątyni. Zabraliśmy jako osłonę dwudziestu muszkietarów — mieliśmy z wysokości zbadać jezioro i miasto, widoczne były bowiem stamtąd dobrze. Ujrzelśmy, jak wszyscy mieszkańcy z dobytkiem, trzodami, dziećmi i kobietami uchodzili w lasy, inni w sitowia jeziora, które całe pokryte było łodziami wielkimi lub małymi.

Kortez, dowiedziawszy się o tym, chciał pojmać władcę Tezcucó, który był przysłał złotą chorągiew, ale kiedy kapłani wysłani przez Korteza poszli go przywołać, okazało się, że się już ukrył — był pierwszym, który uciekł do Meksyku wraz z licznymi dostojnikami. Tak przeszła noc pod dobrą stróżą czat, rontów i posterunków, a nazajutrz kazał Kortez przywołać wszystkich najważniejszych Indian z Tezcucó, bo w tak wielkim mieście było wielu innych możnych, należących do przeciwników zbiegłego kacyka, z którym różniły ich spory w sprawie panowania nad tą ziemią. Wyjaśnili Kortezowi, że dla zagarnięcia władzy Cocoyoacin zabił swego starszego brata, imieniem Cuxcuxca, popierany w tym przez władcę Meksyku Coadlavakę, który walczył z nami po śmierci Montezumy, kiedy uchodziliśmy z miasta, a owi możni uważali, że królestwo Tezcucó należy się innym panom, a przede wszystkim młodzieńcowi, który w tym czasie bardzo uroczyście przyjął chrześcijaństwo i przybrał imię Hernanda Korteza, bowiem wódz nasz był jego ojcem chrzestnym. Tego też zaraz z wielkimi ceremoniami wybrano królem, i cieszył się on życzliwością i miłością wszystkich poddanych oraz innych sąsiadów, rządził absolutnie i posłuch miał wszędzie. Kortez prosił go o przydzielenie licznych Indian, robotników, aby mógł rozszerzyć i pogłębić kanały i rowy, przez które mieliśmy przeciągnąć brygantyny na jezioro, skoro tylko zostaną zbudowane i wykończone, aby pójść pod żaglami. Chcę rzec, że nieodmiennie co dzień pracowało przy kanałach i fosach siedem do ośmiu tysięcy Indian, rozszerzając je tak, aby mogły przepłynąć wielkie okręty.

*

Przebywaliśmy w Tezcucu przeszło dwanaście dni, zaś Tlaxcalczyków było z nami tak wiele, że mieszkańcy Tezcucu nie byli w stanie ich wyżywić. Wielka była w Tlaxcalczykach żądza wojowania z Meksykanami i pomszczenia licznych rodaków zabitych i złożonych na ofiarę bogom w poprzednich odwrotach. Korteż jako wódz naczelny postanowił tedy, że wraz z Andresem de Tapia i Cristobalem de Olid, z trzynastu konnymi, dwudziestu kusznikami, sześciu muszkietierami i dwustu dwudziestu żołnierzami oraz z naszymi przyjaciółmi Tlaxcalczykami i z dwudziestoma wielmożami z Tezcucu, przydzielonymi nam przez Hernanda, a będącymi jego krewnymi i nieprzyjaciółmi Guatemuza, wyprawi się na Iztapalapę, odległą o cztery mile od Tezcucu.

Wspomniałem już, że prawie połowa domów miasta zbudowana była na wodzie, zaś połowa na stałym lądzie. Meksykanie, zawsze czujni, zmiarkowawszy, że gotujemy wyprawę na niektóre ich miasta, wysłali ponad osiem tysięcy swoich na pomoc, ostrzegając mieszkańców Iztapalapy o naszym zbliżaniu. Tak że na stałym lądzie oczekiwali nas znakomici wojownicy — zarówno Meksykanie przybyli na pomoc, jak ludzie z Iztapalapy — i walczyli przeciw nam długo i bardzo dzielnie. Ale konni przełamali ich szyki, a dzięki kuszom, muszkietom i naszym sprzymierzeńcom tlaxcałskim, którzy rzucili się na nich jak wściekłe psy, rychło uciekli z pola i schronili się w mieście. Była to sprawa z góry obmyślona i podstęp ułożony, który byłby się na naszą szkodę obrócił, gdybyśmy się w czas nie wycofali. A było to tak: udali ucieczkę i ukryli się w łodziach na wodzie, w domach na jeziorze, inni zaś w fosach, a że była noc ciemna, nie czyniąc żadnego szmeru ani wojennych ruchów, pozwolili nam pozostać na lądzie stałym. My zaś byliśmy zadowoleni zdobywszy łup, a bardziej jeszcze z odniesionego zwycięstwa. Tymczasem choć rozstawiliśmy strażę i czujki, a nawet wysłali zwiadowców w pole. nagle, kiedy nie spodziewaliśmy się niczego, naszła na całe miasto tak wielka woda, że gdyby możni z Tezcucu nie zaczęli krzykiem ostrzegać nas, abyśmy natychmiast opuścili domy ładu stałego, bylibyśmy wszyscy potonęli — ci z Iztapalapy otworzyli bowiem dwa kanały wody słodkiej i słonej i przerwali groblę, przez którą rzuciła się cała woda. Tlaxcalczycy, nasi druhowie, byli wody niezwyčajni i nie umiejący pływać, i dwóch z nich utonęło; my zaś z wielkim narażeniem życia, wszyscy przemoknięci, wyszliśmy cało, straciwszy jednak wszystkie proch. W takim stanie, przemarznięci, głodni, przebyliśmy całą noc, a najgorsze były naigrawania się, krzyki i gwizdy Iztapalapczyków i Meksykanów, wznoszące się ku nam z domów na moście i z łodzi.

Ale jeszcze gorsza rzecz nas czekała. W Meksyku wiedziano o zamiarze zatopienia nas przez przerwanie grobli i kanałów, przeto na lądzie i na zalewie oczekiwały nas liczne oddziały wojowników i ledwie świt nastał

natarli z taką mocą, że trudno było się utrzymać; zabili nam wtedy jednego konia i dwóch żołnierzy i ranili mnóstwo innych, zarówno naszych, jak Tlaxcalczyków. Ale z czasem ataki zelżały i zawróciliśmy do Tezcucó, zawstydzeni z powodu ich naigrzań i podstępnego zamiaru zatopienia nas, a także dlatego, że pozbawieni prochu, nie mogliśmy naprawić naszej sławy.

*

W dwa dni po powrocie do Tezcucó z tej wyprawy do Iztapalapy trzy miasta przysłały do Korteza prośbę o zawarcie pokoju i przebaczenie im poprzednich walk i zabójstw Hiszpanów, usprawiedliwiając się, że uczynili to na rozkaz Coadlavaki. Były to poselstwa z Tepetezcucó i Otumby. Korteż, zdając sobie sprawę, że nie była to chwila, aby inaczej postąpić, przebaczył im udzielając ostrego upomnienia, a oni w słowach bardzo uniżonych zobowiązali się stać zawsze wiernie przy nas przeciw Meksykanom i być lojalnymi wasalami Jego Królewskiej Mości. Podobnie przybyło wówczas poselstwo z prośbą o pokój i przyjaźń z innego miasta nad jeziorem, zwanego Mezquique. Ci, jak się zdaje, nie byli w zgodzie z Meksykanami i nie lubili ich serdecznie. Korteż i my wszyscy bardzo ceniliśmy sobie ich przybycie i pozyskanie w nich przyjaciół, bowiem było to miasto zbudowane na wodzie i spodziewaliśmy się, że w ich ślady pójdą ich sąsiedzi, również na wodach mieszkający. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że chciałyby zawrzeć pokój miasta Chalco i Tamanalco, wraz z podległymi im osiedlami, ale uniemożliwiają im to załogi meksykańskie, które szerzą w ich kraju wielkie zniszczenie. Korteż wysłał Gonzala de Sandoval i Franciska de Lugo z piętnastu konnymi, dwudziestu żołnierzami, z muszkietierami, kusznikami i naszymi druhami z Tlaxcali, aby starali się rozbić i znieść załogi meksykańskie i przez Chalco i Tamanalco pójść dalej, i oczyścić drogę do Tlaxcali, ażeby można się dostać do Villa Rica bez przeszkód ze strony Meksykanów. Niedaleko Chalco Sandoval ujrzał zbliżające się liczne oddziały Meksykanów; na równinie, choć były tam wielkie łąny kukurydzy i agawy, z której robią wino, jakie pijać zwykli, uderzyli nawałnością oszczepów i strzał, i kamieni z proc, i długimi dzidami do zabijania koni; Sandoval odparł ich tak gwałtownie i z taką wściekłością, że zapłacili drogo za zło zrazu wyrządzone. Pojmał wówczas ośmiu Meksykanów, w tym trzy ważne osobistości.

Dokonawszy tego, chciał powrócić do Tezcucó, a Indianie z Chalco prosili, aby mogli pójść z nim rozmówić się z *Malinche* — chcieli zabrać ze sobą synów księcia owej prowincji, który kilka dni temu zmarł na czarną ospę, ale przed śmiercią zalecił wszystkim wielmożom i starszym, aby zawiedli synów jego na spotkanie z wodzem, aby z jego ręki otrzymali władzę nad Chalco, i aby wszyscy starali się być dobrymi poddanymi wiel-

kiego króla *teulów*, bowiem na pewno zapowiedzieli ich przodkowie, że przybędą od wschodu słońca ludzie brodaci, którzy mają zawładnąć tymi ziemiami, i — wedle tego, co widział — to my być musimy.

Kortez, kiedy do niego przyszli, uradował się bardzo. Uściskał ich i nadał starszemu bratu prowincję Chalco z połową poddanych, a Tamanca i Chimaluacan przyznał młodszemu bratu.

Kortez postanowił wysłać do Meksyku owych ośmiu jeńców pojmanych przez Sandovala pod Chalco, aby powiadomili nowo obranego króla Guatemuzę, że nie chciałby stać się przyczyną jego zguby ani tak wielkiego miasta, wobec tego wzywa go do zawarcia pokoju — przebaczy mu śmierć i krzywdy, jakich Hiszpanie doznali w tym mieście, i nie będzie nic żądał, niechaj zważy, że wojny łatwe są do złagodzenia na początku, im dalej jednak i na końcu są coraz trudniejsze i wreszcie przynoszą zagładę. Kortez mówił, że powiadomiono go o barykadach i zasiekach, o zapasach maczug, strzał, dzid, oszczepów, kamieni i proc oraz wszelkiego innego rodzaju broni nieustannie gromadzonych, po cóż traci tyle czasu na próżno, czyli chce śmierci swoich i zniszczenia miasta? Niech rozważy, jak wielka jest moc Boga, Pana Naszego, który nam zawsze pomaga, i że wszystkie sąsiednie miasta są pod naszą władzą. Niech zatem porzucą broń i zawrą pokój.

Stanęli przed Guatemuzem owi posłowie, ale innej odpowiedzi dać nie chciał, nie przestawał też budować przeszkód i barykad i rozesłał do wszystkich prowincji rozkaz, aby — jeżeli w ich ręce wpadli jakowś nasi ludzie — zaraz przyprowadzili ich do Meksyku, by ich zabić na ofiarę, i aby co rychlej zgromadzili się zbrojnie, on zaś skreśla im i odpuszcza haracz.

35

Jak Gonzalo de Sandoval wyprawił się do Tlaxcali po drzewo na brygantyny i o kilku wstępnych wyprawach do miast otaczających Meksyk

Ponieważ wielkie było nasze pragnienie, aby ujrzeć już brygantyny ukończone i nie tracąc czasu posunąć się pod Meksyk, wódz nasz, Kortez, polecił Gonzalowi de Sandoval udać się po drzewo. Miał zabrać z sobą dwustu żołnierzy, dwudziestu muszkietarów i kuszników, piętnastu jeźdźców i znaczną liczbę Tlaxcalczyków oraz dwudziestu wielmożów z Tezcucó. Polecił mu również udać się do pobliskiej miejscowości, którą w naszym języku nazwaliśmy Pueblo Morisco, tam bowiem zabito około czterdziestu żołnierzy Narvaeza, nie licząc naszych i wielu Tlaxcalczyków, i zrabowano trzy ładunki złota w czasie naszego odwrotu spod Meksyku. W Pueblo

Morisco zwiedziano się już przez szpiegów o naszym zbliżaniu i ludność zbiegła w lasy. Sandoval, ścigając ich, pojmał czterech naczelników i zapytał, jak mogli zabijać Hiszpanów. Odpowiedzieli, że zrobili to ludzie z Tezcucó i z Meksyku, zasadziwszy się w pewnym miejscu, gdzie przecho- dzić można było tylko pojedynczo, tak wąska była ścieżyna. Tam ich poj- mali, a potem zabili — miała to być zemsta za władcę Tezcucó, imieniem Cacamatzin, którego Korteż pojmał i który zginął przy mostach.

W tej miejscowości znaleźliśmy na ścianach mnóstwo krwi zabitych Hiszpanów, ofiarowanej bożkom, a także dwie czaszki odarte ze skóry, która została wyprawiona jak na rękawiczki i złożona na ołtarzach razem z brodami. Podobnie były tam cztery skóry końskie pięknie wyprawione, jeszcze z sierścią i podkowami, i ofiarowane bożkom w największej świątyni. Znaleźliśmy tam liczną odzież zabitych Hiszpanów, również na ofiarę złożoną. W jednym domu zaś, w którym byli więzieni, znaleźliśmy napis na murze: „Tu był więziony nieszczęsny Juan Yuste wraz z licznymi towarzyszami”. Był to znaczny szlachcic z tych, którzy przybyli z Narvaezem.

Przestańmy o tym mówić, a powiedzmy jak Sandoval, idąc do Tlaxcali, w pobliżu stolicy kacyków spotkał około ośmiu tysięcy ludzi dźwigających drzewo i deski na brygantyny, a drugie tyle szło jako straż tylna w pełnym uzbrojeniu, z pióropuszcami, zaś dwa tysiące niosło zapasy. Na czele wszystkich Tlaxcalczyków szedł Chichimecatecle, mąż bardzo znamienity i mężny, a wszystkiego pilnował Martín López, mistrz budowy brygantyn, który wybierał drzewo i wyznaczał miarę na deski. Sandoval, ujrzawszy ich, uradował się bardzo, obawiał się bowiem, że przyjdzie mu stracić kilka dni w Tlaxcali. Idąc w takim porządku, weszli na ziemie meksykańskie, gdzie powitały ich liczne gwizdy i krzyki z głębokich jarów i zza barykad, w których nie mogła osiągnąć Meksykanów nasza jazda ani nasze muszkiety.

Zaraz też Sandoval rozdzielił konnych, muszkieterów i kuszników, jednych ustawił na przodzie, innych po bokach, a Chichimecatecle polecił, by wraz z nim samym i ze wszystkimi Tlaxcalczykami pozostał w straży tylnej. Kacyk ten zrazu czuł się urażony, mniemając, że nie ufają jego męstwu, ale widząc, że Sandoval również z nim pozostaje, udobruchał się, zwłaszcza że uprzedzono go, iż Meksykanie zawsze atakują tabory na tyłach. Zrozumiawszy, o co chodzi, uściskał Sandovala, twierdząc, że czuje się tym rozkazem zaszczycony.

Po dwóch dniach przybyli do Tezcucó, ale nim weszli do miasta, przy- odziali piękne opończe i pióropusze, i bijąc w bębny, i dmąc w rogi ma- szcerowali tak przez pół dnia, krzycząc: „Niech żyje! Niech żyje cesarz, nasz pan!” oraz: „Kastylija! Kastylija! Tlaxcala! Tlaxcala!” W ten sposób wkroczyli do miasta, a Korteż i kilku oficerów uroczyście wyszli na ich powitanie. Pnie drzew i deski oraz wszystek inny materiał na brygantyny zostały złożone koło kanałów i zatok, gdzie miano je budować, i z naj-

większym pośpiechem zabrał się Martin López wraz z innymi Hiszpanami do pracy.

Muszę powiedzieć, jak wielką ostrożność zachowaliśmy ustawiając czujki i strażę przy brygantynach, które były w pobliżu laguny. Trzykrotnie Meksykanie usiłowali podłożyć tam ogień, nawet schwytaliśmy piętnastu Indian podpalaczy, od których Kortez dowiedział się dokładnie o wszystkim, co robił i zamierzał Guatemuz, a mianowicie, że za nic nie chcą pokoju i że Meksykanie chcą albo nas pozbawić życia, albo sami wszyscy zginąć. Pracowali oni dniami i nocami nad budową schronów i pogłębianiem przejść pod mostami, budowali silne barykady, przygotowywali oszczepy i dzidy bardzo długie do zabijania koni, wprawiali w nie ostrza szpad zabranych nam w noc klęski.

Nasze kanały i fosy, przez które mieliśmy przeciągnąć brygantyny, były już dość głębokie i szerokie, aby przepłynąć je mogły znaczne okręty.

*

Wódz Tlaxcalczyków, bardzo mężny i dumny, który — jak już mówiłem — zwał się Chichimecatecle, rzekł Kortezowi, że chciałby oddać jakąś przysługę naszemu wielkiemu cesarzowi, chciałby walczyć z Meksykanami, zarówno aby okazać swe męstwo i dobrą wolę wobec nas, jak aby pomścić śmierć, a także rabunki dokonane na jego braciach i wasalach. Chichimecatecle prosił więc Korteza, aby łaskawie rozkazał i polecił mu, w jaką stronę ma się udać, aby walczyć z naszymi wrogami. Kortez odpowiedział, że mile widzi jego dobrą chęć i że na drugi dzień ma zamiar wyprawić się przeciw miastu zwanemu Saltocan, którego domy zbudowane były na jeziorze, ale istniało doń wejście od lądu. Trzykrotnie wzywał to miasto do zawarcia pokoju, nie chcieli jednak przybyć i źle obeszlili się z naszymi posłami. Dlatego pragnie udać się tam osobiście i kazał ze sobą pójść dwustu pięćdziesięciu żołnierzom i trzydziestu jeźdźcom; zabrał też Pedra de Alvarado i Cristobala de Olid, licznych muszkieterów i kuszników oraz wszystkich Tlaxcalczyków.

W Tezcucu z załogą zostawił Gonzala de Sandoval. Rozkazał jemu i Martinowi López, aby do dni piętnastu brygantyny były gotowe do spuszczenia na wodę. Wyszedł z całym swym wojskiem i nazajutrz rano zaczęli Meksykanie pospołu z Saltoczańczykami walczyć z naszymi. Nasi konni nie czynili im żadnej szkody, bowiem nie mogli poruszać się swobodnie ani przekraczać kanałów pełnych wody. Droga i grobla, które prowadziły od lądu do miasta, zostały kilka dni temu rozwalone i zatopione przez otwarcie śluzy. Nasi żołnierze, widząc, że nic nie poradzą, już mieli zawrócić, kiedy dwaj Indianie z Tepetezcucu, którzy nam towarzyszyli, a bardzo byli Saltoczańczykom nieprzyjaźni, powiadomili naszych, że niedaleko

droga zaczyna się znowu i można dostać się do miasta. Ledwie to nasi żołnierze usłyszeli, za wskazówką Indian małymi grupkami, nie wszyscy naraz, przeszli przez wodę, brodząc w niektórych miejscach po pas, a za nimi liczni nasi sprzymierzeńcy. Korteż z jazdą pozostał na łodzi, strzegąc tyłów z obawy, aby oddziały meksykańskie nie odcięły nam odwrotu. Tak mocne było natarcie, że wielu tamtejszych Indian zabili i dobrą im dali zapłatę za naigrawania się z nas; zdobyli wtedy wiele szat z bawełny, a także złoto i inne łupy. Meksykanie i mieszkańcy miasta z pośpiechem wsiedli na łodzie i unosząc ze sobą, co tylko zdołali, odpłynęli do Meksyku. Nasi, widząc miasto wyludnione, podpalili niektóre domy — nie odważyli się spać w nich, jako że stały na wodzie — potem zawrócili na ląd, gdzie czekał ich Korteż. W tym mieście znaleziono wiele pięknych Indianek, a Tlaxcalczycy wyszli bogaci w opończe, sól, złoto oraz inne łupy.

Nazajutrz ruszyliśmy do wielkiego miasta Gualtitan. Zastaliśmy je wyludnionym i tego samego dnia w pośpiechu udaliśmy się do miasta Tenayuca. Było to miasto nazwane przez nas, kiedy pierwszy raz weszliśmy do Meksyku, „miastem węży”, bowiem w wielkiej świątyni znaleźliśmy rzeźby przedstawiające ogromne węże o potwornym wyglądzie, były to ich bóstwa, którym cześć oddawali. I znowu miasto to zastaliśmy wyludnione, wszyscy mieszkańcy zbiegli do sąsiedniego miasta, zwanego Tacuba. Z Tenayuki udaliśmy się do miasta Escapuzalco, o pół mili dalej, również opuszczonego przez ludność, a stamtąd dotarliśmy do wspomnianej już Tacuby, znowu o pół mili oddalonej.

Ledwie się o tym dowiedzieli w Meksyku, rozkazali licznym oddziałom wyjść z miasta do walki z Korteżem i postanowili, że w czasie walki z nim mają udawać ucieczkę i wyciągnąć w ten sposób naszych na groblę, a kiedy tam się znajdą, wymordować ich. Korteż, mniemając, że odnosi zwycięstwo, kazał ich ścigać aż do mostu. Tam Meksykanie, pewni, że złapali Korteżę w pułapkę, kiedy przeszedł most, zawrócili przeciw niemu z takim mnóstwem Indian — jedni walczyli na łodziach, inni na grobli, inni z tarasów — i tak nań natarli, że znalazł się w wielkim ukropie i pewien już był klęski. Pewien chorąży, który wznosił sztandar powstrzymując napór wrogów, ciężko raniony spadł razem ze sztandarem do wody, zaczął tonąć, i Meksykanie chcieli go już porwać na łódź, on jednak był tak nieustraszony, że zdołał się wyrwać razem ze sztandarem. Korteż, widząc grozę położenia i że źle postąpił wchodząc na groblę, rozkazał się wycofać w jak najlepszym porządku, nie poddawać tyłu, lecz walczyć twarzą w twarz, odstępować krok za krokiem, stawiając opór. W ten sposób uszedł wówczas wojskom Meksyku. Meksykanie ścigali go okrzykami i nawet zabili pod Korteżem dwa konie, ale wreszcie zaprzestali pościgu.

W cztery dni potem, kiedy nasz wódz odpoczywał doglądając budowy brygantyn, przybyli wysłańcy kilku miast północnego wybrzeża prosić o zawarcie pokoju i z uznaniem zwierzchności Jego Cesarskiej Mości.

Przybyli też inni, od miast zaprzyjaźnionych już z nami, z prośbą o pomoc przeciw Meksykanom, którzy najechali ich ziemie i porwali w niewolę licznych Indian, a innych ciężko ranili.

Przybyli też z Chalco i Tamanalco, mówiąc, że jeśli rychło ich nie wspomozemy, ulegną zagładzie, bowiem na ziemi ich panoszy się nieprzyjaciel, i skargi wywodzili, i przynieśli płótno z pity, na którym wymalowali owe oddziały nacierające. Korteż nie wiedział, co ma im rzec, czy odpowiedzieć, jakie lekarstwo znaleźć jednym i drugim, widział bowiem, że wielu z naszych żołnierzy było rannych i chorych, a nawet ośmiu zmarło od bólu w boku i wymiotów zakrzepłą krwią, która buchała jednocześnie z nosa i z ust, a było to z powodu nacisku zbroi, którą zawsze na ciele nosiliśmy, stale wychodząc na wyprawy i nałykawszy się kurzu i prochu. Prócz tego padły trzy albo cztery konie od ran. Odpowiedział im przeto, że niebawem przyjdzie im z pomocą, ale tymczasem muszą jedni drugim sąsiadom pomagać, niech wyjdą w pole przeciw Meksykanom i połączą swe siły, a w razie spotkania niech stają odważnie. I wiele im jeszcze mówił przez naszych tłumaczy, i dodawał im ducha. Oni zaraz prosili, aby im dał listy do dwóch sąsiednich osiedli, naszych sprzymierzeńców, aby przyszli im z pomocą. W owym czasie listów nie rozumieli, ale dobrze wiedzieli, że pośród nas uważamy za rzecz pewną, że jeśli wysyłamy listy, są to jakby rozkazy i oznaka, że nakazujemy coś bardzo ważnego. Otrzymawszy one, byli bardzo zadowoleni i pokazywali je sprzymierzeńcom jako rozkaz Korteza, i w polu oczekiwali Meksykanów, i stoczyli z nimi bitwę, która dzięki pomocy naszych przyjaciół, ich sąsiadów, którym wręczyli listy, zakończyła się szczęśliwie.

*

Sandoval udał się na nocleg do miejscowości podległej Chalco, zwanej Chimaluacan, bowiem szpiedzy, wysłani przez mieszkańców Chalco do Meksykanów, donieśli, że na bliskich polach stoją nieprzyjacielscy wojownicy. Zaraz tedy Sandoval przykazał żołnierzom, aby trzymali się kupy i bez rozkazu nie wpadali pomiędzy nich, doniesiono mu bowiem, że wróg jest liczny, co było prawdą, i nie było wiadomo, czy w tych trudnych przejściach nie mają rowów albo barykad, on zaś chciał swych żołnierzy zachować cało, aby im się żadna szkoda nie przytrafiła. Posuwając się naprzód, ujrzał oddziały meksykańskie podzielone na trzy części, zbliżały się z gwizdami i wrzaskiem, dmąc w trąby i bijąc w bębny, wojownicy, uzbrojeni w broń najrozmaitszą wedle swego zwyczaju, szli na nas jak dzikie lwy. Kiedy Sandoval zobaczył ich tak nieustraszonych, niepamiętny na wydane przez się zlecenie, rozkazał jeździe, zanim połączyła się z nami atakować natychmiast. Sam Sandoval na przedzie nawoływał swoich słowa-

mi: „Święty Jakubie, na nich!” Tym nagłym atakiem zostali Meksykanie niemal rozbici. A nasi w ataku owym ponieśli ciężkie rany, bowiem wrogowie bardzo licznie nacierali.

Kiedy kapitan Sandoval ujrzał się wolnym po tej potyczce, złożył dziękczynienie Bogu i udał się na odpoczynek i nocleg do jednego z ogrodów znajdujących się w mieście, gdzie wznosiły się najpiękniejsze i największe budynki oraz można oglądać wiele tych dziwów, jakie są w Nowej Hiszpanii. Było tam tak wiele rzeczy do podziwiania, że to cud istnym — zapewne ów ogród należał do jakiegoś wielkiego księcia — bez końca można było po nim błądzić, miał bowiem ćwierć mili szerokości.

Kacykowie z Chalco, którzy towarzyszyli Sandovalowi, donieśli, że wedle ich wiadomości, w miejscowości Acapistla znajdują się silne oddziały meksykańskie, gotujące się do ataku zbrojnego na Chalco, prosili więc Sandovala, aby tam się udał i wypędził je. Sandoval iść nie miał zamiaru, bowiem sam był ranny i miał wielu żołnierzy i koni w ranach, a także ponieważ stoczył trzy bitwy, nie chciał wdawać się w inną i zrobić więcej, niżli mu Korteż rozkazał. Jednak kapitan Luis Marin doradził mu, aby udał się pod tę fortecę i zrobił, co będzie możliwe, bowiem ludzie z Chalco twierdzą, że ledwie Sandoval zawróci do Tezcucó, wróg natychmiast wkroczy do miasta. Sprawił tedy szyki jak należy i wszyscy żołnierze, a z nimi muszkietery i kusznicy, zaczęli się wspinać i przypuścili atak, i choć odnieśli przy tej wspinaczce wiele ran, a nawet sam dowódca drugi raz został ranny w głowę, i liczni sprzymierzeńcy otrzymali rany, wdarli się do osiedla, gdzie szczyli zniszczenie. Największe jednak zniszczenie i szkody wyrządzali Indianie z Chalco oraz sprzymierzeńcy z Tlaxcali, nasi żołnierze troszczyli się jedynie o to, by wroga rozproszyć i zmusić do ucieczki, mniej zaś o zakłuwanie Indian, które wydawało się im okrucieństwem — raczej rzucali się na poszukiwanie pięknej Indianki albo troszczyli się o łup, a wypominając sprzymierzeńcom ich okrucieństwo, zmuszali ich do darowania życia wielu Indianom i Indiankom. Dodam, że wojownicy meksykańscy, wypierani z miasta, broniąc się opuszczali się ze skał na dół, a ze wielu spomiędzy tych, którzy kryli się w rozpadlinach nad potokiem, było rannych i bardzo krwawiło, woda zabarwiła się krwią, ale owo zmaczenie nie trwało dłużej niż pół zdrowaśki. O tym zaś pisze kronikarz Gomara w swej historii, że potok spływał krwią, a nasi cierpieli pragnienie z tego powodu. Na to odpowiem, że było tyle źródeł i wody czystej pod owym osiedlem, że nie było trzeba pić innej.

Tedy Sandoval zawrócił z całym swoim wojskiem do Tezcucó z dobrym łupem, a zwłaszcza z licznymi pięknymi Indiankami. Tymczasem Guatemuz postanowił, zanim Sandoval dotrze do Tezcucó, wysłać wielkie siły wojowników, tak więc ponad dwa tysiące łodzi wypłynęło z dwudziestoma tysiącami Meksykanów i zjawilo się pod Chalco. Stało się to tak nagle, że jeszcze nie dotarł Sandoval do Tezcucó ani nie mówił z Korteżem, kiedy

*

Kiedy Gonzalo de Sandoval na czele wojsk powrócił do Tezcucó z wielką liczbą niewolników, a było już dużo innych z poprzednich wypraw, postanowiono, że będą ich pieczętować.

znów przybyli wysłańcy z Chalco łodzią przez jezioro, prosząc Korteza o pomoc. Kiedy Kortez tego słuchał, zjawił się Sandoval, właśnie aby z nim mówić i zdać sprawę ze swych dokonań na tej wyprawie, Kortez jednak słuchać go nie chciał mniemając, że z jego winy i niedbalstwa taka zła godzina przyszła na przyjaciół z Chalco, nie słuchając to, kazał mu bez zwłoki z miejsca zawracać.

Zmartwiony bardzo owymi słowami Korteza, który nie chciał z nim mówić ani go wysłuchać, Sandoval udał się do Chalco z całym wojskiem swoim, bardzo wyczerpanym przez noszenie broni i długi marsz; okazało się, że mieszkańcy Chalco ledwie przez szpiegów dowiedzieli się o napaści Meksykanów, nie czekając na pomoc naszą przywołali z pobliskiej prowincji Guaxocingo ludzi, którzy przybyli tej samej nocy doskonale uzbrojeni i połączyli się z siłami Chalco, a było ich razem ponad dwadzieścia tysięcy. Pozbyli się już lęku przed Meksykanami, dzielnie oczekiwali ich w polu i walczyli jak odważni mężowie, i choć Meksykanie zabijali i brali w niewolę wielu z nich, wojownicy Chalco zabijali ich znacznie więcej i pojмали około piętnastu dowódców i znamienitych osobistości. Kiedy nadszedł Sandoval, widział, że nic już do zrobienia nie zostaje i nie ma się czego obawiać, bo Meksykanie drugi raz nie wrócą do Chalco. Zawrócił tedy do Tezcucó, wiodąc pojmanyh Meksykanów, czym bardzo uradował się Kortez. Sandoval jednak był bardzo zagniewany na wodza za poprzednie postępowanie i nie poszedł go odwiedzić ani z nim mówić, choć Kortez przysłał doń usprawiedliwienie, że inaczej to rozumiał. Niebawem jednak wrócili do przyjaźni Sandoval i Kortez, i ten nie wiedział, czym przypodobać się Sandovalowi, aby go zadowolić.

Ale jeżeli rozdział w Tepeace odbył się niewłaściwie, jak poprzednio mówiłem, jeszcze gorzej wypadł podział w Tezcucó, bowiem kiedy odliczono kwintę królewską, a następnie kwintę dla Korteza i inne przydziały dla oficerów, w noc poprzedzającą przydziały dla nas, kiedy wszystkie branki były zebrane, najpiękniejsze poznikały. Odtąd, aby nam branek nie zabierano, my, wszyscy żołnierze, którzy mieliśmy kilka ładnych Indianek, nie prowadziliśmy ich do pieczętowania, ale ukrywaliśmy je, mówiąc, że uciekły, inne pozostawały w naszych kwaterach i mówiliśmy, że są to służebnice, które przyszły dobrowolnie z sąsiednich miejscowości albo z Tlaxcali.

Chcę rzec, że po dwóch czy trzech miesiącach współżycia z nami, znały

one wszystkich żołnierzy obozu, wiedziały, który był dobry, który zły, kto dobrze się obchodził z niewolnicami i służebnymi, a kto źle, kto uchodził za dobrego szlachcica albo słynął z innej przyczyny, i kiedy przychodziło do sprzedaży na licytacji, a Indianie czy Indianki dostawali się jakimś żołnierzom, których niechętnie widzieli, co rychlej znikali i nikt nie widział ich więcej, zaś pytać o nich było to, jakbyś szukał mahometanina w Grenadzie albo pisał do syna bakałarza w Salamance.

W tym czasie przybył z Kastylji okręt, który przywiózł skarbnika Jego Cesarskiej Mości, Juliana de Alderete, a także wiele broni i prochu, a że przybył z Kastylji, i to ładowny wieloma rzeczami, uradowaliśmy się jego przybyciem i nowinami przywiezionymi. Nie przypominam sobie już dobrze, ale zdaje mi się, że opowiadali, iż biskup Burgos stracił znaczenie i Jego Cesarska Mość krzywo nań patrzy, odkąd dowiedział się o naszych licznych, zacnych i sławnych usługach. Jak się okazało, biskup Burgos zwykł był pisać do Flandrii listy przeciwne prawdzie, a w interesie Diega Velazqueza, aż Król Jegomość dowiedział się jasno rzeczy od naszych prokuratorów, którzy go o wszystkim powiadomili, i z tego powodu później nierad słuchał biskupa.

Kortez widząc, że brygantyny są na ukończeniu oraz że wielka jest w nas, żołnierzach, żądza obłężenia Meksyku — i ponieważ równocześnie znów przysłali z Chalco, że Meksykanie idą na nich, więc proszą o pomoc — zapowiedział, iż osobiście chce udać się do owych miast i ziem i nie wróci, póki z tych granic nie wypędzi wszystkich wrogów.

*

Kazał przygotować się wszystkim żołnierzom i całemu wojsku, a było tego trzystu żołnierzy, trzydziestu jeźdźców, dwudziestu kuszników i piętnastu muszkietierów, i liczni sprzymierzeńcy tlaxcalscy oraz z Tezcucu. Na drugi dzień udaliśmy się na nocleg do osiedla podlegającego Chalco, zwanego Chimaluacan, i tam nadeszło ponad dwadzieścia tysięcy sprzymierzonych z Chalco, Tezcucu i z Guaxocingo. Tlaxcalczycy oraz ci z innych miast przyszli tak licznie, że w żadnej wyprawie, w której udział brałem od przybycia do Nowej Hiszpanii, nigdy tyle sprzymierzeńców nie było przy nas, jak teraz. Już raz mówiłem, że takie mnóstwo ich szło z powodu możliwości łupów, a najpewniej, aby się nasycić mięsem ludzkim w razie bitwy. Mówią, że kiedy we Włoszech wychodzi wojsko, lecą za nim kruki i krogulce oraz inne drapieżne ptaki, które żywią się mięsem poległych pozostawionych na polu po jakiejś krwawej bitwie, mnie wydawało się, że te tysiące Indian dążą za nami na podobieństwo owych ptaków.

Wyszliśmy z miejscowości, gdzie nocowaliśmy, zwała się Chimaluacan, po wysłuchaniu mszy świętej, a było to wczesnym rankiem, i w szyku szliśmy

między dwoma wzgórzami, wśród skał. Były tam umocnienia i barykady, gdzie bezpiecznie chronili się Indianie, od obwarowań tych biegły ku nam krzyki, wrzaski i przekleństwa. Naszym nie w głowie jednak było walczyć, szliśmy dalej w milczeniu, aż przybyliśmy do wyludnionego miasta Yautepeque, minęliśmy je i doszliśmy do równiny, gdzie było ubogie źródło i z jednej strony wznosiła się skała z warownią bardzo trudną do zdobycia, jak się zaraz okaże. Doszedłszy w pobliże skały, ujraliśmy, że pełno na niej było wojowników, którzy ze szczytu powitali nas krzykiem i zarzucili kamieniami, oszczepami i strzałami, i od razu zranili trzech naszych żołnierzy. Korteż rozkazał kilku jeźdźcom i niektórym kusznikom okrążyć skałę, aby przekonać się, czy nie ma tam dogodniejszego wejścia. Wrócili i oświadczyli, że najlepsze jest z miejsca, gdzie się znajdujemy, bowiem gdzie indziej nie ma wejścia żadnego, tylko prostopadłe skały. Przewodnik rozkazał, abyśmy próbowali wspiąć się, z chorążym na przedzie, z innymi sztandarami, podczas gdy Korteż z jazdą mieli oczekiwać na równinie, osłaniając nas i tabory przed oddziałami meksykańskimi, które mogły napaść.

Kiedy zaczęliśmy się wspinać na skałę, wojownicy indiańscy z góry zrzucali tyle wielkich głazów i skał, że strach było patrzeć, jak leciały podskakując, i cud, że wszystkich nie zabiły. U moich stóp pomarł żołnierz, nie wypowiedziawszy ani słowa. A jednak wspinaliśmy się, a owe biegacze, tak nazywaliśmy wielkie głazy wyrwane ze skał, toczyły się coraz szybciej i zabiły jeszcze dwóch dobrych żołnierzy. Po tym zabity został inny żołnierz, bardzo mężny, i jeszcze inny, a dwóch miało rozbitą głowę, a wszyscy prawie nasi potłuczone nogi, jednak usiłowaliśmy piąć się coraz wyżej. Ja, który w owym czasie byłem zwinny, trzymałem się chorążego Corrala, posuwaliśmy się pod przewieszką i wklęsłością skały, a gdy zdarzało się, że jakiś głaz spośród wielu toczył się od przewieszki do przewieszki, udawało mi się szczęśliwie uniknąć śmierci.

Chorąży Cristóbal del Corral schronił się za jakieś grube drzewa o licznych kolcach, rosnące w owych kolebach skalnych, i został raniony; krew zalała mu twarz, chorągiew była stargana. Rzekł do mnie: „Och, panie Bernalu Diazie del Castillo, nie sposób jest iść dalej, uważajcie, aby was nie trafił jakiś kraglak lub wielki głaz, schrońcie się pod tym występem”. Nie mogliśmy już wtedy trzymać się przy pomocy rąk, a co dopiero wspinać.

Wówczas spostrzegłem, że tak jak ja i Corral wspinaliśmy się od przewieszki do przewieszki, szedł i Pedro Barba, dowódca kuszników, z dwoma żołnierzami. Zawołałem doń z góry: „Ach, panie kapitanie, nie idźcie dalej, nie można tu się utrzymać ani przy pomocy rąk, ani przy pomocy nóg!” Kiedy to rzekłem, on odpowiedział mi jakby nieustraszony, z miną wielkopańską: „Na cóż to gadanie, trza iść naprzód!”

Odczułem w tych słowach niby wyrzut skierowany do mnie i odpowiedziałem: „Zobaczmy, jak wejdziecie tu, gdzie ja jestem”, i wspiąłem się wyżej. W tym momencie z góry stoczyło się tyle ogromnych głazów, że

zraniły Pedra Barbę i zabiły jednego z jego żołnierzy, i nie zrobili kroku dalej od miejsca, gdzie stali. Wówczas chorąży Corral zaczął wołać, aby zawiadomiono Korteza, że nie da się iść dalej w górę, a powrót byłby równie niebezpieczny.

Kortez, usłyszawszy to, i jako na dole, gdzie stał, głązy tocząc się w rozpędzie zabiły trzech żołnierzy, a raniły siedmiu, był pewien, że prawie wszyscy żołnierze, którzy pieli się w górę, zostali zabici lub ranni — z dołu nie można było dostrzec owych zagłębień skalnych — tedy gestami i nawoływaniem, i strzałem z muszkietu dał nam znak, że rozkazuje się cofać. W dobrym porządku, od przewieszki do przewieszki, schodziliśmy w dół, znosiliśmy ośmiu zabitych, stargane chorągwie i sprowadzaliśmy rannych spływających krwią.

Tej nocy spaliliśmy w gaju morwowym na pół martwi z pragnienia. Postanowiono, że następnego dnia na drugą skałę w pobliżu wielkiej wejda wszyscy nasi kusznicy i muszkietery, bowiem było na nią wejście, choć niezbyt dobre, i stamtąd strzałami z kusz i muszkietów osiągną ufortyfikowanej skały i będą mogli walczyć. Tak się też stało. Udało im się osiągnąć obrońców, walka trwała około pół godziny, aż zechciał Bóg, Pan Nasz, że Indianie postanowili się poddać, a było to z powodu braku wody, na skałę ludzi było wiele, zebrali się tam z pogranicza zarówno mężczyźni, jak kobiety i dzieci, i drobny ludek, a żebyśmy zrozumieli, że chcą pokoju, kobiety powiewały płachtami, a gestami dawały do poznania, że będą dla nas piec chleby i kołaczki, zaś wojownicy zaprzestali ciskać strzały, kamienie i oszczepy.

Kortez rozkazał, by nic im złego nie czyniono, i gestami wezwał pięciu naczelników, aby zeszli porozumieć się w sprawie pokoju. Zeszli i z wielkim uszanowaniem prosili Korteza o przebaczenie, że dla swej obrony zamknęli się w tej fortecy. Kortez oświadczył, że zasłużyli na śmierć rozpoczynając walkę, ale gdy proszą o pokój — niech co rychlej udadzą się na drugą skałę i przywołają kacyków oraz starszyznę, którzy tam się schronili. Przeszłość zostaje przebaczona, jeżeli dotrzymają pokoju. Jeżeli nie dotrzymają, oblegać ich będziemy, aż zginą z pragnienia, wiemy bowiem, że nie mają wody. I zaraz postąpili, jak rozkazał.

Kortez polecił chorążemu Corralowi, dwóm innym oficerom i mnie wspiąć się na ową skałę, oglądnąć fort i sprawdzić, czy wielu jest tam rannych albo zabitych Indian i ile jest tam ludzi. Wydając to polecenie, dodał: „Pamiętajcie, abyście im nawet ziarnka kukurydzy nie zabrali!” Wspięliśmy się na skałę przez trudne przejścia, a była znacznie trudniejsza niż poprzednia warownia, skały bowiem były prostopadłe. Na górze wejście do warowni było przez otwór węższy niż wejście do piwnicy lub pieca piekarskiego. Na samym szczycie była równina pokryta trawą, pełna ludzi, zarówno wojowników, jak licznych kobiet i dzieci. Zastaliśmy tam około dwudziestu zabitych i wielu rannych, a nie mieli ani

kropli wody do picia; całe mienie mieli zawiązane w tobołki, a prócz tego były liczne inne toboły tkanin przeznaczone na trybut dla Guatemuza. Kiedy ujrzałem owe toboły tkanin i szat i dowiedziałem się że były przeznaczone na trybut, zacząłem nimi obarczać czterech Tlaxcalczyków, których przyprowadziłem, oraz czterech innych Indian. Kiedy to zobaczył Pedro de Ircio, zakazał mi to zabierać. Ja upierałem się przy swoim, ale on był oficerem, stało się wedle jego woli, zagroził mi, że doniesie Kortezowi. Przypominał, co Kortez mówił, abyśmy ani ziarnka kukurydzy nie zabierali, odpowiedziałem, że prawda, i właśnie dlatego chcę zabrać owe tkaniny. Ale nie dał mi wziąć niczego i kiedy zeszliśmy, zdał sprawę Kortezowi, co tam widzieliśmy. Zeszli też Indianie z drugiej skały i po wielu rozhovorach i prośbach o przebaczenie przeszłości, uznali zwierzchność Jego Królewskiej Mości.

Tę noc spędziliśmy tam i nazajutrz bardzo wczesnym rankiem ruszyliśmy w kierunku Cornavaki. Przyszli do nas kacykowie z Yautepeque, aby uznać zwierzchność Jego Królewskiej Mości. Następnego dnia ruszyliśmy do znacznie większego i znaczniejszego miasta, zwanego Coadlavaca, zniekształcając tę nazwę nazywamy je teraz Cuernavaca. Zajęte było przez licznych wojowników, zarówno Meksykanów, jak tubylców, a było bardzo warowne, bronił go jar głęboki na więcej niż osiem piętér, na którego dnie płynął potok, ale wody było mało, nie było też żadnego wejścia dla koni, chyba przez jeden z dwóch połamanych mostów. Wszystko było tak obwarowane, że nie mogliśmy się tam dostać i walczyliśmy z nimi z przeciwległego brzegu jaru poprzez potok, a oni zasypywali nas jak gradem oszczepami, strzałami i pociskami z proc.

Kiedy tak walczyliśmy, powiadomiono Korteza, że o pół mili dalej znajduje się wejście dostępne dla koni. Zaraz tam pośpieszył z wszystkimi ludźmi Narvaeza i z całą jazdą, a my, którzy szukaliśmy przejścia, dostrzegliśmy, że z pewnych drzew nad jarem można dostać się na drugą stronę owej głębokiej rozpadliny, i chociaż trzech żołnierzy spadło z owych drzew do wody i jeden z nich złamał nogę, jednak przeszliśmy z wielkim narażeniem. Jeśli o mnie chodzi, to kiedy przeprawiałem się, ujrzawszy całą grozę tego przejścia, dostałem zawrotu głowy, ale mimo to przeszedłem i ja, i inni żołnierze, i liczni Tlaxcalczycy, i zaszliśmy od tyłu Meksykanów, którzy zajęci byli strzelaniem z proc i łuków do naszych. Kiedy nas ujrzeli, nie chcieli wierzyć oczom i sądzili, że nas jest znacznie więcej. W tej chwili przypędził Cristóbal de Olid i Andrés de Tapia oraz inni konni, którzy z wielkim narażeniem życia przeszli przez jeden ze złamanych mostów, więc natarliśmy na wrogów tak, że tył podali i uciekli w góry, gdzie nie mogliśmy ich dosięgnąć.

*

Skierowaliśmy się na drogę do Xochimilco. Jest to wielkie miasto, którego prawie wszystkie domy zbudowane są na jeziorze słodkiej wody i które oddalone jest od Meksyku o dwie i pół mili. Szliśmy w wielkim porządku, jak mieliśmy w zwyczaju, przeszliśmy przez las sosnowy, ale nigdzie nie znaleźliśmy wody. Maszerowaliśmy w pełnym uzbrojeniu, pora była popołudniowa, słońce mocno grzało i cierpieliśmy wielkie pragnienie, a nie wiedzieliśmy, czy będziemy mieć wodę; przeszliśmy już dwie czy trzy mile, a ciągle nie mieliśmy pewności, że dojdziemy do studni, o której nam mówiono. Kiedy Kortez widział, jak zmęczone jest nasze wojsko i że Tlaxcalczycy omdlewają, jeden nawet pomarł z pragnienia, a jeden z naszych, stary i słaby, również, jak mi się zdaje, zmarł z tego powodu — pozwolił odpocząć w cieniu sosnowego gaju i rozkazał sześciu konnym wyjechać przodem w kierunku Xochimilco i zbadać, czy w pobliżu nie ma jakiegoś osiedla albo szałasów, albo studni, o której mówiono, że znajduje się w pobliżu, tam bowiem dobrze byłoby udać się na nocleg. I pojechali owi jeźdźcy, a byli to: Cristóbal de Olid i Valdenebro, i inni mężowie dzielni. Chciałem pójść z nimi i Cristóbal de Olid, z którym byłem w przyjaźni, zgodził się, mówiąc, abym przygotował pięści do walki i nogi do ucieczki w razie spotkania z Meksykanami. Ale pragnienie moje było tak dokuczliwe, że gotów byłem narazić życie, byle tylko dopaść wody. Około pół mili dalej, na stoku góry, znajdowały się liczne zagrody i domostwa należące do Xochimilco. Wówczas jeźdźcy rozbiegli się, aby szukać wody przy domach, i znaleźli wodę, i napili się, a jeden z moich Tlaxcalczyków wyniósł z pewnego domu wielki dzban z tych ogromnych, jakie mają w tej ziemi. Woda była świeża i napiliśmy się — i ja, i oni. Postanowiliśmy zawrócić do Korteza, bowiem mieszkańcy owych zagród już zaczęli się zbiegać i witać nas krzykiem i gwizdami; przyniosłem dzban pełen wody i zastałem Korteza już w drodze razem z całym wojskiem.

Kiedy rzekłem, że w kilku zagrodach, niedaleko stąd, znajduje się woda, że sam piłem i przynoszę wodę w dzbanie, który dźwigają moi Tlaxcalczycy, uważając, aby go im nie porwano, bowiem pragnienie nie uznaje praw, napili się Kortez i inni szlachcice, i radowali się bardzo, i wszyscy nabrali ochoty, i pośpieszyli w drogę. Przybyliśmy do zagród przed zachodem słońca i przy domach znaleźliśmy wodę, było jej jednak niewiele, tak że niektórzy z naszych, głodni i spragnieni, żuli rodzaj ostów i poranili sobie język i usta.

W tym momencie wrócili jeźdźcy i oznajmili, że zbiornik jest jeszcze daleko i że w całym kraju ogłoszono wojnę, dobrze więc będzie noc spędzić tutaj. Wystawiliśmy warty i strażę i wysłaliśmy zwiadowców w pole. Ja stałem na warcie i zdaje mi się, że tej nocy padał deszcz i był wielki wiatr. Nazajutrz rano poszliśmy dalej i około godziny ósmej doszliśmy

do Xochimilco. Teraz opowiem, jaka mnogość wojowników nas tam oczekiwała, jedni na równinie, inni przy moście, który połamali, jakie mnóstwo zbudowali barykad i przeszkód; na włócznie nasadzili klingi szpad, które zdobyli w czasie rzezi naszych na groblach Meksyku, wielu ich wodzów miało długie dzidy o lśniących ostrzach, mieli także łuki, kamienie do proc i miecze obosieczne, podobne do maczug najeżonych nożami. Powiem, że mrowie ich pokrywało ziemię dokoła, zaś przy moście walczyli z nami około pół godziny i nie mogliśmy przejść, i nie pomagały muszkiety ni kusze, ani gwałtowane natarcia, a najgorsze było, że liczne oddziały zachodziły nas od tyłu. Zobaczywszy to, rzuciliśmy się przez wodę i most, jedni płynąc, inni brodząc, i byli nasi żołnierze, którzy nie chcieli pić wody; a przy tym przejściu wypili jej tyle, że napęcznieli jak baryłki.

Przy przejściu mostu wielu naszych zostało rannych, ale niebawem dostaliśmy się w ulice na ląd stały. Jeźdźcy wraz z Kortezem wyszli na ląd z innej strony i spotkali się z ponad dziesięcioma tysiącami Indian, samych Meksykanów, którzy przyszli z pomocą tym z miasta, i tak bili się z naszymi, że zatrzymali jeźdźców dzidami i czterech ciężko ranili. Kortez znalazł się w tej obieży, koń, którego dosiadał, a był to dobry kasztan, czy to z powodu zatuczenia, czy z zastania, osłabł, i Meksykanie pochwycili Korteza i ściągnęli go z siodła; inni mówią, że go siłą zrzucili. Czy tak, czy owak, zbiegli się znacznie liczniej, aby go żywcem pochwyć. Kiedy to spostrzegli Tlaxcalczycy i pewien bardzo dzielny żołnierz, nazwiskiem Cristóbal de Olea, sztychami i cięciami uwolnili go z tej ciżby, i Kortez, choć ranny w głowę, dosiadł znów konia. Olea został wtedy ciężko ranny od trzech pchnięć. Niebawem zbiegliśmy się wszyscy prawie żołnierze, którzy bliżej znajdowaliśmy się, bowiem w tym mieście nie mogliśmy walczyć kupa, gdyż w każdej ulicy trzeba było walczyć z licznymi oddziałami Meksykanów, jedni tu, drudzy ówdzie, ale pojęliśmy, że tam gdzie znajduje się Kortez i konni, wiele jest do roboty, słyszeliśmy bowiem gwizdy i krzyki, i wycia, i świsty. Przedarliśmy się z wielkim narażeniem życia do miejsca, gdzie był Kortez, dostało się tam również piętnastu konnych, i walczyliśmy z wrogami przy kanałach, gdzie się oni obwarowali za barykadami. Nasze przybycie zmusiło ich do wycofania się, ale nie do ucieczki, my również cofnęliśmy się pod ulewą oszczepów, kamieni i strzał, padających ze wszystkich stron od obwarowań i barykad. Meksykanie, mniemając, że uchodzimy, ścigali nas zaciekle. W tym momencie nadjechali Andrés de Tapia i Cristóbal de Olid oraz inni jeźdźcy, ociekający krwią jak ich konie, natarli na wrogów i zadali im wielkie straty.

Wycofaliśmy się na duży dziedziniec, na którym stały świątynie. Nasi żołnierze wyszli na szczyt największej świątyni, gdzie umieszczone były bożki i stamtąd ogarnęli wzrokiem wielkie miasto Meksyk i całe jezioro — świątynia górowała bowiem nad wszystkim — dostrzegli napływające od

strony Meksyku około dwóch tysięcy łodzi, pełnych wojowników, które kierowały się prosto w naszą stronę. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że władca Meksyku, Guatemuz, wysłał ich, aby tego dnia czy nocy napadli na nas; równocześnie lądem wysłał blisko dziesięć tysięcy — mieli nas wspólnie z dwu stron zaatakować, abyśmy z tego miasta nie uszli z życiem; innych dziesięć tysięcy stało w odwodzie — ci mieli wkroczyć do walki w stosownym czasie. O tym wszystkim dowiedzieliśmy się od pięciu wodzów meksykańskich, których pojмалиśmy w bitwie. Na warcie stałem wtedy ja i moi towarzysze, usłyszeliśmy plusk wiosł liczących łodzi, który umilkł, kiedy chcieli wylądować w pobliżu naszego posterunku. Przeszkodził nam temu gradem kamieni i dzidami, i nie odważyli się wyjść na brzeg, a jeden z naszych towarzyszy pobiegł uprzedzić Korteza. Zaraz też zjawił się on sam z dziesięciu jeźdźcami, ale zanim się zbliżyli, zapytaliśmy — ja i niejaki Gonzalo Sánchez, Portugalczyk: „Kto idzie? Czemu się nie odzywacie? Kto idzie?” Odpowiedzieli trzema czy czterema rzutami kamieni. Ledwie Kortez poznał po głosie mnie i mego towarzysza, rzekł do skarbnika Juliana de Alderete, do brata Melgarejo i oboźnego Cristobala de Olid: „Nie potrzeba tu większej straży, na tym posterunku stoją dwaj, którzy mi towarzyszyli od pierwszej chwili, i możemy być pewni tej placówki, choćby i groźniejsza rzecz się zdarzyła”. I odeszli już nie mówiąc sprawdzać inne placówki. Nagle, kiedy się tego nie spodziewałem, usłyszeliśmy, że pod chłostą pędzą dwóch żołnierzy na posterunek, byli to ludzie Narvaeza.

Już jasny dzień nastał, kiedy zaczęły nas zewsząd otaczać oddziały meksykańskie, ale nie zaskoczyły nas. Konni z jednej strony, od lądu stałego, z drugiej my i nasi sprzymierzeńcy, Tlaxcalczycy, z nami, uderzyliśmy na nich i zostali zabici czy ranni trzej ich wodzowie, a nasi sprzymierzeńcy, bardzo gorliwi, pojмали pięciu dostojników. Nasi jeźdźcy ścigając ich, natknęli się na dalszych dziesięć tysięcy wysłanych na pomoc przez Guatemuzę, a jako byli nieliczni, zatrwożyli się i odskoczyli na bok, dopóki Kortez i my wszyscy nie przybędziemy im z pomocą. W tej chwili wyszli wszyscy konni, znajdujący się w obozie, i uderzyliśmy tak silnie, że przełamaliśmy szyki wroga; teraz, walcząc krok po kroku, zmusiliśmy go do ucieczki i pozostawienia nam pola. Postanowiliśmy nazajutrz wyjść z miasta i nie czekać dalszej bitwy, a ten dzień spędziliśmy lecząc rany, przygotowując broń i strzały.

Podczas tego zdarzyło się, że jako to miasto było bardzo bogate i były w nim magazyny pełne opończ, tkanin, koszul indiańskich, bawełny, a było też w nich i złoto oraz liczne inne przedmioty i pióra, Tlaxcalczycy i niektórzy żołnierze starali się dowiedzieć, gdzie się owe magazyny znajdują. Jeńcy z Xochimilco wskazywali, że magazyny te leżą na jeziorze słodkiej wody, a można się do nich dostać przez groblę i trzy małe mosty nad głębokimi kanałami. Nasi żołnierze dopadli tam i znaleźli owe budynki

pełne szat, a bez żadnej straży, obarczyli się więc oni, a także liczni Tlaxcalczycy, szatami i złotem i znieśli je do obozu. Zobaczyli to inni, udali się tam. a kiedy znajdowali się wewnątrz, wydobywając z wielkiej skrzyni tkaniny, nadpłynęły liczne łodzie z wojownikami meksykańskimi, którzy napadli naszych i ranili wielu, a czterech żołnierzy porwali i żywcem zabrali do Meksyku, inni zaś uciekli. Kiedy przyprowadzili owych czterech przed Guatemuza, wywiedziały się od nich, że było nas tak mało przy Kortezie, przeważnie rannych, i wszystko, o czym chciał wiedzieć o naszej wyprawie, a kiedy wyciągnął z nich owe nowiny, kazał uciąć nogi i ramiona, i głowy tym nieszczęsnym towarzyszom i rozesać je po licznych miastach naszych przyjaciół, którzy pokój z nami zawarli, z zapewnieniem, że zanim wrócimy do Tezcucu, myśli, że nikt z nas nie zostanie żywym, a serca i krew naszą ofiarują bogom.

Chcę powiedzieć, że dookoła Meksyku w promieniu dwóch mil leżały liczne miasta: Xochimilco i Coyoacan, i Uichilobusco, i Iztapalapa, i Cornavaca, i Mezquique oraz trzy czy cztery inne, przeważnie zbudowane na wodzie, odległe jedne od drugich o milę, półtorej lub dwie, a wszystkie tam, w Xochimilco. połączyły się przeciw nam.

Nazajutrz wczesnym rankiem przez Coyoacan udaliśmy się do Tacuby. W drodze odłączył się Korteż z dziesięcioma konnymi i wpadł w zasadzkę Meksykanów, którzy wyskoczyli z jakichś kanałów i porwali mu czterech pacholików. a potem udawali ucieczkę. Korteż z jeźdźcami jął ich ścigać i nagle spostrzegł, że wpadł między wielki oddział wrogów, ukrytych w zasadzce, ci wypadli, poranili im konie i gdyby nasi rychło się nie cofnęli, byłiby wszyscy zginęli lub zostali wzięci. W rękach Meksykanów pozostało dwóch pacholików Korteza, których zawiedli Guatemuzowi i zabili na ofiarę. Tymczasem, wraz z Pedrem de Alvarado i Cristobalem de Olid, niosąc rozwinięte sztandary, dotarliśmy do Tacuby, a Korteż z dziesięcioma konnymi się nie zjawiał. Zaniepokoił się, że zdarzyło się jakieś nieszczęście, i zaraz udaliśmy się na poszukiwanie aż do kanału, gdzie się od nas, jak widzieliśmy, oddzielił. Tam spotkaliśmy dwóch innych pacholików Korteza, którym udało się zbiec i opowiedzieli to, co przytoczyłem powyżej, powiedzieli także, że im udało się uciec, jako bardziej rączy, zaś Korteż i reszta jadą krok za krokiem, mając ranne konie. Nadjechał Korteż, czym uradowaliśmy się bardzo, ale jechał bardzo smutny i jakby we łzach. Nazywali się owi junacy porwani do Meksyku na ofiarę Francisco Martin Vendaval i Pedro Gallego.

Kiedy przybyliśmy do Tacuby, lał wielki deszcz. Weszliśmy na taras najwyższej położonej świątyni tego miasta, skąd dobrze widać było Meksyk, całe jezioro, większość miast przeze mnie wymienionych, a pobudowanych na wodzie. A kiedy brat Melgarejo i skarbnik Alderete ujrzeli tyle tak wielkich miast, leżących na wodzie, wpadli w zdumienie. Kiedy ujrzeli miasto Meksyk i jezioro, i takie mnóstwo łodzi dowożących żywność albo

wypływających na połów, albo wracających pustych, zdumiewali się jeszcze bardziej i mówili, że nasze przybycie do Nowej Hiszpanii nie było dziełem ludzi, ale wielkiego miłosierdzia bożego, i że nie przypominają sobie, aby gdziekolwiek czytali, iż jacyś poddani oddali swemu królowi takie usługi, jak my, i że zdadzą z tego sprawę Jego Królewskiej Mości. Brat pocieszał Korteza pogrążonego w smutku wielkim po stracie pacholików. Kortez i my wszyscy staliśmy spoglądając z Tacuby na wielką świątynię Uichilobosa, na Tatelulco, na budynki, w których przebywaliśmy, podziwialiśmy całe miasto i mosty, i groble, przez które uchodziliśmy. Wówczas Kortez westchnął, przejęty wielkim smutkiem, większym jeszcze niż poprzednio, bolejąc nad ludźmi zabitymi. Powstała o tym romanca czy pieśń:

W Tacubie stanął Kortez
ze swoim dzielnym wojskiem
smutny, bardzo stroskany,
smutny, w wielkiej żałobie,
na jednej dłoni wsparł lico,
a drugą ujmował głownię...

Przypominam sobie, że pewien żołnierz odezwał się: „Wodzu nie bądźcie, wasza miłość, tak smutni, takie rzeczy zwykle zdarzają się na wojnie. A nikt nie powie o waszej miłości:

Patrzył z Tarpejskiej skały
Neron, jak Rzym się palił...

Kortez odpowiedział, że wszystkim wiadomo, ile razy posyłał w sprawie pokoju do Meksyku, smutny jest jednak nie tylko z tej przyczyny, ale kiedy myśli o wielkich trudach, jakie nas czekają, zanim znów w nim zaplanujemy, spodziewa się, że z pomocą bożą jak najrychlej dokonamy dzieła.

Stamtąd udaliśmy się do Gualtitan, i przez cały dzień deszcz nie ustawał, a że szliśmy w zbrojach których nie zrzucaliśmy ni we dnie, ni w nocy, nasiąknięte wodą stawały się coraz cięższe i byliśmy wyczerpani. Wreszcie doszliśmy do miasta, które zowie się Acolman, podległego Tezcucu, a kiedy się tam o naszym zbliżaniu dowiedziano, wyszli na nasze przyjęcie. Zastaliśmy tam wielu Hiszpanów, przybyłych właśnie z Kastylii, i powitał nas Gonzalo de Sandoval ze swymi żołnierzami i władcą Tezcucu, don Hernandem. Nazajutrz, zmęczeni, okryci ranami, wyczerpani, dowlekliśmy się do Tezcucu.

*

Kiedy wróciliśmy z wyprawy na Tacubę, wycieńczeni i ranni, zdarzyło się, że wielki przyjaciel gubernatora Kuby, nazwiskiem Antonio de Villa-

faña, pochodzący z Zamory, umawiał się z innymi żołnierzami Narvaeza, których tu nie wymieniam, aby ich czci nie popsować, że skoro Kortez powróci z tej wyprawy, mają go zabić. A miało to być tak: Ponieważ w owym czasie przyplłynął okręt z Kastylii, umówili się spiskowcy, że kiedy Kortez będzie przy stole ze swymi oficerami, przyniosą mu list zamknięty i zapieczętowany, mówiąc, że to list od jego ojca, Martina Korteza, a kiedy go otworzy i czytać zacznie, zakłują sztychami jego i tych oficerów i żołnierzy, którzy przy nim stać będą ku obronie. Zdradzili się z tym przed dwoma znacznymi osobistościami, o których niebawem powiem, a które miały z nami iść na wyprawę. Jednego z nich wyznaczyli już na naczelnego wodza po śmierci Korteza, innych żołnierzy Narvaeza mianowali to najwyższym *alguacilem*, to chorążym, to ławnikami, poborcami, skarbnikami, kontrolerami i tym podobne, a nawet rozdzielili już między siebie nasze mienie i konie. Ten spisek został odkryty w dwa dni po naszym przybyciu do Tezcuco; Bóg, Pan Nasz, sprawił, że nie doszło to do skutku, byłaby bowiem Nowa Hiszpania stracona oraz my wszyscy. Pewien żołnierz zdradził to Kortezowi, aby mógł temu zaradzić, zanim się ogień bardziej rozпали; ów pocziwiec zapewniał, że wiele możnych osób brało w tym udział.

Kortez, dowiedziawszy się o wszystkim, wynagrodził hojnie tego człowieka i powiadomił naszych oficerów: Pedra de Alvarado, Franciska de Lugo, Cristobala de Olid, Andresa de Tapia, Gonzala de Sandoval. mnie i dwóch *alcaldów*, którymi w tym roku byli Luis Marin i Pedro de Ircio oraz innych, jacy byli po jego stronie. Niezwłocznie udaliśmy się do domu Antonia de Villafaña i zastaliśmy tam licznych spiskowców, zaraz tedy czterech *alguacilów* przyprowadzonych przez Korteza pojmało Villafańę, oficerowie i żołnierze tam obecni zaczęli uciekać, a Kortez kazał ich chwycić i uwięzić. Kortez wyrwał z zanadrza Villafańi memoriał z podpisami wszystkich uczestników spisku, a przeczytawszy go i przekonawszy się, że były to podpisy wielu osób znaczących, aby ich czci nie szkodzić, kazał — jak fama głosi — Villafańiemu pismo to zjeść, aby go nikt nie czytał, ani nie widział. Zaraz też odbył się proces przeciwko niemu; kiedy wyznał prawdę, a świadkowie potwierdzili, wyrok został wydany, i kiedy go wypowiadał ojciec Juan Diaz, został powieszony na oknie domu, gdzie mieszkał. Ustanowił też Kortez dla siebie straż przyboczną, sześciu żołnierzy z oficerem Antoniem de Quiñones, którzy czuwali nad nim w dzień i w nocy.

Księga dziesiąta

OBŁĘŻENIE I UPADEK MEKSYKU

36

Jak Kortez rozkazał wszystkim miastom sprzymierzonym gromadzić zapasy broni, jak odbył przegląd wojsk w mieście Tezcucó i wyznaczył żeglarzy na brygantyny

Kortez widząc, że brygantyny już gotowe, zaopatrzone w liny, żagle i wiosła, kanały i fosy pogłębione, rozkazał przygotować zapasy broni, strzał, szypów, sznurów, prochu i podkuć konie.

Wysłał też listy do wodzów Tlaxcali, zawiadamiając, że po Bożym Ciele wyprawimy się na oblężenie Meksyku, i prosząc o przysłanie dwudziestu tysięcy wojowników. Podobnie uprzedził Indian z Chalco i Tamancaico, aby byli gotowi na wezwanie, to samo przekazał don Hernandowi, władcy Tezcucó i jego wodzom oraz innym miastom, naszym sprzymierzeńcom, i postanowił odprawić przegląd wojsk w dzień Zielonych Świątek.

*

W drugi dzień Zielonych Świąt r. 1521 odbył się przegląd wojsk na wielkich dziedzińcach Tezcucó. Znalazło się tam osiemdziesięciu czterech konnych, sześciuset pięćdziesięciu żołnierzy przy mieczu i tarczy, liczni spiśnicy, stu dziewięćdziesięciu czterech muszkieterów i kuszników, i wszyscy oni rozdzieleni zostali pomiędzy trzynaście brygantyn, jak powiem poniżej.

Na każdą brygantynę dano dwunastu kuszników i muszkieterów wolnych od wiosłowania, ponadto dwunastu wiosłarzy, po sześciu na każdej burcie, jeden kapitan na każdej, czyli razem na każdej brygantynie było dwudziestu pięciu żołnierzy wraz z kapitanem. Tak więc było trzynaście brygantyn po dwudziestu pięciu żołnierzy, czyli dwustu osiemdziesięciu ośmiu, razem z artylerzystami było na statkach trzystu dwudziestu pięciu

żołnierzy. Podobnie rozdzielono armaty i śmigownice, a prochu dano tyle, ile zdawało się, że będzie potrzeba.

Po czym ogłoszono rozkazy, których mieliśmy się trzymać.

Po pierwsze, aby nikt pod srogą karą nie ważył się bluźnić przeciwko Panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi i Matce Jego Najświętszej ani przeciw apostołom czy innym świętym.

Po drugie, aby żaden żołnierz źle nie odniósł się do naszych sprzymierzeńców, którzy nam idą z pomocą, ani nie zabierał im żadnej rzeczy zdobytej na wojnie, czy to byłaby Indianka, czy Indianin, czy złoto, czy srebro, czy *chalchiuis*.

Dalej, aby żaden żołnierz pod ciężką karą nie śmiał ani w dzień, ani w nocy wychodzić z obozu, udawać się do osiedla naszych przyjaciół czy gdzie indziej, aby przynosić żywność czy cokolwiek innego.

Dalej, wszyscy żołnierze mieli nosić mocne zbroje dobrze wypchane, z napierśnikiem, nausznikami i przyłbicą; uzbrojenie takie było potrzebne dla wielkiego mnóstwa oszczepów, kamieni, strzał i dzid używanych przez wroga.

Dalej, pod srogą karą nie wolno nikomu stawiać w grze konia ani dawać broni w zastaw.

Dalej, każdy żołnierz, konny czy kusznik, czy muszkieter, musi spać w pełnym uzbrojeniu, w sandałach na nogach, chyba że byłby ranny czy chory, bowiem musimy być każdej chwili gotowi, gdyby nas Meksykanie napadli.

Prócz tego ogłoszono zwykły regulamin wojskowy: kto śpi na warcie albo schodzi z posterunku, zasługuje na karę śmierci; nie wolno też żołnierzowi pod karą śmierci przechodzić z jednego obozu do drugiego bez pozwolenia dowódcy.

Dalej, żołnierz, który opuszcza swego dowódcę w wojnie czy bitwie i ucieka, podlega karze śmierci.

*

Po owym przeglądzie Korteż spostrzegł, że do wiosłowania na brygantynach brakuje wiosłarzy doświadczonych, znali się na tym marynarze naszych okrętów, któreśmy zatopili, jak również marynarze okrętów Narvaeza i tych z Jamajki, ale nie było ich dosyć na trzysta brygantyn — wielu z nich odmawiało, a nawet twierdzili, że wiosłować nie umieją. Korteż przeprowadził śledztwo, aby dowiedzieć się, kto był marynarzem, czy widziano go na połowie ryb, czy pochodzi z Palos lub Moguer, z Triany czy z Puerto, czy z innego jakiegoś portu lub okolicy morskiej, i pod srogimi karami rozkazał im wsiąść na brygantyny i choć było wielu, którzy twierdzili, że są dobrze urodzonymi, kazał im pójść do wiosła. W ten sposób

zebrał stu pięćdziesięciu wioślarzy, zyskali oni stanowisko lepsze niż my, którzy musieliśmy walczyć na groblach, i porośli w bogate łupy. Kiedy tak wszystko zostało ułożone, przyszedli zawiadomić Korteza, że zbliżają się pułki z Tlaxcali z wielką liczbą wojowników, z Xicotengą Młodszym jako wodzem naczelnym, tym samym, który gotował nam zdradę w czasie naszego odwrotu z Meksyku. Wiódł on ze sobą dwóch innych braci, synów zacnego don Lorenza de Vargas, oraz znaczną liczbę Tlaxcalczyków pod wodzą Chichimecatecli; z Guaxocingo przybył również pułk, z Choluli drugi, choć tych ostatnich nie było wielu, bowiem jak widziałem sam, odkąd Cholulę ukaraliśmy, jak wspomniałem, nigdy już nie trzymali z Meksykanami, ale i nie z nami, jakby trwali w oczekiwaniu. Jednak nawet kiedy nas wyrzuciono z Meksyku, nie przyłączyli się do naszych wrogów.

Kortez, dowiedziawszy się, że przybywa Xicotenga z braćmi oraz innymi wodzami, a przybywają o dzień wcześniej, niż było umówione, wyszedł na ich spotkanie o ćwierć mili od Tezcuco, z Pedrem de Alvarado oraz innymi oficerami, i przy spotkaniu bardzo wylewnie uściskał Xicotengę i innych wodzów. Szli w wielkim porządku, bardzo świetni, z wielkimi znakami, każdy pułk osobno, z rozwiniętymi sztandarami, nad nimi ptak biały, ich herb, zdawał się być orłem z rozpiętymi skrzydłami; chorążowie powiewali proporczykami i sztandarami, wszyscy byli zbrojni w łuki i strzały, w obosieczne miecze, w kije z kulami, w rozmaite maczugi, w dzidy wielkie i małe oszczepy, przystrojeni pióropuszcami; szli w szyku, wznosząc okrzyki i gwiazdy, i świsty, wołając: „Niech żyje cesarz, nasz pan!" oraz „Kastylija, Kastylija!", „Tlaxcala, Tlaxcala!" Pochód ich trwał trzy godziny. Kortez kazał im przydzielić kwatery w zacnych domach i zaopatrzyć ich we wszystko, czym obóz dysponuje.

37

Jak Kortez rozkazał trzem pułkom konnych, muszkieterom i kusznikom udać się lądem na oblężenie Meksyku, wyznaczając dowódców każdemu oddziałowi

Kortez wyznaczył Pedra de Alvarado na wodza stu pięćdziesięciu żołnierzy, trzydziestu konnych i osiemnastu muszkieterów i kuszników. Cristobalowi de Olid, oboźnemu, przydzielił innych trzydziestu konnych i stu siedemdziesięciu żołnierzy oraz dwudziestu muszkieterów i kuszników. Na czele trzeciej kolumny postawił Gonzala de Sandoval, najwyższego *alguacila*, z dwudziestu czterema konnymi, czternastu muszkieterami i kusznikami oraz stu pięćdziesięciu żołnierzami i ponad ośmiu tysiącami Indian z Chalco i Guaxocingo, a także innych miejscowości, przez

które miał Sandoval pójść. Mieli oni rozbić obóz pod Iztapalapą i rozpocząć działania wojenne. Lecz Sandoval nie opuścił Tezcucu, dopóki Korteż, który dowodził okrętami, nie był gotów do wyjścia na jezioro trzynastoma brygantynami, z trzystu na nich żołnierzami, z muszkietierami i kusznikami. W ten sposób mieliśmy iść z Pedrem de Alvarado oraz z Cristobalem de Olid jedną stroną jeziora, a Sandoval drugą stroną, i mieliśmy się w końcu spotkać. Każdy dowódca otrzymał dokładne instrukcje, co ma czynić. Ponieważ mieliśmy wyruszyć nazajutrz rano, aby drogi nie były zbyt zatłoczone, wysłaliśmy przodem pułki tlaxcałskie, które miały dojść aż do ziem meksykańskich. Ruszyli pod wodzą Chichimecatecli i innych dowódców i nie spostrzegli, że Xicotenga Młodszy, ich wódz naczelny, nie idzie z nimi. Chichimecatecle, wypytyując i dochodząc, gdzie pozostał, doszedł w końcu, że tej nocy powrócił ukradkiem do Tlaxcali, aby tam gwałtem pochwycić władzę i zabrać poddanych i ziemię samego Chichimecatecli, widząc bowiem, że wszyscy wodzowie wyprawili się na wojnę, przypuszczał, że nie będzie miał kto stawić mu oporu. Swego ojca, Xicotengi Starego, nie bał się, myślał nawet, że ojciec mu pomoże, zaś nasz przyjaciel Masseescaci nie żył. Bał się jedynie Chichimecatecli. Mówili też Tlaxcałczycy, że wiadomo było, iż Xicotenga nie ma chęci iść na wojnę z Meksyką, bowiem niejednokrotnie słyszeli od niego, że wszyscy, my i oni, musimy tam zginąć.

Kiedy to usłyszał i zobaczył kacyk Chichimecatecle, którego ziemię i poddanych tamten chciał zagarnąć, zawrócił z drogi do Tezcucu i powiadomił o wszystkim Korteza. Korteż wysłał natychmiast pięciu naczelników z Tezcucu i dwóch z Tlaxcali, przyjaciół Xicotengi, aby starali się zawrócić go z drogi i rzekli mu, iż Korteż prosi, aby zaraz włączył się do wyprawy przeciw Meksykanom, swoim wrogom, niechaj zważy, że ojciec jego, Lorenzo de Vargas, gdyby nie był tak stary i ślepy, na pewno wyprawiliby się na Meksyk, a jego wszyscy Tlaxcałczycy byli i są wiernymi wasalami Jego Królewskiej Mości, niech on im wstydu nie przynosi tym swoim postępowaniem, nie szczędził mu także obietnic i przyrzeczeń, byleby powrócił. Odpowiedź brzmiała, że gdyby stary ojciec i Masseescaci jemu wierzyli, Korteż nie panoszyłby się dzisiaj tak nad nimi i nie zmuszałby ich do spełnienia swoich zachcianek, aby słów więcej nie marnować oświadczył krótko, że nie wróci. Korteż na to wydał polecenie jednemu ze strażników, aby z czterema konnymi i pięcioma naczelnikami z Tezcucu dogonili go i gdziekolwiek go dopadną, powiesili. A kiedy Pedro de Alvarado wstawiał się za nim, Korteż przyrzekł względy, ale potajemnie przykazał *alguacilowi* i konnym nie wypuścić go żywcem. Kilku Tlaxcałczyków mówiło, że Lorenzo de Vargas, to jest Xicotenga Stary, przysłał do Korteza ostrzeżenie, że syn jego jest niegodziwy, by mu nie ufał i starał się go zgładzić.

Z tej przyczyny zatrzymaliśmy się przez jeden dzień w Tezcucu. Na-

zajutrz, 13 maja 1521 r., udaliśmy się pospołu, zarówno Cristóbal de Olid, jak Pedro de Alvarado, na nocleg do miejscowości zależnej od Tezcucó, zwanej Aculma. Następnego dnia kolumny spędziły noc w miejscowości zupełnie wyludnionej, była to bowiem już ziemia meksykańska. Na trzeci dzień doszliśmy do wielkiego miasta Gualtitan, również opuszczonego, następnie minęliśmy Tenayuco i Escapuzalco, również wyludnione, i pod wieczór doszliśmy do Tacuby, gdzie rozłożyliśmy się w wielkich domach, bowiem i tu ludzi nie było. Spaliśmy tej nocy, rozstawiwszy czaty i podsłuchy, rozestawszy konne patrole, jak już bowiem wspomniałem, Tacuba była blisko Meksyku.

Ledwie ściemniało, usłyszeliśmy wielkie krzyki od strony grobli — miotali zniewagi wołając, że nie stać nas na walkę z nimi. Było tam mnóstwo łodzi pełnych wojowników, podobnie było ich mnóstwo na grobli, więc okrzyki te miały na celu wznieść oburzenie nasze i wywabić nas na walkę. Ponieważ na własnej skórze przekonaliśmy się, co to są groble i mosty, nie mieliśmy zamiaru wychodzić, póki nie wysłuchamy mszy odprawionej przez ojca Juana Diaza. Poleciwszy się Bogu, postanowiliśmy, że obie kolumny razem ruszą, by odciąć wodę z Chapultepec, która zaopatrywała miasto. Było to o pół mili od Pacuby. Wyprawivszy się, by odciąć rury, spotkaliśmy po drodze licznych wojowników, którzy na nas czekali, rozumiejąc dobrze, że była to pierwsza rzecz, jaką mogliśmy na ich szkodę przedsięwziąć, a że spotkanie odbyło się w trudnym przejściu, zaczęli nas siec strzałami, oszczepami i razić z proc, i trzech naszych ranili. Niebawem zmusiliśmy ich jednak do odwrotu, a nasi przyjaciele z Tlaxcali, ścigając ich, zabili dwudziestu i wzięli w łyka siedmiu czy ośmiu. Po ucieczce tych oddziałów przerwaliśmy rury doprowadzające wodę i odtąd nie dochodziła już do Meksyku przez cały czas trwania wojny.

Po dokonaniu tego nasi dowódcy postanowili dojść do grobli wiodącej z Tacuby i usiłovali zdobyć jeden z mostów. Kiedy doszliśmy do grobli, ujrzeliliśmy na jeziorze takie mnóstwo łodzi pełnych wojowników i tylu było ich również na grobli, że ogarnęło nas zdumienie. Zaraz też rzucili w nas tyle oszczepów, wypuścili tyle strzał i kamieni z proc, że od razu ranili ponad trzydziestu żołnierzy. Pomimo to dotarliśmy przez groblę aż do mostu — zrozumiałem, że umyślnie wpuścili nas tam, abyśmy przeszli na drugą stronę mostu, gdzie natarli na nas tak wielką siłą, że nie mogliśmy im dać rady. Grobla miała zaledwie osiem kroków szerokości, cóż więc poradzić mogliśmy wobec takiej przewagi, kiedy z obu stron mierzyli do nas jak do celów. Choć nasi muszkietrzy i kusznicy nieustannie ostrzeliwali łodzie, nie wyrządzali im wielkiej szkody, bowiem były zaopatrzone w silne drewniane oszalowania. Kiedy zaś atakowaliśmy wojowników znajdujących się na grobli, zaraz rzucali się w wodę, a było ich tylu, że rady dać nie sposób. Nasza jazda na nic się zdała, bowiem oni, strzelając z obu stron grobli, ranili nam konie, kiedy zaś nacierała na oddziały,

Indianie rzucali się w wodę i znikali. Przygotowali też barykady, obsadzone przez innych wojowników, zbrojnych w długie dzidy, zaopatrzone w ostrza zdobyte na nas w czasie odwrotu z Meksyku.

W ten sposób zmagaliśmy się z nimi około godziny, walczyli tak zaciekle, że trudno nam się było utrzymać, tym bardziej, że dostrzegaliśmy, jak z drugiej strony nadpływają łodzie, aby nam odciąć odwrot. Widząc, że nasi sprzymierzeńcy Tlaxcalczycy cisną się tłumnie na groblę, poleciliśmy im oddalić się, a ponieważ jasne było, że nie będziemy mogli walczyć w wodzie, postanowiliśmy wycofać się w porządku. Kiedy Meksykanie ujrzeli, że się cofamy i Tlaxcalczycy odchodzą, z wielkim wrzaskiem i gwizdami rzucili się na nas; nie potrafię nawet opisać tego zamieszania. Cała grobla zarzucona była oszczepami, strzałami, kamieniami, a wieleż ich padało w wodę! Ujrawszy się na stałym lądzie, dziękowaliśmy Bogu za wyratowanie nas z tej biedy, jednak ośmiu naszych poległo, a ponad stu było rannych. Meksykanie, siedząc w swoich łodziach, krzyczeli, miotali obelgi, zaś nasi sprzymierzeńcy odpowiadali im, wzywając, aby wyszli na ląd, a choćby byli dwakroć silniejsi, pobijemy ich. Taka była pierwsza nasza akcja: odcięliśmy im wodę i przeprowadziliśmy rekonesans na jeziorze, co zresztą nie przysporzyło nam sławy.

Nazajutrz rano kapitan Cristóbal de Olid chciał udać się na swój posterunek w Coyoacan. o pół mili stamtąd. Im bardziej prosili go Pedro de Alvarado i inni szlachcice, aby obie kolumny nie rozdzielały się, lecz walczyły razem, tym bardziej się upierał, oskarżając Pedra de Alvarado, że niepotrzebnie zapuścił się na groblę. Nie chciał w żaden sposób z nami pozostać — udał się na stanowisko wyznaczone przez Korteza, my zaś pozostaliśmy w naszym obozie. Nie było to wcale dobrze rozdzielać obie kolumny w tej chwili, bowiem gdyby Meksykanie dowiedzieli się, że nas tak mało, to w czasie owych trzech czy czterech dni, zanim nadpłynęłyby brygantyny, uderzyliby na nas, zaś osobno na ludzi Cristobala, i moglibyśmy znaleźć się w ciężkiej sytuacji, a oni mogliby nam wyrządzić wielkie szkody. Siedzieliśmy więc w Tacubie, a Cristóbal de Olid w swoim obozie, nie odważając się wyjść na rekonesans, ani wejść na groblę, i codziennie staczaliśmy potyczki z oddziałami meksykańskimi, które wchodziły na ląd.

Gonzalo de Sandoyal wyszedł z Tezcucó w cztery dni po święcie Bożego Ciała i doszedł do Iztapalapy. Zaczął kroki wojenne od spalania licznych domów stojących na lądzie stałym, ale niebawem przybyły na pomoc liczne oddziały meksykańskie z Iztapalapy i stoczył z nimi walną bitwę i liczne potyczki. Podczas gdy tak walczyli, spostrzegli na wzgórzu blisko Iztapalapy wielkie dymy, którym odpowiedziały inne dymy z osiedli położonych na jeziorze. Był to sygnał zwołujący wszystkie łodzie z Meksyku i z okolicznych miast na jeziorze przeciw Kortezowi, który właśnie wypłynął z Tezcucó z trzynastoma brygantynami. Pierwszym czynem Korteza było zaatakować warownię, znajdującą się na małej wysepce w pobliżu miasta

Meksyku, której załogę stanowili mieszkańcy wyspy i przybyli im na pomoc inni Indianie. Wy płynęły tedy na jezioro przeciw Kortezowi wszystkie łodzie, jakie były w Meksyku oraz w licznych miastach pobudowanych na wodzie albo na łądzie, jak Xochimilco, Coyoacan, Iztapalapa, Uichilobusco i Mexicalcingo oraz różnych, których nazw nie pomnę. Korteż, ujrawszy tak potężną flotę łodzi przeciw jego trzynastu brygantynom, przeraził się bardzo. a miał czego, było tam bowiem ponad tysiąc łodzi! Zaniechał więc ataku na wysepkę i odpłynął w zakole jeziora, skąd — o ile by znalazł się w trudnym położeniu — mógł z łatwością wyjść na jezioro w jakąkolwiek chciałby stronę. Poleciał też swoim dowódcom nie atakować łodzi, dopóki nie ustali się wiatr od łądu, który w tym momencie zaczynał dąć. Kiedy z łodzi dostrzeżono, że brygantyny zatrzymały się, mniemano, że z lęku przed nimi, przeto dowódcy meksykańscy rozkazali wszystkim swym siłom uderzyć zaraz na brygantyny. W tym właśnie momencie zaczął dąć wiatr dogodny i tak silny, że przy sprzyjającej pogodzie i usilności naszych wioślarzy mógł Korteż przypuścić atak do łodzi; wiele z nich przewrócono, zaś licznych Indian zabito lub ujęto. Pozostałe łodzie pospieszyły się ukryć między domami zbudowanymi na jeziorze, gdzie nie mogły ich dosięgnąć nasze brygantyny. Tak więc w tej pierwszej bitwie, stoczonej na wodach, Korteż odniósł zwycięstwo, za co dzięki niechaj będą Bogu. Amen.

Ja w tym czasie przebywałem w Tacubie z Pedrem de Alvarado. Ledwie spostrzegliśmy, że Korteż wyszedł na jezioro, wstąpiliśmy na naszą groblę i w wielkim porządku, nie jak poprzednim razem, doszliśmy do pierwszego mostu. Muszkieterzy i kusznicy — jedni strzelali, drudzy nabijali. Pedro de Alvarado zakazał jeździe ruszać z nami. ale raczej chronić tyły na łądzie stałym z obawy przed wyżej wspomnianymi osiedlami, aby nie zaatakowały nas na groblach. W ten sposób, raz atakując, drugi raz broniąc im wejścia na groblę, codziennie staczaliśmy potyczki.

Tymczasem Gonzalo de Sandoval, który stał w Iztapalapie, widząc, że nie zdoła nic zdziałać przeciw mieszkańcom kryjącym się w domach na wodzie, podczas kiedy oni ranili mu nieustannie ludzi, postanowił zająć kilka takich domów i osiedli na jeziorze, do których miał dostęp, i wszcząć walkę. Wtedy Guatemuz, wielki władca Meksyku, wysłał na pomoc licznych wojowników, aby groblę, na którą wszedł Sandoval, przecięli i zniszczyli, by go zamknąć i odciąć mu odwrót.

Tymczasem Korteż połączył się z Cristobalem de Olid i spostrzegli wielką liczbę łodzi kierujących się na Iztapalapę; postanowił tedy z brygantynami i z kolumną Cristobala de Olid wyprawić się na poszukiwanie Sandovala. Brygantyny płynęły jeziorem, Cristóbal de Olid szedł groblą. Zastali licznych Meksykanów zajętych przekopywaniem grobli, nabrali więc pewności, że tam znajduje się Sandoval; podpłynęli i znaleźli go w ogniu walki z oddziałami wysłanymi przez Guatemuzą. Korzystając z chwili, kiedy

walki nieco osłabły, Kortez rozkazał Gonzalowi de Sandoval opuścić Iztapalapę i podejść łądem do drugiej grobli, prowadzącej z Meksyku do miejscowości Tepeaguilla, dziś noszącej nazwę Matki Boskiej z Gwadelupy, gdzie dzieją się liczne i święte cuda.

*

Kortez i wszyscy nasi dowódcy i żołnierze zrozumieli, że bez brygantyn nie zdołamy opanować grobli, aby walczyć o Meksyk. Kortez wysłał tedy cztery z nich Pedrowi de Alvarado, w swoim obozie, który dzielił z Cristobalem de Olid, zostawił sześć, zaś Gonzalowi de Sandoval, przebywającemu na grobli w Tepeaguilli, wysłał dwie. Poleciał też, aby najmniejsza brygantyna, nie bardzo pewna, nie wypływała na jezioro z obawy, aby jej nie przewróciły łodzie, zaś marynarzy jej polecił rozdzielić pomiędzy pozostałych dwanaście, aby zastąpili ponad dwudziestu rannych.

Kiedy do naszego obozu pod Tacubą przyszła owa pomoc w brygantynach, Pedro de Alvarado polecił, aby dwie z nich płynęły po jednej stronie grobli, a dwie po drugiej. Wówczas zaczęliśmy walkę na dobre, bowiem brygantyny odpierały łodzie atakujące nas od strony wody, co nam umożliwiło zdobycie kilku mostów i barykad. W czasie tych walk ciskali na nas tyle kamieni z proc, oszczepów i strzał, że choć wszyscy szliśmy dobrze osłonięci, wielu żołnierzy odniosło rany, i to w głowę. Walczyliśmy tak i ścieraliśmy się, póki noc nas nie rozdzieliła. Chcę też rzec, że oddziały meksykańskie zmieniały się od czasu do czasu, co poznawaliśmy po innych chorągwiach i znakach. Na brygantyny z tarasów spadały oszczepy, strzały i kamienie, było tego takie mnóstwo, że ani opisać tego nie zdołam, ani nikt tego nie pojmie, kto się tam nie znalazł. Niebawem cała grobla była nimi pokryta. Jeśli nawet za cenę takich trudów zdobyliśmy jakiś most czy barykadę i pozostawiliśmy je jakiś czas bez obsady, tej samej nocy zajmowali je, pogłębiali rowy i stawiali umocnienia, a nawet żłobili w wodzie niewidzialne zapaści, abyśmy nazajutrz, kiedy walczyć będziemy, cofając się tam wpadli, a oni mogli nas z łodzi swoich niszczyć. W tym celu mieli w pogotowiu liczne łodzie, ukryte w miejscach, gdzie ich brygantyny wypatrzeć nie mogły, aby kiedy wpadniemy w owe wyrwy i zasadzki, mogli uderzyć na nas od łądu i od wody.

W ten sposób walczyliśmy co dnia. Gdy noc nadchodziła, przynosiła wytchnienie, leczylimy nasze rany, wypalając je oliwą, a pewien żołnierz, nazwiskiem Juan Catalán, leczył je znakiem krzyża i modlitwami, zaiste bowiem Pan Nasz Jezus Chrystus dawał nam siły, prócz łask, jakich nam co dzień użyczał, i przychodziliśmy szybko do zdrowia. Ranni i w opatrunkach musieli walczyć od rana do nocy, bo gdyby pozostali w obozie, żadna kompania nie liczyłaby nawet dwudziestu ludzi zdrowych. Nasi przyjaciele

z Tlaxcali, widząc, jak ów człowiek leczy rannych modłami, przychodzili doń gromadnie, tak że cały dzień miał wypełniony leczeniem.

Co dzień potrzebny był nowy chorąży, stan nasz bowiem był taki, że ten sam człowiek nie mógł cofać się i atakować, i walczyć, i przy tym sztandar nosić. Do tego ledwie mieliśmy co jeść, nie mówię o plackach kukurydzianych, których było dość, ale nie było świeżego pożywienia dla rannych. Ot, przeklęty los! Dodawały nam sił pewne zioła, zwane *quelites*, którymi odżywiają się Indianie, czasem czereśnie krajowe, a prócz tego owoce opuncji, których właśnie była tam pora.

Opowiem też, jak zmieniliśmy porządek i sposób walki. Widzieliśmy, że zapory wodne, zdobyte za dnia, opłacone śmiercią naszych żołnierzy i ranami innych, w nocy zajmowane były przez Meksykanów, postanowiliśmy tedy, że wszyscy będziemy obozować na grobli, na małym placyku, w zdobytych przez nas wieżyczkach poświęconych bóstwom, choć było tam brudno i w razie deszczu mokliśmy w nich, zaś w razie pogody nie chroniły nas od słońca.

Pozostawiliśmy w Tacubie Indianki, które dla nas chleb piekły, pod strażą wszystkich konnych i naszych przyjaciół z Tlaxcali — pilnowali oni i bronili przejść, i nie pozwalali Indianom z sąsiednich miejscowości zająć nam na tyły, w czasie kiedy walczyliśmy. Skoro już rozłożyliśmy się obozem, tak jak to opowiedziałem, staraliśmy się każdy zdobyty dom czy barykadę burzyć i przepusty wodne zasypywać owymi gruzami; na nic by się nie zdało podpalać domy, trwałoby to zbyt długo, zwłaszcza że dom jeden od drugiego przedzielony był kanałem, który przejść można było tylko po moście albo przepłynąć łodzią, gdybyśmy zaś chcieli przebyć ten kanał w pław, to z tarasów wyrzadziliby nam wiele szkody. Tak więc, burząc, zapewnialiśmy sobie bezpieczeństwo. Kiedy zdobyliśmy jakąś barykadę czy most, czy trudne przejście, gdzie napotkaliśmy wielki opór, staraliśmy się strzec ich we dnie i w nocy, tak że wszystkie nasze kompanie czuwały pospołu, a porządek był taki: od zmierzchu do północy zaciągała straż pierwsza kompania, było w niej czterdziestu żołnierzy, od północy do drugiej godziny przed świtem zaciągała straż druga kompania, znowu z czterdziestoma ludźmi, ale ludzie pierwszej nie odchodzili stamtąd, lecz spali na ziemi, a ten drugi okres nazywał się „twardym snem”. Potem przychodziło znów innych czterdziestu żołnierzy i czuwali od dwóch godzin przed świtem do pełnego dnia, tak że kiedy dzień nastął, było nas na straży około stu dwudziestu żołnierzy razem, a nawet pewnej nocy, kiedy przeczuwaliśmy niebezpieczeństwo, to od zmierzchu aż do rana czuwaliliśmy wszyscy pospołu, lękając się zaskoczenia. Dowiedzieliśmy się od wodzów meksykańskich, pojmanych w bitwie, że Guatemuz ułożył i omówił plan ze wszystkimi dowódcami, by pewnej nocy czy za dnia uderzyć na naszą groblę całą siłą. Gdyby nas był pokonał na naszej grobli, rychłoby potem zdobył i zniósł groble, na których walczył Kortez i Gonzalo de Sando-

val. Ułożył również, że dziewięć miast jeziora, a wśród nich właśnie Tacuba, Escapuzalco i Tenayuca, ma się połączyć i w oznaczony dzień, kiedy on nas zaatakuje od przodu, napadną nas na grobli od tyłu, porwą nasze łupy i Indianki. Powiadomieni o tym, ostrzegliśmy naszą jazdę, aby przez całą noc była w pogotowiu, a także nasi przyjaciele Tlaxcalczycy.

Guatemuz, tak jak postanowił, przystąpił do dzieła. Niewielkie oddziały Meksykanów starały się nas rozproszyć i znieść, jedne o północy, inne w czasie „twardego snu”, inne o świcie, jedne nadchodziły bez szmeru, inne z wielkimi wrzaskami i gwizdami, a kiedy docierali do posterunków naszej straży nocnej, zasypywali nas oszczepami, strzałami, kamieniami, inni nacierali na nasz tabor, ale rozbijała ich nasza jazda i Tlaxcalczycy. W ten sposób musieliśmy trwać na straży czy to w deszcz, czy w wiatr, czy w mróz, czy byliśmy na pół unurzani w błocie, czy ranni; dodajmy do tego owe nędzne placki i zielsko, i owoce opuncji, którymi musieliśmy się żywić. Ale — jak twierdzi starszyzna — tak musi być na wojnie.

Nie na wiele przydało się odcięcie wody z Chapultepec ani czuwanie na trzech groblach, by nie dowożono żywności, nie na wiele przydały się nasze brygantyny pozostałe w obozach, bowiem Meksykanie otrzymywali dość wody i spyży z dziewięciu miast zbudowanych na jeziorze, które — podobnie jak inne przyjazne im miejscowości — łodziami nocą zaopatrywały ich w kukurydzę, kury i wszystko, czego chcieli. By temu zapobiec, postanowiliśmy w trzech obozach naszych, że dwie brygantyny będą nocą patrolować jezioro, polować na łodzie ładowne żywnością, wszystkie niszczyć lub przyciągać do naszych obozów. Było to słuszne, bowiem jeżeli do wojowania i stróżowania nocą nie były zdadne, wielkie usługi oddały nie dopuszczając żywności i wody. Nie było dnia, aby nie przyciągały zagarniętych łodzi, aby na rejach powracających brygantyn nie kołysały się trupy powieszonych Indian.

Powiedzieć nam trzeba o podstępie, jakiego użyli Meksykanie, aby zająć nasze brygantyny i zabić ich załogę. Postanowili uzbroić trzydzieści piróg, czyli bardzo wielkich łodzi, z doskonałymi wioślarzami i wojownikami, i nocą, nakrywszy je gałęziami, umieścili je w sitowiu w miejscu, gdzie ich z brygantyn nie można było dostrzec. Tam gdzie, jak przypuszczali, brygantyny będą przepływać w razie walki z nimi, powbijali liczne pale, aby brygantyny na nich utknęły. Potem ich łodzie wypłynęły na jezioro i jakby zatrwożone pomykały wzdłuż sitowia, a dwie nasze brygantyny rozpoczęły pogoń za nimi. Łodzie skierowały się ku wybrzeżu, brygantyny za nimi, a kiedy zbliżyły się do zasadzki, wszystkie pirogi wypłynęły naraz i zaatakowały je. Brygantyny utknęły na palach, nie mogąc ruszyć ani w jedną, ani w drugą stronę, wszyscy wioślarze i dowódcy odnieśli rany, i od tej rany zmarł w trzy dni później Pedro Barba. Indianie opanowali jedną brygantynę. Należały one do obozu Korteza, który wielce się tym zmartwił.

Opowiedzmy teraz, jak wielkie boje toczyły się ustawicznie w obozach Korteza i u Gonzala de Sandoval. Szczególnie zażarte były u Korteza, kazał on bowiem burzyć i palić domy i zasypywać przepusty pod mostami. Poleciał też Pedrowi de Alvarado każdą wyrwę w grobli i przepust zasypywać od razu, nie zostawiać żadnego domu bez zburzenia i podpalenia. Tedy gruzami i drzewem burzonych domów zasypywaliśmy przejścia i przepusty, a nasi przyjaciele Tlaxcalczycy dzielnie nam pomagali. Kiedy Meksykanie spostrzegli, że wszystkie domy równamy z ziemią i zasypujemy wyrwy, zmienili metodę walki. Wykopali fosę bardzo głęboką i szeroką, z utajonymi licznymi dołami, w których tracilibyśmy grunt pod nogami, pragnąc ją przekroczyć, a także z każdego boku nagromadzili przeszkody, powbijali pale grube, aby brygantyny nie mogły przyjść nam z pomocą. Rozumieli, że pierwszą dla nas rzeczą będzie ową barykadę zburzyć i fosę przekroczyć, aby wdrzeć się do miasta, wobec tego w miejscach ukrytych trzymali w pogotowiu liczne łodzie z wojownikami i wioślarzami. Pewnej niedzieli zbliżyły się z trzech stron wielkie oddziały wojowników i tak na nas natarły, że ledwie mogliśmy się utrzymać, i omal nas nie rozbili. Przedtem już Pedro de Alvarado rozporządził, by połowa jazdy dotąd stojącej w Tacubie spędzała noc na grobli, nie było już bowiem takiego niebezpieczeństwa, jak na początku: domy i tarasy były zburzone, i jazda mogła się poruszać swobodnie, nie narażając się na pociski z łodzi i z tarasów, które mogły ranić konie. Lecz powróćmy do naszej sprawy: owe trzy oddziały, które natarły na nas tak zuchwale, jeden od strony wielkiego kanału, drugi od zburzonych domów, zaś trzeci od tyłu, od strony Tacuby, niejako nas otoczyły. Jazda i nasi przyjaciele Tlaxcalczycy przedarli się przez oddziały, które atakowały nas od tyłu, i wszyscy walczyliśmy tak dzielnie z innymi oddziałami, że zmusiliśmy je do odwrotu. Ale owa ucieczka była podstępem. Wzięliśmy pierwszą barykadę, drugą, gdzie stawiali opór, również opuścili, a nasi mniemając, że odnieśliśmy zwycięstwo, rzucili się ochoczo do wody. W miejscu gdzie przeprawialiśmy się, nie było żadnych jam, i w rozpędzie skierowaliśmy się pomiędzy wielkie domostwa i wieże świątyń, zaś nasi wrogowie udawali odwrót nie przestając nas zasypywać oszczepami, kamieniami, strzałami. Kiedy najmniej się tego spodziewaliśmy, z ukrycia, a równocześnie z domów i tarasów, wypadła na nas mnogość wojowników, także ci, którzy dotąd się cofali, nagle zawrócili przeciw nam z taką gwałtownością, że nie mogliśmy wytrzymać ataku i postanowiliśmy się wycofać w największym porządku.

Tymczasem w miejscu, w którym przedarliśmy się w stronę, gdzie nie było jam, zebrała się chmara łodzi, musieliśmy się przeprawiać wplaw gdzie indziej, gdzie woda była głęboka i było pełno jam; nadpłynęło takie mnóstwo wojowników, że trzeba było w odwrocie rzucać się wplaw lub brodzić i prawie wszyscy wpadliśmy w jamy; wówczas napłynęły na nas łodzie i Meksykanie porwali pięciu naszych i odesłali ich Guatemuzowi,

zaś wielu innych ranili. Brygantyny oczekiwane przez nas nie mogły przypląć, unieruchomione wśród pali, zarzucane z tarasów i z łodzi oszczepami i strzałami, od których poległo dwóch wiosłarzy, a wielu odniosło rany. Powróćmy do tych jam i zapadni. Powiem, cud tu istny, że nas wszystkich tam nie wybili, mnie porwało kilku Indian, ale udało mi się uwolnić ramię i Pan Nasz, Jezus Chrystus, pozwolił mi się oswobodzić kilkoma pchnięciami miecza. Choć ciężko ranny w ramię, ledwie ujrzałem się w bezpiecznym miejscu poza wodą, padłem bez czucia, nie mogąc utrzymać się na nogach.

Po tym zwycięstwie Meksykanów przez cały dzień — a była to, jak mówiłem, niedziela — obóz nasz atakowało takie mnóstwo wojowników, że trudno było się ostać. Pewni oni byli, że nas pokonają, ale dzięki kilku armatomk spiszowym i zacieklej walce odparliśmy ich. Teraz co nocy czuwały wszystkie nasze kompanie razem.

Kiedy Korteza dowiedział się o tym, wpadł w wielki gniew, wysłał jedną brygantyną do Pedra de Alvarado upomnienie, aby w żadnym wypadku nie zostawiał przepustu nie zabezpieczonego. Cała jazda miała noc spędzać na grobli z końmi osiodłanymi i mieliśmy cegłami i drzewem zarzucać ów wielki rów i mieć się w obozie na baczności.

Uznaliśmy, że sami ponosimy winę za niepowodzenie, staraliśmy się więc zatykać i zasypywać ów rów, i za cenę wielkich udręk i ran, odniesionych na nim od naszych wrogów, a także utraciwszy sześciu żołnierzy, w ciągu dni czterech zasypaliśmy go; nocą czuwały nad nim pospołu wszystkie oddziały. Chcę dodać, że w czasie tej stróży Meksykanie byli tuż, oni też stróżowali, czterokrotnie się zmieniając, a odbywało się to tak: palili wielki ogień, który płonął całą noc; stróżujący trzymali się odeń z daleka i nie mogliśmy ich dojrzeć, ale kiedy zmieniała się warta, podchodzili dorzucić do ognia i widzieliśmy ich. Przez wiele nocy padał deszcz obfity w tej porze i ogień przygasał, podchodzili rozpalać go nie czyniąc żadnego szmeru i nie wymieniając żadnych słów, porozumiewali się jedynie gwizdaniem.

Przestańmy mówić o obozie Pedra de Alvarado, o naszym obozie, i powróćmy do Korteza, którego dręczyli walkami we dnie i w nocy, zabijając mu i raniąc licznych żołnierzy. Jedna z brygantyn pochwyciła dwóch dostojników płynących łodzią, na której wieźli żywność. Korteza dowiedział się od nich, że między wrzosowiskami ukrytych jest czterdzieści piróg i innych łodzi, chcą bowiem opanować jedną z brygantyn, jak to już raz uczynili. Korteza zasypał uprzejmościami owych dostojników, ofiarował im tkaniny i obiecał, że kiedy zdobędzie Meksyk, nada im ziemię. Przez naszą tłumaczkę, donę Marinę, wypytywał, w jakiej stronie znajdują się pirogi. Wyjawili miejsce i okolice i ostrzegli, że powbijano wiele grubych pali w wodę, aby brygantyny w razie ucieczki zostały unieruchomione. Korteza tej samej nocy rozkazał sześciu brygantynom stanąć w odległych

kanalach, około ćwierć mili od osłoniętych gałęziami ukrytych piróg. Brygantyny, cicho wiosłując, udały się tam i czekały całą noc. Nazajutrz wczesnym rankiem Korteż rozkazał, aby jedna brygantyna wypłynęła, niby polując na łódzie wracające z zapasami, i wsadził na nią owych dwóch dostojników indiańskich, aby wskazali miejsce, gdzie stały pirogi. Również i Meksykanie wysłali na przynętę, tak jak poprzednim razem, dwie łódzie przewożące rzekomo żywność, aby brygantynę znęcić do pościgu w kierunku zasadzki. Tak więc mieli oni ten sam pomysł, co i my. Brygantyna skierowała się ku dwom łodziom, które udały, że uciekają w stronę lądu, w stronę ukrytych piróg. Nasza brygantyna udała, że nie odważa się zbliżyć do brzegu i zawróciła. Pirogi i inne łódzie wypadły również na nią i wiosłując z wielką furją, rzuciły się w pogoń. Brygantyna niby uciekała w stronę, gdzie w ukryciu stało sześć innych brygantyn, pirogi ścigały ją. W tym momencie wystrzał z muszkietu dał sygnał umówiony, nasze brygantyny, usłyszawszy sygnał, wypadły z wielkim impetem, rzuciły się na pirogi i łódzie, wywróciły ich kilka, zabijając i chwytając licznych wojowników. Również brygantyna wypuszczona na przynętę już wpływała na wielkie wody, wracając na pomoc towarzyszom, tak że przypadł nam dobry łup w postaci łodzi i jeńców i odtąd Meksykanie nie odważali się już stawiać nam zasadzek.

Kiedy miasta nad jeziorem przekonały się, że zwyciężamy je codziennie na wodzie i na lądzie, i że przyjaźń z nami zawarły już i Chalco, i Tezcuco, i Tlaxcala, porozumiały się jakoby między sobą i postanowiły bardzo uniżenie prosić Korteza o pokój, błagając, byśmy im wybaczyli, jeżeli nas zagniewały, ale wobec rozkazu nie mogły inaczej postąpić. Korteż uradował się bardzo i nakazał im, aby odtąd we wszystkim nam pomagali i oddali swe łódzie na wojnę z Meksykiem.

Powiedzmy teraz o tym, że ani wojska Pedra de Alvarado, ani Korteza, ani Sandovala nie ustawały w walkach. Guatemuz postanowił zmienić taktykę wojowania i kazał powołać wszystkie swoje siły. Było to w przeddzień świętego Jana czerwcowego, rocznicy dnia, kiedy zawróciliśmy na pomoc Pedrowi de Alvarado i ponieśliśmy klęskę. Zdaje się, że Guatemuz pamiętał o tej rocznicy i dlatego rozkazał, aby wszystkimi siłami jednocześnie i lądem, i wodą zaatakować trzy nasze obozy. Wyzaczył na to godzinę „twardego snu”; aby brygantyny nie mogły nam pomagać, kazał w rozmaitych punktach jeziora powbijać pale, żeby na nich utknęły. Z wielką furją nas atakowali, a także obóz Korteza i Sandovala, przez dwie noce z kolei, i w owych walkach stracili wielu zabitych, a jeszcze więcej rannych. Kiedy Guatemuz, jego wodzowie i kapłani widzieli, że na nic już się nie zdało natarcie przez dwie noce prowadzone, postanowili o świcie uderzyć całą potęgą na nasz obóz pod Tacubą. Okrążyli z dwu stron i natarli tak gwałtownie, że byliśmy na poły rozbici i pokonani. Ale Pan Nasz Jezus Chrystus dał nam siłę, aby się skupić, i osłonięci częściowo przez brygan-

tyny walczyliśmy o każdy krok, i dzięki pchnięciom i ciosom zdołaliśmy ich nieco odeprzeć. Nasza jazda też nie próżnowała, kusznicy i muszkietrzy dokazywali cudów, by rozproszyć oddziały atakujące nas od tyłu. W tej bitwie zabili nam ośmiu, a ranili wielu innych żołnierzy, nawet Pedro de Alvarado został ranny w głowę. Gdyby nasi przyjaciele Tlaxcalczycy spędzali tę noc na grobli, niebezpieczeństwo byłoby wielkie, gdyż grobla byłaby zatłoczona ich wielką masą jednak nauczonym doświadczeniem odprawiliśmy ich i odeszli do Tacuby.

Pojmuję, że ciekawy czytelnik nuży się widząc co dzień tyle bitew ale nie mogę liczby ich zmniejszyć, bowiem oblężenie tego warownego miasta trwało dziewięćdziesiąt trzy dni, a każdy dzień i każda noc przynosiły starcia i walki. Nie podawałem w każdym rozdziale, czego każdego dnia dokonywaliśmy, gdyż byłaby tego taka obfitość, że nie skończyłbym nigdy i książka podobna byłaby raczej do powieści rycerskich o Amadisie.

*

Kiedy Korteż przekonał się, że niemożliwością jest zasypywanie wszystkich wyrw i przepustów oraz rowów które zdobywaliśmy we dnie, a które Meksykanie w nocy odkopywali i budowali przy nich barykady jeszcze silniejsze, i że zbyt wyczerpujące było równocześnie walczyć i zasypywać, i czuwać, tym bardziej że wszyscy byliśmy przeważnie ranni, a dwudziestu żołnierzy poległo, postanowił naradzić się z oficerami i żołnierzami swego obozu, a również napisał do Pedra de Alvarado i do Sandovala aby zebrać opinię wszystkich.

Plan jego był taki: chciał wdrzeć się do Meksyku, dotrzeć do Tatelulco, czyli do wielkiego placu miasta, a gdyby się to nam udało, chciał zebrać tam nasze trzy obozy i stamtąd walczyć na ulicach Meksyku, bez takiej udreki przy odwrocie, nie potrzebując zasypywać przepustów, ani ich pilnować. Jak zawsze w takich rozmowach, zdania były podzielone, jedni twierdzili że nie było rozsądne ani doręczne zapuszczać się w serce miasta, należało raczej, jak dotąd, walczyć, burzyć i palić domy. Głównym argumentem naszym, którzy byliśmy tego zdania, było, że jeżeli ustalimy się na Tatelulco i opuścimy groble i mosty bez straży i załogi to Meksykanie tak liczni i wojowniczy, podpłyną wieloma łodziami, zniszczą mosty i groble nie będące w naszym ręku, i całą swą potęgą walczyć będą dniem i nocą, a z powodu licznych pali, wbitych przez nich, nasze brygantyny nie będą mogły nam przyjść z pomocą. Zostaniemy tedy otoczeni a Meksykanie w swoich rękach będą mieli ziemię i jezioro. Wszystko to wypisaliśmy ostrzegając, abyśmy nie wpadli w taką kabałę jak poprzednio, kiedy uchodziliśmy z Meksyku.

Korteż przyjął do wiadomości wszystkie opinie i argumenty przez nas

podane, ale wynikiem tych porozumień było postanowienie, że nazajutrz wyjdziemy z wszystkich trzech obozów całą naszą potęgą, zarówno jazda, jak kusznicy, i muszkietrzy i żołnierze i będziemy starali się dostać na główny plac, czyli Tatelulco. Przygotowane miały być wszystkie trzy obozy, nasi sprzymierzeńcy Tlaxcalczycy oraz wojownicy z Tezcuco i miast na jeziorze, które ostatnio uznały zwierzchność Jego Cesarskiej Mości, winni byli łodziami swoimi wspomagać nasze brygantyny. Tak więc pewnej niedzieli z rana, po wysłuchaniu mszy świętej, wyszliśmy z naszego obozu z Pedrem de Alvarado, podobnie ze swoich wyszli Korteż i Sandoval z oddziałami. Każdy oddział z wielkim rozmachem szedł naprzód, zdobywając mosty i barykady. Wrogowie stawali jak mężczyźni wojownicy. Korteż ze swej strony odniósł wielkie zwycięstwa, podobnie Sandoval. My, z wielkim trudem, zdobyliśmy już drugą barykadę i most, bowiem Guatemuz zgromadził wielkie siły na ich obronę. Pomimo znacznych strat w rannych i zabitych posuwaliśmy się zwycięsko naprzód.

Powróćmy do Korteza i jego wojska. Zdobyli oni głęboką fosę, przez którą wiodła wąziutka grobelka zbudowana przez Meksykanów sprytnie i podstępnie w nadziei, że tam Korteza spotka nieuchronne nieszczęście. Tymczasem jako że on i jego oficerowie i żołnierze odnosili zwycięstwa, cała grobelka wypełniła się sprzymierzeńcami — ścigali nieprzyjaciół, którzy cofając się nie przestawali zasypywać wojska strzałami, kamieniami i oszczepami. Niekiedy stawiali jakby opór aby Korteza zwabić dalej, a kiedy widzieli, że zwycięsko prze naprzód niby to uciekali żywiej.

Koło Fortuny toczy się jednak niepowstrzymanie i po sukcesach nieszczęścia wielkie nastają. Kiedy tak Korteż zwycięsko ścigał nieprzyjaciół, przez nieopatrność, on i jego oficerowie z dopustu Pana Naszego Jezusa, zaniedbali zasypać przepust, który przekroczyli, a jako grobelka, którą szli była umyślnie zbudowana tak wąska, że nawet woda napływała z obu stron i pełno była na niej błota i mułu; ledwie Meksykanie spostrzegli, że przejście to nie zostało zabezpieczone, co było ich życzeniem — gdyż w tym celu trzymali w pogotowiu licznych wojowników oraz mnóstwo łodzi, w miejscach gdzie im nasze brygantyny nie mogły szkodzić z powodu powbijanych pali — zawrócili na Korteza i jego żołnierzy z taką furją, z takimi wrzaskami, krzykami, gwizdami, że nasi nie mogli wytrzymać tego impetu i zaczęli się cofać. Wróg wściekle nacierał dalej, aż wepchnął ich w owo trudne przejście; tam z powodu znacznej liczby sprzymierzeńców zamieszanie stało się takie, że nie stawiając dłużej oporu, zaczęli uciekać.

Korteż, widząc ten popłoch, nawoływał: "Zatrzymajcie się! Zatrzymajcie się panowie! Trzymajcie się ostro! Co to się dzieje, że tak uciekacie?" Wszystko to jednak na próżno. I w tym przejściu którego nie zabezpieczyli na owej grobelce wąskiej i lichej, do której podpłynęły łodzie Korteż został ranny w nogę; około sześćdziesięciu żołnierzy porwanych żywcem, zabito osiem koni. Korteza pochwyliło sześciu czy siedmiu wodzów meksy-

kańskich, ale Pan Nasz raczył udzielić mu mocy i wspomóc go w obronie choć ranny był w nogę. Właśnie w tej chwili podbiegł dzielny Cristóbal de Olea, pochodzący ze Starej Kastylii, i ujrawszy go osaczonego przez tylu Indian, rzucił się mężnie na pomoc. Zakłuł on czterech wodzów, którzy uczepili się Korteza, w czym pomagał mu drugi dzielny żołnierz nazwiskiem Lerma. Tak ostro stawali, że Indianie puścili Korteza, przy tym Olea stracił życie, a Lerma bliski był śmierci. Nadbiegli inni żołnierze i choć sami ciężko ranni, wyciągnęli go i pomogli mu ująć niebezpieczeństwa i błota. Błyskawicznie też nadbiegł oboźny Cristóbal de Olid, wzięli Korteza pod ramiona i pomogli mu wydostać się z wody i mułu, przyprowadzili konia i w ten sposób uszedł śmierci. Równocześnie jego majordomo, Cristóbal de Guzman, podprowadził drugiego konia, ale meksykańscy wojownicy z tarasów tak go otoczyli, że pojмали go i żywcem odesłali do Guatemuza, ścigali też Korteza i jego żołnierzy aż do samego obozu, z wrzaskami i gwizdami, obrzucając ich obelgami i nazywając tchórzami.

Dość już o Kortezie i jego kłesce, wróćmy do naszych, którzy pod wodzą Pedra de Alvarado znajdowali się na grobli wiodącej z Tacuby. Posuwaliśmy się zwycięsko i kiedy najmniej się tego spodziewaliśmy, ujrzeliśmy idące na nas liczne oddziały wojowników meksykańskich, strojnych w pióropusze, z pięknymi chorągwiami. Rzucili przed nas pięć ociekających krwią uciętych głów żołnierzy Kortezowych, wrzeszczeli i wołali: „Oto pozabijamy was, jak zabiliśmy *Malinche* i Sandovala, i wszystkich ich towarzyszy. To ich głowy, poznajcie je dobrze!” To mówiąc, okrążyli nas i ścisnęli, starając się dosięgnąć nas rękoma. Nie pomagały ani cięcia, ani sztychy, ani kusze, ani muszkiety. Choć nacierali z bliska, mimo to nie straciliśmy zimnej krwi i nie zmaćiliśmy szyku przy odwrocie. Natychmiast poleciliśmy naszym sprzymierzeńcom uwolnić ulice, groble i złe przejścia, co tym skwapliwiej uczynili, że ujrawszy owych pięć głów ociekających krwią i słysząc, że zabity jest *Malinche* i Sandoval, i wszyscy *teules* i że to samo spotka nas i Tlaxcalczyków, strach ich obleciał wielki, uwierzyli, że to była prawda, i tym rychlej wzięli się do dzieła.

Kiedy tak wycofywaliśmy się, usłyszeliśmy ze szczytu wielkiej świątyni — gdzie znajdowały się bóstwa *Uichilobos* i *Tezcatepuca* — która panowała nad całym miastem, głos bębna. Brzmiał tak donośnie, że słyhać go było na dwie mile, towarzyszyły mu liczne kotły i rogi, i trąby, i piszczałki, był to właśnie moment, kiedy — jak dowiedzieliśmy się później — ofiarowali swoim bożkom dziesięć serc i obfitą krew naszych towarzyszy. Równocześnie szły na nas liczne nowe oddziały wysłane przez Guatemuza, który kazał dać w swój róg. Był to sygnał, że oddziały i wojownicy mają walczyć w ten sposób, aby brać jeńców lub zginać. I dzwonił nam ten głos w uszach. Kiedy róg ten usłyszały oddziały i pułki, nie potrafię wyrazić, z jaką wściekłością i siłą natarły na nas, starając się nas pochwyć. Było to tak przerażające, że nie umiem tego opisać, i jeszcze teraz, kiedy to

wspomnę, zdaje mi się, że widzę ową bitwę i w niej się znajduję. Powtarzam jeszcze raz, że gdyby nam Pan Nasz Jezus Chrystus nie dodał siły, nie moglibyśmy się dobić do naszych szałasów, i składam mu dzięki za to, że wyrwał mnie wówczas i w innych momentach z mocy Meksykanów. Nasi konni w tym czasie czynili wypad, a z dwu armat dużych, ustawionych przy naszych szałasach, nie ustawialiśmy w strzelaniu — jedni strzelali, drudzy ładowali i w ten sposób utrzymywaliśmy się na stanowisku, bowiem grobla była od końca do końca pełna nieprzyjaciół, którzy podchodzili pod domy, miotali oszczepy i kamienie, ale strzały z armat wielu położyły.

Nie wiedzieliśmy, co się dzieje z Kortezem i Sandovalem oraz z ich wojskiem, czy istotnie są zabici i pokonani, jak twierdzili Meksykanie, kiedy rzucili przed nas owych pięć głów, które trzymali za włosy i brody. Trudno nam było o nich coś wiedzieć, bowiem walczyliśmy w odległości około pół mili jedni od drugich, a miejsce klęski Korteza było jeszcze dalej, byliśmy zatem stroskani, ale ranni i zdrowi, skupiwszy się razem, stawiliśmy czoło impetowi i wściekłości Meksykanów.

Wróćmy jednak do Korteza. Większość jego żołnierzy poległa, on sam i wielu żołnierzy byli ranni, a Meksykanie nie przestawali ich szarpać aż do samego obozu, a nawet rzucili przed stawiających opór żołnierzy cztery głowy ociekające krwią, mówiąc, że są to głowy Tonatia, to znaczy Pedra de Alvarado, Sandovala, Bernala Diaza oraz innych *teules*, bowiem wszystkich nas w Tacubie zabili. Kortez był zdruzgotany, łzy płynęły mu z oczu i wszystkim tym, którzy z nim byli, ale mimo to nie załamali się. Rozkazał tylko Cristobalowi de Olid i innym oficerom, aby nie dali Meksykanom wdrzeć się do obozu, ale aby wszyscy, zarówno ranni, jak zdrowi, mężnie stawali. Rozkazał też Andresowi de Tapia i trzem innym jeźdźcom, by z narażeniem życia dotarli łądem do Tacuby, to znaczy do naszego obozu, by dowiedzieli się, czy żyjemy, i jeżeli nie jesteśmy rozbici, przynieśli nam rozkazy. Andrés de Tapia i trzech konnych pognali co koń wyskoczy, przy czym w drodze on i dwóch jego towarzyszy odnieśli rany. Zastali nas w obozie, gdy walczyliśmy z przewagą sił meksykańskich połączonych przeciw nam, uradowali się w duszy, że nas widzą przy życiu, i opowiedzieli o klęsce Korteza.

Zostawmy to i wróćmy do Sandovala, jego oficerów i żołnierzy, którzy zwycięsko posuwali się na swym odcinku. Kiedy Meksykanie zwyciężyli Korteza, zwrócili się przeciwko niemu z taką siłą, że nie mógł im sprostać, zabili mu sześciu żołnierzy, ranili innych, on sam odniósł trzy rany w głowę, w udo i w lewe ramię. W czasie starcia rzucili sześć głów, twierdząc, że są to głowy Malinche, Tonatia i innych wodzów. Sandoval ujrawszy to, rozkazał dowódcom i żołnierzom zebrać całą odwagę i uważać, by w czasie odwrotu przez groblę nie było zamieszania, grobla bowiem była wąska. Najpierw rozkazał opuścić ją naszym sprzymierzeńcom, których było zbyt dużo i mogli przeszkadzać. Z kolei on sam z dwoma bryganty-

nami, z muszkietierami i kusznikami wycofał się na swe stanowisko. Wszyscy jego ludzie byli ranni i upadli na duchu, a sześciu poległo. Ujrawszy się poza groblą, choć wciąż otoczony przez Meksykanów, dodawał odwagi swoim i nakazywał usilnie, niech wszyscy dzień i noc czuwają, aby ich nie rozbito, potem znając kapitana Luisa Marina, powierzył mu dowództwo, a sam, ranny, jak był w opatrunkach, zabrał dwóch konnych i pognął łodem do Korteza. Kiedy tam przybył i zobaczył go żywym, zawołał: „Och, wodzu nasz! Co to się stało? Gdzie są owe rady i zalecenia ostrożności i podstępów wojennych, jakich nam zawsze udzielałeś? Jak mogło się zdarzyć takie nieszczęście?”

A Kortez odpowiedział mu, lejąc łzy, z oczu: „Och, Sandovalu, synu, za grzechy moje spotkało mnie to, nie jestem tak winien, jak mnie oskarżają nasi oficerowie i żołnierze, ale winien jest skarbnik nasz, Julian de Alderete, któremu poleciłem zasypywać owo przejście wodne, gdzie nas pokonano, a jako nie jest zwyczajny wojowania, ani wypełniania rozkazów, nie uczynił tego”.

Na to odpowiedział ów skarbnik — który właśnie znalazł się tam, jako że przyszedł zobaczyć Sandovala, dowiedzieć się, czy żyw i nie pokonany i pomówić z nim — że winę ponosi sam Kortez, a nie on, bowiem Kortez parł zwycięsko naprzód, wołając: „Naprzód, panowie!” i nie polecił zasypywać żadnego przepustu, gdyby to był bowiem rozkaz, on ze swym oddziałem i ze sprzymierzeńcami byliby to wypełnili. Wymawiał też Kortezowi, że w czas nie kazał opuścić grobli licznym sprzymierzeńcom. I tak doszło do wymiany gniewnych słów między Kortezem a skarbnikiem, co już pominę.

Kiedy Sandoval do nas dotarł, zastał nas w walce z Meksykanami usiłującymi wdrzeć się do obozu poprzez domy, które zburzyliśmy, oraz przez groblę, a także od jeziora, gdzie nadpłynęło wiele łodzi. Udało się im zapędzić jedną brygantynę na mieliznę i Sandoval zastał mnie i innych żołnierzy w wodzie po pas, kiedy usiłowaliśmy pomagać przy ściąganiu tej brygantyny na głębię. Tymczasem liczni Indianie, uzbrojeni w miecze zdobyte w czasie klęski Korteza i w obosieczne koncerze, nacierali na nas. Otrzymałem wówczas ranę od strzały i cięcie w nogę — chcieliśmy zapobiec uprowadzeniu brygantyny, którą mieli zamiar ściągnąć za pomocą łodzi do wnętrza miasta. Sandoval, ujrawszy nas w opałach, zawołał: „Bracia, dołóżcie wszelkich sił, aby nie zabrali brygantyny!” Wyteżyliśmy wszystkie siły i udało się nam ją ocalić, mimo, że jak mówiłem, wszyscy marynarze byli ranni, a dwóch zmarło.

Właśnie wtedy przez groblę nadeszły liczne oddziały Meksykanów raniąc nas i konnych, a nawet Sandoval dostał kamieniem w twarz. Pedro de Alvarado z innymi konnymi przyszedł nam z pomocą, ale ponieważ napływały ciągle niezliczone oddziały, a ja i dwudziestu żołnierzy stawiliśmy im czoło, Sandoval rozkazał wycofać się, aby nie pozabijali koni. A jako nie cofaliśmy się tak szybko, jak tego chciał, wrzasnął z wściekłością:

"Czy chcecie, abyśmy dla miłości waszej dali się zabić, ja i inni jeźdźcy? Na miłość boską, bracie Bernalu Diazie, cofajcie się!"

W tej samej chwili ponownie ranili jego i jego konia. Wycofaliśmy się w pobliże naszych stanowisk, poza kanał bardzo głęboki, gdzie nie mogły nas dosięgnąć strzały, kamienie i oszczepy. Podczas gdy dowódcy opowiadali sobie wydarzenia, rozległ się znowu złowrogi głos bębna Uichilobosa, a także kotły, rogi oraz inne trąby, głos ich był przerażający. Patrzyliśmy na wysoką świątynię, skąd dochodził, i ujrzelśmy, że siłą wciągają na stopnie naszych towarzyszy pojmany w czasie odwrotu Korteza, aby ich zabić na ofiarę. A kiedy już wyciągnęli ich na mały placyk przed sanktuarium, w którym znajdują się posągi przeklętych bóstw, ujrzelśmy, jak niektórym z nich wkładają na głowę pióropusze i każą im tańczyć przed Uichilobosem z czymś w rodzaju wachlarzy. Po tańcu położyli ich na wznak na płaskie kamienie ofiarne i wielkim nożami z obsydianu rozplatali im piersi i wydobyli serca jeszcze gorące, aby je ofiarować bóstwom tam stojącym, ciała zaś zrzucili na dół, kopiąc je nogami. Na dole stali inni Indianie, rzeźnicy, ci obcinali ramiona i nogi, ściągali skórę z głowy i wyprawiali ją jak na rękawiczki, zachowując brody i włosy, aby używać ich w czasie świątecznych orgii. Mięso zjadali przyprawione pieprzem, pomidorowym sosem. W ten sposób zjedli ramiona i nogi, serca i krew ofiarowali bóstwom, jak mówiłem, a resztę wnętrzości i flaki, rzucili tygrysom, wężom i żmijom trzymanym w specjalnych domostwach. Wszystkie te okrucieństwa obserwowaliśmy z naszego obozu razem z Pedrem de Alvarado i Gonzalem de Sandoval oraz innymi oficerami. Mogą sobie wyobrazić ciekawi czytelnicy, jak litowaliśmy się nad nimi i mówiliśmy sobie: „Bogu niechaj będą dzięki, że nie mnie wzięto dzisiaj, aby złożyć na ofiarę bogom!"

Zważcie też, że byliśmy tak blisko, a nie mogliśmy nic dla nich uczynić, mogliśmy tylko błagać Boga, aby nas ustrzegł od tak strasznej śmierci. Równocześnie, a niespodziewanie, nadeszły nowe oddziały wojowników, uderzając na nas ze wszystkich stron i wołając: „Patrzcie! W ten sam sposób zginiecie wszyscy, nasi bogowie wielokrotnie nam to przyrzekli". Groźby, które rzucali naszym sprzymierzeńcom Tlaxcalczykom, były tak potworne, że odbierały odwagę. Miotali na nich ucięte nogi Indian, ofiarowanych bożkom, i ramiona naszych żołnierzy, wołając: „Jedzcie mięso owych *teules*, waszych braci, przejedliśmy się już nim".

*

W naszych trzech obozach trzymaliśmy się jednego sposobu walki: co nocy wszyscy żołnierze czuwali razem na groblach, po bokach stały brygantyny, jedna połowa konnych krążyła między nami a Tacubą, gdzie

wypiekano chleb i gdzie mieliśmy tabory, druga połowa strzegła mostów i grobli. Od wczesnego rana wyteżaliśmy wszystkie siły w walce z przeciwnikiem, który usiłował wedrzeć się do obozu i nas pokonać. Podobnie działo się w obozie Korteza i Sandovala. Trwało tak pięć dni, następnie ustalono inny porządek.

Co nocy Meksykanie odprawiali wielkie uroczystości i składali ofiary w największej świątyni na Tateclulco, bili w swój przeklęty bęben i kotły, dęli w trąby i rogi, wszystko przy akompaniamencie wrzasków i wycia. Całą noc płonęły stosy i zabijali kilku naszych towarzyszy na ofiarę przekłętemu Uichilobosowi lub Tezcatepuce, porozumiewali się z tymi bożkami, a one odpowiadały, że jeszcze tej samej nocy albo rano wszystkich nas wymordują. Zdaje się, że te przeklęte bóstwa oszukiwały ich w ten sposób, aby ich odwozili od pokoju. Kiedy słuchali tego nasi sprzymierzeńcy, Tlaxcalczycy lub inni, widząc, że jesteśmy pobici i nie zwyciężamy, jak zwykliśmy, uwierzyli im w końcu.

Nad ranem liczne połączone oddziały indiańskie okrążyły nas i weszły do walki, od czasu do czasu zmieniały się, co poznawaliśmy po zmianie znaków i pióropuszy. Podczas bitwy krzyczeli nazywając nas ciurami, zdolnymi jedynie do rabowania miast, niezdolnymi do budowania domów czy uprawy kukurydzy, złoczyńcami, którzy uciekli z własnego kraju, odbieżawszy własnego króla i pana. Dodawali, że wedle obietnicy, jaką im poprzedniej nocy dali ich bogowie, do tygodnia żaden z nas żyw nie zostanie. Na koniec dorzucili: „Patrzenie, jak niegodziwi i bezecni jesteście, że nawet wasze mięso nie jest do jedzenia, jest gorzkie jak żółć i nie można go przelknąć”.

Jak się zdaje, przejedli się w owych dniach mięsem naszych towarzyszy, tak że Pan Bóg sprawił, iż im się ono gorzkie wydało. Jeżeli przeciw nam miotali takie obelgi, znacznie gorsze prawili naszym sprzymierzeńcom. Tlaxcalczykom, grozili, że zamienią ich w niewolników przeznaczonych na ofiary, że ich użyją do pracy przy zasiewach i budowie domów przez nas zburzonych, a które odbudują z kamienia i wapna, jak im przyobiecał Uichilobos.

Zostawmy teraz ową opowieść o wielkich bitwach i powiedzmy, jak nasi przyjaciele z Tlaxcali, Choluli, Guaxocingo, a nawet z Tezcucó, Chalco i Tamanalco postanowili wrócić do swoich ziem i przeważnie odeszli bez wiedzy Korteza, Pedra de Alvarado czy Sandovala. W obozie Korteza pozostał jedynie Estesuchel, zwany od czasu chrztu don Carlos, brat Hernanda, władcy Tezcucó, mąż bardzo dzielny, a wraz z nim jego krewni i przyjaciele, a było ich około czterdziestu. W obozie Sandovala został kacyk z Guaxocingo z ponad pięćdziesięciu ludźmi, w naszym — dwaj synowie Lorenza de Vargas i dzielny Chichimecatecle z około dziesięciu Tlaxcalczykami, krewniakami i wasalami. Tak że z ponad dwudziestu czterech tysięcy sprzymierzeńców, przyprawionych przez nas, zosta-

ło we wszystkich trzech obozach ledwie dwustu przyjaciół, inni odeszli do swych krajów.

Wielkie to było zmartwienie, kiedy zostaliśmy sami z taką garstką przyjaciół! Kortez i Sandoval, każdy w swoim obozie, wypytywali przyjaciół, dlaczego tamci odeszli. Odpowiadali, że kiedy Meksykanie co nocy rozmawiali ze swymi bożkami, a ci obiecywali, że wszyscy zginiemy i oni również, strach ich obleciał — tym bardziej w to wierzyli, że widzieli wszystkich nas w ranach i tyłu z nas zabito, zaś oni sami stracili ponad tysiąc dwieście ludzi, i bali się, że nikt nie ujdzie śmierci, odeszli także dlatego, że Xicotenga Młodszy, którego Kortez kazał powiesić na granicy Tezcucu, zawsze twierdził, że jak wróżby jego wskazują, wszyscy zginiemy i żaden Tlaxcalczyk żyw nie wyjdzie.

Kortez, choć bolał nad tym tajemnie, z wesołym obliczem zapewniał ich, że to, co Meksykanie mówią, jest kłamstwem, chcą bowiem w nas ducha osłabić, i nie ma czego się lękać. W serdecznych słowach czynił im tyle obietnic i przyrzeczeń, że skłonił ich do pozostania przy nim. Z naszej strony postąpiliśmy podobnie z Chichimecateclą i dwoma młodszymi Xicotengami.

W czasie tych rozmów Estesuchel, który — jak wspomniałem już — zwał się don Carlos, a był z natury wielkoduszny i dzielny, rzekł do Korteza: „*Malinche*, nie martw się, że walczysz co dzień z Meksykanami. Wierz mojej radzie, pozostań dni kilka w obozie, wylecz swoją nogę, podobnie rozkaz, żeby Tonatio (tak bowiem nazywali Pedra de Alvarado) pozostał w swoim, a Sandoval w swoim przy Tepeaquilli, niech brygantyny patrolują dniem i nocą nie dopuszczając żywności ni wody, bowiem w tym wielkim mieście jest tyle tysięcy *xiquipiles*, wojska, że będą musieli wyczerpać zapasy, woda, którą piją obecnie, jest słonawa, czerpią ją ze studni świeżo wykopanych, a że deszcz pada codziennie, zbierają wodę deszczową i jej używają. Cóż jednak poczną, jeśli pozbawicie ich wody i żywności? Wszak gorsze od wojny są głód i pragnienie.

Kortez, usłyszawszy te słowa, wziął go w ramiona, podziękował gorąco i obiecał obdarzyć go posiadłościami. Wielu żołnierzy radziło mu to samo, ale taka już była natura nasza, że nie czekając, radzi byliśmy co prędzej dostać się do miasta. Kiedy Kortez wszystko rozważył, co mu kacyk radził, rozkazał dwom brygantynom udać się do obozu naszego i do Sandovala z poleceniem, abyśmy przez trzy dni nie próbowali dostać się do miasta.

Wielką korzyść mieliśmy z tego, że wszystkim naszym brygantynom udało się przebyć pale, wbite przez Meksykanów w jezioro, które miały te brygantyny unieruchomić. A stało się to w ten sposób: wiosłowali ze wszystkich sił, zaś jeśli był wiatr, brygantyny rozwijały żagle i wtedy, pomagając sobie wiosłami, mknęli z taką mocą, że opanowali jezioro, a nawet osiedla na wodzie, nieco oddalone od miasta. Kiedy to spostrzegli Meksykanie, duch w nich osłabł.

Powróćmy jednak do naszych walk. Choć pozbawieni sprzymierzeńców, zaczęliśmy zatykać i zasypywać wielki kanał, który — jak mówiłem — był w pobliżu naszego obozu. Oddziały zmieniały się przy tej robocie. Podczas kiedy dwa toczyły bitwę, trzeci, na który przyszła kolej, ściągał drzewo i cegły. W przeciągu czterech dni kanał został zasypany i wyrównany. Tak samo postępował Korteż w swoim obozie, a nawet osobiście pracował nosząc cegły i drzewo, aż zabezpieczone zostały mosty i groble, zasypane wyłomy. Sandoval robił to samo u siebie, a nasze brygantyny trzymały się z nami, nie lękając się palisad. W ten sposób pomalutku posuwaliśmy się naprzód. Tymczasem wielkie oddziały Indian atakowały nas zuchwale, walcząc z naszymi o każdą piędź ziemi. Od czasu do czasu oddziały zmieniały się, na miejsce jednych przychodziły inne. Trudno powiedzieć, jakie to były wrzaski i krzyki, a kiedy zabrzmiał rożek Guatemuza, wówczas tak ścierali się z nami, że nie pomagały sztychy i cięcia, niemal sięgali nas rękoma. I tak walczyliśmy do nocy, do czasu ich odwrotu.

Opowiem, co robili Meksykanie nocami w swej wielkiej świątyni, jak bili w przeklęty bęben, którego głos był najbardziej piekielny i najsmutniejszy, jaki wyobrazić sobie można, a słyszeć go było w dalekich ziemiach. Dźwięczały także inne instrumenty i narzędzia diabelskie, i palili olbrzymie ogniska przy straszliwych wrzaskach i gwizdach. W takich chwilach zabijali naszych towarzyszy, na ostatek zostawiając Cristobala de Guzman, którego porwali żywcem przed dwunastu czy trzynastu dniami. Kiedy składali ofiary, wówczas Uichilobos gadał z nimi i obiecywał zwycięstwo, mieliśmy wszyscy zginąć do ośmiu dni. Nazajutrz rano już szły na nas wszystkie siły Guatemuza, jakie tylko zebrać zdołał. Rozzuchwalili się tak, że podchodzili pod nasze szałas, zasypując nas strzałami, kamieniami, oszczepami, i gdyby nie armaty, wyrządzałyby nam wielkie szkody. Dodam, że strzelali do nas naszymi strzałami i kuszami, kiedy jeszcze żywych trzymali naszych pięciu kuszników i Cristobala de Guzman z nimi, kazali im naciągać kusze i pokazywać, jak się strzela, oni sami strzelali na chybił trafił i bez skutku.

Co dzień staczaliśmy trudne walki i nie przestawaliśmy posuwać się, zdobywając barykady, mosty, kanały. Nasze brygantyny śmiało zapuszczały się na jezioro, nie lękając się pali, polowały na łodzie przewożące żywność i wodę lub zbierające na jeziorze jakiś rodzaj mułu, który wysuszony miał smak sera, i brały wielu Indian do niewoli. Kiedy zaś ów Estesuchel, brat don Hernanda, władcy Tezcuco, przekonał się, że odzyskał animusz i że nie jest prawdą, co mówili Meksykanie, że do ośmiu dni wybiją nas do nogi, jak im to obiecali Uichilobos i Tezcatepuca, wysłał do brata Hernanda wezwanie, aby natychmiast przysłał Korteżowi wszystkich wojowników, jakich zdoła zebrać w Tezcuco. W dwa dni potem przybyło ich dwa tysiące. Równocześnie powróciło wielu Tlaxcalczyków

pod wodzą kacyka z Topeyanco, imieniem Tecapaneca, a także wielu z Guaxocingo i nieliczni z Choluli.

Kiedy Korteż dowiedział się, że wrócili, kazał im wszystkim przyjść do swego obozu, gdyż chce z nimi mówić, a naszym żołnierzom kazał przede wszystkim pilnować dróg, aby ich chronić przed możliwą napaścią Meksykanów. Kiedy stanęli przed nim, przemówił do nich przez tłumaczy, donę Marinę i Jeronima de Aguilar, że powinni w to wierzyć i być pewni, że bardzo jest im zawsze życzliwy z powodu usług, jakie oddali Jego Cesarzskiej Mości, oraz z powodu świadczeń, jakich od nich doznaliśmy, i że jeżeli wezwał ich, aby wraz z nami wyprawili się przeciw Meksykanom, jego życzeniem było, aby im to korzyść przyniosło i aby mogli wrócić do swego kraju bogaci, zemściwszy się na wrogach, a nie tylko aby nam pomogli w zajęciu tego wielkiego miasta. Zapewne, zawsze uznawaliśmy ich dobre chęci i pomoc, ale sami widzieli, że co dzień kazaliśmy im usuwać się z grobli, aby móc swobodniej bez nich walczyć. Już nieraz mówiliśmy im i tłumaczyli, że jeśli zwyciężymy, to dzięki pomocy Pana Naszego Jezusa Chrystusa, w którego wierzymy i którego wielbimy. Jeżeli opuścili nas w najgorszych bojach, zasłużyli na śmierć porzucając wodzów swoich w ogniu walki i w ciężkim położeniu, ale jako nie są świadomi naszych praw i zasad, przebacza im. Wykazywał, że i bez nich posuwaliśmy się burząc domy i zdobywając barykady. Tymczasem nakazał im, aby nie zabijali żadnego Meksykanina, ma bowiem zamiar zacząć rokowania o pokój.

38

Jak Korteż wysłał trzech dostojników meksykańskich, wziętych w poprzednich bitwach, aby prosili Guatemuzę o wszczęcie rokowań pokojowych, i co im Guatemuz odpowiedział

Kiedy Korteż widział, że posuwamy się naprzód, zdobywając w mieście liczne mosty, groble, barykady i burząc domy, wysłał trzech możliwych wodzów meksykańskich, których był pojmał, do Guatemuzę, aby ten zawarł z nami pokój. Odpowiedzieli, że nie śmiały udawać się z takim poselstwem, bo Guatemuz każe ich zabić. Po długich namowach, prośbach i obietnicach, a także darach w tkaninach, zgodzili się. Poleciał im oświadczyć Guatemuzowi, że żywi dlań wielką przyjaźń, jako dla zięcia tak bliskiego jego przyjaciela, Montezumy, i leży mu na sercu, aby tak wspaniałe miasto nie zostało zburzone i aby kres położyć wielkiej codziennej rzezi jego mieszkańców. Prosi go, aby zechciał zawrzeć pokój i przebaczyć mu w imieniu Jego Królewskiej Mości wszystkie śmierci i szkody, jakich

od nich doznaliśmy, i będziemy mu bardzo wdzięczni, jeśli się zgodzi; niech zważy, że już trzykrotnie czy czterokrotnie ofiarowywał mu pokój, który on odrzucał, jest bowiem bardzo młody, a głównie z powodu przeklętych bożków i ich kapłanów, którzy mu złe rady dają. Widzi on jednak chyba, ilu zabijamy mu ludzi w walkach, które się toczą, i że w naszym ręku są wszystkie miasta i osiedla całej okolicy, a co dzień inne łączą się z nami przeciw niemu, niech więc uzali się tak wielkiej stracie poddanych swoich i miasta. Polecił mu też rzec, iż wie, że zapasy żywności ich skończyły się i nie mają wody oraz wielu innych potrzebnych rzeczy.

Owi trzech dostojnicy zrozumieli doskonale dzięki naszym tłumaczom i prosili, aby Korteż dał im list, nie dlatego, aby go czytać potrafili, ale wiedzieli dobrze, iż kiedy wysyłaliśmy jakieś poselstwo albo rozkaz, było to wypisane na papierze. Kiedy owi trzech posłowie stanęli przed Guatemuzem i ze łzami i łkaniem przekazali mu, co Korteż polecił, Guatemuz i wodzowie, którzy przy nim byli, bardzo źle przyjęli zrazu zuchwałość owych posłów, którzy z takimi słowami wazyli się jawić przed nim. Ów Guatemuz był bardzo młody, liczył około dwudziestu pięciu czy sześciu lat, jak na Indianina był wielkiej urody miał piękną postawę, wesołe oblicze, a nawet cerę bielszą niż zwykle Indianie, ożeniony zaś był z bardzo piękną kobietą, córką wielkiego Montezumy, swego stryja, i — jak dowiedzieliśmy się później — pragnął pokoju. Aby to omówić, zwołał wszystkich dostojników, wodzów i kapłanów i oświadczył, że nie pragnie dłużej wojny z *Malinche* i z nami wszystkimi, udowadniał, że próbował wszystkiego, co tylko można, aby nas zwyciężyć, zmieniając wielokrotnie sposoby walki, ale my jesteśmy takiej natury, że kiedy był pewny naszej klęski, zawracaliśmy jeszcze gwałtowniej przeciw niemu; wie, że obecnie wielkie posiłki sprzymierzeńców przybyły nam z pomocą i że wszystkie miasta powstały przeciw niemu, brygantyny przerwały palisady, a konie pędzą swobodnie przez wszystkie ulice miasta. Przedstawił im trudności dotyczące wyżywienia i wody i prosił ich, i błagał, aby każdy wypowiedział swoje zdanie, a także, by wypowiedzieli się kapłani, którzy wiedzą, co im mówili i obiecywali Uichilobos i Tezcatepuca, ich bogowie. Niech nie lękają się powiedzieć prawdy i tego, co czują.

Mieli oni mu odpowiedzieć: „Panie nasz, wielki Panie! Uznajemy cię naszym królem i cieszymy się, że królestwo nasze jest w twoich dobrych rękach, bowiem we wszystkich sprawach okazałeś się mężem godnym prawowitym władcą państwa. Pokój, o którym mówisz, jest dobry, ale rozważ i przemyśl wszystko: odkąd owi *teules* weszli do naszego kraju i miasta, wszystko idzie coraz gorzej. Zważ, jak wiele usług im świadczył i jakimi dary obsypywał ich nasz władca, stryj wasz, wielki Montezuma. Na cóż to się zdało? Podobny los spotkał Cacamatzina, waszego kuzyna, króla Tezcuco. A cóż stało się z waszymi krewniakami z Iztapalapy, Coyoacanu, z Tacuby, z Talatcingo? Jak zginęli wszyscy synowie naszego

wielkiego Montezumy? Jak przepadło wszystkie złoto i bogactwo naszego miasta? Jak w niewolników zamienił wszystkich waszych poddanych i wasalów z Tepeaki, Chalco, a nawet z Tezcucu, i wszystkich innych miast i osiedli? Jak twarze im żelazem wypalał, rozważ, co obiecali wam bogowie nasi! Poradź się ich! Nie ufaj *Malinche* i jego słowom uwodnym, wszystko to kłamstwo i niegodziwość. Lepiej nam zginąć w tym mieście, walcząc, niż dostać się w ręce tego, który zrobi z nas niewolników i torturować będzie dla złota".

Dodali również, że przez trzy noce, w czasie ofiar, bogowie przyrzekali im zwycięstwo. Na to Guatemuz, na pół zagniewany, powiedział: "Jeśli taka wola wasza, niech tak będzie, jako chcecie. Pilnujcie dobrze resztek kukurydzy i spyży, jaką mamy, i zgińmy wszyscy w walce. Ale niech odtąd nikt nie śmie żądać pokoju, bo każę go zabić".

Wszyscy wówczas przysięgli walczyć w nocy i we dnie i zginąć w obronie miasta. Potem porozumieli się z mieszkańcami Xochimilco oraz innymi osiedlami, że dowozić będą wodę nocą łodziami, i wykopali studnie wszędzie, gdzie znajdowała się woda, chociażby słonawa.

Kortez i my wszyscy oczekiwaliśmy przez dwa dni odpowiedzi nie wkraczając do miasta. I kiedy najmniej się tego spodziewaliśmy, natarło na wszystkie trzy nasze obozy tyle wojowników indiańskich, walczących jak dzikie lwy, i taką okrutną wydali nam bitwę, że ich zwycięstwo zdawało się pewne. To, o czym mówię, działo się na odcinku naszym, Pedra de Alvarado. Na odcinkach Korteza i Sandovala również opowiadano, że kiedy zabrzmiał rożek Guatemuza, natarli z taką mocą, iż trudno się było ostać. Musieliśmy pilnie baczyć, aby nas nie rozbili, bo — jak już wspominałem — rzucali się na ostrza naszych szpad i włóczni, aby tylko nas pochwyć. Ale byliśmy już przyzwyczajeni do takich spotkań i walcząc o każdą piędź ziemi, zmagaliśmy się z nimi w ten sposób sześć czy siedem dni, zabijając i raniąc ich mnóstwo, ale oni nie zważali na to, gotowi umrzeć w walce.

Przypominam sobie, jak wołali: „Na cóż się zda, *Malinche* codziennie od nas pokoju żądać?! Nasi bogowie przyrzekli nam zwycięstwo, mamy żywności i wody pod dostatkiem i nikogo z was nie zostawimy przy życiu, przeto nie mówcie nam więcej o pokoju, słowa są dla bab, a broń dla mężów".

Rzucali się na nas jak wściekłe psy i walczyliśmy, póki nas noc nie rozdzieliła. Wtedy wychodziliśmy z bitwy w wielkim porządku, ścigani przez nich. Wracaliśmy do naszych szałasów, aby czuwać pospołu, a czuwając spożywaliśmy nędzny posiłek z zielsk zwanych *quelites*. Ranek podrywał nas znowu do walki i nie było wytchnienia. W ten sposób przeszło wiele dni.

Niebawem spotkała nas nowa, poważna przeciwność, połączyły się trzy prowincje: Mataltingo, Malinalco i Tulapa — innych nazw już sobie nie przypominam — oddalone o około osiem mil od Meksyku, a ich wojownicy,

zaszedłszy nam od tyłu, napadli nas w czasie najcięższych walk z Meksykanami. Tak jedni, jak drudzy mieli jeden wspólny cel: roznieść nas całkowicie.

*

Jak już powiedziałem, Guatemuz rozesał głowy końskie i ludzkie odarte ze skóry oraz nogi i ramiona naszych żołnierzy, zabitych na ofiarę, do licznych osiedli, a także do Matalzingo, Malinalco i Tulapy z wiadomością, że zabił już więcej niż połowę naszych ludzi i prosi ich, aby pomogli mu nas wykończyć. Niechaj dniem i nocą nękają nas w naszych obozach, abyśmy byli zmuszeni z nimi walczyć i bronić się. On zaś wyjdzie wówczas z Meksyku, aby uderzyć na nas z innej strony. W ten sposób pokonaliby nas i mogliby wielu naszych poświęcić swoim bożkom, a ciałami naszymi nasycić się. Tak im to przedstawił, że uwierzyli i uważali to za rzecz pewną, tym bardziej że Guatemuz miał w Matalzingo i Tulapie wielu krewnych po matce. Zaraz przystąpili do dzieła, aby zebrać wszystkie siły na pomoc Meksykowi. Na drodze spotkali trzy miasta nam przyjazne, zaatakowali je, rabując zagrody i pola kukurydziane, zabijając dzieci na ofiarę. Mieszkańcy powiadomili o tym Korteza, prosząc o pomoc i o ratunek.

Zaraz też wysłał Andresa de Tapia z dwudziestu konnymi i stu żołnierzami oraz licznymi Tlaxcalczykami; napastników zmuszono do odwrotu i Tapia powrócił do obozu ku wielkiemu zadowoleniu Korteza. Równocześnie z prowincji Cornavaca przybyli posłowie z prośbą o pomoc przeciw wojownikom z Matalzingo, Tulapy i Malinalco, którzy na nich napadli. Wysłał tedy Korteza Gonzala de Sandoval z dwudziestu konnymi i osiemdziesięciu żołnierzami, najzdrowszymi, jacy byli w obozie. Wiele można by mówić o tym, czego dokonaliśmy tam z Sandovalem, jak pobiliśmy wrogów i przywieśliśmy dwóch naczelników z Matalzingo. Korteza wysłał ich do Guatemuza z prośbą, aby zgodził się na pokój, on zaś przebaczył mu wszystko, co się dotąd zdarzyło. Dowodził mu, że król, nasz pan, ponownie przysłał mu rozkaz, aby nie niszczyć już bardziej miasta, i z tego też powodu nie występowali do walki ani nie nacierali w ostatnich pięciu dniach; niech rozważy, że nie posiada żywności ani wody, że dwie trzecie miasta leży w gruzach, zaś pomoc, jakiej spodziewał się z Matalzingo, zawiodła. Guatemuz nie chciał nic na to odpowiadać.

Niebawem Meksykanie zaatakowali nas z trzech stron i z większą jeszcze wściekłością niż dotąd — zdawało się, że pragną umrzeć w walce. Niekiedy rzucali nam głowy zabitych żołnierzy, wołając: *Tlenquitoa rey Castilla, tlenquitoa?*, co znaczy w ich języku: „A cóż teraz powie król Kastylji? i przy tym wypuszczali tyle oszczepów, kamieni i strzał, że usłana

była nimi grobla i ziemia. Zajęliśmy już większą część miasta, kiedy zauważyliśmy, że choć walczą jak lwy, nie zmieniają już tak oddziałów, jak zwykli to czynić, nie kopią już rowów, nie umacniają grobli, chociaż ilekroć cofamy się, ścigają nas. Chcę dodać, że we wszystkich trzech obozach skończył się proch, ale na szczęście wtedy właśnie przybył do Villa Rica okręt należący do floty, która została zniszczona przy Florydzie. Przybyli na nim żołnierze, proch, kusze, które Rodryg Rangel natychmiast przesłał Kortezowi.

Aby się skracać, powiem, że Korteż po naradzie z oficerami i żołnierzami postanowił dotrzeć, o ile to możliwe, do Tatelulco, wielkiego placu, gdzie znajdowały się wszystkie świątynie i modlitownie. Korteż z jednej, Sandoval z drugiej, a my z trzeciej strony posuwaliśmy się, zdobywając mosty i barykady. Korteż dotarł do małego placu, na którym stały inne świątynie i mała wieżyczka. W jednym z budynków na belkach wisiały głowy naszych Hiszpanów, ujętych w poprzednich bitwach i zabitych na ofiarę. Włosy ich i brody wyrosły znacznie dłuższe, niż były za życia, nie uwierzyłbym, gdybym był tego sam nie widział. Poznałem trzech moich towarzyszy i na ten widok serca się nam ścisnęły. Podówczas musieliśmy ich tak pozostawić, ale po dwunastu dniach pogrzebaliśmy te oraz inne głowy w kościele pod wezwaniem Męczenników, tuż przy moście zwanym "Skok Alvarady".

Zostawmy to i powiedzmy, jak walczyliśmy na odcinku Pedra de Alvarado i jak dotarliśmy do Tatelulco, gdzie taka mnogość Meksykanów strzegła swych bożków i wysokich świątyń i tyle ustawili barykad, że przez dwie godziny nie mogliśmy im dać rady i posunąć się dalej, ale ponieważ konie mogły się tam poruszać, jeźdźcy, choć narażeni na rany, wspomogli nas bardzo kłując dzidami Meksykanów. Wojownicy atakowali nas z trzech stron, przeto dwa nasze pułki ścierały się z nimi, a trzeci, pod wodzą Gutierrez de Badajoz, miał się wspinać na rozkaz Pedra de Alvarado na wysoką, o stu czternastu stopniach, świątynię Uichilobosa. Badajoz walczył dzielnie z wrogiem i licznymi kapłanami znajdującymi się w świątyniach bóstwa. Tak zaciekle bronili dostępu, że zepchnęli naszych z dziesięciu czy dwunastu stopni w dół, zaraz też pośpieszyliśmy z pomocą, porzucając naszą walkę z oddziałami wrogimi, które nas ścigały, kiedy wspinaliśmy się z wielkim niebezpieczeństwem życia na owe stopnie. W tych bitwach wielu odniosło niebezpieczne rany, ale udało się nam podłożyć ogień i bożki spłonęły, my zaś, po zatknięciu naszych sztandarów na szczycie świątyni, walczyliśmy aż do nocy, ale nie mogliśmy dać rady takiej liczbie wojowników.

Kiedy Korteż i jego oficerowie, walczący w odległych dzielnicach, w innej stronie miasta, ujrzeni łunę i nie przygasający pożar wielkiej świątyni oraz nasze sztandary na szczycie, rozradowali się ogromnie i chcieli już się tam znaleźć, ale nie zdołali, bowiem oddaleni byli o ćwierć mili.

i musieli dobywać jeszcze licznych mostów i kanałów. Kortez, jak mówiono, był nawet nieco zazdrosny. Po czterech dniach Kortez i Sandoval połączyli się z nami, mogliśmy już przechodzić z jednego obozu do drugiego przez wyburzone ulice i domy, mosty i barykady były rozwalone, a kanały zasypane. Wówczas Guatemuz wycofał się ze wszystkimi wojownikami do dzielnicy miasta na środku jeziora, bowiem pałace i domy, w których zamieszkiwał, leżały w gruzach. Mimo to nie zaniedbał żadnego dnia, wypadał przeciw nam, a w razie naszego cofania się ścigał nas zaciekłej niż poprzednio.

Kortez widząc, że wiele dni przeszło, zaś oni ani myślą prosić o pokój, ułożył ze wszystkimi naszymi dowódcami, że użyjemy podstępów. Było to tak: ze wszystkich trzech obozów zebraliśmy około trzydziestu konnych i stu żołnierzy znanych ze zręczności. Kortez przywołał tysiąc Tlaxcalczyków i wczesnym rankiem ukryliśmy się wszyscy w wielkich budynkach, dawniej należących do jednego z panów Meksyku. Kortez z resztą konnych oraz pozostałymi żołnierzami, kusznikami i muszkietierami wkroczył na ulice i groble, walcząc jak zwykle, zakrywając wyrwy i przepusty wodne. Przeciw niemu wyszły do walki oddziały meksykańskie, które stały w pogotowiu, oraz wiele innych, wysłanych przez Guatemuzę na obronę mostów. Kortez widząc, że przeciwników liczba jest wielka, udał, że się wycofuje i polecił sprzymierzeńcom opuścić groble, aby upozorować odwrot. Ścigali go zrazu ostrożnie, ale ujrawszy, że istotnie jakby uciekał, uderzyli całą potęgą na tych, którzy grobli bronili. Kortez, spostrzegłszy, że minęli już domy, w których urządzona była zasadzka, kazał wystrzelić z dwóch armat — był to znak umówiony — i na to najpierw wypadli konni, a za nimi wszyscy inni, i rzuciliśmy się na nich z zapalem. Wówczas Kortez zawrócił ze swoimi i naszymi sprzymierzeńcami Tlaxcalczykami i rozpoczęli siał zniszczenie wśród wrogów, zabijając i raniąc wielu. Odtąd nigdy nas nie ścigali w czasie odwrotu.

Równocześnie w obozie Pedra de Alvarado urządzono inną zasadzkę, która jednak się nie udała. Wszyscy już byliśmy połączeni na placu Tatelulco i Kortez rozkazał, by wszystkie pułki miały się na baczności, jako, że oddzieleni byliśmy o pół mili od obozów. Spędziliśmy na placu trzy dni niemal beczynnie, bo Kortez nie pozwolił zapuszczać się dalej w miasto ani burzyć dalszych domów, bowiem miał znów zamiar rozpocząć kroki pokojowe. W owych dniach wysłał Kortez do Guatemuzę wezwanie, aby się poddał, i prosił, by się nie lękał. Czynił mu też wielkie obietnice, że osobę jego będzie miał w przyjaźni i zachowaniu, że rządzić będzie Meksykiem oraz wszystkimi prowincjami i miastami, jak dotąd. Posłał mu żywność i podarunki.

Guatemuz zwołał swoich wodzów, a ci poradzili mu, aby udał, że pragnie pokoju, ale odpowiedzi udzieli po trzech dniach, po których upływie Guatemuz zejdzie się z Kortezem, aby omówić warunki, a przez

owe trzy dni będą mieli czas dowiedzieć się, jaka jest wola Uichilobosa, opatrzyć mosty, przerwać groble i przygotować oszczepty, kamienie i szypy oraz barykady. Wysłał tedy Guatemuz czterech mężnych Meksykanów z tą odpowiedzią. Mniemaliśmy, że istotnie są to wysłańcy pokoju i Korteż kazał ich nakarmić, napoić i wysłał przez nich żywność i napoje orzeźwiająca, na co Guatemuz przez nowych posłów przysłał dwie bogate opończe i zapowiedział swe przybycie w oznaczonym terminie. Aby zaś więcej słów na próżno nie tracić, powiedzmy, że nigdy nie miał zamiaru przybyć, radzono mu bowiem, aby nie wierzył Korteżowi, przedstawiając mu śmierć stryja, wielkiego Montezumy, oraz innych krewnych, a także zagładę całego szlacheckiego rodu.

Czekając tak na próżno na Guatemuz, poznaliśmy jego przewrotność. Niebawem natarły na nas liczne oddziały meksykańskie ze swymi chorągwiemi, atak był tak silny, że nie mógł mu się Korteż oprzeć, to samo działo się w naszym obozie, a także u Sandovala. Zdawało się, że cała walka rozpała się na nowo. A że ostrożność nasza nieco zelżała, gdyż mniemaliśmy, że są już skłonni do pokoju, ranili i zabili wielu naszych. Nie zdołali się jednak tym chlubić, lecz srogo za to zapłacili. Korteż bowiem rozkazał wtedy przystąpić do ataku i przedostać się do dzielnicy, w której Guatemuz się schronił. Ten, widząc, że zwycięstwo przechyla się na naszą stronę, wysłał dwóch możnych do Korteza z oznajmieniem, że pragnie się z nim porozumieć poprzez jeden z kanałów. Korteż miał stanąć po jednej stronie, a Guatemuz po drugiej. Wyznaczono termin na następny dzień rano. Korteż wyszedł na to spotkanie, ale Guatemuz się nie stawił, wysłał tylko kilku dostojników, którzy oznajmili, że pan ich przyjść nie śmiał, lękając się, abyśmy go z muszkietów i kusz nie ustrzelili. Wówczas Korteż pod przysięgą obiecał, że nie spotka go nic złego, ale na nic się to zdało, bowiem nie uwierzyli, mówiąc, że dobrze znają jego gadania. Po czym obaj dostojnicy, którzy rozmawiali z Korteżem, wyciągnęli z sakwy placki, udka kurze, czereśnie i zasiedli swobodnie do jedzenia, aby Korteż widział i przekonał się, że nie są głodni. Korteż widząc to, odpowiedział, że jeśli nie chcą rokować, on wkrótce wejdzie do wszystkich ich domów i przekona się, czy mają kukurydzę, a tym bardziej kury. Tak minęło cztery czy pięć dni, my nie atakowaliśmy, a co nocy podchodzili do obozu liczni nieszczęśliwi Indianie, wygłodzeni, jakby otumanieni przez głód. Widząc to Korteż rozporządził, abyśmy się wstrzymali od wojennych kroków, a może zmienią zdanie i zechcą zgodzić się na pokój. Jednak nie przybywali.

Jak Guatemuz został pojmany

Kortez, widząc, że Guatemuz nie zgłasza się na żadne rokowania, rozkazał Gonzalowi de Sandoval podprowadzić brygantyny do tej części miasta, gdzie schronił się władca z całym kwiatem swoich wodzów i najdostojniejszymi osobami, jakie znajdowały się w Meksyku. Poleciał, aby nie zabijali ani nie ranili żadnych Indian, chyba gdyby stawiali opór, a nawet w takim razie, aby się jedynie bronili, nie czyniąc większej szkody. Mieli tylko rozwalać domy i umocnienia na jeziorze. Kortez zaś wszedł na szczyt wielkiej świątyni na placu Tatelulco, by patrzeć, jak Sandoval na brygantynach będzie atakować. Wraz z nim byli Pedro de Alvarado, Francisco de Verdugo, Luis Marin oraz inni żołnierze.

Sandoval z wielką furią zaatakował dzielnicę, gdzie znajdowały się pałace Guatemuza. Ten, widząc, że jest otoczony, zląkł się, by go nie pojмали i nie zabili. Stało tam przygotowanych na wypadek niebezpieczeństwa pięćdziesiąt piróg wielkich, aby mógł uciec i schronić się wśród sitowi, a stamtąd dostać się na ląd i skryć w innych osiedlach. Poleciał też swoim wodzom i znacznym osobistościom, którzy go otaczali, aby podobnie postąpili. Kiedy przeto spostrzegli, że nasi zajmują pałace, wsiedli na owych pięćdziesiąt piróg, na których już byli umieścili swe mienie, złoto, klejnoty, żony i dzieci i wypłynęli na pełne wody. Sandoval, dowiedziawszy się, że Guatemuz uchodzi, kazał załodze brygantyny zaprzestać burzyć domy i umocnienia i puścić się w pogoń za łodziami, aby dojrzeć, w którą stronę udaje się Guatemuz. Ostrzegł jednak, aby go nie obrażali, ani nie wyrządzali mu nic złego, tylko starali się go pojmać.

Niejaki García Holguin, przyjaciel Sandovala dowodził najlepszą i najzwinniejszą brygantyną i miał dobrych wiosłarzy, jemu też kazał Sandoval popłynąć w stronę, gdzie — jak mówiono — skierował się Guatemuz. Sam Sandoval popłynął w innym kierunku. Dopuścił Pan Bóg, że García Holguin dogonił łodzie i pirogi, na których Guatemuz się przeprawiał, i po kunszcie i przepychu jednej, po baldachimach i siedzeniach bogatych poznał, że znajduje się na niej Guatemuz, wielki władca Meksyku. Znakami wezwał Indian, aby się zatrzymali, a gdy nie chcieli, udał, że kieruje na nich muszkiety i kusze.

Guatemuz widząc to, zawołał: „Nie strzelajcie do mnie. Jestem królem tego miasta i zowie się Guatemuz. Proszę cię, abyś z mego powodu nie zabierał nic z tego, co przewożę, ani mojej żony, ani krewnych, mnie tylko zawieź co rychlej do Malinche”.

Holguin, usłyszawszy to, uradował się bardzo, uściskał go z wielkim szacunkiem i zabrał na brygantynę jego, jego żonę i trzydziestu dostojników, usadowił ich na rufie, na matach i kobiercach, i dał im, co miał do

jedzenia, zaś łodzi, które wiozły ich mienie nie tykał, tylko holował za sobą.

Tymczasem Gonzalo de Sandoval kazał się wszystkim brygantynom połączyć i dowiedział się, że Holguin pojmał Guatemuza i wiezie go do Korteza; polecił swojej brygantynie wiosłować co żywo, aby dopaść brygantyny Holguina. Gdy ją dogonił, zażądał wydania więźnia. Holguin jednak wydać go nie chciał, mówiąc, że przecie on go pojmał, a nie Sandoval. Ten odpowiedział, że tak jest, ale on jest wodzem naczelnym i Garcia popłynął z jego rozkazu i pod jego banderą, dlatego że jest jego przyjacielem i że miał najlepszy statek.. Jako wódz naczelny żąda wydania mu jeńca. Holguin upierał się, że nie odda. Tymczasem inna brygantyna popłynęła co tchu do Korteza, aby otrzymać nagrodę za pomyślną wiadomość; Korteż znajdował się w świątyni, skąd patrzył, jak naciera Sandoval, tam powiadomili go o zatargu między Holguinem a Sandovalem o więźnia.

Korteż natychmiast wysłał Luisa Marina i Franciska Verdugo, aby przywołali Sandovala i Holguina nie rozstrzygając kwestii, a także kazał im dostawić Guatemuza, jego żonę i rodzinę z wielkim uszanowaniem, bowiem sam rozstrzygnie, czyim jest on więźniem i komu ten honor przypada. Równocześnie polecił zbudować rodzaj podniesienia i wyścielić je jak można najlepiej matami i tkaninami, przygotować siedzenia i żywność, jaką tylko rozporządzał. Niebawem przybyli Sandoval i Holguin z Guatemuzem i przyprowadzili go przed Korteza; Guatemuz stanąwszy przed nim, pokłonił się unizenie Korteż wesoło go uściskał i świadczył wiele czułości jemu i jego wodzom.

Wówczas Guatemuz przemówił do Korteza: „Panie *Malinche*, uczyniłem wszystko, co powinienem, w obronie mego miasta i poddanych moich, na więcej mnie nie stać. Oto jestem przywiedzion siłą i w łykach przed wasze oblicze i dostojność, weźcie ten sztylet, który macie za pasem, i na miejscu mnie zabijcie”.

To rzekłszy, załkał i zapłakał rzewnymi łzami, a z nim pospołu płakali inni wielcy panowie, z nim przybyli. Korteż za pośrednictwem doni Mariny odpowiedział bardzo serdecznie, że ponieważ był tak mężny i tak walczył o swoje miasto, ceni go tym bardziej i nie wini go o to. Byłby wolał, gdyby widząc się zwyciężonym, zgodził się dobrowolnie na pokój, zanim zniszczyliśmy jeszcze bardziej miasto i zanim poległo tylu Meksykanów. Ale to należy do przeszłości, nic na to nie poradzimy, niech uspokoi się jego serce i wszystkich jego wodzów. Rządzić będzie nadal Meksykiem i prowincjami, jak przodzi. Guatemuz i jego wodzowie wyrazili swą wdzięczność.

Korteż zapytał jeszcze o żonę oraz o inne wielkie damy, żony innych wodzów, które towarzyszyły Guatemuzowi. Ten odpowiedział, że prosił Gonzala de Sandoval i Garcie Holguina, aby pozwolili im pozostać w łodziach, póki nie stanie się jasne, co *Malinche* rozkaże. Zaraz też Korteż wysłał po nie i kazał je nakarmić wszystkim, co najlepszego znajdzie się

w obozie, a że zrobił się wieczór i zaczynał padać deszcz, polecił im udać się do Coyoacan. Zabrał ze sobą Guatemuzą, całą jego rodzinę oraz wielu dostojników, podobnie rozkazał Pedrovi de Alvarado, Gonzalowi de Sandoval oraz innym dowódcom, aby każdy udał się na swoją kwaterę, do obozu. My tedy odeszliśmy do Tacuby, Sandoval do Tepeaquilli, Kortez do Coyoacan, Guatemuz i jego wodzowie pojmáni zostali 13 sierpnia, w godzinę niesporów, w dniu świętego Hipolita roku 1521. Dzięki niech będą Panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi i Pani Naszej Dziewicy Najświętszej Maryi, Jego Błogosławionej Matce. Amen!

Lało, łyskało się i grzmiało tego wieczora aż do północy, ulewa była znacznie większa niż kiedykolwiek. Kiedy Guatemuz został pojmany, my wszyscy żołnierze byliśmy ogluszeni, jak człowiek na dzwonnicy, gdzie dzwoniły liczne dzwony, a nagle dzwonić przestały. Mówię to, bowiem przez dziewięćdziesiąt trzy dni, od kiedy trwaliśmy pod owym miastem, dzień i noc rozbrzmiewały wrzaski i krzyki wodzów meksykańskich nawołujących swoje oddziały i wojowników walczących na groblach albo wzywających łodzie do walki z brygantynami lub z naszymi ludźmi przy mostach, a także tych, którzy wbijali pale, pogłębiali zapadnie i kanały i budowali barykady; wołali, aby przygotować oszczepy i strzały, aby kobiety gładziły kamienie do proc; od świątyń i wieży bożków huczały bez przestanku przekłete bębny, trąby i dzwonki. Hałas ten nie ustawał ni w dzień, ni w nocy, a był taki, że jeden drugiego nie słyszał. Z pojmaniem Guatemuzą ustały wszystkie głosy i hałasy. Dlatego też powiedziałem, że poprzednio byliśmy jak w dzwonnicy.

Zostawmy to i powiedzmy o tym, że owe pałace, do których wycofał się Guatemuz, pełne były trupów i głów uciętych. Mówię i przysięgam — amen! — że wszystkie domy i umocnienia na jeziorze tak pełne były trupów i głów, że nie umiem tego nawet opisać! W ulicach i na dziedzińcach Tatelulco nie było nic, ino trupy i głowy martwych Indian, przejść nie było można. Czytałem o zburzeniu Jerozolimy, ale nie jestem pewien, czy była tam taka śmiertelność. Padło w tym mieście mnóstwo ludzi, wojowników przybyłych ze wszystkich prowincji i miast podległych Meksykowi, a z tych, którzy się tam schronili, prawie wszyscy pomarli, tak że ziemia, jezio'ro, umocnienia były pełne trupów i cuch był taki, że nie było człowieka, który by to wytrzymać był w stanie. Dlatego też po ujęciu Guatemuzą każdy z naszych wodzów wycofał się do swego obozu, a sam Kortez rozchorował się z tych wyziewów, które wdarły mu się przez nos do głowy w czasie owych kilku dni spędzonych na Tatelulco.

Guatemuz prosił Korteza, aby dla tej zgnilizny, jaka panowała w Meksyku, zezwolił wszystkim wojskom, znajdującym się w mieście, wyjść do sąsiednich miejscowości, na co Kortez natychmiast przystał. Przez trzy dni i trzy noce wszystkie trzy groble pełne były mężów i kobiet i dzieci; ciągnęli nieprzerwanym sznurem, tak wychudli i wyżółkli, tak wstrętni

cuchnący, że żałość była patrzeć. A kiedy miasto zostało opróżnione, Korteż wysłał ludzi na przegląd miasta i ujrzeliśmy domy pełne zwłok, a nawet czasem nieszczęsnych Meksykanów, niby żywych, którzy już sił nie mieli wyjść — ciała ich wydzielały takie paskudztwo jak wieprze straszliwie wychudzone, które jedzą tylko trawę. Całe miasto było jakby przeorane, korzenie i dobre zioła wydarte z ziemi, bowiem gotowali je i jedli. Jedli też korę niektórych drzew, wody słodkiej nie znaleźliśmy, tylko słoną. Chcę też rzec, że nie zjadali ciał swoich Meksykanów, tylko naszych ludzi i Tlaxcalczyków, których pochwycili. Przez wiele wieków nie znajdzie się na ziemi pokolenie, które by tyle wycierpiało od głodu i pragnienia, i ustawicznych wojen, jak oni.

Księga jedenasta

PO ZWYCIĘSTWIE. BLASKI I CIENIE

40

Jak Kortez polecił naprawić wodociągi oraz o wielu innych sprawach

Pierwszą rzeczą, jaką Kortez zlecił Guatemuzowi, była naprawa wodociągów z Chapultepec, by woda rurami mogła dopływać do Meksyku, następnie polecił oczyścić ulice z trupów i głów zabitych ludzi i pogrzebać je, aby ustał ów niezdolny odór w mieście, następnie kazał do przedwojennego stanu przywrócić mosty i groble, odbudować pałace i domy, aby do dwóch miesięcy można było w nich zamieszkać, wyznaczył też, jakie dzielnice mają zająć oni, a jakie pozostawić wolne, abyśmy mogli się tam osiedlić.

Zostawmy te rozkazy oraz inne, których już nie pomnę, i powiedzmy, jak Guatemuz i jego wodzowie skarżyli się przed Kortezem, że liczni żołnierze i oficerowie brygantyn albo też walczący na groblach, zabrali córki i żony wielmożów, prosili zatem usilnie, aby kazał je oddać. Kortez odpowiedział, że trudno będzie je odebrać tym, w których mocy były, ale że poleci szukać i przyprowadzić je przed swoje oblicze, a przekona się, czy są chrześcijankami albo czy pragną powrócić do swych domów z ojcami i mężami, a w takim razie natychmiast je odda. Chodzili też liczni dostojnicy po domach poszukując niewiast, a byli tak wytrwali, że znachodzili je, ale wiele z owych białogłów nie chciało wracać do ojców, matek i mężów, wołało zostać z żołnierzami jedne się ukrywały, inne oświadczyły, że wracać nie chcą do pogaństwa, niektóre były już ciężarne, tak że w końcu zaledwie trzy przyprowadzono, które Kortez kazał wydać natychmiast.

Kiedy się uspokoiło i zebrano wszystko złoto i kosztowności, znajdujące się w Meksyku, było tego bardzo niewiele. Fama głosiła, że Guatemuz na cztery dni przed pojmaniem wrzucił wszystko do jeziora, a poza tym sprzymierzeńcy z Tlaxcali, z Tezcucó, z Guaxocingo i Choluli, i nasi *teules* z brygantyn też się obłowili. Urzędnicy królewscy mówili i rozgłaszali, że Guatemuz ukrył skarby, a Kortez jest z tego zadowolony,

bowiem nie będzie nic dawał, tylko wszystko dla siebie zachowa, dlatego też rozporządzili urzędnicy skarbu królewskiego, aby Guatemuza i władcę Tacuby, jego kuzyna i zaufanego, wziąć na tortury. Bardzo nad tym bolał Korteż i niektórzy z nas, że tak wielkiego władcę jak Guatemuz torturować mają przez chciwość złota. Przeprowadzono w tej sprawie śledztwo i wszyscy majordomo Guatemuza twierdzili, że nie było innego złota jak to, które znalazło się w rękach urzędników królewskich, czyli razem około trzystu osiemdziesięciu tysięcy pesos, od których pobrano kwintę królewską i kwintę Korteza. Wobec tak niewielkiej ilości złota, konkwistadorowie Kortezowi nieprzyjaźni oświadczyli skarbnikowi Julianowi de Alderete, że Korteż nie godzi się na poddanie Guatemuza i jego wodzów torturom, bo chce wszystko dla siebie zachować. Nie można było odmówić wobec tych oskarżeń i wzięto na tortury Guatemuza i władcę Tacuby, przypalając im stopy. Wyznali, że cztery dni temu wrzucili do jeziora złoto oraz armaty i muszkiety zdobyte ostatnio na Kortezie.

W jezioro, gdzie wedle nich wrzucono złoto Guatemuza, nurkując, spuściłem się ja oraz inni żołnierze i wydobyliśmy drobiazgi niewielkiej wartości, których zaraz zażądał od nas Korteż i skarbnik Alderete dla Jego Cesarskiej Mości.

Byliśmy bardzo zmartwieni widząc, jak niewiele jest złota i jak znikome działy otrzymamy. Ojciec Miłosierdzia i Pedro de Alvarado, i Cristóbal de Olid oraz inni oficerowie radzili Kortezowi, aby wobec tak nikłych działów rozdzielił je pomiędzy okaleczonych, pozbawionych rąk i nóg, oślepych, głuchych oraz cierpiących i poparzonych prochami. Czynili to w nadziei, że Korteż powiększy udziały nam należne, bowiem podejrzewali, że ukrył znaczną część łupu. Korteż odpowiedział, że rozważy, co się nam należy, i następnie przystąpi do podziału. Po ukończeniu pobieżnych rozrachowań powiadomiono nas, że konni mają prawo do osiemdziesięciu pesos, kusznicy, muszkietrzy oraz tarczownicy do sześćdziesięciu albo pięćdziesięciu, nie pomnę już dobrze. Kiedy nas o tym powiadomiono, żaden żołnierz przydziału przyjąć me chciał. Zaczęły się szemrania przeciw Kortezowi, zarzucano, że skarbnik złoto zabrał i ukrył. Aldereta, aby się usprawiedliwić, tłumaczył, że więcej dać nie może, bowiem Korteż pobiera swoją kwintę obok kwinty królewskiej, wynagradzając sobie w ten sposób poniesione szkody, wreszcie dodał, że jeśli nie jesteśmy zadowoleni, to czepiajmy się Korteza, a nie jego.

Korteż przebywał w Coyoacan, w wielkich pałacach obielonych wapnem, na których murach można było doskonale pisać węglem albo innymi farbami, toteż co ranka znachodzono tam rozmaite napisy, jedne prozą, drugie wierszem, złośliwe i satyryczne. Jedne głosiły, że słońce i księżyc, i niebo, i gwiazdy mają swoje biegi, a jeżeli zdarzy się, że wyjdą z orbity, powracają do dawnego stanu, tak stanie się i z żądzą władzy Korteza, będzie musiał powrócić do tego, czym był uprzednio. Inne głó-

siły: „Och jak smutna jest dusza moja, odkąd widzę, że wszystko złoto Korteza zabrał i schował”. Pisano też inne rzeczy i słowa, których nie lza mi w tej relacji przytaczać.

Kortez, wychodząc z komnat rankiem, czytał te napisy, a jako był trochę poetą, lubował się w odpowiedziach, wysławiając swe wielkie i znamienite czyny. Owe wierszydła i napisy co dzień stawały się zuchwalsze, wreszcie Kortez napisał: „Mur biały papierem głupców”. Rankiem podpisano pod tym: „Także mądrych i prawdomównych, a Jego Królewska Mość rychło powiadomiony będzie”.

Kortez wówczas rozgniewał się i postanowił wysłać ludzi do wszystkich prowincji, które jego zdaniem nadawały się na kolonizację. Gonzala de Sandoval wysłał na osiedlenie do Tustepeque, Rodryga Rangela pozostawił w Villa Rica, Cristobala de Olid wysłał do Michuacanu, Franciska de Oroasco do Oaxaki, niejaki Castañeda i Vécente López zostali wysłani na podbój Panuco.

We wszystkich tych prowincjach rozeszła się wieść o zburzeniu Meksyku, nie mogli w to uwierzyć kacykowie i władcy odległych krain i wysłali do Korteza naczelników swoich z gratulacjami i oświadczeniami uległości wobec Jego Królewskiej Mości. Chcieli przekonać się, czy było to prawdą, iż Meksyk, który ich takim lękiem napawał, leży w gruzach, i wszyscy przynosili bogate dary w złocie dla Korteza, przyprowadzali także małe dziatki i ukazując im Meksyk mówili podobnie, jak my pokazując ruiny Troi mówimy: „Tu była Troja”.

Wielu ciekawych czytelników zapyta, dlaczego my, prawdziwi konkwistadorowie, zdobywszy Nową Hiszpanię i tak silne i wielkie miasto Meksyk, nie pozostaliśmy tak, ale wyprawiliśmy się do innych prowincji. Słusznie i rozsądnie tak pytają, i chcę podać przyczynę, dlaczego się tak stało. Z ksiąg dochodów wielkiego Montezumy dowiedzieliśmy się, skąd pobierał daninę w złocie, gdzie znajdują się kopalnie, gdzie kakao i tkaniny, i zapragnęliśmy tam się udać. W okolicy Meksyku nie było ani złota ani kopalń, ani bawełny, tylko wiele kukurydzy i agawy, z której robią rodzaj wina, uważaliśmy więc, że kraj jest nieurodzajny, i pragnęliśmy udać się do innych prowincji na kolonizowanie. O, jak bardzo zostaliśmy oszukani!

Przypominam sobie, że poszedłem rozmówić się z Kortezem, aby mi pozwolił pójść z Sandovalem. On mi rzekł: „Na sumienie moje, bracie Bernalu Diazie del Castillo, mylicie się, wolałbym, abyście zostali przy mnie. Jeśli jednak taka wola wasza, idźcie szczęśliwie z Sandovalem, waszym przyjacielem, zawsze będę gotów wam się przysłużyć, ale dobrze wiem, że żałować będziecie, żeście mnie porzucili”.

*O kłopotach Korteza i co się ze złotem wysłanym do Jego Królewskiej
Mości stało*

Kiedy Kortez rozesłał swych oficerów i żołnierzy na pacyfikację i kolonizację prowincji, z wyspy San Domingo przybył kontroler Cristóbal de Tapia z pełnomocnictwami wydanymi przez don Juana Rodrigueza de Fonseca, biskupa Burgos i arcybiskupa Rosany — taki bowiem był jego tytuł — aby jemu, de Tapii, oddać gubernatorstwo Nowej Hiszpanii. Prócz tych pełnomocnictw wiozł liczne listy od tegoż biskupa do Korteza i innych konkwistadorów i oficerów, z tych, którzy z Narvaezem przybyli, aby popierali Cristobala de Tapia. Prócz tych listów, zamkniętych i opieczętowanych, przywiózł liczne inne papiery *in blanco*, aby mógł na nich wypisywać, co zechce.

We wszystkich listach było wiele obietnic biskupa, że wielkimi łaskami nas obsypie, jeżeli oddamy rządy Tapii, a jeżeli nie uczynimy tego, grozi, że nas Król Jęgomość nie omieszka ukarać. Tapia przedstawił owe pełnomocnictwa i rozkazy Gonzalowi de Alvarado, który położył je sobie na głowie, jako dekrety i pisma naszego króla i pana, ale zapowiedział, że zbiorą się alcałdowie i ławnicy owego miasta, aby porozumieć się i przekonać, jak owe pisma wyglądają, i czy jego Królewska Mość wie o tym, że takie pisma zostały wysłane.

Ta odpowiedź nie była w smak Tapii. Napisał wprost do Korteza, że przybywa objąć rządy. Wówczas Kortez polecił kilku naszym oficerom udać się na spotkanie Tapii, a byli to Pedro de Alvarado, Gonzalo de Sandoval, Diego de Soto, niejaki Valdebro i Andreas de Tapia, wraz z nimi miał udać się brat Pedro Melgarejo de Urrea, dla swej dobrej wymowy.

Tapia w drodze do Meksyku spotkał owych oficerów i brata i znów wyciągnął pełnomocnictwa, a wszyscy je ucałowali i położyli je sobie na głowy, jako dekrety naszego króla i pana, ale wyrazili przekonanie, że nie jest król dobrze poinformowany o tych sprawach i że Tapia nie nadaje się na gubernatora, zaś biskup Burgos stale jest przeciwny konkwistadorom, którzy służymy Jego Królewskiej Mości, i wydał te papiery nie zdając z nich sprawy królowi. Napisali zaraz o wszystkim Kortezowi i poradzili, aby przysłał tkaniny i sztaby złota, bowiem Tapia jest chciwy i w ten sposób można jego furię ułagodzić, co zaraz zostało spełnione, i Tapia, zakupiwszy kilku Murzynów, trzy konie i okręt, wsiadł na statek i powrócił do San Domingo, skąd przyplynał.

Kortez tymczasem wysłał Pedra de Alvarado na kolonizację Tustepeque, ziemi bogatej w złoto. Również wysłał wyprawę na skolonizowanie okolicy rzeki Panuco, bowiem dowiedział się, że Francisco de Garay z wielką flotą wyprawił się w tym celu i Kortez pragnął, aby ten, przy-

bywszy, zastał ją już skolonizowaną. Wysłał także do Rodryga Rangela, namiestnika Villa Rica, aby natychmiast skierował do Coyoacan, siedziby Korteza, kapitana Panilla de Narvaez, który był u niego więźniem.

Opowiadano, że kiedy Cristobal de Tapia przybył do Villa Rica z pełnomocnictwami, Narvaez w rozmowie z nim wyraził się: "Panie Cristobalu de Tapia, zdaje mi się, że powiodło się wam podobnie jak i mnie, zważcie, cóżem zyskał, mając tak dobrą flotę. Troszczcie się o własną osobę, i to nie tracąc czasu, bowiem szansa Korteza nie skończyła się jeszcze. Starajcie się, aby dali wam trochę złota i wracajcie do Kastylii, do Jego Królewskiej Mości, tam znajdziecie poparcie i pomoc i powiecie, co się tu dzieje. Tak będzie najlepiej".

Kiedy Narvaez w drodze do Meksyku oglądał owe wielkie osiedla i miasta, i dotarł do Tezcuco, podziw go ogarnął, a jeszcze bardziej, gdy ujrzał Coyoacan, jezioro i miasta nad nim leżące, a wreszcie i miasto Meksyk. Korteż wiedząc, że on nadjeżdża kazał go przyjąć z honorami, sam wyszedł na jego spotkanie. Kiedy Narvaez stanął przed Korteżem, ugiął kolana i chciał ucałować mu ręce, Korteż na to nie zezwolił, podniósł go, uściskał czule i posadził obok siebie.

Narvaez rzekł mu: „Panie kapitanie, dziś powiem, że zaprawdę najmniejszą rzeczą, jaką wasza miłość i wasi żołnierze zdziałali w Nowej Hiszpanii, to było pokonanie mnie i pojmanie, choć przybyłem z taką wielką siłą. Widziałem tyle miast i krajów, które zdobyliście i poddali służbie bożej i naszego cesarza, że chyba na całym świecie nie znajdują się słynniejsi i godniejsi chwały mężowie ani równie warowne i wielkie miasto, jak Meksyk. Godni jesteście, wasza miłość i żołnierze wasi, aby Jego Cesarska Mość obsypał was łaskami". I wiele jeszcze innych pochwał szczerych wypowiedział.

Korteż odpowiedział, że nie starczyłyby nasze siły na dokonanie tego, gdyby nas nie wspomogło wielkie miłosierdzie boże i szczęśliwa gwiazda naszego cesarza.

W owym czasie Korteż zajął się zaludnianiem Meksyku; wyznaczył miejsce na kościół i klasztor, na dwory królewskie i pałace, a wszystkim mieszkańcom wyznaczył działki, i aby nie tracić słów, powiem, że równie ludnego i wielkiego miasta, i piękniejszych domów, zamieszkałych przez szlachtę, nie było chyba na świecie.

Zaledwie zapanował ład i Korteż nieco odetchnął, nadeszły listy z Panuco, że cała prowincja zbuntowała się, a że byli to wojownicy bardzo bitni, wyróżnili licznych żołnierzy wysłanych na kolonizację. Korteż postanowił wyprawić się do Panuco osobiście, nie mógł być wysłać innych oficerów bo wszyscy wyprawiliśmy się na zdobycie rozmaitych prowincji. Wydał na tę wyprawę mnóstwo złotych pesos, a kiedy zwrócił się do Jego Królewskiej Mości o zwrot kosztów, urzędnicy skarbu królewskiego nie uznali tego i nie chcieli nic płacić, twierdząc, że jeżeli podjął się tej wyprawy,

uczynił to na własne ryzyko, bo chciał zawładnąć ową prowincją i nie pozwolił jej zająć Franciskowi de Garay, który z wielką flotą wypłynął właśnie w tym celu z Jamajki.

Kortez z całym swym wojskiem dotarł do prowincji Panuco, znalazł ją w ogniu walk i wezwał kilkakrotnie do pokoju, ale nie chcieli go słuchać; pozwolił Bóg, że zostali zwyciężeni i zawarli pokój, i przynieśli klejnoty złote, choć niewielkiej wartości, ofiarowując je Kortezowi. Założył tam Kortez miasto dla stu dwudziestu mieszkańców, pozostawił w nim dwudziestu siedmiu jeźdźców, trzydziestu sześciu muszkieterów, i nazwał to miasto — leżące o milę drogi od rzeki Chila — Santisteban del Puerto. Zanim przejdę dalej, muszę powiedzieć, że we wszystkich prowincjach Nowej Hiszpanii nie było ludu tak wstrętnego, niegodziwego i gorszych obyczajów, jak w tej prowincji Panuco. Wszyscy tam byli sodomitami, oddawali się wszetecznościom nigdy nie słyszanym, byli krwawi i okrutni ponad wszelką miarę, opoje, brudni, źli, zostali dwakroć czy trzykroć ukarani krwią i ogniem, lecz gorsze ich nieszczęścia spotkały, gdy gubernatorem tam został Nuno de Guzman, który zaraz po objęciu władzy zamienił ich wszystkich w niewolników i wysłał na sprzedaż po wyspach.

*

Kiedy Kortez powrócił ze zwycięskiej wyprawy do Panuco i zajął się zaludnianiem i odbudową miasta, przybył Alonso de Avila, już przeze mnie wspomniany w poprzednich rozdziałach, i od Trybunału Królewskiego i braci hieronimitów przywiózł zezwolenie na podbój całej Nowej Hiszpanii. Zezwolenie to miało być w mocy, póki Król Jegomość nie zarządzi inaczej w tej sprawie. Wysłali też bracia heronimici natychmiast okręt do Kastylii ze sprawozdaniem. Król Jegomość bawił wówczas we Flandrii i tam dobiegły go tajne wiadomości braci hieronimitów, bowiem ci, znając złe nastawienie biskupa Burgos wobec nas, nie zdawali mu z niczego sprawy i nie traktowali z nim o ważnych sprawach, chociaż był przewodniczącym Rady Indii.

Kortez uważał Alonsa de Avila za człowieka nieustraszonego, ale sobie nieprzyjaznego, gdy tym razem przybył, aby go udobruchać i zjednać, oddał mu miasto Gualtitan i ofiarował pewną sumę złotych pesos. Obietnicami i uprzejmościami tak go pozyskał, że stał się mu przyjacielem i sługą. Wysłał go wtedy do Kastylii razem z dowódcą swej straży przybocznej, Antoniem de Quinones, mieli jechać jako prokuratorowie Nowej Hiszpanii i Korteza. Zabrali dwa okręty, a na nich sztaby złota wartości pięćdziesięciu ośmiu *castellanos*, zabrali też skarbiec, zwany skarbcem Montezumy i Guatemuza, jako dar dla wielkiego cesarza. Było tam wiele klejnotów bardzo bogatych, perły tak wielkie jak orzeszki, liczne *chalchiuis*

kamienie drogie jak szmaragdy, niektóre tak wielkie, jak dłoń — i wielu innych, których dla ich mnogości nie potrafię opisać. Wysłaliśmy także kawałek kości olbrzyma znalezionej w jednej świątyni w Coyoacan, a także trzy tygrysy i inne rzeczy, których nie pamiętam. Przez tych prokuratorów, wysłali listy do Jego Cesarskiej Mości alcałd i senat Meksyku, i wszyscy podkreślali liczne, znaczne i wierne zasługi oddane przez Korteza i naszych konkwistadorów, czego dokonaliśmy i jak nadal działamy, pisaliśmy także o wszystkim, co się zdarzyło od zdobycia miasta Meksyku i jak zostało odkryte Morze Południa. Błagaliśmy Majestat o przysłanie biskupów i zakonników wszelkich zakonów, zacnego życia i wiedzy, aby nam pomagali zaprowadzać i utwierdzać w tych stronach naszą świętą wiarę katolicką, błagaliśmy wszyscy, aby gubernatorstwo tej Nowej Hiszpanii oddał łaskawie Kortezowi, aby wszystkie urzędy powierzane były nie innym osobom, ale wybranym spośród nas, prosiliśmy, aby nie przysyłał uczonych, bowiem swoimi księgami wzneciliby tylko powstanie w tych ziemiach i byłyby tylko same skargi i spory. Powiadamy go też, że Cristóbal de Tapia, przysłany przez don Juana Rodrigueza de Fonseca, biskupa Burgos, nie dorósł do rządzenia i jeżeliby został gubernatorem, Nowa Hiszpania przepadnie. Wyrażaliśmy przekonanie, że biskup napisał i wysłał te listy i pełnomocnictwa w interesie Diega Velazqueza i Cristobala de Tapia, którego chce ożenić ze swoją krewniaczką czy córką, dołą Petronilą de Fonseca. Błagaliśmy go również, aby był łaskaw zakazać biskupowi Burgos mieszania się do wszelkich spraw Korteza i naszych, gdyż przeszkadza to w wielu zamyślonych przez nas podbojach oraz pacyfikacji prowincji Nowej Hiszpanii. Sam Kortez nie zostawił atramentu w swoim kałamarzu i w liście zdał sprawę ze wszystkiego, co się zdarzyło, a było tego pisania dwadzieścia jeden stronic.

Opowiedzmy teraz o dobrej żegludze, jaką odbyli nasi prokuratorowie wypłynawszy z portu Vera Cruz 20 grudnia 1522 r. Przy pomyślnym wietrze przepłynęli przez kanał Bahama, jednak w drodze wyrwały się dwa tygrysy i poraniły wielu marynarzy, tak że musieli je zabić, bowiem były bardzo dzikie i nie można było im dać rady. Żeglowali tak do wyspy de la Tercera. Dowodził Antonio de Quiñones, którego miano za bardzo dzielnego i kochliwego, zdaje się że na owej wyspie zadał się z jakąś białogłową, doszło do zatargu, został pchnięty nożem i zmarł, przy dowództwie pozostał tedy tylko Alonso de Avila. Już z dwoma okrętami zbliżał się do Hiszpanii, gdy niedaleko od jej wybrzeży napadł ich Juan Florín, korsarz francuski, zrabował złoto i okręty, pojmał Alonsa de Avila i zawiózł w łykach do Francji. Cała Francja podziwiała bogactwa, jakie wysłaliśmy naszemu wielkiemu cesarzowi, a nawet sam król francuski zapalał bardziej niż kiedykolwiek żądzą udziału w wyspach i lądzie Nowej Hiszpanii. Mówią, że wysłał do naszego cesarza pytanie, jak to się dzieje, że podzielił świat między siebie i króla Portugalii, nie dając mu żadnej części,

niech mu pokaże testament naszego ojca, Adama, zali im jedynie, jako dziedzicom i władcom, przydzielił owe ziemie, które obaj zagarnęli, żadnej mu nie dając, i mówił, że czując się skrzywdzonym, uważa za słuszne rabować i zabierać wszystko, co się da na morzu.

Kiedy wieść o tym doszła do biskupa Burgos, mówią, że uradował się, iż przypadło i zostało zrabowane wszystko złoto, i miał powiedzieć: „Tak się skończyły sprawy tego zdrajcy Korteza!” I dodał jeszcze wiele bardzo brzydkich słów.

Ledwie dowiedzieliśmy się w Nowej Hiszpanii o stracie złota i bogactw ze skarbcza, o uwięzieniu Alonsa de Avila, zmartwienie było wielkie. Ale Kortez z wielką rzutkością, postarał się, aby zebrać i zgromadzić, ile tylko zdołał, złota, by wysłać to Majestatowi. Transport ten nazwany został "Fénix".

42

Wyprawy konkwistadorów

Gonzalo de Sandoval poprowadził wyprawę na miasto Tustepeque, dotarł do rzeki Guazacualco i przekroczył ją. Zdobywał, zmuszał do pokoju i kolonizował coraz to nowe prowincje i plemiona, wyzyskując spory i rywalizację między nimi, walcząc z przyrodą, przekraczając dzikie jary, gdzie przedzierać się trzeba było pojedynczo, cierpiąc wiele z powodu upalnego i wilgotnego klimatu, odkrywając rzeki o mule złotodajnym. Rozdzielał owe prowincje i osiedla pomiędzy towarzyszy broni, a były to Zintla, Guazacualco, Guazpaltepeque, Tepeaca, Chinantecas, a po drugiej stronie rzeki Guazacualco były ziemie Copilco, Zimatan, Tabasco, góry Cachuli i wiele innych.

Kiedy Sandoval był zajęty zakładaniem miasta Guazacualco i wzywał inne prowincje do pokoju, nadeszły listy, że na rzekę Ayagualulco, o piętnaście mil dalej, wpłynęła doña Catalina Juárez la Marcaida, taki przydomek miała żona Korteza, i że towarzyszy jej brat, Juan Juárez, oraz inne zamężne białogłowy. Kiedy Sandoval dowiedział się o tym, udaliśmy się z nim oraz z wszystkimi prawie oficerami i żołnierzami, aby ich powitać. Przypominam sobie, że wówczas lał taki deszcz, że drogi były niemożliwe do przebycia i nie mogliśmy przekraczać rzek ani potoków, tak bowiem wezbrały, że aż wystąpiły z brzegów. Dał wiatr północny i z powodu złej pogody, aby nie ulec rozbiciu, statek ów zawinął do Ayagualulco. Doña Catalina Juárez la Marcaida i całe jej towarzystwo bardzo uradowali się nami, zawiedliśmy zaraz wszystkie te damy do naszego miasta Guazacualco i Sandoval natychmiast uwiadomił Korteza o ich przybyciu i wyprawił je w drogę do Meksyku. Towarzyszyli im Sandoval i Briones, i Francisco de Lugo oraz inni szlachcice. Kiedy się Kortez o tym dowie-

dział, mówią, że zatroskał się wielce, ale tego nie okazał. We wszystkich miejscowościach oddawano tym damom honory, aż dojechały do Meksyku, w tym mieście odbyły się igrzyska i karuzele na ich cześć, ale w trzy miesiące po ich przyjeździe usłyszeliśmy, że pewnej nocy znaleziono doń Catalinę zmarłą na atak astmy. Poprzedniego dnia był bankiet trwający do nocy i bardzo wielka feta, a ponieważ nic bliższego o tym nie wiem, nie zajmujemy się tą delikatną sprawą. Inne osoby wypowiedzą się jaśniej i otwarciej w skardze, jaka w tej sprawie została wniesiona do Trybunału Królewskiego w Meksyku.

Cristóbal de Olid powrócił z Michoacanu bogaty, pozostawiwszy prowincję uspokojoną. Zdawało się Kortezowi, że ma dość silną rękę, aby zabezpieczyć i uspokoić dwie prowincje, Zacatulę i Colimę. Ledwie jednak Cristóbal de Olid zbliżył się do Zacatuli, tubylcy urządzili zasadzkę w trudnym przejściu i napadli jego żołnierzy, raniąc i zabijając wielu, mimo to pokonał ich. Zwyczajna to była kolej rzeczy, że we wszystkich prowincjach i miastach kolonizowanych Indianie zrazu oddawali im władzę, ale ledwie zażądano daniny, podnosili bunt i zabijali, ile tylko mogli, Hiszpanów. Ledwie tedy Sandoval udał się do Meksyku z panią Cataliną Juárez, zbuntowały się prawie wszystkie prowincje. Z wielkim trudem przeprowadziliśmy pacyfikację, a pierwszą, która powstała, była prowincja Xaltepeque, położona wśród wysokich i dzikich gór i zamieszkała przez Zapoteków. Potem powstały Zimatán i Copilco, leżące wśród wielkich skał i trzęsawisk, oraz inne prowincje, i musieliśmy je z wielkim trudem przywozić do porządku.

*

Kortez zawsze wysoko mierzył, miał wygórowaną ambicję — we wszystkim chciał być podobny Aleksandrowi Macedońskiemu. Z pomocą świetnych dowódców i wspaniałych żołnierzy, jakich zawsze posiadał, skolonizował był już i zaludnił wielkie miasto Meksyk i Guaxakę, i Zacatulę, i Colime, i Vera Cruz, i Panuco, i Guazacualco, kiedy dowiedział się, że w prowincji Gwatemala żyją dzielne i liczne plemiona, i znajdują się tam kopalnie. Wezwał ową prowincję do poddania, ale odpowiedź była odmowna, postanowił tedy wysłać na jej podbój Pedra de Alvarado. Wyruszył więc Alvarado z trzystu żołnierzami, stu dwudziestu muszkieterami i kusznikami, z trzydziestu pięciu konnymi, czterema armatami, z około dwustu Tlaxcalczykami i Cholulańczykami oraz stu Meksykanami, którzy szli w odwodzie. W czasie tych wypraw wiele plemion zbuntowanych uznało zwierzchność Jego Cesarskiej Mości, ale potem powstawały znowu, popieczętowano wtedy licznych niewolników i Indianki, wybrano kwintę królewską, a resztę łupu rozdzielono pomiędzy żołnierzy. Następnie Alva-

rado udał się do miasta Gwatemali, gdzie został przyjęty i ugoszczony. Tam przychodzili doń z prośbą o pokój kacykowie wszystkich miejscowości pogranicznych oraz z wybrzeża południowego. Pedro de Alvarado w czasie tej wyprawy wiele czynił szkody i brał niewolników, a byłoby lepiej, gdyby postępował zgodnie ze sprawiedliwością — to co robił było złe i niezgodne z rozkazami Jego Cesarskiej Mości. Nie brałem udziału w tej rozprawie.

43

Jak Kortez wysłał wyprawę pod wodzą Cristobala de Olid na pacyfikację i podbój prowincji Hibueras i Honduras

Kortez dowiedział się, że istnieją bogate ziemie i kopalnie w prowincjach Hibueras i Honduras, a nawet wmawiali w niego różni piloci, którzy bywali w tamtych stronach albo w pobliżu, że zastali tam Indian łowiących w morzu za pomocą sieci, których grzęzły były ze złota zmieszanego z miedzią, twierdzili też, że wedle nich istniało tam wąskie przejście łączące wybrzeże północne z południowym. Wedle tego, cośmy zrozumieli, Król Jegomość upoważnił Korteza i polecił mu listownie czuwać, aby podczas naszych wypraw dowiadywać się z wielką usilnością i staraniem o przesmyk czy cieśninę, która prowadzić miała do kraju korzeni. Czy to w poszukiwaniu złota, czy owego przejścia, Kortez postanowił wysłać wyprawę pod wodzą Cristobala de Olid. Był to człowiek przez niego urobiony i Kortez był pewien, że zostanie mu wierny i spełni jego rozkazy. A ponieważ lądem tak długa podróż była bardzo niewłaściwa, dla trudów i niewygód, postanowił wysłać go morzem. Dał mu pięć okrętów i jedną brygantynę, doskonale uzbrojoną, z wielkim zapasem prochu, zaopatrzoną w żywność, i przydzielił trzystu siedemdziesięciu żołnierzy, w tym stu kuszników i muszkietierów oraz dwudziestu dwu konnych.

Pomiędzy tymi żołnierzami było pięciu konkwistadorów z pierwszej wyprawy Korteza, którzy dobrze służyli Jego Cesarskiej Mości we wszystkich podbojach i zasłużyli na odpoczynek w domu. Mówię o tym, bo na nic zdało się powiedzieć Kortezowi: „Panie, pozwólcie mi odpocząć, jestem już zmęczony służbą”. On zawsze zmuszał nas iść, gdzie rozkaże, po woli czy po niewoli. Cristóbal de Olid zabrał ze sobą niejakiego żołnierza nazwiskiem Briones, pochodzącego z Salamanki, który służył jako dowódca brygantyn. Był to mąż bardzo gwałtowny i wróg Korteza, zabrał też wielu żołnierzy nieco niechętnych Kortezowi, ponieważ nie dał im ani dostatecznej części łupu, ani odpowiedniej liczby Indian. Wedle instrukcji Korteza mieli sięść na okręt w porcie Villa Rica i ruszyć w kierunku Hawany, tam mieli spotkać się z dawnym żołnierzem Korteza Alonsem de Contreras, który zabrał sześć tysięcy pesos na zakup koni, chleba manio-

kowego, wieprzy, słoniny oraz innych rzeczy potrzebnych na wyprawę. Korteż wysłał go przodem, aby mieszkańcy Hawany nie podnieśli ceny koni oraz innych zapasów, widząc gotującą się wyprawę. Poleciał Cristóbalowi de Olid zabrać z Hawany wszystkie zakupione konie i bez zwłoki skierować się na Hibueras. Żegluga była łatwa i niedaleka. Natychmiast po wylądowaniu, nie zabijając Indian ani nie wdając się w walkę, mieli starać się założyć miasto w jakimś dobrym porcie i łagodnością przywieść ową prowincję do zawarcia pokoju, mieli zająć się poszukiwaniem srebra i złota, a także starać się dowiedzieć, czy istnieje jakiś przesmyk i jakiś port na wybrzeżu południowym, do którego dostać by się można. Dodał mu dwóch księży, z których jeden znał język meksykański, i zobowiązał ich, aby co rychlej nauczyli Indian tajemnic naszej świętej wiary, nie pozwalali na sodomie i krwawe ofiary, ale łagodnie i z wolna odводzili ich od tego, kazał też rozbić wszystkie klatki drewniane — w których trzymają Indian czy Indianki zamkniętych na utuczenie, aby ich zjeść i poświęcić na ofiarę — i nieszczęsnych uwięzionych wypuścić. Poleciał na wszelkich miejscach stawiać krzyże. Dał im również wiele obrazów Najświętszej Panny Maryi, aby umieszczali je w osiedlach.

Wreszcie przemówił w te słowa: „Bracie Cristobalu de Olid, tak jak widziałeś, że postępowałeś w Nowej Hiszpanii, tak staraj się tam postępować”.

Po uściskach i czułych pożegnaniach Cristóbal de Olid z wielkim przywiązaniem i spokojem opuścił Korteza i całą rodzinę i udał się do Villa Rica, gdzie już wojsko jego stało w pogotowiu. Przy pogodzie przybył do Hawany, zastał konie oraz inne zapasy już zakupione, a także pięciu żołnierzy, którzy brali udział w wyprawie na Panuco. Owi żołnierze, wszyscy szlachetnego rodu, radzili Cristóbalowi de Olid, że jako zgodnie z famą ziemia, cel ich wyprawy, jest bogata, on zaś wie dzie armię dobrą i doskonale zaopatrzoną, liczne konie i żołnierzy, niechaj przeto zbuntuje się przeciw Kortezowi i przestanie go uważać za zwierzchnika, niechaj w żadnej sprawie nie odnosi się do niego. Briones nieraz mu to potajemnie doradzał. Płynęli razem na kapitańskim statku i ułożyli spisek, zaraz też o tym powiadomili gubernatora owej wyspy, Diega Velazqueza, śmiertelnego wroga Korteza. Diego Velazquez zjawił się osobiście w miejscu, gdzie stała flota, i umówili się, że Cristóbal de Olid zajmie owe ziemie Hibueras i Honduras dla Majestatu, a w jego imieniu dla Cristobala de Olid, zaś Diego Velazquez zaopatrywać go będzie wedle potrzeby i powiadomi Jego Królewską Mość, aby mu oddał gubernatorstwo.

Cristóbal de Olid — gdybyż był tak mądry i rozważny, jak był dzielny i odważny, zarówno na koniu jak pieszo! — nie był stworzony do wydawania rozkazów, tylko do otrzymywania ich. Miał lat około trzydziestu sześciu, był wysokiego wzrostu, dobrze zbudowany, szeroki w ramionach, wąski w pasie, nieco czerwony na twarzy. Był zrazu w Meksyku wiernym

służką Korteza, ale ambicja, aby rozkazywać, a nie słuchać rozkazów, oślepiła go, a także fakt, że jako młody chłopiec był wychowywany w domu Diega Velazqueza, był tłumaczem na wyspie Kubie i czuł dla niego wdzięczność za chleb, jaki w jego domu pożywał. Zapomniał, że więcej przecie zawdzięczał Kortezowi niż Velazquezowi.

Do wyprawy przyłączyło się wielu mieszkańców Kuby, zwłaszcza tych, którzy mu doradzali bunt. Nie miał już nic do roboty na wyspie, okręty rozwinęły więc żagle i przy pogodzie wylądował o piętnaście mil przed Puerto de Caballos, w pewnej jakby zatoce. Był to dzień 1 maja i dlatego miasto, które zaraz zostało wytyczone, otrzymało nazwę Triunfo de la Cruz. Zamianował burmistrza i ławników spośród żołnierzy, których mu Korteż w Meksyku jeszcze polecił honorować i obdarzyć urzędem, i objął w posiadanie tę ziemię dla Króla Jegomości, a w jego imieniu dla Hernanda Korteza. W wielu więc sprawach postąpił jak należało, a wszystko to, aby przyjaciele Korteza nie spostrzegli się, że podniósł bunt, i aby usiłować zjednać ich sobie tymczasem, zanim się dowiedzą. Nie wiedział także, czy kraj jest bogaty i ma tak dobre kopalnie, jak mówiono, chciał więc trzymać dwie sroki za ogon, jeżeli znajdują się tam dobre kopalnie i kraj jest ludny, podnieście powstanie, jeżeli sprawa nie okaże się tak korzystna, powróci do Meksyku, do swojej żony i przydziałów, uniewinni się przed Kortezem, jakoby jego porozumiewanie się z Velazquezem miało na celu zapewnienie sobie dostarczania żywności i żołnierzy i nie dotyczyło go bynajmniej, o czym łącznie przekonać się, bowiem wszystkie ziemie brał w posiadanie dla Korteza. Takie były jego zamysły, wedle zdania licznych przyjaciół, którym się zwierzył. Zostawmy go na kolonizacji Triunfo de la Cruz, o czym Korteż nic nie wiedział przez całe osiem miesięcy. W tym czasie gdy myśmy kolonizowali Cuazacualco, Korteż wysłał kapitana Luisa Marina na pacyfikację prowincji Chiapa.

44

Jak w Kastylii nasi prokuratorowie odparli zarzuty biskupa Burgos i jak Korteż rządy sprawował

Już mówiłem w poprzednich rozdziałach, że don Juan Rodriguez de Fonseca, biskup Burgos i arcybiskup Rosany, taki był jego tytuł, rozwijał działalność w interesie Diega Velazqueza, a był przeciwny Kortezowi oraz nam wszystkim. Zezwolił Pan Nasz Jezus Chrystus, że w r. 1521 w Rzymie na stolicę apostolską wybrany został bardzo święty papież, Adrian de Louvain, który w tym czasie przebywał w Kastylii, w mieście Victoria, i nasi prokuratorowie, bawiący również w Hiszpanii, tam się udali ucałować mu stopy. Pewien możny pan niemiecki, nazwiskiem

De Lasao, będący w służbie Jego Królewskiej Mości, przybył tam, aby złożyć mu w imieniu naszego wielkiego pana gratulacje z powodu wyboru. Jego Świątobliwość oraz pan De Lasao znali bohaterskie i wielkie czyny jakich dokazał Korteż i my wszyscy przy zdobyciu Nowej Hiszpanii oraz wielkie i liczne usługi oddane przez nas Jego Królewskiej Mości, i jak nawróciliśmy wiele tysięcy pogan na naszą wiarę świętą. Zdaje się, że ów szlachcic niemiecki uprosił Ojca Świętego, aby osobiście zajął się targiem między Korteżem, a biskupem Burgos, i Ojciec Święty wziął to sobie do serca.

Oprócz skarg, jakie nasi prokuratorowie wnieśli przed Jego Świątobliwość Ojca Świętego, wpłynęło wiele skarg osób wybitnych na liczne krzywdy i niesprawiedliwości doznane od biskupa, bowiem kiedy Jego Królewska Mość przebywał we Flandrii, biskup był przewodniczącym Rady Indii, rządził wszechwładnie i był znienawidzony. Wedle tego, co do nas doszło, nasi prokuratorowie wystąpili z bardzo gorącym oskarżeniem i przyłączyli się do nich Diego de Ordaz, licencjat Francisco Nunez, krewniak Korteza, i Martin Korteż, ojciec Hernanda. Mieli oni poparcie innych szlachciców i możnych panów im życzliwych, a jednym z nich, który nam użyczył pomocy, był książę de Bejar. Wszyscy oskarżali z wielką śmiałością i pewnością biskupa, przedkładając mocne dowody.

Po pierwsze, że Diego Velazquez oddał biskupowi dużą wieś na wyspie Kubie, której Indianie wydobywali złoto z kopalni i wysyłali je biskupowi do Kastylji, podczas gdy Jego Królewskiej Mości żadnej wsi nie przydzielił. Po drugie, że kiedy z Franciskiem Hernandezem de Córdoba na nasz własny koszt zakupiliśmy okręty i wypłynęliśmy na odkrycie Nowej Hiszpanii, biskup, zdając sprawę królowi, doniósł, że Diego Velazquez odkrył te ziemie, co nie było prawdą, potem Diego Velazquez wysłał mu złoto wartości dwudziestu tysięcy pesos uzyskane za wymianę przez ludzi Juana de Grijalva, a on ani części z tego nie oddał królowi, zaś kiedy Korteż zdobywszy Nową Hiszpanię wysłał dla Jego Królewskiej Mości złoty księżyc i srebrne słońce, wiele ziarnistego złota z kopalń, klejnoty, złote płytki oraz inne przedmioty, jak również listy od siebie i od wszystkich żołnierzy do Króla Jegomości, w których zdawali oni sprawę z wypadków, i z tymi listami i darami wyprawił Franciska de Montejo oraz innego szlachcica, nazwiskiem Alonso Hernando Puerto Carrero, biskup nie chciał ich słuchać, zabrał wszystkie podarunki przeznaczone dla króla, obrzucił ich wyzwiskami, nazywając zdrajcami na usługach innego zdrajcy listy ukrył i napisał zupełnie inne, tamtym przeciwne, w których twierdził, że to Diego Velazquez owe dary przysłał, zaś połowę tych darów albo i większą część sobie zatrzymał. A kiedy Alonso Hernando Puerto Carrero jeden z naszych prokuratorów, prosił, by mu wolno było udać się do Flandrii, gdzie przebywał cesarz, biskup kazał go pojmać i ten zmarł w więzieniu. Także Izbie Handlowej w Sewilli zakazał dawania Korteżowi jakiej-

kolwiek pomocy, czy to w żołnierzach, czy broni, dalej, że bez porozumienia się z Jego Królewską Mością rozdawał urzędy ludziom nieudolnym i niegodnym, jak było z Cristobalem de Tapia, któremu obiecywał gubernatorstwo Nowej Hiszpanii, chciał bowiem wydać swą krewniaczkę donę Petronilę de Fonseca albo za Tapię, albo za Diega Velazqueza, i wiele jeszcze innych zarzutów dobrze udowodnionych przytaczali.

Kiedy to wszystko wyszło na jaw, biskup został wezwany do Saragossy, gdzie podówczas Jego Świątobliwość przebywał, aby się usprawiedliwić. Okazało się, że Kortez spełnił swoją powinność jako wierny poddany, a Jego Świątobliwość, który zanim został papieżem był wielkorządcą Kastylii, uznał Hernanda Korteza gubernatorem Nowej Hiszpanii i dla tamtejszych kościołów oraz szpitali przyznane zostały liczne odpusty. Jego Cesarska Mość, który powrócił z Flandrii i przebywał w Kastylii, potwierdził zlecenia Ojca Świętego i oddał gubernatorstwo Nowej Hiszpanii Kortezowi. Diego Velazquez miał uzyskać zwrot kosztów wyłożonych na wyprawę, ale rozkazano mu zrzec się gubernatorstwa Kuby.

*

Tymczasem do Kastylii przybył Panfilo de Narvaez, aby wraz z Cristobalem de Tapia wystąpić ze skargami na Korteza wobec Majestatu. Wyszynęli zarzuty, że Diego Velazquez trzykrotnie wysłał wyprawy na odkrycie i kolonizację Nowej Hiszpanii, że na czele wyprawy postawił Hernanda Korteza, ten zaś zbuntował się i nie odnosił się do niego z niczym, że Diego Velazquez wysłał Panfila de Narvaez, aby mu oddać gubernatorstwo Nowej Hiszpanii, a Kortez słuchać nie chciał, ale wystąpił zbrojnie i pokonał Narvaeza, zabił mu chorążego i innych oficerów, wybił mu oko i spalił całe jego mienie, wreszcie pojmał jego samego, a także jego towarzyszy. Ponadto, kiedy biskup Burgos w imieniu Jego Cesarskiej Mości wyznaczył Cristobala de Tapia na gubernatora owych ziem, również nie usłuchał, tylko przemocą zmusił go do odpłynięcia z powrotem.

Oskarżali go, że od Indian wszystkich ziem Nowej Hiszpanii w imieniu Jego Królewskiej Mości żądał mnóstwa złota, złoto zabrał, ukrył i zachował dla siebie, oskarżali go, że wbrew wszystkim żołnierzom podejmował kwintę, jakoby król, przy wszystkich działach, jakie miały miejsce, że kazał przypiekać stopy Guatemuzowi oraz innym kacykom, aby wydali złoto, oskarżali go także o śmierć żony Cataliny Juárez la Marcaida, oskarżali go dalej, że nie wydzielał żołnierzom ich części złota, ale wszystko zachowywał dla siebie, że budował pałace i domy tak wspaniałe i wielkie, jak duża wieś, że kazał pracować przy nich wszystkim Indianom z okolic Meksyku, kazał im przyciągać wielkie cyprysy i głązy z dalekich ziem; oskarżali go, że zadał truciznę Franciskowi Garayowi, aby zabrać jego

ludzi i okręty, i przedstawiali wiele innych skarg i oskarżeń, a było ich tyle, że Jego Cesarska Mość oburzył się słysząc o tych nieprawościach i uwierzył, że to prawda była.

Cesarz powiedział, że odda te wszystkie sprawy sprawiedliwości, aby rozsądzone były, i zaraz zwołał członków swej Królewskiej Rady i polecił zbadać dokładnie skargi i zatargi między Kortezem a Diegiem Velazquezem i wydać wyrok sprawiedliwy, nie kierując się względami na osoby, nie sprzyjając żadnej stronie, mając jedynie sprawiedliwość na względzie. Na te wszystkie zarzuty odpowiedzieli za Korteza jego prokuratorowie. Na zarzut, że Diego Velazquez pierwszy wysłał wyprawę na odkrycie Nowej Hiszpanii i wydał tyle pieniędzy w złocie, oświadczyli, że nie tak było, jak mówili, gdyż pierwszymi odkrywcami byli Francisco Hernández de Córdoba ze stu dziesięciu żołnierzami, na koszt własny, zaś Diego Velazquez godzien jest surowej kary, bowiem rozkazał Franciskowi Hernandezowi i jego towarzyszących chwycić Indian przemocą, aby ich zamieniać w niewolników. Podobnie, kiedy wysłał swego krewniaka de Grijalwę nie polecił mu kolonizować, a tylko obłowić się, kapitanowie okrętów, a nie Diego Velazquez, zebrali dwadzieścia jeden tysięcy pesos, zaś Diego Velazquez wysłał pieniądze biskupowi Burgos, aby zyskać jego poparcie a nic nie wydzielił z tego dla Jego Cesarskiej Mości, ponadto przydzielił temuż biskupowi Indian na wyspie Kubie, którzy mu dobywali złoto, zaś Królowi Jegomości nie przeznaczył żadnej wioski, a wszak jemu bardziej jest powinny niż biskupowi. Również mówili, że kiedy wysłał Hernanda Korteza znowu na wyprawę, stało się to z łaski Boga i na szczęście dla samego cesarza, bowiem pewne jest, że gdyby był wysłał innego wodza, ten zostałby pokonany przez chmary wojowników, którzy przeciw niemu wystąpili, zresztą Diego Velazquez wysłał go nie na kolonizowanie, tylko za łupem, a jeżeli Kortez rozpoczął kolonizować, stało się to na żądanie towarzyszy, on zaś zgodził się na to, widząc, że odda tym przysługę Bogu i Majestatowi. Pewne jest, że kiedy wysłał sprawozdanie do Jego Cesarskiej Mości i dołączył wszystko złoto, jakie udało mu się uzyskać i dar w postaci złotego księżycy i srebrnego słońca, i wiele ziarnistego złota prosto z kopalni, i znaczną ilość klejnotów i kosztowności, wysyłając to przez naszych prokuratorów — Franciska de Montejo i Alonsa Hernandeza Puerto Carrero, biskup przemilczał nasze zasługi, nie odesłał listów naszych do cesarza, tylko inne, napisane wedle swojej chęci, zatrzymał większą część złota i przekręcał wszystko, jak sobie życzył, aby cesarz był poinformowany, a kiedy nasi prokuratorowie chcieli udać się do Flandrii, do Jego Cesarskiej Mości, jednego z nich uwięził, a był to Alonso Hernández Puerto Carrero, który zmarł w tym więzieniu. Ten sam biskup polecił Izbie Handlowej w Sewilli, aby żadnej pomocy nie użyczała Kortezowi, ani w broni, ani w żołnierzach, ale we wszystkim polecił mu przeszkadzać i otwarcie nazywał nas zdrajcami na usługach

drugiego zdrajcy, a wszystko to czynił dlatego, że układał małżeństwo doni Petronili de Fonseca, swej bratanicy czy córki, z Diegiem Velazquezem albo z Tapią, któremu przyobiecał gubernatorstwo Meksyku. Na dowód wszystkiego przedstawili kopie listu pisanego przez nas do Króla Jegomości oraz inne dowody. Zwolennicy Diega Velazqueza nie zaprzeczyli żadnej z tych rzeczy, bowiem nie byli w stanie.

Co zaś do Panfila de Narvaez, sam Diego Velazquez winien jest surowej kary, wysłał bowiem tę wyprawę bez pozwolenia Jego Cesarskiej Mości. A kiedy wysłał prokuratorów swoich do Kastylii, bynajmniej nie odniósł się do króla, jak był powinien, ale jedynie do biskupa Burgos. Królewski Trybunał w Santo Domingo i bracia hieronimicy ostrzegali Diega Velazqueza, aby pod surowymi karami nie wysyłał tej wyprawy nie uwiadomiwszy o tym króla, inaczej źle się przysłuży sprawie bożej i cesarskiej, wnosząc zatargi do Nowej Hiszpanii, w czasie kiedy Kortez i my, jego towarzysze, trudziliśmy się nad podbojem i nawracaniem na świętą wiarę katolicką tubylców. Nawet — aby tę wyprawę powstrzymać — wysłali audytora tegoż Trybunału, licencjata Lucasa Vazqueza de Ayllon, lecz zamiast go wysłuchać i zastosować się do królewskich dekretów, jakie wiózł, uwięzili go i odesłali okrętem bez żadnego względu. Działo się to wszystko w obecności Narvaeza, który w ten sposób dopuścił się zbrodni *legis majestatis*, za którą jest kara śmierci.

I mówili dalej nasi prokuratorowie, że jeśli zarzuca się Kortezowi, iż nie usłuchał królewskich dekretów, przywiezionych przez Narvaeza, lecz podniósł oręż przeciw niemu, zaznaczają, że pierwszą rzeczą, jaką uczynił Narvaez przybywszy do Nowej Hiszpanii, było wysłać posłów do wielkiego kacyka Montezumy, uwięzionego przez Korteza, powiadamiając go, że przybyli, aby go uwolnić i śmiercią ukarać wszystkich nas, którzy trzymaliśmy z Kortezem. W ten sposób wzburzył on cały kraj, już uspokojony, prócz tego nie chciał odpowiadać na listy Korteza, ale nazywał go zdrajcą i głosił wojnę na śmierć i życie. Kortez postanowił tedy wyprawić się przeciw niemu.

Na zarzut, że kiedy do Panuco przybył jako gubernator owej prowincji Francisco de Garay z dekretami Króla Jegomości, Kortez tak mu zbuntował żołnierzy, że Garay, widząc się pokonanym i zgubionym, pozbawionym pułków i żołnierzy, poddał się Kortezowi, który go umieścił w swoim domu, a po ośmiu dniach wydał dlań śniadanie, po którym Garay zmarł z powodu jakoby trucizny — odpowiedzieli, że sprawa miała się inaczej. Kortez nie potrzebował podburzać żołnierzy Garaya, lecz Garay nie był wojownikiem i nie dawał sobie rady z żołnierzami. Żołnierze ci po wylądowaniu widzieli tylko ziemie nieurodzajne, tylko wielkie rzeki, grzęzawiska, komary i nietoperze, a dowiedziawszy się o niesłychanym dobrobycie Meksyku, o jego bogactwach, o szczodrobliwości Korteza, opuścili Garaya i wyprawili się do Korteza, idąc przez osiedla owej prowincji, ograbiali

tubylców, zabierali im żony i córki, przeto Indianie buntowali się i zabijali żołnierzy. Nie Korteza zabrał mu okręty, ale zatoneły, kiedy oficerowie Korteza wysłani do Garaya, aby zapoznać się z dekrétami królewskimi, spotkali go pozbawionego wojska i okrętów, Korteza kazał sprowadzić go do Meksyku, ugościł go i układali małżeństwo między swymi dziećmi chciał mu też pomóc przy kolonizowaniu ziem de Palmas. A jeśli Bogu podobano się zabrać go ze świata, nie ma w tym winy Korteza, pogrzeb odbył się z wielkimi honorami, włożono żałobę, a medycy, którzy go leczyli, zaprzysięgli, że zmarł na bóle w boku, co jest jedyną prawdą.

Co zaś tyczy się tego, że Korteza pobierał kwintę, jakoby król, odpowiedzieli, że kiedy obierano go wodzem naczelnym i najwyższym sędzią, dopóki Jego Cesarska Mość nie zarządzi inaczej — żołnierze przyrzekli, że dadzą mu piątą część tego, co pozostanie po odciągnięciu kwinty królewskiej. A pobierał ją, bowiem stracił całe swoje mienie w służbie Jego Cesarskiej Mości, jak to na przykład było w prowincji Panuco, gdzie z własnego majątku wydał ponad siedemdziesiąt tysięcy złotych pesos Królowi Jegomości wysłał dary w złocie ze swojej kwinty, na co złożyli dowody, którym nie zaprzeczyli prokuratorzy Diega Velazqueza. A jeśli mówią, jakoby Korteza zabrał żołnierzom ich przydział złota, odpowiedzieli, że otrzymali wszyscy stosownie do rozrachowania, bowiem w Meksyku złota znaleziono niewiele, wszystko zostało zrabowane przez Indian z Tlaxcali i Tezcuco.

Co zaś się tyczy śmierci Cataliny Juárez la Marcaida, żony Korteza, protestują przeciw oskarżeniom, chorowała bowiem na astmę i nad rankiem zmarła. A jeżeli zarzucają, że Korteza kazał przypiekać stopy gorącą oliwą Guatemuzowi i innym kacykom, aby wskazali, gdzie ukryli złoto, odpowiedzieli, że uczynili to urzędnicy królewscy wbrew woli Korteza. Co się tyczy budowy pałaców, prawdą jest, że domy te są bardzo wspaniałe, bowiem Korteza budował je w imieniu Majestatu jako rezydencję cesarską, ale drzewa cyprysowe rosną tuż pod miastem i dostawiano je wodą, a kamieni ze zburzonych świątyń było tyle, że nie było potrzeby ich sprowadzać. Podobnie odparowali wszystkie inne zarzuty.

Przesłuchania obu stron trwały pięć dni, po czym sędziowie przedłożyli wszystko Jego Cesarskiej Mości i po naradzie wydano wyrok. Przede wszystkim uznano Korteza za wiernego i dobrego sługę Majestatu, podobnie jak nas wszystkich, podkreślono naszą wielką wierność, sławiono i wynoszono pod obłoki wielkie bitwy i walki z Indianami, nie zapomniano podkreślić, że choć było nas tak mało, pokonałiśmy Narvaeza; nakazano milczenie Diegowi Velazquezowi w sprawie dotyczącej rządów w Nowej Hiszpanii, a jeżeli tyle stracił na wyprawach, niech się upomni u Korteza, uroczysto ogłoszono Korteza gubernatorem Nowej Hiszpanii, wedle polecenia Jego Świątobliwości Papieża, w imieniu Jego Cesarskiej Mości zatwierdzono podział prowincji dokonany przez Korteza i udzielono

mu uprawnień do dalszych przydziałów ziemi; uznano za dobre wszystko, czego dokonał, bowiem jest jasne, że była to służba boża i królewska.

*

Zdawało się mnie i innym konkwistadorom spośród najdawniejszych, doświadczonym i roztropnym, że Korteż powinien był wówczas przypomnieć sobie dzień, kiedy wypłynął z Kuby, zwrócić uwagę na wszystkie trudy, w jakich się znalazł, kto popierał go przy wyborze na naczelnego wodza i najwyższego sędziego Nowej Hiszpanii, a także kto byli ci, którzy zawsze stali przy jego boku we wszystkich bitwach, tak w Tabasco, jak w Zingapancindze, w trzech bitwach pod Tlaxcalą, w Choluli, kiedy to stały gotowe kadzie z papryką, aby nas ugotować. Podobnie powinien był wspomnieć, którzy stali przy nim, kiedy sześciu czy siedmiu żołnierzy jemu przeciwnych żądało, aby zawrócił do Villa Rica i nie szedł do Meksyku, gdzie taka moc wojowników i takie warunki w mieście, kto wraz z nim wkroczył do Meksyku i brał udział w pojmaniu Montezumy, a kiedy przybył Panfilo de Narvaez, jacy żołnierze pomogli mu go pojmać i pokonać kto wraz z nim powrócił do Meksyku na pomoc Pedrowi de Alvarado i brał udział w owych starciach przy mostach i wielkich bitwach — zanim zdołaliśmy wycofać się z Meksyku — gdzie na tysiąc trzystu żołnierzy poległo ośmiuset, a zostało ledwie czterystu czterdziestu, i to ciężko rannych, powinien był pamiętać ową straszną bitwę pod Otumbą i kto pomógł mu wtedy zwyciężyć i ująć strasznego niebezpieczeństwa, kto mu pomógł podbić Tepeakę i Cachulę wraz z podległymi im osadami, kto go podtrzymywał podczas dziewięćdziesięciu trzech dni oblężenia Meksyku i walczył dzień i noc, odnosząc rany, cierpiąc udreki aż do pojmania Guatemuza, kto wspomógł go, kiedy przybył ów Cristóbal de Tapia, aby objąć gubernatorstwo, poza tym, kto z nas, żołnierzy, pisał po trzykroć do Jego Królewskiej Mości, wysławiając jego wielkie i liczne zasługi, dla których jest godzien wielkich łask i mianowania go gubernatorem Nowej Hiszpanii.

Nie chcę tu przypominać już innych usług oddanych Korteżowi, ale powiem, że obca bieda nie ciągnie za włos Korteż troszczył się jedynie o siebie, a nam powodziło się jak kulawemu mułowi, pod gubernatorami, którzy robili co chcieli, kiedy my, prawdziwi konkwistadorowie, nie mieliśmy co jeść. Jakiż będzie los naszych dzieci? A co czynił Korteż, komu rozdawał przydziały? A więc najpierw Franciskowi de Las Casas i Rodrygowi de Paz, rachmistrzowi i kontrolerowi, którzy świeżo przybyli z Kastylii, dalej swoim krewniakom i krewnym swojej zmarłej żony, aby go nie oskarżali o morderstwo, a także wielu, wielu innym, byle przybywali z jego ojczystego Medellinu, służalcem wielkich panów, którzy umieli mu opowiadać historie, które mu się podobały, rozdawał co naj-

lepsze ziemie Nowej Hiszpanii. Nie mówię, że nie należało im dawać — było z czego! — ale wedle nakazu Króla Jegomości należało dać pierwszeństwo żołnierzom, którzy pomogli mu zdobyć to, co posiadał, stać się tym czym był, i zyskać taką władzę. Ale stało się. Nie chcę już o tym mówić.

45

Jak Kortez, dowiedziawszy się, że Cristóbal de Olid zbuntował się i zmówił z Diegiem Velazquezem, gubernatorem Kuby, wysłał przeciw niemu oficera nazwiskiem Francisco de Las Casas, a potem sam się wyprawił na Honduras

Kiedy Kortez dowiedział się, że Cristóbal de Olid zbuntował się z całym wojskiem, i że zyskał poparcie Diega Velazqueza, gubernatora Kuby, z troską się wielce, że był odważny i w takich sprawach kpić z siebie nie dozwalał, zdawszy w liście sprawę z tych wypadków Jego Królewskiej Mości, postanowił wysłać przeciw Cristobalowi de Olid szlachcica Franciska de Las Casas, człowieka godnego zaufania, niedawno przybyłego z Kastylii do Meksyku. Francisko de Las Casas z dostatecznymi siłami i z pełnomocnictwami, aby pojmać Cristobala de Olid, wyszedł z portu Vera Cruz na okrętach doskonale zaopatrzonych, bardzo szybkich, pod flagami z herbem królewskim i przy pogodzie dopłynął do zatoki zwanej El Triunfo de la Cruz.

Kiedy Cristóbal de Olid ujrzał owe okręty zakotwiczone w swoim porcie, kazał przygotować dwie karawele świetnie uzbrojone, aby mu nie pozwolić wylądować. Co widząc de Las Casas, człek bardzo mężny, kazał spuścić na morze łodzie doskonale zaopatrzone w kilka armat, w lekkie falkonetki, muszkiety i kusze, aby za wszelką cenę dobić do brzegu. Stoczono zacieklą bitwę, Las Casas zatopił jedną karawelę przeciwnika i zabił czterech żołnierzy. Cristóbal de Olid, nie mając przy sobie wszystkich żołnierzy, których wysłał był na dalsze podboje, postanowił prosić o pokój. Jednak de Las Casas wolał spędzić tę noc na morzu, na swych okrętach — miał zamiar wylądować w innej, pobliskiej zatoce. Ale los, szczęśliwy dla Cristobala de Olid, a nieszczęśliwy dla niego, chciał, że tej nocy dał silny wiatr północny, który popędził na ląd okręty Franciska de Las Casas, rozbił je i całe mienie przepadło. Trzydziestu żołnierzy, utonęło, a wszyscy inni zostali pojmani, dwa dni trzymano ich bez jedzenia, przemokłych w słonej wodzie, na domiar wówczas wielkie deszcze padały, byli wyczerpani i zziębnięci. Cristóbal de Olid radował się i triumfował, że pojmał Franciska de Las Casas, i kazał przysiąc pozostałym przy życiu żołnierzom, że będą mu pomagać przeciw Kortezowi, gdyby ten nadszedł

we własnej osobie w te krainy. W kilka dni potem wrócili jego oficerowie wysłani dla ujęcia Gila Gonzalesa de Avila, który przybył jako gubernator Golto Dulce i założył był tam miasto San Gil de Buena Vista Cristóbal de Olid; rad był bardzo wzięwszy dwóch oficerów do niewoli i zawiadomił o tym Diega Valazqueza. Tymczasem rozeszła się wieść, że Briones i żołnierze jego kompanii odmówili posłuszeństwa i pragną powrócić do Nowej Hiszpanii. Wieść okazała się prawdziwa. Wówczas Francisco de Las Casas i Gil Gonzales de Avila, choć w niewoli, orzekli, że czas jest sposobny, aby zgładzić Cristobala de Olid. Pozostawiono ich na wolności, bez kajdan, za nic ich bowiem miał Cristóbal, który uważał się za niezwykłego. Porozumieli się potajemnie z żołnierzami i przyjaciółmi Korteza, że przy okrzykach: „W imię króla i Korteza! Śmierć tyranowi!” zakłują go nożami.

Po czym Francisco de Las Casas na pół żartując, z uśmiechem rzekł do Cristobala de Olid: „Panie kapitanie, zwolnijcie mnie, wrócę do Nowej Hiszpanii zdać sprawę Kortezowi z mojej klęski. Na nic wam się zda trzymać mnie tu więźniem, przeszkadzać wam to będzie w waszych zdobyczach”.

Cristóbal de Olid odpowiedział, że tak właśnie jest dobrze i cieszy go, że ma przy sobie tak dzielnego męża. Wówczas Francisco de Las Casas odrzekł: „Miejcie się dobrze na baczości, bo tego lub owego dnia postaram się was zgładzić”.

To wszystko mówił na pół żartobliwie i z uśmiechem. Cristóbal de Olid nie zwrócił na jego słowa uwagi i uważał to za dowcip. Kiedy raz po obiedzie i zdjęciu obrusów siedział przy stole, a stolnicy i paziowie odeszli na obiad, przy nim zaś obecni byli stronnicy Korteza, powiadomieni o spisku Franciska de Las Casas i Gila Gonzalesa de Avila, każdy miał przy sobie nóż do nacinania gęsiich piór dobrze wyostrzony, bo noszenie wszelkiej broni było zakazane. Cristóbal beztróska rozmawiał o zdobyciu Meksyku i o szczęściu Korteza, gdy Francisco de Las Casas pochwycił go za brodę i uderzył go w grdykę nożem, wyostrzonym jak brzytwa. Równocześnie Gil Gonzales de Avila oraz inni żołnierze co rychlej zakłuli go sztychami, tak że nie mógł dać rady. Ale że był silny i mocny, udało mu się im wymknąć i jał krzyżeć: „Do mnie!” Ale wszyscy jego druhowie obiadowali i nieszczęście chciało, że nie przybieżeli dość szybko. Uciekł i skrył się w krzaku, mniemając, że jego ludzie przyjdą mu z pomocą. A kiedy nadbiegli w znacznej liczbie, Francisco de Las Casas krzyknął: „Do mnie, w imię króla i Korteza, przeciw temu tyranowi!” Dość już wycierpieliśmy jego okrucieństw!”

Kiedy usłyszeli imię Jego Królewskiej Mości i Korteza, stronnicy Cristobala zawahali się, a Las Casas zaraz kazał ich aresztować. Ogłosił też, że kto by wiedział, gdzie się schronił Cristóbal de Olid, a nie zdradził tego, umrze. Zaraz też odkryło się, gdzie się zataił i ujęto go. Wytoczono mu proces i z wyroku obu oficerów ścięto go na placu w Naco. Tak zginął

za bunt podjęty za poduszczeniem złych doradców, będąc mężem bardzo dzielnym, nie zważał na to, że Korteż mianował go oboźnym i dał mu liczne dobre przydziały Indian. Skoro Francisco de Las Casas i Gil Gonzales de Avila ujrzeli się wolnymi, połączyli swe siły i zgodnie objęli dowództwo. Postanowili udać się do Meksyku, aby o wszystkim powiadomić Korteza. Tymczasem ten o niczym nie wiedział, co zaszło.

W kilka miesięcy po odjeździe Franciska de Las Casas Korteż zaczął się niepokoić, że wyprawa się nie udała. Mówiono mu też, że kraj ten jest bogaty i ma kopalnie złota, on zaś był bardzo chciwy. Postanowił tedy udać się tam osobiście. Pozostawił Meksyk, dobrze zaopatrzony w artylerię oraz w fortyfikacje i arsenały, pod władzą dwóch gubernatorów skarbnika Alonsa de Estrada i rachmistrza Albornosa. Gdyby był wiedział, że ten ostatni pisał do Kastylji, do Króla Jegomości, oczerniając go, nie byłby mu zostawił takiej władzy. Poleciał też wszystkim urzędnikom królewskich dóbr pilnie baczyć, aby żaden bunt nie rozgorzał w Meksyku czy w innych prowincjach. Aby zaś pokój był pewniejszy, a na czele nie było głównych kacyków miasta, zabrał ze sobą władcę Meksyku, Guatemuza, a również władcę Tacuby oraz innych naczelników. Zabrał też donę Marinę jako tłumaczkę, bowiem Aguilar już nie żył, a także licznych konnych i oficerów z Meksyku, a między nimi Gonzala de Sandoval, Luisa Marina, jednego księdza i dwóch braci franciszkanów flamandzkich, aby po drodze kazania miewali, zabrał także medyka, chirurga, licznych paziów, dwóch sokolników, pięciu trębaczy i flectistów, jednego linoskoczka i drugiego sztukmistrza, który pokazywał kukły, jednego masztalerza, muły z trzema mulnikami oraz wielką trzodę wieprzy, z kacykami szły trzy tysiące Indian meksykańskich w pełnym uzbrojeniu, nie licząc innych, należących do służby kacyków.

Już mieli wyruszyć, kiedy nadszedł intendent Salazar i kontroler Chirinos, którzy mieli zostać w Meksyku, a byli zwolennikami Korteza, i zaklinali go aby nie opuszczał miasta, przedstawiając, że grozi to powstaniem w całej Nowej Hiszpanii, wiele w tej materii było gadania, ale nie zdołali przekonać Korteza. Wówczas intendent i kontroler postanowili towarzyszyć Kortezowi aż do Guazacualco, którądy wiodła droga. Kiedy wyruszyliśmy z Meksyku, we wszystkich miastach i wsiach, przez które przechodziliśmy, przyjmowano nas uroczyście i było na co patrzeć. W drodze intendent Gonzalo de Salazar i kontroler świadczyli wiele usług Kortezowi, a szczególnie intendent, który rozmawiając z Kortezem czapką przed nim ziemię zamiatał z wielkimi pokłonami i nieustannie namawiał, w słowach delikatnych, z wielką życzliwością, w przemowach bardzo uczonych, aby zawrócił do Meksyku, a nie puszczał się w tak uciążliwą i trudną drogę, wykazując wszelkie jej niedogodności. Niekiedy, aby mu się przypodobać, szedł tuż przy Kortezie drogą, śpiewając: „Ach, mój wuju, zawracajmy! Ach, mój wuju, zawracajmy! Dziś rano złą wróżbę

widziałem!" Zaś Korteż, śpiewając, odpowiadał mu: „Naprzód, mój siostrzanie! Naprzód, siostrzanie! Nie wierz wróżbom, będzie, co Bóg da! Naprzód, siostrzanie!"

Kiedy w Guazacualco dowiedzieliśmy się, że Korteż z tyłoma konnymi się zbliża, wyszliśmy o trzydzieści mil naprzeciw, aby go witać. Mówię o tym, aby ciekawi czytelnicy oraz inne osoby wiedzieli, jak szanowany był Korteż i jak się go obawiano — wszyscy czynili tylko to, co on chciał, czy to było złe, czy dobre. Z Guazaltepeque powróciliśmy do naszego miasta. Po drodze spotkaliśmy wielką rzekę i tu zaczęły się trudności, bowiem podczas przeprawy wywróciły się dwie łodzie, straciliśmy dużo srebra i szat, a Juan Jaramillo, mąż doni Mariny, stracił połowę swego mienia i nic nie można było wyratować, bo rzeka była pełna krokodyli.

Chcę rzec, że mieliśmy znaczną liczbę łodzi, których ponad trzysta stało powiązanych parami na rzece w pobliżu miasta. Urządziliśmy Korteżowi wielkie przyjęcie z łukami triumfalnymi, z potykaniem się maurów z chrześcijanami, umieściliśmy go, jak zdołaliśmy najgodniej, i pozostał tam sześć dni. A intendent nieustannie powtarzał, że należy zawrócić z drogi i rozważyć, komu pozostawił rządy. Wedle niego rachmistrz był to awanturник, człowiek nieszczerzy, a skarbnik się przechwalał, że jest synem króla katolickiego, mówił, że nie podobają mu się niektóre ich sprawy i potajemne konszachty, na jakich ich spotykał od czasu, jak uzyskali władzę, a nawet i przedtem. Jak słyszałem, Korteż już w drodze otrzymał listy z Meksyku, narzekające na rządy tych, których pozostawił. Wiedział o tym także intendent przez swoich przyjaciół i teraz wmawiał w Korteż, że on i kontroler potrafiliby lepiej rządzić. Mówił mu tyle słodkich słów i tak czule, że Korteż uległ i zdał pełnomocnictwa jednemu i drugiemu na objęcie rządów, w razie gdyby widzieli, że Estrada i Albornoż nie wywiązują się z obowiązków wobec Boga i Jego Królewskiej Mości. Te pełnomocnictwa były przyczyną wielu nieszczęść i zamieszek, które wybuchły w Meksyku.

*

Po odjeździe intendenta i kontrolera do Meksyku, Korteż napisał do Villa Rica, aby załadowano na dwa niewielkie okręty suchary kukurydziane — w tym czasie w Meksyku nie wypiekano jeszcze chleba zbożowego — sześć beczulek wina, oliwy, octu, słoninę, żelaziwo oraz inne zapasy. Rozkazał tym okrętom posuwać się wzdłuż wybrzeży północnych, on zaś je zawiadomi, gdzie mają przybić do brzegu. Kapitanem ich miał być majordomo Korteża Simón de Cuenca. Poleciał również wszystkim nam, zamieszkałym w Guazacualco, abyśmy mu towarzyszyli, z wyjątkiem chorych. Mówiłem już, że w owym mieście mieszkali najstarsi konkwistadorowie,

sami szlachcice, którzy brali udział w pierwszych podbojach Meksyku. W owym czasie powinniśmy byli już odpoczywać po wielkich trudach i postarać się o jakieś dobra i posiadłości, a oto on kazał nam znowu iść na wędrowną, przemierzać więcej niż pięćset mil przez kraje, gdzie czekały nas boje, i porzucić wszystko, co posiadaliśmy. Mieliśmy w tej tułaczce spędzić ponad dwa lata i trzy miesiące.

Już byliśmy wszyscy gotowi z bronią i końmi, bowiem nie śmieliśmy jemu odpowiedzieć nie! Nawet gdyby to ktoś wypowiedział, i tak zmuszony byłby iść. Było nas wszystkich, tych z Guazacualco i tych z Meksyku, dwustu pięćdziesięciu żołnierzy pieszych i stu trzydziestu konnych, prócz muszkieterów i kuszników, nie licząc innych żołnierzy świeżo z Kastylii przybyłych. Korteż powierzył mi dowództwo nad trzydziestu Hiszpanami i trzema tysiącami Meksykanów.

Opowiedzmy jednak o Kortezie, który opuścił Guazacualco udając się do Tonalii oddalonej o osiem mil, tam przeprawił się przez rzekę łodziami i doszedł do El Ayagualulco, tam znów czekała go przeprawa przez rzekę i po przejściu siedmiu mil dotarł do ujścia rzeki, która wpadała do morza. Tam kazał zbudować most długi na ćwierć mili, podziwu godna była sztuka, z jaką ten most przeciągnięto nad rzeką. Po przejściu tego mostu minął liczne wioski, zanim doszedł do innej rzeki, zwanej Mazapa, która płynie do Chiapy, a którą marynarze nazywają rzeką o dwu ujściach. Tam było wiele łodzi wiązanych po dwie. Po przebyciu innej rzeki mostem zrobionym z drzewa, minęliśmy znaczne miasto Copilco, gdzie zaczyna się prowincja zwana Chontalpa, bardzo zaludniona, pełna plantacji kakao, i bardzo spokojna. Po przejściu jeszcze jednej rzeki doszliśmy do Zaguatan. W owym czasie przybyli do nas kacykowie z Tabasco z pięćdziesięcioma łodziami ładownymi kukurydzą i żywnością. Kilku Indian ze wsi mnie nadanych, a które zowią się Teapa i Tecomajaca, przeciągnęło również łodzie z zapasami. Minęliśmy osady Tepetitan i Iztapę i zatrzymała nas bardzo wielka rzeka, gdzie spędziliśmy cztery dni, aby budować tratwy.

Tepetitan zastaliśmy wyludniony, a domy popalone, dowiedzieliśmy się, że kilka dni temu napadły tę osadę sąsiednie szczepy, zabierając wielu jeńców. Cała droga po drugiej stronie rzeki Chilapy była tak błotnista, że konie zapadały się po popręgi. Mnóstwo tam było olbrzymich ropuch. We wiosce Iztapa Indianie ze strachu przed nami uciekli na drugą stronę wezbranej rzeki. Odszukawszy ich przywieśliśmy kacyków i licznych Indian z kobietami i dziećmi. Pozostaliśmy tam trzy dni, była tam bowiem dobra trawa dla koni i dużo kukurydzy. Korteż wypytywał kacyków i kupców miejscowych o drogę, a nawet pokazywał im płótno z pity, przyniesione z Guazacualco, gdzie oznaczone były wszystkie miejscowości, przez które mieliśmy przechodzić aż do Gueyacali.

Powiedzieli nam, że na naszej drodze spotkamy liczne rzeki i bagna, i że do miejscowości Tamaztepeque przyjdzie nam przekroczyć trzy rzeki

i jedno bagno, i że czeka nas trzy dni drogi. Kortez prosił, aby kacykowie podjęli się budowy mostów i dostarczyli nam łodzi, ale nie spełnili tego. Zabraliśmy żywność na trzy dni, zawierzywszy im. Mówili tak, aby pozbyć się nas co prędzej z domów, bowiem nie trzy dni, ale siedem trzeba było maszerować i spotykaliśmy wciąż rzeki. Nie mając ani mostów, ani łodzi, musieliśmy zbijać mosty z bardzo grubych pni, aby mogły przejść konie. Wszyscy żołnierze i oficerowie ścinali i przycinali drzewa, a Meksykanie pomagali, ile mogli. Tak spędziliśmy znów trzy dni nie mając co jeść prócz zielsk i pewnych korzeni, zwanych w tamtym kraju *quequexque*, które parzyły nam usta i język.

Za owym bagnem nie było już żadnej drogi, trzeba było przedzierać się z mieczem w rękę. Tak przedzierając się przez dwa dni, znaleźliśmy się pewnego ranka tam, skąd wyszliśmy. Kortez, ujrawszy to, omal me pękł ze złości, zwłaszcza kiedy słyszał złe szemrania i narzekania na niego i na jego wyprawę o tak strasznym głodzie, i że on słucha jedynie swoich zachcianek nie myśląc o niczym innym. Lepiej było powrócić do Meksyku niżli zginąć tu wszystkim z głodu. Do tego jeszcze lasy były niezmiernie wysokie i gęste i rzadko tylko dostrzegaliśmy niebo. Nawet ci, którzy wspinali się na drzewa, aby cośkolwiek dojrzeć, nie widzieli nic, taka gęsta była ta puszcza. Dwaj przewodnicy nasi uciekli, a jeden, który pozostał, był tak nieudolny, że nie umiał nic powiedzieć o drodze ani o niczym innym. Ale jako Kortez był zawsze przytomny i dbały, zabrał był busołą i pilota i wedle planu na picie z Guazacualco, na którym były znaczony osiedla, kazał nam się kierować busołą i przerywać przez las ku wschodowi. Ale przyznał, że jeśli na drugi dzień nie dotrzemy do jakiegoś osiedla, nie wie, co pocniemy. Liczni byli nasi żołnierze, którzy pragnęli tylko powrócić do Nowej Hiszpanii. Jednak przedzieraliśmy się dalej przez las i zezwolił Bóg, że ujrzelśmy drzewa niedawno ścięte, a obok wąziutką ścieżynkę. Ja wraz z pilotem Pedrem Lopezem, którzy szliśmy przodem, wyrabując drogę wraz z innymi żołnierzami, wróciliśmy do Korteza powiedzieć, aby się radował, bo muszą tam być zagrody, i całe wojsko ucieszyło się bardzo.

Przed dojściem do wsi była rzeka i trzęsawisko, przez które przebrnęliśmy z trudem, i co prędzej weszliśmy do wsi tego samego dnia opuszczonej przez Indian. Znaleźliśmy tam dosyć żywności, kukurydzy, fasoli oraz innych jarzyn, a że szliśmy na pół umarli z głodu, nasyciliśmy się porządnie i nawet konie pokrzepiły się. W drodze pomarł linoskoczek i trzech inni Hiszpanie, ostatnio przybyli z Kastylii, nawet Indianie z Michoacan oraz Meksykanie marli, inni ulegali chorobie i zostawali po drodze w rozpacz. Ponieważ wieś była wyludniona, a my nie mieliśmy ani tłumacza, ani przewodnika, Kortez polecił naszym dwóm oddziałom pójść na poszukiwania przez lasy i zagrody. W pobliżu, w kilku łodziach na wielkiej rzece, znaleźli żołnierze mieszkańców, i słysząc dobre słowa i uprzejmości, zbli-

żyło się około trzydziestu z nich, prawie samych kacyków i kapłanów. Kortez przemówił do nich serdecznie przez donę Marinę, i przynieśli sporo kukurydzy i kur, i wskazali drogę do Ziguatpecad, osady odległej o siedemnaście mil.

Muszę nadmienić, że w tym wielkim głodzie, jaki cierpieliśmy tak my, Hiszpanie, jak Meksykanie, pewni kacykowie meksykańscy porwali podobno dwóch czy trzech Indian z wioski, które mijaliśmy, ukryli ich pomiędzy łubami, potem w drodze zabili ich, upiekli na kamieniach w wyżłobionych w ziemi piecach, jak to swego czasu czynili w Meksyku, i zjedli ich. Kiedy w końcu Kortez się o tym dowiedział, kazał owych kacyków przywołać i bardzo ostro im przyganił, grożąc, że jeśli raz jeszcze tak postąpią, ukarze ich. Jeden z braci franciszkanów kazał o sprawach bardzo świętych i zacnych, a po tym kazaniu, dla sprawiedliwości, Kortez rozkazał spalić jednego z Indian meksykańskich za karę, choć wiedział, że winnych było wielu, udał jednak, że o tym nie wie, i dla sprawiedliwości ukarał jednego.

Pomijam inne liczne trudy, jakie przechodziliśmy, wspomnę tylko, że trębacze, fleciści i piszczkowie, prowadzeni przez Korteza, którzy w Kastylii przyzwyczajeni byli do uczt, a trudów nie znali, chorowali z głodu i nie raczyli nas muzyką, z wyjątkiem jednego, ale nikt z żołnierzy nie chciał go słuchać, mówiąc, że jest to jakby wyły szakale i wilki, i wolelibyśmy dostać kukurydzy niż muzyki.

Zapytają pewnie niektóre osoby, dlaczego cierpiąc głód taki, nie jedliśmy wieprzy i trzody pędzonej dla Korteza, głód bowiem nie zna prawa, i chociażby były przeznaczone dla króla, w takim momencie powinien był Kortez rozdzielić je dla wszystkich. Odpowiem, że w tej sprawie jeden ze sług Korteza, nazwiskiem Guinea, człek obłudny, rozpuścił wieść, że przy przekraczaniu rzek rekiny i krokodyle wszystkie wieprze pożarły. Abyśmy ich nie widzieli, szły za nami zawsze o cztery dni drogi w tyle, a zresztą dla takiej masy żołnierzy i na jeden dzień by nie starczyło. Z tego powodu nie jedliśmy ich, a także aby nie rozgniewać Korteza.

Nie będę się o tym dłużej rozwodził, powiem tylko, że wędrując, we wioskach i po drogach często stawialiśmy krzyże z napisem: „Tędy przechodził Kortez w takim a takim czasie”.

*

Kiedy doszliśmy do osiedla Ziguatpecad, Kortez prawil wiele grzeczności kacykom i starszyźnie, obdarował ich pięknymi *chalchiuis* z Meksyku i wypytywał, z którą stroną płynie wspaniała wielka rzeka, w sąsiedztwie wsi, odpowiedzieli, że ujście jej jest przy miejscowości zwanej Gueyatasta,

znajdującej się niedaleko miasta Xicalango. Kortezowi zdawało się, że dobrze będzie wysłać dwóch Hiszpanów łodzią na wybrzeże północne, aby dowiedzieć się o losach Simona de Cuenca i jego okrętów. Francisco de Medina, człek bardzo bystry i znający wszystkie języki ziemi, miał podzielić dowództwo z Simonem de Cuenca. Oby był Korteż nie dawał mu takich uprawnień! Dotarł on wprawdzie do Simona de Cuenca i jego okrętów; de Cuenca oczekiwał w Xicalango wieści od Korteza, ale kiedy de Medina wręczył mu listy Korteza mianujące go współdowódcą, doszło między dwoma oficerami do takiej kłótni, że obaj chwycili za broń i w tej bijatyce polegli wszyscy Hiszpanie, którzy byli na okręcie i walczyli po jednej lub po drugiej stronie, z wyjątkiem sześciu czy siedmiu. Zaś Indianie z Xicalango i Gueyatasta, widząc to zamieszanie, wybili pozostałych i spalili okręty. Dlatego to nie mieliśmy żadnej od nich wieści przez dwa i pół roku.

Korteż polecił mi, abym razem z niejakim Gonzalem Mexią i kilkoma możliwymi Indianami udał się do osiedla Acala, zbudowanego częściowo na lądzie, częściowo na małych wysepkach, pomówić z kacykami, aby ludność nie uciekała za naszym zbliżeniem. Mieliśmy trzech Indian z Ziguatpecad za przewodników, ci jednak zniknęli zaraz pierwszej nocy, kiedy spaliśmy. Dowiedzieliśmy się później, że będąc w wojnie z mieszkańcami Acali, nie śmieli iść dalej. Musieliśmy tedy wyruszyć bez przewodników i z wielkim trudem przeprować się przez moczary. Tam dosięgły nas listy Korteza przyniesione przez dwóch Hiszpanów, w których polecał nam zabrać żywności ile się da i powrócić do dni trzech, bowiem ze wsi, gdzie stacjonował, wszyscy Indianie uciekli, on zaś kieruje się na Acalę bez kukurydzy, której nie znalazł. Kazał mi też pilnować, aby kacykowie nie uciekli. Również do innych wsi wysłał po żywność czterech Hiszpanów, niedawno przybyłych z Kastylji, ale nie powrócili. Mniemaliśmy, że zostali zabici, i była to prawda.

Korteż dwa dni później ruszył w drogę, doszedł do wielkiej rzeki i co prędzej zabrał się do budowy mostu, budowano go z wielkim trudem i z tak grubych i wielkich drzew, że po ukończeniu Indianie z Acali go podziwiali. Budowa trwała dni cztery. Korteż i jego żołnierze nie mieli ani kukurydzy, ani innej żywności, i budując most przymierali głodem. Starsi żołnierze radzili sobie ścinając bardzo wysokie drzewa, podobne do palm, które rodziły owoce — jakby orzechy w grubych łupach — zrywali je, rozbijali i jedli. Tej samej nocy, kiedy most skończyli, przyszedłem z moimi trzema towarzyszami, ze stu trzydziestu ładunkami kukurydzy, z osiemdziesięciu kurami, miodem, fasolą, jajami, oraz owocami. Noc była czarna. Żołnierze czekali, bo wiedzieli, że mam przynieść żywność. Kiedy byłem już blisko, rzucili się i porwali wszystko, nie pozostawiając nic dla Korteza ani dla oficerów. Wołałem: „Zostawcie, to dla wodza Korteza!” Podobnie krzyczał jego sługa Carranza, chroniąc ramionami

kukurydżę, aby przynajmniej jeden łądunek zostawili. Noc była, żołnierze na nic nie zważając wołali: „Dostyc zezarliście smacznych wieprzy, wy i Kortez. Widzieliście, że giniemy z głodu i nic nam nie daliście!” i na nic nie zważając chwyтали ile popadło. Kortez, dowiedziawszy się, że nic nie zostało i wszystko zabrali, stracił cierpliwość i tupał ze złości. Był tak wściekły, że chciał przeszukiwać ludzi, by wiedzieć, kto zabrał, oni zaś wypominali mu wieprze. Kiedy widząc, że gniewem nic nie wskóra, że krzyk jego był to głos na puszczy, zawezwał mnie i wyrzucał, że źle strzegłem zapasów. Odpowiedziałem, że jego miłość powinien był wysłać straż osobną. „Nawet gdybyście tego byli osobiście pilnowali, żołnierze byliby wzięli. Niechaj Bóg strzeże was przed głodem, który nie zna prawa”.

Widząc, że nic się nie zyska i cierpiąc głodowe udręki, Kortez zaczął mi się przypochebiać miodnymi słowy. Wobec Gonzala de Sandoval rzekł do mnie: „Och, panie Bernalu Diazie del Castillo, mój bracie, dla mej miłości, jeżeli ukryłeś cośkolwiek w drodze, podzielcie się. Byłem pewny, że przyniesiecie coś dla siebie i dla waszego przyjaciela Sandovala”.

„Ja również nie mam, przysięgam, ani ziarnka kukurydzy” — zapewniał Sandoval.

*

W Gueyacali kacykowie przyjęli nas przyjaźnie i Kortez przez donę Marinę przemawiał do nich w sposób, który zdaje się sprawił im przyjemność. Ofiarował im paciorki z Kastylii, oni przynieśli kukurydżę i żywność. Wypytywał ich o drogę, jaką nam obrać trzeba, czy znają może innych ludzi nam podobnych, z brodami, którzy mają konie, i czy nie widzieli okrętów na morzu? Odpowiedzieli, że o osiem dni drogi znajduje się osada zamieszkała przez brodatych ludzi i kobiety kastylskie, są tam konie i trzy okręty. Ta wiadomość szczerze uradowała Korteza. Pytaliśmy, jaką drogę obrać i na jakie osiedla się skierować. Wyrysowali nam to wszystko na płótnie nie pomijając rzek, trzęsawisk ani błot. Kortez prosił aby zechcieli zbudować mosty na rzekach i przyciągnąć sporo łodzi, jako że są tak liczni i tworzą tak wielkie plemię. Kacykowie odpowiedzieli, że choć jest ich ponad dwadzieścia osiedli, ale nie zechcą posłuchać, a szczególnie dwa położone pomiędzy dwoma rzekami. Trzeba by do nich wysłać

Aby ich uspokoić rzekłem, że tej nocy w godzinę „twardego snu”, i kiedy obóz pogrąży się we śnie, pójdziemy po dwanaście łądunków kukurydzy, dwadzieścia kur, trzy garnce miodu, fasolę, sól oraz dwie Indianki do wypieku chleba. „Wasza miłość, Sandoval, ja i moi ludzie musimy wyjść nocą, aby nam po drodze tego nie porwano”. Uradował się w duszy i uściskał mnie.

teules gdyby się chciało otrzymać kukurydzę lub co innego. Kortez wysłał zaraz niejakiego Wiega de Mazariegos — krewniaka owego skarbnika Alonsa de Estrada, który pozostał w Meksyku jako gubernator. Kortez chciał mu zrobić honor wysyłając go jako dowódcę, jednak na uboczu powiedział mu, aby jako nowo przybyły z Kastylii i nie mający w sprawach indiańskich doświadczenia, zabrał mnie z sobą i słuchał moich rad. I tak zrobił. Nie zamierzałem o tym pisać w tej relacji, aby nie myślano, że się przechwalam. Nie wspominałbym o tym, gdyby nie to zostało ogłoszone w całym obozie, a nawet potem widziano to czarno na białym w pewnych listach Korteza do Jego Królewskiej Mości.

46

Jak i dlaczego Kortez kazał powiesić Guatemuza, wielkiego władcę Meksyku, i drugiego kacyka, władcę Tacuby, i co potem się działo

Przerwijmy teraz opowiadanie o naszych trudach i wędrówce, a powiedzmy, jak Guatemuz, wielki kacyk Meksyku, oraz inni dostojnicy Meksykańscy nam towarzyszący omówili i ustalili plan zabicia nas wszystkich i powrotu do Meksyku. Po powrocie do swej stolicy mieli połączyć wszystkie siły, aby napaść na tych, którzy pozostali w Meksyku, i wzniecić ogólne powstanie. Plan ten odkryli Kortezowi dwaj Meksykanie, Tapia i Juan Velazquez. Kortez dowiedziawszy się o tym, wypytał nie tylko owych dwóch, lecz także innych kacyków należących do spisku. Wyśpiewali, że kiedy widzieli, jak nieopatrznie idziemy, jak niezadowolenie się szerzy, a liczni żołnierze chorują, żywności często brak i już pomarło z głodu czterech trębaczy, linoskoczek oraz jedenastu czy dwunastu żołnierzy, a trzech żołnierze zawrócili do Meksyku, puściwszy się na los szczęścia tą samą drogą, którą przybyli, przenosząc śmierć nad dalszą mękę, pomyśleli, że dobrze byłoby po przejściu przez jakąś rzekę lub mokradła napaść na nas, bowiem Meksykanów było ponad trzy tysiące, uzbrojonych w dzidy a nawet miecze. Guatemuz przyznał, że wszystko się tak miało, jak rzekli, ale spisek ten nie był jego pomysłem, a nawet nie wiedział, zali wszyscy kacykowie godzili się na to, nie było jeszcze nic pewnego, jedynie gołosłowne gadanie. Kacyk z Tacuby wyznał, że on i Guatemuz orzekli, iż lepiej raz zginąć, niżli codzień konać w drodze.

Nie szukając innych dowodów, Kortez kazał powiesić Guatemuza i władcę Tacuby, jego krewniaka. Zanim ich powieszono, bracia

franciszkanie za pośrednictwem doni Mariny, tłumaczki, podnieśli ich na duchu, polecając ich Bogu.

Kiedy go wieszali, Guatemuz odezwał się: „Och, Malinche, od dawna wiedziałem, że mnie uśmiercisz! Przejrzałem twoje fałszywe słowa, oto zabijasz mnie bez sądu”. A władca Tacuby dodał, że uważa śmierć swoją za godną, bowiem umiera razem ze swoim panem, Guatemuzem. Przed egzekucją wypowiedali ich bracia franciszkanie. Zaiste bardzo mi żal było Guatemuza i jego krewniaka, których znałem jako wielkich panów — zawsze mi w drodze świadczyli grzeczności, zwłaszcza dali mi kilku Indian, którzy mieli przynosić siano memu koniowi. Śmierć ta była bardzo niesprawiedliwa i taka wydała się nam wszystkim, którzy braliśmy udział w wyprawie.

Ruszyliśmy dalej w drogę w zwartym szyku, lękając się, aby Meksykanie, którzy widzieli powieszenie ich władców, nie zbuntowali się. Ale byli tak wyczerpani głodem i chorobami, że nie myśleli o tym. Kortez również czuł się bardzo źle, był niezadowolony z tej dręczącej drogi, gnębiło go, że rozkazał powiesić Guatemuza i władcę Tacuby. Co dzień był głód, Hiszpanie chorowali, Meksykanie licznie umierali, zdawało się, że Kortez i w nocy nie zaznaje spokoju myśląc o tym. Wstawał z łoża, krążył po wielkiej sali, gdzie stały bożki, był to bowiem największy budynek w owej wsi — pomieszczenie bożków. Nieopatrznie spadł z wysokości dwóch pięter raniąc się w głowę. Przemilczał to jednak i ani jednym słowem nie wspomniał. Leczył swoją ranę i cierpiał milcząc.

*

Kiedy minęliśmy Pueblo Cercado, wkroczyliśmy na łatwą i płaską drogę przez bezdrzewne sawanny. Na tych polach bezkresnych było mnóstwo zwierzyny bynajmniej nie płochliwej, tak że z łatwością doganialiśmy ją i zabijaliśmy około dwudziestu sztuk.

Tymczasem w drodze zachorowałem na gorączkę z wielkiego słońca, które uderzało mi do głowy i objęło całe ciało. Już wspomniałem raz, że upały były bardzo silne, a zaraz potem przyszły straszne deszcze, które przez trzy dni i trzy noce nie ustawały, nie zatrzymywaliśmy się jednak w drodze, bowiem gdybyśmy chcieli wyczekiwać pogody, nie starczyłoby nam kukurydzy.

Po dwóch dniach doszliśmy do gór, których kamienie cięły jak noże. Nasi żołnierze udali się na poszukiwanie innych dróg, aby wyjść z owych skał obsydianowych, ale rozbiegłszy się na milę w tę i w drugą stronę, nie znaleźli innej, lepszej drogi. Owe kamienie raniły konie, a że deszcz nie ustawał, ślizgały się i padały, kaleczyły sobie nogi, a nawet i tułowia.

Im niżej schodziliśmy, tym gorsze znachodziliśmy obsydiany na stoku, tam padły nam dwa konie, a te, które się uratowały, były bardzo osłabione. Jeden z naszych żołnierzy, Palacios Rubio, złamał nogę. Kiedy wreszcie wyszliśmy z tych Gór Obsydianowych, jak nazywaliśmy je, złożyliśmy dziękczynienie Bogu.

Doszlśmy do wsi Taica, szczęśliwi, że znajdziemy tam żywność. Ale tuż przed wioską spadał z góry potok między dwoma skałami, wśród przepaści, a że była słota od trzech nocy, szalał z tak strasznym hukiem, że słycać było go na dwie mile, spadał bowiem z wysokich skał. Był prócz tego głęboki bardzo i o przejściu go nie było co myśleć. Postanowiliśmy zbudować most od jednej skały do drugiej. W wielkim pośpiechu budowaliśmy go z bardzo grubych pni, tak że w trzech dniach stanął i mogliśmy przedostać się do wioski. Ale kiedy trzy dni trwaliśmy przy budowie mostu, tubylcy mieli dość czasu aby ukryć kukurydzę i inną żywność i sami się pochować, także nie zdołaliśmy ich odnaleźć w całej okolicy. Szarpani głodem byliśmy jak odrętwiiali, rozmyślając tylko o naszej udreće i o jedzeniu. Zaiste nigdy tak nie bolałem — podobnie jak wszyscy — że nie mam co jeść, ani co dać moim ludziom, dręczyła mnie także gorączka. Był to wieczór Wielkiej Nocy. Zważcie czytelnicy, jaką to Wielkanoc mieliśmy, bez jedzenia, nawet bez kukurydzy, którą bylibyśmy się zadowolili.

Chcę tu powiedzieć, że kiedy wybudowaliśmy owe wielkie mosty, o których wspomniałem, Hiszpanie, którzy po uspokojeniu kraju tamtędy przechodzili, nawet po wielu latach znachodzili je w dobrym stanie, a widząc owe olbrzymie pnie, jakie tam zwaliliśmy, podziwiali je, i zwykli do dziś dnia mówić: „Oto są mosty Korteza!”, tak jak mówi się o „kolumnach Herkulesa”.

Pewnego dnia dotarliśmy do wsi Ocolizte, gdzie było wiele kukurydzy i jarzyn. W jednej świątyni bożków znaleźliśmy czerwoną czapkę i chodak złożony na ofiarę bogom. Pewni żołnierze, którzy byli na robotach w polu, przyprowadzili Kortezowi dwóch starych Indian i cztery Indianki, pochwyconych na polach kukurydzianych. Kortez za pośrednictwem, doni Mariny wypytywał o drogę i jak daleko znajdują się Hiszpanie. Odpowiedzieli, że o dwa dni drogi, ale dalej nie już żadnych osiedli, Hiszpanie zaś mieszkają nad brzegiem morza. Zaraz też Kortez polecił Sandovalowi udać się pieszo z sześcioma żołnierzami, dojść do morza i za wszelką cenę dowiedzieć się i zbadać, czy liczni są owi Hiszpanie osiedleni tam przez Cristobala de Olid, bowiem w owym czasie nie przypuszczaliśmy, że może tam być inny dowódca. Chciał się Kortez o tym dowiedzieć aby zająć nocą Cristobala, a gdyby go tam zastał, pojmać go i jego żołnierzy.

Gonzalo de Sandoval wyszedł z sześcioma żołnierzami i trzema Indianami z Ocolizte, których wziął na przewodników. Idąc wzdłuż wybrzeża ujrzął na morzu łódź z wiosłami i żaglami. Przez cały dzień ukrywał się

w lesie. Łódź należała do indiańskich kupców, którzy wzdłuż wybrzeża przewozili różne towary, sól i kukurydzę, kierując się od Golfo Dulce ku ujściu rzeki. Nocą Sandoval zajął łódź w małej zatoce, wsiedli na nią Sandoval z towarzyszami oraz Indianami, wioślarzami tej łodzi, i z trzema przewodnikami i płynęli wzdłuż wybrzeża, nim żołnierze poszli lądem, bowiem wiadano, że niedaleko znajduje się Rio Grande.

Zdarzyło się szczęśliwie, że w okolicy Rio Grande tego ranka wyprawiali się łodzią czterej mieszkańcy założonego tam miasta oraz jeden Indianin z Kuby spośród ludzi Gila Gonzaleza de Avila. Przybyli tam w poszukiwaniu owoców, które zwą *zapotes*, aby je piec, bowiem w mieście, skąd wyszli, cierpieli wielki głód i wielu chorzało, nie śmieli zaś udać się na poszukiwanie żywności po wsiach, bo Indianie z sąsiedztwa napadali na nich i od czasu, gdy opuścił ich Gil Gonzalez de Avila, zabili już dziesięciu. Zrywali *zapotes* z drzewa i dwóch z nich siedziało na drzewie, kiedy dostrzegli od strony morza przyplływającą łódź Sandovala. Przerazili się bardzo i zdumieli, nie wiedząc, czy mają uciekać, czy czekać. Sandoval, przybiwszy do brzegu, zapewnił ich, że nie mają się czego lękać, nie ma bowiem wojowniczych zamiarów, więc — choć przerażeni — zostali na miejscu. Sandoval i towarzysze dowiedzieli się od Hiszpanów, jak osiedlili się tam ludzie Gila Gonzaleza de Avila, a także o nieszczęsnym losie wyprawy Franciska de Lascasas i jak Cristóbal pojmał obu oficerów, jak ścięto go z wyroku w Naco, jak obaj oficerowie wyprawili się do Meksyku, dowiedzieli się też, ilu Hiszpanów pozostało w mieście i o wielkim głodzie, jaki tam panował. Sandoval postanowił zaprowadzić tych ludzi do Korteza i nic nie decydować ani nie wychodzić do miasta, póki Kortez osobiście o wszystkim się nie dowie.

Wielki był płacz w owym mieście, kiedy nie wrócili na noc obydwaj. Hiszpanie i Indianin z Kuby, byli pewni, że zabili ich Indianie albo pożarły tygrysy czy lwy. Wszyscy mieszkańcy zebrali się w kościele, prosząc Boga o pomoc i odwrócenie gorszych nieszczęść.

Kortez rozkazał całemu wojsku posuwać się w kierunku morza odległego o sześć mil. Po drodze natrafiliśmy na głębokie ujście rzeki, gdzie woda bardzo wezbrała; wskutek przyplwywu musieliśmy czekać pół dnia na odpływ i bądź wplaw, bądź brodząc przekroczyliśmy je. Dotarliśmy do rzeki Golfo Dulce i Kortez chciał pierwszy wejść do miasta odległego stamtąd o dwie mile. Udał się tam dwoma łodziami związanymi tą, którą przyplynęli żołnierze Gila Gonzaleza, i tą, którą Sandoval zabrał Indianom. Pierwszy przeprowił się Kortez z sześcioma żołnierzami i swymi pachołkami. Następnie kazał przeprowić dwa konie. Nam zaś polecił czekać rozkazu i bez tego nie przeprowiać się łodziami, bowiem było to bardzo niebezpieczne. Sam Kortez żałował, że się na to odważył, gdyż rzeka była szalenie rwąca.

Zaraz też wysłał dwie łodzie z ośmioma marynarzami z listem do

Gonzala de Sandoval i do Luisa Marina, aby uważali i przeprawili przez rzekę tylko tylu ludzi, ilu on zażąda, nie obciążając zbyt łodzi, bowiem prąd jest ostry i rzeka bardzo wezbrała, na łodziach zaś niech nie przeprawiają żadnych koni, bo zatoną.

*

Dotarliśmy do owego miasta założonego przez Gila Gonzaleza de Avila. Panował tam głód. W mieście tym mieszkało około czterdziestu mężczyzn, cztery Hiszpanki i dwie Mulatki — wszyscy chorzy i wyżółkli.

Kiedy Korteż przekonał się, że miejsce wybrane przez Gila Gonzaleza do Avila nie było właściwe, postanowił się na dwa okręty i brygantynę, ze wszystkimi, których w mieście zastał, tak aby nikt tam nie pozostał. Po ośmiu dniach żeglugi wylądowano w miejscu zwanym dziś Puerto de Caballos. Uważając, że owa zatoka nadaje się na port, oraz dowiedziawszy się od Indian, że w pobliżu znajdują się liczne osiedla, postanowił założyć tam miasto i nazwał je Natividad. Stamtąd wysłał dwie wyprawy w głąb lądu, do pobliskich wsi, podówczas opuszczonych, i zaopatrzył miasto w kukurydzę. W tych stronach było jednak mnóstwo komarów, które cięły dniem i nocą, i jak mi potem opowiadano, z ich powodu spędzali bardzo złe noce, a z niewysypiania głowa była nieprzytomna.

Napisał też Korteż do Sandovala, mniemając, że weszliśmy już do Naco, gdzie ścieżką Cristobala de Olid, aby mu przysłać dziesięciu żołnierzy z Guazacualco, bez których nie może nic przedsiębrać, a chciałby dojść do portu Hondurasu, tam gdzie zostało założone miasto Trujillo.

*

Tymczasem Sandoval zajęty był pacyfikacją prowincji Naco oraz walką z żołnierzami hiszpańskimi, którzy z powodu tarć między wodzami przybyli z Nicaragui, ta bowiem podówczas zdobyta i spacyfikowana została. Ci żołnierze wyrządzali wiele krzywd Indianom, rabując ich wioski. Sandoval wszystkich ich pojmał i włączył do swoich oddziałów, zaś do Korteza wysłał listy z wiadomością o tym, co zaszło.

Nie będę opowiadał o naszych trudach i walkach, jakie w tym czasie toczyliśmy. Wróć do Korteza.

Korteż siadł na okręty w Puerto de Caballos i po sześciu dniach odpłynął do portu Trujillo.

My, ze swej strony, przybyliśmy do Trujillo w godzinę wieczorną i tuż pod miastem spotkaliśmy pięciu jeźdźców, był to Korteż i inni szlachcice, którzy udali się byli na przejażdżkę po wybrzeżu. Kiedy nas spo-

strzegli z daleka, nie wiedzieli, co by to być mogło, ale poznawszy nas Kortezi zsiadł z konia i ze łzami w oczach podszedł nas uściskać, a my jego, a potem rzekł: „Och, bracia i druhowie mili, jakże pragnąłem dowiedzieć się prawdy i co się z wami stało!”

Był tak wychudły, że żał brał patrzeć, dowiedzieliśmy się później, że był bliski śmierci z powodu gorączki i smutku, gdyż wówczas nie miał żadnych wieści z Meksyku, ani złych, ani dobrych. Mówili niektórzy, że tak bliski był zgonu, że przygotowano już dlań habit świętego Franciszka, aby go w nim pochować. Wraz z Korteziem pieszo udaliśmy się do miasta, gdzie zajęliśmy kwatery i wieczerzaliśmy z nim, ale nędza była taka, że nawet placków maniokowych było mało.

W trzy dni po naszym przybyciu do Trujillo ujrzano nadciągający z otwartego morza żaglowiec z Hawany wysłany z listem przez licencjata, którego Kortezi pozostawił był w Meksyku.

*

Kiedy ów wspomniany okręt przybił do brzegu, pewien szlachcic, który na nim był kapitanem, wysiadł na ląd i przyszedł ucałować ręce Korteziowi, oddając mu list od licencjata Zuazo. Ledwie Kortezi ów list przeczytał, ogarnął go wielki smutek, usunął się do swej kwatery i słychać było, że łka żałością. Wyszedł stamtąd dopiero na drugi dzień rano, była to sobota, rozkazał raniutko odprawić mszę w kościele Panny Maryi, a po mszy prosił nas, abyśmy wszyscy wysłuchali nowin z Nowej Hiszpanii. Rozeszła się tam wieść, że wszyscy zginęliśmy, wobec tego zabrano nasze posiadłości i wystawiono je na licytację rozdzielono naszych Indian pomiędzy innych Hiszpanów bez zasług. Z listu dowiedzieliśmy się, że pomiędzy skarbnikiem Alonsem de Estrada i rachmistrzem Albornozem z jednej strony a intendentem Salazarem i kontrolerem Pedrem Chirinos z drugiej toczyła się zażarta walka o władzę. Codziennie wybuchały zamieszki i bójki, Indianie zaczęli się buntować, rządcy — kontroler i intendent — trwonili złoto ze skarbca Jego Królewskiej Mości. W tym czasie przybył Diego de Ordaz z Kastylii i widząc, co się dzieje, udał się na poszukiwanie Kortezi, dotarł do Xicalango, gdzie zginęli zabici przez Indian Simón de Cueana, którego Kortezi wyprawił był morzem, oraz kapitan Francisco de Medina, wysłany na jego poszukiwanie. Diego de Ordaz wniósł z tego, że Kortezi nie żyje i tę rzekomo pewną wiadomość przekazał do Meksyku. Wówczas intendent włożył żałobę, zbudował ku czci Kortezi grobowiec i pomnik w katedrze Meksyku i natychmiast przy dźwiękach trąb i bębnow obwołał się gubernatorem i naczelnym wodzem Nowej Hiszpanii, wydał rozkaz, aby wszystkie żony, których mężowie zginęli przy Kortezi, odprawiły nabożeństwo za ich dusze i co rychlej wychodziły za mąż. Kiedy

jedna z kobiet, żona Alonsa Valiente, nie chciała brać męża, twierdząc, że jej mąż i Korteż, i my wszyscy żyjemy, intendent kazał ją wysmagać i pędzić przez ulice Meksyku jako czarownicę.

A jako na tym świecie wielu jest zdrajców i pochlebców, jeden z nich, którego nie nazywamy, aby czci jego nie szkodzić, opowiadał wobec intendenta i licznych innych osób, że zachorzał był ze strachu, kiedy pewnej nocy przechodząc koło Talelulco, gdzie stał najwyższy bożek Uichilobos, a teraz jest kościół świętego Jakuba, widział, jak na dziedzińcu płonęły żywcem dusze Korteza, doni Mariny i Sandovala. Inny się zjawił, którego również nie nazywam, bo dobre mniemanie o nim mają, i opowiadał intendentowi, że w Tezcuco, po dziedzińcu tłuką się upiory, Indianie zaś twierdzą, że są to dusze doni Mariny i Korteza. Wszystkie te zdradzieckie kłamstwa powiadali jedynie, aby zyskać łaski intendenta.

Tymczasem przybyli do Meksyku Francisco de Las Casas i Gil González de Avila, a widząc owe zamieszki i że intendent obwołał się gubernatorem, zganili go publicznie, mówiąc, że nie można tego dopuścić, bowiem Korteż żyje, wierzą w to usilnie, a gdyby tak nie było — czego Bóg nie dozwoli — to jako osoba i rycerz bardziej godzien jest gubernatorstwa Pedro de Alvarado niż intendent.

Skoro intendent przekonał się, że Las Casas i licencjat Zuazo nie są jego przyjaciółmi i nie idą mu na rękę, rozkazał pojmać Gonzaleza de Avila i Franciska de Las Casas wszczął proces przeciw nim z powodu uśmiercenia Cristobala de Olid i skazał ich na ścięcie, ale ponieważ apelowali do Majestatu, odesłał ich do Kastylii. Po czym aresztowano Zuazę, odesłano go na mułach do Vera Cruz i wywieziono na wyspę Kubę, zaś Rodryga de Paz, majordomo Korteza, poddano torturom, przypiekając mu gorącą oliwą i ogniem nogi, aby wydał, gdzie schował złoto Korteza, którego nie miał. Wyszedł chudy i chory z więzienia, bliski śmierci. Intendentowi jednak było nie dość tego — lękał się, że jeśli zostawi go przy życiu, uda się ze skargą do Króla Jegomości, rozkazał go przeto powiesić jako buntownika i bandytę.

Wszystkich żołnierzy i mieszkańców Meksyku, którzy byli zwolennikami Korteza, kazał aresztować, przeto jego ludzie — Jorge de Alvarado, Andrés de Tapia oraz inni — zamknęli się w klasztorze świętego Franciszka, liczni jednak konkwistadorowie przystali do intendenta, przydzielał im bowiem sporo Indian.

Kiedy Korteż przeczytał nam ten list, trwaliśmy smutni i gniew nas wziął zarówno przeciw Korteżowi, który nas na takie trudy naraził, jak przeciw intendentowi, i miotaliśmy przekleństwa na jednego i na drugiego, serca nam skakały ze złości Korteż zaś nie mógł powstrzymać łez i z tym listem zamknął się w swej komnacie i nie chciał się pokazać przez pół dnia. My wszyscy błagaliśmy go, aby zaraz wsiadać na okręty i odpłynąć do Nowej Hiszpanii. On zaś bardzo serdecznie i spokojnie odpowiedział:

"Och, synowie i druhowie moi! Myślę, że dowiedziawszy się o naszym przybyciu do portu, zgotuje nam inne jeszcze niegodziwości i zuchwałości, i albo mnie zabije, albo powiesi, albo uwięzi, a was razem ze mną. Niebawem z pomocą bożą wsiądę na okręt, ale tylko z czterema lub pięcioma spośród waszych miłości chcę powrócić potajemnie i wysiąść na ląd tak, aby nie dowiedziano się o tym w Meksyku, abyśmy nie poznani weszli do miasta. Wy zaś, panie Luis Marin, ze wszystkimi towarzyszami, którzy przybyliście tu na poszukiwanie mnie, wracajcie i połączywszy się z Sandovalem, który wojuje w Gwatemali, zdążajcie do Meksyku".

Kiedy dowiedziałem się, że Kortez ma się udać do Nowej Hiszpanii morzem, błagałem go, aby za wszelką cenę zabrał mnie z sobą, niechaj zważy, że we wszystkich trudach i walkach znajdowałem się u jego boku i wspomagałem go. Wówczas uściskał mnie i rzekł: „Jeżelibym was zabrał z sobą, któż pójdzie z Sandovalem? Proszę was, idźcie z waszym przyjacielem Sandovalem, a na brodę moją zaklinam się, że nie poskapię wam względów".

Przeto wraz z kapitanem Luisem Marinem udaliśmy się lądem w drogę do Meksyku.

*

Kortez siadł na okręt w Trujillo, aby udać się do Meksyku, ale że spotkała go burza morska, raz wiał wiatr przeciwny, drugi raz złamał się maszt przedni, rozkazał wrócić do portu. Był osłabiony, w złym stanie zdrowia i wyczerpany morzem, lękał się więc płynąć do Nowej Hiszpanii, aby nie wpaść w ręce intendenta. Mówiono także, że o tej porze roku żegluga do Meksyku jest niebezpieczna. W Trujillo kazał odprawić mszę do Ducha Świętego z procesją i błagalnymi modłami. Miał go Duch Święty oświecić, aby nie puszczał się w tę podróż, ale podbijał i kolonizował okoliczne ziemie. Natychmiast, co koń wyskoczy, wysłał trzech gońców za nami, którzy już ruszyliśmy w drogę, z listami, w których prosił, abyśmy zatrzymali się i zajęli zdobyciem i kolonizowaniem ziemi okolicznej, bowiem jego dobry anioł stróż oświecił go i tę myśl podsunął, do której się chce zastosować. Kiedy przeczytaliśmy listy, nie mogliśmy tego ścierpieć i jęliśmy sypać tysiącnymi przekleństwami, że w niczym, do czego rękę przyłoży, szczęścia nie ma i zgubi się tak, jak nas do zguby przywiódł. Zapowiedzieliśmy Sandovalowi, że jeśli Kortez chce kolonizować — niech zostanie, z kim chce, lecz niech nie ciągnie nas na ciężkie boje i na zgubę, przysięgaliśmy, że nie będziemy czekać dłużej, ale ruszymy do Meksyku. Sandoval był naszego zdania, prosił jednak bardzo serdecznie i usilnie, abyśmy poczekali jeszcze kilka dni, on zaś uda się osobiście nakłaniać Korteza do podróży.

*

Kiedy Sandoval nie zdołał nakłonić Korteza do powrotu, postanowili, że wyśle on jednego ze swych sług, Martina Dorantesa, człowieka bardzo obrotnego, któremu można było powierzyć każdą trudną misję, do Francisca de Las Casas i Pedra de Alvarado, aby byli gubernatorami Nowej Hiszpanii aż do powrotu Korteza, a w razie gdyby ich w Meksyku nie było, miał rządzić skarbnik Alonso de Estrada i rachmistrz Alborno. Równocześnie Kortez odwołał pełnomocnictwa intendenta i kontrolera. Kortez napisał bardzo serdecznie do jednego i do drugiego, choć wiedział o listach nieprzyjaznych, jakie Albornoz wysłał przeciw niemu do Króla Jegomości.

W krótkim czasie okręt wysłany przez Korteza dopłynął do Nowej Hiszpanii i ledwie Martín Dorantes wyskoczył na ląd, podziękował Bogu za szczęśliwe przybycie, zrzucił swe szaty i jak mu przekazano, włożył inne, wieśniacze, aby go nie poznali. Ze wszystkimi listami i pełnomocnictwami, dobrze opatrzonymi i przywiązanymi niewidocznie do ciała, poszedł w drogę pieszo. W spotykanych wioskach indiańskich, gdzie znajdowali się Hiszpanie, wkręcał się między Indian, aby nie potrzebować mówić ani opowiadać się, choć i tak Hiszpanie nie mogliby go poznać, upłynęło bowiem dwa lata i trzy miesiące od czasu opuszczenia Meksyku i broda mu wyrosła. Gdy go pytano, skąd przybywa i dokąd dąży, odpowiadał, że nazywa się Juan de Flechilla. W ten sposób w cztery dni od opuszczenia okrętu wszedł do Meksyku i udał się do klasztoru świętego Franciszka, gdzie zastał wielu ukrywających się konkwistadorów, przyjaciół Korteza.

Ci, kiedy ujrzeli Dorantesa i dowiedzieli się, że Kortez żyje, kiedy przeczytali jego listy, nie mogli ustać na miejscu, tylko skakali i tańczyli. Ledwie zadniało, skarbnik ze wszystkimi stronnikami Korteza i z Martinem Dorantesem udali się do domu intendenta, wznosząc na ulicach okrzyki: „Niech żyje król, nasz pan, i Hernando Kortez, jego namiestnik, który żyw jest i przybywa do miasta!” Kiedy ten rozgwar tak wczesnym rankiem usłyszeli mieszkańcy i kiedy zrozumieli, że Kortez żyje i wzywa do broni, uradowali się, i liczni Meksykanie zaraz przyłączyli się do skarbnika, aby mu pomagać, bowiem — jak się zdaje — nie miał rachmistrz u nich wielkiego miru, szedł on na własną rękę i z jego to powodu wybuchła niezgoda. Intendent tymczasem, uwiadomiony właśnie przez ochmistrza, poczynił przygotowania i kazał ustawić przed pałacem artylerię. Kiedy nadeszli skarbnik, Jorge de Alvarado, Andrés de Tapia i inni konkwistadorowie, a z nimi i rachmistrz, choć ociągając się i niechętnie, rozległy się okrzyki: „Do nas! W imię króla i Hernanda Korteza, jego namiestnika!” Zaczęli też wdzierać się przez tarasy jedni, przez drzwi drudzy, tak że wzięci z dwu stron stronnicy intendenta zachwiali się i porzucili działa. Intendent, widząc się opuszczonym, pochwycił sam za lont,

ale tak spiesznie wpadli na niego, że nie zdołał zapalić. Pochwycili go i postawili pod strażą, a kiedy zrobiono z grubych żerdzi klatkę, wsadzili go do środka i w niej karmili. Taki był koniec jego rządów.

Dowiedziawszy się, że kontroler kryje się w Tezcucó, wydobyli go z klasztoru, przyprowadzili do Meksyku i wsadzili do klatki, podobnie jak intendenta.

Pierwszym zarządzeniem skarbnika było uczczenie Juany de Mancilla, żony Alonsa Valiente, którą intendent kazał być wysmagać jako czarownicę. Wsiadli na konie wszyscy jeźdźcy Meksyku — sam skarbnik trzymał wodze jej konia — i prowadząc ją przez ulice miasta wołali, że postąpiła jak matrony rzymskie i oto powraca do czci po zniewadze doznanej od intendenta, i z wielką radością zwać ją będą odtąd doña Juana de Mancilla.

47

Jak Kortez powrócił do Meksyku z wyprawy na Honduras

Po pięciodniowym odpoczynku w Hawanie Kortez nie mógł doczekać się chwili, kiedy przybędzie do Meksyku. Co rychlej kazał wszystkim swoim wsiąść na okręty, rozwinąć żagle i w dwa dni przy sprzyjającej pogodzie dopłynął do portu Medellin, naprzeciw wyspy de Sacrificios, i kazał tam zarzucić kotwicę, bo wiatr był przeciwny. By nocy nie spędzać na morzu, Kortez z dwudziestoma żołnierzami zszedł na ląd i pieszo przeszedł około pół mili. Szczęśliwy los zdarzył, że spotkali konwój koni, które przywiozły podróżnych udających się do Kastylji. Dzięki tym mułom i koniom udał się do Vera Cruz, odległego o pięć mil. Zakazał rozgłaszać o swoim przybyciu i na dwie godziny przed świtem wszedł do miasta, po czym ze wszystkimi udał się prosto do kościoła, którego drzwi były otwarte. Nadszedł zakrystian, niedawno z Kastylji przybyły, a jako było wczesne rano, widząc cały kościół pełny ludzi, nie znając Korteza ani jego towarzyszy, wybiegł na ulicę z krzykiem, wzywając władze, bowiem w kościele jest mnóstwo obcych i należy ich stamtąd wygonić. Na te krzyki nadszedł naczelnik okręgu, jego zastępcy, trzech strażników oraz dużo uzbrojonych mieszkańców. Weszli nagle do kościoła, w ostrych słowach rozkazując tam obecnym opuścić go. Kortez był tak wyczerpany drogą, że dopóki nie przemówił, nie poznali go. Wówczas wszyscy rzucili się witać wodza i ręce mu całować. Kortez obejmował konkwistadorów, mieszkających w tym mieście, nazywając każdego po imieniu i nie myląc się. Odprawiono

Kortez wraz z przyjaciółmi siadł na okręty i przy pogodzie obrał kierunek na Hawanę, dokąd żegluga była łatwiejsza niż do Nowej Hiszpanii. Wpłynął do portu i zszedł na ląd. Kilka dni przedtem przysły tam wieści, że w Meksyku zapanował spokój.

mszę, a po tym goszczono Korteza w najlepszych domach. Pozostał w tym mieście osiem dni i na jego cześć odbyły się wielkie zabawy i uroczystości, zaraz też wysłano gońców do Meksyku, zapowiadając jego przybycie.

Kortez napisał do skarbnika i do rachmistrza, choć wiedział, jak ten jest mu nieprzyjazny, i do wszystkich swoich przyjaciół. Kiedy Indianie z okolic dowiedzieli się o jego bytności, znosili dary w złocie, tkaninach, kakao, kury i owoce. Opuścił tedy miasto i wzdłuż całego szlaku znajdował drogi oczyszczone, umajone pomieszczenia, przygotowaną żywność dla niego i jego towarzyszy.

Muszę opowiedzieć, jak wielką radość okazywali Meksykanie. Wszystkie miejscowości dokoła jeziora połączyły się, aby go obdarzyć klejnotami, złotem, tkaninami, kurami, wszelkiego rodzaju owocami, jakie w tej porze znaleźć można było. Usprawiedliwiali się, że nie przysyłają więcej, ale powrót jego był tak niespodziewany, niech jednak wróci do Meksyku, a dopełnią obowiązków i służyć mu będą jako swemu wodzowi, który ich podbił i rządzi sprawiedliwie. Tak samo przybywały poselstwa z innych miast. Prowincja Tlaxcala nie zaniedbała niczego i wszyscy jej naczelnicy wyszli mu naprzeciw, aby go przyjąć tańcami, pługami i igrzyskami. O trzy mile od Tezcucó powitał go rachmistrz Albornoz, aby sobie jego łaski zaskarbić, lękał się go bowiem okrutnie. Wraz z nim zebrało się wielu Hiszpanów z miejscowości okolicznych i kacyków z miasta i odbyły się przemyślnie igrzyska i tańce. Przybywszy do Tezcucó, przenocował tam i nazajutrz rano udał się dalej do Meksyku. Senat miejski, skarbnik i konkwistadorzy tam obecni prosili, aby dopiero nazajutrz wjechał do miasta, bowiem wszyscy gotują się na wielkie przyjęcie.

Wyjechał tedy skarbnik z miasta z całą jazdą, z konkwistadorami, senatem, ze wszystkimi urzędnikami i oficerami, w wielkim szyku, w najpiękniejszych, jakie włożyć mogli, strojach, z wszelkiego rodzaju bronią. Kacykowie meksykańscy ze swej strony silili się na wstawność — wystąpili z pięknymi stanami i w najbogatszych strojach, a całe jezioro pełne było łodzi i wojowników indiańskich w całkowitym uzbrojeniu, jak bywało za czasów naszych walk z Guatemuzem. Na groblach mrowili się ludzie.

Nie zdołam opisać wszystkich igrzysk i zabaw, bowiem każdego dnia na ulicach Meksyku wszystko było tańcem i skokami, a kiedy mrok zapadł, liczne światła jaśniały u bram. Jednak, co najważniejsze, bracia franciszkanie nazajutrz po przybyciu Korteza urządzili procesję, dziękując Bogu za łaskę. Kortez zamieszkał w swoich kunsztownie zbudowanych bogatych pałacach, tam mu wszyscy służyli i czcili go jak księcia, zaś Indianie z odległych prowincji przychodzili go oglądać i znosili dary w złocie, a nawet kacykowie z Coatlan, którzy byli butni i bunt podnosili, przybyli go powitać i dary złożyć. Ten powrót Korteza do Meksyku miał miejsce w miesiącu czerwcu roku 1524 czy 1525.

O objęciu rezydencji przez Luisa Ponce i o jego śmierci

Trzeba nam powrócić nieco w przeszłość i przypomnieć, że — jak mówiłem — wpłynęły znów wielkie oskarżenia na Korteza do Jego Królewskiej Mości. Ponieważ Król Jegomość uwierzył, że były prawdziwe, rozkazał licencjatowi Luisowi Ponce de Leon udać się do Korteza na rezydencję, a gdyby uznał go winnym owych zarzuiów, miał go ukarać tak, aby rozgłos o tym rozszedł się po wszystkich ziemiach. Zaraz też ów szlachcic wyprawił się w podróż trzema okrętami (nie pomnę już, czy było ich trzy, czy cztery) i przy pięknej pogodzie wylądował w mieście Medellin. Kiedy dowiedziano się, że przybywa jako sędzia, aby przeprowadzić śledztwo w sprawie Korteza, natychmiast dano o tym znać do Meksyku. Korteż zdziwił się, że stało się to tak nagle, byłby bowiem chciał wiedzieć o tym zawczasu, by go przyjąć godniej i z większymi honorami. Listy zastały go w klasztorze świętego Franciszka, gdzie miał zamiar przyjąć ciało Pana Naszego Jezusa Chrystusa, i z wielką pokorą błagał Boga o pomoc.

Zaraz też wysłał listy do Luisa Ponce i w słowach wymownych i uprzejmych, bardziej unizonych, niż ja to powiedzieć potrafię, prosił, aby go powiadomił, jaką z dwu dróg do Meksyku wybierze, chce bowiem wszystko przygotować, jak przystoi dla urzędnika tak wielkiego króla i pana. Niektórzy nieprzyjaciele Korteza ostrzegali Luisa Ponce, że Korteż chce wykonać wyrok na intendencie i kontrolerze, zanim on, licencjat, do Meksyku przybędzie, a także niech dobrze rozważy, że jeżeli Korteż pisze tak unizenie i chce dowiedzieć się, jaką drogą chce przybyć, to dlatego, aby go zgubić. Tymczasem Luis Ponce dotarł już był do Iztapalapy, która leży o dwie mile od Meksyku, i Korteż, powiadomiony o zbliżaniu się licencjata, wyjechał na jego przyjęcie na czele całej jazdy znajdującej się w mieście, a z nim Gonzalo de Sandoval, skarbnik Alonso de Estrada, rachmistrz, cały senat i konkwistadorowie oraz liczni inni szlachcice, świeżo z Kastylji przybyli. Przy spotkaniu na grobli odbyły się ceremonie powitalne, licencjat wydał się człowiekiem bardzo układnym i długo dawał się prosić i ceremoniował się, kiedy Korteż zostawił mu miejsce po prawicy, świadczyli sobie tak długo grzeczności, aż wreszcie się zgodzili. Kiedy wjechali do miasta, licencjat podziwiał jego fortyfikacje oraz innych miast i osiedli, które widział na jeziorze, i oświadczył, że nie ma i nie było na całym świecie wodza, który by z taką garstką żołnierzy zdobył tyle krajów oraz tak warowne miasto. Korteż z całą jazdą odprowadzili go do pałacu, gdzie wszystko było pokryte kobiercami i zastawiona była wspaniała uczta, podana na tyłu złotych i srebrnych naczyń i tak wystawnie, że sam Luis Ponce wyraził się na stronie do swych towarzyszy, że zaiste Korteż we wszystkich swoich grzecznościach i słowach, i czynach, dalece przewyższa wielkich panów.

Następnego dnia po mszy, której wysłuchał w kościele w obecności senatu i skarbowych urzędników królewskich, Luis Ponce przedstawił pełnomocnictwa Jego Królewskiej Mości, które Kortez z wielkim uszanowaniem ucałował i położył je sobie na głowie, zapewniając, że posłuszny im będzie jako rozkazom i listom swego króla i pana.

*

Przedstawiwszy królewskie pełnomocnictwa i uzyskawszy pełne posłuszeństwo i uszanowanie Korteza, senatu miejskiego oraz konkwistadorów, Luis Ponce ogłosił, że obejmuje generalną rezydencję i wysłucha skarg przeciw Kortezowi i przeciw tym, którzy sprawowali sądy i byli oficerami. A że wiele osób było Kortezowi przeciwnych, skwapliwie pospieszyli ze skargami, przedstawiając świadków, i przez całe miasto krążyły skargi i pretensje. Jedni mówili, że nie dał im należnej części złota, inni, że nie dał im Indian wedle zalecenia Króla Jegomości, ale przydzielił ich sługom swego ojca, Martina Korteza, oraz innym osobom bez zasług, jeszcze inni domagali się zwrotu koni straconych na wojnie, inni przytaczali, jakich doznali zniewag.

Ledwie zaczęły się dochodzenia, dopuścił Pan Nasz Jezus Chrystus za grzechy nasze i na nasze nieszczęście, że Luis Ponce zachorował na atak mózgowy. A było to tak. Wróciwszy z klasztoru świętego Franciszka, ze mszy, dnia pewnego dostał silnej gorączki i legł w łożu i cztery dni był nieprzytomny, tylko spał cały dzień i noc. Kiedy zbadali go medycy, wszyscy byli jednego zdania, że dobrze byłoby wypowiadać się i przyjąć sakramenta święte, i sam licencjat bardzo tego pragnął. Kiedy przyjął sakramenta z wielką pokorą i skupieniem, zrobił testament i ustanowił gubernatorem w swoim zastępstwie Markosa de Aguilar, którego przywiózł z wyspy Hispanioli i o którym inni powiadali, że był tylko bakałarzem, a nie licencjatem, i nie posiadał dostatecznej powagi. Po czym oddał ducha Panu. A po jego śmierci wielka była żałoba i smutek wszystkich konkwistadorów. Oplakiwaliśmy go jak ojca, bowiem na pewno przybywał, aby oddać sprawiedliwość tym, którzy służyli Jego Królewskiej Mości. Kortez z wszystkimi szlachcicami w mieście włożyli żałobę i pogrzebali go z wielkim przepychem w klasztorze świętego Franciszka.

Słyszałem, jak w Meksyku osoby niechętne Kortezowi i Sandovalowi szeptały, że zadano mu truciznę, podobnie jak Garayowi, ale chcę rzec, że zdaje się, iż na statku, którym przybył Luis Ponce, panowała zaraza, bowiem ponad sto osób z nim jadących zachorowało na mózg i bóle głowy i zmarło jeszcze na morzu i przy lądowaniu w Medellinie i stąd zaraza rozszerzyła się w Meksyku.

Kiedy Marcos de Aguilar objął gubernatorstwo Nowej Hiszpanii, wiele osób niechętnych Kortezowi nalegało, aby dochodzenia prowadzono dalej, natomiast senat Meksyku złożył sprzeciw, twierdząc, że Luis Ponce nie mógł w testamencie zlecić rządów samemu Aguilarowi, gdyż był to człek bardzo stary i zdziecinniały, pokryty wrzodami, nie mający powagi, nie znający spraw kraju, nie mający pojęcia o osobach zasłużonych, i dlatego byłoby dobrze, aby gubernatorstwo dzielił z Kortezem, póki Jego Królewska Mość nie zarządzi inaczej. Ale Marcos de Aguilar odpowiedział, że ani na włos nie odchyli się od testamentu Luisa Ponce i będzie rządzić sam.

*

Marcos de Aguilar, objąwszy rządy, był jednak tak wynędzniały i schorzał z powodu wrzodów, że medycy polecili mu ssać mleko pewnej kobiety, Hiszpanki, oraz pić mleko konie, i tak utrzymywał się przy życiu przez osiem miesięcy, a wreszcie z bóleści i gorączki zmarł, a w testamencie swoim polecił przekazać rządy skarbnikowi Alonsowi de Estrada. Senat miejski prosił skarbnika, aby wraz z nim rządził Kortez. Skarbnik nie zgodził się, inni mówili, że Kortez przyjąć tego nie chciał, aby złośliwi nie zarzucali mu, iż siłą chce panować, a także dlatego, że szerzyły się szept i podejrzenia, że Kortez przyczynił się do śmierci Marcosa de Aguilar, zadając mu czegoś. Zgodzono się tedy, żeby wraz ze skarbnikiem rządził Gonzalo de Sandoval, najwyższy *alguacil*, człek bardzo poważny.

Byli jednak tacy, którzy namówili Alonsa de Estrada, aby zdał sprawę królowi, skarżąc się, że siłą narzucono mu Sandovala, kiedy nie godził się dzielić rządów z Kortezem, prócz tego pewne osoby nieprzyjazne Kortezowi napisały listy, w których zarzucały, że Kortez otrul Luisa Ponce i Marcosa de Aguilar, jak poprzednio Garaya, że zamyślał stracić intendenta i kontrolera, równocześnie zaś udał się do Kastylii rachmistrz Albornoza, który nigdy nie był w dobrych stosunkach z Kortezem. Kiedy Król Jegomość i Królewska Rada Indii zapoznali się z listami źle poinformowani również w innych sprawach, uwierzyli, i Król Jegomość wydał orzeczenie, że rządy sprawować ma jedynie Alonso de Estrada. Zaś dla ukarania Korteza za winy mu zarzucone, na jego koszt wyprawi się don Pedro de la Cueva, wielki mistrz zakonu Alcántara, z trzystu żołnierzami i gdyby go znalazł winnym — zetnie go, a wraz z nim wszystkich, którzy zawinili przeciw Majestatowi. Odebrane Kortezowi posiadłości odda prawdziwym konkwistadorom i poleci, aby Trybunał Królewski otwarty w Meksyku, wydał sprawiedliwość. Już przygotowywał się wielki mistrz do podróży do Nowej Hiszpanii, ale nie doszła ona do skutku zarówno z powodu sporów na dworze, jak dlatego, że nie otrzymał tysiąca dukatów, jakich zażądał na koszty wyprawy, a także dlatego, że księżę de Bejar pozostał naszym protektorem jak poprzednio.

Skarbnik, obdarzony takimi względami przez Jego Królewską Mość, ze strachu przed Kortezem ustanowił gwardię przyboczną z przyjaznych sobie żołnierzy, wydobył z więzienia intendenta i kontrolera, aby popierali go przeciw Kortezowi. W osiem dni po tym postanowili na wszelki wypadek wygnąć Korteza, bowiem jak długo przebywać on będzie w mieście, nie zaznają spokoju i zawsze będą zamieszki i napady. Kiedy powiadomiono o tym Korteza, odrzekł, że chętnie zastosuje się do tego, ale ma zamiar udać się do Kastylii, aby osobiście zdać sprawę królowi i żądać sprawiedliwości. Zaraz też opuścił Meksyk i udał się do miasta Coyoacan, a następnie do Tezcuaco, a w kilka dni stamtąd do Tlaxcali.

49

Jak nadeszły listy do Korteza z wezwaniem, aby udał się do Hiszpanii, i co się tam stało

Kortez przygotowywał się do wyjazdu do Kastylii, kiedy nadeszły listy od przewodniczącego Rady Indii, don Garcii de Loaisa, od księcia de Bejar i od innych szlachciców, donoszące, że pod nieobecność jego wzniesiono nań skargi przed króla, przyniosły też wieść o śmierci jego ojca Marina Korteza. Jeśli przedtem miał szczery zamiar udać się do Kastylii, teraz przyspieszył przygotowania. Co rychlej Kortez w towarzystwie Gonzala de Sandoval i Andresa de Tapia udał się do Vera Cruz i po spowiedzi i komunii świętej siadł na okręt. Zdarzył im Bóg podróż tak szczęśliwą, że w czterdzieści dni dopłynęli do Kastylii, nie zatrzymując się w Hawanie ani na żadnej innej wyspie i wylądowali w pobliżu miasta Palos. Ujrawszy się cało na tej ziemi padli na kolana, wzniesli ręce ku niebu i dziękowali z serca Bogu za łaskę. Przybyli do Kastylii w miesiącu grudniu 1527 r.

Zdaje się, że Gonzalo de Sandoval jechał już bardzo chory i po wielkiej radości przyszły smutki, bo z woli bożej rozstał się z tym życiem w mieście Palos. Kortez wysłał zaraz wiadomość do jego Królewskiej Mości, do kardynała de Siguenza i do księcia de Bejar o swoim przybyciu i o śmierci Gonzala de Sandoval, który był wodzem bardzo cenionym i dzielnym wojownikiem.

Król Jegomość wysłał rozkaz do wszystkich miejscowości i miast, przez które Kortez miał przejeżdżać, aby przyjmowano go z honorami, a książe de Medina Sidonia podejmował go uroczyście w Sewilli i ofiarował mu doskonałe konie. Sława jego wielkich czynów szerzyła się w całej Kastylii, wszędzie spotykały go wdzięczne oświadczenia i grzeczności, zwłaszcza, że okazywał się bardzo hojny i miał dość bogactwa do rozdania. Rozdawał tedy podarunki w klejnotach złotych kunsztownej roboty wszystkim

damom, prócz tego zielone pióropusze zdobne srebrem, złotem i perłami, poza tym rozdał wiele *liquidambaru* i balsamu do namaszczenia, zaś Indianom, mistrzom w żonglowaniu kijami przy pomocy nóg, polecił popisywać się wobec dam, które temu dziwowały się z wielkim ukontentowaniem. Kiedy owe damy wyjechały na dwór, który podówczas rezydował w Toledo, on im towarzyszył, usługując, wydając uczyty i fety, okazał się przy tym tak usłużny, tak dobrze i zręcznie się przedstawił, że señora doña Maria de Mendoza już układała małżeństwo jego ze swoją siostrą i gdyby Korteż nie był właśnie poślubił doni Juany de Zuniga, siostrzenicy księcia de Bejar, byłby zapewnił sobie najwyższe poparcie wielkiego mistrza zakonu de Leon i doñi Marii de Mendoza, jego żony, i na pewno Jego Królewska Mość byłby mu dał wielkorządztwo Nowej Hiszpanii. Ale wszystkim kieruje ręka boża.

Kiedy przybył na dwór, Król Jegomość kazał mu wyznaczyć mieszkanie, a wysłańcy księcia de Bejar i hrabiego de Aguilar oraz inni wielcy panowie wyszli mu naprzeciw, aby go przyjąć z wielkimi honorami. Nazajutrz z pozwoleniem Jego Królewskiej Mości, poszedł ucałować stopy królewskie, a towarzyszyli mu, jako pośrednicy, aby go tym bardziej uczcić, admirał Kastylii, książę de Bejar i wielki mistrz zakonu de Leon. Korteż ukląkł przed Majestatem, król kazał mu powstać, a wówczas przedstawił swoje liczne zasługi i wszystko, co się zdarzyło przy podboju i wyprawie na Honduras, knowania w Meksyku intendenta i kontrolera i opowiadał wszystko, co zachowała pamięć. Jako opowieść była bardzo długa, aby nie nużyć Króla Jegomości zbyt wieloma słowami, rzekł: „Wasza Królewska Mość jest zapewne znudzony słuchaniem mnie i nie jest słuszne, aby prosty poddany jak ja ważył się na taką zuchwałość wobec największego cesarza i monarchy całego świata. Mój język nie jest nawykły do mówienia z Waszą Królewską Mością i być może nie wypowiedziałem mych uczuć z należnym szacunkiem. Oto memoriał, z którego Wasza Królewska Mość będzie mógł przekonać się, zali dobrze służyłem, wszystko tam jest dokładnie przedstawione, co się działo”.

Padł znowu na kolana, ucałować stopy króla za tyle łask. Cesarz, nasz pan, kazał mu powstać i zaraz nadał mu godność markiza del Valle, rozkazał przydzielić mu kilka włości, a nawet polecił włożyć mu płaszcz świętego Jakuba i zamianował go naczelnym wodzem Nowej Hiszpanii i Morza Południa.

Po otrzymaniu tych wielkich zaszczytów, po kilku dniach pobytu w Toledo zachorował Korteż i tak był bliski śmierci, że myślano, iż zakończy żywot. Wielki mistrz, don Francisco de Cobos, i książę de Bejar uprosili, aby Król Jegomość, w podzięce za wielkie usługi oddane przez Korteza, odwiedził go w jego mieszkaniu przed śmiercią. I Król Jegomość w otoczeniu książąt, markizów i hrabiów, z don Franciskiem de Cobos, odwiedzili go, co było bardzo wielką łaską i za taką uważane było na dworze.

Tymczasem kiedy Korteż, obdarzony tytułem markiza del Valle, przebywał w Kastylii, do Meksyku zjechał Trybunał Królewski, nowe intrygi wybuchały w mieście, a władza przechodziła z rąk do rąk.

50

Jak Hernando Korteż, markiz del Valle, ożeniony z dołą Juaną de Zuniga, przybył z Hiszpanii jako wódz naczelny i jakie zgotowano mu przyjęcie

Po dłuższym pobycie w Kastylii Korteż, ożeniony z dołą Juaną de Zuniga i obdarzony tytułem markiza i naczelnego wodza Nowej Hiszpanii i Morza Południa, bardzo zapragnął powrócić do swego domu, państwa i markizatu. A ponieważ wiedział, w jakim stanie były sprawy w Meksyku, przyśpieszył powrót i z całym swym domem wsiadł na okręty i przy pogodzie wypłynął na morze. Przybył do portu Vera Cruz, gdzie przyjęto go uroczyście, i zaraz udał się do miast swego markizatu. Przybył do Meksyku, gdzie odbyło się przyjęcie, ale nie tak uroczyste jak zwykle. Korteż przedstawił swój dyplom markiza i kazał wicekrólowi i Trybunałowi Królewskiemu obwołać się naczelnym wodzem Nowej Hiszpanii. Podówczas bowiem Jego Królewska Mość wysłał był do Nowej Hiszpanii jako wicekróla najświetniejszego i zacnego szlachcica, najlepszej pamięci godnego don Antonia de Mendoza. Po kilku dniach udał się Korteż do jednego z miast swego markizatu, zwanego Cornavaca, skąd — jak zostało ułożone z naszą panią, sławnej pamięci cesarzową dołą Izabelą, i z Królewską Radą Indii — miał wysłać wyprawę na Morze Południa, aby odkrywać tam nowe ziemie i zdobywać perły. Wziął się do budowy okrętów w pewnym porcie swego markizatu, noszącego nazwę Teguantepeque.

Na tych nowych wyprawach i odkryciach, jak słyszałem niejednokrotnie, stracił ponad trzysta tysięcy złotych pesos. Zdumiewaliśmy się, że po zdobyciu Nowej Hiszpanii już mu się nie szczęściło.

51

O wielkich uroczystościach w Meksyku na wieść o zawarciu w roku 1538 pokoju między sławnej pamięci arcychrześcijańskim cesarzem naszym miłościwym a królem Francji, Franciszkiem

W roku 1538 nadeszły do Meksyku wieści, że arcychrześcijański cesarz, sławnej pamięci pan nasz, udał się do Francji i król Francji Franciszek

podejmował go okazale w porcie Aiguesmortes. Zawarli pokój i uściskali się z wielką miłością. Dla uczczenia tego i z radości wicekról don Antonio de Mendoza, markiz del Valle i Trybunał Królewski zorganizowali wielkie uroczystości.

Były one takie, że jak mi się zdaje, podobnych nie oglądano w Kastylii: igrzyska konne i kadryle, walki byków, potykanie zbrojne oraz inne rozmaite rozrywki. Ale to nic jeszcze wobec licznych innych wymysłów, podobnych tym, jakie towarzyszyły triumfalnym pochodom konsulów i zwycięskich wodzów w Rzymie.

Rankiem na głównym placu Meksyku zrobiono gaj złożony z rozmaitych rodzajów drzew tak naturalnie, jakby tam wyrosły. Jedne drzewa pełne były pleśni i porośle jakimiś zielskami, inne pokryte jakby białym puchem, a tak wszystko kunsztownie ułożone, aż dziw! Wewnątrz gaju było mnóstwo zwierzyny, królików, zajęcy, lisów, wilków i najrozmaitszych zwierzątek małych, jakie żyją na ziemi, a także dwa małe lewki i tygrysiątka zamknięte w zagrodzeniach, z których wyjść nie mogły, póki się ich nie wypuściło w czasie polowania. Indianie meksykańscy są takimi mistrzami w robieniu podobnych rzeczy, że na całym świecie, jak mówią bywalcy, podobnych nie widziano. Na drzewach zaś była taka rozmaitość małych ptaszeczków, jakie tylko żyją w Nowej Hiszpanii, że zarówno dla ich ilości, jak rozmaitości gatunków zbyt długo byłoby o nich opowiadać. W pewnej odległości od gaju znajdowały się gęstwiny, a w każdej oddział dzikusów ze splecionymi wiklinowymi prętami, a także innych z łukami i strzałami wypadających na łowy, bowiem w jednej chwili wypuszczano zwierzynę z zamknięcia, więc gonili za nią przez gaj, a wypędziwszy ją, wpadali na wielki plac, aby ją tam zabijać. Ówdzie jedni Indianie walczyli z drugimi, ścierając się wręcz, aż przykro było patrzeć, a po krótkiej walce wracali do swej gęstwiny. Ale nie było to nic w porównaniu z harcami konnymi żołnierzy, Murzynami i Murzynkami wraz z ich królem i królową, kiedy wszyscy konno, a było ich ponad pięćdziesiąt, w strojach bogatych, zdobionych złotem, kamieniami, maczkiem perłowym i srebrem, nacierali na Indian, warto było widzieć tę rozmaitość potwornych masek albo jak Murzynki karmiły swoje Murzyniątka, i jak uroczyście przyjmowały królów.

Prócz tego na drugi dzień rano pośrodku tego placu ustawiono miasto Rodos z jego wieżami, strzelnicami, blankami, barbakanami, lochami i wałami, ze stoma rycerzami w bogatych płaszczach pełnych złota i pereł, jedni byli na koniach z krótkimi strzemionami, z lancami i tarczami, inni z długimi strzemionami, inni pieszo z kuszami, a na czele wódz, wielki mistrz zakonu mieszczącego się na wyspie Rodos, którym był markiz Korteż. Były tam cztery okręty z wysokimi masztami i podniesionymi na licznych rejach płótniskami żagli, tak ładząco zrobione, że niektórzy zdumiewali się, że oto płyną pod żaglami przez plac, trzykrotnie nawracając,

i strzelają z dział na pokładzie widać było kilku Indian, przebranych za braci dominikanów, oskubujących kury lub łowiących ryby. Ale zostawmy te okręty, ich artylerię i mamidlą, chcę powiedzieć, jak wpadły w zasadzkę dwa pułki Turków, bardzo trafnie przebranych po turecku, w bogatych strojach jedwabnych, karmazynowych i purpurowych, wyszywanych złotem, w bogatych turbanach jakie zwykli nosić, wszyscy na koniach i ukryci, by zaatakować zniemacka i porwać pasterzy wypasających trzody około źródła, jeden z pasterzy uciekł i dał znać wielkiemu mistrzowi z Rodos. Już wprowadzali Turcy trzody i pasterzy, kiedy wypadli bracia rodyjscy i po bitwie z nimi musieli porzucić jasyr. Z innej strony nadeszło kilka oddziałów Turków na Rodos, stoczono bitwę i wzięto licznych jeńców tureckich, a pomiędzy walczące oddziały wpadły byki dzikie, rozdzielając je.

Liczne damy, żony konkwistadorów oraz mieszkańców Meksyku, siedziały w oknach domów okalających plac, w strojach wspaniałych z karmazynu, jedwabiu, adamaszku. Wiele tam było złota srebra i drogich kamieni! Na galeriach innym damom, bogato wystrojonym, usługiwali galanci. Wszystkim tym damom w oknach i na galeriach podawano lekkie posiłki: marcepany, łakocie, skórki cytrynowe, migdały, owoce kandyzowane oraz inne marcepany z herbami markiza, wicekróla, a wszystkie złożone lub posrebrzane albo po prostu samo złoto. O owocach nie wspominam, bowiem nie skończyłbym ich wyliczać, a podawano najlepsze, jakie można było zdobyć. Z napojów miód z wodą i korzeniami, pieniste kakao z wafelkami, wszystko w bogatych, złotych i srebrnych naczyniach. A trwała ta kolacja od godziny po nieszporach aż do drugiej w nocy, po czym każdy odszedł do domu.

A teraz chcę opowiedzieć o uroczystych bankietach, jakie się odbyły. Jeden wydał markiz w swoim pałacu, drugi wicekról w pałacu królewskim, były to wieczery. Ustawiono stoły, przy każdym było miejsce honorowe. Na jednym siedział markiz, na drugim wicekról, a każde miejsce honorowe miało swoich pokojowców i paziów. Dania szły w wielkim porządku. Chcę opowiedzieć, co podawano. Nie silę się, aby wszystko wyliczyć, powiem tylko, co sobie przypominam byłem bowiem jednym z biesiadujących podczas tego wielkiego święta. Na początku były dwójki albo trojki rodzaju sałaty, potem koźlątko i szynki z tłustością, pieczone na modłę genueską, potem pasztety z przepiórek i gołębi oraz kapłony i pulardy, potem galaretki i paszteciki, potem kołacz królewski, potem kurczęta i kuropatwy oraz przepiórki w marynacie. Dwakroć zmieniano obrusy, pozostawiając spodnie obrusy czyste z odpowiednimi serwetami. Potem przyniesiono rozmaite ptaki i zwierzyne w cieście, tego nie jedzono ani też wielu z poprzednich potraw, następnie inne zawijańce z ryb i również mało tego jedzono, po tym wniesiono pieczone, wołowinę i wieprzowinę z kapustą, rzepą i grochem, również nic się z tego nie

jadło. Między tymi daniami na stołach pojawiły się najrozmaitsze owoce, aby wzniecić apetyt, a zaraz po tym wniesiono kury pieczone w całości z dziobami i nogami srebrzonymi; po czym kaczki i gęsi całe, z dziobami złoconymi, a zaraz po tym głowy wieprzowe i zwierząt łownych, i całe cielęta.

Towarzyszyły temu przy każdym honorowym krańcu stołu śpiewy i trąby, i przeróżne instrumenty, harfy, wiole, flety, fagoty, oboje; zwłaszcza rozbrzmiewała muzyka, kiedy służebni podawali paniom, które brały udział w wieczerzy — a niewiele ich było — czarki i liczne złocone puchary, jeden z miodem korzennym, inne z winem, inne z wodą, inne z kakao, inne z winem różowym. Prócz tego podawano najdostojniejszym paniom olbrzymie pasztety, a z jednego wybiegły dwa żywe króliki, z innego króliczka, inne były pełne przepiórek, gołębi oraz różnego żywego ptactwa; postawiono je równocześnie na stole i podniesiono przykrywy, króliki rozbiegły się po stole, a przepiórki i ptactwo uleciały. Nie mówiłem o oliwkach, rzodkwiach, serach i kardach oraz o innych płodach ziemi; wystarczy rzec, że całe stoły były ich pełne.

Pomiędzy daniami zjawiali się błaznowie i poeci, którzy na cześć Korteza i wicekróla recytowali pocieszne utwory. A nawet nie wspomniałem o fontannach wina białego, wyrabianego przez Indian i barwionego. Na dziedzińcach zastawiono drugą ucztę dla ludzi ze świty, pacholków i służby wszystkich szlachciców uczujących na górze. Zapomniałem też o byczkach pieczonych, które wewnątrz pełne były kurcząt, kur, przepiórek, gołębi i słoniny. To podawano na dziedzińcu, na dole, pacholkom, mulnikom i Indianom. A trwała ta uczta od zmierzchu aż do drugiej po północy, aż damy wołały, że nie mogą już zdzierżyć przy stole, inni się przestraszyli i siłą zabrano obrusy, choć było jeszcze wiele potraw do podania. A wszystko podawano na wielkich półmiskach ze złota i srebra.

Nazajutrz odbyły się walki byków i kadryle konne, a następnego dnia wyścigi z placu Tatelulco do głównego placu; także ścigały się kobiety, od bramy skarbnika Alonsa de Estrada aż do pałaców królewskich, a najszybsza otrzymała w nagrodę klejnot złoty. Wiele było błazeństw, i to tyle, że nie pomnę wszystkich; nocami odbywały się maskarady, a wszystko to opisali oficerowie i wielki mistrz kawalerów rodyjskich i wysłali do Kastylii.

W roku 1539 w pierwszych dniach maja umarła w Toledo sławnej pamięci dona Izabela, ciało jej przewieziono do Grenady, aby ją tam pogrzebać. W całej Hiszpanii wielki był żal po niej i większość konkwistadorów włożyła żałobę, i ja, jako ławnik miasta Guazacualco i jeden z najstarszych konkwistadorów, włożyłem ciężką żałobę i udałem się do Kastylii. Również w tym czasie przybył do Peru na dwór Hernando Pizarro, przyodziany w żałobne szaty, z czterdziestu towarzyszami; równocześnie przyjechał Korteza na dwór, w żałobie, on i jego świta.

Od tego czasu już nigdy nie powrócił do Nowej Hiszpanii, bowiem wówczas wznowiono proces i Król Jegomość nie chciał dać pozwolenia, dopóki się dochodzenie nie skończy, a nigdy nie zamierzano go skończyć. W Królewskiej Radzie Indii odpowiadano zawsze, że czekać muszę, aż Jego Królewska Mość powróci z Flandrii.

*

Kiedy Król Jegomość powrócił do Kastylii, przygotował wielką armadę, aby wyprawić się na Algier. W wyprawie wziął także udział markiz del Valle, zabierając ze sobą syna, dziedzica majoratu i stanowiska, które po nim dziedziczył, zabrał także don Martina Korteza, którego miał z dołą Mariną. Z dopustu bożego wielka burza zniszczyła większą część królewskiej armady, rozbił się również okręt, na którym płynął Kortez z synami. Oni i większość szlachty ocaleli, stracone zostały wszystkie klejnoty i drogie kamienie, które miał ze sobą, a które, jak mówiono, warte były wiele pesos złotych. Kiedy powrócili do Kastylii z tej niebezpiecznej wyprawy, markiz był bardzo wyczerpany, nużył go pobyt w Kastylii na dworze, wyczerpał odwrót na Bujię i owa wyprawa zmarnowana, byłby chciał bardzo powrócić do Nowej Hiszpanii, gdyby mu dano pozwolenie. Wysłał był do Nowej Hiszpanii swoją starszą córkę, donę Marię, którą umyślił wydać za Alvara Pereza Osorię, syna markiza Astorgi. Kiedy to małżeństwo się rozbiło, bardzo głęboko to odczuł. Silna gorączka i biegunki bardzo go osłabiły i kiedy cierpienia jego coraz się pogarszały, postanowił opuścić Sewillę, aby unikać licznych odwiedzin osób, które go zameęczały swoimi sprawami. Udał się do Castilleja de la Cuesta, aby porachować się z sumieniem i sporządzić testament. Kiedy to spełnił i przyjął sakramenta święte, podobało się Panu zabrać go z tego pełnego trudów życia. Zmarł 2 grudnia 1547 roku, ciało jego pogrzebano z wielkim przepychem, przy udziale licznych kleru, i z wielkim żalem wszystkich szlachciców z Sewilli. Pochowany został w kaplicy książąt de Medina Sidonia, później kości jego przewieziono, jak polecił w testamencie, do Nowej Hiszpanii, i złożono w grobowcu w Coyoacan czy też w Tezcucu, nie wiem tego dobrze.

Chcę powiedzieć, ile miał lat; wedle tego, co sobie przypominam, czynię takie obliczenie: kiedy z Kortezem udaliśmy się z Kuby do Nowej Hiszpanii, był rok 1519, a wówczas zwykł był powtarzać w rozmowach z nami, towarzyszami swymi, że miał lat trzydzieści cztery, upłynęło lat dwadzieścia osiem do jego śmierci, miał tedy sześćdziesiąt dwa lata. Był pięknej postawy i zgrabnego ciała, doskonale proporcjonalnego i muskularnego; kolor twarzy miał nieco szary i wyraz niewesoły, gdyby

oblicze miał szersze, byłby bardzo urodziwy, wyraz oczu był czuły, a czasem poważny, brodę miał czarną, niedużą i rzadką, włosy, ułożone wedle mody ówczesnej, takie same jak broda, pierś miał szeroką, ramiona mocne, był szczupły i nie miał brzucha, nogi miał nieco kabłąkowate, ale muskularne i mocne, był doskonałym jeźdźcem i zręcznym do każdej broni, tak pieszo jak konno, konie ujeżdżał świetnie, a ponad wszystko był wielkiej odwagi i serca, a to najważniejsze. W całym zachowaniu, a także w wyglądzie, w mowie, w jedzeniu i przyodziewaniu się był wielkim panem. Był bardzo uprzejmy w obojętności ze wszystkimi swymi oficerami i towarzyszami, szczególnie z nami, którzy przybyliśmy z wyspy Kuby razem z nim po raz pierwszy. Był wykształcony, biegły w łacinie, słyszałem, że miał stopień bakalarza prawa, i kiedy rozmawiał z uczonymi i łacinnikami, odpowiadał im po łacinie. Był trochę poetą, układał strofy wierszem i prozą, a kiedy przemawiał, czynił to w sposób bardzo miły i z doskonałą wymową. Kiedy zaklinał się, mówił: „Na me sumienie!”, a kiedy zagniewał się na któregoś żołnierza z naszych, swego zwolennika, mawiał: „A bodajby was!” Kiedy był bardzo gniewny, nabrzmiewała mu żyła na szyi i na skroni. Był wyjątkowo cierpliwy i kiedy zirytował się bardzo, wzdychał, ale nie rzekł nigdy brzydkiego ani obraźliwego słowa żadnemu z oficerów czy żołnierzy. Był bardzo uparty, zwłaszcza w sprawach wojennych. Nie będę mówił o męstwie i bohaterskich czynach Hernanda Korteza, których byłem świadkiem, jest ich tyle i tak są wielkie, że nie skończyłbym rychło. Wolę mówić o jego usposobieniu. Lubił grać w karty i w kości, ale był bardzo miły i uprzejmy przy grze, był wielkim kobieciarzem i bardzo zazdrosny o swoje, niezwykle staranny, we wszystkich podbojach naszych przez wiele nocy sam brał udział w rontach i obchodził strażę, wchodził do szałasów i pomieszczeń naszych żołnierzy i jeśli którego zastał bez broni albo bez chodaków, przygarnął mu ostro i mówił: „Złej owcy nawet wełna ciąży”.

Kiedy przebywaliśmy w prowincji Hibueras, zauważyłem, że obyczaje jego i usposobienie zmieniły się w porównaniu z tym, jakie były w poprzednich wojnach. Jeżeli po jedzeniu nie przespał się trochę, żołądek mu się burzył i czuł się źle, aby temu zapobiec, kiedy szliśmy pochodem, kładziono mu pod drzewem jakimś albo w innym cieniu kobierzec zabrany w tym celu albo płaszcz, i choćby było słońce, musiał się przespać nieco, zanim dalej wyruszył. Widziałem również, że kiedy wojowaliśmy w Nowej Hiszpanii, był szczupły i nie miał brzucha, a kiedy wracaliśmy z prowincji Hibueras przytył bardzo i brzuch mu wyrósł, a także uważałem, że jego czarna broda posiwiiała. Także chcę rzec, że kiedy przebywał w Nowej Hiszpanii i kiedy po raz pierwszy udał się do Kastylii, był bardzo szczodry, ale kiedy wrócił po raz drugi, uważano go za skąpego i jeden z jego służebnych, nazwiskiem Ullos, wniósł skargę, że nie wypłacił mu zasług. Od czasu zdobycia Nowej Hiszpanii zawsze spotykały go niepo-

wodzenia, stracił wiele złotych pesos na wyprawy kalifornijskie, także w wyprawie na Hibueras szczęścia nie miał.

Oby Hernandowi Kortezowi Bóg grzechy jego odpuścił!

52

O korzyściach, jakie przyniosły nasze słynne podboje i trudy

Teraz kiedy zdałem z wszystkich wypadków sprawę, przystoi powiedzieć o korzyściach, jakie nasze słynne podboje przyniosły sprawie bożej i Jego Królewskiej Mości, choć kosztowały one życie większości moich towarzyszy i tylko garstka nas została. Niektórzy z nich zginęli, zabici na ofiarę, a serca ich i krew oddane były bogom meksykańskim, Uichilobosowi i Tezcatepuce. Chcę też zacząć od opisanie ofiar krwawych, jakie zastaliśmy na ziemiach i prowincjach podbijanych, gdzie szerzyły się te ofiary i zbrodnie, bowiem rokrocznie w samym Meksyku oraz w niektórych miastach położonych nad jeziorem, wedle obliczeń franciszkanów — którzy przybyli do Nowej Hiszpanii na cztery lata przed dominikanami — zabijano ponad dwa tysiące dzieci i dorosłych, zaś w innych prowincjach cyfra ta była jeszcze znaczniejsza. Tyle było rodzajów tych zbrodniczych ofiar, że opowiadałbym o nich bez końca. Dla pamięci opisałem tylko te, które sam widziałem lub o których słyszałem. Wspomnę jeszcze, że Indianie mieli zwyczaj okaleczania sobie czoła, uszu, języka, warg, piersi, ramion, łydek i stóp, a nawet w pewnych prowincjach panował zwyczaj obrzezania, posługiwali się przy tym nożami z obsydianu.

Świątynie ich, zwane *cues*, były tak liczne, że przeklinam je! Zajmowały podobne miejsce jak u nas w Kastylii nasze święte kościoły i parafie, pustelnie i miejsca rekolekcyjne. A były to domy bóstw pełne demonów i postaci diabelskich, a prócz tego każdy Indianin czy Indianka mieli w domach dwa ołtarze, jeden blisko łoża, drugi przy drzwiach domu, a na nich mnóstwo szkatulek drewnianych, zwanych *petacas*, pełnych bożków, małych i większych, kamyków, obsydianów, książeczek z papieru z kory drzewa zwanego *amate*, na których wypisane były zmiany czasu i przeszłe wypadki.

Większość Indian praktykowała sodomie, a zwłaszcza mieszkańcy wybrzeży i krajów gorących. Młodzieńcy nosili tam kobiece szaty i zarabiali na życie w ten diabelski sposób. Jedli mięso ludzkie, jak myżywamy wołowinę, i we wszystkich miejscowościach mieli domy, jakby klatki z grubych żerdzi, w których zamykali na utuczenie licznych Indian, Indianki i dzieci, aby następnie, gdy utyją, zjadać ich. Kiedy prowadzili wojny, jedna prowincja z drugą, wziętych do niewoli zabijali na ofiarę i zjadali.

Dopuszczali się występów cielesnych synowie z matkami, bracia z siostrami, wujowie z siostrzenicami, wielu praktykowało takie kazirodztwo. A pijacy? Nie potrafię powiedzieć, jakich świństw się dopuszczali. Chcę przytoczyć tutaj zwyczaj, jaki zastaliśmy w prowincji Panuaco: do otworu stolcowego wsuwali trzcinę i napełniali sobie tą drogą brzuch winem, tak jak my leczymy się klisterą, obrzydliwość nigdy nie słyszana! Brali tyle kobiet, ile chcieli, i mieli wiele innych ułomności i rozwiązłości, a wszystkie te rzeczy przeze mnie przytoczone ustały dzięki naszym prawdziwym konkwistadorom, ocalałym z wojen, bitew i niebezpieczeństw śmierci. Nauczyliśmy ich ogłady i zasad naszej świętej religii.

*

Kiedy porzucili bałwochwalstwo i ohydne zwyczaje swoje, mają teraz kościoły, bardzo bogato zdobione ołtarzami, i wszystko, co potrzebne do świętego kultu krzyże, kandelabry, kielichy, patery małe i wielkie, misy, całe srebrne, kadzielnice kunsztownie wyrabiane. W bogatych miejscowościach mają kapy i ornaty, stuły z aksamitu i adamaszku, jedwabiu lub tafty, ozdoby przy krzyżach, pięknie haftowane złotem i jedwabiem. Krzyże dla zmarłych pokryte są czarną satyną, a na niej wyobrażona jest trupia głowa w swej potwornej postaci i kości, całuny na marach są jedne piękniejsze, inne skromniejsze. Mają też potrzebne dzwony, zależnie od wielkości danej miejscowości, mają także śpiewaków, chóry złożone z głosów dobranych, tenory, sopran, kontralt i basy. Niektóre wioski mają organy, a we wszystkich używają fletów, obojów, fagotów i fujar. W mojej okolicy, w Kastylji, mniej jest tręb wielkich i małych niż w Gwatemali.

Prawie wszyscy Indianie, mieszkający na tych ziemiach, nauczyli się wszelakich rzemiosł, jakie znamy w Kastylji. Mają swoje warsztaty, swoich robotników, zarabiają na życie pracą. Są złotnicy, kamieniarze, malarze i kryształnicy, którzy tworzą arcydzieła swoimi delikatnymi narzędziami z żelaza. Większość synów wielmożów studiuje i uczą się bardzo dobrze, umieją czytać i pisać, i układać muzykę do śpiewu.

Są tkacze jedwabiu i płótna lnianego, kapelusznicy i mydlarze, jedynie dwóch rzemiosł nie mogli się nauczyć: fabrykacji szkła i farmacji, ale uważam ich za tak zdolnych, że i tego nauczą się doskonale, już bowiem wśród nich są chirurdzy i zielarze. Umieją poruszać kukły i robić marionetki, wyrabiają też doskonałe gitary. W rolnictwie byli biegli, jeszcze zanim przybyliśmy do Nowej Hiszpanii.

Przechodząc dalej, powiem, że nauczyliśmy ich strzec sprawiedliwości i wydawać sądy. Co roku wybierają swoich urzędujących burmistrzów, ławników, pisarzy, alguacilów, prokuratorów i syndyków. Mają swoje

ratusze, gdzie zbierają się dwa razy na tydzień, wydają swoje edykty i wyroki, rozkazują płacić długi, a za niektóre zbrodnicze przestępstwa skazują na chłostę i inne kary. Kiedy chodzi o morderstwo albo jakieś okrucieństwo — oddają sprawę gubernatorowi, jeżeli na miejscu nie ma Królewskiego Trybunału. Jak mówiły mi osoby dobrze rzeczy świadome, w Choluli, Guaxocingo, w Tlaxcali, Tezcuco i w Tepeace oraz innych miastach, kiedy Indianie radzą na ratuszu, przed gubernatorami i przed burmistrzami noszą laski ze złoconą głowicą, jak przed wicekrólami Nowej Hiszpanii. Sądy odprawują z taką skrupulatnością i powagą, jak nasze, cenią się i pragną osiąść doskonałą znajomość praw królestwa, wedle których wydają wyroki. Wszyscy kacykowie trzymają konie i są bogaci, mają rządy z doskonałymi siodłami i odbywają przejażdżki przez miasta, miasteczka i miejsca swego pochodzenia, zabierając ze sobą świtę i paziów. Nawet w niektórych miastach urządzają karuzele i walki byków.

*

Słyszeliście w poprzednich rozdziałach o wszystkich dobrodziejstwach i korzyściach wynikłych z naszych słynnych i świetnych czynów i podbojów. Teraz opowiem o złocie i srebrze, kamieniach drogich oraz innych bogactwach, aż do salsaparylii i skór bydłęcych włącznie, które rokrocznie z Nowej Hiszpanii przywożą do Kastylji. Od czasu kiedy król Salomon zbudować kazał wielką świątynię w Jerozolimie, ozdobiwszy ją złotem i srebrem przywiezionym z Tarsu, Ofiru i Saby, nie czytano w żadnym starożytnym piśmie, aby skądkolwiek szło tyle złota, srebra i bogactw, ile codziennie płynie z tych ziem. Mówię o tym, bowiem powszechnie wiadomo, że z Peru płynęły niezliczone tysiące pesos złotych i srebrnych, jednak wówczas, kiedy odkrywaliśmy Nową Hiszpanię, nie była nawet znana nazwa Peru, nie było ono jeszcze odkryte, a zdobyte zostało dopiero dziesięć lat później. My od samego początku zawsze wysyłaliśmy Jego Królewskiej Mości bogate dary i dlatego, a także dla innych powodów, na pierwszym miejscu kładę Nową Hiszpanię. Wiem, co się działo w Peru, jak stale wodzowie i gubernatorowie i żołnierze toczyli z sobą wojny domowe, wszystko topiło się we krwi i kończyło się śmiercią licznych żołnierzy-zbójników i wyniszczaniem tubylców, bowiem nie bywało zachowane posłuszeństwo i szacunek należny naszemu królowi i panu, my zaś w Nowej Hiszpanii zawsze zachowywaliśmy i zachowywać będziemy najszczerzą wierność i gotowi jesteśmy oddać życie i majątność w każdej potrzebie, której wymagać będzie służba Jego Królewskiej Mości.

Pominać muszę milczeniem dla ich liczby, nie pamiętny ich nazw, olbrzymią mnogość miast, wsi i osiedli zaludnionych w tamtych stronach przez Hiszpanów. Zwrócę tylko uwagę na to, że istnieje dziesięć biskupstw, a prócz tego arcybiskupstwo w znakomitym bardzo mieście Meksyku, że istnieją trzy Trybunały Królewskie. Niechaj czytelnicy zważą, wiele jest kościołów katedralnych i klasztornych franciszkanów, dominikanów, braci Miłosierdzia i augustianów. Istnieje też w Meksyku Collegium uniwersyteckie, gdzie studiują gramatykę i teologię, retorykę, logikę i filozofię, istnieją drukarnie i mistrzowie drukarscy, którzy drukują książki łacińskie i romańskie, nadaje się tytuły licencjatów i doktorów. Mógłbym jeszcze o wielu innych wspaniałościach opowiadać, o kopalniach srebra, które zostały odkryte i że co dzień odkrywa się nowe, dzięki którym nasza Kastylia jest pełna pomyślności, szanowana i czczona.

Chcę też powiedzieć, aby osoby mądre, które przeczytają moją relację od początku do końca, zobaczyły, że żadne pisma na tym świecie, żadne opisy bohaterskich czynów nie mówią o ludziach, którzy by zdobyli więcej państw i królestw dla swego pana i króla niżli my, prawdziwi konkwistadorowie. A pomiędzy walecznych konkwistadorów, moich druhów, którzy byli tak bardzo mężni, niechaj i mnie włożą, jako najstarszego ze wszystkich. Powiem raz jeszcze, co już tylekroć mówiłem, że jestem najstarszym i służyłem jako dobry żołnierz Jego Królewskiej Mości. Powiem to ze smutkiem w sercu, bowiem widzę siebie ubogim i bardzo starym, z córką na wydaniu i dorosłymi synami, brodatymi już, oraz z innymi, których chować muszę, a nie mogę udać się do Kastylii przed Króla Jegomości, aby mu przedstawić, czego dokonałem w jego królewskiej służbie, aby mi udzielił jakiejś łaski, bowiem należy mi się jako dobrze zasłużona.

I zapyta być może kiedyś sławiona Chwała o konkwistadorów, którzy uratowali się w walkach przebytych, i o poległych, gdzie są ich grobowce i jakie herby na nich umieszczono? Na to można odpowiedzieć z wielką prawdą: „O, świetna i rozgłośna Chwało, przez zacnych i cnotliwych upragniona i sławiona! Powiadamiam cię, Pani, że z pięciuset pięćdziesięciu żołnierzy, którzy z wyspy Kuby wyjechali z Kortezem do Nowej Hiszpanii, do tego roku 1568 zostało jedynie pięciu, a wszyscy inni zginęli bądź w walkach opisanych przeze mnie, bądź w niewoli u Indian, zabici na ofiarę bożkom, i tylko niewielu zmarło naturalną śmiercią. A pytasz, gdzie są ich grobowce? Powiem, że są nimi brzuchy Indian, którzy zjedli ich nogi, ramiona, łydki, ręce i stopy, a reszta tułowia rzucona została tygrysom, wężom i szakalom. Takie były ich groby i takie mają tablice! A jeśli przemożna Chwała zapyta mnie o tych, którzy przyплыnęli z Narvaezem lub Garayem, powiem, że tych narvaezczyków było tysiąc trzystu, a z nich wszystkich żyje zaledwie dziesięciu czy jedenastu, inni zginęli, z tych, którzy przybyli z Garayem, których miało być tysiąc dwieście, prawie wszyscy zostali zabici na ofiarę bogom w prowincji

Panuco, a ciała ich zjedzone przez tubylców. My zaś, którzy przybyliśmy z Kortezem, jesteśmy starzy i chorzy z braku sił, a co najgorsze, biedni, obarczeni synami, córkami i wnukami, mamy malutką pensyjkę i tak przechodzimy przez życie w udrękach i nędzy.

*

Kiedy kończyłem przepisywać tę moją relację, dwóch licencjatów prosiło mnie, abym im ją na dwa dni pożyczył; chcieli zapoznać się z wypadkami, z naszymi przeżyciami w Meksyku i Nowej Hiszpanii i przekonać się, w czym ona różni się od pism kronikarza Gomary i doktora Illescassa. Zdawało mi się, że ludzie bez wykształcenia jak ja zawsze powinni korzystać z mądrości ludzi uczonych, ale prosiłem, aby nic nie poprawiali, bowiem wszystko, co napisałem, jest prawdziwe. A kiedy przeczytali, wynosili i wychwalali moją doskonałą pamięć, że niczego nie zapomniałem z naszych przeżyć od przybycia do Nowej Hiszpanii w latach 1516, 1517, i 1518, a co się tyczy stylu, że pisałem w potocznym języku starej Kastylii, w owym czasie uważanym za najwdzięczniejszy, bowiem nie znosi zbyt wielu ozdobników ani złoconych pochlebstw, jakich używają inni pisarze, ale wszystko podaje w słowach prostych, a w tej prostej prawdzie zamyka się piękny styl.

Wracając do zarzutu, jaki uczynił mi licencjat, któremu pożyczyłem mój brulion, że wydaje mu się, iż zbyt chętnie się moimi podbojami, odpowiedziałem, że wprawdzie nie jest dobrze, kiedy ludzie wychwalają siebie samych, to ziomkowie powinni podnosić ich cnoty i zalety, o ile znajdują się one w tej osobie — ale równocześnie jakżesz mogą to uczynić ci, którzy tego nie widzieli, nie słyszeli, nie byli tam, szczególnie w bitwach i przy zdobywaniu miast. Sławić to i pisać o tym mogliby jedynie oficerowie i żołnierze, którzy na wojnie znajdowali się razem z nami, dlatego mówiłem o tym nieraz i nawet się chwaliłem. Gdybym odbierał sławę i należne miejsce innym dzielnym żołnierzom, którzy w tych samych walkach udział brali, i przypisywałbym je sobie, byłby to czyn niegodny i słuszne byłoby to zganić, ale jeśli powiadam prawdę i potwierdza ją Król Jegomość i wicekról, i markiz, i świadkowie, i dowody, dlaczegóż nie mam o tym mówić? Nawet złotymi literami godzi się to wypisać. Czyż chcieliby, abym mówił o chmurach i ptakach, które w owym czasie w powietrzu się unosiły? Czyż chciałby o tym pisać Gomara, Illescas czy Korteż, kiedy pisał do Jego Królewskiej Mości? W tych pismach widzę tylko wychwalanie Korteza, przemilczając i kryjąc nasze sławne i chwalebne czyny, dzięki którym wynieśliśmy naszego wodza do godności markiza, do majątku i sławy. Powiem też, że kiedy Korteż z początku pisał do Jego Królew-

skiej Mości, z kałamarza sypały mu się perły, z pióra spadało mu złoto, ale wszystko na własną chwałę, a nie dla naszej, walecznych żołnierzy. A chociaż don Hernando Korteż był zawsze nader walecznym wodzem i może być zaliczany między najsłynniejszych, jacy w owym czasie istnieli na świecie, to kronikarze pamiętać powinni także o nas i nie pozostawiać nas w zapomnieniu. Jakbyśmy wyglądali, gdybym był się w to nie wdał, gdybym nie opowiedział i każdemu nie oddał należnej mu czci?

A prócz tego, co powiedziałem, dobrze jest, że tę relację spisałem, również dlatego, żeby moi synowie, wnuki i dalsi potomkowie mogli śmiało i prawdziwie rzec: „Te ziemie odkrył i zdobył nasz ojciec własnym trudem, tracąc całe swe mienie, a w zdobywaniu tym był między pierwszymi”.

KONIEC